

KONTYNUACJA „ŚWIATA BEZ BOHATERÓW”

POZAŚWIATOWCY

ZARZEWIE BUNTU



BRANDON MULL

AUTOR CYKLU „BAŚNIOBÓR”

BRANDON MULL

ZARZEWIE BUNTU

POZAŚWIATOWCY

TOM 2

Przełożyła

Małgorzata Strzelec

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2013

*Simonowi Lipskarowi i Liesie Abrams,
z podziękowaniami za opiekę nad Lyrianem.*

Prolog

Wygłoszona przepowiednia

Książę wszedł do komnaty. Powietrze wypełniały odrażająco słodkie wyziewy. Łagodny blask rozstawionych świec nie wystarczał i większość starodawnych rzeźbień ginęła w mroku. Książę słono zapłacił za dotarcie do tej świątyni. Przyjaciele zginęli. Rodzina uznała, że zaniedbał obowiązki wobec niej i Trensicourt. On jednak musiał się dowiedzieć.

Zakapturzone akolitki pociągnęły za łańcuchy, by wyciągnąć z pachnącego basenu ociekającą płytę. Ciało wyroczni zanurzono w glinie, tylko jej twarz pozostała widoczna – jedyna nierówność na mokrej, gładkiej powierzchni płyty. Kobieta miała zamknięte oczy.

Książę czekał. Akolitki umocowały łańcuchy, po czym się oddaliły. W komnacie zapadła cisza.

Wyrocznia otworzyła oczy. Pokrywała je mleczna warstewka, tłumiąc brąz tęczy i przydając białkom opalizujący odcień.

– Galloran – powiedziała wyrocznia.

– Słucham – odpowiedział, chociaż nie wiedział, czy powinien się odezwać i czy mogła go słyszeć; uszy miała ukryte w bloku.

– Jesteś ostatnią nadzieją Lyrianu – oznajmiła.

Już wcześniej to podejrzewał. Dlatego właśnie się zjawił – żeby powiedziano mu to jasno i wyraźnie. Wraz ze słowami wyroczni jego przypuszczenie skryształizowało się w pewność. Na barki spadł mu miazdzący ciężar obowiązku.

– Co muszę zrobić? – zapytał.

– Bez ciebie Maldor zatriumfuje. Jego rządy będą straszliwe. Królestwo nigdy nie wydobrzeje. Musisz interweniować.

– Ja sam?

– Pojawią się inni, żeby służyć pomocą. Droga będzie mozolna. Wielu zginie. Sukces jest mało prawdopodobny. Jednakże dopóki ty pozostaniesz, nadzieja nie zginie.

– Gdzie mam zacząć? Czy Słowo jest kluczem?

– Poszukiwanie Słowa będzie niezbędną częścią twojej podróży. Ja strzegę jednej sylaby. Droga jest dłuższa, niż myślisz.

Książę skinął głową.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć?

– Nic nie jest pewne. Wiele dróg prowadzi do zniszczenia. Zostaniesz poddany próbom przekraczającym twoją wytrzymałość. Jeżeli przetrwasz próby, które cię czekają, zostaniesz mężem bez

żony, ojcem bez syna, bohaterem bez misji, królem bez ziemi. Mimo to, nie trać ducha. Trzeba zgubić drogę, by ją odnaleźć. Trzeba stać się pustym, by móc się napełnić, słabym, by stać się silnym, ślepym, by przejrzeć na oczy.

Rozdział 1

Powrót

W ciepły sierpniowy poranek Jason Walker przykucnął za młodym pałkarzem i małym łapaczem. Nie odrywał oczu od niewidzialnego prostokąta strefy strajków, chociaż maska ograniczała mu pole widzenia. Niektórzy sędziowie w tej lidze odważali się stawiać na bazie domowej bez maski, ale rodzice Jasona upierali się, żeby ją zakładał. Na podstawie objawów, jakie opisał w czerwcu, lekarze orzekli, że to właśnie wstrząśnienie mózgu musiało doprowadzić do jego tajemniczego zniknięcia, które zakończyło się tym, że Jason pojawił się na farmie w Iowa, twierdząc, że nie pamięta nic z tego, co wydarzyło się w czasie minionych czterech miesięcy.

Mały pałkarz wziął zamach. Zerknął na biegacza przy trzeciej bazie, a potem na biegacza przy pierwszej. Znalazł się w trudnej sytuacji. To była trzecia runda letnich playoffów. Jego drużyna prowadziła jednym punktem, a to była ostatnia zmiana w ataku i padły już dwa auty; aktualny stan wynosił trzy bole (błędy miotacza) i dwa strajki (błędy pałkarza). Pulchny dzieciak na bazie domowej był drugim pod względem wyników pałkarzem w przeciwnej drużynie.

Biegacz przy pierwszej bazie zyskiwał sporą przewagę. Miotacz zszedł ze stanowiska i cisnął piłkę do pierwszobazowego. Biegacz rzucił się z powrotem do swojej bazy, a potem poprosił o czas, żeby spokojnie stanąć.

Miotacz odzyskał piłkę. Biegacz na pierwszej znowu rzucił się chciwie, by ukraść bazę. Miotacz ponownie rzucił do pierwszobazowego, ale ten upuścił piłkę. Chociaż nie odtoczyła się daleko, biegacz z trzeciej śmignął do bazy domowej. Pałkarz się wycofał.

– Rzucaj na domową! – wrzasnął miotacz, kiedy pierwszobazowy złapał wreszcie piłkę.

Piłka śmignęła do łapacza, który prawie uprzedził biegacza, ale ten wjechał w niego barkiem i wszedł na bazę domową. Mały łapacz poleciał do tyłu na ziemię, piłka wypadła mu z rękawicy.

– Wypadasz! – zawołał Jason, wymachując pięścią.

Graczom na boisku wyrwał się radosny okrzyk. Trener przeciwnej drużyny, chudy mężczyzna o ciemnej opaleniznie i jeszcze ciemniejszych wąsach, popędził do Jasona. Zaczął wrzeszczeć, nim dotarł do bazy domowej. Oczy wychodziły mu z orbit, ślina pryskała ze spierzchniętych ust.

– Co z tobą, sędzio?! Co to za decyzja?! To nasz sezon! Ślepy jesteś? Upuścił piłkę!

Jason zdjął maskę i spojrzał na wściekłego trenera. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy stawiał czoło ogromnemu, żądnemu krwi krabowi, przechytrzył błyskotliwego kanclerza, pojedykował się z mściwym diukiem i przeciwstawił się złemu cesarzowi. Trener Leo nie robił na nim wrażenia. Mężczyzna kopał w ziemię, obrzucając go kurzem i wymachiwał nerwowo rękami. Żyły nabrzmiały mu na szyi.

Najwidoczniej naśladował widziany w telewizji napad złości jakiegoś menadżera z pierwszej ligi.

Podbiegł do nich Matt, sędzia z pierwszej bazy. Stał między Jasonem i wściekłym trenerem.

– Ej, spokojnie! – rzucił stanowczo.

– Dam sobie radę – powiedział Jason, wychodząc zza przyjaciela. – No dobra, zechce mnie pan posłuchać czy mam pana zawiesić?

Trener zamknął usta, oparł ręce na biodrach i spojrzał płonącymi oczami. Wyraz jego twarzy ostrzegał, że nic, co Jason powie, nie zdoła go ugłaskać.

– Zasady w tej lidze wymagają, żeby w takich sytuacjach biegacz wchodził wślizgiem na bazę domową.

– A co to znowu za zasada? – Trener nadal się wściekał, ale stracił część pewności siebie.

– Zasada, dzięki której dziewięcioletni łapacze nie lądują w szpitalu. Gdyby biegacz wyprzedził piłkę, zrobiłbym wyjątek, ale został dotknięty piłką i wyautowany, i zdobył bazę tylko dzięki temu, że nie zrobił wślizgu. Przed następnym sezonem proszę poznać zasady, a potem nauczyć ich swoich graczy.

– Sędzia ma rację, Leo – rzucił przeciągle zza siatki ochronnej sędzia prowadzący punktację.

Trener skrzywił się szyderczo, ale nie odpowiedział. Rozejrzał się po rodzicach, gapiących się na niego z aluminiowych trybun, a potem odwrócił się, by spiorunować Jasona wzrokiem, jakby to jego winił za swój żenujący popis.

Jason uniósł brwi.

Trener wrócił na ławkę rezerwowych.

– Dobra robota – powiedział Matt, klepiąc Jasona w plecy. – To się nazywa zachować zimną krew.

– Muszę sobie przypominać, że ci goście to po prostu ojcowie, którzy desperacko chcą, żeby to ich dzieciak wygrał. Na swój sposób to miłe, że tak się przejmują.

– Przez sport wielu ludzi zaczyna świrować.

Jason odetchnął głęboko, próbując zapomnieć o całym incydencie.

– Wynosimy się stąd?

– Jasne.

Ruszyli w stronę rowerów. Drużyny zbiły się w grupki, żeby wznieść okrzyki.

– Wpadniesz dziś wieczorem na imprezę u Tima?

– Nad basenem? Nie wiem. Może.

– Daj spokój – nalegał Matt. – Będzie ubaw. Lato kiedyś się skończy.

– Zobaczymy.

– Czyli nic z tego. – Matt westchnął. – Kiedyś w końcu będziesz musiał rozważyć powrót między żywych.

Jason nie bardzo wiedział, jak na to zareagować. Jak miał wyjaśnić, co go naprawdę trapi? Przyjaciele zakładali, że jego skłonność do samotnictwa wynika z niesławy, która spadła na niego po tym, jak na cztery miesiące zniknął z horyzontu. O jego zaginięciu mówiono w ogólnokrajowych

wiadomościach, podobnie jak o jego nagłym pojawieniu się, kiedy większość już myślała, że Jason nie żyje. Rzeczywiście, jego nieobecność ściągnęła liczne kłopoty. Pojawiły się dziesiątki próśb o wywiady. Co prawda, niektórzy dziennikarze mu sprzyjali, ale inni oskarżali Jasona o to, że zmyślił wypadek i celowo się ukrywał. Poza tym, stracony czas skomplikował mu życie w szkole. Po naradzie z rodzicami i nauczycielami, Jason spędził większość lata, przygotowując stosy prac, dzięki czemu od jesieni zacznie następną klasę, zamiast powtarzać rok.

Jego prawdziwy kłopot polegał na tym, że nie mógł nikomu powiedzieć prawdy. Trafił do innego świata. Znalazł tam przyjaciół i wrogów. Ryzykował życie i dokonał wielkich czynów. Wrócił do domu wbrew swojej woli, zostawiając mnóstwo niedokończonych spraw. Zostawił tam samą dziewczynę ze stanu Washington. Poznał kluczową tajemnicę, która może zmienić sposób, w jaki bohaterowie z tamtego świata próbują stawić opór cesarzowi Maldorowi.

Jak mógł to wyjaśnić Mattowi? Albo rodzicom? Niezależnie od tego, jakie dowody by przedstawił ani jakie szczegóły opisał, nikt by mu nie uwierzył. To brzemię należało tylko do niego. Chociaż doświadczenia z Lyrianu całkowicie zaprzętały jego myśli, gdyby spróbował powiedzieć komuś prawdę, wyładowałby w szpitalu psychiatrycznym!

Ze wszystkich przyjaciół to Matt najbardziej starał się być dla niego oparciem. Po powrocie z Lyrianu Jason rzucił baseball. Jego główne cele jako miotacza wydawały się nic nieznaczące w porównaniu z nowymi zmartwieniami. Jednakże nadal kochał ten sport, więc zgłosił się na ochotnika do sędziowania latem w dwóch ligach dziecięcych. Wolontariat wiązał się z niewielką presją i wymagał znacznie mniej czasu niż prawdziwa gra i trening. Matt też się zgłosił – tylko po to, żeby spędzać z Jasonem więcej czasu.

– Przepraszam – powiedział Jason. – Ostatnio tylko kwaszę zabawę. Ostrzegałem cię, że mam w głowie mętlik. Żałuję, że nie mogę tego wyjaśnić.

– Nie przejmuj się – odpowiedział Matt, łapiąc rower. – Kto by nie czuł się zmieniony po tym, co przeszedłeś? Nikt nie ma ci tego za złe. Nikt, kto by się liczył. Gdybyś tylko trochę wyluzował, zobaczyłbyś, że niewiele się zmieniło. Kogo to obchodzi, czy grasz czy nie? Wszyscy się stęsknili za twoim towarzystwem.

– Dzięki – odpowiedział Jason, upychając strój sędziowski do torby. – Spróbuję wpaść.

Przyjaciół przyjrzał mu się uważnie.

– Możemy pójść razem. Chcesz, żebym po ciebie wpadł?

– Lepiej nie.

Matt pokiwał głową.

– A co powiesz na lunch?

– Nie, dzięki. Może zobaczymy się wieczorem.

– Jak chcesz. – Matt wzruszył ramionami. – Pogadamy później.

Matt odjechał na rowerze. Jason wsiadł na swój i pojechał do domu. Jeśli nie będzie ostrożny,

wkrótce straci wszystkich przyjaciół. Czy celowo odpychał od siebie ludzi? To, że nie domknął swoich spraw w Lyrianie, nie gwarantowało, że znajdzie drogę powrotną. Czy mu się to podobało, czy nie, możliwe, że znowu będzie musiał zacząć prawdziwe życie w normalnym świecie. Ostatecznie, za niecały miesiąc zacznie się szkoła. Regularny plan zajęć bardzo utrudni mu pustelnicze życie.

Kiedy dojechał do domu, zostawił rower w garażu i wyrzwał na tyły w poszukiwaniu Cienia, swojego labradora. Niestety, nikogo nie było w domu. Rodzice przywiązali się do psa podczas nieobecności Jasona i pewnie zabrali go na spacer.

Jason wycofał się do swojego pokoju. Ostatnio spędzał tu mnóstwo czasu. Podszedł do szafy i zdjął pudełko od butów z górnej półki. Z szuflady wyjął notatnik i długopis. Zdjął dwie gumki z pudła, otworzył je i wyjął ludzką rękę. Odcięty nadgarstek ukazywał idealny przekrój przez kość, mięśnie, ścięgna, nerwy i naczynia krwionośne.

C–Z–E–Ś–Ć. Jason napisał palcem litery na wyjętej dłoni. Odłożył rękę i wziął długopis gotowy do transkrypcji.

Nie teraz – ręka odpowiedziała pośpiesznie w języku migowym.

Widocznie Ferrin znowu wpakował się w jakieś kłopoty. Jason skontaktował się z rozsadnikiem wkrótce po powrocie z Iowy. Nauczył Ferrina alfabetu w języku migowym, posługując się książką z biblioteki publicznej. Ta żmudna forma komunikacji była jego jedynym łącznikiem z Lyrianem. Jason skrupulatnie zapisywał wszystkie ich rozmowy.

Był wdzięczny za tę żywą rękę. Stanowiła jedyny namacalny dowód tego, co się wydarzyło. Zastanawiał się, czy bez niej nie uwierzyłby w końcu, że miesiące spędzone w równoległym wszechświecie były tylko rozbudowanym urojeniem.

W czerwcu, zaraz po otrzymaniu wiadomości od syna, rodzice przyjechali z Kolorado, żeby zabrać go z Iowy. Ojciec miał dobre ubezpieczenie, więc wkrótce po tym, jak Jason opowiedział historię o czteromiesięcznej amnezji, w czasie której jakimś cudem przewędrował setki mil, aż odzyskał pamięć odziany w brudne, domowej roboty ubrania pośrodku pola kukurydzy, został odesłany do neurologa. Jason zapewnił lekarkę, że niczego nie przypomina sobie po tym, jak zjawił się w pracy po uderzeniu w głowę piłką baseballową, opierając się pokusie zmyślenia przerażającej historii o porywaczach z kosmosu, wyjaławiających światłach i badaniach za pomocą sond. Kiedy go zapytano, jak dostał się do Iowy, Jason zaczął snuć teorie, że być może jest narkoleptykiem i lunatykiem zarazem.

Po badaniach rezonansem magnetycznym pani neurolog potwierdziła, że jeśli uderzenie wywołało wstrząśnienie mózgu, jak zakładała na podstawie opisanych przez Jasona objawów, to nie pozostawiło ono żadnych trwałych i widocznych zmian. U Jasona zdiagnozowano amnezję następczą, która – jak wyjaśniła neurolog – oznaczała niezdolność do zapamiętania zdarzeń następujących po urazie.

Jason miał przeczucie, że lekarka nie uwierzyła do końca w jego historię, ale nigdy nie zapędziła się tak daleko, by nazwać go kłamcą. Rodzice nie pojmowali, jak to możliwe, że przy całej uwadze poświęconej przez media zaginięciu Jasona nikt go nie zauważył, kiedy miesiącami błąkał się po kraju z

amnezją. Uparli się, żeby poszedł do terapeuty, który otwarcie próbował zbadać, czy Jason mówi prawdę na temat straconych miesięcy. Jason jednak zwierzył mu się tylko ze snu, który zawierał wiele szczegółów z Lyrianu. Ostatecznie przestano drażnić kwestię jego zniknięcia.

Jason zastanawiał się, czy nie zwierzyć się ze wszystkiego rodzicom i nie wykorzystać obciętej dłoni jako dowodu. Ostatecznie jednak uznał, że żywa ręka – chociaż stanowi niewytłumaczalne dziwactwo – nie jest jeszcze niezbitym dowodem, że odbył podróż do innego świata. Dłoń wywołałaby tylko kolejną, bardziej uporczywą serię pytań, na które nie miał odpowiedzi.

Odłożywszy rękę z powrotem do pudełka, Jason włączył komputer. Poza ręką miał jeszcze jeden dowód, że podróż do Lyrianu rzeczywiście się wydarzyła. Wszedł do katalogu ze zdjęciami i, klikając myszką, przebył labirynt katalogów, aż dotarł do tego, który nazywał się „Rachel”.

W nim znalazł zdjęcia Rachel Marii Woodruff, trzynastolatki z Olympii w stanie Washington, która zaginęła w Parku Narodowym Arches tego samego dnia, w którym zniknął Jason. Ściągnął te fotografie z najróżniejszych stron w całym Internecie.

Najwyraźniej pieniądze i znajomości miały znaczenie, bo rodzice Rachel zdołali zamienić jej zniknięcie w jedną z największych sensacji roku. Historia była o tyle zagadkowa, że rodzina przebywała sama z przewodnikiem w niezwykle odludnym miejscu. Rachel zniknęła błyskawicznie i po cichu. Ogromna ekipa pośpiesznie wezwanych ratowników nie znalazła ciała ani śladów przemocy. Idąc tropem Rachel, dotarto do naturalnego łuku skalnego, gdzie urywały się wszelkie ślady.

Jeśli idzie o zainteresowanie mediów, nie zaszkodził też fakt, że Rachel była fotogeniczna, a jej rodzina dysponowała dziesiątkami aktualnych fotografii, które mogła pokazać. Nie wspominając już o tym, że ojciec zaproponował milion dolarów nagrody – bez zbędnych pytań – każdemu, kto przedstawi informacje, które doprowadzą do odnalezienia Rachel.

Jason przyjrzał się kolorowej fotografii Rachel patrzącej znad płótna, które właśnie malowała. Na innym stała obok chudej blondynki, obie nosiły stroje lekkoatletyczne. Trzecie zdjęcie to był portret zrobiony w studio – sama twarz i ramiona. Rachel wyglądała jak ładna dziewczyna z sąsiedztwa, tyle że miała odrobinę więcej klasy, zarówno jeśli idzie o fryzurę, jak i stroje.

Jason zastanawiał się, czy nie zadzwonić anonimowo do jej rodziców i nie dać im znać, że ją widział i że nic jej nie jest. Jednakże z takim telefonem wiązało się sporo problemów. Po pierwsze, nie wiedział, czy Rachel nadal jest cała i zdrowa. Kiedy ostatni raz o niej słyszał, uciekała z Tarkiem ścigana przez cesarskich żołnierzy. Po drugie, rodzice Rachel mogliby jakoś namierzyć dzwoniącego, a on nie miał żadnego alibi. Zaginał w tym samym czasie, byłby więc bardzo interesującym podejrzanym, gdyby kiedykolwiek powiązano go ze sprawą. A po trzecie, nie miał pojęcia, czy Rachel kiedykolwiek wróci do domu, więc okrucieństwem byłoby budzić w jej rodzicach fałszywą nadzieję.

Wyłączył komputer, wstał i zaczął krążyć po pokoju. Nie cierpiał tego, że jako jedyny człowiek na świecie wiedział, gdzie zniknęła Rachel. Nie cierpiał tego, że jako jedyny człowiek na świecie mógł – być może – sprowadzić ją z powrotem. Nie cierpiał tego, że jako jedyny człowiek na świecie wiedział,

że sekretne słowo, które miało rzekomo zniszczyć czarnoksiężnika Maldora, było tak naprawdę wymyślną mistyfikacją, mającą na celu rozproszenie sił wrogów i ocenę ich możliwości.

Jason rozebrał się i wziął prysznic. Wytarłszy się i ubrawszy, spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Nie odzyskał wiele wagi od powrotu z Lyrianu. Chociaż wycofał się z baseballu, od powrotu do domu wytrwale ćwiczył. Trenował narzuty na podwórzu za domem. Biegał. Robił brzuszki, pompki i podciągał się na drążku. Kupił książkę o karate i ćwiczył w pokoju.

– Dobrze wiesz, dokąd idziesz – powiedział do swojego odbicia. – Zawsze tam idziesz, kiedy czujesz się tak jak teraz. Nie ma po co tego odwlekać.

Poszedł wyjąć rękę z pudełka po butach i wrzucił ją do plastikowej torby na zakupy, którą schował do czarnego plecaka z zapasami. Włożył szary T-shirt i zawiązał lekką kurtkę w pasie. Włożył nową parę solidnych butów, schował w zapinanej na suwak kieszeni kurtki wodoodporny aparat jednorazowy, zarzucił plecak i wsunął scyzoryk do kieszeni dżinsów, na wypadek gdyby dzisiejszy dzień miał się okazać tym dniem.

Przed ogrodem zoologicznym Vista Point Jason wyjął z portfela sezonową przepustkę i machnął nią przy wejściu. Ignorując tłumy, poszedł prosto do basenu hipopotama. Jak to robił przy ponad dwudziestu poprzednich okazjach, zajął swoją zwykłą pozycję przy barierce.

Za pierwszym razem, kiedy ponownie odwiedził zoo, zamierzał wskoczyć do basenu i dać się znowu połknąć hipopotamowi. Jednakże gdy tak stał i patrzył na ospałe zwierzę, ogarnęły go wątpliwości. A co jeśli hipopotam nie zechce go połknąć? Jeżeli tylko go pokiereszuje, a świadkowie potwierdzą, że Jason celowo wszedł do basenu? Skończyłby w zakładzie psychiatrycznym.

Jason westchnął. Za każdym razem gdy przychodził do zoo, wkładał solidne buty i zabierał rękę, plecak oraz scyzoryk. I za każdym razem tylko gapił się na hipopotama, aż w końcu wracał do domu.

Rozwagał pomysł odszukania kamiennego łuku, przez który Rachel dostała się do Lyrianu. Jedyne co wie z całą pewnością, to że łuk znajduje się gdzieś wśród pustkowi Utah. Z tego co opowiadała mu Rachel, wynikało, że przejście było otwarte tylko przez krótką chwilę. Poza tym martwił się, że gdyby zaczął szukać łuku, w końcu powiązano by go z jej zaginięciem.

W taki czy inny sposób musiał wrócić do Lyrianu. Jego przyjaciele musieli dowiedzieć się tego, co wiedział o Maldorze i jego fałszywym Słowie–Kluczu. Musiał pokazać Rachel, w jaki sposób może wrócić do domu. Jego obecne życie wydawało się nieznośnie przyziemne i nieznaczące, kiedy porównywał je z obowiązkami czekającymi na niego gdzie indziej.

W zeszłym roku Jason nie rozumiał, dlaczego starszy brat Matta, Michael chciał zaciągnąć się do wojska. Jason i Matt argumentowali, że to niepraktyczna i niebezpieczna decyzja dla chłopaka, który ma tyle innych możliwości, ale Mike się uparł. Miesiąc po ukończeniu szkoły zaciągnął się do piechoty morskiej. Mike po prostu chciał to zrobić niezależnie od potencjalnego niebezpieczeństwa i niedogodności. Teraz Jason odkrył coś, co budziło w nim podobne uczucia.

Być może mógłby nauczyć się ignorować doświadczenia z Lyrianu, udawać, że informacja, którą

zdobył, nie jest kluczowa dla losów niezliczonych ludzi, w tym tych, na których mu zależało. Nie chciał jednak zapomnieć tego, co się wydarzyło. Zaangażował się w walkę o wiele większą od niego samego, ludzie liczyli na niego, znalazł sprawę, za którą było warto walczyć, i kiedy właśnie zdobył informację kluczową dla tej sprawy, został zmuszony do powrotu do domu.

Hipopotam był jego największą nadzieją na powrót. Leżał nieruchomo na dnie basenu. Jason westchnął. To, że on potrzebował wrócić, nie znaczyło, że hipopotam podporządkuje się jego pragnieniom.

Mały rudzielec stanął na palcach obok Jasona.

– Mamo, zrób, żeby wypłynął – marudził.

– Hipopotam odpoczywa – wyjaśniła stojąca za dzieciakiem kobieta. – Może wstrzymać oddech na bardzo długo.

Jason złożył ręce. Powinien zaryzykować i po prostu zanurkować? Być może. Ale przynajmniej poczeka, aż nikt nie będzie patrzył. Chociaż w zoo był dzisiaj spory tłum, w końcu nadarzy się okazja.

W głębi ducha, chociaż nie chciał się do tego przyznać, wiedział, że nie skoczy. Przegapił już niezliczoną liczbę okazji. To rozwiązanie było po prostu zbyt niepewne.

– Mamo, a co to za muzyka?

Jason zerknął na dzieciaka i nadstawił ucha.

Usłyszał odległą basową melodię, jakby zagrana na tubie, ale o wiele bogatszą w brzmieniu. Zaciśnął dłonie na poręczy. Jak długo muzyka rozbrzmiewała, zanim ją zauważył? Dźwięczna melodia stawała się coraz głośniejsza. Spojrzał na stojącą obok kobietę.

– Słyszysz to pani?

Kobieta skinęła głową, marszcząc czoło.

– To dobiega z basenu? – spytała.

– Chyba tak.

Jason zagryzł usta. Mógłby rozwinąć myśl i wyjaśnić, że muzyka dobiega poprzez hipopotama z odrębnej rzeczywistości.

Serce biło mu jak młotem. Oto dowód. Brama była otwarta. Jeśli kiedykolwiek ma to zrobić, to właśnie nadszedł czas. Byłby głupi, gdyby spodziewał się bardziej oczywistej okazji. Jeszcze mocniej chwycił się barierki.

Czy naprawdę chciał tam iść? Co poczuje jego rodzina? Właściwie nie zbliżył się dużo bardziej do rodziców. Rzeczywiście, starali się od jego powrotu, chociaż ich uwaga sprawiała, że przede wszystkim czuł się jak pacjent zakładu psychiatrycznego, z którym wszyscy obchodzą się jak z jajkiem. Doceniał intencje i starał się to okazać, ale on i rodzice nigdy nie nadawali na tej samej fali. Kiedy radość z jego powrotu przygasła, rodzice powrócili do starych zwyczajów. Jednakże drugie zniknięcie będzie dla nich ciężkim ciosem. Biedny Matt przeżyje prawdziwy wstrząs.

Tyle że wyprawa do Lyrianu nie musi oznaczać odejścia na zawsze – Jason znał drogę powrotną.

Pewnie, że czekali na niego śmiertelnie niebezpieczni wrogowie. Pewnie, że istniało naprawdę realne ryzyko, że zostanie zabity albo nigdy nie wróci do domu. Jednakże to, czego musiał dokonać, było warte takiego ryzyka. Musiał dać znać Galloranowi, Tarkowi i pozostałym, że Słowo to oszustwo. I musiał uratować Rachel.

Zerknął na Pomnik Ludzkiej Głupoty – szklaną gablotę, w której umieszczono rzeczy wrzucone przez bezmyślnych ludzi do basenu hipopotama. Jeśli zwierzę okaleczy go zamiast połknąć i przerzucić do innego świata, to może powieszą w gablocie jego trupa.

A jeżeli uda mu się i zostanie połknięty na oczach tej kobiety i jej syna, to co pomyśli jego rodzina i przyjaciele? Założą, że nie żyje. Uznają pewnie, że cierpiał na depresję i postradał rozum. Jak ludzie wyjaśnią fakt, że hipopotam połknął go w całości? Chociaż zwierzę było duże, nie wyglądało na wystarczająco wielkie, by dokonać czegoś podobnego.

Z drugiej strony, jeśli uda mu się wrócić do Lyrianu, to co go obchodzi, co pomyślą inni? Ponowny powrót może okazać się trochę trudniejszy do wyjaśnienia, tym jednak będzie się martwił później.

Muzyka stawała się coraz głośniejsza, ale nadal rozbrzmiewały tylko niskie nuty pojedynczego instrumentu. Spokojny hipopotam nawet nie drgnął na dźwięk basenu. Jason zatarł ręce. Spojrzał na kobietę, która z uwagą pochylała się nad barierką.

Spojrzała mu w oczy i zapytała:

– Prawda, że to dziwne?

– Aha. Zamierzam to zbadać.

Wziął głęboki wdech, przeskoczył nad poręczą i wskoczył do wody. Popłynął w dół do hipopotama, który nadal leżał nieruchomo. Z wahaniem dotknął jego pyska, ale zwierzę nie zareagowało.

Jason wypłynął na powierzchnię. Kobieta krzyczała, a jej syn płakał. W odpowiedzi na zgiełk kilka osób pośpieszyło w ich kierunku. Ostatnim razem hipopotam połknął go sam z siebie. Jak można nakłonić hipopotama, żeby zrobił coś takiego?

Jason znowu zanurkował. Próbował spoliczkować zwierzę, ale pod wodą nie był w stanie uderzyć z odpowiednią siłą. Wbił palce głęboko w nozdrza hipopotama, szturchnął go w oczy. Wielki łeb szarpnął się nagle w bok, a Jason odruchowo się wzdrygnął. Głowa zakołysała się w tę i z powrotem, zanim znowu znieruchomiała.

Jason po raz ostatni szturchnął hipopotama w nozdrza, a potem wypłynął, żeby zaczerpnąć powietrza.

Zebrał się spory tłum. Kobieta nie przestawała wrzeszczeć.

– Wyłaż stamtąd! – krzyknął mężczyzna. – Co ci odbiło?

Pływając w miejscu, straszliwie zakłopotany Jason zdał sobie sprawę, jak szalone musiało się wydawać jego zachowanie przypadkowym świadkom. Miał przeczucie, że w przyszłości czeka go więcej wizyt u terapeuty. Niemrawy hipopotam najwyraźniej w ogóle nie był nim zainteresowany i nie dawał się sprowokować. Mimo to, Jason postanowił spróbować raz jeszcze.

Coś otarło się o jego nogę. Zerknął w dół. Hipopotam znajdował się dokładnie pod nim i podnosił się

gwałtownie z rozwartą paszczą. Kiedy zwierzę wynurzyło się z wody, Jason już prawie cały zniknął w gardzieli. Potężne szczęki zamknęły się pośród przerażonych krzyków, gwałtownie odcinając Jasonowi widok na gapiów.

Zjeżdżając nogami naprzód w śliskim, gumowym tunelu, Jason słyszał, że krzyki się oddalają, a basowa melodia przybiera na sile. Wszędzie panowała ciemność, dopóki nie zatrzymał się gwałtownie. Nogi wystawały mu z dziupli w martwym drzewie.

Leżał wewnątrz pustego pnia w przemoczonym ubraniu, gapiąc się w górę na gwiazdy. Niska, donośna muzyka nadal rozbrzmiewała.

Jason wybiegł przez dziuplę, chociaż plecak trochę mu to utrudniał, i rozpoznał otoczenie – wysokie drzewa, gęste zarośla, szeroką rzekę.

Wrócił do Lyrianu.

Pobiegł na brzeg rzeki. Noc była ciepła, więc nie martwił się zbyt mokrym ubraniem. Księżyc wisiał tu na czystym niebie, oświetlając rzekę. Mała tratwa dryfowała na ciemnych wodach. Samotna postać stała na skromnej platformie owinięta ogromnym rogiem.

– Tark?! – zawołał z niedowierzaniem Jason. – Tark!

Muzyka ucichła.

– Kto tam? – rozległ się chropawy głos.

– Jason.

Postać na tratwie się zatoczyła.

– Lord Caberton?

– Tak.

– Czy jesteś... jego cieniem? – Głos zdradzał trwogę i zdumienie.

– Nie, to naprawdę ja. Wróciłem. – Jason sam ledwie w to wierzył. – Podpłyn tu.

Niska, krzepka postać siłowała się chwilę, żeby wyplątać się z nieporęcznego instrumentu. Kiedy już uwolniła się od sousalaksu, przewiosłowała do brzegu, zerkając przed siebie podejrzliwie. Tratwa uderzyła o brzeg. Tark się zawahał.

– Wyjdź, żebym mógł cię lepiej zobaczyć.

Jason zdał sobie sprawę, że stoi w cieniu. Zrobił krok w bok i stanął w księżycowym świetle.

– Jak to możliwe? – wykrztusił Tark. – Zostałeś pojmany przez cesarza.

– Uciekłem do Poza. Teraz wróciłem.

Tark zeskoczył z tratwy i padł na kolana w błoto przed Jasonem, z rękami kurczowo przyciśniętymi do piersi, ze śladami łez błyszczącymi w księżycowym blasku na policzkach.

– Serce mi pęknie z radości – oświadczył. – W jaki sposób uciekłeś?

Jasona nieco zaskoczyło to wylewne powitanie, więc potrzebował chwili, zanim odpowiedział.

– Ktoś mi pomógł. Gdzie jest Rachel?

– Rozdzieliliśmy się – wyjaśnił Tark. – Posunięcie taktyczne, które zasugerował Drake.

– Drake? To było przed tym czy po tym, jak uwolnił mnie w drodze do Felrook?

– Pomógł nam przed tym i po tym. Nasi wrogowie wysłali czatownika, więc mogliśmy się im wymykać tylko pozostając w nieustannym ruchu.

– Czatownika?! – wykrzyknął Jason. – Ferrin powiedział mi, że czatownicy nie wróżą niczego dobrego.

– Czatownik znacznie pogorszył naszą sytuację. W końcu rozdzieliliśmy się, żeby zmylić i podzielić naszych prześladowców. Drake i Rachel pojechali konno w jedną stronę, ja odjechałem w inną, prowadząc drugiego wierzchowca, a na dobitkę puściliśmy luzem kilka innych koni.

– Co z Jasherem? – spytał Jason.

– Przekazałem amar jego ludziom przy jednej z bram do Siedmiu Dolin. Powinien zostać zasadzony wiele tygodni temu.

Jason spojrzał na Tarka.

– Dlaczego jesteś tu sam i grasz na swoim sousalaksie?

Tark odwrócił wzrok.

– To nie jest mój sousalaks. Mój przepadł dawno temu. Znalazłem ten podły substytut w lombardzie. Widzisz, kiedy już upewniłem się, że nasiennik jest bezpieczny, cały czas uciekałem i w końcu odnalazłem drogę do domu. Nie miałem pojęcia, jak dołączyć do Drake’a i Rachel. Mogłem mieć tylko nadzieję, że czatownik porzucił ich i ruszył za mną.

– Nazywa się ich także torivorami, zgadza się? Wiem na ich temat nie za wiele, tylko to, ile powiedział mi Ferrin.

Tark zadrżał.

– Powszechnie nazywa się ich czatownikami. Odkąd oddzieliłem się od pozostałych, dostrzegałem czasem w oddali mroczną obecność, ale nigdy nie przyjrzałem jej się porządnie.

– To znaczy, że czatownik śledził ciebie? – upewnił się Jason. – A Rachel i Drake mogli mu się wymknąć?

– Nie ma pewności – odpowiedział Tark. – Ponieważ nigdy nie spotkałem torivora, nie jestem pewien, co właściwie mnie śledziło. Modłę się, żeby się okazało, że odciągnąłem to co najgorsze od Rachel i Drake’a. Przez kilka pierwszych nocy w domu, kiedy już przestałem uciekać, spodziewałem się, że zostanę schwytany. Jednak nigdy żaden wróg nie przekroczył mojego progu. Zamiast tego zacząłem się zadręczać. Poczucie winy przeżarło mnie na wylot. Nigdy nie zostawiłbym cię, lordzie Jasonie, gdybyś nie powierzył mi amara. Walczyłbym u twego boku aż do śmierci.

Jason potrzebował chwili, żeby zrozumieć, że Tark naprawdę fatalnie się czuł, ponieważ zostawił go pod Harthenham.

– Zrobiłeś, co należało, Tark. Musieliśmy dać Jasherowi szansę przeżycia. I trzeba było pomóc Rachel. Zrobiłeś to, czego chciałem.

Tark nadal stał ze spuszczonym wzrokiem.

– Nie mogłem pozbyć się przeświadczenia, że porzucając cię i pozwalając, żeby cię schwytano, dokonałem ostatecznej zdrady. Nie dość, że pozwoliłem, by Zawrotna Dziewiątka poświęciła się beze mnie, to jeszcze opuściłem osobę, która pomogła mi odzyskać godność i ofiarowała mi nowy cel w życiu. Jakaś część mnie chciała w pojedynkę zaatakować Felrook, ale to przedsięwzięcie wydawało się zbyt beznadziejne i zbyt wielkie. Kupiłem więc drugi sousalaks, zbudowałem małą tratwę i zamierzałem dziś dokończyć to, co zacząłem miesiące temu z towarzyszami.

– Zmierzałeś ku wodospadowi? Tark, musisz przewyciężyć...

Tark uniósł rękę, żeby mu przerwać.

– Nie marnuj słów. Nawet ja potrafię odczytać równie oczywiste znaki. Jesteś zjawą, która stąpiła z eterycznych królestw i z jakichś niepojętych powodów raczyłeś poświęcić czas, żeby znowu uratować mnie przed użalaniem się nad sobą.

– Jestem tylko zwykłym człowiekiem.

Tark prychnął śmiechem.

– Czymkolwiek jesteś, nie jesteś zwykłym człowiekiem. Nie zaprzeczaj. Z wdzięczności oficjalnie przysięgam służyć ci aż do ostatniej kropli krwi. – Padł na błotnisty brzeg, pochylając nisko głowę. – Ślubuję ci wierność. Wszystko co mam, należy do ciebie.

Jason był poruszony zachowaniem Tarka. A także zażenowany.

– Wstań, Tark.

Muzyk się podniósł.

Nieco zakłopotany Jason skrzyżował ręce na piersi.

– Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć.

– Co?

Jason odchrząknął.

– To może wpłynąć na to, co do mnie czujesz.

– Nie wyobrażam sobie, żebym mógł jeszcze bardziej cię poważać.

– Nie tym się martwię.

Tark parsknął śmiechem.

– Nic nie może sprawić, żebym stracił dobre zdanie na twój temat.

Jason wzruszył lekko ramionami.

– Pamiętasz ten wieczór, kiedy ośmioro z Zawrotnej Dziewiątki rzuciło się z wodospadu?

Tark się naburmuszył.

– Jak mógłbym zapomnieć?

– Wasza muzyka wezwała mnie ze świata Poza. Kiedy zjawiłem się tutaj, próbowałem zapobiec waszemu upadkowi z wodospadu!

Tark złapał się za głowę.

– Czekał, chwileczkę – wydukał – to ty jesteś tym przeklętym intruzem, który próbował nas uratować?

– Tak.

Jason wiedział, że Tark obwiniął niedoszęłego ratownika za zniszczenie tego, co miało być wzniosłą ofiarą Zawrotnej Dziewiątki.

W świetle księżyca surowa twarz muzyka powoli rozświeciła się zrozumieniem. Przemówił jak człowiek, któremu została zesłana wizja.

– A zatem udało się nam. – Dźgnął Jasona palcem. – Ty byłeś bohaterem, którego sprowadzenie przepowiedziała Simeonowi wyrocznia. I nasza śmierć nie była konieczna dla powodzenia naszego przedsięwzięcia. Wręcz przeciwnie... Zjawileś się, zanim ktokolwiek z nas zginął i próbowałeś uratować nas przed własnym szaleństwem.

– Nie jestem pewien, czy jestem bohaterem.

Tark zbył to machnięciem ręki.

– Nie czas na fałszywą skromność. Wierzyłem, że ponieważ zostałem uratowany, przeszkodziłem w sprowadzeniu bohatera i proroctwo się nie spełniło. Jednak się myliłem. A oni nie musieli umierać. – Zadrzała mu szczeka, ale zaraz zacisnął zęby. Otarł oczy przedramieniem.

Jason dla pocieszenia położył rękę na mocnym ramieniu muzyka.

– Czekaj! – szepnął zaniepokojony Tark, uderzając się w czoło. – Ale ze mnie błazen! Szybko, na tratwę.

– Dlaczego...

– Szybko, lordzie Jasonie. – Syknął Tark. – Wyjaśnię na wodzie.

Jason wszedł na małą platformę, czując, jak kołysze się niepokojąco pod jego ciężarem. Tark odepchnął ją od brzegu, brnąc z chlupotem przez wodę, zanim sam na nią wskoczył w spodniach przemoczonych po uda.

– Co...

– Nie pokazuj się – ostrzegł Jasona niskim, nagłym głosem Tark.

Jason przykucnął za sousalaksem. Muzyk powiosłował dalej od brzegu, rozglądając się i mrużąc oczy w mroku nocy.

– Nie mogę mieć pewności, że pozbyłem się stwora, który mnie śledził.

– Czatownika? – szepnął Jason, a noc nagle wydała mu się chłodniejsza.

Tark zerknął na niego.

– Nie chcemy ryzykować. To mroczne, szczone stworzenie. Ostatnim razem widziałem je wczoraj wieczorem. Gdyby chodziło mu o mnie, to miał mnóstwo okazji, żeby mnie dopaść. A może ten demon miał nadzieję, że doprowadzę go gdzieś... albo do kogoś. Do ciebie, jak podejrzewam, skoro uciekłeś.

– Co właściwie wiesz na temat czatowników?

Tark zadrzał. Kiedy znowu się odezwał, jego szept był ledwie słyszalny.

– To nikczemne stworzenia. Niezgodne z naturą. Nikt tak naprawdę nie wie o nich za dużo. Drake radził nam o nich nie rozmawiać.

– Jeśli to możliwe, że jakiś mnie ściga, muszę coś wiedzieć.

– Sam nie jestem pewien. Ludzie mówią, że gdyby śmierć przyjęła namacalny kształt, byłaby torivorem. Cokolwiek mnie śledziło, wyglądało jak żywy cień, więcej nie potrafię powiedzieć.

Jason zmarszczył brwi.

– Co powinniśmy zrobić?

– Musimy się rozdzielić. Nie możesz pozwolić sobie na to, żeby mieć czatownika na karku. Trudno się ich pozbyć. Uwierz mi, próbowałem. Drake też próbował, a ten nasiennik zapomniał więcej tropicielskich sztuczek, niż ja kiedykolwiek się nauczę. Przy odrobinie szczęścia demon mógł się nie zorientować, że mi towarzyszysz. Waham się, ale chyba wysadzę cię na drugim brzegu.

– Dlaczego się wahasz?

Tark ściągnął brwi.

– Nikt nie wchodzi do lasu na północ od rzeki. Mówi się, że mieszkają tam olbrzymy i że niewielu z tych, którzy tam weszli, wraca.

– Dlaczego więc chcesz mnie tam wysadzić?

– To ostatnie miejsce, do którego spodziewają się, że pójdziesz. I ostatnie, w którym będą cię śledzić. Pomijając cień, czymkolwiek jest, zauważyłem, że ostatnimi czasy żołnierze poświęcają mi niezwykle dużo uwagi. Całkiem możliwe, że właśnie mnie tropią. Powinienem być bardziej uważać. Niespecjalnie się tym przejmowałem, bo myślałem, że idę na własną śmierć.

Minęli środek szerokiej rzeki. Jason przyjrzał się zbliżającemu się brzegowi, porośniętemu drzewami i paprociami.

– A co z olbrzymami?

– Dwa razy zapuściłem się w te lasy. Niezbyt daleko, zaznaczam, ale Simeon, nasz dawny przywódca, był ciekawskim człowiekiem. Uwielbiał wyprawy odkrywcze! Tak czy owak wybraliśmy się tam przy dwóch różnych okazjach na większą część dnia i nie zobaczyliśmy żadnego olbrzyma ani nawet ich śladów. Krążą historie o osadach w pobliżu lasu, na które napadano, ale odkąd je opuszczono, opowieści wygasły. Możliwe, że olbrzymy się przeniosły. Możliwe, że nigdy ich tu nie było.

Zbliżali się do brzegu. Jason zacisnął pięści. Jak to możliwe, że już wpakował się w takie kłopoty, niecałe pięć minut po powrocie do Lyrianu? Z drugiej strony czego właściwie się spodziewał? Zważywszy na całe potencjalne niebezpieczeństwo, miał szczęście, że tak szybko znalazł przyjaciela, nawet jeśli teraz musieli się rozstać. Jason miał ważną wiadomość do przekazania Galloranowi, a Tark mógł pomóc w jej dostarczeniu.

– Jeśli taki jest nasz plan – szepnął Jason – to muszę cię o coś poprosić.

– Wał śmiało.

– Wiesz, gdzie znaleźć Ślepego Króla?

– Pewnie. W Fortaim. W tym samym miejscu co zawsze.

– Musisz mu coś powiedzieć. Sekret jest tak niebezpieczny, że pewnie nie powinienem się nim

dzielić, ale to niezwykle ważna sprawa.

– Nie obawiaj się. Jestem twoim człowiekiem.

– Powtórz to tylko Ślepemu Królowi. Niech sam zdecyduje, kto jeszcze powinien wiedzieć. Powiedz mu, że lord Jason zdobył całe Słowo–Klucz. Posłużyłem się nim przy Maldorze. Słowo to mistyfikacja, pomyślana jako akt dywersji. Powiedz mu też, że uciekłem z Felrook.

– Stałeś przed Maldorem? – Głos Tarka napełnił się ponurym zdumieniem. – I posłużyłeś się Słowem?

– Tak. Słowo zawiodło. Miało odwrócić naszą uwagę, rozproszyć wysiłki. Zapamiętasz tę wiadomość?

– Oczywiście. Musimy też ostrzec Rachel. Powtórzyłem jej sylabę, którą mi powierzyłeś. Zna całe Słowo.

– Właśnie. Musimy ją znaleźć. Miejmy nadzieję, że Ślepy Król nam pomoże.

– Nie masz nic przeciwko, że zapytam, dlaczego Ślepy Król? Pewnie, że daje dobre rady, ale czego tak naprawdę się po nim spodziewasz?

– Może on ci powie. To nie moja rzecz.

Tark popukał się w bok nosa.

– Rozumiem, że jest kimś więcej, niż wydaje się z pozoru. Nie obawiaj się, niezależnie od tego, kto mnie ściga, znajdę sposób, by dostarczyć twoją wiadomość.

Tratwa uderzyła o brzeg. Jason i Tark zeskoczyli i przykucnęli w krzakach nad rzeką. Jason przyjrzał się posępnemu lasowi.

– To dokąd mam pójść?

Tark potarł brodę. Po zmianie wyrazu twarzy Jason odgadł, że muzyk wpadł na pomysł.

– Wyślę cię do Arama. Kieruj się na północny wschód. Trzymaj się tego kierunku, dopóki nie dotrzesz do wybrzeża na północnym krańcu półwyspu. Wiesz, jak kształtują się ziemie na północ stąd?

– Nie. Wiem tyle tylko, że znajdujemy się na półwyspie.

– Idź wzdłuż wybrzeża na wschód, w stronę lądu, aż dotrzesz do pierwszego dużego miasta. To będzie Ithilum. Na południowo–zachodnim krańcu miasta, zaraz przy nabrzeżu, znajdziesz Portową Tawernę. Aram pracuje tam wieczorami.

– Kim jest Aram?

Tark zarechotał.

– Wielki gość, najtwardszy osiłek jakiego spotkałem. Kiedyś często pracował jako najemnik. Teraz pilnuje porządku w Tawernie. Nasz zespół regularnie tam grywał. Staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Jest mi winny przysługę. Powiedz mu, że przysłał cię Tark. Jeśli ktoś może zapewnić ci bezpieczeństwo, to właśnie on.

– W porządku.

Tark zaczął grzebać w kieszeniach. Wyjął dwie sakiewki.

– W tej jest trochę pieniędzy – powiedział, potrząsaj lekko jednym mieszkiem. Potem otworzył drugą sakiewkę. – A w tej są pamiątki z Harthenham.

Jason zerknął do środka. Była pełna klejnotów.

– Mimo mojej rekomendacji Aram może nie chcieć ci pomóc. Chociaż nadal jest silny jak dąb i nie jest starszy ode mnie, uważa, że przeszedł na emeryturę. Jednak każdy człowiek ma swoją cenę.

– Czyli mam mu zaoferować klejnoty?

– Nie wszystkie. Kilka powinno wystarczyć z nawiązką. Schowaj je. Obnoszenie się z takim bogactwem może być śmiertelnie niebezpieczne, zwłaszcza w takim mieście jak Ithilum.

– Co powinienem zrobić po zatrudnieniu Arama?

Tark podrapał się w policzek.

– Niech cię odprowadzi do wsi Potsug. Znajduje się nad rzeką Telkron. Mają tam dwa promy. Kiedy dostarczę twoją wiadomość, dołączę tam do ciebie albo wyślę kogoś na spotkanie z tobą. Będę trzymał się z dala tylko, jeśli nadal będą mnie śledzili wrogowie. Stajenny Gurig jest godny zaufania. Wspomnij mu o mnie, a potem czekaj na pomoc w jego domu.

Jason powtórzył imiona i instrukcje.

– Zgadza się. – Muzyk westchnął ciężko. – Ogromnie się cieszę, widząc cię, lordzie Jasonie. Nie ociągaj się w lesie. Teraz muszę odpłynąć. Szczęśliwej drogi.

– Pozwól, że cię odepchnę.

Tark wszedł na tratwę, a Jason odepchnął go od brzegu. Muzyk znowu założył sousalaks na ramiona i zaczął grać, jednocześnie zręcznie manewrując długim wiosłem. Jason rozejrzał się po brzegu, szukając żywych cieni albo ukrytych żołnierzy. Wokół panował bezruch. Po raz ostatni zerknął na Tarka, a potem odczołgał się od rzeki w mrok między drzewami.

Rozdział 2

Olbrzymy

W miarę jak Jason oddalał się od rzeki, wysokie liściaste drzewa odcinały coraz więcej mlecznego księżycowego blasku. W półmroku brnął przez ciemne zarośla o kędzierzawym listowiu, zmieniając kierunek, kiedy czasem natykał się na cierniste jeżyny albo splątany gąszcz. Im bardziej zagłębiał się w roślinność, tym gęstsze stawało się poszycie lasu. Co rusz dawał się otoczyć kolczastym barykadom.

Zatrzymywał się kilka razy, przykucając za krzakiem albo drzewem, nasłuchując i rozglądając się za wrogami. Niezależnie od tego, jak długo czekał ani jak bardzo nadstawiał ucha, nie wykrył żadnego śladu pościgu. Nie usłyszał też przed sobą dudniących kroków olbrzymów.

Powąchał drobne dzwonkowate kwiaty zwieszające się ze smukłej łodygi. Znał ten zapach. Wrócił do Lyrianu, kucał w ciemności, listowie przesłaniało mu księżyc. Mimo niebezpieczeństwa – a może właśnie dzięki niemu – czuł się naturalnie. Wiedział, że da sobie radę. Póki będzie pamiętał o ostrzeżeniach, jakich udzielił mu Ferrin i Jasher, bardzo trudno będzie go znaleźć – samotnego wędrowca w lesie.

Przez pewien czas powoli wspinał się na przełaj, na oślep oddalając od rzeki, aż natknął się na ścieżkę. Próbował skorzystać z księżycy, żeby określić swoje położenie. W miarę jak głodniał, przystawał kilka razy, żeby wyjąć z plecaka mieszankę studencką.

Wkrótce po świcie, mając wewnętrzną stronę ud poobcieraną od mokrych dżinsów, dotarł na polanę, gdzie ścieżka zniknęła w wysokiej trawie. Obchodząc łąkę obrzeżem, Jason przeskoczył wąski strumień i przepłoszył rysia. Zwinny dziki kot syknął i zjeżył sierść, zadrżały mu uszy z pędzelkami. Zaskoczony Jason aż się wzdrygnął. Przykucnął i sięgnął po kamień, ale zwierzę czmychnęło, trzymając się blisko ziemi, i zniknęło w zaroślach.

Niedaleko od miejsca spotkania z rysiem Jason znalazł mizerną ścieżynkę biegnącą na północny wschód. Przykłęknął za ciernistym krzewem na samym skraju łąki i ponownie spojrzał na polanę. Czekał cierpliwie i zobaczył, jak ryś chyłkiem oddala się między drzewa, ale poza tym nie dostrzegł niczego niezwykłego. Może rzeczywiście udało mu się oddalić od rzeki nie będąc zauważonym.

Jason pogrzebał w plecaku w poszukiwaniu batonika proteinowego, który potem zjadł, idąc. Słońce przesunęło się w stronę zenitu, kiedy Jason wędrował ledwie widoczną ścieżką. Mimo wyczerpania nie chciał się zatrzymywać przynajmniej do zmierzchu. Miał nadzieję zostawić za sobą las i zagrożenie ze strony olbrzymów tak szybko, jak to możliwe.

Jakiś czas potem, kiedy słońce zaczęło się obniżać, Jason dostrzegł drzewo bąbelkowca, stojące niedaleko od ścieżki. Czując się jak weteran przygód, wspiął się po wąskim pniu i zerwał trzy owoce. Usiadł w pobliżu ścieżki ze skrzyżowanymi nogami, ciesząc się z odpoczynku i gorzkawego soku

przezroczystych owoców. Smak, otaczające drzewa, samotność – to wszystko było znajome i pomogło mu poczuć, że naprawdę wrócił do Lyrianu.

Kiedy tak siedział, wyjął z plecaka rękę nadal owiniętą w plastikowy worek. To Ferrin nauczył go rozpoznawać bąbelkowce. Czy rozsadnik mógł podejrzewać, że Jason wrócił do Lyrianu? Czy był w stanie jakoś wyczuć, że jego dłoń znajduje się bliżej? Czy to byłoby nierozsądne ze strony Jasona, gdyby spróbował teraz skontaktować się z Ferrinem? Rozsadnik twierdził, że obecnie ucieka przed Maldorem, co mogło oznaczać, że znaleźli się po tej samej stronie.

Gdy Jason po raz pierwszy skontaktował się z Ferrinem, który już błyskawicznie opanował alfabet języka migowego, rozsadnik udzielał jedynie zwięzłych i mglistych odpowiedzi. Potem pewnego dnia Ferrin powiedział, że jego udział w ucieczce Jasona z Felrook został odkryty i od tej pory jego wiadomości stały się bardziej szczegółowe. Mimo wszystko, z powodu wcześniejszych zdrad Jason nie był pewien, czy wierzyć w te informacje.

Podobno po tym, jak Jason opuścił Lyrian, Ferrin udał się jako tajny agent do obozu więziennego, żeby odkryć, w jaki sposób więźniowie zabijają strażników nie zostawiając żadnych dowodów. Według słów Ferrina, zanim zdążył wypełnić zadanie, zjawił się szkarłatny jeździec z wieścią, że jest wzywany z powrotem do Felrook.

Ferrin udawał, że z radością spełni rozkaz, ale nocą wymknął się po cichu z obozu, uciekł na pustkowiu na zachód i w końcu dotarł do miasta portowego Weych. Potwierdził później, że zgodnie z tym, co podejrzewał, Maldor odkrył jego związek z ucieczką Jasona. Od tamtej pory się ukrywał.

W czasie wszystkich ich rozmów Jason nigdy nie krył się z pragnieniem powrotu do Lyrianu, a Ferrin obiecywał, że mu pomoże, jeśli Jasonowi kiedykolwiek uda się wrócić. Jednakże Jason poważnie obawiał się obdarzyć Ferrina zaufaniem. Wszystko, co rozsadnik mówił, mogło zostać specjalnie tak sfabrykowane, żeby zdobyć jego zaufanie. W tej chwili zaufanie Ferrinowi byłoby nieodpowiedzialne.

Pokrzepiony przekąską upchnął plastikowy worek z ręką do plecaka i potruchtał przed siebie ścieżką. Oceniał, że w domu jest teraz środek nocy. Do tej pory lato upływało mu leniwie, często się wysypiał, więc nie spodziewał się, żeby zarwanie jednej nocy przysporzyło mu większych trudności. Poza tym, póki słońce nie zachodziło, miał wrażenie, że jest wcześnie.

Po pewnym czasie zwolnił do tempa spacerowego. Dzień był zbyt gorący. Mimo wilgoci w powietrzu, dżinsy już prawie mu wyschły.

Wąziutka ścieżka, którą szedł, skręciła na zachód, a potem na południowy zachód. Jason nadal jej się trzymał, mając nadzieję, że w końcu skręci z powrotem na północ. Roślinność rosła tu wyjątkowo gęsta i ciernista.

Już szykował się, żeby zawrócić, kiedy ścieżka przecięła szerszy szlak, który biegł prosto na północ. Ruszył północną dróżką, zaskoczony tym, że jest taka szeroka, chociaż otacza ją dzicz. Zauważył kilka miejsc, gdzie listowie robiło wrażenie pobieżnie wyciętego, żeby nie zarastało ścieżki.

Jason przystanął przy jednym szczególnie pokaleczonym krzewie. Kto się zajmował tą dróżką? Widać

było, że ktoś świadomie o nią zadbał i zrobił to względnie niedawno. Możliwe, że to olbrzymy? A może jakiś pracowity pustelnik?

Jason uważnie przyjrzał się otoczeniu. Jeśli zejdzie ze ścieżki, to przy takiej gęstości poszycia będzie posuwał się w wyjątkowo frustrującym, ślimaczym tempie. Przyglądając się szlakowi, nie dostrzegł wielkich odcisków stóp, za to zauważył trop dzikiego zwierzęcia, być może sarny. Postanowił ruszyć pośpiesznie ścieżką, ale zachować ostrożność. Jeśli usłyszy cokolwiek podejrzanego, to zawsze będzie mógł uskoczyć w zarośla.

Dotąd, niepokojące dźwięki okazywały się fałszywym alarmem, więc Jason przeżył szok, kiedy ścieżka zakręciła za wysokim krzewem, a on stanął twarzą w twarz z wysokim na dwanaście stóp olbrzymem, ściskającym nabijaną kolcami maczugę.

Ogromny mężczyzna stał na skraju ścieżki z twarzą wykrzywioną w groźnym grymasie. Jason zamarł, całkowicie zaskoczony, ale zaraz ochłonął. Olbrzym okazał się zgrubnie wyciosanym posągim.

Kiedy Jason zaczął się uspokajać, rozległ się przenikliwy głos:

– Mów, w jakim celu się zjawiłeś!

Rozkaz padł z miejsca gdzieś przed Jasonem, ale chłopak nie widział mówiącego.

– Trzymaj ręce na widoku. Natychmiast wyjaw swój cel!

Jason wyciągnął przed siebie puste ręce. Nadal nie potrafił dostrzec mówiącego. Wydawało mu się, że głos dobiega z wznoszącego się nad nim posągu.

– Tylko przechodziłem przez ten las w drodze na wybrzeże.

– Odłóż całą broń.

– Nie mam broni. – Jason wyciągnął ręce i powoli się obrócił.

Mały człowieczek wynurzył się z kryjówki w krzakach między nogami posągu olbrzyma. Miał kręcone kasztanowe włosy i sięgał Jasonowi nieco ponad pas.

Podchodząc kaczym chodem z powodu krzywych nóg, człowieczek pokazał wnętrze dłoni. Tym razem odezwał się nieco mniej ostrym tonem:

– Tak samo jak ty jestem nieuzbrojony. Jeśli zamierzasz mnie skrzywdzić, przestań trzymać mnie w napięciu i załatw to od razu.

– Nie zamierzam nic ci zrobić. Chcę tylko zapytać o drogę, żeby szybko opuścić te lasy.

Mały człowieczek zbliżył się ostrożnie. Jego proste odzienie miało odcień wyblakłej zieleni, która zlewała się z barwą roślinności w lesie.

– Wybacz moją szczerość, ale jeśli zamierzasz na mnie napaść, wolałbym mieć to już za sobą. – Odwrócił się. – O, proszę. Odwróciłem się plecami i mam zamknięte oczy. Nie cierpię wyczekiwania. Jeśli masz nieczne intencje, proszę, miej chociaż tyle przyzwoitości, żeby zaatakować mnie, kiedy jestem przygotowany na najgorsze.

– Możesz otworzyć oczy – zapewnił go Jason. – Nie jestem tutaj, żeby kogokolwiek dręczyć.

Człowieczek rzucił Jasonowi chytre spojrzenie przez ramię.

– Cóż, twój honor ocalił ci życie.

Trzej inni mali ludzie, dwaj mężczyźni i jedna kobieta wyszli z kryjówki w pobliżu. Byli odziani podobnie jak pierwszy karzeł, ale wszyscy trzymali łuki.

– Zdziwiłbyś się, ilu obcych nie zdaje tego egzaminu – powiedział mały jegomość. – Kim jesteś?

– Nazywam się Matt Davidson – skłamał gładko Jason.

Istniało niewielkie ryzyko, że ukrywające się w lesie karły sprzymierzyły się z Maldorem, ale ponieważ Jason był poszukiwanym zbiegiem, nie zaszkodziło zachować ostrożności.

– Witamy, Matcie, synu Davida – odparł uprzejmie mały człowiek. – Ja jestem Peluthe, syn Rogona. – Ukłonił się. – To mój brat, Saul, moja żona Retta i mój kuzyn, Ulrun. – Pozostali skinęli głowami. – Skąd pochodzisz?

– Jestem wędrowcem, ale ta okolica jest dla mnie nowa. Sporo czasu spędziłem w pobliżu Trensicourt.

– Dokąd zmierzasz? – spytała Retta.

– Nie bądź wścibska – zganił ją Peluthe.

– Ty cały czas zadajesz pytania – zachnęła się Retta.

– To mój obowiązek. Jestem dowódcą.

– To sam ugotuj sobie kolację.

– Idę do Ithilum – odpowiedział Jason.

Jego wyjaśnienie zakończyło kłótnię. Peluthe znowu skupił się na Jasonie.

– Nie słyszałeś, że w tych lasach roi się od olbrzymów?

– Kolejne pytanie – mruknęła naburmuszona Retta.

– Dowódca – warknął w odpowiedzi Peluthe.

– Słyszałem różne historie – odpowiedział Jason. – Jest w nich coś z prawdy?

Saul i Ulrun zachichotali.

– Chodź z nami – powiedział Peluthe – i sam oceń.

Mali ludzie poprowadzili go ścieżką, mijając wysoki posąg. W miarę jak szli, coraz bardziej było widać, że o szlak dbano. Wkrótce listowie po obu stronach było przystrzyżone schludnie jak żywopłot. Grupa minęła kolejny wielki, groźny posąg, a potem jeszcze jeden.

– Kim jest obcy? – padło pytanie z drzewa.

– Matt, syn Davida – odpowiedział Peluthe. – Uznaliśmy, że jest godny zaufania.

– Dokąd go odprowadzacie?

– Do wioski.

– Czy to rozsądne?

– Jest pod moją pieczęcią.

– Dobrze więc.

Kilka kroków dalej ścieżka wychodziła na olbrzymią polanę zajętą przez wioskę. Mali ludzie – jak

ci, którzy znaleźli Jasona – kręcili się po uliczkach, ale domy były ogromne. Drzwi miały co najmniej dwanaście stóp wysokości, okna były wielgachne, a dachy wznosiły się wysoko nad ziemią. Zachodzące słońce rzucało długie cienie.

Jason przystanął w miejscu, gdzie leśna ścieżka przechodziła w żwirową drogę.

– Wygląda to, jakby mieszkali tu olbrzymy.

Saul i Ulrun się zaśmiali.

Peluthe spiorunował ich wzrokiem.

– Kiedyś pewnie mieszkali. Jednak nie teraz, bo w przeciwnym wypadku wszyscy zostalibyśmy nadziani na rożen i pożarci. Jesteśmy małą rasą, chybionym eksperymentem dawno zapomnianego czarnoksiężnika. Nie zostaliśmy stworzeni tak, żeby móc bronić się przed większymi istotami takimi jak ty. Kiedy odkryliśmy, że las opuszczono, zamieszkaliśmy w porzuconej wiosce.

Jason wyszczerzył zęby.

– I nie zrobiliście nic, żeby położyć kres plotkom na temat olbrzymów.

Retta mrugnęła.

– Szybko łapiesz.

– I co teraz? – zapytał Jason.

Peluthe wzruszył ramionami.

– Ciesz się naszą gościnnością przez wieczór, prześpij się, mając dach nad głową, a jutro wyprawimy cię w dalszą drogę.

– Dziękuję.

Jason przyciągał mnóstwo uwagi, wchodząc do wioski. Jedna mała kobieta wrzasnęła. Peluthe i inni wielokrotnie wyjaśniali, że „Matt” to ich gość. Zaprowadzili Jasona do potężnego, piętrowego domu. Wielkie stopnie prowadziły do wielgachnych drzwi. Mali ludzie podsadzali się, wchodząc na stopnie, a Jason musiał stawiać bardzo wielkie kroki.

Karły weszły do domu, korzystając z małych drzwi wbudowanych w duże. Żeby wejść do środka Jason musiał przykucnąć. Wewnątrz, pod wysokim sufitem stała dziwaczna kombinacja mebli, z których jedne były za wielkie, a drugie były przy małe. Dwie małe kobiety i jeden drobniutki staruszek byli zajęci przygotowywaniem posiłku.

– Mam gościa – oznajmił Peluthe.

– Dobrze nieba! – wykrzyknęła jedna z kobiet. – Czy to bezpieczne?

– W zupełności – zapewnił je Peluthe. – Nazywa się Matt, syn Davida. To moja siostra Deloa, żona Saula, Laila i mój staruszek, Jep.

Wymienieni uśmiechnęli się i skłonili głowy.

– Miło was poznać – powiedział Jason.

Peluthe poklepał Rettę po ramieniu.

– Jeśli potrzebujesz dodatkowych przygotowań, żeby podjąć naszego gościa, to uwiń się z tym, bo

mój żołądek jest dzisiaj niecierpliwy.

Retta przewróciła oczami.

– Przestań się popisywać przed naszym gościem. Albo jestem twoją żoną, albo niewolnicą.

Zdecyduje się wreszcie.

– Nie chcę robić kłopotu – odezwał się Jason.

– Bzdura – zapewnił go Peluthe. – Retta jest najszczęśliwsza, kiedy marudzi.

– Pewnie dlatego z tobą wytrzymuję – odpowiedziała.

– On jest gigantyczny – biadolił staruszek. – Zje nas wszystkich.

– Zachowuj się, dziadku – zbeształ go Peluthe.

Starszy mężczyzna podszedł chwiejnym krokiem do Jasona.

– Będziemy musieli zarząć całe stado łani, żeby nakarmić tego kolosa. – Szturchnął Jasona sękatą laską.

– Bądź uprzejmy, Jep – powiedziała Deloa, stając między staruszkiem i Jasonem. Uśmiechnęła się do chłopca, patrząc nań wielkimi oczami.

– Tylko nie zacznij myśleć o całowaniu olbrzymów! – wrzasnął starzec i laską klepnął dziewczynę w pupę. – Nie mamy dość wysokiej drabiny.

Peluthe, Saul i Ulrun wybuchli śmiechem. Jason ukrył uśmiezek. Deloa nie kryła zgorzelenia.

Otworzyły się małe frontowe drzwi i weszło dwóch niedużych mężczyzn.

– Dobry wieczór, Peluthe – powiedział jeden z nich, zacierając dłonie.

– Wy dwaj, wynocha stąd! – krzyknął Peluthe, podbiegając do drzwi. – Wiem, że wszyscy w wiosce chcą zjeść kolację z naszym gościem, ale nam już nie wystarcza stawy. Powtórzcie to pozostałym.

Dwaj mężczyźni wyszli markotni. Peluthe zamknął za nimi drzwi na zamek.

Na ogromnym palenisku, przed olbrzymim kotłem Laila doglądała małego garnka na niewielkim stosie węgielków i popiołu.

– Znajdź sobie miejsce do siedzenia – zachęciła Jasona.

Mali ludzie zebrali się wokół niskiego stołu. Odsunawszy krzesło, Jason usiadł na podłodze i wtedy znalazł się na mniej więcej właściwej wysokości.

– Może wygodniej ci będzie przy dużym stole – zasugerował Peluthe.

– Nie jestem aż tak wysoki – powiedział Jason. – Poza tym straciłbym przyjemność rozmowy.

Laila przyniosła garnek, a Deloa obesza stół razem z nią, nadkładając gulasz do drewnianych misek. Najpierw obsłużyły Jasona, a potem obeszy pozostałych. Retta zebrała twarde, ciemne bułeczki do rondelka i poczęstowała wszystkich. Małe kobiety nałożyły sobie na końcu. Kiedy usiadły, wszyscy zaczęli jeść.

– Bardzo dobre – powiedział Jason.

Gęsty, mięsny bulion był pełen posiekanych warzyw.

– No ja myślę – rzędził staruszek. – Sam hodowałem te marchewki. Najlepsze w mieście. To mi

podsunęło pewien pomysł. – Odwrócił się do Peluthe. – Co powiesz na to, żeby narzucić uprząż na tę bestię i niech zaorze mi pole?

– Dość tego, dziadku – odpowiedział Jepa Peluthe i zwrócił się do Jasona. – Wybacz mu.

Staruszek trząsł się od tłumionego śmiechu.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Jason po przełknięciu kolejnej łyżki potrawy.

Nadal był głodny po skończeniu posiłku, ale, chwając potrawkę, udawał, że się najadł.

– Ależ dziękuję – odpowiedziała Retta. Zerknęła na Peluthe. – Przynajmniej niektórzy jeszcze na tym świecie wiedzą, co to dobre maniery.

– Och, tak, świetna robota – wymamrotał Peluthe.

Przez zachodnie okno wlewało się złote światło – ostatnie promienie zachodzącego słońca.

– Ile czasu potrzebuję, żeby dotrzeć do północnego wybrzeża półwyspu? – zapytał Jason.

Peluthe zmrużył oczy.

– Z tymi długimi nogami nie więcej niż dwa dni. Mam rację, staruszk?

– Jak się przewróci, to jego głowa wypadnie akurat w połowie drogi – burknął starszy mężczyzna.

– Oczywiście daję słowo, że dochowam waszego sekretu – dodał Jason.

Mali ludzie zerknęli po sobie z ukosa.

– Sekret? – zdziwił się Peluthe.

– Że olbrzymy porzuciły te lasy – wyjaśnił Jason.

– A, tak, ten sekret. – Peluthe zerknął w okna. – Wiesz, mamy jeszcze jeden sekret. Większy. Retta, zamknij okiennice.

Retta chwyciła tyczkę i przeszła przez pokój, zamykając za jej pomocą okiennice. Ostatnie, które zatrzasnęła, wisiały na zachodnich oknach.

– Słońce już prawie zaszło – powiedziała.

– W porządku – rzucił Peluthe i mrugnął na Jasona. – Gotowy na prawdziwy wstrząs?

Wszyscy mali ludzie wstali z krzeseł. Każdy wziął sobie szorstki, brązowy koc ze stosu złożonego pod wielkim stołem. Większość nie spuszczała oczu z Jasona, patrząc znacząco, kiedy owijała się w koce. Jason wstał i cofnął się kilka kroków, zaniepokojony dziwaczną zmianą w zachowaniu gospodarzy. Nie ufał atmosferze panującej w domu. Zachowanie karłów nagle wydało się groźne. Miał wrażenie, że mali ludzie rozbierają się pod wielkimi kocami.

Jak jeden mąż padli na kolana. Zacisnęli zęby i pięści. Kilkoro jęknęło.

– Nic wam nie jest? – zapytał Jason coraz bardziej zaniepokojony.

– Zaraz będzie po wszystkim – wykrztusił Peluthe.

Ich małe ciała zaczęły puchnąć. W miarę jak rozrost stawał się coraz wyraźniejszy, jęczeli i krzyczeli. Początek był powolny, ale potem zaczęli gwałtownie rosnąć. Kilkoro chwiejnie wstało; teraz byli wzrostu zwykłych ludzi. Peluthe i Retta przerośli Jasona. I nadal się powiększali.

Mając nadzieję, że jeszcze nie jest za późno, Jason zarzucił plecak i śmignął do frontowych drzwi.

Małe drzwiczki u podstawy większych zamknięto na klucz. Uderzył w nie ramieniem, ale nie drgnęły. Wielka ręka złapała go za ramię i cisnęła nim o podłogę. Peluthe, który miał osiem stóp wzrostu i nadal rósł, zablokował mu dostęp do drzwi. Krzywiąc się i kaszląc, złożył się wpół, a jego ciało rozdymało się coraz bardziej.

Spanikowany Jason obrócił się w koło. Nie było innych drzwi. Okna znajdowały się poza zasięgiem i były zatrzaśnięte. Schodów na piętro strzegli Deloa i Saul, których spocone ciała rozrastały się wszczepami i wzdłuż. Jason widział teraz, że koce były tak naprawdę wielkimi tunikami.

Podbiegł do paleniska, przeskoczył nad gasnącymi węgielkami małego paleniska i przebiegł obok wielkiego kotła. Kamienie na tyłach komina były chropowate i źle dopasowane, oferując mnóstwo oparcia dla rąk. Pośpiesznie zerknął przez ramię i zorientował się, że niegdyś mali ludzie dręczeni ostatnim atakiem bolesnego rozrostu kończyli przemianę i stawali się potężnymi olbrzymami. Staruszek wstał. Jason nie sięgał mu już nawet do pasa.

Napędzany desperacją Jason wspinał się po czarnych od sadzy kamieniach, przekonany, że czeka go straszliwa śmierć, jeśli źle się złapie i spadnie. Dotarł do ciemnego gardła komina i wspinał się dalej, niepewny tego, jak wysoko mogą sięgnąć olbrzymy.

– Ucieka! – ryknął ktoś potężnym głosem.

– Za nim, matołku! – krzyknął ktoś inny.

W miarę jak Jason się wspinał, komin się zwężał. Wątpił, żeby olbrzymy zdołały wejść tu za nim. Usłyszał, że odciągnięto na bok kocioł.

– Szczypce! – warknął ktoś, kto znajdował się dokładnie pod nim. – Wspina się jak jaszczurka!

– Łap go!

Jason słyszał, jak dłonie drapią w kamienie tuż poniżej jego stóp.

– Nie mogę go dosięgnąć.

– No to się wspinaj, durniu!

– Chcesz spróbować się tu wcisnąć?

Jason dotarł do wąskiej półki, gdzie komin lekko się wyginał. Zatrzymał się zdyszany i usiadł tam jak na ławce.

– Zejdź na dół, Matt – rozległ się chropawy kobiecy głos; to pewnie Retta, która siliła się, żeby zabrzmieć słodko. – Nie chcemy cię skrzywdzić.

– Musisz bardziej się postarać! – odkrzyknął Jason.

– A niech to! – krzyknęła kobieta. – Musiałeś tak ostro się z nim obejść?

– Myślałem, że przyparliśmy utrapieńca do muru.

– Dlaczego nikt nie pilnował paleniska?

– Kto by pomyślał, że pobiegnie w tamtym kierunku?

– Może uciec.

– Nie ucieknie.

Jason usłyszał, jak wielkie drzwi frontowe otwierają się i zamykają. Niedługo potem usłyszał, że dach zaskrzypiał. Był w pułapce.

– Hej, Matt! Tu Peluthe. Słyszysz mnie? – rozległ się głos z góry.

– Słyszę.

– Dlaczego nie skończysz tej niemądrej zabawy i nie zejdziesz? – przemawiał spokojnie Peluthe. – Nie możesz uciec. Obiecujemy, że zabijemy cię szybko. Nie będziesz długo cierpieć.

– Zastanów się – powiedział Jason. – Gdybyś był na moim miejscu, zszedłbyś? – Poprawił się na półce; nogi nadal miał spuszczone.

– Gdybym był rozsądny, to możliwe, że tak. Nawet jeśli przetrwasz tam do świtu, jest nas tylu, że z łatwością cię zabijemy. Mamy broń.

– Jesteście wielcy tylko nocą? – upewnił się Jason.

– Teraz już znasz nasz prawdziwy sekret – odpowiedział Peluthe. – Sam rozumiesz, że nie możemy pozwolić ci stąd odejść.

– Poza tym, już od wieków nie jedliśmy świeżego ludzkiego mięsa! – zawołał z dołu staruszek teraz bardziej basowym głosem.

– Obiecuję dochować tajemnicy. Może jednak puścicie mnie wolno? – spróbował Jason.

– W porządku – zgodził się Jep. – A teraz złaż.

– Mówię poważnie.

– Ludzkie mięso to rzadki delikates – wyjaśnił Jep. – Nie bierz tego do siebie, naprawdę robisz wrażenie porządnego chłopaka. Skoro wolisz, żeby cię nie zjedzono, mądrze byłoby trzymać się z daleka od tych lasów, a zwłaszcza od naszej wioski.

Jason spojrzał w milczeniu w dół komina. Naprawdę znalazł się w pułapce. Jego koniec był tylko kwestią czasu. Przynajmniej wysłał Tarka z wiadomością dla Gallorana, więc jego powrót do Lyrianu nie poszedł całkiem na marne.

– Bądź rozsądny – prosił Peluthe.

– Przykro mi, że sprawiam tyle kłopotu – odpowiedział Jason, starając się, by w jego głosie nie zadźwięczał strach – ale zamierzam utrudnić wam złapanie mnie. Powinniście się wstydzić, że zapraszacie gościa do domu i próbujecie go zjeść.

– Jakież propozycje? – zapytał Peluthe, nie zwracając się już do Jasona.

– Znajdź tyczkę – zasugerował ktoś.

– Wykurzyć go – warknął staruszek.

– Saul! – krzyknął Peluthe. – Zamień się tu ze mną miejscami. Schodzę.

Zrobiło się zamieszanie, słychać było różne głosy, ktoś wydawał polecenia, ktoś inny narzekał. Jason usłyszał ciężkie stąpanie. Para wielkich rąk zaczęła wrzucać drewno do kominka.

– Znajdź trochę zielonych gałęzi – polecił Jep. – Będzie więcej dymu.

Jason usłyszał, że frontowe drzwi otwierają się i zamykają.

Przyjrzał się półce, na której siedział. Jeśli wsunie nos w tylny kąt, siadając twarzą do ściany, i będzie oddychał przez koszulę, to może chwilę wytrzyma. Jednakże niezależnie od tego, jakich środków zaradczych się chwyci, w końcu się udusi. A jeśli zrobią wystarczająco wysoki stos, który będzie palił się dostatecznie mocno, to może nawet go ugotują! Jason wiedział, że powrót do Lyrianu może go zabić, ale w głębi ducha nie wierzył, że do tego dojdzie. A przynajmniej nie tak szybko!

W dole rzucono zielone konary na rosnący stos drewna.

Jason poklepał się po kieszeniach, rozważając możliwości. Miał pieniądze i klejnoty od Tarka, ale olbrzymy raczej nie dadzą się przekupić, skoro mogą zwyczajnie go zabić, a potem okraść jego zwłoki. Miał rękę Ferrina, ale nie było szansy, żeby rozsadnik znajdował się na tyle blisko, by mu przyjść z pomocą. Czy olbrzymy były wierne Maldorowi? Jeśli tak, to czy mógłby udawać, że jest rozsadnikiem, upuszczając rękę i zblefować, że wykonuje zadanie dla Maldora? Wątpił, czy olbrzymy się tym przejmą.

Peluthe znowu do niego zawołał, tym razem z dołu.

– Na pewno nie chcesz zejść? To nie będzie przyjemne.

– Już nie wspominając o tym, że dym popsuje smak – dorzucił Jep.

– Możemy ci zapewnić szybką śmierć – zaproponował Peluthe. – Godną i bezbolesną.

Jason zastanawiał się, czy powinien odpowiadać. Jego reakcje mogły ich tylko zachęcić do dalszych działań.

– Nie zawracaj sobie głowy udawaniem martwego – wtrąciła Retta. – Ściągniemy cię w taki czy inny sposób, nawet jeśli będziemy musieli wspiąć się do ciebie rankiem.

– Mam nadzieję, że będę smakował jak popiół – warknął Jason.

– Chłopak nie potrafi się bawić – gderał staruszek.

– Zaraz rozpalę w kominku – oznajmił Peluthe. – Nie przeszkadza mi, jak człowiek jest trochę przypieczony.

Jason patrzył, jak Peluthe pochyła się nad kłodami. Uderzał o siebie kamieniami, żeby wykrzesać iskrę. Cokolwiek Jason zamierzał, musiał zrobić to szybko.

– Weź węgielki z drugiego paleniska – zaproponował starzec.

– Już odgarnięto je na bok – odpowiedział Peluthe. – Nie są wystarczająco gorące.

Nadal uderzał kamieniami.

– Daj, ja to zrobię – upierała się Retta.

– Dam sobie radę. – Peluthe uderzał od kilku chwil, ale nadaremno.

– Ja to robię na co dzień. – Retta westchnęła.

– Dam sobie radę! – warknął Peluthe.

– Jestem sługą Maldora! – krzyknął w dół Jason. – Przybyłem tu z oficjalną misją.

– Trochę późno, żeby mówić o przyjaźni z Maldorem – odparł obojętnie Peluthe. – Nie miałeś pojęcia, czym jesteśmy, kiedy nas spotkałeś. – Sapnął poirytowany. – Dobra, Retta, ty rozpal ogień.

Jason uznał, że powinien wysłać Ferrinowi ostatnią wiadomość. Zdjął plecak i zaczął w nim grzebać.

– Ehm, Peluthe, Saul, mamy gościa – ostrzegła zaniepokojona kobieta. Być może Deloa.

Jason usłyszał kilka zduszonych okrzyków.

– Na wielkie demony ze świata Poza! – wykrzyknął Peluthe, odsuwając się od paleniska i znikając Jasonowi z pola widzenia.

– Wychodźcie! – krzyknął nagle Jep. – Nie patrzcie na to!

Jason usłyszał ciężkie kroki olbrzymów na podłodze i za drzwiami. Potem zapadła cisza. Czy to był podstęp, żeby skłonić go do zejścia? Sztuczka, dzięki której nie będzie za bardzo uwędzony?

– Zejdź tutaj, Saul! – krzyknął z zewnątrz Peluthe.

– Dlaczego? – padło w odpowiedzi pytanie z okolic szczytu komina.

– Nie spieraj się. Zaufaj mi.

Jason usłyszał, że dach trzeszczy, a potem zapadła cisza. Po chwili oczekiwania uznał, że lepiej zostawić rękę w plecaku, więc zamknął go z powrotem. Zamek błyskawiczny zapiał się niezwykle głośno.

Jeśli olbrzymy tylko udawały, że wyszły, to rzucą się na niego, kiedy tylko wyjdzie z komina. Jeżeli naprawdę uciekły, Jason mógł tylko uznać, że jego sytuacja się pogorszyła. Co przeraziłoby dom pełen olbrzymów? Deloa wspomniała o gościu. Możliwe, że to ktoś przyjazny? Ktoś dobry?

Zagryzając wargę, Jason zerknął w dół komina. Palenisko pozostało puste. Niczego nie usłyszał.

– Halo? – zawołał cicho. – Jest tam kto? Ktoś, kto nienawidzi olbrzymów i lubi ludzi?

Cisza trwała nieprzerwanie.

Czas mijał. Jason wdychał węglowy odór w kominie. Zaczął się robić niespokojny. Scyzorykiem zadrapał pokryte sadzą kamienie, żeby przekonać się, czy zeskrobie czarną warstwę. Nie zdołał. Widoczny w górze nad wylotem komina zmierzch zaczął zamieniać się w noc.

Biorąc pod uwagę kłótnie, które słyszał wcześniej, Jason nie wierzył, żeby olbrzymy potrafiły zachować cierpliwość. Nie dość, że w domu zapadła cisza, to umilkła cała wioska. Mimo to czekał. Nie chciał, żeby zabiła go własna niecierpliwość.

Kiedy nad wylotem komina pojawiły się gwiazdy, na półce Jasona zrobiło się bardzo ciemno. Nasłuchiwał, żeby odkryć, co mogło przerazić olbrzymy, ale nie usłyszał niczego niezwykłego.

Stopniowo zaczął nabierać przekonania, że olbrzymy naprawdę wyszły. Pomyślał, że być może marnuje okazję do ucieczki. Obrócił się i zaczął po cichu schodzić kominem, wymacując oparcie palcami stóp i zatrzymując się czasem, żeby nadstawić ucha. Wokół nadal panowała cisza.

Niżej, tam gdzie komin się rozszerzał, Jason źle się chwycił i spadł na stos drewna. Zielone gałęzie złagodziły upadek, ale i tak udało mu się skreślić kostkę.

Sturlał się ze stosu opału i usiadł, masując nogę i rozglądając się po pokoju. Błada poświata wschodzącego księżyca wpadała między okiennicami.

Pośrodku pomieszczenia ujrzał ludzką postać.

Mrużąc oczy, Jason przyjrzał się nieruchomej sylwetce. Czuł przebiegające po plecach ciarki. Była

wielkości zwykłego człowieka, ale z powodu mroku Jason nie widział szczegółów. Postać zamarła w doskonałym bezruchu.

Kostka już go mniej bolała, co sugerowało, że nie złamał jej ani nie skręcił. Ciemna postać się nie poruszyła. Cisza trwała.

Postać nie mogła przegapić jego upadku.

– Cześć? – szepnął Jason.

Tajemnicza persona nie zareagowała.

Jason przesunął się wzdłuż ściany, odsuwając się od paleniska. Ktokolwiek stał pośrodku pokoju, pozostał nienaturalnie nieruchomy – nie drgnął, nie przestąpił z nogi na nogę, nie poruszył głową, nie widać było nawet, żeby oddychał. Dotarłszy do kąta, Jason ruszył wzdłuż następnej ściany do drzwi.

Wielkie drzwi zostawiono uchylone, Jason pchnął je i wyszedł w noc. W wiosce panował bezruch. Żadne światło nie płonęło w oknach. Prawie okrągły księżyc, wielki i biały, wschodził nad czubkami drzew.

Lekko kuśtykając, Jason zszedł po schodach na szeroką ulicę. W oknie po drugiej stronie dostrzegł parę wielkich oczu. Natychmiast zniknęły, gdy ktoś schował głowę.

Jason odwrócił się, żeby spojrzeć na dom, który opuścił, i ujrzał, że mroczna postać stoi w milczeniu za drzwiami. Łapiąc gwałtownie powietrze, Jason cofnął się chwiejnie o kilka kroków.

W bezpośrednim świetle księżyca Jason dostrzegł, że postać naprawdę nie ma żadnych rysów. Wyglądała jak ludzki cień, tyle że trójwymiarowy. Księżycowy blask nie odbijał się od matowej powierzchni.

Jason stał i patrzył jak skamieniały. Czy to ten stwór śledził Tarka? Czy był to torivor? Jeśli tak, Jason rozumiał już, dlaczego ludzie porównywali te stwory z kształtem, jaki mogłaby przybrać śmierć. Nienaturalna obecność ciemnej postaci napełniła go przerażeniem.

– Czego chcesz? – spytał łamiącym się głosem.

Milcząca postać ani drgnęła.

Rozglądając się, Jason dostrzegł kolejną twarz chowającą się za oknem. Czymkolwiek ta rzecz była, olbrzymy nie chciały mieć z nią nic do czynienia.

Przełknął ślinę, czując, że zasycha mu w gardle.

Ruszył ulicą w stronę północnego krańca osady. Nadstawił ucha, ale nie usłyszał niczego, co świadczyłoby, że ktoś za nim idzie, chociaż jego własne kroki hałaśliwie zgrzytały na żwirze. Obrócił się gwałtownie i jakieś dziesięć kroków za sobą zobaczył cień stojący na drodze. Jakim cudem poruszał się aż tak cicho?

Jason odwrócił się i ruszył szybkim krokiem. Kiedy się obejrzał, stwór znowu stał niecałe dziesięć kroków za nim. Czy to była jakaś gra? Jason przyjrzał się złowieszczej postaci. Nie poruszyła się, nie groziła mu ani nic podobnego. W końcu znowu ruszył drogą, idąc tyłem, nie spuszczając oczu z czarnej osoby, mając nadzieję, że pozostanie nieruchoma, dopóki on patrzy, ponieważ jeszcze nie widział, żeby

się poruszyła. Ciemna postać zaczęła iść, zbliżając się z płynną gracją. Nie wydała żadnego dźwięku.

Odwrociwszy się, Jason pośpiesznie opuścił wioskę. Droga zamieniła się w zadbaną leśną ścieżkę, przecinającą las w kierunku północnym.

Jason raz za razem zerkał za siebie i zawsze odkrywał, że ciemny stwór stoi dziesięć kroków za nim. Przypomniał sobie, że Tark wspomniał o samotnych nocach, kiedy tajemniczy śledzący go stwór mógł zaatakować. Jednakże Tark nigdy nie widział prześladowcy wyraźnie. Dostrzegał go tylko przelotnie. Ten stwór nie zawracał sobie głowy ukrywaniem się.

Jason przystanął i spojrzał na postać, która go ścigała. Ciemna zjawy nie wykazywała żadnych oznak agresji. Jednakże, ujrawszy reakcję olbrzymów, domyślał się, że może być niezwykle niebezpieczna.

Po paru godzinach Jason poczuł, że brak snu zaczyna mu ciążyć. Dzisiejsza noc była chłodniejsza od poprzedniej, ale w suchym ubraniu nie odczuwał zbytnio zimna. Znalazłszy pas trawy koło drogi, wyciągnął się i wcisnął kurtkę pod głowę. Czy stwór zabije go podczas snu?

Ogarnęło go przecucie, że zjawy podkrada się do niego. Natychmiast usiadł i zobaczył, że postać stoi znowu jakieś dziesięć kroków od niego.

Leżał, rozmyślając gorączkowo i próbując uspokoić nerwy. Albo stwór go zabije, albo nie. Sam w lesie niewiele mógł na to poradzić.

Zerknął na stwora. Pozostał w tej samej odległości co wcześniej, nadal nieruchomy jak posąg.

– Czego chcesz? – spytał Jason.

Żadnej odpowiedzi.

– Czy to ty śledziłeś Tarka? Powinieneś go dalej śledzić. To on jest prawdziwym mózgiem tej operacji. Sio! Idź się schować.

Żadnej odpowiedzi.

– No dobra, to może ty postoisz na straży, a ja się prześpię? Trzymaj olbrzymy z dala od nas. Co ty na to? W porządku, w takim razie umowa stoi.

Jason czuł się trochę głupio, jakby rozmawiał z nieożywionym przedmiotem. Zwinął kurtkę w prowizoryczną poduszkę, zamknął oczy i w końcu zapadł w niespokojny sen.

Rozdział 3

Mroczny towarzysz

Zimny wiatr wiał nad wąską granią. Po obu stronach pionowe urwiska opadały w ciemność. Nie bardzo wiedząc, jak się tu dostał, Jason wyczuł, że coś jest nie tak. Musiał się śpieszyć. Przykucnął nisko, tak że prawie dotykał kamienistego gruntu palcami rąk, przesunął się do przodu, ostrożnie stawiając kroki i starając się pozostać pośrodku wyszczerbionego grzbietu mimo gwałtownych podmuchów.

Z jednej strony rozległ się monstrualny ryk, jakby schodziła lawina. Potężny podmuch wiatru oderwał Jasona od ziemi i cisnął nim ku krawędzi grani. Chłopak boleśnie wyładował. Nogi zawisły mu nad przepaścią. Desperacko chwycił się nierównego gruntu, a nad nim przewalał się wiatr.

Kiedy podmuch osłabł, Jason podciągnął się, przerzucił nogi nad krawędzią i wstał. Pierś i wewnętrzna strona rąk bolały go od siniaków i zadrapań. Wrócił na środek ostrej jak brzytwa grani, zataczając się, szarpany narastającymi i opadającymi podmuchami, wirującymi i gwizdzącymi.

Porywisty wiatr uderzał w niego z coraz większą gwałtownością. Żeby utrzymać równowagę, pochylił się pod wiatr, ale ten nagle zmienił kierunek i Jason własnym wysiłkiem pomógł nowemu podmuchowi pchnąć się w stronę przyprawiającej o zawrót głowy przepaści. Raz za razem padał na bezlitosne podłoże, starając się przylgnąć do niego całym ciałem i nie dać się cisnąć ku zgubie.

Chciał leżeć nieruchomo i czekać, aż wichura osłabnie, ale musiał brnąć przed siebie. Co właściwie tu robił? Czy coś go ścigało? Czy wichura przybierze na sile? Nie pojmował logiki swojego pragnienia, ale wrodzony instynkt mówił mu, żeby się śpieszyć.

Wstał i zaczął się przesuwać, nie odrywając stóp od ziemi, a nieprzewidywalne podmuchy ciskały nim w różne kierunki. Przed sobą w półmroku widział, że grań się kończy. Na krańcu grzbietu czekał stolik z jednym krzesłem wolnym i jednym zajęтым.

Brnąc pod uporczywy wiatr Jason dopadł puste krzesło i usiadł. Drugą osobą przy stoliku była Rachel! Wiatr jakby w ogóle jej nie tykał, chociaż nadal na wpół oślepiął i na wpół ogłuszał Jasona.

– Dlaczego wróciłeś? – zapytała Rachel. Słyszał jej cichy głos mimo wyjącej wichury. – Powinieneś być zostać w domu. To nie twoje miejsce.

– Nie mogłem cię tu zostawić! – wrzasnął Jason. – Co tu robisz?

– Nie powinieneś być wracać – szepnęła z obojętną twarzą. – Skazałeś na zagładę nas oboje.

Jason słyszał, że wiatr przybiera na sile i wyje głośno jak nigdy dotąd. Wiedział, że zaraz uderzy w nich z siłą lawiny. Wstał i odepchnął stolik na bok.

– Musimy iść! – Złapał Rachel za rękę i przeżył szok, czując, jak lodowata jest jej skóra.

Rachel wstała. Była znacząco wyższa od niego. Złapała go mocno za rękę; jej dłoń była tak zimna, że

aż parzyła. Oczy miała całkiem czarne – nie było w nich białek ani tęczywek.

– Trzymaj się z dala ode mnie.

Wypuściła jego dłoń i w tej samej chwili wiatr uderzył z siłą tsunami.

Jason przeokołkował bezradnie z grzbietu w wietrzną pustkę, wymachując rękami i młóćąc nogami. Potężne prądy wstępujące spowolniły jego upadek, a potem cisnęły nim w bok i w górę. Seria nieprzewidywalnych podmuchów ciskała nim na wszystkie strony, jakby nic nie ważył. Czyżby porwało go tornado? Wśród wyjącej wichury Jason spadał i unosił się, kołował i obracał. Do tego stopnia stracił orientację, że nie wiedział już gdzie jest dół, a gdzie góra.

Za każdym razem, kiedy otwierał usta w krzyku, wiatr wpadał mu do płuc, zagłuszając wszelki protest. Pośród paniki Jasonowi nasunęły się pytania. Jak wysoko była grąń? Kiedy uderzy o ziemię? Jak mocno w nią uderzy?

Szaleńczy upadek trwał i w końcu Jasonowi udało się krzyknąć. W tej samej chwili otworzył oczy i zobaczył, że leży na plecach, obok ścieżki, pod oświetlonym słońcem niebem. Wznosiła się nad nim ciemna, pozbawiona rysów postać.

Natychmiast powróciły do Jasona wydarzenia poprzedniego wieczoru. Oparł się na piętach i łokciach i odsunął się od mrocznej postaci, nie odrywając od niej oczu. Nawet nie drgnęła.

Oddaliwszy się kilka jardów od ciemnej istoty, Jason przystanął. Nadal czuł strach po koszmarze. Serce biło mu jak szalone. Wszystko to wydawało się zbyt prawdziwe. Jason obejrzał ręce, spodziewając się, że ujrzy zadrapania i siniaki. Niczego takiego nie zobaczył.

Nie mógł ścierpieć myśli, że mroczna postać stała nad nim, gdy spał. Zastanawiał się, czy nie zbliżyła się jeszcze bardziej. Czy go nie dotknęła. Na samą myśl przeszedł go dreszcz.

Wydarzenia ze snu zostawiły obrzydliwy posmak. Jason zauważył, że drżą mu ręce. Przed skalną granią były też inne kosmary. Prawie je sobie przypominał. O czym były? Szczegóły rozplływały się, gdy próbował je zanalizować.

Biorąc wdech dla uspokojenia, Jason wstał. Pozbawiona rysów postać stała nieruchomo, jej powierzchnia była doskonale czarna, nawet w świetle słońca – wyglądała jak pustka w kształcie człowieka. Jason miał nadzieję, że świt przepędzi zjawę jak wampira albo coś podobnego. Niestety, okazało się, że atramentowy stwór nie reaguje na światło.

Ocierając zaspane oczy, Jason z wahaniem podszedł do stwora.

– Czego chcesz?

Nic nie zdradzało, że mroczna istota go rozumie.

– Dlaczego za mną idziesz?

Nic.

– ¿Hablas español?

Nic.

Jason okrążył stworzenie, bacznie przyglądając się gładkiemu kształtowi. Byli mniej więcej tego

samego wzrostu – około sześciu stóp. Twarzą stworza brakowało konturów, które sugerowałyby istnienie uszu, oczu albo ust. U dłoni były palce, ale pozbawione paznokci czy innych szczegółów. Stopom brakowało osobnych palców. Istota wyglądała jak człowiek zredukowany do najprostszej formy geometrycznej.

Niezależnie od tego jak Jason się ustawił, nieskazitelna powierzchnia zjawy niczego nie odbijała. Nic nie powinno być tak czarne w pełnym świetle dnia. Jaki materiał może absorbować światło tak całkowicie? Czy stwór był bardziej namacalny niż cień? Może nie – może właśnie dlatego poruszał się tak cicho?

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedział Jason.

Wyciągnął z wahaniem palec w stronę ramienia istoty. Czy będzie w dotyku gąbczaste? Twarde? Czy palec przejdzie przez powierzchnię? W ostatniej chwili zanim palec dotknął powierzchni, postać poruszyła się błyskawicznie, złapała Jasona za nadgarstek i ramię i nim rzuciła. Jason przeleciał nad ścieżką, robiąc w powietrzu niepełne salto i lądując na krzaku.

Oszołomiony leżał przez chwilę bez słowa. Czy stwór skoczy? Znowu zaatakuje? Przeturlał się, podniósł na kolana i zobaczył, że postać stoi na drodze, piętnaście jardów dalej, jakby nic się nie stało. Jasona bolał nadgarstek w miejscu, w którym stwór go dotknął. Ciemna dłoń była lodowato zimna.

Jason przebrnął przez poszycie z powrotem do ścieżki.

– Już chwytam – powiedział, strzepując liście z koszuli. – Ręce przy sobie, tak? Nie musisz mi dwa razy powtarzać.

Jak zwykle nie otrzymał żadnego potwierdzenia. Ogarnęła go złość. Miał ochotę uderzyć tę postać, choćby tylko po to, żeby wywołać reakcję, ale podejrzewał, że zaatakowana, mroczna istota zwiąże go jak precelek.

– Ty mi dałeś te złe sny? – spytał Jason, masując nadgarstek. – Ty udawałeś moją przyjaciółkę? Oboje mieliście zimne ręce.

Jak zwykle istota nie udzieliła odpowiedzi.

– Jesteś czatownikiem? Torivorem? Upiorną marionetką? Potrafisz mówić? Rozumiesz mnie?

Żadnej reakcji.

– Skiń głową, jeśli mnie rozumiesz. Właśnie cisnąłeś mną w krzaki. Musisz mieć rozum. Porusz palcem, jeśli rozumiesz. Tupnij nogą.

Nic.

Jason westchnął poirytowany.

– Wygląda na to, że nie mogę z tobą rozmawiać, nie mogę cię pokonać, a słońce ci nie przeszkadza. Najwyraźniej będziesz za mną iść tak długo, jak zechcesz. Nie spodziewaj się, że się z tego ucieszę.

Wyjął batonik proteinowy i dopił wodę z manierki. Potem ruszył na północ, zdecydowany oddalić się od olbrzymów. Ciemna postać ruszyła za nim, trzymając się w tej samej odległości niecałych dziesięciu kroków.

Zadbana ścieżka zamieniła się w niewyraźny szlak, ale nadal prowadziła na północ. Jason napełnił manierkę, przechodząc przez strumień, zjadł trochę mieszanki studenckiej. Zastanawiał się, czy rodzice denerwują się w domu. Tym razem świadkowie widzieli, jak został połknięty przez hipopotama. Wszyscy pomyślał, że nie żyje. Miał nadzieję, że nie będą obwiniać zwierzęcia.

Gdzie znajdowała się teraz Rachel? Czy była bezpieczna? Uciekała? Została schwytana? Chciałby wiedzieć, czy nie za późno przybył jej na ratunek. A co z Tarkiem? Jeśli cień ścigał jego, to może Tark wymknął się z kluczową informacją. Zajadając rodzynki i orzechy, Jason żałował, że nie spakował sobie bardziej zróżnicowanego jedzenia. Może następnym razem.

Niedługo po tym jak ścieżka zaczęła biec równolegle do małego strumyka, Jason dostrzegł drzewo bąbelkowca. Wyglądniały zjadł łapczywie owoc, ciesząc się z czegoś świeżego i soczystego. Ferrin stwierdził kiedyś, że bystry wędrowiec może przetrwać w dziczy na samych bąbelkowcach.

Stojąc koło pnia drzewa, Jason zastanawiał się, czy cień coś jada. W przeciwnym razie, w jaki sposób by przetrwał? Jason obserwował istotę. Jak coś zdolnego do poruszania się potrafiło utrzymać taki idealny bezruch? Zdawało się, że stworzenie nie oddycha. Może absorbowało powietrze przez lodowatą skórę. Może absorbowało też pokarm. Może cień był magiczny i nie potrzebował ani powietrza, ani pożywienia. Jason postanowił się czegoś dowiedzieć.

Trzymając owoc bąbelkowca podszedł do ciemnej postaci.

– Jesz cokolwiek? Nie widziałem, żebyś coś jadł. To jest całkiem dobre. Chcesz spróbować?

Postać się nie poruszyła.

Jason udał, że odgryza kawałek owocu.

– Wiem, że powinieneś mnie przerażać, ale zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie zgłodniałeś. Masz tu coś do jedzenia. Nie zniósłbym, gdybyś zemdlął z głodu i przestał za mną leżeć.

Jason podsunął przezroczysty owoc. Kiedy ciemna istota nie wykonała żadnego ruchu, by go przyjąć, Jason go rzucił. Cień z gracją zrobił krok w bok, złapał owoc w jedną rękę i w okamgnieniu odrzucił go Jasonowi. Nie było czasu na reakcję. Bąbelkowiec plasnął chłopca prosto w czoło, zalewając mu całą twarz sokiem i sprawiając, że przewrócił się na bok. Jason leżał przez chwilę na ziemi, ogłuszony, z głową obolałą od uderzenia i oczami piekącymi od soku.

Zaciskając pięści, zmusił się do zachowania spokoju. Wiedział, że stwór go załatwi, jeśli spróbuje się zemścić. Możliwe, że właśnie tego cień chciał.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – warknął Jason, wstając i wycierając koszulką sok z twarzy. – Jeśli chcesz mnie zlać na kwaśne jabłko, to czemu od razu się za to nie weźmiesz? Przecież widzę, że dałbyś radę.

Zgodnie z oczekiwaniem, istota nie zareagowała.

– Wygląda na to, że reagujesz tylko wtedy, kiedy naruszam twoją przestrzeń. Nie martw się, nigdy więcej nie spróbuję dawać ci czegokolwiek. Zostawię cię w spokoju. I chciałbym, żebyś się tym odwzajemnił.

Szlak biegł wzdłuż potoku przez resztę dnia. Przed wieczorem strumyk wpadł do większej strugi. W pobliżu tego miejsca Jason natrafił na kolejny bąbelkowiec. Nie zaoferował owocu upiornemu towarzyszowi.

Przed zachodem słońca Jason poczuł zapach morza. Był wyczerpany po długim dniu, więc zwinął się w pobliżu strumienia. Kiedy ułożył się wygodnie, uniósł głowę i spojrzał na ciemną postać.

– Trzymaj się ode mnie z dala, kiedy będę spał. Nawet nie myśl o tym, żeby przejąć kontrolę nad moimi snami. Tym razem będę gotowy, tak na wszelki wypadek. Uczciwie ostrzegam.

Oparł głowę na kurtce i próbował przygotować umysł do szczęśliwych snów. Wyobraził sobie Rachel podekscytowaną jego widokiem, zamiast opętanej i ostrzegającej go, że nie powinien wracać do Lyrianu. Powiedział sobie, że podjął słuszną decyzję, wracając tu, że może tu coś zmienić i nie umrze samotnie w lasach. Obiecał sobie, że jeśli przyśni mu się kolejny koszmar, rozpozna go i przejmie nad nim kontrolę.

* * *

Jason stał na plaży Zuma w Południowej Kalifornii. Był tu kiedyś, kilka lat temu, kiedy odwiedzał brata w długi weekend. Jednakże dzisiaj cała plaża była opustoszała, łącznie z jasnoniebieskimi stanowiskami dla ratowników, rozmieszczonymi w równych odstępach na piaszczystej przestrzeni. Niskie szare chmury przesłoniły słońce i sprawiły, że ocean wyglądał bardziej szaro, niż Jason to zapamiętał.

Helikopter nadleciał wybrzeżem, kierując się prosto do niego. Zawisł w powietrzu przy huku wirnika. Z głośników dobiegł męski głos:

– Proszę pana, to nie pana miejsce. Od wielu godzin trwa ewakuacja. Pańskie życie jest zagrożone.

Z otwartych drzwi wypadła drabinka sznurowa, a śmigłowiec opadł bliżej ziemi. Jason podbiegł; piasek spowalniał jego kroki. Drabina wisiała niemal w jego zasięgu. Jason zmrużył powieki, bo podmuchy od śmigieł ciskały mu piasek w oczy. Nagle helikopter uniósł się razem z delikatną drabinką. Jason rozpędził się ze wszystkich sił i skoczył, ale o włos rozminął się ze szczeblem.

– Bardzo nam przykro – poinformował go głos. – Jest już za późno. Musimy się teraz wznieść, bo inaczej nikt z nas nie przeżyje.

Jason spojrzał na morze i zobaczył, że horyzont wygina się w górę, systematycznie podnosząc się, kiedy niewyobrażalnie ogromna góra wody zbliżała się do brzegu. Przerażony widokiem, miał wrażenie, że wszystko w nim się załamało i rozpacz wypełniła wewnętrzną pustkę.

Odwracając się, zrozumiał, że nie ma ucieczki. Co najwyżej dotrze do parkingu. Kiedy spojrzał na morze, zobaczył, że ołowiana woda nadal się wznosi. Ta fala załame się nie tylko nad plażą, ale i nad górami wzdłuż wybrzeża. Wątpił, czy gwałtownie unoszący się helikopter zdoła przed nią uciec.

Mimo to uciekał od nadciągającego tsunami, zadyszany brnął przez piasek. Czy miał szansę przetrwać? Wstrzymać oddech i mieć nadzieję, że jakoś uda mu się wypłynąć na powierzchnię, zanim utonie? Nie, nie poprzez mile wody. To będzie zupełnie tak, jakby spadł na niego cały ocean.

Kiedy Jason dotarł na parking, odwrócił się i spojrzał za siebie. Wielka fala była niemal przy brzegu, wyginając się tak wysoko, że jej czubek ginał wśród zachmurzonego nieba. Woda przed falą cofnęła się

dramatycznie, zamieniając wybrzeże w pochyłą pustynię z mokrym piaskiem.

– Nie najgorszy sposób, żeby odejść – rozległ się chropawy głos obok Jasona.

Chłopak zerknął przez ramię i zobaczył Tarka ubranego w hawajską koszulę i sandały. Nie licząc stroju, wyglądał dokładnie tak, jak Jason się spodziewał.

– Jak się tu znalazłeś? – spytał Jason, a panika ustąpiła miejsca ciekawości.

Tark wzruszył ramionami, patrząc na wznoszącą się ścianę wody.

– Zasłużyliśmy sobie na to, wiesz? To się właśnie dzieje, kiedy odgryziesz więcej niż jesteś w stanie przełknąć.

– Możemy uciekać – powiedział Jason. – Możemy spróbować.

Tark złapał go za ramię, a dłoń miała tak zimną, że aż parzyła.

– Lepiej zaakceptować nieuniknione.

Jason szarpał się i ciągnął, ale nie mógł wyrwać się z uścisku. Po raz pierwszy zauważył, że oczy Tarka są całkiem czarne.

– Czekaj no – powiedział, kiedy nagle zrozumiał. – To jest sen. Nie jesteś naprawdę Tarkiem. A mnie tu wcale nie ma.

Tark uśmiechnął się ponuro.

– Powiedz to fali.

Jason podniósł wzrok i zobaczył, że fala załamuje się nad nim – i nad całym wybrzeżem – fala będąca ukoronowaniem wszystkich fal, opadała naprzód, wyciągając się tak daleko za Jasona i mały parking, że z trudem wyobrażał sobie miejsce, które znalazłoby się poza jej zasięgiem.

Huk był taki, jakby Jason znalazł się w strefie zero w czasie wybuchu atomowego – tak głośny, że wiedział, że nigdy więcej niczego już nie usłyszy. Potem koziółkował bezradnie wśród wzburzonej wody, która przewalała się z niezmierzoną siłą. Natychmiast stracił wszelkie poczucie kierunków i odkrył, że nie jest w stanie powstrzymać słonej wody przed wtargnięciem do nosa i ust.

Jason obudził się z krzykiem, z zaciśniętymi powiekami, zlany potem, zwinięty w kłębek. Otworzył oczy i zorientował się, że patrzy na pozbawioną twarzy czarną głowę, która znajduje się o kilka cali od jego nosa, a wtedy wrzasnął znowu i cofnął się najdalej, jak zdołał. Ciemna postać, która kucała obok niego, wstała, cofnęła się o krok i znieruchomiała.

Jason odturlał się od niej roztrzęsiony, wdzięczny za światło przedświt, które zaczęło rozświetlać las.

– Wiedziałem, że to sen – wydyszał, próbując otrząsnąć się ze zgrozy, która go ogarnęła. Leżał na suchej ziemi. Mógł oddychać. – Był straszny i realistyczny, ale się zorientowałem. Wiedziałem, że to ty. Nie mogłem tego powstrzymać, ale wiedziałem, co jest grane.

Istota z cienia pozostała w bezruchu. Jason złapał się na tym, że doprowadza go do furii myśl, że ta pozbawiona głosu nieruchoma zjawia dostaje się do jego głowy i manipuluje jego snami. Nie cierpiał myśli, że cały dzień będzie za nim spokojnie szła, tylko po to, żeby zaatakować go mentalnie, kiedy

będzie najbardziej bezbronny.

Gotując się z wściekłości, Jason wstał chwiejnie. Postać nie drgnęła. Jason przypomniał sobie, jak szybko potrafi reagować zaatakowana. Jeśli zaatakuje ją fizycznie, sam może na tym ucierpieć.

Podszedł do cienia, stanął blisko, piorunując wzrokiem pustą twarz.

– Jesteś tchórzem! – wrzasnął. – Trzymaj się z dala od moich snów! Jeśli zamierzasz mnie zabić, to skończ z tym wreszcie. Mówię poważnie. O co ci chodzi? Dlaczego tu jesteś? Żeby przynosić koszmary? Czy to tylko dodatkowa usługa?

Postać zniosła tyradę bez najmniejszego drgnienia.

– Chcesz, żebym zaczął wątpić w przyjaciół? Żebym pożałował powrotu do Lyrianu? Chcesz mnie sprowokować, żebym cię zaatakował? Jesteś szpiegiem? Wszystko to razem wzięte?

Zjawy nie zareagowała – zupełnie jakby Jasona tam nie było.

Chłopak odwrócił się zniesmaczony. Po co marnuje oddech? Zupełnie jakby skarżył się manekinowi.

Rozdarty z powodu frustracji, kopnął kamyk w stronę zarośli.

– Nie jestem pewien, do czego zmierzasz – mruknął – ale myślę, że ci się udaje osiągnąć cel.

Rozdział 4

Zaklinaczka

Rachel siedziała na głazie z ogarkiem z ręki. Wypowiedziała cicho krótką edomicką frazę. Patrząc bacznie na knot, siłą woli sprawiła, że stał się punktem centralnym rozkazu zawartego we frazie i nagle świeca zapłonęła.

Rachel zdmuchnęła płomyk. Smużka dymu poszybowała w górę.

Dziewczyna powtórzyła frazę, wysiliła wolę i płomyk znowu się pojawił. Uniosła nad nim dłoń i poczuła ciepło. Wykonała tę sztuczkę już setki razy, ale nadal czuła dreszczyk podniecenia, kiedy świeca się zapalała.

Zgasiła płomyk i znowu go zapaliła. Kiedyś ten wysiłek ją męczył, teraz to było łatwiejsze niż potarcie zapalką o draskę.

Zdmuchnęła płomyk.

Znowu go zapaliła.

Zdmuchnęła.

I znów przywołała.

– Zaczynasz być w tym za dobra – orzekł ktoś sucho.

Zaskoczona Rachel upuściła świecę i się odwróciła. Zobaczyła Drake’a, który stał nad nią z ciemnymi włosami związanymi w kucyk i beznamiętną twarzą.

– Lepiej zwolnij trochę, bo wkrótce to ty mnie zaczniesz instruować.

Upuszczona świeca zgasła. Rachel podniosła ją z ziemi.

– Powinieneś pozwolić mi rozpalić następne ognisko.

– Podejrzewam, że teraz już byś zdołała – zgodził się Drake – ale musimy ruszać.

– Znalazłeś kolejne znaki?

– Świeże. Prawie ją dogoniliśmy.

Rachel schowała świeczkę do torby. Wędrowała z Drakiem po tych wzgórzach od ponad tygodnia, szukając zaklinaczki. Drake upierał się, że to ich największa szansa pozbycia się tropiącego ich czatownika.

Odkąd rozstali się z Tarkiem, Drake poprowadził Rachel w głąb pustkowia. Tłumaczył, że ponieważ czatownik najwyraźniej tropi ich, służąc ich wrogowi, to im bardziej oddalą się od cywilizacji, tym będą bezpieczniejsi. Nadal miał nadzieję, że być może czatownik porzuci ich i pójdzie za Tarkiem albo zrezygnuje, znudzony bezowocnym pościgiem, którego końca nie było widać.

Obrana strategia pomogła im uniknąć innych sług cesarza, ale nawet wiele tygodni po tym, jak udali

się w dzicz, Drake nadal dostrzegał niekiedy torivora, który nie przestawał ich tropić. Nawet Rachel raz go widziała – ludzką sylwetkę, która przykucnęła na wysokim występie skalnym, podświetloną od tyłu przez księżyc.

Drake był w stanie dostarczać im wszystkiego, czego potrzebowali, kiedy wędrowali odizolowanymi górskimi dolinami i przez niezamieszkane lasy – ryby, ptactwo, sarninę, orzechy, jagody, grzyby i bąbelkowce, którymi się żywili. Konie także miały mnóstwo okazji, żeby pojeść trawę i napić się wody.

Po wielu dniach, kiedy czatownik ani ich nie zaatakował, ani nie odszedł, Drake przypomniał sobie o kobiecie, która kiedyś pomogła mu ocalić przyjaciela od choroby zżerającej mu ciało. Drake zapytał ją wtedy, jak udaje się jej posługiwać edomickim, nie ściągając na siebie uwagi cesarza. Odpowiedziała, że Maldor doskonale zdaje sobie sprawę z jej istnienia, ale ona ma sposoby, żeby unikać torivorów, co pozwala jej praktykować swoją sztukę w spokoju.

Opierając się na wspomnieniach i nadziei, że zaklinaczka nadal mieszka w tej samej okolicy, w której odnalazł ją lata temu, Drake poprowadził Rachel na południe, na zalesione wzgórza na zachód od sporego zbiornika wodnego zwanego jeziorem Jepson. Wyjaśnił, że zaklinaczka dużo wędruje, ale zostawia zaszyfrowane znaki, więc ci, którzy potrzebują jej usług, mogą ją odnaleźć.

Po kilku bezowocnych dniach wędrówki Drake rozpoznał jej znaki na głazie i chociaż trop był zimny z każdym kolejnym dniem, twierdził, że znaki są coraz nowsze. Każdy zbiór znaków wydawał się Rachel bzdurą, ale Drake wyjaśnił jej, że o ile większość oznaczeń nie ma sensu i służy tylko odwróceniu uwagi, kilka zawiera jasne wskazówki, jeśli się wie, jak je odczytać. Kiedy zapytała go, na czym polega sekret, powiedział, że zaklinaczka sama będzie musiała jej powiedzieć, ponieważ przysiągł, że nigdy nie zdradzi, jak odszyfrowuje się znaki.

W czasie minionych tygodni Rachel robiła co w jej mocy, żeby nie skupiać się na tym co nieprzyjemne. Starła się nie liczyć, ile dni upłynęło, odkąd spała w łóżku. Próbowwała bagatelizować to, ile razy było jej za gorąco, za zimno, ile razy była zbyt obolała albo zbyt brudna. Usiłowała ignorować to, jak często zmuszona była jeździć konno, biegać, pływać albo wspinać się mimo wyczerpania, które normalnie wymogłoby na niej odpoczynek. Odsuwała myśli o rodzicach. Próbowwała zapomnieć o nieskończonych udogodnieniach nowoczesnej Ameryki, które kiedyś uznawała za naturalne.

A w szczególności starała się nie myśleć o Jasonie.

Za każdym razem, kiedy jej myśli kierowały się ku niemu, to było jak rozdrapywanie zainfekowanej rany, zwiększanie bólu bez realnej nadziei na poprawę. Mimo to, często nie mogła się oprzeć pokusie. W chwilach strachu albo niewygody zastanawiała się, o ile jemu jest gorzej, kiedy gnije w jakieś brudnej celi w lochach Felrook. Wyobrażała sobie, że marznie, jest głodny i samotny. Wyobrażała sobie, jak znosi bezlitosne tortury.

I modliła się, żeby nadal żył.

Wspięła się na konia, kiedy Drake dosiadł swojego. Ruszył pierwszy zalesionym stokiem w dół, do doliny za wzgórzem. Zatrzymał ogiera koło stosu głazów. Rachel do niego podjechała.

– Widzisz ten zagajnik na drugim końcu doliny? – spytał.

Rachel pokiwała głową.

– Następne znaki są tak blisko?

– Nie. O ile się nie mylę, tam powinniśmy znaleźć zaklinaczkę.

– Naprawdę?

Strzelił wodzami i jego koń pogalopował przed siebie. Rachel ruszyła za nim, ponaglając klacz, by także pocwałowała. Dno doliny pod nią zamieniło się w rozmazaną plamę. Była dobrym jeźdźcem przed przybyciem do Lyrianu, ale po tygodniach ucieczki, często konno, jazda stała się dla niej czymś zupełnie naturalnym.

Przyjemnie było pozwolić koniowi pędzić najszybciej, jak może, nawet jeśli nie miała nadziei dotrzymać kroku Drake'owi.

Od tygodni nie zmuszał Mandibara do pełnego galopu i Rachel niemal zapomniała, jak szybko potrafi biec ten ogier.

Drake zwolnił do kłusa, kiedy dotarł do skraju zagajnika. Rachel też zwolniła, gdy tylko go dogoniła.

– Co to miało znaczyć? – spytała.

Uśmiechnął się do niej krzywo.

– Może chciałem ci przypomnieć, kto ma najszybszego konia.

– Może po prostu jesteś w dobrym humorze.

Wzruszył ramionami.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz. – Poklepał ogiera. – Nawet się nie zmęczył. Nigdy nie jeździłem na rumaku, który by mu dorównywał. Może i nie przepadałem za Kimpem, ale muszę przyznać, że miał doskonały gust, jeśli idzie o wierzchowce.

– Niech spoczywa w kawałkach – odparła z powagą Rachel.

Drake zarechotał, zasłaniając usta ręką.

– Szkalowanie zmarłych przynosi pecha.

Powiedziała ten żart już parę razy i powtarzała go tylko dlatego, że zawsze wywoływał uśmiech u Drake'a.

– Nie bądź cykorem. Chciał tobą nakarmić psy. Sam się o to prosił.

Zauważyła także, że bawiło go, gdy mówiła jak twardziel. W głębi duszy, mimo żarcików, nadal prześladował ją widok Jashera i Kimpa rozrywanych na kawałki, kiedy kula orantium przypadkiem wybuchła na łące koło Harthenham.

Drake zsiadł z konia i złapał wodze Mandibara.

– Wprowadźmy konie głęboko w zagajnik, zanim je przywiążemy. Nie podoba mi się, jak blisko osiedli się znaleźliśmy.

Rachel zsiadła i poprowadziła klacz do zagajnika.

– Jak namówimy zaklinaczkę, żeby nam pomogła?

– Poprosimy – odpowiedział Drake. – Ten jedyny raz, kiedy ją odwiedziłem, gdy uleczyła mojego przyjaciela Kaleba, nie przyjęła żadnej zapłaty. Rozumiem, że albo nam pomoże, albo nie. Spodziewam się, że pomoże, jeśli będzie w stanie.

Przywiązali konie i Rachel poszła za Drakiem w głąb zagajnika. Nasiennik nie zdejmował ręki z miecza. Drzewa nie były zbyt wysokie, ale miały grube pnie o głęboko pożło-bionej korze. Ciężkie, poskręcane konary splatały się w górze. Rachel wyobrażała sobie, że po zmroku to miejsce musi wyglądać jak nawiedzone.

Poszycie było wystarczająco rzadkie, żeby szli bez ścieżki. W końcu Drake dał znać, żeby Rachel się zatrzymała. Wskazał w górę i dziewczyna zobaczyła długi sznur kolorowych paciorków okręcony wokół narośli na grubym drzewie. Na końcu sznura wisały trzy pierzaste obręcze.

– Co to jest? – szepnęła Rachel.

– Zaklinaczko! – zawołał Drake, podnosząc głos tak, że Rachel aż się wzdrygnęła. – Spotkaliśmy się już kiedyś! Pociesz nas, proszę, w godzinie próby!

Poczekali. Drake położył palec na ustach, żeby Rachel się nie odzywała.

– Możecie przejść – padła odpowiedź długo po tym, jak Rachel przestała już się jej spodziewać.

Dźwięczny kobiecy głos brzmiał młodziej, niż Rachel oczekiwała.

Drake przeprowadził ją obok sznura malowanych koralików. Kiedy szli, Rachel zauważała różne świecidełka – niektóre z metalu, inne z kości albo z kamienia – zwieszające się z innych drzew i krzewów.

Dotarli do małej polany. Pośrodku czekał wielki namiot z pozszywanych kawałków zwierzęcych skór w różnych odcieniach szarości i brązu. Głowa wilka nadal doczepiona do skóry zwieszała się nad wejściem. Drobne wyrzeźbione figurki otaczały namiot luźnym kręgiem.

Pojawiła się kobieta, wyższa od Rachel, ale zgarbiona, o skołtunionych srebrzystych włosach i twarzy zbyt młodej i gładkiej, żeby pasowała do pokrytych plamami pomarszczonych dłoni. Nosiła niezgrabne brązowe ubranie przewiązane w pasie i kolorowy szal. W jednej pokrzywionej ręce trzymała kostur ozdobiony na czubku zwieszającymi się świecidełkami, które podzwaniały przy każdym ruchu.

– Drake – powitała go melodyjnym głosem. – Wierzyłam, że jeszcze się spotkamy.

– Nie stawiałbym na to – powiedział. – Do niedawna spodziewałem się, że zgniję i umrę w Harthenham.

– Przyprowdziłeś gościa – powiedziała zaklinaczka. – Jak się nazywasz, skarbie?

– Rachel.

Kobieta znowu skupiła uwagę na Drake'u.

– Czego potrzebujesz?

– Ściga nas czatownik.

Kobieta zmrużyła oczy.

– Tak. Wyczuwam jednego w pobliżu. Minęły lata, odkąd Maldor wysłał torivora.

– Możesz nam pomóc? – spytał Drake.

– Ściągnąłeś na mnie ogromne niebezpieczeństwo, ale co się stało, to się nie odstanie. Zobaczymy, czy zdołam wam pomóc. Zdejmijcie buty.

Drake ściągnął buty z miękkiej skóry, a Rachel przykucnęła, żeby rozsznurować swoje. Kobieta wsunęła każdemu przez głowę sznur ciemnych paciorków przetykanych zębami, mamrocząc coś cicho.

Cofnęła się i zaprosiła ich do namiotu. Rachel schyliła głowę i weszła boso. Trzy wielkie niedźwiedzie skóry leżały na ziemi. Wyrafinowane ruchome konstrukcje składające z najróżniejszych delikatnych wirujących ornamentów i kryształów zwieszały się z sufitu. Proste lalki z drewna i włóczki siedziały krzywo naprzeciwko wejścia w rzędzie. Kadzidła płonęły wewnątrz pustych posągów, aromatyczny dym sączył się przez małe dziurki, a uderzająca do głowy woń łączyła się z ziemistymi zapachami popiołu i starej skóry.

Zaklinaczka przysiadła na niskim stołku i wskazała gestem, żeby Drake i Rachel usiedli na niedźwiedzych skórkach. Gęste futro było miękkie w dotyku.

– Od jak dawna torivor was ściga? – spytała kobieta, patrząc na Drake’a.

– Od pięciu tygodni.

– Doprowadził do was żołnierzy?

– Tak, dopóki nie wyprowadziłem Rachel na pustkowie.

– Torivor pozostał z wami?

– Nadal go widuję. Niezbyt wyraźnie i nie za często, ale stale.

Kobieta potarła monetę z dziurką przeplecioną przez rzemyk, który nosiła na szyi.

– Kiedy po raz ostatni go widziałeś?

– Zeszłej nocy – odpowiedział Drake.

– Odwiedzał twoje sny?

– Nie.

Zaklinaczka zwróciła się do Rachel.

– A twoje?

– Skąd miałabym wiedzieć?

– Wiedziałybyś. Kobieta znowu skupiła uwagę na Drake’u. – Bardziej chodzi mu o ciebie czy o nią?

– Niemal na pewno o nią.

– Dlaczego?

Drake zerknął zakłopotany na Rachel.

– Nie jestem pewien, czy możemy wyznaczyć dlaczego, zaklinaczko. To by naraziło cię na wielkie niebezpieczeństwo.

Kobieta wybuchła głośnym śmiechem.

– Nie mogę znaleźć się już w większym niebezpieczeństwie. Cesarz prześladowa mnie od lat, a ty doprowadziłeś do mnie torivora. Mów szczerze. Im więcej wiem, tym lepiej mogę pomóc.

– Dziewczyna jest ze świata Poza – wyjaśnił Drake. – Zna wszystkie sylaby słowa, które może zniszczyć Maldora.

Kobieta przyjrzała się Rachel z zainteresowaniem.

– Słyszałam o tym słowie. Masz je całe?

– Tak – odpowiedziała Rachel. – Tak samo jak mój przyjaciel Jason, także Pozaświatowiec. Został schwytyany przez Maldora i wygląda na to, że nie miał szansy wykorzystać Słowa.

– Możliwe, że nie żyje – powiedziała zaklinaczka.

Łzy zamgliły wzrok Rachel.

– Możliwe.

– Myślę jednak, że żyje – wtrącił Drake. – Uderzył w gong i został wpuszczony do Felrook. Maldor nigdy nie pozbywa się szybko znaczących wrogów, gdy już ich schwytą.

– Byłaś blisko z tym Pozaświatowcem? – spytała łagodnie zaklinaczka Rachel.

– Staliśmy się sobie bliscy – odpowiedziała dziewczyna, starając się zapanować nad emocjami. Już dość się napłakała nad losem Jasona. Nie było powodu robić sceny przy nieznajomej. – Ledwie znałam go w świecie Poza. Spotkałam go dopiero tutaj.

– Dzięki jakiej mocy przybyłaś tu ze świata Poza? Większość przejść zamknięto dawno temu.

Rachel opowiedziała, jak przebiegła za motylem pod naturalnym skalnym łukiem i znalazła się w Lyrianie w pobliżu chaty zaklinaczki zaklęć Erindy, w tym samym dniu, w którym samotna kobieta umarła. Rachel wspomniała także, że zdaniem Ślepego Króla to Erinda ją wezwała.

– Intrygujące – powiedziała kobieta. – Erinda była kiedyś moją uczennicą. Od dawna zastanawiałam się, co u niej. Zawsze ogromnie się interesowała światem Poza. Zdobyłaś edomickie słowoklucz. Masz jakieś doświadczenie w mówieniu po edonicku?

Rachel zamrugła.

– Niewielkie.

– Dziewczyna potrafi przyzywać ogień – wyjaśnił Drake.

– Doprawdy? – Kobieta oblizwała usta i spojrzała baczniej. – Kto nauczył cię tego sekretu?

Rachel zerknęła na Drake’a.

– Ja – przyznał.

– A jaki interes ma członek ludu Amar Kabał w mówieniu po edonicku? – zapytała ostro kobieta.

– Jestem wygnańcem – odpowiedział Drake. – Parałem się wieloma rzeczami niezwykłymi dla mojego ludu.

– Znasz proroctwo – naciskała kobieta. – Kiedy Lud Nasiona pozna język edomicki, nadejdzie jego koniec.

Drake uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie jestem już pośród moich ludzi. Wolę uznać, że ja się nie liczę. Poza tym, każdy widzi, że nasz koniec już nadszedł. Równie dobrze możemy odejść, walcząc.

– Być może. – Zaklinaczka zadumała się, głaszcząc brodę dłonią pokrytą starczymi plamami, niepasującą do znacznie młodszej skóry na twarzy. – Jednak niezależnie od proroctw czarnoksiężskie rasy zwykle nie wykazują specjalnych uzdolnień w edomickim.

– Nie jestem tkaczem zaklęć. – Drake się naburmuszył. – Edomicki nie przychodzi mi łatwo. Znam kilka praktycznych sztuczek.

– Ile czasu potrzebowała, żeby się nauczyć?

– Zobaczyła pewnego wieczoru, jak przyzywam żar, żeby rozpalić ognisko. Zapytała, jak to zrobiłem, więc jej powiedziałem. Tego samego wieczoru zapaliła świeczkę.

– Tego samego? – zdziwiła się zaklinaczka. – A ile czasu ty potrzebowałeś, żeby zapalić pierwszą świeczkę, Drake?

– Wielu lat ćwiczeń. Najwidoczniej dziewczyna ma nadzwyczajny talent.

Kobieta przyjrzała się podejrzliwie Rachel.

– Gdzie wcześniej studiowałaś edomicki?

– Nigdzie. Nigdy. Znam sylaby słowa, które może zabić Maldora. Poza tym, pierwsze edomickie słowa, jakie usłyszałam, wypowiedział Drake.

– A to było jak dawno temu?

– Kilka tygodni.

– Możesz zapalić świeczkę, kiedy zechcesz?

– Właściwie tak.

– Pokaż mi. – Kobieta wstała, wzięła długą czerwonawą świecę, wręczyła ją Rachel i znowu przysiadła na stołku.

– Teraz?

– Kiedy zechcesz.

Rachel poczuła niewielką treść. Nigdy nie robiła tej sztuczki, kiedy jej się przyglądano. Kobieta mówiła tak, jakby zapadnie świeczki edomickim słowem było trudną do opanowania sztuką. Sceptycyzm Rachel powiększył jej zdenerwowanie. Metchnęła. Robiła to setki razy. Wypowiedziała słowa, skupiła się na knocie i płomyk zapłonął.

– Niezwykłe – powiedziała zaklinaczka. – Zdmuchnij. – zachnęła na Drake’a. – Postaw świecę na drugim końcu namiotu.

Rachel oddała mu świecę, którą Drake zaniósł we wskazane miejsce.

– Zapal ją – poleciła zaklinaczka.

– Nigdy nie próbowałam z tak daleka – wyjaśniła Rachel.

– Idea się nie zmienia – wyjaśniła kobieta. – Wezwij żar do cnota.

Rachel wypowiedziała słowa, koncentrując się na knocie. Pokuła niewytłumaczalny opór, jak za pierwszym razem, kiedy próbowała zapalić świecę, posługując się językiem edomickim. Jej skupienie zaczęło słabnąć, jakby jakaś siła odciągała jej wzrok od celu, ale podwoiła wysiłek, włożyła w niego

więcej woli i wyszeptała słowa ponownie. Na drugim końcu pomieszczenia zamigotał nowy płomień.

– To było trudniejsze – powiedziała Rachel, ocierając pot z czoła.

Zaklinaczka przyjrzała jej się z ciekawością.

– A jednak zrobiłaś to tak, że wydało się łatwe. – Spojrzała na Drake’a. – Istnieje szansa, że Rachel zostanie u mnie jako uczennica?

– Musiałabyś ją zapytać – odpowiedział nasiennik, ściągając lekko brwi.

– A zatem? – spytała kobieta.

Rachel poczuła podenerwowanie i dumę. Czy to znaczyło, że robi wrażenie kogoś, kto ma prawdziwe zadatki na adepta edomickiego? Byłoby cudownie nauczyć się więcej, ale chwila wydawała się niewłaściwa.

– Nie sądzę, żebym mogła. Musimy wymyślić, jak ratować Jasona, i muszę dotrzeć do Maldora, żeby wykorzystać Słowo. No i muszę odnaleźć drogę do domu.

– Mogę dać ci schronienie, będziesz tu tak bezpieczna, na ile to możliwe w Lyrianie – odpowiedziała kobieta. – Ucz się u mnie przez rok, a staniesz się znacznie potężniejsza. Nauczysz się przyzywać ogień z nienaturalną łatwością. Dla większości słowa, które wypowiadasz, niosą tylko znaczenie. Żar usłyszałby, ale nie zareagował. Jeśli będziesz dalej uczyć się tak, jak zaczęłaś, przewyższysz umiejętnościami wszystkich adeptów, jacy pozostali w Lyrianie.

Rachel zerknęła na Drake’a.

– To najwyższa pochwała – przyznał nasiennik. – Zaklinaczka nie zaprosiłaby cię pochopnie. Ani nie zachęcałaby w podobny sposób.

Rachel zacisnęła usta.

– Chwileczkę. To dlatego tak naprawdę przyprowadziłeś mnie tutaj? Żeby sprawdzić, czy mogę zostać czarnoksiężnikiem?

Drake wzruszył ramionami.

– Ciekawiła mnie jej opinia na temat twoich zdolności.

I musimy pozbyć się tego czarownika. Obie potrzeby szły ze sobą w parze.

– Tylko jedna osoba w Lyrianie mogłaby pomóc ci zostać prawdziwym czarnoksiężnikiem – powiedziała zaklinaczka – ale Wlaldor nie bierze uczniów. Niszczy wszystkich, którzy dążą do poznania edomickiego. Większość naszej wiedzy na ten temat zaginęła. Tylko drobne strzępy tego, co kiedyś wiadano, są przechowywane przez pojedyncze osoby takie jak ja. Jednakże nadal jest mnóstwo rzeczy, których mogę cię nauczyć.

– Co o tym myślisz? – spytała nasiennika Rachel.

– Znalazłaś się w trudnym położeniu – odpowiedział Drake. – Dawno już Maldor nie ścigał z podobnym zacięciem żadnego buntownika. Obecność torivora to potwierdza. Masz nadzieję powrócić do świata Poza, ale nie mamy pojęcia, jak tego dokonać. Pragniesz uratować Jasona, ale obecnie nie mamy żadnej realnej szansy, by tego dokonać. Jeśli jednak zdobędziesz większą moc... Kto wie, jakie

możliwości może przedstawiać przyszłość?

Rachel pochyliła głowę. Zgoda na naukę u zaklinaczki oznaczałaby pogodzenie się z pewnymi niewygodnymi faktami. Znaczyłaby, że Jason pozostanie w Felrook przez długi czas. Że ona pozostanie w Lyrianie przez długi czas. Właściwie to podjęcie nauki może być pierwszym krokiem w pogodzeniu się z tym, że pozostanie w Lyrianie do końca życia.

Jednakże czy to nie było po prostu pogodzenie się z rzeczywistością? Jasona schwytano. Mógł już nie żyć. Nikt nie znał drogi powrotnej do Poza. Cesarz znajdował się poza ich zasięgiem. Niezależnie od tego, czy Rachel będzie studiowała edomicki, czy nie, znajdowała się w poważnych kłopotach. Miała niewielki wybór. Jeśli ta kobieta była w stanie zapewnić jej bezpieczną przystań i w tym czasie zwiększyć jej szanse samodzielnego przetrwania, to czy nie powinna skorzystać z okazji?

Poza tym, przecież ciekawiło ją, czego jeszcze byłaby w stanie dokonać, posługując się edomickim. Jeśli zapalenie świecy wywoływało pełen radości dreszczyk, to jak się poczuje, kiedy opanuje bardziej imponujące umiejętności? Czy nie marzyła o podnieceniu płynącym z tego, że kilka słów popartych jej siłą woli uruchamiało siły natury?

Rachel załamała ręce. Czy chciała studiować język edomicki? Zdecydowanie. Może nawet za bardzo. Może tak bardzo, że wszystkie inne powody w jej głowie były tylko pretekstami.

– Zostaniesz ze mną? – spytała Drake’a.

– Jeśli zaklinaczka pozwoli – odpowiedział.

Kobieta się roześmiała.

– Naprawdę się zmieniłeś. Dobro tej dziewczyny jest dla ciebie najważniejsze?

– Moje nasiono się popsło – wyjaśnił spokojnie, masując kark. – To moje ostatnie życie. Wiele zmarnowałem. Nie potrafię wymyślić lepszego sposobu na wykorzystanie ostatniego niż pomoc Rachel w zniszczeniu Maldora. Ona i słowo, które zdobyła, to nasza największa szansa.

– W takim razie zapraszam cię, byś pozostał przez cały okres jej nauki. – Zaklinaczka przyjrzała się Rachel. – Istnieją granice tego, czego mogę cię nauczyć. Większość moich umiejętności wiąże się z urokami. Takie zaklęcia wymagają czasu i cierpliwości, by je utkać, a także specyficznych uzdolnień w edomickim, jakich jeszcze u nikogo innego nie napotkałam. Może się okazać, że twój największy talent to przywoływanie żaru. Tylko czas pokaże, jak daleko możesz wykorzystać swój talent i czego jeszcze możesz się nauczyć. Jednak z pewnością mogę cię nauczyć nowych fraz, pomóc ci wyszlifować talenty i przestrzec przed niebezpieczeństwami związanymi z posługiwaniem się edomickim.

– Niebezpieczeństw?

Kobieta się zachnęła.

– Niebezpieczeństwo narasta, w miarę jak rosną twoje możliwości. W największym skrócie najłatwiej i najbezpieczniej używać edomickiego do wykonania zadań, które możesz wykonać bez edomickiego. Zapalenie świecy to dobry przykład. Mając właściwe rzeczy, sama zapaliłabyś świecę bez najmniejszej trudności. Edomicki jest zwyczajnie wygodniejszy. Jeśli nie uda ci się zapalić za jego

pomocą świecy, skromna ilość energii, którą włożyłaś w rozkaz, zwykle rozprasza się bez szkody. Jeżeli jednak spróbujesz wezwać tyle ognia, żeby pożarł na raz cały stóg siana, w grę będzie wchodzić znacząco więcej energii. Jeśli stracisz nad nią panowanie, może zapalić się coś, czego nie zamierzałaś podpalać, w tym ty sama. Poza tym, jeśli bardziej ambitny rozkaz nie uda się jak należy, porażka może uszkodzić twój umysł, być może nawet na zawsze okaleczając twoją świadomość. W przypadku znaczącej ilości mocy, w grę wchodzi wiele potencjalnych zagrożeń.

– I dlatego właśnie zawsze wydaję proste polecenia – mruknął Drake.

– Roztropne podejście – przytaknęła kobieta.

– Trudniej było zapalić świecę, kiedy znajdowała się na drugim końcu namiotu – zauważyła Rachel. – Musiałam dwa razy wypowiedzieć słowo.

– Wiele czynników, w tym odległość, komplikuje edomicki rozkaz. Powtarzanie edomickich słów rzadko przynosi upragniony efekt, co najwyżej pomaga nieco umysłowi ponaglić żar, by wykonał rozkaz. Kiedy raz je wypowiesz, wykorzystuj wolę, by wymóc posłuszeństwo.

– To dziwne myśleć, że spieram się z żarem – uznała Rachel.

– Nie w taki sposób, w jaki spierałabyś się z Drakiem – wyjaśniła zaklinaczka. – Ciepło nie ma intelektu porównywalnego do twojego czy mojego, ale pojmuje język edomicki. Wieki temu ten świat został stworzony przez wielkiego mistrza tego języka. Edomicki jest w równym stopniu rozumiany przez materię, energię i inteligencję. Jednakże, jak wkrótce zaczniesz odkrywać, sprawić, by żar zrozumiał twoje intencje, to jedno, ale zmusić go do posłuszeństwa to już co innego.

Rachel zmarszczyła brwi.

– Musiałam w pewnym sensie nacisnąć wolę, żeby świeca się zapaliła. Trudno to wyjaśnić.

– Bardzo trudno – potwierdziła kobieta. – W przeszłości uczeni próbowali opanować edomicki jako sposób porozumiewania się. Wielu nazywa to niższą formą posługiwania się tym językiem. Wyższa polega na mówieniu w nim na tyle autorytatywnie, żeby zmusić materię i energię do posłuszeństwa. Niektórzy, zwłaszcza niedoinformowani, nazywają to magią. Nazywaj to jak chcesz. O ile uczeni się porozumiewali, o tyle czarnoksiężnicy rozkazywali.

– A skąd ta różnica? – spytała Rachel. – Co czyniło czarnoksiężników wyjątkowymi?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nikt nie znalazł satysfakcjonującej odpowiedzi. A z pewnością nie takiej, której można by kogoś nauczyć. Ma to wiele wspólnego z siłą woli mówiącego. Ma też związek z wiarą, inteligencją, doświadczeniem, pasją, odwagą, wyobraźnią, determinacją i wieloma innymi przymiotami. Rozkazywanie w edomickim daje się także opierać na wrodzonym, nieodzownym darze, który mają tylko nieliczni. Z pewnym wysiłkiem większość ludzi może nauczyć się przynajmniej podstaw edomickiego. Jednak żadna ilość nauki nie sprawi, że osoba, zamiast mówić, zacznie rozkazywać w tym języku. O ile szkolenie może zwiększyć umiejętność rozkazywania w edomickim, o tyle zdaje się, że nic nie zastąpi samego nieoszlifowanego daru.

– A ja go mam – powiedziała cicho Rachel.

– Z pewnością – potwierdziła kobieta. – Chcesz nauczyć się czegoś więcej? Zatrzymasz się u mnie na lato, żeby zbadać swój potencjał?

– Tak – powiedziała Rachel. – Zrobię co w mojej mocy.

Zerknęła na Drake’a, który skinął głową z aprobatą.

– Dobrze więc – orzekła zaklinaczka. – Naszym pierwszym zadaniem musi być zmylenie torivora. Żebyś mogła ze mną zostać, musimy się rozstać.

– Co masz na myśli?

– Uroki, które chronią mnie przed torivorami i innymi sługami cesarza, działają głównie na zasadzie unikania i zmylania. Nie osłonią ani mnie, ani nikogo innego na dłużej przy baczynym badaniu. Dla dobra nas wszystkich, musimy zmylić trop.

– Jak to zadziała? – zaciekała się Rachel.

Zaklinaczka mrugnęła do niej.

– Patrz się i ucz.

Rozdział 5

Czatownik

Jason wędrował szarą plażą pełną gładkich, okrągłych otoczków. Kamienie potęgowały huk fal uderzających o brzeg, przesuwały się z cichym grzechotem przy każdym kroku. Przed Jasonem szeroki strumień przecinał ścieżkę, wpadając do morza.

Kiedy Jason dotarł do strumienia, przyklęknął i napełnił manierkę, a potem wypił spory łyk wody. Wdychając głęboko pachnące solą powietrze, potarł zmęczone oczy. Dotarł do plaży poprzedniego ranka, ale krótko spał ostatniej nocy z powodu koszmarów, które natychmiast go dopadły. Jechał kolejką górską, kiedy potężne tornado opadło na park rozrywki. Wydarzenia przybrały wyjątkowo paskudny obrót i robiły wrażenie niezwykle realnych.

Dlatego, korzystając ze światła księżyca, znowu ruszył na wschód wzdłuż północnego brzegu półwyspu, szedł aż do świtu i potem, kiedy nastał dzień. Za kilka godzin znowu zapadnie noc. Wiedział, że będzie musiał spróbować się przespać, ale chociaż był zmęczony, wątpił, czy uda mu się odpocząć.

Obejrzał się na pozbawioną rysów postać, stojącą cicho na kamieniach. Pan Bez Komentarza, milczący intruz w jego snach. Jason wiele razy oglądał się, idąc kamienistą plażą. Ani jeden kamień nie zagrzechotał ani nie zastukał, kiedy ciemna postać po nich deptała.

Jason zdjął buty i skarpetki, podwinął dżinsy i przeszedł przez strumień. Ciemna postać nie poszła za nim. Jason usiadł na drugim brzegu i poczekał, aż stopy mu wyschną, zanim włożył z powrotem skarpetki i buty.

Odszedł, oglądając się na ciemną postać. Wkrótce dzieliło ich ponad sto jardów, a ona nadal się nie ruszała. Czyżby woda ją onieśmiałała? Przechodzili już wcześniej strumienie, ale nic równie szerokiego jak ten potok.

Zerkając przed siebie, Jason zdał sobie sprawę, że nadmorskie kamienie stają się coraz większe. Wkrótce kamienista plaża stanie się zbyt niebezpieczna, żeby nią szybko iść, więc postanowił skrócić nieco bardziej w głąb lądu i ruszyć równolegle do niej. Zerknął w stronę potoku i zdumiony zobaczył, że ciemna postać stoi niecałe dziesięć kroków za nim.

Jak długo nie zerkał? Cztery, pięć sekund? Może sześć? Stwór był szybki. Przekroczył strumień i przebył co najmniej sto jardów kamienistej plaży bez najmniejszego hałasu.

– Popisujesz się? – spytał Jason.

Pozbawiona wyrazu postać nie udzieliła wyjaśnienia.

Mniej więcej godzinę obchodził kamieniste wybrzeże, aż kamienie zamieniły się w cętkowany, różowy piasek, a wtedy wrócił z porośniętych krzakami terenów dalej od brzegu na plażę. Od czasu do

czasu głązy przerywały linię brzegową – udręczone kształty podziurawione nieregularnymi otworami. Liściaste sznury półprzezroczystych wodorostów walały się na drodze Jasona, tworząc przypadkowe stosy. Łyżkodziobe nadmorskie ptaki śmigały po płyciznach, podrywając się do lotu, kiedy fale przeszkadzały im w żerowaniu. Kolorowe odłamki połamanych muszli zaśmiecały piasek blisko wody, niektóre pękały pod butami Ja-sona.

W Ameryce takie piaszczyste wybrzeża byłyby popularnymi miejscami urlopowymi albo upragnionymi działkami pod plażowe domki. Już sobie wyobrażał maluchy bawiące się w piasku, podczas gdy ich starsze rodzeństwo szaleje na deskach, a rodzice wykładają przekąski pod wielkimi parasolami.

Szedł łagodnie zakręcającą plażą. Daleko przed nim pojawiła się wioska, znajdująca się na łagodnym wzniesieniu blisko brzegu. Osadę otaczała palisada z drewna pobielełego od słońca, wiatru i soli. Wioska składała się z może trzydziestu domów i paru większych budynków. Jasonowi ulżyło na widok ludzkiej osady. Poczł się mniej zagubiony. Nadmorska osada była za mała jak na Ithilum i brakowało jej prawdziwego portu, ale kilka małych łodzi rybackich tłoczyło się w pobliskiej zatoczce za falochronem.

Opierając się o zniekształcony głaz, Jason przystanął, żeby przyjrzeć się wiosce. Dym unosił się z kilku kominów. Gdzieś zaszczekał pies.

Jason skrzyżował ręce na piersi. Oczy go szczypały. Nie spał pierwszej nocy w Lyrianie i w zasadzie nie zmrużył oka ostatniej. Kończyło mu się jedzenie, a poza tym chciałby zjeść coś innego niż batonik muesli. Patrząc na wioskę, bez trudu wyobraził sobie łóżka i ciepłą strawę.

Osady w Lyrianie zawsze przynosiły mu pecha. Ludzie nie ufali obcym, a Jason wątpił, czy widmowy towarzysz sprawi, że ludzie wykażą więcej dobrej woli niż zwykle. Jednakże wioska dysponowała zasobami, a Tark dał mu mnóstwo pieniędzy.

Rozważając, czy odwiedzić wioskę, przyjrzał się łodziom w osłoniętej zatoczce. Potem zerknął na mrocznego towarzysza.

Ziemna postać zawahała się, kiedy trzeba było przejść potok. I gdyby tak Jason wykupił przeprawę łodzią do Ithilum? Może, podróżując wodą, pozbyłby się stwora? A poza tym pewnie szybciej dotarłby na miejsce łodzią niż piechotą. Nawet jeśli rzadko kiedy zamawiano taki przewóz, odpowiednia ilość pieniędzy z pewnością przekonałaby jakiegoś biednego rybaka do udzielenia pomocy.

Im dłużej Jason rozważał ten pomysł, tym bardziej mu się podobał. Jeśli reakcja olbrzymów stanowiła wskazówkę, to śledząca go ciemna postać sprawi, że nikt w wiosce nie będzie z nim zadzierał. Może ktoś potwierdzi, czy ten stwór to czatownik. A może Jason będzie miał szczęście i stwór po prostu poczeka za palisadą.

Jason ruszył w stronę opalisadowanej wioski. Zauważył kilku mężczyzn na brzegu w pobliżu zatoczki, pracujących przy wielkich sieciach. Bitą drogą prowadziła zakosami znad morza do drewnianej bramy w palisadzie. Jason podszedł do wejścia, a ciemna postać trzymała się go bliżej niż typowa dla niej odległość dziesięciu kroków. Ogromne rybie szczęki wisiały rozdziawione po obu stronach zamkniętej

bramy, ukazując nierówne, trójkątne zęby. Obie były wystarczająco duże, żeby połknąć człowieka w całości. Albo przegryźć go na pół.

Jason zbliżył się do bramy, która była niższa od reszty częstokołu. Mała drewniana wartownia stała na palach obok wejścia.

– Halo?! – zawołał Jason.

Starszy mężczyzna o krzaczastych bokobrodach pojawił się w okienku wartowni. Zerknął na Jasona, a potem wytrzeszczył oczy na widok stojącej za nim ciemnej postaci.

– Co za diabelstwo prowadzisz ze sobą?

Jason zerknął przez ramię, udając zaskoczonego.

– O, rety! Wie pan, sam nie wiem. Nie jesteśmy razem.

Mężczyzna spojrzał sceptycznie na Jasona.

Chłopak znowu zerknął przez ramię, jakby był zdenerwowany i zakłopotany. Spojrzał na mężczyznę.

– On mi się nie podoba. Mogę wejść?

– Omiń, proszę, naszą wioskę – powiedział mężczyzna, nie spuszczając wzroku z mrocznej postaci. – Jesteśmy prostymi ludźmi.

– On nie jest ze mną – upierał się Jason. – Uznałem, że jest stąd. Może uchyli pan trochę bramę, żebym się precisnął?

– Nie zrzucaj swojego nieszczęścia na naszą społeczność – błagał wieśniak.

– Przykro mi, ale muszę wejść. Takie mam rozkazy z piekieł.

Mężczyzna zniknął z okna. Dzwon na szczycie wartowni rozbrzmiał trzy razy, potem znowu trzy razy i na koniec jeszcze trzy razy. Jason usłyszał, jak mężczyzna odbiega od bramy, krzycząc ochrypłym głosem:

– Uciekać! Kryć się! Śmierć stoi u bram! Do środka! Pozamykać okna! Zabarykadować drzwi!

Brama miała maksymalnie siedem stóp wysokości. Jason się wahał. Wyraźnie nie chciano go tutaj. Jednakże strażnik wyglądał na przerażonego – zdecydowanie za bardzo przerażonego, żeby narobić mu kłopotów. Z pewnością Jason zdołałby znaleźć jakiegoś przestraszonego wieśniaka, który sprzedałby mu prowiant. Może nawet kogoś, kto pożegłowałby z nim do Ithilum.

Jason bez kłopotu wspiął się na bramę. Cofnął się zaniepokojony tym, jak ciemna postać poradzi sobie z przeszkodą. Pozostała za bramą, kiedy Jason cofał się, idąc tyłem. Gdy się odwrócił i zaraz błyskawicznie zerknął, zdążył zobaczyć, jak mroczna zjawy ląduje na ziemi po drugiej stronie bramy. Jason wskazał i palcem.

– Widziałem to. A w każdym razie część. Ładny skok.

Odwracając się, Jason skupił się na wiosce. Budynki zbudowano ze sfatygowanego drewna i tych samych otoczków, które dominowały poza piaszczystą plażą. Większość domów miała zamienne kominy, kilka mogło się poszczycić kamiennymi fundamentami albo ogródkiem. Nie dostrzegł nikogo na ulicach.

Kilku ciekawskich wieśniaków wychylało się przez drzwi albo okna, ale schowali się, gdy tylko dostrzegli Jasona albo jego tajemniczego kompana. Jason słyszał spanikowane kobiety wołające dzieci i

zobaczył grupkę maluchów biegnących do małego łomu na drugim końcu wioski.

Zanim doszedł drogą do największego budynku w osadzie, wszędzie zapadła cisza i tylko fale szemrały, uderzając o brzeg. Przystanął, by przyjrzeć się budynkowi. Rozpadająca się wyblakła tabliczka oznajmiała, że to „tawerna”. Jason przekonał się, że frontowe drzwi są zamknięte. Zapukał.

Nikt nie odpowiedział.

– Otwórzcie! – zawołał, dobijając się głośniejszym głosem. – Chcę tylko porozmawiać. Nie przyszedłem, żeby narobić kłopotów. Potrzebuję trochę jedzenia i potem pójdę dalej. A jeśli ktoś chce zarobić, to chętnie popłynąłbym do Ithilum.

– Odejdź – usłyszał stłumiony przez drzwi kobiecy głos.

– Proszę posłuchać, jestem wycieńczony. Tylko tędy przechodzę. Może dostanę trochę jedzenia? Zapłacę podwójnie.

– Nie robimy interesów z takimi jak ty.

– Jak ja? Nie podróżuję z tym stworem. Od lasu idzie za mną. Jestem głodny. Proszę mi pomóc.

– Dla ciebie jest już za późno. Odejdź. Weź łódź, jeśli musisz, ale odejdź.

– Nie potrafię żeglować – odpowiedział Jason. – Jeśli podeślecie żeglarza, który zabierze mnie do Ithilum, to nie tylko odejdę, ale i dobrze mu zapłacę.

Nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Wcisnął ręce do kieszeni. Może był zbyt grzeczny?

– Halo? Nadal tu jestem! Halo? Proszę pani, lepiej niech mi pani odpowie. To nie jest dobry pomysł rozniewać człowieka z demonicznym cieniem.

Usłyszał, jak ktoś odsuwa zasuwę i drzwi uchyliła kobieta o oczach okrągłych jak spodki i kręconych brązowych włosach z siwymi pasemkami, ubrana w beżowy, płócienny fartuch.

– Co z tobą? – syknęła, starając się patrzeć na Jasona, a nie na jego mrocznego towarzysza.

– Umieram z głodu.

Nic nie odpowiedziała.

Jason starał się mówić łagodnym tonem.

– Potrzebuję trochę jedzenia. Jak wspomniałem, mam pieniądze. Mogę wejść?

Kobieta zerknęła niespokojnie na mroczną postać.

– Proszę się nim nie martwić. On nie je dużo.

Łzy napłynęły jej do piwnych oczu. Pokręciła głową.

– Śmierć cię naznaczyła. To twoje brzmię. Odejdź. – Zamknęła drzwi.

– Teraz! – ryknął ktoś donośnie.

Drzwi do względnie dużego domu po drugiej stronie ulicy otworzyły się gwałtownie i krzepki, brodaty mężczyzna wybiegł z dwoma młodszymi towarzyszami. Wszyscy trzymali broń.

– Nie! – wrzasnął Jason.

Odwrócił się do atakujących, unosząc dłonie.

Brodacz cisnął siekierą w plecy ciemnej postaci. Prosty, płynny ruchem cień obrócił się, złapał broń i odrzucił z powrotem. Siekiera śmignęła i uderzyła w brodacza z dostateczną siłą, aby zagłębić się aż po trzonek w jego piersi, gdy padł na ziemię.

Zaszokowani nagłą śmiercią towarzysza pozostali dwaj mężczyźni zatrzymali się raptownie, patrząc to na poległego przywódcę, to na mrocznego stwora. Jason patrzył przerażony. Czarna postać się nie poruszyła.

Jeden z młodszych mężczyzn był roztrzęsiony – tęgi, smagły wieśniak o młodych rysach i szczeciniastej brodzie. Przesunął się w bok i zerknął na drogę, wyraźnie gotowy do ucieczki.

– Zostań ze mną, Vin – zachęcił go drugi mężczyzna, wysoki, chudy i o zapadłych policzkach. Trzymał w rękach oskard. – Weź miecz. Razem się na niego rzucimy.

Brodacz upuścił miecz, padając. Vin trzymał osękę. Odłożył drąg z hakiem i podniósł miecz.

– Wynos się stąd, Vin – poradził korpulentnemu mężczyźnie Jason. – Ten stwór jest spokojny, dopóki ktoś go nie zaatakuję.

– Nie słuchaj go, Vin.

– Oślepieś? – zapytał drugiego mężczyznę Jason i wskazał na trupa. – Widziałeś, co właśnie zrobił temu biedakowi?

– Masz na myśli naszego wuja?

Jason ściągnął brwi. Uniósł uspokajająco ręce.

– Ten demon nie jest moim przyjacielem. Nie chce zostawić mnie w spokoju. Jeśli go zaatakujecie, obiecuję, że dołączycie do wuja.

Szczupły mężczyzna robił wrażenie niepewnego.

– Dlaczego przyprowadziłeś go do naszej wioski? Kto zrobiłby coś takiego?

– Potrzebuję pomocy. Nawet nie wiem, co to jest. Nie sądziłem, że ktokolwiek się na niego rzuci.

Wysoki mężczyzna spiorunował Jasona wzrokiem.

– Nasz wuj nie zamierzał pozwolić, żeby narażono na niebezpieczeństwo jego siostrę. Spojrzał ponad ramieniem Jasona.

Jason zerknął na drzwi do tawerny. Uchyliły się na tyle, że było widać pół twarzy kobiety, z którą rozmawiał. Trzymała drżącą rękę przy ustach. Łzy płynęły jej po policzkach. Przelotnie odpowiedziała na spojrzenie Jasona.

– Przepraszam – powiedział Jason z zaciśniętym gardłem. – Nie chciałem...

Wydając z siebie nieartykułowany krzyk, kobieta wybiegła zza drzwi do poległego mężczyzny i padła na niego. Ramiona jej się zatrzęsły.

Jason wbił wzrok w buty, żałując, że nie może zniknąć.

– Chodź, Gil – powiedział tęgi mężczyzna, idąc z uniesionym mieczem w stronę stwora.

– Nie! – krzyknęła kobieta, sprawiając, że zamarł. – Posłuchaj nieznajomego. Zostaw demona. Pomóżcie mi z wujem.

– Ale...

– Koniec dyskusji. Gil, Vin, pomóżcie mi.

Zapłakana kobieta odwróciła się, żeby odezwać się do Jasona, ale nie spojrzała mu w oczy.

– Weź sobie, co znajdziesz. Wybacz, że nie będę dla ciebie gotować.

Dwaj młodzi mężczyźni dźwignęli pozbawione życia zwaliste ciało wuja. Kobieta podniosła miecz, osękę i oskard. Jason chciał jeszcze raz przeprosić, ale przychodziły mu na myśl tylko potwornie nieadekwatne słowa. Mężczyźni zanieśli brodacza do budynku po drugiej stronie ulicy i zniknęli drzwi. Zawstydzony i wstrząśnięty Jason wszedł do tawerny. Postać weszła za nim. Ogólna sala była pusta. Najwyraźniej wszyscy klienci i pracownicy opuścili budynek.

Jason czuł się winny i sfrustrowany. Zgarbił się, siadając przy pustym stole. W życiu nie pomyślałby, że ktoś zaatakuje stwora, dyby podejrzewał, że do czegoś podobnego może dojść, prędzej umarłby z głodu niż pozwoliłby mrocznemu demonowi wejść do wioski.

Siedząc, odwrócił się do stwora.

– Co z tobą jest nie tak? Zabiłeś tego człowieka! On się tylko martwił o siostrę!

Stwór nie raczył odpowiedzieć.

– Może trzeba było uderzyć go w nogę tą siekierą?

Znowu żadnej reakcji.

Jason potarł twarz. Powstrzymując łzy, starał się wyprzeć z myśli zaszokowaną minę brodacza, kiedy padał na ziemię. Starał się zapomnieć druzgocący smutek jego rodziny.

Wstał i spiorunował wzrokiem żywy zarys człowieka.

– Gdybym wierzył, że mam choć cień szansy, złamałbym ci kark. To nie moja wina. Nigdy nie prosiłem, żeby jakieś mroczne dziwadło mnie prześladowało. Nigdy cię nie zapraszałem. To ty ponosisz odpowiedzialność za wszystkich, którzy zostali skrzywdzeni.

Te słowa nie uspokoiły jego sumienia. Zupełnie jakby beształ posąg?

– Powinienem był trzymać się z dala od wioski – wymamrotał żałośnie. – Powinienem był wiedzieć.

Co się stało, to się nie odstanie. Przyszedł tu zjeść, a mimo tragedii głód nie zniknął.

Na jednym stole stały talerze, na których zostały spore porcje jedzenia – możliwe, że posiłek podano na chwilę przed tym, jak wartownik podniósł alarm. Na jednym talerzu leżała gotowana ryba, której zjedzono kilka kęsów, i trochę warzyw, wyglądających jak małe ziemniaczki. Na drugim leżało kilka szarych, zwiniętych małych, w porcji beżowego sosu i z włóknistymi, zielonymi warzywami.

Jason siadł przy stole. Musiał uważać na ostre, drobnutkie ości, ale ryba była smaczna i delikatna. Jadł ostrożnie. Wątpił, czy ciemna postać rzuciłaby mu się na pomoc, gdyby zadławił się ością. Szare małe były gumowate, ale nie najgorsze po zanurzeniu w sosie. Miniaturowe ziemniaczki były trochę mączyste, a zielone warzywa zbyt łykowate, ale Jason zjadł je ze względu na wartości odżywcze. Coś tak okropnego musiało być zdrowe.

Chociaż najadł się tymi dwoma posiłkami, wszedł jeszcze do kuchni. Znalazł garnek z różowawą

zupą rybną. Spróbował trochę z chochli i odkrył, że to najsmaczniejsza rzecz, jaką jadł, więc wychłęptał nieco płynu na deser.

Po jedzeniu oparł się o ścianę, czując, że robi się ospały. Jak mógł w tak krótkim czasie przejść od pustego żołądka do stanu takiego przejedzenia? Przyjrzał się mrocznej postaci. Jak znajdzie pomoc w Ithilum, mając coś takiego na karku? Tark zaznaczył, że Aram może nie chcieć mu pomóc. Z mroczną zjawą u boku Jason wątpił, czy mężczyzna w ogóle zechce z nim porozmawiać. W całym mieście podniesie się rwetes i pewnie zginie jeszcze więcej ludzi. Jednakże, jakie miał wyjście? Poddać się? Potrzebował rady i przychodziło mu na myśl tylko jedno, chociaż ryzykowne, źródło.

Rozejrzał się po kuchni. Jedne drzwi prowadziły do piwnicy, drugie na zewnątrz, a trzecie do obszernej spiżarni z małym okienkiem w głębi. Jason zamknął się w niej, usiadł na podłodze poczekał, żeby się przekonać, czy stwór za nim pójdzie. Nie poszedł.

Jason wyłowił z plecaka odciętą rękę. Uderzył ją, żeby zwrócić jej uwagę, i zaczął pisać litery palcem.

MOŻESZ ROZMAWIAĆ?

Ręka zaczęła odpowiadać w języku migowym. Jason wolał opisywać kolejne litery, żeby panować nad rozmową. Ponieważ nie miał czym pisać, skupił się na łączeniu w myślach pojedynczych liter w całe słowa.

Wróciłeś do Lyrianu przez hipopotama.

DLACZEGO TAK MÓWISZ?

Cały przemokłeś i nosiłeś moją dłoń w tym samym plecaku przez wiele dni.

Jason pokręcił głową. Tyle jeśli idzie o zachowanie tajemnicy. DLACZEGO CZEKAŁEŚ TAK DŁUGO, ZANIM ZE MNĄ POROZMAWIAŁEŚ?

Domyślałem się, że boisz się mi zaufać, więc czekałem, aż wykonasz pierwszy ruch.

RZECZYWIŚCIE SIĘ WAHAM.

I powinienes, ale mówiłem ci prawdę. Więcej, kiedy ostatnim razem próbowałeś się ze mną skontaktować, nie mogłem odpowiedzieć, bo uciekałem. Uciekłem na południe do innej osady. JAKIEJ?

Pomniejszej wioski. Powiem ci w dowód zaufania. Teraz nie ma żadnej nazwy, ale kiedyś nazywano ją Truek. Nie zamierzam zostawać tu dłużej.

MAM KŁOPOTY.

Wyjaśnij..

ŚLEDZI MNIE MROCZNA ISTOTA. WYGLĄDA JAK ŻYWY CIEŃ. Ręka zadygotała konwulsyjnie.

Jest teraz z tobą?

JESTEM W SPIŻARNI. STWÓR ZOSTAŁ ZA DRZWIAMI. UKRYWAŁEM PRZED NIM TWOJĄ RĘKĘ.

Dobrze zrobiłeś, chowając rękę. Znalazłeś się w ogromnym niebezpieczeństwie. Znalazł cię czatownik.

TAK MYŚLAŁEM, ŻE TO MOŻE BYĆ CZATOWNIK.

Żaden ze sług Maldora nie jest równie potężny. Sytuacja jest katastrofalna. Nie prowokuj go. Nie dotykaj go.

JUŻ SIĘ TEGO NAUCZYŁEM W BARDZO BOLESNY SPOSÓB.

O ile torivor nie zjawi się z bronią, atakuje tylko sprowokowany. Od ilu dni jest z tobą?

TRZECH.

Pokazuje się otwarcie?

PO PROSTU ZA MNĄ ŁAZI.

Odwiedzał twoje sny?

Jasona przebiegł dreszcz. CAŁY CZAS PODSYŁA MI KOSZMARY.

Sprowadzi na ciebie zgubę. Czatownicy porozumiewają się bezpośrednio, umysłem z tymi, którzy zdolni są ich słyszeć. Słyszysz go za dnia? W myślach?

NIE.

Możliwe, że Maldor już wie, gdzie się znajdujesz. Domyślam się, że jesteś w wiosce w jakimś odległym zakątku albo w domu na farmie?

SKĄD WIESZ?

Siedzisz w spizami, ale czatownik pozostał w pobliżu. Musisz szybko udać się do większego miasta. Nie pójdzie tam za tobą. DLACZEGO?

To skryte istoty. Wiadomo, że wchodzą do oddalonych od cywilizacji placówek, jeśli wypełniają misję, ale prawie nigdy nie zapuszczają się do miast. Z pewnością nie otwarcie. Wiesz, gdzie znaleźć miasto?

Jason wahał się przez chwilę. Podejrzewał, że skoro chodzi za nim czatownik, cel jego podróży nie stanowi tajemnicy dla wrogów.

WYBIERAM SIĘ DO ITHILUM.

Doskonale. Jak blisko miasta jesteś?

WĘDRUJĘ NA WSCHÓD WZDŁUŻ PÓŁNOCNEGO WYBRZEŻA PÓŁWYSPU.

Śpiesz się. Nie możesz być daleko od miasta. Skontaktuj się ze mną ponownie, kiedy już dotrzesz na miejsce. Miej oczy otwarte. Staraj się opierać torivorowi w snach. W każdejchwili spodziewaj się zasadzki. Maldor z pewnością szykuje się już przeciwko tobie. DZIĘKI.

Jason schował dłoń do plecaka. Mimo braku dobrych wieści rozmowa poprawiła mu samopoczucie. Nie doceniał tego, jak bardzo czuł się samotny. Przynajmniej potwierdził, że jego tajemniczy kompan rzeczywiście jest czatownikiem. Dobrze było wiedzieć, że najprawdopodobniej nie pójdzie za nim do Ithilum.

Spojrzał na małe okno w głębi spizarni. Wyjście tędy mogło się wydawać przewidywalne, ale warto było spróbować. Otworzył okno i zobaczył czatownika, który już tam na niego czekał. Zamiast próbować się przeciskać przez okno, Jason wrócił do kuchni przez drzwi. Znowu zastał tam czekającego

czatownika.

– Naprawdę potrafisz się ruszać, kiedy jesteś w nastroju – powiedział Jason. – Myślę, że narobiliśmy tu już dość szkód. Co powiesz na to, żebyśmy się stąd wynieśli? Jakies sprzeciwy?

Jason zakrzętnął się w kuchni, upchnął chleb i ser do plecaka. Zostawił kilka dróom na ladzie i parę klejnotów. Nie byłby zdziwiony, gdyby podejrzliwi wieśniacy wyrzucili zapłatę do morza, ale chciał zostawić jakieś odszkodowanie za to, co się stało, chociaż dobrze wiedział, że żadne pieniądze nie zastąpią odebranego życia.

Po wyjściu tylnymi drzwiami odwrócił się do ciemnej postaci.

– Teraz już wiem, że jesteś torivorem. Nie musisz udawać. Możesz mówić do mojego umysłu?

Nie wyczuł żadnych myśli prócz własnych.

– Idziemy.

Nie zobaczył nikogo w drodze powrotnej do bramy i gdy się po niej wspinał.

Jason brnął przez sięgający mu kolan oświetlony księżycem śnieg. Nieruchome, mroźne powietrze niemal przypominało kruchy lód. Kurtka puchowa z kapturem, rękawiczki i spodnie przeciwśnieżne powstrzymywały najgorsze zimno. Jason szedł stokiem porośniętym wysokimi sosnami spowitymi w biel, a jego oddech dymił na mrozie przy każdym wydechu.

Przeciągłe wycie dotarło do jego uszu z dalszych partii stoku, żałosne nuty rozlały się zniewalającym echem. Głośniejsze wycie odpowiedziało z góry stoku, sprawiając, że Jason przystanął sparaliżowany pierwotnym, instynktownym strachem.

Dokąd szedł? Do jakiegoś ważnego miejsca. Jak się tu znalazł? To nie miało znaczenia. Czy aby na pewno? Jeśli się nie pośpieszy, może skończyć jako przekąska dla wilków. Rzeczywiście?

Jason oparł ręce na biodrach. Dlaczego wyszedłby samotnie ośnieżone góry? Nie zrobiłby tego. Czy nie wędrował plażą w Lyrianie? To był kolejny sen!

– Nie bawię się – oznajmił Jason i usiadł.

Spojrzał na śnieg przed sobą, siłą woli rozkazując mu się stopić. Nic się nie stało. Lodowate powietrze wydawało się prawdziwe.

Z wyższych partii stoku nadeszło odległe dudnienie niczym I grzmot.

– Lawina – wymamrotał Jason. – Tego się nie spodziewałem. Nadal siedział. Jeśli nauczy się znosić te sny, nie ulegając panice, to może wreszcie trochę się wyśpi.

– Nie powinienes tu być – rozległ się męski głos za jego plecami.

Jason zerknął przez ramię i zobaczył Drake'a, wyższego niż w rzeczywistości, z ręką na rękojeści miecza w pochwie i czarnymi oczami. Opierając się strachowi, Jason wstał i spojrzał w twarz widmowemu nasiennikowi.

– Co z tym śniegiem? Świąteczne wydanie specjalne? Zróbmy jeszcze raz kolejkę górską.

– Umrzesz.

– Pewnie, prędzej czy później. Jesteś denerwującym mrocznym stworem, który za mną łązi. Cieszę się, że mamy gdzie porozmawiać. Nie powinieneś był zabijać tego człowieka we wsi. Teraz naprawdę cię nie lubię.

– Ściągnąłeś zgubę na wszystko, co kochasz.

Jason słyszał, że lawina nabiera rozpędu, w miarę jak się zbliża. Nadciągający ryk był przerażający, ale Jason starał się o nim myśleć jak o imponującym efekcie specjalnym.

– Kolejna upiorna przestroga. Szczerze mówiąc, po dzisiejszym dniu ten sen robi nędzne wrażenie.

Drake przekrzywił głowę, jakby był skonsternowany, a potem wskazał na stok.

Jason widział teraz schodzącą lawinę, potężny przypływ bieli pożerający wszystko na swojej drodze. Znajdowała się kilka sekund od niego. Ziemia zaczęła drżeć.

– Kapuję – powiedział Jason, celowo zachowując beznamiętną twarz. – Wiem też, że to nie dzieje się naprawdę. To nara.

Drake uniósł rękę. Kiedy lawina do nich dotarła, rozdzieliła się, niszcząc wszystko po obu stronach, ale zostawiając Drake'a i Jasona nietkniętych. Huk działał na nerwy, tak samo jak drżenie ziemi i kilka płatów śniegu, które posypały się na Jasona. W końcu lawina przeszła, zostawiając nagie pola bieli po obu stronach i zabierając ze sobą wszystkie drzewa.

– Czy to znaczy, że możemy porozmawiać? – spytał Jason. – Z radością dowiedziałbym się, co jest grane. Dlaczego mnie śledzisz?

– Jestem posłuszny – odpowiedział fałszywy Drake.

– Jesteś posłuszny Maldorowi.

– Trzeba się tobą zająć.

Jason strzepał śnieg z kurtki.

– A co cię w ogóle to obchodzi?

– To jest mi obojętne.

Jason spojrzał na rzekomego Drake'a.

– Jesteś jego niewolnikiem, Czatu? Masz coś przeciwko, jeśli będę wołał na ciebie Czatek?

– Śmiało. Zaatakuj mnie. Chcesz zrobić mi krzywdę.

Jason wyszczerzył zęby.

– To o to ci chodzi? Nie ma mowy. Widziałem, co robisz ludźmi, którzy cię zaatakują.

– Jason usiadł na śniegu.

Drake nadal stał.

– Nie powinieneś był wracać.

– Do Lyrianu? Jesteś jak robot. Masz jakieś własne myśli?

– Jestem czymś więcej niż potrafisz sobie wyobrazić.

– Wyobrażam sobie mrocznego gościa, który skrada się za mną plażą. A potem przychodzi, przebiera się za moich przyjaciół i mówi do mnie, kiedy śpię. Początkowo jest straszny, ale potem zaczyna być

denerwujący.

Drake spojrzał na niego z góry z beznamiętną twarzą. Jason odwzajemnił spojrzenie. Obojętne, czarne oczy nie zdradzały żadnych emocji. Jason mrugnął do niego.

– CZEKA! CIE! ŚMIERĆ! – krzyknął Drake, a każde słowo wybuchło nadnaturalnie głośno.

Jason usłyszał, że schodzi druga lawina.

Zmrużył oczy, patrząc na Drake'a.

– Jeszcze nie. Założę się, że po prostu się obudzę.

Śnieg uderzył w Jasona z siłą pociągu towarowego. Chociaż chłopiec wiedział, że to iluzja, spanikował, kiedy jego ciało koziółkowało pośród miażdżącej siły lodowatego ataku. Chciał krzyknąć, ale zmrożony śnieg wypełnił mu nozdrza i usta. Wkrótce jednak się obudził.

Leżał na zimnym piasku pod świecącym księżycem. Słyszał fale uderzające o brzeg. Czatownik stał obok niego.

Jason był mniej roztrzęsiony niż po poprzednich snach. Wstał i spojrzał na czatownika. Jak we śnie, Jason wyczuł, że obojętność będzie jego najlepszą bronią.

– Właściwie to było całkiem zabawne. Zawsze się zastanawiałem, jakie to uczucie znaleźć się w lawinie. Naprawdę nie powinieneś być krzywdzić tamtego człowieka. Teraz wszystko inne stało się mniej straszne. Rozgryzłem twoje zagrywki, Czatku. Mówię serio, jeśli przyjmujesz zamówienia, zrobimy następnym razem kolejkę górską.

Czatownik nie sprawiał wrażenia, że cokolwiek zrozumiał.

Jason wyciągnął się na piasku i znowu zasnął.

Rozdział 6

Aram

Idąc wzdłuż stromych klifów późnym popołudniem następnego dnia, Jason dostrzegł przed sobą spore miasto. Urwiska schodziły ku równinie skalnej znajdującej się niemal na poziomie morza i poznaczonej basenami pływowymi. Za równiną na wyżej położonym terenie zaczynało się miasto. Wiele dużych żaglowców stało przycumowanych do pomostów wychodzących w morze, osłoniętych przed bałwanami długą brązową rafą. Niektóre z największych statków pomalowano na czarno, by prezentowały się groźniej. Na morzu kołysał się wchodzący do portu trzymasztowy statek z ogromnym wielorybem przymocowanym do burty.

Samo miasto odsuwało się od nabrzeża i sięgało głęboko w ląd. Budynki były otynkowane i miały kryte dachówką dachy. Ciemny bruk leżał na ulicach. Strzelista dzwonnica stała blisko portu; obłaził z niej żółty tynk. Gruby mur z blankami obejmował całe miasto z wyjątkiem kei.

Jason zszedł z malejących klifów. W dole, na skalistej równinie – poprzedzającej miasto ludzie wybierali małże z basenów pływowych.

Kiedy klify niemal zlały się z równinnym, kamienistym polem, czatownik się zatrzymał. Jason poszedł dalej, zerkając przez ramię co parę kroków. Mroczna postać stała nieruchomo między wyszczerbionymi skałami. Między jednym a drugim spojrzeniem Jasona czatownik zniknął.

Jason wyszedł na równinę. Cała przestrzeń była powykrzywiana i twarda jak każdy kamień po długiej erozji pod wpływem morza. Dwie kobiety, starsza i młodsza, pracowały przy pobliskim rozlewisku. Z włosami związanymi szmatami ładowały małże do worków.

– Kłaniam się! – zawołał Jason.

– Dzień dobry – odpowiedziała młodsza, podnosząc wzrok.

– Co panie robią?

Uśmiechnęła się, jakby zadał niemądre pytanie.

– Zbieramy morskie uszy. – Uniosła muszlę, która wyglądała, jakby wypełniał ją żywy budyń.

– Powodzenia – odpowiedział Jason i poszedł dalej.

Na rozległej równinie ludzie zbierali najróżniejsze owoce morza. Jason przykucnął nad płytkim basenem, zastanawiając się nad znajdującymi się w nim dziwacznymi stworzeniami. Zobaczył czarną kolczastą rozgwiązdę, stożkowatego mięczaka z jasną kępką chwytnych czułek, grube nagie ślimaki w czekoladowym kolorze, pokryte maleńkimi żółtymi guzami. Po części żałował, że nie może po prostu usiąść i przestudiować wszystkich ciekawych gatunków.

Spojrzał w kierunku, z którego przyszedł. Nie było widać czatownika. Nie mógł uwierzyć, że

wreszcie się go pozbył, przynajmniej na jakiś czas.

– Ej, ty! Pokaż mi pozwolenie.

Jason się odwrócił. Szybkim krokiem zbliżał się do niego żołnierz. Miał taką samą zbroję jak ludzie, którzy pojмали Jasona po ucieczce z Wiecznej Uczty w Harthenham.

Opierając się odruchowi ucieczki, Jason patrzył, jak mężczyzna doń podchodzi.

– Twoje pozwolenie – powtórzył tonem służbisty mężczyzna.

Miał garbaty nos i był pół głowy niższy od Jasona.

– Nie mam. Niczego złego nie robię.

– Możliwe – odpowiedział ważnym tonem mężczyzna – ale nikt nie stawia stopy na równinie zalewowej bez stosownych papierów. Wszyscy to wiedzą.

– Ja nie wiedziałem.

– To mamy problem.

– Przykro mi, pierwszy raz tu jestem. Idę z południa, szukam pracy. To jest Ithilum?

– Oczywiście. – Żołnierz podrapał się po brodzie, mierząc fasona wzrokiem. – Nosisz dziwny strój.

Jason wykorzystał przygotowaną odpowiedź.

– Mój wuj jest krawcem. Lubi eksperymentować.

Żołnierz kiwnął głową.

– Czasy są ciężkie. Coś ci powiem. Wejście bez pozwolenia na równinę zalewową oznacza wysoką grzywnę, ale jeśli zamiast tego wynajmiesz mnie jako eskortę za ułamek kary, byłbym zobowiązany.

– Ile?

Mężczyzna przyjrzał mu się bystro.

– Grzywna potrafi sięgać stu droom.

– A co pan powie na dwadzieścia?

Widząc wyraz twarzy żołnierza, Jason zorientował się, że zaproponował więcej, niż tamten się spodziewał.

– Człowieka, który proponuje dwadzieścia, często stać na trzydzieści.

Jason wyjął małą sakiewkę, która dał mu Tark.

– Nie tu – mruknął żołnierz, rozglądając się szybko.

– Och. – Jason schował sakiewkę do kieszeni. – Przepraszam.

– Zachowuj się, jakbyś mi pokazywał dokumenty.

Jason udał, że wyjmuje kawałek papieru z kieszeni. Żołnierz podszedł i udał, że go bierze. Skinął głową, oglądając wymagowane pozwolenie, i zaraz je zwrócił.

– Dwadzieścia pięć? – spróbował Jason.

– Trzydzieści to o wiele mniej niż sto – zauważył żołnierz – a ty unikniesz więzienia.

– Muszę mieć z czego żyć, zanim znajdę pracę. – Jason miał na razie mnóstwo pieniędzy, ale nie chciał pokazać, że zapłacenie trzydziestu droom to żadne poświęcenie.

– W porządku. Chodź ze mną. Udawaj, że rozmawiamy.

– A może rzeczywiście porozmawiamy?

– Dobry pomysł.

Zapadła krepująca cisza.

– Niech mi pan opowie o swojej pracy – zaproponował Jason.

– Stacjonuję tutaj, żeby zapobiegać kłusownictwu. Tereny zalewane przez przypływ to ważne źródło zasobów. Gdyby dowolny włóczęga mógł tu wejść i podkraść małże, wkrótce nic by tu nie zostało. Zbieranie trzeba kontrolować.

Mijali kolisty basen. Jason pochylił się nad nim, ale nie dojrzał dna.

– Ten jest głęboki.

Żołnierz pokiwał głową.

– To są studnie zalewowe. Specjaliści nurkują w nich, żeby zbierać rzadkie przysmaki. Niebezpieczna praca. Zabójcze drapieżniki grasują w tych głębinach. Niektóre z tych tuneli łączą się daleko pod ziemią. Ciągnie się tam cały system korytarzy i jaskiń.

– Naprawdę?

– To pewne jak fakt, że tu stoję. Widzisz te baseny? – Żołnierz wskazał te, które miał na myśli, oddalone od siebie nawzajem o pięćdziesiąt jardów.

– Aha.

– Są połączone. Paru nurków próbowało przepłynąć z jednego do drugiego. Widziałem dwóch, którym się udało, i jednego, który utopił się, próbując.

Jason wsunął rękę do kieszeni. Zdołał otworzyć sakiewkę wyjąć na dłoń kilka droom. Widząc wcześniejszą reakcję żołnierza, uznał, że lepiej nie pokazywać mieszka z pieniędzmi.

– Jakiego rodzaju drapieżniki mieszkają tam w dole?

Żołnierz zerknął spod zmrużonych powiek.

– Nie znam wszystkich nazw, ale widziałem naprawdę paskudne rany. Jedna biedaczka wróciła bez kawałka odgryzionego boku. Słyszałem, że zmarła. Widziałem innego jegomościa, który zaplątał się w jakąś meduzę. Stworzenie owinęło mu się wokół nogi. Żałuj, że tego nie widziałeś. Nogę miał czerwoną jak mój język i spuchła mu tak, że była trzy razy większa od drugiej.

– Auć. – Jason wysunął do połowy rękę z kieszeni. Na dłoni miał trzy brązowe kulki, dwie miedziane i srebrną. Zachował brązowe i zaczął grzebać w poszukiwaniu innych droom.

– Wydaje się, że ma pan ciekawą pracę.

– Niekiedy. Przez większość dnia jest męcząca jak każda inna robota. Skąd jesteś?

– Z żałosnej bezimiennej wioski na południu.

– Szukasz atrakcji w Ithilum, co?

Jason wzruszył ramionami.

– Nie tyle atrakcji, ile lepszego życia.

Przez chwilę szli w milczeniu.

Kiedy zbliżyli się do długich kamiennych schodów prowadzących z równiny zalewowej do miasta, żołnierz odchrząknął.

– Cóż, życzę powodzenia. Teraz już znasz zasady obowiązujące na równinie, więc miej rozum i trzymaj się od nich z dala bez pozwolenia.

– Może pan na to liczyć – odpowiedział Jason.

Wyciągnął rękę. Miał pięć brązowych droom na dłoni.

– Co powiesz na dwadzieścia? – zaproponował żołnierz, biorąc cztery kulki. – Robisz wrażenie dostatecznie porządnego człowieka.

– Dziękuję – odpowiedział Jason, kiwając głową i uśmiechając się.

Nie doświadczył zbyt wiele uprzejmości czy dobroci ze strony żołnierzy w Lyrianie. Drobną zniżką sprawiła, że poczuł zadziwiającą wdzięczność. Schował ocaloną brązową kulkę do kieszeni i wszedł na schody prowadzące do bramy w murach otaczających miasto.

Portowa Tawerna ciągnęła się wzdłuż południowych obrzeży kei, a frontowe drzwi otwierały się na zniszczone deski długiego pirsu. Jason patrzył z okna pokoju na piętrze, który wynajął, jak tętniące życiem pomosty cichną, w miarę jak słońce opada ku zachodniemu horyzontowi.

Zapytał wcześniej o Arama, a oberżysta potwierdził, że rzeczywiście Aram pracuje tylko wieczorami. To oznaczało, że Jason nie miał nic do roboty przez kilka godzin. We wspólnej sali zamówił surowe marszczę – małże, których spróbował podczas poprzedniego pobytu w Lyrianie. Smakowały lepiej niż to pamiętał i sprawiły, że poczuł się senny.

Hamak wisiał między ścianami. Jason odszedł od okna wyciągnął się w wiszącym łóżku, kołysząc się lekko. Wizja snów bez natrączywych koszmarów była po prostu wspaniała. Kiedy zasypiał, starał się nastawić umysł, że to będzie krótka drzemka.

Gdyby nie muzyka wibrująca przez podłogę, pewnie przespałby całą noc. Obudził się, słysząc hałaśliwy refren wyśpiewywany przez zachryple męskie głosy przy akompaniamencie różnych instrumentów. W ciemnym pokoju wyturlał się z hamaka, otrząsając głową i poklepując się w policzki. Otworzył drzwi, przeszedł korytarzem i zszedł po schodach.

W przestronnej głównej sali panował tłok. Wszystkie stoliki były zajęte i wielu klientów stało pod ścianami. Wyglądało na to, że na każdą kobietę przypadało co najmniej pięciu mężczyzn. Wielu śpiewało do błazeńskiej muzyki, którą wygrywały trzy kobiety występujące na małej scenie w kącie sali. Jedna brzdąkała na lutni, druga wyciskała piskliwe nuty z kon–certyny, a trzecia wybijała rytm na przydużym tamburynie. Kiedy refren się skończył, mężczyźni ucichli, pozwalając kobietom odśpiewać zwrotkę na trzy głosy.

Jego statek zatonął w strasliwym sztormie, pośród potężnych gromów huku,

Lecz on wstrzymał oddech i przeczesał piasek w poszukiwaniu godnego łupu!

*A gdy wynurzył się z morskich odmętów, zebrawszy wszystkie perły morza,
Stwierdził, że żona wśród sztormu przepadła,
Lecz on nie stracił swej werwy!
Publiczność zawtórowała przy refrenie.
Stary Lagrim to wilk morski,
Jakiego chciałabyś znać.
Mrugnęłabyś do niego raz,
A zaraz postawiłby ci piwko
I ulotnił się równie szybko!*

Kobiety skończyły grać i ukłoniły się przy gromkich brawach. Zeszły ze sceny, a ich miejsce zajęli prezenter.

– Jeszcze jedną! – zażądał ktoś wojowniczym głosem.

Prezenter, drobny mężczyzna z wąsikami, uniósł dłonie.

– Może jeszcze wróca! – wrzasnął, przekrzykując hałas. – Następnym uczestnikiem jest Wendil Fantastyczny, który przybył na nasz konkurs aż z Humbidu.

Mizerny mężczyzna o okrągłej twarzy wszedł na scenę, dzierżąc drewnianą lirę. Odchrząknął. Stał sztywno.

– Oto piosenka, którą sam skomponowałem – wyjaśnił, obrzucając gorzkim spojrzeniem kobiety, które zeszły ze sceny i najwyraźniej przypominając tłumom, że nie zagrały oryginalnego materiału.

Przybierając smutny wyraz twarzy, muzyk zaczął szarpać struny liry i śpiewać drżącym vibrato. Tempo było o wiele wolniejsze od poprzedniej melodii, a każde słowo przeciągnięte tak, by zawisło z drżeniem w cichej sali.

*Moja miłość jest jak lilia,
Jej oczy jak szafiry dwa,
Łagodna jest jak owieczka,
A twarz wprost boską ma.*

– Czy to kara?! – rozległ się ostry okrzyk.

Kilka osób zarechotało.

Pieśniarz przerwał, piorunując publiczność wzrokiem.

– Humbid wypowiedział wojnę Ithilum! – dodał inny krzykacz.

Śmiechy przybrały na sile.

– Chwileczkę! – krzyknął pieśniarz, unosząc rękę. – Poczekajcie, niech przejdę do refrenu.

– Nie rób tego – mruknął Jason.

Hałasy nieco ucichły. Brzdąkając na lirze, mężczyzna zaczął śpiewać wysokim falsetem.

*Lecz mi ją odebrano, zabrano w dal,
Skradziono, zabrano stąd...*

– A mnie się marzy, żeby ciebie stąd zabrano! – wrzasnął ktoś z publiczności.

Wybuchła wrzawa, tłum zaczął rzucać przedmioty na scenę i wykrzykiwać szyderstwa. Pieśniarz odwrócił się plecami do gradu warzyw i inwektyw. Prezenter wszedł pośpiesznie na scenę, wymachując rękami i przekrzykując tłum.

– W związku z powszechnym życzeniem, Wendil Fantastyczny Marnotrawca Naszego Czasu zostanie odesłany do Humbidu w beczce gnijących ryb.

Tłum zaczął wiwatować. Wendil wymknął się chyłkiem ze sceny.

Z pozycji u podnóża schodów Jason rozejrzał się po tłumie, zastanawiając się, jak rozpozna jedną osobę wśród tej rozkrzyczanej masy. Aram miał być wielki i silny. Jason rozejrzał się po mężczyznach, którzy mogli być wykidajłami. Szybciej niż się spodziewał dostrzegł dobrego kandydata – ciężką górę mięśni opierającą się o bar z gniewnie wykrzywioną twarzą o prymitywnych rysach. Jedynym miejscem, gdzie nie panował ścisk przy barze, przy którym poza tym klienci tłoczyli się w dwóch, a nawet trzech warstwach, była przestrzeń wokół niego. Mężczyzna nie robił wrażenia przystępnego, ale pasował do opisu, który podał Tark.

Kiedy prezenter zapowiadał następny występ, Jason zszedł z ostatnich stopni i przepchnął się mimo ścisku.

– Przedstawiam wam nowicjusza na naszym koncercie, który przybył z bardzo daleka, aby tu być razem z nami: Hollick, syn Mathura.

Chudy mężczyzna o długiej twarzy i wielkich uszach wszedł na scenę. Trzymał flet, który rozdawał się na jednym końcu. Zasłaniając palcami jednej ręki dziurki na rozdwojonym flecie, zaczął grać chwytliwą melodię, a instrument akompaniował sam sobie.

Jason dotarł do pustej przestrzeni otaczającej goliata przy barze. Z bliska mógł lepiej docenić jego rozmiary. Mężczyzna miał ponad siedem stóp wzrostu. Potężne ramiona wydymały się od mięśni, a tunika bez rękawów odsłaniała grube, umięśnione ręce. Nie nosił broni, jeśli nie liczyć żelaznego kastetu na jednej dłoni. Natłuszczone włosy odgarnięte z przystojnej na swój prymitywny sposób twarzy sięgały ramion. Mężczyzna spojrzał dezaprobatą na Jasona, kiedy ten się zbliżył.

Nawet opierając się o bar, mężczyzna przewyższał Jasona o ponad głowę.

– Ciebie zwą Aram? – spytał Jason.

Aram skinął ledwie widocznie głową. Cały czas obserwował spod zmrużonych powiek ludzi w pomieszczeniu.

– Potrzebuję twojego miecza. – Jason pomyślał, że tak poważny człowiek zagadnąłby najemnika.

Przyglądając się grajkowi, Aram odezwał się niskim głosem:

– Nie stać cię na mój miecz, już nie wspomnę o mojej osobie do kompletu.

– Mam mnóstwo pieniędzy.

Mężczyzna nadal przyglądał się muzykowi.

– W takim razie poczekaj na tyłach, wyślę paru ludzi, żeby cię obrabowali.

– Nie mam ich przy sobie – skłamał Jason, myśląc o wszystkich pieniądzach i klejnotach, które miał w kieszeniach džinsów.

– Już się nie zajmuję. Za żadne pieniądze.

– Poleciał mi ciebie muzyk imieniem Tark.

Aram zerknął w dół, po raz pierwszy odwzajemniając spojrzenie Jasona.

– Ten z Zawrotnej Dziewiątki?

– Jedyny ocalały.

– To byli najbardziej utalentowani ludzie, jakich widziała ta buda. Sala pękała w szwach. Dobrze się miewa Tark?

– Jest przygnębiony, ale jakoś się trzyma.

Aram jeszcze bardziej się nachmurzył.

– Wie, że już nie przyjmuję zleceń.

– Powiedział mi, że jesteś mu winien przysługę i że da mi dość pieniędzy, by cię skusić.

– Tark dostarczył pieniędzy, żeby mnie wynająć?

– Współpracujemy. Jest tu jakieś miejsce, gdzie możemy porozmawiać na osobności? Aram prychnął.

– Teraz jestem w pracy. Gdybym wyszedł, ściągnąłbym na siebie uwagę. Spotkaj się ze mną na tyłach tawerny jutro po zachodzie słońca, a wysłucham twojej propozycji. Odmówię ci, ale najpierw wysłucham.

Grajek z fletem przestał grać, a widzowie zaklaskali, chociaż nie tak żywo jak dla trzech kobiet. Mężczyzna uklonił się i zszedł ze sceny.

– Moja prośba jest pilna – odparł Jason.

– Słuchaj, młody, skoro musisz, poczekaj tu, zabaw się, kup sobie coś do jedzenia. Porozmawiamy później.

Prezenter ogłosił przerwę.

– A ty coś zjesz? – spytał Jason.

Aram wzruszył ramionami.

– Skoro stawiasz. Masz dość pieniędzy?

– Pewnie.

– Ej, Sandra! – zawołał Aram.

– Czego? – spytała kelnerka.

– Ten typ chce mi postawić potrójną porcję piaskomyków przygotowanych w stylu Weych.

Kilka głów obróciło się w stronę Jasona.

– Właśnie dostał spadek? – Sandra się roześmiała.

– Coś w tym stylu.

– A on coś chce?

Aram zerknął na Jasona.

– Wezmę porcję tego samego! – zawołał Jason.

– Jak sobie Wasza Królewska Mość życzy. – Mrugnęła porozumiewawczo.

Przy pobliskim stoliku jeden mężczyzna brutalnie przewrócił krzesło drugiemu, zrzucając go na podłogę. Przewrócony zerwał ę i pchnął pierwszego, grożąc mu w ostrych słowach. Twarze w pobliżu dwójki zwróciły się w stronę Arama. Wielki mężczyzna zakaszał głośno w pięść.

Para chętnych do bitki podniosła wzrok z lękiem i cały gniew reparował z ich twarzy. Wyglądali, jakby byli gotowi uciekać.

Aram skinął głową w stronę drzwi. Tamci dwaj pokiwali przejmie głowami i przecisnęli się przez tłum, a za nimi wyszło kilku ich kompanów.

– Chcesz pójść obejrzeć walkę? – spytał Aram. – Powinna być przyzwoita. Wyglądali na równych przeciwników.

– Wolę trzymać się z dala od kłopotów.

– Co ty nie powiesz. Krztyna rozumu. Zarekwirujmy ich stoik i poczekajmy na nasz posiłek.

Kilka osób zmierzało już do pustego stolika, a pewien krzepki mężczyzna położył ręce na krześle, ale wszyscy się wycofali, kiedy zobaczyli, że zbliża się Aram. Jason zajął miejsce naprzeciwko osiłka. Zostały jeszcze cztery wolne krzesła, ale nikt się do nich nie dosiadł. Hałaśliwa sala nie sprzyjała rozmowie, więc siedzieli w milczeniu. Aram obserwował tłum, nie zwracając uwagi na Jasona.

Po pewnym czasie prezenter znowu zapowiedział występy. Kobieta naśladująca ptasie trele początkowo została ciepło powitana, ale nadużyła gościnności i w końcu została przegnana gwizdami ze sceny. Zręczny żongler udawał niezgrabiasza, potykając się, zataczając i młóćąc rękami powietrze, ale ani razu nie upuścił nawet jednej rzeczy. Tłum śmiał się serdecznie i podziękował mu ciepłymi oklaskami. Jakiś grający na skrzypkach mężczyzna zachęcił tłum do wspólnego śpiewania, kiedy kelnerka Sandra podała jedzenie.

Postawiła przed Aramem parujący półmisek ze stosem mięsistych pomarańczowych kawałków zanurzonych w gładkim serowym sosie i przyprószonych przyprawami. Jason otrzymał talerz z mniejszą porcją.

– Opróżniłeś kuchnię z zapasu piaskomyków – powiedziała do Jasona. – Drogie potrawy kupuje się przed zjedzeniem.

– Ile?

– Czterdzieści.

To było naprawdę dużo! Osiem razy więcej niż jego pokój. Aram wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jason podał kelnerce srebrną kulkę. Wydała mu dwie brązowe droomy reszty.

Aram zjadł kęs. Zamknął oczy w ekstazie. Otworzył je i z aprobatą skinął do Jasona głową.

Jason nie był specjalnie głodny po marszczach, które zjadł ze smakiem wcześniej. Spróbował jednak kawałeczka wielkości jego palca wskazującego. Miękkie mięso rozpuściło mu się w ustach. Smakowało niesamowicie. Jason zaczął pochłaniać jedzenie, ale zwolnił nieco, kiedy zauważył, że Aram rozkoszuje

się każdym kęsem.

Gdy jedzenie się skończyło, Aram wstał od stołu i wrócił na swoje miejsce przy barze. Pozostali klienci rozstąpili się, żeby zrobić mu miejsce. Krzesła koło Jasona szybko zostały zajęte. On sam nie ruszył się do końca występów.

Na zakończenie prezenter wezwał czterech najpopularniejszych wykonawców na scenę i kierując się aplauzem widowni, ogłosił zwycięzcę. Wygrały trzy kobiety, które śpiewały, kiedy Jason zszedł do sali. Zaśpiewały na bis piosenkę o Starym Ingrimie.

Po zakończeniu występów wielu klientów wyszło. Niektórzy, przeważnie starsi mężczyźni, zostali i siedzieli przy stołach, rozmawiając i jedząc. Kilku zasnęło.

Jason przeniósł się do stolika w kącie, oparł głowę na złożonych rękach i się zdrzemnął.

Obudził go głośny hałas.

Zaspany zamrugał i zobaczył obok siebie mężczyznę leżącego plackiem na ziemi i przewrócone krzesło w pobliżu. Aram wsparł nogę na plecach leżącego.

– Powinieneś mieć dość rozumu, żeby nie próbować takich numerów, kiedy ja pracuję – warknął Aram. – Zwłaszcza jeśli zamierzałeś obrazić mnie tak niezręczną kradzieżą.

Mężczyzna na podłodze podniósł małą sakiewkę.

– I drugą też.

Mężczyzna wyjął drugi mieszek. Jason potrzebował chwili, zanim pojął, że to jego sakiewki. Aram przykucnął i wyrwał je z rąk złodzieja.

– A teraz wynoś się stąd – rozkazał.

Winowajca wstał i, słaniając się, wyszedł z obojętności.

Aram oddał sakiewki Jasonowi.

– To są te bogactwa, które schowałeś w bezpiecznym miejscu?

– Och, dziękuję.

– To moja praca.

Jason zlustrował wzrokiem salę. Była niemal pusta. Korpulentna kelnerka wycierała stół. Dwaj mężczyźni o kaprawych oczach siedzieli pogrążeni w rozmowie. Gruby, śliniący się mężczyzna osunął się w kącie i cicho pochrapywał.

– Skończyłem na dzisiaj – oznajmił Aram. – Jeśli chcesz ze mną chwilę porozmawiać, to przejdźmy się kawalek.

Aram wyprowadził Jasona przez frontowe drzwi.

Chłodna bryza wiała znad oceanu. Ciszę szarego poranka przerwał wrzask mewy. Przy zacumowanych statkach panował niewielki ruch. Jason zgadywał, że została nie więcej niż godzina do świtu.

Aram oparł się o drewnianą poręcz upstrzoną guanem.

– Masz całą moją uwagę – powiedział.

Jason podniósł wzrok i spojrzał na ogromnego mężczyznę.

– Zapłacę ci fortunę za doprowadzenie mnie do wioski zwanej Potsug. Podobno mają tam promy.

Aram skrzyżował potężne ręce.

– Znam tę wioskę. Tak naprawdę to leży po obu stronach rzeki. Nie jest daleko stąd. Dlaczego potrzebujesz eskorty?

– Dla obrony. Ściga mnie Maldor.

Aram machnął obiema rękami i pokręcił głową.

– Nie mów nic więcej. Tej rozmowy nigdy nie było. Nawet w najbardziej lekkomyślnych czasach nie pracowałem bezpośrednio dla cesarza ani przeciwko niemu.

Aram odwrócił się, by odejść.

– Chwileczkę, jeszcze nie przedstawiłem swojej propozycji.

Aram ruszył i nawet się nie obejrzał.

– Nie ma potrzeby. Mógłbyś mi zaproponować złoty pałac wypchany bogactwami, a ja i tak bym odmówił, bo jaki pożytek ma ze skarbów trup? Dzięki za jedzenie. Poszukaj pomocy gdzie indziej.

– Skąd ten pośpiech?! – zawołał Jason. – Zamieniasz się w karła o świcie?

Aram zamarł, a potem powoli odwrócił się z dziwnym wyrazem twarzy.

– Dlaczego tak powiedziałaś? – W jego głosie zabrzmiało coś niebezpiecznego.

– Tylko sobie żartowałem – odpowiedział Jason zaskoczony ważną reakcją.

Aram zmrużył oczy.

– A skąd ci przeszedł do głowy taki żart?

– No wiadomo, jak te olbrzymy w lesie, co kurczą się za dnia? Chyba ludzie tak naprawdę o nich nie wiedzą. Widzisz, jesteś prawdę wielki...

Aram podszedł bliżej, górując nad Jasonem. Twarz miał śmiertelnie poważną.

– Kto cię przysłał? – Jego głos brzmiał złowroźnie.

Jason cofnął się o krok.

– Nikt. To znaczy, nikt poza Tarkiem.

Aram złapał Jasona za ramiona.

– Dlaczego próbujesz w to mieszać Tarka? Coś ty mu zrobił? Dla kogo pracujesz?

– Nic. Dla nikogo. Spokojnie. Chcesz mi powiedzieć, że jesteś olbrzymem?

Mięśnie zuchwy Arama się napięły. Jego wzrok zdradzał mordercze zamiary.

– Widziałem je – powiedział Jason, starając się rozładować sytuację. – Ty jesteś duży, ale one są o wiele większe.

Aram zerknął na niebo, a potem złapał Jasona za przód koszuli, jak łobuz domagający się pieniędzy na lunch.

– Chodź ze mną.

– Myślę, że raczej...

– Natychmiast. – Sposób, w jaki Aram to powiedział, nie zostawiał miejsca na sprzeciw. Już sam obwód jego ręki był dostatecznie przekonujący.

– Ale moje rzeczy zostały...

– Ani słowa więcej. – Aram wypuścił jego koszulę. – Chciałeś mojej uwagi? To ją masz. Trzymaj się blisko mnie. Spróbuj czegoś, a złamię ci kark.

Ruszyli szybkim krokiem.

Rozdział 7

Moira

Aram poprowadził Jasona wybrukowanymi ulicami z dala od morza. Napotkali niewiele osób. Jason zastanawiał się, czy nie próbować uciekać, ale wielki mężczyzna trzymał się blisko.

W wąskiej uliczce z wysokimi kamienicami Aram zapukał głośno do drzwi.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Jason.

– U mnie.

– Pukasz do własnego domu?

– Moja matka zamyka drzwi na klucz.

Jason usłyszał, jak ktoś otwiera zamek. Drzwi otworzyły się, ukazując tęgą karlicę o kręconych siwych włosach i miłej, pomarszczonej twarzy. Nie kryła zdziwienia na widok Jasona.

– Kim jest twój przyjaciel, Aramie? – spytała słodko.

– Tylko mi nie mów, że jest olbrzymką. – Jason westchnął. – Nie, czekaj, słońce jeszcze nie wstało.

Mała kobieta zmarszczyła gniewnie brwi, patrząc na Jasona, a potem posłała synowi pytające spojrzenie.

– Zagadnął mnie dziś wieczorem – wyjaśnił jej wielki mężczyzna. – Nie jestem pewien, czego szuka.

Niska kobieta odsunęła się na bok, kiedy Aram wepchnął Jasona za próg. Chłopak przeleciał przez prawie cały pokój, cudem nie lądując z twarzą na podłodze. Aram zagnał go do schludnego saloniku, wskazując, żeby siadał na sofie, a on sam i matka usiedli w fotelach. Pokój nie wyglądał jak kawalerska garsoniera wielkiego wykidajły. Wszystko było tu miękkie i z falbankami. Najwyraźniej to mama decydowała o wystroju.

– Bardzo ładny dom – powiedział Jason, mając nadzieję, że poprawi atmosferę.

– Dziękuję – odpowiedziała kobieta. – Co to za bzdury z olbrzymami?

Jason zerknął na Arama, który bez słowa odwzajemnił jego spojrzenie.

– Zażartowałem sobie z pani syna, że skurczy się o świcie, a on naprawdę się zdenerwował. Teraz widzę, że to drażliwy temat.

Kobieta przyjrzała się podejrzliwie Jasonowi.

– Gdzie usłyszałeś o kurczących się olbrzymach?

– Byłem w ich wiosce kilka dni temu.

Oboje spojrzeli na Jasona jak na kłamcę.

– Mówię prawdę.

– Dla twojego własnego dobra lepiej, żeby tak było – odpowiedział Aram, pochylając się. – Mów

dalej.

– Trafiłem tam przez przypadek. Myślałem, że ścigają mnie ludzie cesarza. Okazało się, że to czatownik.

Drobna kobieta zdusiła okrzyk.

– Prawdziwy mroczniak? – spytał Aram.

Jason wzruszył ramionami.

– Cały czarny, wygląda jak cień, który ożył?

Aram skinął głową, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Mów dalej.

– Dotarłem do wioski olbrzymów tuż przed zachodem słońca. Wszyscy ludzie byli drobni, jak pańska mama. Domy były ogromne, ale przekonali mnie, że olbrzymy odeszły stamtąd dawno temu. Widząc wszędzie małych ludzi, uznałem, że to prawda. Zaprosili mnie na kolację, a kiedy słońce zaszło, zamienili się w olbrzymy i chcieli mnie pożreć.

– Ale wywalczyłeś sobie drogę na wolność – odparł sarkastycznie Aram.

– Nie. Wspiąłem się wnętrzem komina i byliby mnie dorwali, gdyby nie dogonił mnie czatownik. Przeraził olbrzymy.

– Jak uciekłeś czatownikowi? – spytał Aram.

– Przyszedłem tutaj. One nienawidzą wielkich miast. Zostawił mnie w spokoju przy drugim końcu równiny zalewowej.

– I twierdzisz, że przysłał cię do mnie Tark?

– Tak. Żebyś mi pomógł spotkać się potem z nim i Galloranem.

Aram zarechotał.

– Niektórzy dobrzy kłamcy wspierają się niezwykłymi szczegółami, ale ty przedobrzyłeś. – Twarz mu pociemniała. – Kim jesteś? Nie podałeś swojego imienia. Nie popełnij błędu, twoje życie zależy od uczciwej odpowiedzi.

Jason popatrzył na Arama, a potem na jego matkę. Nie podobało im się to, że wie o olbrzymach. Z pewnością coś ukrywali. Jeśli w jakiś sposób byli powiązani z olbrzymami, najpewniej znaczyło to, że Aram jest jego wrogiem. Gdyby jednak był złym człowiekiem, dlaczego Tark by go polecił? Czy muzyk mógł tak bardzo się co do niego pomylić?

– Tark mógł mnie posłać w dowolne miejsce – mruknął Jason. – Mógł mnie wysłać do dowolnej osoby. Dlaczego do ciebie? Nie sądzę, żebyś był po naszej stronie.

Aram zmarszczył brwi, patrząc nieufnie.

– Nie jestem po niczyjej stronie. Pewnie, mam paru przyjaciół. Jednak trudno mi uwierzyć, że Tark cię przysłał, żebyś mnie wciągnął w zasadzkę, wykorzystując sekrety mojej przeszłości. Możesz przestać grać niewiniątko. Wszyscy wiemy, dokąd to zmierza. Chodzi ci o pieniądze? Chcesz łapówkę?

Jason zmarszczył brwi. Cokolwiek łączyło Arama z olbrzymami, uważał to za wstydlivy sekret. Jeśli

Aram myślał, że to wymuszenie, wyjaśniałoby to jego podejrzliwość.

– Źle to zrozumiałeś. Chciałem tylko cię wynająć, kierując się zaleceniem Tarka.

– Dość tych bzdur. – Przerwała im matka Arama. – Kto jeszcze wie, że tu jesteś? Kim jesteś? Ale tak naprawdę.

Spoglądając na nich, Jason zdał sobie sprawę, że przygotowali się już na najgorsze. Jeśli zdoła ich przekonać, że nie ma złych zamiarów, może uda mu się uzyskać pomoc, której potrzebował. I może Aram nie przerobi go na hamburgera.

– Naprawdę nie zjawiłem się tu po to, żeby powiązać was z olbrzymami – powiedział Jason. – Jestem lord Jason z Caberton. Tytuł otrzymałem od Gallorana. Jestem byłym kanclerzem Trensicourt. Byłem w lochach Felrook, skąd uciekłem i przybywam ze świata Poza.

Aram uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nigdy w życiu nie widziałem równie bezwstydnego blefu! Zatem ty jesteś tajemniczym lordem Jasonem, który przechytrył Copernuma, a potem zniknął bez śladu.

– Słyszałeś o tym?

– Wszyscy słyszeli, jak sam dobrze wiesz. Wybierasz sobie potężnych sprzymierzeńców do swoich monstrualnych banialuk.

Wieść niesie, że lord Jason przyjął zaproszenie do Harthenham. Koniec pieśni.

– Uciekłem z Harthenham i zostałem zaprowadzony przed oblicze Maldora, uciekłem z Felrook i wróciłem do Poza. A teraz znowu tu jestem. Dowiedziałem się ważnej rzeczy, którą muszę przekazać innym, i zostawiłem w Lyrianie przyjaciółkę.

Aram znowu pokręcił głową, patrząc na matkę.

– To absurd. Co zrobimy?

Matka uniosła brwi.

– Masz jakiś dowód na poparcie swojej historii?

– Jak się pani nazywa? – spytał Jason.

– Moira.

– Miło panią poznać. Nadal mam na sobie ubrania ze świata poza. Widzi pani moje buty? Moje spodnie? Widziała pani kiedyś podobny strój?

– Nie – odpowiedziała Moira. – Mów dalej.

– Mogę przedstawić szczegóły. Mogę opowiedzieć o gongu, który umożliwia audiencję u Maldora, o wnętrzu skarbcza mądrości w Trensicourt albo opisać jak wygląda haratacz po tym, gdy się go wysadzi za pomocą orantium.

– A sygnet lorda Caberton? – spytał Aram wyciągając rękę.

– Nie mam. Zostawiłem go u nasiennika, zanim wszedłem do Felrook. Wiem jednak, że w pierścieniu jest klejnot, który rozbłyśka, gdy uderza się w odpowiedni dzwon.

– Wspomniałeś o orantium – dopytywał się Aram. – Pewnie nie masz żadnej próbki?

– To, co miałem, wykorzystałem do wysadzenia haratacza. – Jason złożył dłonie, jakby trzymał niewidzialną kulę. – Mogę jednak powiedzieć, że kryształowa kula jest tej wielkości.

W środku odrobina minerału świeci mocno na chwilę przed, wybuchem.

– Masz jakieś namacalne dowody poza dziwnymi ubraniami? – spytała Moira.

– Kiedy Tark i ja uciekliśmy z Harthenham, on ukradł trochę klejnotów. – Jason wyciągnął sakiewkę z kieszeni.

– Tark był w Harthenham? – zdziwił się Aram.

– To długa historia – odpowiedział Jason – ale to właśnie tam przypieczętowaliśmy naszą przyjaźń. Dał mi to, żebym mógł cię wynająć.

Jason wysypał zawartość na stolik. Aram i Moira zdusili okrzyki. Nawet Jason był pod wrażeniem. Do tej pory nie wyjmował klejnotów – brylantów, szmaragdów, rubinów, szafirów i innych drogocennych kamieni oszlifowanych tak, by idealnie błyszczały.

Aram podniósł czerwony kamień, potem zielony i fioletowy, przyglądając im się uważnie.

– To prawdziwe kamienie. Fortuna. – Nie krył zdumienia. – Za to miałeś zamiar kupić moje usługi?

– Przynajmniej za część – przyznał Jason. – Wygląda na to, że myślisz, że zjawiłem się, by cię szantażować. A jest całkiem odwrotnie. Uciekam, Aramie. To wszystko mnie przerasta. Powiedziałem ci tyle, że teraz jestem na twojej łasce. Ufam ci, ponieważ Tark powiedział mi, że powinienem. Wiem o twoim powiązaniu z olbrzymami z lasu tylko dlatego, że tak ostro zareagowałeś na mój żart.

Aram odłożył klejnoty.

– Co mnie powstrzyma przed zabiciem cię i zagarnięciem tych kamieni?

– Aramie! – wykrzyknęła jego matka.

Podniósł rękę, żeby ją uciszyć.

Jason przesunął się do przodu na sofie.

– Nic. Oprócz tego, że czatownik szedł tu za mną, a ludzie widzieli mnie w twoim towarzystwie. Znam ważne sekrety i Maldor o tym wie.

Aram chrząknął.

– Zatem już ściągnąłeś na nas zgubę. Co to za sekrety?

– Będziecie bezpieczniejsi, jeśli zachowam je dla siebie – odparł Jason.

– Mamo, wyjdiesz na chwilę?

– Aramie, zasługuję, żeby...

– Mamo, tylko na chwilę. Jeśli zostaniemy aresztowani, możesz woleć nie mieć żadnych sekretów w umyśle.

– Żadne z...

Aram podniósł rękę.

– Dość tego. Proszę, wyjdź na chwilę.

Moira wstała i wyszła z saloniku. Aram przyszpilił Jasona złowrogim spojrzeniem. Powiedział

cicho:

– Jeśli cesarz namierzy cię tutaj, zostaną potraktowany tak, jakbyś zdradził mi sekret, niezależnie od tego, czy go poznam, czy nie. Chcę wiedzieć, jak niebezpieczna jest twoja wiedza.

– Dobrze – ustąpił Jason. – Słyszałeś kiedyś o edomickim Słowie Kluczu, które może zniszczyć Maldora?

– To mgliste plotki – odparł Aram. – Nigdy ich nie sprawdzałem.

– Poznałem to Słowo – wyjaśnił Jason. – Otrzymałem pomoc od Gallorana i paru innych osób. Sylaby były porozrzucane po Lyrianie. Wypowiedziałem Słowo przy Maldorze, ale nie zadziałało. Dowiedziałem się potem, że Słowo to wyrafinowany podstęp, mający zwieść z właściwej drogi największych wrogów cesarza. Muszę przekazać to, czego się dowiedziałem, tym, którzy mi pomogli, żeby pozostali sojusznicy nie marnowali czasu.

Aram poruszył się niespokojnie.

– Przysięgasz, że to prawda?

Jason zakreślił krzyż na sercu.

– Pewnie jestem najbardziej poszukiwaną osobą w Lyrianie.

Aram spuścił głowę. Po chwili podniósł wzrok.

– Naprawdę spotkałeś Gallorana? Prawdziwego dziedzica Trensicourt? Wiesz, gdzie go szukać?

– Idę do Potsug, żeby spotkać się z nim i Tarkiem. I żeby odnaleźć moją przyjaciółkę, kolejnego Pozaświatowca. Została tutaj sama, kiedy wróciłem do domu.

– Mamo?! – zawołał Aram.

Moira wróciła po chwili.

– Czas ucieka – powiedziała.

– Wiem. Jeśli sekret, którym się podzielił, jest prawdziwy, nie może być bardziej niebezpieczny. A pomijając wszystko inne, nasz gość być może naprawdę zadawał się z Galloranem.

– Wierzysz mu? – spytała.

– Nie wiem. Obawiam się, że tak. Dokończysz rozmowę?

Moira skinęła głową, siadając, podczas gdy Aram wstał i pośpiesznie wyszedł z pokoju.

– Zamierzasz nas skrzywdzić? – spytała Jasona, przyglądając mu się badawczo.

– Nie. To znaczy mogłem niechcący ściągnąć na was kłopoty, ale nie jestem waszym wrogiem.

Kobieta odetchnęła i potarła uda.

– Kłopoty na pewno nadejdą – przytaknęła. – Przez wiele lat Aram i ja robiliśmy co w naszej mocy, żeby się ukryć. Twoja wizyta oznacza kres życia, jakie znaliśmy do tej pory.

– Przykro mi.

– Od lat krążyły plotki, że Galloran przetrwał w ukryciu. Naprawdę żyje?

– Tak.

– Znasz go?

– Tak.

– Nadal pragnie obalić cesarza?

– Robi co w jego mocy. Ma swoje ograniczenia. Pomagam mu. Tak samo jak inni.

Moira odgarnęła z oczu przypadkowe pasemko włosów.

– Prawie na pewno jest już za późno. – Zamilkła, patrząc na kolana, a potem spojrzała łagodnie na Jasona. – Mam nadzieję, że nadal potrafię dobrze oceniać charaktery. Być może jesteś odpowiedzią na moje najgłębsze nadzieje i pragnienia.

– Słucham?

– Widzisz, umieram. Nie wiem, ile dni mi jeszcze zostało.

– Przykro mi... To straszne.

– Prędzej czy później każdemu to się przytrafi. – Potarła pierś. – Ból zżera mnie od środka i narasta z upływem czasu. Zaczęło się od stawów. Czasem znikał i potem nawracał, ale teraz wypełnia mnie całą i jest stale obecny. Nie jestem w stanie już jeść. Rzadko śpiam. Śmierć byłaby prawdziwą ulgą, gdybym nie bała się o syna.

– Dlaczego?

– Aram jest bardzo specjalnym człowiekiem. – Oczy zaszkliły jej się od łez. – Jedynym w swoim rodzaju. My też mamy sekrety, Jasonie. Zachowamy twój, jeśli ty nie zdradzisz naszego.

– W porządku.

– Przysięgnij na życie. Przysięgnij na wszystko, co jest ci najdroższe.

– Przysięgam.

– Sam odkryłbyś jego sekret, gdybyś spędził z nim trochę więcej czasu. Lepiej dochowaj tajemnicy, inaczej Aram każe ci zapłacić za złamanie słowa. Nie popełnij błędu, to jedna z najniebezpieczniejszych osób w Lyrianie. Nadal ma w sobie tyle niewykorzystanego potencjału... Czekałam, aż się przebudzi i wypełni swoje przeznaczenie. Wiem, że Aram może być wielki. Jego ojciec był najuczciwszym mężczyzną, jakiego znałam. Tak się składa, że był także olbrzymem.

Jason złożył ręce na kolanach i pokiwał głową w zamyśleniu.

– Czyli naprawdę kurczy się o świcie.

– Nie tak bardzo jak prawdziwej krwi olbrzym, tak samo jak nocą nie jest równie ogromny jak prawdziwy olbrzym.

– I trzyma to w tajemnicy.

– Tylko my dwoje wiemy – szepnęła Moira. – I teraz ty. Pozwól, że opowiem ci historię. Wiele lat temu, w młodości, mieszkałam w osadzie na półwyspie, w pobliżu lasów, w których według plotek grasowały olbrzymy. Ojciec był przywódcą wioski. Mój karłowaty wzrost był anomalią. Rodzice i dwaj bracia byli raczej wysocy. Czasami wymykałam się do lasu. Moja rodzina była nadopiekuńcza, więc korzystałam z każdej okazji, kiedy tylko mogłam się wymknąć. Jako młoda kobieta spotkałam w lesie małego mężczyznę. Był mniej więcej w moim wieku i niewiele wyższy ode mnie. Nazywał się Thurwin.

Nigdy dotąd nie poznałam drugiego karła. Powiedział, że mieszka w lesie. Zapytałam, czy nie boi się olbrzymów, ale on się zaśmiał i zapewnił mnie, że przeszedł każdy skrawek lasu i nigdy żadnego nie spotkał. Zaczęliśmy się regularnie spotykać. Thurwin dość szybko ujawnił swoje uczucia, obsypując mnie komplementami i patrząc na mnie, jakbym była ucieleśnieniem piękna. Nie nawykłam to takiej uwagi i chociaż początkowo się wzdragałam, dawna marzyłam o miłości. Przy dziesiątym spotkaniu postanowiliśmy się pobrać. Powiedział, że nigdy nie będzie mógł przyjść do mojej wioski, ani jakie odwiedzę miejsca, w którym on mieszka, więc wybudował małą chatkę, gdzie mogliśmy się spotykać, i obmyślił prostą ceremonię zaślubin, składającą się wymiany przysięg. To wszystko było niesamowicie romantyczne. Po naszych sekretnych zaślubinach nadal mieszkalam domu, ale widywałam się z nowym mężem przynajmniej dwa w tygodniu. Mijały miesiące naszych potajemnych spot. Pewnego popołudnia w cienistym wąwozie powiedziałam mu, że spodziewam się dziecka. Zaśmiał się, upierając się, że się mylę. Zdumiona jego pewnością ustąpiłam i uznałam, że mogę się mylić. W miarę upływu czasu dowody mojego odmiennego stanu stały się widoczne. Dwa miesiące później, kiedy Thurwin ujrzał mój brzuch, niepozostawiający żadnych wątpliwości co do ciąży, wpadł w szal zazdrości. Zapewniłam go, że byłam wierną żoną, i zaczęłam płakać. Kiedy przekonałam go o swojej wierności, bardzo spoważniał. Nigdy nie spędziliśmy razem nocy, zawsze upierał się, że wędrowka po lesie nocą jest dla mnie zbyt niebezpieczna. Możesz sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy słońce zaszło, a Thurwin stał się wielgachnym olbrzymem. Nie sięgałam mu nawet do kolana. Uspokoił mnie wtedy i wyjaśnił, że jeśli naprawdę spodziewam się jego dziecka, będzie to pierwszy raz, kiedy olbrzymowi i ludzkiej kobiecie udało się je spłodzić. Kiedy już dłużej nie mogłam ukrywać swojego stanu przed rodziną, udałam, że uciekłam na krótko z pewnym kupcem. Wysłuchawszy mojej niewiarygodnej historii, rodzina stała się jeszcze bardziej nadopiekuńcza. Nie byłam w stanie odwiedzać Thurwina przez resztę ciąży. W końcu, z pomocą akuszerki zostałam matką zdrowego chłopczyka. Kilka miesięcy po narodzinach Arama znowu zaczęłam wymykać się do lasu, odwiedzać naszą chatkę i inne miejsca, w których wcześniej często spotykałam się z Thurwinem. Musiałam wymknąć się kilka razy, zanim wreszcie go spotkałam. Nie posiadał się z radości na mój widok. Wyjaśniałam, dlaczego nie byłam w stanie wracać do lasu przez pewien czas, a on okazał mi wielką wyrozumiałość. Niedługo potem przyniosłam ze sobą Arama, żeby pokazać dziecko ojcu. Potem nadeszła noc, która wszystko zmieniła. Zajmowałam się Aramem, kiedy ktoś zaczął dobijać się do drzwi, i to tak mocno, że zatrzęsły się ściany. Ojciec otworzył i zdębiał. Usłyszałam basowy głos. Ktoś o mnie pytał. To był Thurwin. Trzymał ogromną maczugę. Zanim dobiegłam do drzwi, rozległy się krzyki. Thurwin był zrozpaczony. Powiedział mi, że olbrzymy napadły na wioskę i że muszę uciekać. Próbował skierować je gdzie indziej, ale mu się nie udało. Przyprowadził osiodłane konie i przeprosił, że nie zdołał ostrzec mnie wcześniej. Za jego plecami olbrzymy siały już spustoszenie. Płonące domy oświeślały różne potworności. Mój ojciec i bracia rzucili się do walki z bronią w ręku. Matka wpadła w histerię. Czterech napastników rzuciło się ku mojemu domowi, ojciec i bracia próbowali ich zatrzymać. Olbrzymy odrzuciły ich na bok bez wysiłku, nawet nie zwolniły, zadając

śmiertelne ciosy. Thurwin krzyknął, żeby się odsunęły, ale one zaatakowały mnie bez chwili wahania. Krzycząc, żebym uciekała konno, Thurwin rzucił się na nich z maczugą. Spanikowana wsiadłam na konia, myśląc tylko o dziecku. Sądzę, że Thurwin zabił tamtych dwóch, zanim sam padł. Kiedy upadł, pozostałe olbrzymy rzuciły się na niego bez litości. Cieszę się, że niewiele mogłam dojrzeć. Wróciłam następnego dnia w towarzystwie mężczyzn z sąsiedniej osady i zobaczyłam, że wioskę starto z powierzchni ziemi, a ludność wybito. Byliśmy z Aramem jedynymi ocalałymi. Wszystko, co miało jakąś wartość i co ludzie zdołali odzyskać ze zgliszczy, oddano mnie. Zebrało się tego dość, żebym przeprowadziła się do Ithilum i zaczęła nowe życie. Jeśli nie liczyć tego, że za całą rodzinę Aram miał malutką matkę, to przeżył normalne dzieciństwo. Jednak w noc jedenastego roku przybyły mu dwie stopy wzrostu po zachodzie słońca i musiałam mu opowiedzieć o jego niezwykłym pochodzeniu. Od tego dnia po każdym zachodzie słońca rósł i malał o świcie. Udało nam się ukrywać sekret, aż do dzisiaj.

– Przykro mi, że wszystko popsulem – powiedział Jason.

– Nie przepraszaj – odparła z naciskiem Moira. – Jeszcze nie skończyłam. Przez lata Aram wykorzystywał swój wzrost, żeby pracować nocami jako najemnik. Organizował i przeprowadzał udane akcje przemytnicze, sporo walczył. Przez pewien czas był kimś w rodzaju pirata, ukrywał się w prywatnej kajucie za dnia i czasem udawał, że jest własnym pomocnikiem. Przeszedł na emeryturę, mając mnóstwo pieniędzy w zanadrzu, i teraz wykorzystuje wzrost, żeby zaprowadzać porządek w Portowej Tawernie. Zawsze wiedziałam, że jest specjalny i że jest mu pisane dokonanie wielkich rzeczy. – Głos jej się załamał. Urwała, żeby odzyskać panowanie nad sobą. – Z zewnątrz robi wrażenie twardego. Musi, by ukrywać swój sekret. Mimo to, kryje się w nim dobroć. Zawsze marzyłam, żeby znalazł sposób na wykorzystanie swoich darów do czegoś szlachetniejszego i bardziej znaczącego niż korzyści finansowe.

Jason potarł podłokietnik sofy.

– Chce pani, żeby przyłączył się do naszej walki przeciwko Maldorowi?

Moira zacisnęła usta.

– Jeśli Galloran żyje, musiał znaleźć sposób, by zaatakować Maldora i nie dać się złapać. Uradowałabym się, gdyby mój syn wykorzystał talenty, służąc człowiekowi o legendarnym charakterze. Ponieważ zbliża się moja śmierć, nie będę się kryła ze swoim zdaniem. Maldor to plaga. Nasza wolność jest bardzo ograniczona. Żaden człowiek nie jest bezpieczny. Kiedy Maldor podbije już cały Lyrian, a dzień ten nie jest odległy, imadło się zaciśnie. Nawet jeśli cesarza nie da się pokonać, jedynymi ludźmi, którzy naprawdę żyją, będą ci, którzy mu się przeciwstawiają.

Moira poprawiła się na fotelu i zerknęła przez ramię w stronę drzwi.

– Aramie? Synku, pokaż się.

Niski mężczyzna o drobnej budowie – miał niecałe pięć stóp wzrostu – wszedł do pokoju. Luźna tunika nie była w stanie ukryć wąskości jego ramion ani smukłości rąk. Twarz z trudem można było rozpoznać – kształt policzków był mniej wyrazisty, czoło nie tak prymitywne, szczeka węższa.

– Słuchałem od pewnej chwili. – Jego głos z basu przeszedł w tenor. – Jaki sens ma

przeciwstawianie się tak niezwyciężonemu wrogowi jak Maldor?

Moira odwróciła się do syna.

– Bo możesz odkryć, że nie jest tak niepokonany, jak ci się wydaje.

Aram się nachmurzył.

– Niczego sobie nie wyobrażam. Istnieje dobry powód, dla którego nigdy nie dołączyłem do żadnej ze stron w tej bitwie. Ci, którzy pracują dla Maldora, albo zostają wciągnięci do służby na stałe, albo kończą martwi. Ci, którzy działają przeciwko niemu, zostają złapani. Mądrzy, jedyni, którzy przetrwają, znikają angażowania się w działalność bezpośrednio związaną cesarzem.

Moira ściągnęła brwi.

– Nie zostało mi już wiele czasu, Aramie.

– Nie mów takich rzeczy.

– Niezależnie od tego, czy będę, czy też nie będę mówić o swoim stanie, rzeczywistość się nie zmieni. Wiesz, że nigdy nie pochwalałam zawodu, który sobie wybrałeś, ale też nigdy ci nie przeszkadzałam. Kiedy rząd staje się niesprawiedliwy, honor często można odnaleźć wśród wyjętych spod prawa. W ciągu lat rozwinąłeś wiele talentów, które mogą się przydać w walce o szczytny cel.

Aram pokręcił głową.

– Gdzie jest honor w samobójstwie?

– Więcej w tym honoru niż w życiu w zobojętnieniu, w marnowaniu lat na przerywanie bójek w tawernie. Galloran i wszelki opór, jaki zdoła zorganizować, mogą stanowić naszą ostatnią nadzieję, nawet jeśli słabą, na detronizację Maldora. Jeśli cesarzowi się powiedzie, niedługo zniewoli cały Lyrian, a kiedy będzie miał już za sobą wojny, nadejdzie wiek tyranii przerastającej wszelkie wyobrażenia. Jako pierwsi znikną byli piraci, przemytnicy i najemnicy, wszyscy ci, którzy mają za sobą wątpliwą, pełną przygód historię. Działaj teraz, zjednocz się z tymi, którzy wiedzą, jak stawiać opór i unikać cesarza, a twoje umiejętności do czegoś się przydadzą. Wahaj się, a zostaniesz zniszczony.

Przez chwilę Aram sprawiał wrażenie zbitego z tropu przejęciem, z jakim matka mówiła. A potem machnął ręką w stronę zamkniętych okiennic w oknie.

– Nikt nie kocha cesarza. Wszyscy przewidują, że czekają nas gorsze czasy. Jednakże po co ściągać na siebie nieszczęście, walcząc o przegraną sprawę? Wolę przygotować się na to, żeby przetrwać sztorm niż rzucać kamieniami w chmury burzowe.

– Zachowujesz się, jakby nie było nadziei.

Aram zwrócił się do Jasona.

– Wierzysz, że jest nadzieja? Mów szczerze.

Jason poprawił się na sofie.

– No tak. Nadal istnieją niesamowici ludzie, którzy przeciwstawiają się Maldorowi. Tark jest jednym z nich. Widziałem zabitych werbowników, haratacze i rozsadników. Pomagałem sprawie, walcząc przeciwko Maldorowi, i przez długi czas nie dałem się złapać. Kiedy mnie zwinął, uciekłem. Niedawno

odkryliśmy pewne tajemnice, które sprawiły, że zmarnowano wiele energii. Ta informacja może rozpocząć rewolucję.

Aram się skrzywił.

– Za późno już, by stawiać opór.

– Nie wiesz tego – wtrąciła Moira. – Możesz przynajmniej to sprawdzić. Wiesz, że od lat dręczyły mnie te zmartwienia. Nasz gość oferuje szansę, żeby zrobić coś więcej niż tylko rozmawiać. Szansę, która może się drugi raz nie nadarzyć. Chcę, żebyś przyjął zlecenie, z którym zjawił się lord Jason. Jeśli spotkasz Gallorana, moim ostatnim życzeniem jest, żebyś wsparł jego sprawę, jak tylko zdołasz.

Aram był wściekły. Zmniejszona postura zredukowała siłę jego wzburzenia do dziecinnych humorów.

– Jeśli w jakikolwiek sposób przeciwstawię się Maldorowi, tobie będzie groziło największe niebezpieczeństwo. Nie pozwolę na to.

Moira uśmiechnęła się słabo.

– Umrę, zanim coś mi zagrozi. A jeśli będę jeszcze żyła, zacznę się ukrywać.

– Będiesz mnie potrzebowała w czasie ostatnich miesięcy.

– Miesiące? Pewnie zostało mi kilka dni. Staram się nie narzekać, bagatelizować stan mojego zdrowia, synu, ale cierpienie stało się moim nieodłącznym towarzyszem. Jediną ulgę daje mi spokój umysłu. Ofiaruj matce ten spokój.

Moira patrzyła w milczeniu, z drobnymi dłońmi złożonymi a podołku. Aram pochylił głowę.

– Ja... zastanowię się nad tym.

Rozdział 8

Fortel

Lalka nie przypominała jej zbyt, a przynajmniej taką nadzieję miała Rachel. Wyrzeźbiona z jednego kawałka drewna miała z grubsza kształt sowy – sama głowa i korpus, bez rąk i nóg. Pasemka wełny pełniły funkcję włosów, zmatowiałe monety miały być oczami, a prosta sukienka z szorstkiego materiału łagodziła kształty drewnianego ciała. Większość innych rysów namalowano – nos, usta, uszy, brwi.

Mimo rażących rozbieżności fizycznych lalka miała oszukać czatownika. Pasma prawdziwych włosów Rachel wpleciono w wełnianą treskę. Małe trójkąciki z jej ubrań przypięto do prostej sukienki. Monety zamiast oczu to były dziesięciocentówki, które Rachel nosiła przy sobie od przybycia do Lyrianu. Zaklinaczka wykorzystała także próbki krwi, skóry i śliny.

Koza zabeczła obok Rachel i pochyliła się, żeby skubnąć lalkę, ale dziewczyna odepchnęła ją.

– Sio! Uciekaj stąd.

Koza odeszła wolnym krokiem, przystając, żeby wyrwać par chwastów. Zaklinaczka miała kilka kóz, parę owiec, trochę kurczaków i małą armię osiołków. Całą jej własność – w tym namiot, meble i niezliczone amulety oraz talizmany – spakowane już i załadowano na osły. Żadnych zwierząt nie było widać, dopóki zaklinaczka ich nie wezwała. Wystarczyło jednak, że uderzyła w bęben z rozpiętej skóry, wypowiadając kilka edomickich fraz, a większość żywego inwentarza zjawiała się w obozie w ciągu dziesięciu minut.

Dysząc ciężko, zaklinaczka doczłapała do Rachel. Kołysała się ciężko na boki i w jednej ręce trzymała krótką rzeźbioną laskę, a w drugiej kostur. Ozdobiona piórami i zębami czaszka dużego ptaka drapieżnego widniała na końcu kostura.

– Mam już ostatnie z talizmanów – oznajmiła. – Możemy zaczynać, kiedy Drake wróci.

– Jest gorącym zwolennikiem dokładnego zwiadu przed wyruszeniem – powiedziała Rachel. – Czasem nie ma go dłuższą chwilę. Zawsze jednak wraca.

– I niech zawsze tak będzie – mruknęła zaklinaczka, dotykając naszyjnika z paciorków.

– Jesteś gotowa przekazać lalce upoważnienie, by stała się twoim substytutem?

– Tak myślę – powiedziała Rachel.

Nauka nowych edomickich fraz okazała się trudna. Język bardzo różnił się od angielskiego, miał szerszy zasób samogłosek i zawierał spółgłoski, które wymagały zwinnego języka. Żeby dodatkowo skomplikować sprawy, mówienie po edomicku przypominało śpiewanie. Miał znaczenie zarówno ton, jak i rytm. Poza tym mówiło się w tym języku w równej mierze umysłem, jak i ustami. Potrzebne było pełne

skupienie, żeby dobrze wypowiedzieć myśl, zwłaszcza kiedy frazy stawały się coraz bardziej skomplikowane. Zaklinaczka wpajała tę konkretną frazę Rachel od wczoraj.

– Tak jak ćwicyliśmy – zachęciła ją kobieta. – Rozluźnij się i mów z przekonaniem.

Rachel położyła dwa palce na czole lalki. Skupiwszy wolę, wypowiedziała słowa, które zasadniczo znaczyły tyle co „od teraz masz moje pełne pozwolenie, by mnie reprezentować”. Fraza dobrze smakowała, gdy opuszczała jej usta. Rachel wyczuła dodatkowe niuanse zawarte w słowach, w tym aprobatę dla uprzednich uroków rzuconych przez zaklinaczkę i potwierdzenie, że lalka będzie teraz symbolicznym pełnomocnikiem wyposażonym tak, by emanować wszystkimi przymiotami, które cechowały Rachel.

Rachel od niedawna uczyła się u zaklinaczki, ale już wiedziała, jak trudno przełożyć w umyśle edomickie frazy na angielski. Angielska wersja zawsze okazywała się nieprecyzyjna, wymagała zdecydowanie więcej słów, żeby przekazać to samo znaczenie, i nieuchronnie okazywało się, że nie dorównuje oryginałowi.

– Dobra robota – zachwyciła się zaklinaczka. – Masz wyjątkowy dar, Rachel. Niektórzy mają naturalny talent do określonego typu edomickich rozkazów, ale to zadanie było zupełnie inne od wezwania ognia. To nie takie proste sprawić, żeby to oświadczenie przylgnęło. Sama lalka i tak powinna wystarczyć, nawet bez twojego formalnego pozwolenia, ale spodziewam się, że teraz czatownik będzie całkowicie zbity z tropu. Dzięki moim amuletom osłaniającym twój umysł, czatownik powinien pójść za przynętą z pełnym przekonaniem.

Rachel dotknęła splecionego wisiorka z paciorka i kości. Zaklinaczka przygotowała jeden taki dla niej i jeden dla Drake’a. Rachel nosiła także bransoletkę, pierścionek i łańcuszek na kostce – wszystko to, żeby zakłócić próby dostrzeżenia jej obecności.

– Co się stanie, jeśli czatownik za bardzo zbliży się do lalki? – spytała.

– Kamuflaż jest mocny – odpowiedziała zaklinaczka. – Przez jakiś czas iluzja powinna znieść nawet uważne badanie. W końcu czatownik zorientuje się, że to podstęp. Żadna iluzja nie trwa wiecznie. Jednak torivorowie nie postrzegają świata tak jak my. Na podstawie moich badań nie jestem pewna, czy mają zdolności porównywalne do ludzkiego wzroku, węchu, słuchu czy smaku. Zamiast tego po prostu sięgają umysłami. Nasza przynęta została tak pomyślana, żeby zakłócić jego sposoby postrzegania. Czatownik wyczuje lalkę jako poważnie ranną albo częściowo przesłoniętą wersję ciebie. Kiedy ty będziesz dokładnie spowita w zaklęcia, czatownik nie powinien mieć powodu, żeby zwątpić w autentyczność pełnomocnika.

Jeśli szczęście nam sprzyja, to zanim czatownik się zorientuje, że go oszukaliśmy, będziemy daleko stąd i osłonięci urokami.

– Czym właściwie są torivorowie? – spytała Rachel. – Drake nie chciał mi wytłumaczyć.

– Starał się ciebie chronić – odpowiedziała zaklinaczka. – Ignorancja może nieco osłaniać człowieka przed ich parapsychicznymi zdolnościami. Ponieważ jednak przez długie tygodnie byłeś narażona na jego

wpływ, podejrzewam, że wiedza posłuży ci bardziej niż ignorancja. Istnieją znaczne rozbieżności w dyskusji nad naturą torivorów. Czarnoksiężnik Zokar utrzymywał, że ich stworzył, i chociaż większość tych, którzy badali tę rasę, obala jego twierdzenia, nikt nie kwestionuje faktu, że po raz pierwszy pojawili się jako jego słudzy.

– To skąd się wzięli?

Zaklinaczka wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Zrobiłam co w mojej mocy, by zrozumieć torivorów. Instynkt samozachowawczy to silny bodziec.

Dużo na ich temat czytałam, dzieliłam z nimi sny, wymieniałam się informacjami z innymi, poświęciłam lata na ćwiczenie edomickiego, by móc wyprowadzać ich w pole. Na podstawie tego, czego się dowiedziałam, podejrzewam, że Zokar ich wezwał. Nie należą do Lyrianu tak samo jak ty.

– Chcesz powiedzieć, że to Pozaświatowcy?

– Tak zgaduję.

– Nigdy nie widziałam niczego podobnego w moim świecie.

– Podejrzewam, że Poza to coś znacznie więcej niż tylko twój świat – odpowiedziała zaklinaczka. –

Jeśli się nie mylę, torivorowie pochodzą ze znacznie bardziej obcej rzeczywistości niż twoja.

– Skąd?

– Nie umiem tego miejsca nazwać. Tak czy owak, Zokar ogromnie się interesował Poza. To była jego specjalność. Zgaduję, że w jakiś sposób zwabił torivorów do Lyrianu i zmusił ich do służby.

– Ilu jest tu torivorów?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie mniej niż dwudziestu. I pewnie nie więcej niż kilkuset. Trudno to ocenić z jakąś pewnością.

Rzadko widuje się czatowników, a poza tym zwykły pojawiać się pojedynczo. W czasie wielkiej wojny między Eldrinem i Zokarem, torivorowie pojawiali się niekiedy w grupach, dając nam jedyną podstawę do oceny ich liczby.

Zbliżający się tętent kopyt sprawił, że zaklinaczka się odwróciła.

– Jeden koń – rozpoznała Rachel. – To powinien być Drake.

Kobieta skinęła głową.

– Nadal działają moje obrony, które wykryłyby zbliżającego się wroga.

Dosiadający Mandibara Drake pojawił się nagle, wyskakując pomiędzy dwóch wysokich krzewów.

Dopadł susem Rachel zeskoczył z siodła.

– Czatownik sprowadził żołnierzy.

– Jak blisko są? – zapytała zaklinaczka.

– Idą ze wschodu i zachodu, rozproszyli szyki, w sumie jest ich co najmniej sześćdziesięciu. W połowie żołnierze, w połowie milicja. Patrzyłem ze wzgórza na południowy zachód stąd.

Zaklinaczka zmarszczyła brwi.

– Czatownicy są sprytni. Kiedy ten cię zgubił, zorientował się, że znalazłaś sposób, żeby się ukryć.

Wobec tego sprowadził innych, żeby zebrali się na teren, na którym zniknęłaś, i cię stąd wykurzyli. Moje czary mają odwracać zwykłą uwagę, a nie skrupulatne poszukiwania.

– Zostało nam z pół godziny, zanim zbliżą się na tyle, że staną się widoczni – powiedział Drake. – Jeśli wy dwie pojedziecie na północ, a ja na południe, powinniśmy uniknąć wykrycia.

– Jesteśmy gotowe ruszać – odpowiedziała zaklinaczka. – To może podziałać na naszą korzyść. Akurat kiedy czatownik spodziewa się nas wykurzyć, ty uciekniesz na południe z lalką.

– Jeśli złapie przynętę, poprowadzę go na południe do rzeki Purga. Potem puszcze lalkę z prądem, a sam ruszę ostro na północ. Spotkamy się na najwyższym grzbiecie nad Doliną Półksiężycowatą, na północny wschód od Trensicourt.

– Taki jest plan – potwierdziła zaklinaczka. – Najwyższy czas, żebym się przeniosła i zmieniła scenerię. Zaczynało mi tu być zbyt wygodnie. Nie zapomnij o lalce.

Wskazała kukłę i wsiadła na osła. Rachel dosiadła klaczy.

Drake spojrzał na lalkę i zamarł. Zamrugął, zmrużył powieki i zerknął na Rachel, a potem na lalkę.

– Co za podobieństwo – mruknął.

– Ha, ha – zachnęła się Rachel. – Miejmy nadzieję, że zmyli czatownika.

– Nie żartuję – zapewnił ją Drake, przykucając nad lalką. Wyciągnął ostrożnie rękę, przesuwając ją w powietrzu nad drewnianą figurką.

– To moc twojego pozwolenia w połączeniu z moimi przygotowaniami – wyjaśniła dziewczynie zaklinaczka. – Lalka przemawia do jego umysłu z większą siłą niż jego własne oczy.

– Widzi mnie?

Drake macał przez chwilę niemal na oślep, zanim położył ręce na lalce. Dotykał jej przez chwilę, jakby mógłby to robić w ciemności, żeby utwierdzić się w jej rzeczywistych rozmiarach i kształtach.

– Majsterszyk.

– Pierwsza warstwa uroków odciąga bezpośrednią uwagę od lalki – wyjaśniła zaklinaczka. – Pod tą warstwą przynęta jest postrzegana przez umysł jako Rachel.

Drake podniósł lalkę, kręcąc głową.

– Wystarczyło, żeby mieć halucynacje – przytaknął. – I to kiedy prawdziwa dziewczyna stała tuż przede mną.

– Powinno wystarczyć – uznała zaklinaczka.

Z lalką w zgięciu ramienia Drake wsiadł na Mandibara.

– Do ponownego spotkania – powiedział.

Na jego komendę ogier rzucił się do przodu.

– Do widzenia, Drake! – zawołała za nim Rachel, zasmucona tym, że jej obrońca odjeżdża.

Był jej jedynym towarzyszem przez wiele tygodni.

Zaklinaczka potrasnęła grzechotką i wypowiedziała edomickie słowa. Rachel nigdy ich nie słyszała, ale dzięki wrodzonemu darowi wyczuwała ich znaczenie. Słowa przemawiały do zwierząt, uwalniając je

z tego obszaru i zachęcając, żeby poszukały własnej drogi na miejsce spotkania.

– Potrafisz kontrolować zwierzęta za pomocą edomickiego? – pytała Rachel, kiedy ruszyły na północ.

– Nie kontrolować – odpowiedziała kobieta. – W najlepszym razie wpływać na nie. Odkryjesz, że wszelkie życie generuje naturalną odporność na wpływ edomickiego. Mówiąc najogólniej, im większa inteligencja albo im silniejsza wola, tym potężniejszy opór. Zwykłe przywiązanie, jakie może się pojawić u zwierząt domowych, można przyspieszyć i pogłębić dzięki właściwemu użyciu edomickiego, a porozumiewanie się z nimi staje się o wiele klarowniejsze. Wpływ na dzikie zwierzęta to zdecydowanie większe wyzwanie, a zastosowanie przymusu jest właściwie niemożliwe. Na przestrzeni czasu moje zwierzęta nauczyły się mi ufać i teraz czasem proszę je o spełnienie mojej woli.

Rachel ściągnęła wodze, by nie wyprzedzić zaklinaczki. Kiedy jechały na północ, osły i pozostałe zwierzęta się rozproszyły.

– Czyli po prostu będą wędrować i w końcu spotkają się z nami w miejscu przeznaczenia?

– Zasadniczo tak. Wszystkie są chronione przez różne amulety, które powinny doprowadzić je z powrotem do mnie i pomóc im uniknąć drapieżników. Od dziesięcioleci tak wędruję, więc zdobyłam pewną praktykę w stosowaniu odpowiednich uroków.

– Sprawiasz wrażenie dobrej w tym, co robisz.

– Dziękuję.

– Nie ma jakiegoś łatwiejszego sposobu życia dla ciebie?

Zaklinaczka zastanowiła się nad pytaniem, zanim na nie odpowiedziała.

– Myślę, że mogłabym stworzyć sobie mocno chronioną kryjówkę, z której bym działała. Nie sądzę jednak, że bym była wystarczająco dobra, by bez końca utrzymywać taką fortecę w ukryciu. Poza tym lubię wędrowki pod gołym niebem. Ruch pozwala mi zachować młodość. Myślę, że popadłabym w stagnację uwięziona w jednym miejscu.

– Czujesz się czasem samotna?

– Moje czary są dobrymi kompanami. Nigdy nie mam dość tworzenia ich. Szkolenie się w edomickim to wyzwanie na całe życie. Związane z tym wysiłki ciągle mnie pobudzają. Jedynym drugim realistycznym wyjściem dla mnie byłoby przybranie fałszywej tożsamości i zarzucenie edomickiego, czego nigdy nie brałam pod uwagę.

Rachel pokiwała głową.

– Posługiwanie się nim to niesamowita zabawa. Dzięki niemu czuję... Sama nie wiem... Że naprawdę żyję.

Kobieta spojrzała na nią.

– Z udanego narzucenia woli żywiłom płynie spora przyjemność. Coś więcej niż zwykła satysfakcja z wykonanego zadania. Ten dreszczyk może uzależniać. Może skusić nieroztropnego adepta do spróbowania czegoś, do czego jeszcze nie jest gotowy... z katastrofalnymi skutkami.

– Postaram się zachować ostrożność – odparła Rachel, żałując, że w ogóle cokolwiek powiedziała.

– Nie radzę ci, byś ignorowała przyjemność płynącą z posługiwania się edomickim – wyjaśniła zaklinaczka. – Nie byłabyś w stanie, nawet gdybyś próbowała. Jednak broń się przed jej zwodniczym urokiem. Goniąc za dreszczykiem mocy to prosta droga do zniszczenia.

Przez pewien czas jechały w milczeniu, osiołek pierwszy, a Rachel na większym wierzchowcu z tyłu. Osioł nie lubił się śpieszyć i nigdy nie szedł szybciej niż spacerkiem.

Po pewnym czasie zaklinaczka zsiadła i wbiła mały palik w ziemię, nie większy od golfowego. Zwieszały się z niego miedziane kółka.

– Do czego to służy? – spytała Rachel.

Zaklinaczka ponownie dosiadła osła.

– Cel jest dwojaki. Totem zadziała jak alarm, ostrzegając nas, jeśli ktoś ruszy naszym śladem. Powinien także zamroczyć i zmylić każdego, kto będzie próbował nas ścigać.

– Myślisz o wszystkim – powiedziała Rachel.

– Staram się.

– Masz jakieś imię? Mam wrażenie, że nie mam jak się do ciebie zwracać.

– Mam imię, ale go nie zdradzam. Moi najpotężniejsi wrogowie ścigają mnie swoimi umysłami. Pomaga, jeśli nie wiedzą, skąd jestem, ile mam lat albo kim mogą być moi krewni. Pomaga również to, że nie znają mojego imienia. Możesz mi nadać jakieś przezwisko, jeśli chcesz.

– Może Elaine?

– Może być. Szybko wybierasz.

– Zawsze podobało mi się to imię.

Rachel nie dodała, że tak nazywał się jej ulubiony pluszowy zwierzak – żyrafa mająca na głowie kapelusz, a na szyi sznur pereł.

W miarę upływu dnia przejechały przez niskie, dzikie wzgórza i okrążyły niezliczone doliny i łąki, nigdy nie poruszając się zbyt pośpiesznie. Zaklinaczka umieściła jeszcze kilka innych palików. Przed zachodem słońca dotarły do kamienistego zbocza nad małym jeziorem. Rachel jechała za osiołkiem po nierównym terenie, aż dotarły do szerokiego wejścia do płytkiej jaskini.

Zaklinaczka zsiadła z osła i wyjęła kilka rzeczy z sakw. Rachel uwiązała konia, a potem wzięła zwinięte koce. Elaine zaprowadziła ją do szerokiej niszy. Rachel zauważyła symbole namalowane na ścianach, kilka prymitywnych figurek na ziemi. W kącie płytkiej jaskini zaklinaczka przeprowadziła Rachel przez wąską szczelinę do drugiej komory.

– Korzystałam z tego zagłębienia już kiedyś – przyznała się Elaine. – Daje dość osłony, żeby rozpalić ognisko, kiedy ciemność ukryje dym.

Wskazała kilka schludnych stosów drzewa.

– To twoje lalki, te które leżały przy wejściu? – spytała Rachel.

– Wolę, kiedy nikt nie zakłóca spokoju moich kryjówek.

– Racja.

Elaine ułożyła kilka pniaków w zagłębieniu, dodała parę gałązek.

– Zechcesz czynić honory?

– Pewnie. Nie rozpalałam wcześniej ogniska w obozowisku.

– Skup się na tym patyku – powiedziała Elaine, wskazując sękatą gałązkę. – Sprawdź, czy uda ci się zapalić ją od razu na całej długości.

– Drake posługiwał się podpałką – tłumaczyła się Rachel.

– Drake nie ma twoich zdolności. Są słowa, które skierują żar tak, żeby rozszedł się po całej długości patyka, ale wolałabym, żebyś wykorzystała tę samą frazę co zawsze i jedynie siłą woli zmusiła żar do rozgrzania całej gałązki.

Rachel rozprostowała nerwowo palce.

– A jeśli mi się nie uda?

– To nie jest zbyt ambitne zadanie. Nic ci nie będzie. Poza, jeśli naprawdę się na nim skupisz, nie sądzę, żebyś zawiodła. Śmiało.

Rachel przyklękła blisko skromnego stosu drewna, nie puszczając wzroku z sękatej gałązki i starając się przyswoić sobie jej kształt i fakturę. Skupiła na niej wolę, tak jak to robiła knotami świeczek, ale zamiast koncentrować się na jednym punkcie, starała się mentalnie objąć całą długość.

Wypowiedziała edomickie słowa i pchnęła całą świadomością, narzucając swoją wolę tak jak wtedy, gdy zapalała oddaloną świecę. Gałązka buchnęła nagle płomieniem i Rachel aż się odchyliła. Roześmiała się z powodu tego nagłego wybuchu i rozkoszowała jeszcze przyjemniejszym dreszczykiem niż ten, który czuła, zapalając świecę.

– Dobra robota, moja mała! – wykrzyknęła zaklinaczka. – Naprawdę uczysz się łączyć rozkaz z wolą.

– Dałam z siebie wszystko – powiedziała Rachel.

Gałązka nadal płonęła. Ogień, który Rachel wezwała, nie lizał jedynie powierzchni – wydawało się, że wybuchł z wnętrza. Kiedy gałązka płonęła, ogień rozprzestrzenił się na sąsiadujące drewno.

– Nie zdołałabym zapalić tego patyka nawet w połowie tak dobrze – przyznała Elaine. – A ćwiczę to od lat. Jak to odbierałaś?

– Dobrze. Właściwie to było łatwiejsze, niż kiedy za pierwszym razem zapalałam świecę na odległość.

– Chodź ze mną.

Zaklinaczka wyprowadziła Rachel na zewnątrz do małej sosenki. Przesunęła palcem po smukłym konarze jeżącym się zielonym igliwem.

– Spróbuj zapalić koniuszek tej gałęzi.

– Jak duży? – spytała Rachel.

Kobieta wskazała kilka cali.

– Wystarczy tyle.

– To o wiele mniej niż tamten patyk.

- To będzie trudniejsze, ale przekonajmy się, czy ci się uda.
- W porządku. Zabawne, ale jestem trochę zmęczona po patyku.

Elaine skinęła głową.

– Włożyłaś dużo woli w zapalenie gałązki, pewnie więcej niż było trzeba. Z czasem nauczysz się, ile wysiłku potrzeba do różnych zadań, i to ci pomoże oszczędzać siły. Daj sobie chwilę, żeby dojść do siebie.

– Już jest dobrze.

– Nie oszczędzaj się – poradziła Elaine. – To będzie trudne.

– Dobrze – mruknęła Rachel. Odetchnęła głęboko, skupiając się na końcu konaru, starając się zapamiętać każdą igielkę. – Zaczynam.

Tak samo jak w jaskini, wypowiedziała słowa, by wezwać żar, a potem pchnęła całą wolą, jaką była w stanie zebrać. Skupiła swoje działania na ostatnich dwóch calach konaru, kierując żar tak, by przeniknął gałąź. Odnosiła wrażenie, że nigdy dotąd nie włożyła więcej mocy do rozkazu, ale koniuszek konaru zaczął jej się wydawać dziwnie śliski. Jej koncentracja słabła. Zaciskając pięści, Rachel podwoiła wysiłki. Konar zadygotał i uniosły się z niego smużki pary.

Po przeciągającej się frustrującej chwili Rachel zupełnie straciła koncentrację. Nie była w stanie dłużej podtrzymywać wewnętrznego wysiłku. Miała wrażenie, że zeszła z niewidocznego krawężnika. Złana potem padła na kolana. Zalała ją fala mdłości. Rachel nie mogła złapać tchu. Zamknęła oczy i zdawało jej się, że ziemia kołysze się i wiruje. Pochyliła się, opierając ręce na ziemi.

Poczuła uspokajające dłonie na ramionach.

– Spokojnie, moja mała. Pozwól, niech to minie.

Rachel była boleśnie świadoma zapachu skał i ziemi pod nią, małej sosenki obok. Walczyła z odruchem wymiotnym. Zawroty głowy zaczęły ustępować. Po chwili wstała.

– To było okrutne – powiedziała, zbyt roztrzęsiona, żeby ukrywać urazę. – Posypałam się. Dlaczego kazałaś mi to zrobić?

– Wiesz, dlaczego to było takie trudne?

– Z powodu wody w gałęzi?

– Pomyśl, co ci wcześniej powiedziałam.

Nagle pojęła.

– Drzewo żyje.

– Właśnie. Wszelkie życie opiera się edomickiej ingerencji. Różnica między próbą zapalenia martwej gałązki i żywego konaru jest ogromna. Nie jestem pewna, czy nawet najwięksi czarnoksiężnicy zdołaliby bezpośrednio podpalić człowieka.

– Wiedziałaś, że mi się nie uda.

– Podejrzywałam, że może ci się nie udać z patykiem. Kiedy się udało, dałam ci znacznie trudniejsze zadanie.

– Dlaczego chciałaś, żeby mi się nie udało? – Rachel nadal stała niepewnie i nie mogła złapać oddechu.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, chciałam, żebyś na własnej skórze poczuła opór, jaki stawia językowi edomickiemu wszystko, co żyje. Sposób, w jaki życie opiera się ingerencji, jest trudny do zrozumienia, dopóki samemu się tego nie doświadczy.

– A drugi powód?

– Musiałaś się nauczyć, jakie to uczucie zawieść. Musiałaś doświadczyć tego, jak twoja koncentracja się rozpada, kiedy próbujesz czegoś, co przerasta twoje zdolności. Z czasem nauczysz się rozpoznawać, kiedy będziesz się starać zrobić za wiele. Świadome porzucenie rozkazu zawczasu zmniejsza negatywne skutki porażki.

– Czyli, gdybym nie walczyła do końca, przeżyłabym mniejszy wstrząs?

– Zgadza się. Każdy, kto para się edomickim, musi nauczyć się radzić sobie z nieudanymi rozkazami. Krok po kroku nauczysz się realizować bardziej ambitne zadania. Nigdy jednak nie zapominaj, że im ambitniejsze zadanie, tym ostrzejsze skutki porażki.

– Teraz widzę, że lepiej jest to wiedzieć.

– Gdybyś, na przykład – tłumaczyła dalej Elaine – spróbowała podpalić całą roślinność i włożyła w to całą swoją wolę, pewnie byś umarła.

– Będę uważać – obiecała Rachel; nogi nadal miała jak z waty.

– Posługiwanie się edomickim potrafi być bardzo satysfakcjonujące – powiedziała zaklinaczka – ale to nie zabawa. Musisz nauczyć się pilnować swoich ograniczeń. Masz ogromny potencjał, Rachel, ale ci o imponującym wrodzonym darze często szybko się wypalają. Zbyt szybko zbyt wiele próbują osiągnąć i nigdy nie odkrywają tego, czym mogliby się stać, gdyby cierpliwiej rozwijali swój talent.

– Myślę, że mam już pewne pojęcie – powiedziała Rachel. – Jeśli mam zawieść, to robiąc coś, co tylko trochę przekracza moje możliwości.

– To rozsądna i sprawdzona droga rozwoju. Jeśli będziesz trzymać się tej zasady, daleko zajdziesz. Jeśli nie, pewnie zginiesz.

Rozdział 9

Przeszmuglowany

W nieskazitelnym pokoju gościnnym na piętrze Jason nie mógł zasnąć. Z rękami splecionymi za głową leżał na pościeli na wąskim łóżku i patrzył na skośny sufit. Aram spał na dole, a Moira uparła się, żeby Jason też się zdrzemnął i wypoczął przed nocą w siodle.

Poprzedniej nocy Aram zabrał rzeczy Jasona z Portowej Tawerny. Zrobił też zwiad w mieście i zauważył, że potrojono liczbę wartowników przy każdej bramie, do czego doszła jeszcze nietypowa liczba patroli przeczesujących miasto w poszukiwaniu bezimiennego zbiega, którego rysopis pasował do Jasona. Powiedział, że nie przypomina sobie podobnego zainteresowania zbiegiem od czasu polowania na Gallorana.

Jason obrócił się na bok, szukając wygodnej pozycji. Jego niepokój wiązał się częściowo z ręką Ferrina. Odcięta kończyła cały czas rzucała się w plecaku. Szelest trwał od co najmniej godziny. W przeszłości Ferrin zwracał na siebie taką uwagę tylko wtedy, kiedy chciał się podzielić czymś bardzo ważnym i nagłym.

Chociaż niezmiernie ciekawiły go wieści od Ferrina, starał się udawać, że nie słyszy szelestu. W końcu chodziło nie tylko o jego własne bezpieczeństwo, ale też Arama i Moiry. Nie miał gwarancji, że Ferrin jest po jego stronie. Rozsądniej byłoby unikać kontaktu z rozsadnikiem, dopóki nie zostawi Ithilum daleko za sobą. Jednakże w miarę jak minuty upływały, a trzepotanie trwało, Jason zaczął się zastanawiać, jak Ferrin zdołałby wydedukować coś użytecznego z liter rysowanych na dłoni. Jeśli będzie uważać, żeby z niczym się nie zdradzić, to czy wymiana paru słów naprawdę mogłaby komuś zaszkodzić? A jeżeli Ferrin miał do przekazania coś naprawdę ważnego?

Ponieważ szelest trwał uparcie, ciekawość przezwyciężyła w końcu ostrożność. Musiał uciszyć dłoń, prawda? Słońce miało tylko godzinę do zachodu i wkrótce mógł się zjawić Aram. Trudno będzie wyjaśnić obecność żywej dłoni.

Jason sturlał się z łóżka i wyjął odciętą dłoń z plecaka, uderzając ją lekko, żeby dać do zrozumienia, że jest gotowy odebrać wiadomość. Dłoń zaczęła literować w języku migowym.

Jestem w Ithilum. Tak jak ty. Wszystkie drogi wychodzące z miasta są pod nadzorem agentów Maldora, niewątpliwie wezwanych przez twojego zaprzyjaźnionego czatownika. Pomogę ci uciec.

Jason zastanawiał się nad wiadomością. Kiedy wokół kręciło się tak wielu żołnierzy, to była idealna okazja dla Ferrina, żeby zadać mu cios w plecy. Nawet jeżeli rozsadnik rzeczywiście spalił za sobą wszystkie mosty, jeśli idzie o Maldora, to czy nie uzna tej sytuacji za okazję do poprawy swojej sytuacji?

Jason zaczął rysować litery.

ZNALAZŁEM TU SPRZYMIERZEŃCA. POMOŻE MI UCIEC.

Kogo?

LEPIEJ NIE MÓWIĆ.

Rozumiem twoje opory. Mimo to, przysięgam, że robię to dla twojego dobra. Nie łudzę się, że złapanie cię zrekompensuje moje zbrodnie. Nigdy nie pozwoliłby mi żyć, ze względu na to co wiem. Nigdy nie miałem zbyt wielu przyjaciół. Chcę do ciebie dołączyć ci pomóc.

CHCIAŁBYM CI ZAUFAĆ. CZEKAM NA TEN DZIEŃ. ALE TERAZ TO NIE JEST DOBRY MOMENT.

Pozwól, że dostarczę ci kilku informacji, by obudzić w tobie trochę wiary. Port jest pod ścisłym nadzorem, tak samo jak trzy bramy miejskie. Musisz znaleźć inną drogę wyjścia z miasta. Przynajmniej jeszcze jeden rozsadnik znajduje się w okolicy, tak samo jak wielu werbowników i tłumy zwykłych żołnierzy.

DZIĘKI. BĘDZIEMY OSTROŻNI.

Jeszcze jedna rzecz. Twój sprzymierzeniec to Aram.

Jason spojrzał zaszokowany na dłoń. Jak miał zareagować, nie zdradzając się zbytnio?

DLACZEGO TAK MÓWISZ?

Nadal mam swoje źródła. Portowa Tawerna zawsze była kopalnią rzetelnych informacji.

GROZISZ MI?

To nie jest groźba. Staram się podsunąć ci sposobność do zaufania mi. Już mam dość informacji, gdybym chciał cię zdradzić. Wiem, że jesteś tu, w Ithilum. Wiem, że wynająłeś Arama do pomocy. Znam sekrety, które przechowujesz. I jestem po drugiej stronie ulicy.

Czy to możliwe? Jason zastanawiał się, jak zareagować.

Wyrzuj przez okno.

Okno pokoju gościnnego wychodziło na ulicę. Jason podkradł się do niego i zerknął. Na dole po drugiej stronie brukowanej ulicy, stał Ferrin ze skrzyżowanymi rękami, opaską na oku i niechlujną brodą. Nosił zawadiacko przekrzywiony kapelusz o szerokim rondzie. Spojrzał Jasonowi w twarz i delikatnie skinął głową.

Jason odsunął się od okna.

CO TERAZ?

Aram cieszy się zasłużoną reputacją, ale będziesz potrzebował kogoś więcej niż umiśnionego przemytnika, żeby na dłużej wymknąć się czatownikowi. Potrzebujesz mojej pomocy. To dla twojego własnego dobra. Do zobaczenia za chwilę.

Kiedy Jason drugi raz zerknął przez okno, zobaczył, że Ferrin przechodzi przez ulicę i kieruje się do frontowych drzwi. Podenerwowany Jason wypadł z pokoju i zbiegł po schodach. Moira wyszła z kuchni do holu wejściowego, z podwiniętymi rękawami i rękami w mące.

– Co się stało? – spytała.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

– Stary przyjaciel mnie odnalazł – odpowiedział Jason.

Pobladła.

– Jest godny zaufania?

– Mam nadzieję. Tak myślę. Nie zapraszałem go. Sam mnie znalazł. Przyszedł tutaj, chociaż mógł nas zdradzić. W tej chwili nie mamy innego wyboru, jak z nim porozmawiać.

Moira machnęła ręką, nakazując Jasonowi zejść z widoku i uchyliła drzwi.

– Tak?

– Mój bliski przyjaciel gości u państwa – powiedział uprzejmie Ferrin. – Mogę się z nim zobaczyć?

Moira zerknęła na Jasona, który skinął głową. Otworzyła szerzej drzwi i Ferrin wszedł.

– Ponownie się spotykamy – powiedział Ferrin, szczerząc zęby w uśmiechu.

Zdjął kapelusz i rzucił go jak frisbee na sofę w saloniku. Podszedł zamaszystym krokiem i objął Jasona, który niepewnie odwzajemnił uścisk. Potem skłonił się Moirze.

– Przedstawisz nas sobie? – ponaglił Jasona.

Jason był zdezorientowany.

– Ferrinie, poznaj Moirę. Moiro, poznaj Ferrina.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział Ferrin, wracając się do Jasona, uniósł rękę, która kończyła się na nadgarstku. – Podasz mi dłoń?

– Rozsadnik? – Moira zdusiła okrzyk, unosząc palce do ust.

– Proszę się nie obawiać, zbuntowałem się. Cesarz jest moim wrogiem. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

Co więcej, zamierzam udzielić niezbędnej pomocy. Ona wie, kim jesteś?

Jason skinął głową.

– Jestem starym towarzyszem lorda Jasona. To ja uratowałem go z...

Drzwi piwnicy otworzyły się z rozmachem i wynurzył się zza nich Aram z włosami zmierzwionymi od snu i z długim, zakrzywionym nożem w drobnej dłoni. Wodził wzrokiem od Ferrina do Jasona.

– Co tu się dzieje?

– Kto to? – spytał Ferrin.

– Mój syn, Burt – wyjaśniła Moira.

– Kim jesteś? – zapytał ostro Aram.

– On też wie o wszystkim? – wymamrotał Ferrin.

Jason skinął głową.

– Wyjaśniałem właśnie twojej matce, że jestem Ferrin, rozsadnik, były sługa cesarza, który się zbuntował po wykradzeniu lorda Jasona z lochów Felrook. Jestem tu, by pomóc mu uciec z Ithilum. To prawdziwe wyzwanie, zważywszy na to jakie zastępy się zebrały, żeby go aresztować.

Celując ostrzem noża w Ferrina, Aram zerknął na Jasona.

– Mówi prawdę?

– Z tego co mi wiadomo. Pomógł mi uciec z Felrook sam nas odnalazł. Gdyby chciał nas wydać, już dawno zrobić.

Aram prychnął.

– Chyba że liczy na to, że doprowadzimy go do grubszej zwierzyny. Żadnemu rozsadnikowi nie można ufać.

– W całym Lyrianie nie ma grubszej zwierzyny od lorda Jasona – odpowiedział Ferrin. Odwrócił się do Jasona. – Myślałem, że współpracujesz z Aramem.

– A co ty wiesz o Aramie? – spytał Aram.

– Znam go tylko ze słyszenia.

– Co takiego słyszałeś?

Ferrin machnął niezobowiązująco ręką.

– Był zapewne najbardziej niezawodnym najemnikiem, dopóki nie przeszedł na emeryturę. Trzymał się z dala od spraw cesarza. Był ostrożny, sprytny; twardy gość. Mówiąc szczerze, Aram był wystarczająco łebski, żeby trzymać się z dala od kogoś takiego jak Jason. Zastanawiam się, czy rzeczywiście zamierza pomóc. Rozumiem, że jesteś jego towarzyszem?

– Bratem – odparł Aram.

Ferrin uniósł brwi.

– Najwyraźniej zużył cały wzrost w rodzinie. Gdzie jest teraz twój brat? Musi zdawać sobie sprawę, że mógłby więcej zarobić, mniej ryzykując i przekazując Jasona władzom.

– Mój brat niczego tak nie ceni jak swojej reputacji. Nigdy nie zdradził klienta, kiedy wziął robotę. Przyjął zlecenie mimo emerytury tylko dlatego, że wierzy w tę sprawę.

Ferrin zerknął na Jasona.

– Zapłaciłeś mu?

– Mnóstwo – odpowiedział Jason.

Rozsadnik pokiwał w zadumie głową.

– Nie pojmuję, jak przekonałeś Arama, żeby się zaangażował, nauczyłem się jednak, żeby nie oceniać cię zbyt nisko. Dobrze więc. Powtarzam pytanie, Burt. Gdzie dokładnie jest twój brat?

– Wyszedł na zwiady – odpowiedział Aram, nadal trzymając w pogotowiu nóż. – Wie, że Jason jest poszukiwany, i bada nasze opcje.

Ferrin kiwnął głową.

– Trzy bramy miejskie obsadzono chmarą ludzi. Port jest bacznie obserwowany. Potrzebny będzie sprytny podstęp, żeby przeszmygłować Jasona.

– Jesteśmy świadomi komplikacji – odparł Aram.

Ferrin zmrużył oczy.

– Nigdy nie słyszałem o bracie. Często pracujesz z Aramem?

– Przez lata byłem jego stewardem na statku.

– Ach. Niesławny steward. Wtedy nie nazywałeś się Burt.

– Mówiono na mnie Goya.

Usta Ferrina drgnęły.

– Bracia. Nie miałem pojęcia. Możesz mówić w jego imieniu?

– Aram może i jest większy, ale jesteśmy równymi partnerami.

– W porządku. Powinniśmy się naradzić. Naprawdę chcę pomóc Jasonowi, więc powinniśmy uwzględnić w planach moją osobę. Jako rozsadnik i były sługa cesarza mogę wiele zrobić, żeby pomóc wam uniknąć schwytania.

Aram pokręcił głową.

– Nie pracuję ze złepkami. Pomoc ze strony waszych zwykle źle się kończy. Matko?

Moira zawczasu przemknęła się po cichu w stronę kuchni. Sięgnęła za narożnik i wyjęła ciężką kuszę. Broń wyglądała na za dużą dla niej, ale mimo to, Moira z zimną krwią wycelowała z niej w Ferrina.

– Podziwiam waszą ostrożność – powiedział Ferrin. – Unikanie rozsadników w tego typu przedsięwzięciach służy długowieczności. Jednakże każda reguła ma swoje wyjątki.

Bez ostrzeżenia Ferrin dał nura i przeturlał się po podłodze do Moiry. Kobieta strzeliła z kuszy, ale bełt przeleciał z sykiem nad jego głową, a on ją podciął. Aram rzucił się do ataku.

Wyrwawszy kuszę z rąk Moiry, Ferrin sparował nią zadany długim nożem cios Arama, którego posłał na podłogę brutalnym kopniakiem w pierś. Kiedy Aram gramolił się, żeby wstać, nadal trzymając długi nóż w ręce, Ferrin wyciągnął sztylet i przyłożył go do gardła Moiry.

Zaskoczony i niepewny Jason stał jak sparaliżowany. Aram piorunował wzrokiem to jego, to Ferrina.

– Słyniesz z walki na noże, Goya – powiedział Ferrin – ale ja też mam trochę doświadczenia.

– W ten sposób nie zdobędziesz sobie przyjaciół. – Aram splunął.

– Właśnie w taki sposób należy zabiegać o sprzymierzeńców w trudnych okolicznościach – zaprzeczył Ferrin. – Byłem gotowy zachować się uprzejmie. Ty i twoja matka pierwsi wyciągnęliście broń. Jeśli zachowam przewagę, to wierzę, że zdołam pokazać, że nie mam złych zamiarów.

– Nigdy ci nie zaufam – warknął Aram; tak zaciskał dłoń na nożu, że pobielały mu knykcie.

– Potrzebuję tylko tego, żebyście ze mną pracowali. Ty i Aram znacie to miasto. Jestem gotów uwierzyć, że zdołacie wydostać stąd Jasona. Niestety, w grę wchodzi jeszcze czatownik. Nawet jeśli pomogę, Jason pewnie i tak zostanie aresztowany. A bez mojej pomocy jego koniec jest pewny.

Aram zerknął na Jasona.

– Co powiesz?

– Ferrin udawał już w przeszłości przyjaźń. Jest notorycznym kłamcą. Z drugiej strony mógł zjawić się z żołnierzami i nas zaaresztować. Ma mnóstwo talentów. Jeśli naprawdę stoi po naszej stronie, okaże się użyteczny.

– Odłóż nóż – powiedział Aram. – Masz moje słowo, że wyjdiesz stąd nietknięty.

– Najpierw dokończmy rozmowę – odpowiedział Ferrin. – Wybacz, że nie jestem z miejsca gotowy

uwierzyć słowu przemytnika. Musimy osiągnąć porozumienie. Obstawiam przy tym, że pomogę Jasonowi.

– Masz jego rękę, Jasonie? – spytała Moira, nie zważając na ostrze na jej gardle. – Zaraz po wejściu zlepek zasugerował, że ją masz.

– Mam – potwierdził Jason.

– Możliwe, że tylko o to mu chodzi – zauważyła Moira. – Może tylko zwlekać z wydaniem nas, dopóki nie odzyska ręki.

– Gdyby chodziło mi tylko o rękę, przyprowadziłbym strażę i zabrał ją sobie – powiedział Ferrin. – I nie chodzi mi też o pieniądze. Moje usługi są za darmo. Zdradziłem cesarza przez wzgląd na moją przyjaźń z Jasonem. Teraz moje miejsce jest tylko po stronie ruchu oporu.

– Coś ci powiem – odezwał się Aram. – Nadal nie załatwiłem koni. Możesz spotkać się z nami w umówionym miejscu z trzema wierzchowcami?

– Dziś wieczorem?

– Tak.

– Oczywiście.

– Jeden musi być większy, żeby udźwignął Arama.

– I czwarty dla mnie.

– Ja nie jadę – powiedział Aram. – Tylko Aram i Jason.

– Zatem trzeci jest dla mnie. To miło, że pamiętałeś.

– Aram zbada okolicę. Jest w tym dobry. Jeśli będziesz tam z końmi i żaden wróg nie będzie się czał w zasadzce, odzyskasz rękę.

Ferrin się nachmurzył.

– Nie chciałbym czekać tam w ciemnościach na święte nigdy.

– Masz moje słowo. Musisz okazać trochę zaufania. To kluczowa rola. Załata sporą dziurę w naszym planie. Odkryjesz, że to nie takie łatwe zdobyć konie, nie wzbudzając podejrzeń. Mamy twoje słowo?

– Naturalnie.

– Powiedz to – naciskał Aram.

– Macie moje słowo honoru.

Ta obietnica zdenerwowała Jasona. Wiedział, że Ferrin jest zdolny kłamać, kiedy to odpowiada jego celom.

– W głębi lądu od strony zatoczki znajdującej się na północ od miasta jest kilka zagajników – opisał Aram. – W jednym stoi pośrodku stara studnia. Popadła w ruinę, odkąd woda z niej zrobiła się słonawa. Spotkaj się z nami w tym miejscu.

– W porządku. Przepraszam cię, Moiro, za nóż na gardle.

– Wybaczę ci, kiedy udowodnisz swoją szczerość – odpowiedziała.

– Nie zapominaj, że celowałaś we mnie z kuszy. – Ferrin odsunął się od niej na krok, obserwując Arama. Podniósł kapelusz. – Do wieczora.

Wycofał się do drzwi i wyszedł.

Aram podbiegł do matki, która już wstawiała.

– Nic ci nie jest? – spytał.

– Nic a nic – uspokoiła go. – Mógł być o wiele bardziej brutalny, kiedy mnie przewrócił. W tych okolicznościach okazał się wręcz delikatny.

– Jego szczęście. – Aram zerknął na Jasona. – Masz czarujących przyjaciół.

– Jestem Pozaświatowcem – odpowiedział przepraszająco Jason. – Poznałem Ferrina, zanim się dowiedziałem, czym są rozsadnicy.

– Jak nas znalazł?

– Jest szpiegiem. Tym się zajmuje. Powiedział, że zasięgnął języka w Portowej Tawernie.

– Masz jego rękę?

– Ukradłem ją, kiedy zmusił mnie do powrotu do świata Poza.

Wykorzystywałem ją w Poza do utrzymania z nim kontaktu.

Aram otworzył frontowe drzwi, rozejrzał się po ulicy i potem się cofnął.

– W jakim stopniu mu ufasz?

– Mniej więcej tak samo, jak ty – odpowiedział Jason. – Spodziewam się, że zjawi się z końmi. Jednak nie jestem pewien, czy chcę go doprowadzić do Gallorana.

– Co myślisz o tym, żeby całkowicie zrezygnować z jego pomocy?

Jason zastanowił się nad tym. Ferrin mógł być szczery, ale już raz Jason dał mu się wyrolować. Niezależnie od tego, jak bardzo pomocny może okazać się Ferrin, istniała realna szansa, że ostatecznie ich oszuka.

– Tak może być bezpieczniej.

– Dobrze, bo nie opuścimy miasta z miejsca, które opisałem. Jestem słownym człowiekiem, ale mogę zrobić wyjątek dla zlepką, który przykłada nóż do gardła mojej matce. Poza tym, nikt nikomu nie płacił.

– Już kiedyś mnie okłamał – powiedział Jason. – To dlatego zacząłem z nim podróżować.

– Naprawdę uwolnił cię z Felrook? – spytała Moira.

– Owszem – potwierdził Jason. – Wziął na siebie ogromne ryzyko, nic na tym nie zyskując. To było coś, co zrobiłby tylko prawdziwy przyjaciel. Możliwe, że naprawdę chce nam pomóc.

– Nawet najmniejsze wątpliwości to za dużo, gdy w grę wchodzi rozsadnik – uznał Aram. – Musimy natychmiast opuścić ten dom. Na tyłach jest sekretne wyjście. Mam wiele kryjówek w tym mieście.

– Muszę zebrać swoje rzeczy – powiedziała Moira.

– Jak zamierzasz przemycić nas z miasta, jeśli bramy i port są pilnowane? – spytał Arama Jason.

– Zorganizujemy kilka zajęć dla odwrócenia uwagi, a potem przemkniemy się pod murami.

– Pod murami?

Aram wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Na jak długo jesteś w stanie wstrzymać oddech?

W miarę jak cienie zmierzchu się pogłębiały, ulice Ithilum stawały się coraz cichsze. Jason szedł kilka kroków za Aramem, który odzyskał o zachodzie słońca swoją imponującą posturę. W spodniach i mocnych sandałach, które kupił mu Aram, a także w kapeluszu i brązowym płaszczu czuł się o wiele mniej widoczny niż w dżinsach. Zerkając w aleję, która wspinała się strony morza, Jason zobaczył kilka kręcących się osób. Daleko na rafie zapłonęła ognista latarnia. Pojedyncze smugi mgły błyszczały w odległym świetle.

Wcześniej tego wieczoru Aram odprowadził Jasona i Moię do ukrytego pokoju znajdującego się niecałą przecnicę od ich domu. Omówił z matką możliwości, jakimi dysponowała, tym ludzi, którzy mogli jej pomóc, i miejsca, do których mogła się udać. A potem poprosił Jasona o trochę dodatkowych pieniędzy i klejnotów, żeby zapłacić kilka łapówek.

Kiedy Aram znowu stał się wysoki i silny, wyszedł, żeby załatwić kilka ostatnich spraw. Wrócił kilka chwil temu i pożegnał się – było to pożegnanie poważne, ale bez łez – z matką, która uśmiechnęła się promiennie do syna po ostatnim uścisku.

Jason prawie się rozkleił, oglądając ich pożegnanie. Ścisnęło go w gardle, łzy napłynęły mu do oczu. Zasmucała go myśl, że półolbrzym pewnie nigdy więcej nie zobaczy swojej matki. Widać było, że są zżyci.

Pożegnanie sprawiło, że pomyślał o własnych rodzicach. To prawda, że nie czuł się specjalnie zżyty z mamą i tatą, ale oni chcieli dla niego jak najlepiej, a on ich kochał. Ciężko pracowali, żeby go odzyskać po tym, jak pierwszy raz zniknął. Musieli być zrozpaczeni, myśląc, że został pożarty przez hipopotama. I możliwe, że nigdy nie poznają prawdy. Przynajmniej wiedział, że jego rodzina jest w domu i nic jej nie grozi. Przy odrobinie szczęścia odnajdzie Rachel i w końcu wróci do bliskich.

Idący przodem Aram skręcił za róg. Kiedy Jason wszedł za nim w zaułek, Aram stał kilka kroków przed nim, dając mu znak, żeby się pośpieszył. Jason podbiegł do niego, a wtedy wielki mężczyzna podsadził go na mur i po chwili sam poszedł w jego ślady. Przykucnęli razem w ogrodzie na dziedzińcu. Aram przeprowadził Jasona ukradkiem na drugą stronę, mijając staw z pływającymi kwiatami, i podskoczył, żeby wyrzeć za mur.

– Paru żołnierzy zaczęło się za bardzo nami interesować – szepnął do Jasona, zanim znowu podsadził go na mur.

Jason zeskoczył po drugiej stronie. Chwilę potem obok niego wylądował Aram. Przebiegli przez ulicę i skręcili w kolejny zaułek. Aram poprowadził Jasona w szaleńczym tempie przez kilka zakrętów, trzymając się wąskich uliczek i krętych zaułków. Wkrótce, zadyszani, przystanęli w ciemnej bocznej uliczce, która prowadziła na główną drogę biegnącą wzdłuż zachodnich murów miasta. Rząd sklepów stał po drugiej stronie drogi u podnóża murów.

Aram wychylił się i rozejrzał. Poklepał Jasona w ramię i poprowadził go przez ulicę. Podeszli jak gdyby nigdy nic do drzwi jednego ze sklepów. Okna były ciemne. Aram zapukał trzy razy, odczekał i

zapukał jeszcze dwa.

Drzwi natychmiast się otworzyły i Aram wprowadził Jasona do środka.

Zagracony sklep był pełen osobliwości i bibelotów. Jason zauważył wielki kufer w całości pokryty muszlami. Na jednej ze ścian wisiała wielka wypchana ryba jeżująca się kolcami.

Przygarbiona osoba w masce klauna poprowadziła ich bez słowa do drzwi na tyłach sklepu. Sądząc po rękach, był to stary mężczyzna. Zdjął lśniący harpun z wieszaka na ścianie i podał go Aramowi. Z kieszeni w luźnym, sfatygowanym płaszczu wyjął pasmo lśniących wodorostów. Aram wziął je, otworzył drzwi i poprowadził Jasona rozchwierutany drewnianymi schodami, które jęczały pod ich stopami.

Zamaskowana postać zamknęła drzwi, ale za nimi nie poszła.

Głęboka piwnica była zatęchłym labiryntem ze stosów skrzynek i nieokreślonych przedmiotów okrytych zakurzonym brezentem. Aram przeszedł szybkim krokiem przez rupieciarnię do piramidy skrzynek w kącie. Owijając wodorosty wokół grubego przedramienia, zaczął zdejmować drewniane pudła i odstawiać a bok, aż odsłonił rozpadającą się drewnianą paletę. Unosząc ją, odsłonił okrągły otwór w kamiennej podłodze zasłonięty metalową kratą. Ustawił paletę pionowo, przyklęknął, wyjął klucz, tworzył kratę i ją uniósł.

– Schodź po drabinie – pouczył Jasona.

Otwarta dziura wyglądała złowieszczo w turkusowym świetle j arzących się wodorostów. Jason miał nadzieję, że Aram wie, co obi. Przykucnął przy krawędzi i spojrzał w ciemność. Dostrzegł żelazne szczelble wbite w kamień. Tędy prowadziła droga pod murem? Odwrócił się, wymacał stopą pierwszy szczebel i zaczął chodzić. Aram ruszył za nim. Jason usłyszał, jak kratka zadzwoniła cicho, gdy Aram ją za nimi zamknął.

Wilgotny odór morskiej wody przenikał ograniczoną przestrzeń szybu. Jason czuł się tak, jakby schodził do studni. Naliczył ponad pięćdziesiąt szczebli, zanim dostrzegł światło wodorostu odbijające się w marszczącej się wodzie w dole.

– To przejście to jeden z najlepiej strzeżonych sekretów w Ithilum – odezwał się z góry Aram. – Właściciel żąda astronomicznych sum, więc nie jest często używane. Na szczęście dysponujemy niezłymi funduszami. Zorientujesz się, że szczeble schodzą pod wodę, a potem prowadzą wzdłuż tunelu. Posłuż się nimi. Czasem będziemy napotykać beczki przyczepione łańcuchami do ziemi. Właściciel zapewnia, że zostały napełnione świeżym powietrzem. Tutaj nawet najszybszy nurek nie poradziłby sobie bez pomocy, ale przejście zostało tak przygotowane, żeby poradził sobie tu każdy, kto jest w stanie wstrzymać oddech na jakąś minutę. Nie ociągaj się zbyt przy żadnej beczce. Powietrze będzie coraz bardziej nieświeże. Ja zejść pierwszy, na wypadek gdyby przed nami czaiły się jakieś niebezpieczne bestie.

– Bestie? – zapytał Jason.

– Wodne drapieżniki. Ja się będę nimi martwił. Ty po prostu przesuwaj się szybko i staraj się robić wrażenie niejadalnego.

Aram wyjął z kieszeni drugie pasmo wodorostów i skrzył je, wywołując bioluminescencyjną

reakcję. Te algi emanowały chorobliwie zielonym światłem.

– Zawiaż to sobie wokół nadgarstka – polecił Aram.

Jason wziął wodorost i zahaczył łokciem o szczebel, żeby nie stracić równowagi, kiedy będzie obwiązywał nadgarstek.

– Gotowy? – spytał Aram.

– Chyba tak.

– Poczekaj chwilę albo dwie, a potem ruszaj za mną.

Z harpunem w ręku wielki mężczyzna skoczył do wody, rozświetlając do tej pory ciemną taflę. Jason patrzył, jak Aram odnajduje szczeble i z ich pomocą schodzi pośpiesznie pod wodę. Kiedy przesuwiał się po podłodze zalanego pomieszczenia, turkusowa poświata zaczęła słabnąć.

Trzymając się żelaznych szczebli, Jason zastanawiał się, co było nie tak w pomyśle wyjazdu z miasta w skrytce pod wozem. Ta droga ucieczki robiła wrażenie niemal równie niebezpiecznej jak walka z żołnierzami. Jednakże teraz już nie miał odwrotu.

Wypuścił całe powietrze z płuc, odetchnął głęboko i znowu wypuścił powietrze. Po kolejnym głębokim wdechu, skoczył do wody. Ledwie zauważył delikatne szczypanie chłodnej wody morskiej w oczach, kiedy znalazł szczeble i zaczął schodzić. Szyb przeszedł przez sklepienie podwodnej jaskini, a kamieniarka ustąpiła naturalnej skale, ale szczeble prowadziły dalej.

W tunelu odchodzącym od jaskini Jason zobaczył oddalające się turkusowe światło. Korzystając ze szczebli, zszedł po ścianie, potem po podłodze do obróconej do góry nogami beczki, łapiąc się łańcucha, wpłynął do wnętrza beczki i wziął kilka głębokich wdechów. Jego oddech rozbrzmiewał głośno w ciasnej przestrzeni. Bogaty aromat wilgotnego drewna wypełnił mu nozdrza.

Przypominając sobie radę Arama, wkrótce porzucił powietrzną kieszeń i ruszył dalej, chwytając się szczebli. Kiedy zbliżał się od jaskini w stronę tunelu, gwałtowne poruszenie sprawiło, że zerknął w bok na płynącą płataninę brązowych macek, chociaż stworzenie odpływało od niego, Jason przyspieszył wędrówkę wzdłuż szczebli.

Kiedy wpłynął do wąskiego tunelu, Aram znajdował się za daleko, by go dostrzec. Tylko słaba niebieskawa poświata jego wodorostów sugerowała, gdzie się znajduje. Jaskinia zakręcała w lewo i prawo, w górę i w dół. Jason posłusznie podążał za szczeblami.

Wpłynął do następnej beczki i gwałtownie złapał oddech w parnej kieszeni powietrza. Do ścian beczki przyczepiło się kilka omułków, a także nieco błyszczącego, żółtego śluzu. Jason został dłużej w tej beczce niż w poprzedniej. Czuł się jak uczestnik wyjątkowo nisko–budżetowej ekspedycji podmorskiej.

Niedaleko za drugą beczką podwodna jaskinia się rozwidlała. Ciesząc się z żelaznych szczebli wskazujących drogę, Jason skręcił w prawo. Przepłynęła przed nim dłuższa od szczotki iglicznia. Rurkowaty pysk wydawał się zbyt wąski, żeby zadać jakieś rany, a Jason przede wszystkim martwił się, żeby dotrzeć do następnej beczki, więc pośpiesznie ruszył w kierunku wydłużonej ryby. Ryba, która wyglądała jak prądkowana tyczka z oczami, rzuciła się ku jego nadgarstkowi i ukradła świecący

wodorost. Jason sięgnął po niego, ale iglicznia śmignęła przez wodę i odpłynęła w kierunku, z którego przybył Jason.

Ryba uciekała szybko, pozbawiając Jasona zielonkawej poświaty. Oczywiście. Oto jego szczęście – że też musiał natrafić na zuchwałą rybę, która żywi się świecącymi algami! Od Arama napływało dość światła, by dało się dojrzeć szczeble, ale Jason wiedział, że musi się pośpieszyć.

Tuż za zakrętem jaskini dotarł do następnej beczki. Wpłynął pod nią i uniósł się, aż uderzył głową w denko. Była pełna wody! Ponieważ nie miał wodorostu na nadgarstku, w środku było zupełnie ciemno.

Spanikowany Jason wyskoczył z beczki i ruszył dalej, chwytając się szczebli. Tunel ciemniał, w miarę jak Aram się oddalał. Obolałe płuca zaczęły zaciskać się Jasonowi z braku powietrza. Chłopiec skupił się na tym, żeby przesuwać się od szczebla do szczebla z jak największą prędkością.

Jak daleko było do następnej kieszeni powietrznej? Musiał zachować spokój i nadal się przesuwać. Jeśli będzie dostatecznie szybki, może przeżyje.

Tunel stopniowo zakręcał w lewo, a potem z powrotem w prawo. Jason zignorował ławicę małych rybek, które chwilę pływały wokół niego, migocząc w półmroku. Daleka poświata turkusowego wodorostu Arama stawała się coraz słabsza.

Tunel zakręcił w górę i Jason dostrzegł przed sobą zarys beczki. Z zaciśniętymi płucami powstrzymał pragnienie złapania tchu i dalej brnął przed siebie.

Kiedy chwycił łańcuch pod beczką, przyszła mu do głowy niekojąca myśl. A co, jeśli w tej beczce też nie będzie powietrza? Oczami wyobraźni ujrzał niezwykle sugestywny obraz – jego własne zwłoki dryfujące przez mroczne, zalane jaskinie i głodne by skubiące rozmiękłe ciało.

Chwytając się desperacko łańcucha, Jason wszedł do kieszeni powietrznej. Ochoczo połykany tlen krążył mu w płucach. Nie miał światła, ale nic go to nie obchodziło. Walcząc z instynktem, Jason zmusił się do spowolnienia oddechu, z obawy, że mógłby zemdleć, kiedy znowu go wstrzyma.

Gdy zanurkował z powrotem do wody, odkrył, że jaskinia jest niemal tak samo ciemna jak wnętrze beczki. Nie widział szczebli, ale bez większego problemu radził sobie po omacku. Przynajmniej one były rozmieszczone w regularnych odstępach.

Jason zdał sobie sprawę, że w ciemności może ominąć kolejną beczkę. Były przymocowane tuż koło szczebli, więc rozłożył szeroko nogi, by jedną z nich na pewno uderzyć w następny łańcuch.

Przesuwał się teraz wolniej. Kiedy już zaczynało mu brakować powietrza, łańcuch uderzył go w udo i po chwili Jason wszedł do beczki. Uwieszone powietrze go ożywiło.

Kiedy opuścił beczkę z zapasem powietrza, odkrył, że w jaskini jest jaśniej. Kiedy ruszył przed siebie, turkusowa poświata zaczęła narastać, aż wreszcie dostrzegł Arama, który po niego zawracał. Jason machnął, dając mu znać, żeby płynął przed siebie. Aram ponownie zawrócił. Niedługo potem wielki mężczyzna wpłynął do jednej z beczek. Jason wpłynął do niej zaraz po nim. Aram zaczął, aż chłopak wyjdzie, i poprowadził go do miejsca, gdzie tunel zakręcał w górę. Razem wypłynęli z basenu pływowego na równinie zalewowej. Zimna mgła przesłaniała księżycową noc.

– Martwiłem się – wydyszał Aram. – Nie mogłem dostrzec twojego światła. Obawiałem się, że wadliwa beczka cię załatwiła.

Wzburzona słona woda uderzyła w nich z chlupotem. Jason się zachwiał. Przyptyw zaczął zalewać basen.

– Niewiele brakowało – przyznał. – Powinieneś zażądać zwrotu pieniędzy.

– Wyczułem pęknięcie. Powietrze musiało uciec. Zgubiłeś światło?

– Ryba mi je ukradła.

Aram zamrugał zaskoczony.

– Trudno wszystko przewidzieć. Nic ci nie jest?

Wokół nich pieniała się woda.

– Czuję się bosko. Zróbmy to raz jeszcze.

– Powinniśmy się pośpieszyć. Nocą równina zalewowa zamienia się w zdradzieckie miejsce.

Przebiegli ukosem przez równinę, oddalając się jednocześnie od Ithilum i morza. Wzburzona woda niekiedy podnosiła się tak wysoko, że sięgała Jasonowi do pasa i co rusz go albo pchała, albo ciągnęła. Raz przez nieuwagę Jason wpadł do ukrytej studni pływowej. Aram natychmiast go wyciągnął.

Wkrótce zostawili za sobą chaotyczne wody morskie.

– Ta mgła to jak na razie najlepsza rzecz, jaka nam się przytrafiła – powiedział Aram, kiedy biegli truchtem po litej skale.

Mgła już zredukowała widoczność do mniej niż dwudziestu jardów.

Za najdalszymi basenami pływowymi grunt zaczął się podnosić. Skalista równina ustępowała krzaczastym wzgórzom. Jason wspiał się za Aramem po długim stoku. Karłowate dęby gęsto porastały drugą stronę wzgórza. Aram przeciskał się krętą drogą między pokrzywioną roślinnością.

Czasem przystawał z zamkniętymi oczami i nasłuchiwał.

Za wzgórzem Aram ruszył szybko wzdłuż strumienia, w górę wąskim wąwozem. Jason musiał biec co sił w nogach, żeby nadążyć. Wysiłek pomagał mu przezwyciężyć dreszcze z powodu mokrych ubrań.

Aram skręcił, oddalając się od strumienia, i wdrapał się po ścianie jaru. Na szczycie leżał przez chwilę plackiem, patrząc kierunku, z którego przyszli.

– Trzymasz się?

Dyszając i trzęsąc się, Jason pokiwał głową.

– Myślę, że wymknęliśmy się niezauważeni – szepnął Aram. Jason zauważył, że wielki mężczyzna nawet się nie zdyszał. – Prawie dotarliśmy do koni. Spotka się z nami gość imieniem Chancy. Jest godny zaufania, ale wiedząc o czatowniku, powinniśmy być przygotowani na wszystko.

Aram poprowadził Jasona przez dziurę w przegniłym płocie do zarośniętego sadu.

Drzewa owocowe nadal stały w uporządkowanych rzędach. Wysokie chwasty i dzikie krzewy zarosły resztę gruntu.

Na drugim końcu sadu, za rozpadającym się ogrodzeniem, Aram przyklęknął, żeby przyjrzeć się

opuszczonej farmie. Część starego domu się zawaliła. Połamana taczka leżała pośrodku podwórza opleciona pajęczynami. Na szczycie walącej się stajni siedziała sowa, kręcąc głową w zamglonym blasku księżyca.

– Jest niemalże za cicho – mruknął Aram. – Poczekaj tu.

Pochylony śmignął przez zachwaszczone podwórze. Kiedy przebył połowę odległości, ze stajni wyszła postać z mieczem. Aram zatrzymał się gwałtownie. Postać machnęła, dając znać, żeby biegł dalej. Aram podbiegł i wskoczył do walącego się budynku.

Chwilę potem znowu się pojawił i dał znać Jasonowi, żeby do niego przybiegł. Chłopiec przebiegł przez zamglone podwórze. Potknął się o porzuconą deskę w chwastach, zanim wszedł do stajni.

Chancy stał z boku – nijaki mężczyzna średniego wzrostu i średniej budowy w wełnianej czapce z nausznikami. Schował do pochwy miecz i teraz bawił się krótkim kawałkiem wodorostu. Aram zdjął koszulę. Jego tors nabrzmiewał mięśniami przy każdym ruchu. Jason zobaczył świeże ubrania przy rozpadającym się boksie dla koni, więc zrzucił sandały.

– Przynęty, które zatrudniłeś, świetnie się spisały – szepnął do Arama Chancy. – A kradzież tego małego stateczku z portu to było genialne posunięcie. Zrobiło się niezłe zamieszanie. Widziałem tumult, będąc daleko od miasta.

– Jaki jest stan dróg? – spytał Aram.

– Nieuleczalny.

– Aż tak źle?

– Rozejrzałem się nieco. Wiele oczu obserwuje drogi prowadzące z Ithilum. Przez cały wieczór reagowałem nerwowo na widok każdego cienia. Jak wam się udało uciec?

Aram włożył długą koszulę obszytą żelaznymi kołami.

– Tajemnica zawodowa.

– Widząc, jacy jesteście mokrzy, nie muszę długo zgadywać. Chociaż to nie moja sprawa. – Chancy skupił się na Jasonie. – Jak się masz?

– Żyję. – Jason zapiął suche spodnie. – Dzięki za przyniesienie naszych rzeczy.

Chancy machnął ręką.

– Jak dostaję zapłatę, to wykonuję swoją robotę.

Aram uniósł ogromny miecz. Od czubka ostrza do końca rękojeści miecz był niemal tak długi jak ciało Jasona. Szerokie dwusieczne ostrze wyglądało na dostatecznie ciężkie, by ściąć drzewo. W słabym niebieskozielonym świetle wodorostu Aram spojrzał na broń z miłością.

– Niezły miecz – powiedział Jason.

Aram się uśmiechnął.

– Zamówiłem go u mistrza kowalstwa. Rękojeść jest wykładana macią perłową i ozdobiona brylantowym pyłem. Głowicę wykonano z opalu z wyspy Teber. Głownia waży tyle, że można nią uderzać jak maczugą, ale jest tak ostra, żeby można było nią przyciąć wasy.

Aram wymachiwał przez chwilę mieczem, tnąc ze świstem powietrze, jakby to była lekka metrowka. Schował go w końcu do pochwy, a potem przewiesił pendent przez ramię, więc miecz wylądował na jego plecach, po czym owinał się peleryną z kapturem. Obszerna szata sięgała mu do kolan.

Chancy wyprowadził dwa konie z zacienionych boksów. Jeden to był ogromny gniady rumak o szorstkiej grzywie i owłosionych pęcinach. Przy Aramie wyglądał jak kucyk. Mniejsza kasztanka stała przygotowana dla Jasona, z plecakiem umocowanym do siodła.

Kiedy Jason zaczął szykować się do wsiadania, Aram położył mu rękę na ramieniu.

– Ty też powinienes mieć broń.

Jason z wahaniem przyjął pas i pochwę i zaczął przewieszać ją przez ramię jak Aram.

Chancy uśmiechnął z wyższością.

– Ten lepiej się nosi w pasie.

Poirytowany Jason zapiął pas zgodnie z sugestią Chancy’ego.

– Nie potrafię posługiwać się mieczem – przyznał.

Aram skrzyżował ręce.

– To nie jest zbyt skomplikowane. Musisz wbić ostrze w ciało przeciwnika.

– Brzmi sensownie.

Jason wyciągnął miecz. Dobrze leżał mu w ręce – był wystarczająco ciężki, żeby narobić szkód, a zarazem poręczny.

– Możesz wyrąbać sobie drogę ostrzem albo dźgać czubkiem. Później omówimy subtelniejsze techniki. Na razie nie próbuj siekać żadnych czatowników.

– Dobrze.

Aram poklepał go po ramieniu, wskazując, żeby wsiadał na konia.

Jason schował miecz do pochwy.

– Czy żołnierze, których spotkam, nie będą mieli za sobą mnóstwa szkolenia?

Aram wzruszył ramionami.

– Jeśli będziesz musiał posłużyć się mieczem tej nocy, to najpewniej już po nas. Jednakże lepsze to niż stawić czoło wrogowi, nie mając żadnej broni. Jak przyjdzie co do czego, to zamierzam zginąć w walce.

Jason wsiadł na konia.

– Jakież rady na odchodnym? – spytał Chancy’ego Aram.

Mężczyzna wyprowadzał własnego srokiego wierzchowca z trzeciego boksu.

– Trzymajcie się z dala od dróg. Okolica na południowy zachód stąd sprawia wrażenie czystej.

– Miejmy nadzieję.

Aram strzelił wodzami i jego koń zadudnił kopytami, ruszając po zakurzonych deskach. Jason wyjechał za potężnym mężczyzną na mroczne podwórze, gdzie bryza wzburzyła mgłę.

– Prr! – Aram ściągnął wodze, zatrzymując konia.

Jason przystanął obok większego mężczyzny i spojrzał w tym samym kierunku, co on. Pośrodku podwórza, spowita w wirujące opary, stała nieruchomo ciemna postać pozbawiona rysów. Jason zdusił okrzyk, zaciskając zęby i mocno przytrzymując wodze. Czy mu się wydawało, czy koń też znieruchomiał?

– To czatownik? – szepnął z nabożnym skupieniem Aram.

– Aha. – Jason próbował się rozluźnić.

– Przestańcie się wygłupiać. – Chancy zaśmiał się cicho, wyjeżdżając ze stajni. – Starego wróbla nie weź...

Jason obejrzał się na Chancy'ego, który zatrzymał konia i zaniepokojony wytrzeszczył oczy.

Czatownik uniósł jedną rękę i wyciągnął drugą w ich kierunku.

Koń, na którym jechał Jason, zatupał i zarżał, szarpiąc łbem. Wielki rumak Arama stanął dęba. Chancy szarpnął wodzami, kiedy jego koń zrobił krok w bok.

– Co teraz? – spytał Aram, nie zwracając uwagi na zaniepokojonego wierzchowca. Jason nie mógł odpowiedzieć, bo jego koń zaczął wierzgać. Szarpał się z wodzami, rozpaczliwie ściskając końskie boki kolanami, kiedy zwierzę tańczyło po podwórzu, wspinając się na tylne nogi i opadając z powrotem na przednie. Po kilku dzikich skokach koń obrócił się i jednocześnie wierzgnął, wyrzucając Jasona z siodła jak z katapulty. Chłopak wylądował do góry nogami i przekoziołkował niezgrabnie. Osłaniając głowę, odczołgał się od końskich kopyt.

Kiedy podniósł wzrok, Aram stał między ogierem i kasztanką, trzymając oba konie za wodze. Zwierzęta szarpały się i ciągnęły, jakby chciały się cofnąć, lecz Aram im na to nie pozwolił.

Chancy leżał wyciągnięty jak długi z rozrzuconymi kończynami na drugim końcu podwórza, a jego konia nigdzie nie było widać. Leżący mężczyzna w przerażeniu wytrzeszczał oczy na Jasona; Aram też patrzył w jego stronę.

Odwracając głowę, Jason zobaczył, że wylądował na ziemi tuż u stóp czatownika. Jason odturlał się od mrocznej postaci.

– Patrz, jak się rusza – mruknął Aram.

Zerkając za siebie, Jason zobaczył, jak czatownik pomknął – ciemna smuga przecinająca mgłę. Nigdy nie widział, żeby ruszał się tak szybko. Dzięki mgle Jason nie musiał patrzeć na niego zbyt długo.

– Dokąd pobiegł? – spytał Chancy.

– Zameldować, gdzie jesteśmy – zgadł Jason. – Ferrin mówił, że to czatownik ściągnął posiłki do Ithilum.

– Musimy teraz postawić na prędkość kosztem dyskrecji – uznał Aram. – Nadal jesteś w jednym kawałku?

Jason wstał. Do płaszcza poprzymocowały mu się rzepy.

– Wyośmy się stąd.

– Jakie mam szanse, że znajdę swojego konia? – zastanawiał się na głos Chancy.

– Niewielkie – odpowiedział Aram. – Zwierzę były przerażone i szybko uciekało. Lepiej, żebyś się

stąd wyniósł, Chancy. Znajdź miejsce, gdzie możesz się przyczaić.

Tamten uśmiechnął się słabo.

– Wiedziałem, że ta robota jest zbyt dobrze płatna. Przysięgam, że nigdy się nie zgodzę, jeśli zaoferujesz mi więcej, niż zasługuje na to mój wkład.

Jason podszedł do kasztanowej klaczy. Nadal tupąła niespokojnie. Aram trzymał na niej rękę, dopóki się nie uspokoiła, a wtedy sam wszedł na swojego ogiera.

Chancy wstał i zaczął się otrząpywać z kurzu.

– Dasz mi coś, czego mogę użyć, jeśli mnie złapią? – zapytał żałośnie. – Jakiś smaczkowy kęs? Jakiś sekrecik, który mogę przehandlować?

– Nie daj się złapać – odpowiedział Aram. – Zbierają się niebezpieczne siły.

Chancy popędził w stronę sadu.

Aram kopnął delikatnie końskie boki i jego wierzchowiec pocwałował, oddalając się od posępnej farmy. Jason podążył tuż za nim.

Rozdział 10

Ucieczka

Uporczywa bryza poszarpała mgłę w postrzępione smugi. Światło gwiazd zaczęło przebijać się przez mroczną powalę, kiedy Aram i Jason jechali na południe. Uciekali przez opustoszałe tereny, trzymając się zarośniętych szlaków w lasach i improwizując, gdy jechali przez pola i niskie wzgórza.

Aram pilnował, żeby konie jechały w przyzwoitym tempie, ale nie pozwolił im ostro galopować, równoważąc pragnienie pośpiechu z potrzebą zachowania sił. Jason ucieszył się, widząc, że jego umiejętności jeździeckie systematycznie się poprawiają. Jazda konna okazała się znajoma i przyjemna jak nigdy dotąd.

Za każdym razem, gdy wyjeżdżali na wyżej położony teren, Aram zatrzymywał się, żeby się obejrzeć. Jak dotąd nie dostrzegał śladu pościgu.

Noc mijала spokojnie, aż dotarli do niskiego grzbietu, z którego rozciągał się widok na cel ich podróży. Szeroka rzeka rozdzielała cichą małą wioskę. Podobna liczba budynków stłoczyła się przy północnym i południowym brzegu.

Zerkając w kierunku, z którego nadjechali, Aram jęknął.

– Wygraliśmy wyścig do Potsug, ale z niewielką przewagą.

Mrużąc oczy w ciemności Jason ledwie dostrzegł oświetlone rzez księżyc kształty poruszające się na odległej drodze.

– Wygląda na to, że jest ich mnóstwo – powiedział.

– Tark chciał, żebyś spotkał się z nim w domu stajennego?

– Guriga.

– Widzę tylko jedną dużą stajnię. Jest po tej stronie rzeki, chodź, musimy się śpieszyć.

Aram pierwszy zjechał z grzbietu, a potem susami przejechał przez płaski teren w stronę wioski. Zaspana osada nie była grodzona.

Nawet kiedy zwolnili kroku, tętent głośno rozbrzmiewał, gdy jechali bitą drogą między drewnianymi budynkami. Podjechali do skromnego domu obok wielkiej stajni. Jason zsiadł z klaczy i zapukał do drzwi.

– Bądź przygotowany na zasadzkę – ostrzegł go Aram, wyciągając miecz.

Jason zapukał głośniejsze. Chwilę potem mężczyzna ze świecą otworzył drzwi. Miał wysokie czoło i obwisły podbródek. Zerknął ponad ramieniem Jasona na siedzącego w siodle Arama.

– Kim jesteście?

– Szukam Tarka, muzyka – odpowiedział Jason.

Mężczyzna zamrugał zdumiony.

– Tarka? Nie widziałem go od wieków.

– Jesteś Gurig?

– W rzeczy samej.

– Tark się z tobą nie skontaktował? Nie przysłał wiadomości?

– Ani słowa. Jesteś jego przyjacielem?

– Tak. Jeśli się z tobą kontaktuje, powiedz mu, że się rozminęliśmy.

– Mam powiedzieć, że z kimś się rozminął?

– Lepiej, jeżeli nie będę wyjaśniał. Dobranoc.

– Jak sobie chcesz – powiedział mężczyzna i znowu zerknął na Arama, który starał się ukryć miecz przed jego wzrokiem. – Bezpiecznej podróży.

Drzwi się zamknęły, a Jason wrócił do konia.

– Tark się spóźnia – powiedział Aram.

– Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

– Nie możemy czekać. Musimy natychmiast przepłynąć na drugą stronę rzeki. Tam zdecydujemy, co dalej.

– Prowadź – powiedział Jason.

– Z grzbietu wypatrzyłem dwa promy, jeden większy od drugiego. Oba ciemne, ale odpowiednia ilość pieniędzy powinna wystarczyć, żeby obudzić właścicieli. Zaczniemy najpierw od mniejszego.

Aram ponaglił konia do truchtu, a Jason podjechał za nim do szopy obok wielkiej, płaskiej tratwy. Poświata od przygasającego ognia sączyła się przez zatrzaśnięte okiennice. Aram zapukał do drzwi.

Otworzył je niski mężczyzna o okrągłej twarzy i podbitym oku. Na policzku miał zagniecenia od poduszki. Jego skwaszona mina zrzedła, kiedy musiał odchylić głowę, żeby spojrzeć na Arama.

– Czego chcecie?

– Musimy przepłynąć.

– O tej porze? Potrójna stawka.

– Poczwórna, jeśli się pośpieszysz.

– Muszę sprowadzić pomocników do holowania.

– Niekoniecznie.

Przewoźnik obrzucił Arama spojrzeniem od stóp do głów.

– Chyba rzeczywiście nie. Nie będzie zniżki za samodzielne polowanie. Płatne z góry.

– Dobrze, ale od razu ruszamy. Jaka jest standardowa opłata dwóch ludzi i dwa konie?

Przewoźnik się zawahał.

Aram znacząco strzelił kostkami rąk.

– Jeśli zamierzasz mydlić nam oczy, to musisz szybciej myśleć.

– Dziesięć droom. Człowiek jedną, koń cztery.

– Brzmi wiarygodnie. Masz dwie brązowe?

Przewoźnik skinął głową. Zanurkował do szopy. Kiedy wrócił czapce i długim płaszczu, wymienili dwie brązowe droomy za j edną srebrną i potem przewoźnik zaprowadził ich na nabrzeże.

Aram i Jason wprowadzili konie na tratwę. Jason oparł się o poręcz. Przewoźnik podszedł do miedzianego dzwonka.

– Żadnych dzwonów – oznajmił stanowczo Aram.

– Ale przepisy...

– Może tym razem zapomnisz o dzwonku, a ja oddam ci te brązowe droomy?

Przewoźnik się skrzywił.

– Nie obchodzi mnie, ile zapłacisz, mogę stracić...

– Albo mogę cię utopić.

– Wezmę te droomy.

Przewoźnik odcumował prostokątną platformę. Gruba lina przebiegała przez mechanizm zamontowany na tratwie. Przewoźnik pociągnął za dźwignię, zwalniając blokadę.

– Dzyń, dzyń – mruknął. – Śmiało, możesz ciągnąć.

Stając na przedzie tratwy Aram zaczął pośpiesznie ciągnąć dłoń za dłonią linę, po której przesuwiał się prom. Tratwa szarpnęła się do przodu i zaczęła szybko się przesuwać. Księżyc właśnie zaszedł, a gwiazdy nie zdołały rozświetlić ciemnej rzeki.

– Nie szukasz przypadkiem zatrudnienia? – spytał przewoźnik.

Aram pracował bez słowa i niestrudzenie, dzięki czemu prom przesuwiał się szybko. Szopa i małe nabrzeże zmalowały za ich plecami. Nawet kiedy prom dotarł na środek rzeki, nie było widać po Aramie, żeby zaczynał słabnąć.

W pobliżu środka szerokiej rzeki coś nagle wskoczyło na tratwę. Aram obrócił się gwałtownie, odrzucając płaszcz i wyciągając miecz. Przewoźnik krzyknął, uciekając na drugi koniec tratwy. Jason zaczął szukać na oślep rękojeści swojego miecza.

Przemoczona postać, która weszła na tratwę, uniosła rękę i odezwała się cicho:

– Proszę wybaczyć najście. Jestem przyjacielem.

– Ferrin? – wykrztusił Jason.

– Co tu robisz? – zadudnił Aram, z mieczem gotowym do ciosu.

– Nie mamy czasu – odparł zmęczonym głosem Ferrin. Woda ściekała mu z ubrania i włosów.

Trzymał długie wiosło. – Przetnij linę.

– Co?

– Po drugiej stronie czeka zasadzka. Przetnij linę.

– W żadnym razie – wtrącił się przewoźnik, wychodząc naprzód.

Ferrin upuścił wiosło, skoczył i złapał przewoźnika za gardło. Zaskoczony mężczyzna szukał na oślep noża u pasa, ale rozsadek wypuścił jego szyję i pierwszy złapał ostrze.

– Znajdujesz się w sytuacji, w której nie możesz stawiać żądań. Piśnij raz jeszcze, a zrobisz to na własne ryzyko. – Ferrin zerknął na Arama. – Przetnij linę albo zginiemy.

Miecz zakreślił łuk w powietrzu, przecinając grubą linę jednym cięciem. Tratwa zaczęła spływać niesiona wolnym nurtem.

– Przyśpiesz tratwę, ile się da, machając wiosłem – szepnął Ferrin, trzymając nóż pod gardłem przewoźnika. – Będziesz siedział cicho?

Mężczyzna pokiwał głową, masując gardło. Jedna ręka zabłąkała mu się do kieszeni.

– Już go mam – powiedział Ferrin i pozwolił, żeby mniejszy nóż spadł na pokład ze zgięcia jego ręki. – Zakryj uszy, połóż się na brzuchu i nuć coś cicho. Jeśli niczego nie będziesz widział ani słyszał, to może przeżyjesz.

Przewoźnik wypełnił polecenie.

– To był szybki manewr – powiedział Aram, łapiąc się za wiosło. – Mam na myśli wyjęcie tego schowanego noża.

– Żałuj, że nie widziałeś mnie z obiema rękami – odparł Ferrin. Aram zaczął wiosłować. Tratwa przyśpieszyła i zaczęła się obracać. Kiedy Aram robił co w jego mocy, żeby zrównoważyć obracanie, tratwę zarzuciło do przodu.

– Jak dostałeś się tutaj tak szybko? – spytał Jason.

– Jestem względnie dobry w swoim fachu – odparł Ferrin. – badałem studnię, którą opisał Aram, i uznałem jej położenie zbyt odległe od idealnego miejsca na spotkanie. Powęszyłem trochę i złapałem trop człowieka imieniem Chancy, który kupił dwa konie odpowiadające waszym potrzebom. Nieumyślnie doprowadził mnie do stajni, gdzie spotkaliście torivora. Zostałem tam dość długo, żeby utwierdzić się co do celu waszej podróży, i jechałem szybciej, niż wy mogliście. Prowadziłem drugiego wierzchowca i co pewien czas zmieniałem konie. Możliwe, że jednego okulałem.

– Jak wygląda sytuacja na drugim brzegu? – spytał Aram.

– Tuzin żołnierzy w zasadzce, połowa z nich to werbownicy dowodzeni przez rozsadnika. Przepląnąłem rzekę w skradzionej łódce, żeby przeprowadzić rozpoznanie. Kiedy nasi przeciwnicy upewnili się, że uciekacie na południe, ta wieś stała się logicznym miejscem na zasadzkę. To pomaga, kiedy myślisz jak wróg. A jeszcze bardziej pomaga, kiedy razem z nim się szkoliłeś.

– Jak wieści dotarły przed nami do promu? – spytał Jason.

– Podejrzewam, że czatownik ich poinformował. To żadna niespodzianka.

– Co teraz? – spytał Jason.

– Nurt zniesie nas kawałek, zanim wysiądziemy na południowym brzegu. Jak się miewają konie?

– Nieźle – odpowiedział Aram. – Nie wymęczyliśmy ich. – Nadal energicznie wiosłował.

– Świetnie – powiedział Ferrin. – Dokąd zmierzamy? Czy to ma znaczenie?

Jason się zastanowił. Jeśli Tark nie dotarł do Potsug, to mógł nie przekazać wiadomości o Słowie Galloranowi.

– Powinniśmy skierować się do zamku Ślepego Króla. Znasz drogę?

– Mogę nas tam doprowadzić – powiedział Ferrin. – Zatem Ślepy Król to Galloran?

– Tego nie powiedziałem – zaprotestował Jason.

– Nie musiałeś. Już kiedyś to podejrzewałem, ale porzuciłem tę teorię po tym, jak przez pewien czas go obserwowałem. Sprawiał wrażenie zbyt starego, brzmiał zbyt żałośnie, zachowywał się za bardzo ekscentrycznie. I pomyśleć, że to on jest tak naprawdę tym słynnym bohaterem! Felrook ciężko się na nim odbiło.

– Ślepy Król to naprawdę Galloran? – spytał Aram, a w jego głosie pobrzmiwało rozczarowanie.

– Na to wygląda – odpowiedział Ferrin.

Jason nie zamierzał dzielić się tą informacją akurat z Ferriem! Jednakże rozsadnik robił wrażenie przekonanego. Maldor dawna znał prawdę na temat Ślepego Króla, ale nie dzielił się ze wszystkimi tym sekretem. Jason uznał, że skoro Ferrin dołączył do niego i Arama w drodze do Fortaim, Galloran sam zadecyduje, co zrobić z rozsadnikiem.

– Nie mogę potwierdzić twojego przypuszczenia.

– Nie ma potrzeby – mruknął Aram.

Ferrin zerknął na przewoźnika. Wyciągnięty na tratwie mężczyzna nadal nucił z rękami przyciśniętymi do uszu. Ferrin podniósł głos.

– Chyba powinniśmy zabić tego przewoźnika. Nie możemy stawiać świadków.

Jason już chciał zaprotestować, ale rozsadnik uniósł rękę i spiorunował go wzrokiem.

– Dobra, po prostu wypatroszę go tu na miejscu.

Mężczyzna dalej nucił i głos mu nawet nie zadrżał.

– Musiał się upewnić, że przewoźnik nie podsłuchuje – wyjaśnił Jasonowi Aram, ale chłopak już sam się domyślił. Tratwa tak bardzo się obracała, że Aram przeniósł się na drugą stronę. – Fatalnie się tą tratwą manewruje.

– Świetnie sobie radzisz – powiedział Ferrin. – Zaczynaj kierować nas w stronę południowego brzegu. Proponuję związać i zakneblować przewoźnika i pozwolić mu spłynąć dalej.

– To chyba najłagodniejsze rozwiązanie – zgodził się Aram. – Masz linę i knebel?

Ferrin wyciągnął z kieszeni kawał sznura i mokry kawałek materiału.

– Lubię planować zawczasu. Czy mógłbym odzyskać rękę? Jeśli zostaniemy przyparci do muru, wszyscy wolelibyśmy, żebym ją miał.

– Właściwie czemu nie – uznał Aram.

Jason pogrzebał w plecaku i wyjął z niego rękę. Ważył ją przez chwilę w dłoni, a potem podał Ferrinowi. Rozsadnik przytwierdził ją z powrotem, tak że nie został nawet ślad, poruszył palcami, a potem przykucnął i związał przewoźnika.

– Dobrze być w jednym kawałku.

– Nadal nosisz opaskę na oku – zauważył Jason. – Myślałem, że to część przebrania.

– Niestety, nie – odpowiedział Ferrin. – Zaszczepiłem oko bezdomnemu kotu w Weych. Dzięki temu zyskałem wczesne ostrzeżenie, kiedy po mnie przyszli, ale nie zdołałem na czas odzyskać oka. Nadal tam jest.

– To niezgodne z naturą – mruknął z niesmakiem Aram. – Wielu żołnierzy podąża za nami z północy. Ferrin przykucnął obok przewoźnika, by go zakneblować.

– Na razie musimy się tylko martwić siłami na południowym brzegu. Sabotowałem drugi prom, razem z trzema największymi łodziami w wiosce.

– Przypomnij mi, żebym się tobie nie narażał – powiedział I Aram.

– Na południowym brzegu nadal jest dość wrogów, żeby nas zatrzymali – ostrzegł Ferrin. – Niedługo stracimy osłonę nocy. Prędkość i dyskrecja staną się niezbędne.

Półolbrzym przestał wiosłować, żeby otrzeć pot z szerokiego I czoła. Wysiłek w końcu zaczął dawać mu się we znaki.

– Ty i Jason powinniście wziąć konie i uciekać. Ja później was dogonię.

– Mówisz poważnie? – zapytał Ferrin.

– Mamy tylko dwa wierzchowce, a to ja jestem najcięższym jeźdźcem.

– Już przygotowałem sobie świeżego konia i broń.

– Niemożliwe.

– Szybko pracuję. Wyprzedziłem was o prawie dwie godziny. Znad górnej części rzeki dobiegł wściekły wrzask, a potem rozległy się pełne zdumienia okrzyki.

– Skieruj nas do brzegu – polecił spokojnie Ferrin. – W końcu się zorientowali, że przecięliśmy linę od promu. Konno mogą poruszać się znacznie szybciej niż my na wodzie. Mój wierzchowiec znajduje się w pobliżu.

Aram stękał, kiedy wiosło zanurzało się z chlupotem. Zamieszanie w górze rzeki przybierało na sile.

Kiedy tratwa dotarła do brzegu, Ferrin i Jason wyprowadzili konie na ląd. Trzymając wiosło, Aram odepchnął tratwę z powrotem na wodę. Przewoźnik nadal nucił tak, jak pozwalał mu na to knebel.

Ferrin przebrnął przez nadrzeczną roślinność i wrócił konno na czarnym wierzchowcu. Owinął długi pas czarnego płótna wokół głowy, żeby zasłonić twarz. Aram przyjrzał się horyzontowi, gdzie nadchodzący świt sprawił, że gwieździste niebo zrobiło się fioletowe.

– Chodźmy – powiedział Ferrin. Słysząc już było konie galopujące wzdłuż rzeki w ich kierunku.

Jason i Aram wskoczyli w siodła i wszyscy trzej pogalopowali z dala od rzeki przez otwarty, krzaczasty teren.

– Niewiele tu osłony! – zawołał Aram. – Ilu miało konie?

– Zliczyłem ośmiu. Mogli dowodzić pozostałymi.

– Lepiej znajdziemy miejsce, gdzie możemy stanąć do walki.

– Trzech przeciwko ośmiu? Albo może dwunastu? Czemu nie uciekać?

Aram zawahał się, zanim odpowiedział.

- Bo mogą nas złapać po wschodzie słońca.
- I co z tego?
- Niewielki ze mnie pożytek po wschodzie słońca.
- Co masz na myśli?

Aram nie odpowiedział.

- Co stanie się o świcie? – naciskał Ferrin.

– Nie mówię o tym wszystkim – odparł Aram – ale nie mam teraz wielkiego wyboru. Wolałbym zachować to w tajemnicy.

- Dotrzymuję tajemnic zawodowo. Nikomu nie powiem.
- Za dnia zamieniam się w cherlaka – przyznał się Aram. – Jestem w połowie olbrzymem.
- Coś takiego nie istnieje.
- Zmienisz zdanie po wschodzie słońca. Pamiętasz Goyę?

Na tym urwała się wymiana wykrzykiwanych zdań. Jason współczuł Aramowi. Wiedział, że półolbrzym nie chciał, by Ferrin poznał jego historię. Jednakże w tych okolicznościach nie było sposobu, żeby uniknąć ujawnienia sekretu.

- Dobrze więc – powiedział wreszcie Ferrin. – Gdzie?

– Co powiesz na miejsce między tymi wzgórzami? – Aram wskazał kierunek. – Droga zwęża się tam dokładnie w miejscu, gdzie głązy dają pewną osłonę. Jason może rzucać kamieniami z flanki.

W odpowiedzi Ferrin skręcił gwałtownie w stronę przerwy między stromymi wzgórzami.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że będę ciskał kamieniami?! – zawołał Jason.

- To nie jest okazja do pierwszej lekcji fechtunku – odparł.

– Ma rację – poparł pół olbrzymia Ferrin. – O wiele więcej szkód narobisz, atakując ich ze stoku. Kiedy dojedziemy na miejsce, zbierz stos kamieni w osłoniętym miejscu. Obok ciebie ukryjemy konie. Jeśli ja i olbrzym padniemy, spróbuj odjechać.

- Nie nazywaj mnie olbrzymem – warknął Aram.

Dwa wzgórza się zbliżały. Oglądając się za siebie, Jason dostrzegł grupę ścigających ich jeźdźców jakąś milę albo dwie za nimi.

Kiedy dotarli do obniżenia między wzgórzami, Aram i Ferrin zsiadli z koni.

- Masz jakieś obiekcje co do nieczystych zagrywek? – spytał Ferrin.
- To jedyny sposób walki, kiedy zostałeś przyparty do muru – odparł Aram. – Chodź, Jasonie.

Chłopiec zsiadł z konia. Krętą ścieżką Aram poprowadził dwa konie po stromym stoku. Jason prowadził trzeciego, przykucając czasem, żeby podnieść kamień albo dwa. Aram uwiązał konie do drzewa o grubym pniu, a potem zszedł trawersem po stromym stoku.

Wrogowie zbliżali się cwałem. Jason uwiązał swojego konia i zebrał więcej kamieni, starając się wybierać takie, które były dostatecznie małe, by mocno nimi rzucić, ale też dość duże, żeby narobiły szkód. Jakies dwieście jardów od wzgórz jeźdźcy zatrzymali konie, żeby się naradzić.

– Zliczyłem jedenastu – powiedział Aram, stając obok Ferrina w szczybie między wzgórzami za głazem wielkości furgonetki.

– Ja też.

Aram wyciągnął ogromny miecz.

– Jedenastu to może być zbyt wielu. Jak dobrze walczysz?

– Nieźle. A ty?

– Nie bez powodu moje usługi drogo kosztują. Możesz wziąć na siebie dwóch?

Ferrin przygotowywał łuk.

– Trzech, może czterech.

– Jeśli mówisz poważnie i jeżeli oni zbyt szybko rzucą się do walki, to możemy mieć szansę.

Dziewięciu jeźdźców zaszarżowało. Kilku miało kusze. Dwóch zostało z tyłu, najwidoczniej woleli obserwować. Horyzont za nimi jaśniał.

Aram zapiął ciasno skórzany płaszcz.

– Gruba skóra – zauważył Ferrin.

– Lepsza od niejednej zbroi. – Aram zerknął w górę stoku i złożył ręce przy ustach. – Poczekaj, aż się zbliżą.

Jason zasalutował.

– Jadą – oznajmił Ferrin, kładąc strzałę na cięciwie.

Jason ledwie słyszał rozmowę swoich towarzyszy. Miał nadzieję, że ich zaskoczy i uda mu się unieszkodliwić jednego albo dwóch żołnierzy. Trzymał po jednym kamieniu w ręku – oba kanciaste i troszkę większe niż piłki baseballowe. Żałował, że nie ma kuli z orantium. To byłaby idealna okazja na wybuch!

Aram i Ferrin przykucnęli za głazem pośrodku szczyby. Z obu stron zostało dostatecznie dużo miejsca, żeby konie przejechały między stokiem i głazem. Aram dźwignął kamień o ostrych krawędziach, większy od kuli do kręgli.

Bełty z kuszy śmignęły koło Ferrina, gdy ten wychylił się z napiętym lukiem. Dwa razy schował się, a bełty tylko skrzesaly iskry, uderzając o głaz. Potem wychylił się bardziej i strzelił, strzała dosięgła celu i jeden z jeźdźców wypadł z siodła. A potem konie opadły ich pośród huku ogłuszającego tętentu kopyt.

Jason zaczął rzucać kamieniami. Pierwszym nie trafił. Drugi odbił się od hełmu żołnierza, prawie zrzucając go z siodła. Przechylając się niebezpiecznie, żołnierz przywarł do szyi konia, dopóki wielki kamień Arama nie uderzył go jak kula armatnia. Jeden z dziewięciu jeźdźców zwolnił i trzymał się z tyłu. Nosił zbroję werbownika. Pozostałych sześciu opadło chmarą Arama i Ferrina.

Ferrin porzucił łuk na rzecz miecza. Odbijając cios żołnierza konno, trafił go w udo. Jason nadal rzucał kamieniami. Trafił w plecy żołnierza, który atakował Ferrina. Aram wyskoczył zza głazu i prawie ściął głowę szarżującemu ogierowi; nieszczęsny jeździec runął ciężko na ziemię. Śmiercionośnym ciosem na odlew Aram ściął następnego przeciwnika. Po tym, jak stracił rozpęd, ostatni jeździec kręcił się

bezradnie wokół głazu, a Aram, wykorzystując swój ogromny wzrost i wielki zasięg, zaczął katować żołnierza i zwierzę; rąbał i walił bez zahamowań ciężkim mieczem. Ferrin wspiął się na głaz i zeskoczył z niego, żeby zrzucić werbownika z siodła.

Jason uparcie ciskał kamieniami, kilka razy trafiając. Werbownik, który trzymał się z tyłu, spiął konia i ruszył stokiem w jego stronę.

Spojrzawszy w oczy napastnikowi, Jason dostrzegł nadciągające zagrożenie i zaczął rozpaczliwie ciskać kamieniami. Raz spudłował, raz trafił wierzchowca w pierś. Koń nadal biegł. Jason uskoczył za drzewo, wyciągając miecz, kiedy werbownik zsiadł z konia.

Jason nie miał zbroi. Nie miał żadnego doświadczenia w walce na miecze. Drzewo zasłaniało mu widok, więc się cofnął, kiedy werbownik obiegał drzewo z mieczem w dłoni.

Jason złapał się na tym, że cofa się stokiem, zbliżając się do walczących. Zatrzymał się, kiedy stojący wyżej werbownik rzucił się ku niemu, wymachując bronią. Jason zasłonił się ostrzem, żeby zablokować cios. Klingi zderzyły się ze szczęką, a wibracja zderzenia przeniosła się przez dłonie Jasona aż do łokci. Ponieważ werbownik zaatakował ze zbyt dużym impetem, wpadł na Jasona i obaj pokoziołkowali na oślep w dół stoku, zatrzymując się na obrzeżach walki. Jasonowi kręciło się w głowie, w ustach czuł smak liści i ziemi. Krew sączyła mu się z nosa.

Zdezorientowany po upadku podniósł się i uklęknął. Rozglądał się, gdzie upuścił miecz. Werbownik też stracił broń, ale zanim zdążył ją znaleźć, ostrze wyszło mu przez pierś, przebijając okuwaną skórę zbroi. Aram wyszarpnął miecz z łatwością, jakby to był nóż do rzucania.

Kiedy werbownik osuwał się, macając w odrętwieniu sterczące z jego piersi ostrze, Ferrin wskoczył na konia i rzucił się w pościg za dwoma jeźdźcami, którzy zostali w tyle. Wszyscy pozostali nie żyli. Jeden z ocalałych jeźdźców uciekał galopem, drugi pocwałował na spotkanie Ferrinowi.

Konie zbliżyły się do siebie, miecze skrzyżowały się ze szczęką, nie czyniąc nikomu krzywdy, kiedy przeciwnicy się mijali. Wrogi jeździec, który jechał teraz w stronę Arama i Jasona, zawrócił, ale niemal natychmiast wielki kamień rzucony przez Arama uderzył go w ramię i zrzucił na ziemię. Mężczyzna wstał chwiejnie, trzymając się za ramię.

Ferrin podjechał do niego z twarzą ukrytą za czarnym płótnem.

Żołnierz uniósł jedną rękę, poddając się; druga zwisała bezużytecznie u jego boku.

Aram poszedł z Jasonem po konie. Kiedy podjechali do Ferrina, werbownik klęczał na ziemi, bez hełmu, bez broni, ale mimo to, piorunował ich wyzywająco wzrokiem.

– Rozsadnik, który nimi dowodził, Rogold, uciekł – wyjaśnił Ferrin, gdy Aram i Jason podjechali. – To jest Corge, kapitan werbowników.

– Czyli plotki mówią prawdę – warknął mężczyzna do Ferrina. – Zdradziłeś.

Rozsadnik odkrył twarz.

– Przebranie nie działa? Powinienem być zatrzymać kapelusz. Za dużo wiesz. Będziemy musieli się pojedyńkować.

– Twój prostak uszkodził mi ramię.

– Owszem, Corge, ponieważ nas zaatakowałeś. Teraz jesteś moim wrogiem. Zamierzasz umrzeć, walcząc czy marudząc?

– Zamordowałbyś rannego jeńca?

– Zatem marudząc. Dobrze, jak wolisz. Może powinniśmy darować sobie zabawę w pojedynek, skoro już poddajesz tę walkę. – Ferrin potrząsnął groźnie mieczem. A potem znieruchomiał. – Ocalę cię w zamian za informacje.

– Niczego ci nie powiem. No, śmiało, tchórze, zaatakuj bezbronnego.

– Dobrze, bierz swój miecz. – Ferrin podsunął mu go po ziemi.

Corge zazgrzytał zębami.

– Wziąłbym, ale moja ręka...

– Nawet gdybyś miał dwanaście zdrowych rąk, wynik byłby taki sam i obaj to wiemy. Śpieszę się. Bierz miecz. Jak mnie pokonasz, będziesz mógł odejść.

Corge prychnął.

– A co ze sprawiedliwością, z której słynałeś?

– To jest sprawiedliwe. Obaj mamy miecze. Próbowaleś mnie zabić, kiedy miałeś przewagę. Teraz ja spróbuję zabić ciebie. To nie moja wina, że jestem w tym lepszy.

Aram podszedł cicho do Corge'a od tyłu i złapał go jedną ręką za szyję. Drugą ręką chwycił go za tył głowy i przydusił tak, że mężczyzna stracił przytomność.

– Nie mamy czasu na przekomarzania.

– Chyba możemy zostawić go żywego. – Ferrin pociągnął nosem. – Nie będzie miał wiele więcej do powiedzenia naszym wrogom niż rozsadnik, który uciekł. Nawiasem mówiąc, Aram, świetnie się sprawiłeś. Walczyłeś niesamowicie. Jesteś wart każdej droomy.

– Pomogło też to, że walczyli jak owce we mgle.

Ferrin się roześmiał.

– Nie mieli pojęcia, że stanęli do walki z półolbrzymem. Następnym razem mogą nie być tacy araganczy. Zatrzymam konia Corge'a. Wy dwaj jesteście zadowoleni ze swoich wierzchowców? Zauważyłem parę dobrych, których Aram nie zarznął.

– Powiedziałeś, żeby walczyć nieczysto – przypomniał mu Aram. – Jason i ja zostawimy sobie swoje konie. Chancy dobrze wybrał i nie mamy czasu do stracenia.

– O to nie będę się spierał – odparł Ferrin, zbierając kilka rzeczy i wsiadając na konia Corge'a.

– Powinniśmy przepłoszyć pozostałe konie? – spytał Jason.

– Nie warto tracić na to czasu – odparł Ferrin. – W wiosce jest więcej koni. A posiłki zjawia się konno.

Aram podjechał do Jasona.

– Dobrze sobie poradziłeś – powiedział, kładąc wielką dłoń na jego ramieniu.

– Jak uważasz. Powinienem już nie żyć. Dzięki, że mnie uratowałaś.

– Poradziłeś sobie z kamieniami lepiej niż się spodziewałem. Przeżyłeś swoją pierwszą walkę na miecze. Wielu nie mogłoby powiedzieć tego samego o sobie.

– Zbliża się świt – przypomniał im Ferrin, szturchając boki konia i ruszając.

Aram skinął głową.

– Przejeźdźmy jeszcze kawałek, zanim się skurczę.

Pojechali na przełaj w południowozachodnim kierunku.

Niebo na wschodzie pojaśniało za ich plecami. Gdy świt był już blisko, Aram zatrzymał się w pobliżu niewielkiej polany, zsiadł z konia i rozebrał się do spodni. Spakował zbroję, miecz i ciężki płaszcz na wielkiego konia, zdjął tobołek przymocowany przy siodle i ruszył na polanę.

– Dokąd idziesz? – spytał Ferrin.

– Potrzebuję odrobinę prywatności – odpowiedział.

– Dlaczego? – dopytywał się rozsadnik.

Aram odwrócił wzrok.

– Myślisz, że chcę, żebyście patrzyli? To upokarzające!

– Możemy się odwrócić – zaproponował Jason. – Nie będziemy patrzeć.

Aram się zgarbił.

– W porządku.

– Oto nadchodzi świt – oznajmił radośnie Ferrin. – Mamy odwrócić wzrok?

– Mamy prawie minutę – odpowiedział Aram. – Przepraszam, że jestem wrażliwy na tym punkcie.

Widzicie, to w nocy czuję się naprawdę sobą, a nie kiedy jestem Goyą albo Burtem. Nie mogę znieść myśli, że ludzie, patrząc na wielkiego Arama, wyobrażają sobie jakiegoś wątłego...

Wyrwał mu się basowy, mimowolny jęk.

Ferrin i Jason spojrzeli po sobie i obaj się odwrócili.

Za ich plecami Aram dyszał i pojękiwał. Czekali.

– W porządku – rozległ się mniej męski głos.

Jason i Ferrin się odwrócili. Z twarzą błyszczącą od potu Aram naciągał spodnie na chude nogi.

Drżały mu skurczone ręce.

Ferrin walczył ze sobą, żeby powstrzymać uśmiech. Nie udało mu się.

Mimowolny szeroki uśmiech rozsadnika sprawił, że Jason zagryzł wargę, żeby powstrzymać śmiech.

Ferrin to zauważył i zaczął się trząść, oczy mu łzawiły.

Aram pośpiesznie naciągnął koszulę. Potem skrzyżował ręce i posłał obydwóm kwaśne spojrzenie.

– Śmiało, śmieJCie się.

No to się zaśmiali.

Nie dość, że nakręcali się wzajemnie, to jeszcze świadomość, że ich śmiech jest niestosowny, sprawiła, że nie byli w stanie zapanować nad wesołością. Ferrin odwrócił głowę, próbując się

opanować. Jason wbił wzrok w ziemię, starając się przywołać poważne myśli.

– Musimy jechać – powiedział z oburzeniem Aram, wspinając się na nagle za dużego konia.

Na wielkim ogierze wyglądał jak drobny dżokej.

Jason po raz ostatni parsknął śmiechem.

Ferrin trząsł się, ocierając łzy z zaczerwienionych policzków.

– Skończyliście? – spytał Aram. – Jesteście naprawdę bezlitośni. – Spojrzał po sobie. – Chyba kontrast jest spory.

– Nie chcieliśmy ci robić przykrości – przeprosił Jason. – Już widzieliśmy cię w obu postaciach. To nic wielkiego.

– Ale nie pomaga fakt, że tak się tego wstydzisz – próbował – wyjaśnić Ferrin. – Bardziej chodziło o twoją minę niż o cokolwiek innego.

– Miejmy to już za sobą – powiedział Aram, szturchając konia piętami.

Ogier nie zareagował.

Ferrin schował twarz w załomie łokcia. Jason zacisnął zęby. Po tym, jak Aram strzelił kilka razy wodzami i mocniej szturchnął końskie boki, wierzchowiec wreszcie ruszył.

Rozdział 11

Fortaim

Zanim Ferrin, Aram i Jason ukryli konie w lesie w pobliżu zrujnowanego zamku Ślepego Króla, zapadła noc. Blask malejącego księżyca był jedynym źródłem światła, kiedy przyglądali się szczytowi wzgórza.

– Bardzo cicho – szepnął Ferrin, nie odrywając oczu od ciemnego zamku i kucając za krzakiem. – Wygląda prawie jak opuszczony.

– Może śpią – zasugerował Aram.

– Coś tu się zmieniło – mruknął Jason, wodząc wzrokiem po wałących się murach i pojedynczej wieży. – Wiem. Kiedyś stały dwie wieże. Jedna wyglądała, jakby w każdej chwili mogła się zawalić. Widocznie tak się stało.

– Fortaim jest w gorszym stanie niż przy ostatniej mojej wizycie – przyznał Ferrin. – Naprawdę, wielka szkoda. Kiedyś to była potężna forteca.

Jason zagryzł wargę, patrząc na ciemne okna. Jeśli cesarscy żołnierze napadli zamek, mogli pojmać Gallorana. Albo gorzej. Starając się zachować zimną krew, Jason powiedział sobie, że jeszcze niczego tak naprawdę nie wiedzą. Przy odrobinie szczęścia mogło istnieć inne wyjaśnienie.

– Możliwe, że to pułapka? – spytał Aram.

– Jesteśmy ścigani – powiedział Ferrin. – Wrogowie mogli przewidzieć cel naszej ucieczki, zwłaszcza jeśli czatownik nadal pomaga.

– Nie zauważyłem czatownika – powiedział Jason.

– Co nie znaczy, że nas nie obserwował – odparł Ferrin. – Nie dla dyskretniejszego szpiega. Z drugiej strony zastawił na ciebie doskonałą pułapkę przy promie, więc mógł uznać, że już zwyciężył, i odejść.

Od wschodu słońca Ferrin prowadził ich przez opustoszałe Liemie, mijając ogromne oklinderowe krzewy i zagajniki wysokich, smukłych drzew. Nie dostrzegli nigdzie innych ludzi, wrogów czy przyjaciół. Ferrin pozwolił im tylko na kilka krótkich przerw na odpoczynek i posiłek z tłustych smażonych w cieście małży przygotowanych przez Moirę. Aram przez cały dzień był zachmurzony, ale o zachodzie słońca, wraz z powrotem zastraszających rozmiarów ciała, nastrój nieco mu się poprawił.

– Wchodzimy? – spytał Jason.

Obserwowali zamek już od kilku minut.

Ferrin skinął głową.

– Mam plan. Jeśli okaże się, że to zasadzka, Aram wszystkich pozabija. I ich konie.

– Uwielbiam strategię – odpowiedział półolbrzym.

– Gdzie sypia Ślepy Król? – spytał Ferrin.

– Na szczycie wieży – powiedział Jason.

Rozsadnik spojrzał przed siebie takim wzrokiem, jakby próbował nim przebić mury zamku.

– Jeśli to jest zasadzka, to mistrzowska. Nie widziałem wartownika. Nie dostrzegłem płomienia ani nie wyczułem dymu. Nie słyszałem nawet końskiego parsknięcia.

– Ani kaszlu – dodał Aram. – Żadnych rozmów. Żadnych kroków.

– Rozejrzyjmy się – powiedział Ferrin. – Bądźcie gotowi do ucieczki.

Trójka przemknęła się chyłkiem do miejsca, w którym mur zawalił się do wewnątrz. Ferrin przez chwilę nasłuchiwał, a potem dał znać Aramowi i Jasonowi, żeby poczekali. Przemykając się od cienia do cienia, zbadał dziedziniec i zniknął im z oczu. Po kilku minutach wrócił i pomachał, żeby wchodzili.

Jason i Aram dopadli Ferrina obok kamiennego bloku porośniętego mchem. Rozsadnik oglądał wgnieciony hełm.

– To należało do werbownika. Nie leży tu zbyt długo.

Gruz z wieży, która się zawaliła, leżał rozsypany na oświetlonym przez księżyc dziedzińcu. Kilka szerokich, płytkich zagłębień dziurawiło dziedziniec. Przesuwając się ostrożnie, Ferrin przykucnął obok poczerniałej dziury i pociągnął nosem.

– Orantium – mruknął. – Wybuch nastąpił niedawno.

Jasona ogarnęło przygnębienie. Sprawy zaczynały wyglądać bardzo niekorzystnie dla Ślepego Króla. Próbował pozbyć się emocji, ale nie potrafił tego zrobić z rozpaczą.

Idąc między kamieniami i belkami ze zburzonej wieży, Ferrin przystanął i wskazał przykurzoną ręką wystającą z gruzów. Kawałek dalej koło bramy prowadzącej do głównej sali łączącej się z ocalałą wieżą znalazł ciało najeżone strzałami.

Jason je rozpoznał.

– Ta kobieta służyła Ślepemu Królowi. Należała do szalonej grupy, która zmyślała historie w sali tronowej.

Mimo narastających mdłości zdołał powiedzieć to spokojnym głosem.

– Cesarscy żołnierze zostawiają ciała wrogów tylko jako znak pogardy – powiedział Ferrin. – Chcą, żeby ludność widziała w Fortaim symbol wstydu. Obawiam się, że zamek opuszczono. Wojska najwyraźniej ruszyły dalej.

– Nie powinniśmy sprawdzić jego pokoju? – spytał Jason. –może zostawił wiadomość.

– Skoro doszliśmy aż tu – zgodził się Ferrin.

Drzwi do największego, zachowanego w nietkniętym stanie budynku wisiały krzywo na powykręcanych zawiasach. W sali tronowej znaleźli przewrócony tron i posadzkę z dziurą po wybuchu orantium. W kącie Aram dostrzegł martwego ogara. Jason zauważył ciemne smugi zaschniętej krwi na podłodze. Złamany miecz leżał koło drzwi prowadzących do wieży.

Wspinając się po kręconych schodach, znaleźli drugie ciało na półpiętrze.

– On także służył Ślepemu Królowi – potwierdził Jason, przyglądając się twarzy z wąsami i starając się panować nad emocjami.

U szczytu mrocznej klatki schodowej ujrzeli wyważone drzwi. W komnacie za nimi ciemna, patykowata postać przykucnęła na parapecie, podświetlona od tyłu przez księżyc.

– Kto tam? – spytał ostro Ferrin, wyciągając miecz.

– Ja tu byłem pierwszy – odpowiedziała postać, wykręcając się i zwijając, jakby zamierzała rzucić się z wieży. – Kim jesteście?

– Podróżnymi – odpowiedział Ferrin. Szukamy Ślepego Króla.

– W złym momencie – odparła postać zbolalym głosem.

– Co tu się stało? – spytał Aram.

– Wrona wydziobała ci oczy? – Postać zarechotała. – To była masakra.

Jason podparł obraz Gallorana martwego wśród swoich służących. Obszedł Ferrina i spojrzał ostro na chudzielca.

– Twój głos brzmi znajomo.

– Jason? – zapytała z powątpiewaniem postać, zmieniając pozycję. – To ty?

– Ned? – Jason zdusił okrzyk. – Co tu robisz?

Ned rozluźnił się nieco.

– Znalazłem go – powiedział cicho. – Po tych wszystkich latach znalazłem go. Jednak możliwe, że znowu go straciłem.

– My też go szukamy – powiedział Jason.

Ned spuścił stopy z parapetu. Zamknął okiennice, a potem skręcił krótki kawałek wodorostów, który zaczął promieniować fioletową poświatą.

Przy fioletowym świetle Jason rozpoznał dziwnego, piegowatego mężczyznę, który pomógł jemu i Rachel wiele miesięcy temu w nadmorskiej wiosce. Wtedy nosił worek z wyciętymi dziurami na ręce i głowę. Teraz miał na sobie brudną koszulę i spodnie. Nadal był wysoki i tykowaty, nadal miał zmierzwione włosy. Długi nóż zwieszał mu się u pasa, podobnie jak kilka sakiewek. Nadal nosił rękawiczkę na jednej ręce.

Świecący wodorost ukazał także bladego trupa na podłodze: żylastego, starego człowieka o długiej, postrzępionej brodzie, który leżał na wznak. To był Jugard z nadmorskiej jaskini.

Jason zamknął oczy. Czy ta parada znajomych ciał wreszcie się skończy? Po chwili jeszcze raz przyjrzał się ciału. Był to niewątpliwie chytry starzec z jaskini nad morzem.

– To światło może być widoczne z dołu – syknął Ferrin.

Ned przesłonił wodorost koszulą, a potem przesunął się w bok na palcach i przykucnął lekko, jakby był gotowy do ucieczki.

– Wszystkie okna są zamknięte – odpowiedział. – Okiennice działają, sprawdziłem.

Ferrin z Jasonem i Aramem po bokach wszedł głębiej do pokoju.

– Co robi tu Jugard? – spytał Jason.

– Zostałem po niego wysłany.

– Przez Ślepego Króla?

– A kogo innego bym posłuchał?

– Jak zginął?

– Był martwy, kiedy go znalazłem w morskiej jaskini – powiedział Ned. – Uznałem, że nie wypada go tam zostawić. Ugodzono go w plecy. Wielokrotnie.

Jason zazgrzytał zębami.

– Kto to zrobił?

– Na pewno nikt z naszych przyjaciół.

Jason się skrzywił.

– Jak ominąłeś kraba?

– Nie ominąłem. Wspiąłem się po urwisku z Jugardem na plecach.

– Wspiąłeś po urwisku z trupem? – nie dowierzał Aram. – Wątpię, czy ja bym zdołał tego dokonać.

– Nigdy nie twierdziłem, że byś zdołał – mruknął Ned.

Ned robił wrażenie spiętego i roztrzęsionego. Z drugiej strony, zawsze zachowywał się dziwnie. Pomógł im w przeszłości, ale Jason wahał się, do jakiego stopnia można mu zaufać.

– Pracujesz dla Ślepego Króla?

– Nie pracowałem, kiedy pierwszy raz cię spotkałem – wyjaśnił Ned. – Teraz owszem. Ty i Rachel zostawiliście trop. Cofnąłem się i znalazłem mojego dawnego pana. Nie widziałem go od lat. – Głos mu się łamał, co sugerowało, że Ned zaraz wybuchnie histerycznym śmiechem albo niekontrolowanym płaczem. – Kim są twoi nowi towarzysze?

– To Ferrin i Aram.

– Są godni zaufania? Wierni naszej sprawie?

– Tak myślę.

Ned pochylił głowę.

– Miło mi was poznać. Jestem Nedwin, nowy giermek Ślepego Króla. A także jego dawny giermek.

Zaplótł długie palce i zaczął nerwowo kręcić młynka kciukami. W niepokojącym uśmiechu odsłonił krzywe zęby, widoczne w przytłumionym fioletowym świetle.

– Czy Tark tu dotarł? – spytał Jason.

– Trzy dni temu, brudny i na wpół zagłodzony.

– Przekazał wiadomość?

– To dlatego zostałem wysłany po Jugarda.

– Wróciłeś dzisiaj?

– Tuż przed wami, zanim we trzech przeczłapaliście przez dziedziniec.

– Przeczłapaliśmy? – powtórzył Ferrin z pewną urazą.

– Hałaśliwie i niezdarnie. Przede wszystkim ten wielkolud, subtelny jak dzwon kościelny staczający się po schodach. Nie wyglądaliście na ludzi cesarza, więc pozwoliłem wam mnie znaleźć.

– A twój plan awaryjny oznaczał skok z okna wieży? – spytał Aram.

– Być może – powiedział Ned, mrugając jednym okiem w nerwowym tik.

– Nie spadłby – odpowiedział Jason. – On potrafi się wspinać jak pająk. Ned, myślisz, że Ślepego Króla pojmano?

– Mam nadzieję, że nie. Niewidomy czy nie, jest przebiegły, zawsze ma zaplanowaną drogę ucieczki. Ktokolwiek zaatakował orantium, pewnie słono zapłacił za życie, które odebrał. Krzywa wieża była przygotowana do zawalenia, a król zachował imponujący zapas orantium.

– Zauważyliśmy szkody – powiedział Aram. – Taka ilość orantium musiała być warta fortunę.

– Straty nie do odrobienia – zgodził się Ned.

– Ned, wiesz, gdzie on może być? – spytał Jason.

– Wolę, żeby zwracano się do mnie „Nedwin”. To przywołuje szczęśliwsze czasy. – Chudzielec przywołał gestem Jasona. – Można słówko na osobności?

Jason zerknął na Ferrina i Arama. Wzruszyli ramionami. Podeszedł do Nedwina, który pochylił się i szepnął cicho:

– Naprawdę jesteś z tymi dwoma?

– Aha – odpowiedział szeptem Jason.

– Jeśli masz kłopoty, mogę nas stąd wydostać.

– W porządku, nie trzeba.

– Dobrze więc, skoro jesteś pewien. – Nedwin wyprostował się. Był niemal pół głowy wyższy od Jasona, ale nie robiło to wrażenia w zestawieniu z Aramem. – Ten pokój jest mniejszy, niż powinien być.

– Co? – zdziwił się Jason.

Nedwin obrócił się, wskazując ręką.

– Po obejrzeniu wieży z zewnątrz można się spodziewać, że to pomieszczenie będzie obszerniejsze. Zamiast tego napotykamy nagle ścianę.

– Tajne przejście? – zasugerował Ferrin.

Nedwin już przesuwiał rękami po dopasowanych kamieniach.

Za gobelinem znalazł dźwignię, która otwierała małe drzwiczki, wykonane tak, żeby zlewały się z kamieniarką.

– Tędy.

Odwrócił się i wciągnął ciało Jugarda do tajnego przejścia, opierając je plecami o przeciwną ścianę. Pozostali weszli za Nedwinem do ciasnego korytarza, niemal za niskiego i zbyt wąskiego dla Arama. Nedwin zamknął ukryte drzwi i wyjął świecący wodorost spod koszuli. Ruszył pierwszy, a Aram osłaniał tyły, garbiąc się i przesuwając niezgrabnie bokiem. Okrążywszy okrągły pokój, klaustrofobiczny korytarz zmienił się w wąską klatkę schodową, która schodziła spiralą dokładnie pod zwykłymi

schodami.

Gdy dotarli na dół, weszli do zatęchłych tuneli we wnętrznościach zamku. Jason słyszał szczury popiskujące i przebiegające poza zasięgiem fioletowej poświaty wodorostu. Nedwin poprowadził ich w dół kilkoma przejściami, zawracając z pustych sal, przy ślepych zaułkach i zawalonych korytarzach. W końcu dotarli do zagraconego schowka.

– Ach – powiedział Nedwin. – Czujecie przeciąg?

– Teraz, kiedy o tym wspomniałeś – powiedział Aram, po czym polizał palec i uniósł go.

Piegowata dłoń Nedwina przesunęła się po powierzchni nagiej ściany. Po chwili rudzielec uruchomił mechanizm, który ujawnił tajną skrytkę. W jej podłodze znajdowała się klapa. Nedwin przykucnął i ją otworzył.

– Kto tu? – dobiegł chropowaty głos z ciemności poniżej.

– Nedwin i lord Jason – odpowiedział Nedwin. – W towarzystwie dwójki przyjaciół.

– Możecie przejść.

Ciemną dziurę nappełniło światło. Jason ocenił, spadek wysokości jakieś dwadzieścia stóp. Ziemne ściany i klepisko umocniono grubymi belkami; brakowało tu kamieniarki zastosowanej w korytarzach powyżej.

Nedwin dał znać Jasonowi, żeby schodził po sznurowej drabinie. Jason miał pewne kłopoty na samym początku, kiedy z wahaniem zaczął schodzić tyłem przez klapę, ale, kiedy już znalazł oparcie dla rąk i stóp, szybko znalazł się na dole. Ferrin i Aram zeszli za nim, a na końcu Nedwin, który zamknął klapę i śmignął po drabinie, zeskakując ostatnie osiem stóp.

Głos na dole należał do strażnika, który za pierwszym razem wpuścił Jasona do zrujnowanego zamku Ślepego Króla. Mężczyzna odłożył kuszę i halabardę, powitał serdecznie Jasona, a potem spojrzał nieufnie na Ferrina i Arama.

– Kim są ci dwaj?

– To Ferrin i Aram – odpowiedział Jason. – Moi przyjaciele. Już bym nie żył, gdyby nie ich pomoc.

– Ja jestem Vernon – przedstawił się strażnik.

– Musimy porozmawiać z Jego Królewską Mością – powiedział Nedwin.

– Chodźcie za mną – odpowiedział Vernon i poprowadził ich podziemnymi przejściami.

– Tark jest tutaj? – spytał Aram.

– Tak – powiedział Vernon. – Chciałbyś się z nim zobaczyć?

– Świetny pomysł – wtrącił się Nedwin. – Vernon, dopilnuj, żeby Ferrin i Aram spotkali się z Tarkiem, kiedy już doprowadzisz nas do króla.

Vernon przystanął przy mocnych drzwiach osadzonych w ścianie z ziemi i naturalnej skały. Ledwie podniósł rękę, by zapukać, kiedy drzwi się otworzyły. Stał w nich Ślepy Król, z siwymi długimi włosami i brodą, z wyblakłą szmatą na oczach i w brudnej szacie na szerokich ramionach.

Przed ostatnim spotkaniem ze Ślepym Królem Jason nigdy nie słyszał imienia Galloran. Jako nowo

przybyły w Lyrianie nie zdołał pojąć znaczenia skrywanej tożsamości nieszczęsnego króla. Nie wiedział, ilu ludzi nadal go czci jako największego bohatera Lyrianu. Stał przed prawdziwym, odartym ze wszelkiego blichtru dziedzicem Trensicourt, najsilniejszego ludzkiego królestwa, nad którym Maldor nie zdołał jeszcze bezpośrednio zapanować. Jason czuł się zaszczycony, znajdując się w jego obecności. Poczuł też ulgę.

– Czyżbym słyszał Nedwina? – wychrypiał Galloran.

– I lorda Jasona – powiedział rudzielec.

Król uśmiechnął się szeroko, a wokół jego oczu i na policzkach pojawiły się głębokie zmarszczki.

– Doprawdy?

– Tak, Wasza Królewska Mość – powiedział Jason. – Wraz z dwójką nowych przyjaciół.

– Cudownie, wejdźcie. – Galloran cofnął się od progu.

– Wasza Królewska Mość może zechcieć porozmawiać najpierw na osobności z Jasonem i ze mną – zasugerował Ned. – Jego przyjaciele nie mogą się doczekać, by zobaczyć się z Tarkiem.

– Ależ ze wszelkich miar idźcie go szukać – wychrypiał król.

Jason rzucił spojrzenie Ferrinowi. Wyczuwał, że rozsadnik jest urażony, ponieważ Nedwin nie chce go dopuścić do króla. Vernon zamknął drzwi, zostawiając Jasona i Nedwina z Galloranem.

Dorsio, szczupły mężczyzna z błyszczącą blizną z boku twarzy, siedział dyskretnie w kącie. Jason wiedział, że Dorsio nie mówi i komunikuje się z Galloranem dotykiem i systemem pstryknięć i kłaśnieć.

Podziemna sala bardziej przypominała magazyn niż salon, ile stało tam łóżko polowe, drewniana ława, stół i kilka krzeseł. Resztę przestrzeni zajmowały stosy beczek, skrzynek i worków. Galloran usiadł na łóżku, wskazując, żeby goście zajęli ławę.

– Wy dwaj dobrze się macie? – spytał Galloran.

– Tak – odpowiedzieli zgodnie.

– A co z Jugardem?

– Znalazłem jego ciało – poinformował króla Nedwin. – Zasztyletowano go jakiś dzień przed moim przybyciem.

Jason zauważył, że Nedwin nagle się uspokoił i mówi nieco składniej.

Galloran uderzył pięścią w dłoń.

– Tego się obawiałem. Jason ujawnił podstęp i wieść o fałszywej misji zaczyna krążyć, więc Maldor bierze krwawy odwet. Musiałeś przemknąć się obok żołnierzy, żeby dostać się tutaj?

– Nie – odpowiedział Nedwin. – Porzucili Fortaim.

– Wobec tego uczynili to niedawno – powiedział Galloran. – Przeczesywali teren przez ostatnie dwa dni, próbując się zorientować, jak im się wymknęliśmy. Nadszedł czas, abyśmy zaczęli działać. Być może zdołamy jeszcze uratować kilku pozostałych strażników: Trivetta, Malara, Wieszczkę i...

– Corinne – podsunął Nedwin.

Galloran skinął głową; przez chwilę jego podbródek drżał z emocji.

– Jak mogłem zapomnieć o niej na tak długo? – rzekł cicho.

– Liczy się, że teraz sobie przypomniałeś.

– Wasza Wysokość odzyskał wspomnienia? – spytał Jason.

– Wiele z nich dzięki Nedwinowi.

– Podawałem Jego Wysokości niewielkie dawki jadu osobliwego gatunku węża – wyjaśnił Nedwin. –

Kobry nadrzewnej, płochliwego gatunku żyjącego wysoko w koronach drzew. Spędziłem kilka ostatnich lat, zbierając rzadkie okazy w południowej dżungli. Dla większości to zbyt samotna i niebezpieczna praca, ale idealna dla człowieka o wyostrzonych zmysłach i ułomnej osobowości.. Za ekstrakt z właściwej rośliny albo jad pająka można dostać okrągłą sumkę.

– Jadu kobry używa niekiedy Maldor, żeby wydobyć informacje – dodał Galloran.

– Wykorzystali go na mnie! – powiedział Jason.. – Niebieskofioletowy wąż?

Nedwin pokiwał głową.

– To ten. Rutynowo zatrzymywałem sobie co ciekawsze zebrane próbki. – Poklepał się po sakiewkach u pasa. – Przypominałem sobie, jak wykorzystywano kobry nadrzewne w Felrook. Kiedy złapałem jedną w dżungli, zebrałem fiolkę dla własnego użytku.

– Nedwin rozmawia ze mną o przeszłości, podając dawki o różnej sile – wyjaśnił Galloran. – Kiedy efekt jadu słabnie, I przypomina mi o wszystkim, o czym rozmawialiśmy, dodając szczegóły z własnych wspomnień. W ciągu paru tygodni przełamałem większość mentalnych barier.

– Wspomnił pan o Corinne – podsunął Jason.

– Tak. – Niepokój zabarwił jego słowa. – Musiałeś ją poznać.

– Owszem – potwierdził Jason. – Nie pamiętam jej bezpośrednio. Te dziwne okrągłe grzyby wokół jej drzewa blokują nasze wspomnienia. Jednakże żyła. Wieszcza to matka Corinne, zgadza się?

– Wieszcza była jej cioteczną babką – sprostował Galloran. – wewnątrz drzewa wychowywała Corinne jak swoją córkę. Poza drzewem Corinne rozumiała, jakie łączy je pokrewieństwo.

– Obiecaliśmy Corinne, że wrócimy, jeśli znajdziemy Słowo.

– Być może jest już za późno – powiedział Galloran, siląc się a beznamiętny ton. – Śmierć Jugarda udowadnia, że Maldor ruszył przeciwko strażnikom sylab. Dzięki czarom ochronnym tkanym wokół ich siedzib, cesarz nie może posłużyć się przeciwko nim magią ani wysłać przedstawicieli czarnoksięskich ras ich jak rozsadnicy albo haratacze. Jednak nie wiem, co poza tajemnicą chroniło ich przed zwykłymi ludzkimi zabójcami. Na myśl, że Maldor wysłał żołnierzy, żeby ją skrzywdzili... – Żyły wystąpiły na grzbiecie jego pięści.

– Mam wrażenie, że dobrze pan zna Corinne – powiedział Jason, starając się wypełnić ciszę.

– To moja córka – odpowiedział Galloran głucho. – Moje ostatnie żywe dziecko.

– Co?! – wykrzyknął Jason.

– Maldor zadał sobie wiele trudu, biorąc na cel królewski ród z Trensicourt. Zamordował moich braci, mojego syna, żonę. Kiedy Corinne była mała, dla jej własnego bezpieczeństwa ukryłem ją u jej

ciotecznej babki. Możliwe, że teraz, po tylu latach, ta decyzja naraziła ją na śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Uratujemy ją – obiecał Nedwin. – Natychmiast zbierzemy wszystkich pozostałych przy życiu strażników.

– Nie musimy przejmować się Prorokinią z Mianamon – powiedział Galloran. – Jest wystarczająco bezpieczna, dopóki Maldor nie podbije wschodu. I nie spodziewam się, żeby Maldor zaatakował depozytariusza wiedzy Bridonusa, zważywszy na jego postawę i powiązania.

– Jest ojcem Copernuma? – przypomniał sobie Jason.

– I synem Damaka – dodał Nedwin.

– Damaka? – zdumiał się Jason. – Gościa od tortur?

– Bridonus nie jest tak bezwzględny jak oni, ale zasadniczo pozostaje marionetką w rękach cesarza – powiedział Galloran. – Trzeba ocalić trójkę pozostałych strażników.

– Zajmę się tym – powiedział Nedwin.

Galloran skinął powoli głową, składając dłonie i przykładając je do ust.

– Najtrudniej będzie dotrzeć do Trivetta na Wyspie Weir. Być może wyślemy Vernona.

– Słyszał pan coś o Rachel? – spytał Jason.

– Tark opowiedział, jak zostawił ją z Drakiem – powiedział Galloran. – To nasiennik o wielkiej reputacji, chociaż za moich czasów wycofał się już z buntu przeciwko Maldorowi. Nie mam żadnych wieści o Rachel, ale jeśli Drake zamierzał zniknąć z nią na pustkowiu, brak wiadomości jest pocieszający.

– Muszę ją znaleźć – powiedział Jason.

– Zrobimy co w naszej mocy – obiecał Galloran. – Nedwinie, masz coś jeszcze do powiedzenia?

– Nie w tej chwili, Najjaśniejszy Panie. Wasza Wysokość będzie chciał porozmawiać z ludźmi, których sprowadził Jason.

– Naturalnie. Zacznij przygotowania, byśmy mogli wyruszyć rano. Wszyscy będziemy potrzebowali koni. Pragnę porozmawiać z lordem Jasonem na osobności.

– Oczywiście, Najjaśniejszy Panie. – Nedwin wstał i wyszedł z pokoju.

– Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś spotkam Neda – powiedział Jason, kiedy drzwi się zamknęły. – Kiedy pierwszy raz go spotkałem, zabrał mi nóż i groził.

– Opowiedział mi o waszym pierwszym spotkaniu. Nedwin robi co w jego mocy, żeby poradzić sobie z głębokimi bliznami.

– Był kiedyś pańskim sługą? – spytał Jason.

– Moim giermkim. Kiedy zostałem oślepiony i pojmany przez werbownika Grollisa, Nedwin także dostał się do niewoli, był bystrym, wrażliwym młodzieńcem o ogromnym potencjale. To stało się jakieś czternaście lat temu. Po sześciu latach tortur wypuścili mnie, ślepą, wycieńczoną parodię mojego dawnego ja. W czasie pierwszych lat uwięzienia zdarzało się, że bywałem blisko Nedwina. Miał

niezwyciężoną wolę i pozostał mi wierny nawet kiedy zredukowano mnie do bełkocącego nieszczęśnika. Z powodu jego siły oprawcy wystawili go na najgorsze próby, eksperymentując na nim z niesprawdzonymi toksynami i procedurami. Kiedy mnie wypuszczono, zakładałem, że Nedwin zginął. Jego los pozostał dla mnie tajemnicą, dopóki nie odnalazł mnie, podążając twoim śladem. Dowiedziałem się, że więziono go pięć lat dłużej niż mnie i przez cały czas poddawano straszliwemu warunkowaniu. Kiedy pierwszy raz zjawił się tutaj w samym worku i z rękawiczką na ręce, sprawiał wrażenie, jakby dawno przekroczył granicę szaleństwa. Jednak w krótkim czasie przebył długą drogę. Kiedyś był zdolnym i elokwentnym młodszym bratem earla Geer. Tortury Maldora zniszczyły go, zdeformowały jego umysł, ale walczy o odzyskanie drogi do normalności. Nigdy nie widziałem mężniejszego ducha.

– Nie miałem pojęcia – przyznał Jason.

Galloran potarł brzeg łóżka.

– Z własnego doświadczenia wiem, jak dogłębnie oprawcy potrafią zniszczyć człowieka. Nawet pomijając oślepienie, nie czuję się jak człowiek, którym byłem. Potrzebny był żmudny, trwający długie anonimowe lata proces przewycięzania lęków i słabości, bym odzyskał tożsamość. Wspomnienia związane ze Słowem były najtrudniejsze do odzyskania, chociaż ostatnio wreszcie nastąpił ogromny przełom. – Galloran pociągnął nosem, poprawiając przepaskę na oczach. – Skończył się już czas na odbudowę siebie. Nadeszła godzina działania. Zamierzasz pozostać z nami i trwać przy naszej sprawie?

– Dlatego tu jestem.

Galloran westchnął.

– Nadeszły dla nas trudne czasy, a ty już przeszedłeś wiele ciężkich prób.

– Mam szczęście, że żyję.

– Samo szczęście nikogo zbyt daleko nie doprowadzi. Osiągnąłeś znacznie więcej, niż pozwoliłoby zwykłe szczęście. Dokonałeś mądrych wyborów, zawarłeś strategiczne przyjaźnie. Opowiedz mi o tym, jak posłużyłeś się Słowem. Jesteś pewien, że wypowiedziałeś je osobiście do Maldora?

– Tak – powiedział Jason. – Nie wiedział, że znam całe, więc przyjął mnie w sali tronowej w obecności tłumu. Słowo zniknęło z mojego umysłu w chwili, kiedy je wypowiedziałem, ale nie zrobiło wrażenia na Maldorze. Wyjaśnił mi potem, że miało zniszczyć jakiegoś czarnoksiężnika imieniem Orruck.

– Orruck? – powtórzył Galloran, gładząc się po brodzie. – Intrygujące.

– Maldor powiedział mi, że wiele lat temu wypowiedziałeś to słowo w jego obecności. Ponieważ byłeś niewidomy, udawał, że rozmawiałeś z przynętą.

Galloran zetknął dłonie czubkami palców.

– Dopiero niedawno z pomocą Nedwina przypomniałem sobie ten epizod. Zatem naprawdę znalazłem się przed obliczem cesarza. – Na jego ustach pojawił się smutny uśmiech. – Jest naprawdę utalentowanym kłamcą. Dziękuję ci za tę kluczową informację na temat Słowa. Robi mi się niedobrze na myśl, ile czasu i wysiłków zmarnowano. Wiadomość, którą przesłałeś przez Tarka, przekonała mnie, że nadal jestem zdolny do wściekłości. Kiedy tylko dowiedziałem się o tym wyrafinowanym podstępie, posłałem

Nedwina po Jugarda, żeby zakończył bezsensowną służbę, a potem zacząłem obmyślać plan.

– Powie mi pan?

– Nadal ewoluuje, ale skupia się wokół zjednoczenia wszystkich, którzy chcą się przeciwstawić Maldorowi i są gotowi na rozpaczliwe posunięcie. To krok, który rozważałem dawno temu, lecz wtedy Kadara wyobrażała sobie, że jest nietykalna, i zbyt wiele królestw nie dostrzegało, jak nagła staje się sytuacja. Ludzie woleli udawać, że uda im się jakoś ułagodzić Maldora i uniknąć wojny. Dlatego postanowiłem zamiast tego szukać Słowa. Miejmy nadzieję, że nie jest za późno, bym odpokutował za swoją głupotę.

– Pomogę, jeśli tylko mogę – powiedział Jason.

– Ogromnie to doceniam. Tark powiedział mi, że uciekłeś z Felrook. Jak dokonałeś czegoś podobnego?

– Uratował mnie rozsadnik, a potem zmusił do powrotu do świata Poza.

– Rozsadnik?

– Aha. Kiedy pierwszy raz się tu zjawiłem, nie miałem pojęcia, że rozsadnicy służą Maldorowi. Rozsadnik zaprzyjaźnił się ze mną i Rachel, żeby obserwować nasze poczynania, ale odesłaliśmy go, kiedy dowiedzieliśmy się, że pracuje dla cesarza. Musiał szczerze się mną zainteresować, bo przemycił mnie z Felrook po tym, jak Słowo nie podziałało na Maldora, a ja zostałem pojmany.

– Odesłał cię do świata Poza?

– Tak, posługując się bramą w pobliżu Felrook. Uwolnił mnie z lochów pod warunkiem, że wrócę prosto do domu. Mimo obietnicy próbowałem uciec, żeby ostrzec pana, że Słowo to oszustwo. Obezwładnił mnie jednak i odesłał.

– A ty wróciłeś do Lyrianu? – spytał z niedowierzaniem Galloran.

– Może pan wierzyć albo nie, ale wróciłem przez tego samego hipopotama, który sprowadził mnie tu za pierwszym razem. Specjalnie skoczyłem do basenu. Nie chciałem dopuścić do tego, żeby inni marnowali czas, szukając Słowa. I nie mogłem tak po prostu porzucić Rachel.

Galloran się uśmiechnął.

– Naprawdę ogarnęło cię szaleństwo, które rodzi bohaterów. Twoje zasługi są nieocenione. Powiedz mi o swoich towarzyszach.

– Jeden jest najemnikiem imieniem Aram.

– Aram przemytnik? Człowiek góra?

– Tak.

– Słyszałem o nim. Nigdy nie wykazał się chęcią przeciwstawienia się cesarzowi. Jak go zwerbowałeś?

– Poleciał mi go Tark, potem dogadałem się z jego matką, która go przekonała. Nie jestem pewien, czy do końca zaangażował się w sprawę. Dopiero się przekonuje. Powinien pan zobaczyć go w walce!

– To może okazać się dość trudne.

– O, rety, miałem na myśli...

– Tylko żartuję. Kim jest drugi?

– Ferrin jest rozsadnikiem.

Galloran sprawiał wrażenie zaniepokojonego, chociaż przepaska na oczach i broda skrywały większość jego twarzy.

– Cieszy się reputacją śmiertelnie niebezpiecznego. Najbardziej chytry i kompetentny z wrogów. Młody jak na rozsadnika, dopiero zdobywał wysoką pozycję, kiedy kompletowałem Słowo. Moje źródła śledziły jego karierę. Gdyby był mniej kapryśny, a jego metody bardziej ortodoksyjne, już byłby kandydatem na przywódcę rozsadników. To on jest tym rozsadnikiem, który cię uwolnił?

– Tak. Według niego Maldor odkrył jego udział w mojej ucieczce i teraz Ferrin chce do mnie dołączyć.

– Jak bardzo wierzysz w jego szczerość?

– Nie do końca. Jak na razie był naprawdę pomocny. Miał już kilka okazji, żeby mnie zdradzić. Wątpię, czy bym tu dotarł bez jego pomocy.

Galloran odetchnął głęboko.

– Zaufanie mu może okazać się dla nas zgubne. Nauczyłem się, żeby nigdy nie lekceważyć zwodniczych zdolności naszych wrogów. Malar to jedyny rozsadnik, jakiego poznałem, który naprawdę stanął po naszej stronie, chociaż wielu udawało podobnie. Wezwij swoich nowych towarzyszy i zobaczymy, co uda mi się dostrzec.

Kiedy Jason wstał z ławki, Dorsio przeszedł przez pokój i otworzył drzwi. W korytarzu stali Aram i Ferrin; rozmawiali z Tarkiem. Kiedy niski muzyk zobaczył Jasona, przerwał rozmowę i przebiegł korytarz.

– Lordzie Jasonie! – wykrzyknął. – Tak mi przykro, że nie zdołałem się z tobą spotkać w Potsug.

Wyglądał na zrozpaczonego.

– Wszystko dobrze się skończyło – powiedział Jason. – Polecieś mi dobrego ochroniarza.

– Im chodziło tylko o ciebie. Znaczący, naszym wrogom. Zaraz po tym, jak mnie opuściłeś, grupa żołnierzy zaczęła naprawdę na mnie polować, gotowa się mnie pozbyć po tym, jak doprowadziłem ich do prawdziwej zwierzyny. To był niezły pościg. Paru z nich zabiłem. Żeby tutaj dotrzeć, potrzebowałem więcej czasu, niż przewidziałem.

– Cieszę się, że ci się udało. Martwiłem się o ciebie.

Tark się rozpromienił, a potem skrzywił.

– Tego wieczoru, kiedy tu dotarłem, zaatakowano zamek. Czuję się, jakbym przynosił pecha. Wszyscy wokół mnie cierpią.

– To przez informację, którą przynosiłeś – pocieszył go Jason. – Musieli się dowiedzieć, co ci powiedziałem.

– Niczego nie zdradziłem, dopóki tu nie dotarłem! – zarzekał się Tark.

– Mogli się domyślić. Maldor wie, jakie sekrety poznałem. Albo podsłuchał nas czatownik. – Jason odwrócił się do Arama i Ferrina. – Galloran chce z wami porozmawiać.

– Galloran tu jest?! – wykrzyknął Tark.

– Nie wiesz o tym? – zdziwił się Jason. – Chodź z nami. Cała czwórka weszła do pokoju Gallorana. Dorsio zamknął drzwi. On także pozostał w pomieszczeniu.

– Ma pan coś przeciwko, że dołączy do nas Tark?

– W żadnej mierze – odparł Galloran.

Jason usiadł na krześle z boku.

Ferrin, Aram i Tark usiedli na ławce.

– Pan jest Galloranem? – zapytał z nabożnym zdumieniem Tark.

Ślepy Król się zachnął.

– Czy już wszyscy znają moją tajemnicę?!

– Znam to uczucie – mruknął Aram.

– Ferrin wydedukował to na długo przed tym, jak tu dotarliśmy – wtrącił Jason.

– Ach, tak, mistrz szpiegów – powiedział Galloran. – Słyszałem przerażające raporty na twój temat.

– Wzajemnie – odparł Ferrin.

Galloran się zaśmiał.

– Jestem pewien, że plotki na mój temat były przerażające. Ostrzeżono cię, że jestem ślepym nędzarzem pełniącym rolę sędziego w zrujnowanym zamku?

– Uznano pana jedynie za największego bohatera naszych czasów – odpowiedział Ferrin. – Spodziewam się, że to w pełni zasłużona sława.

Galloran sprawiał wrażenie zadumanego.

– Rozdmuchana reputacja może być użyteczna dla wzniecenia powstania. Aramie, czy mam rozumieć, że przyłączasz się do naszej sprawy?

Pozostali spojrzeli na wielkiego mężczyznę. Ten przełknął ślinę.

– A mamy szansę wygrać?

Galloran zmarszczył czoło w zamyśleniu.

– Zwięzłe i ważne pytanie. Sytuacja jest tragiczna. Naszym pierwszym zadaniem będzie ocenić nasze atuty. Bez pewnych kluczowych sojuszków nie mamy szans. Nawet jeśli zdołamy zjednoczyć pozostałych wolnych obywateli Lyrianu, może się okazać, że to za mało i za późno. Jednakże ten wysiłek to z pewnością nasza ostatnia szansa, by zapobiec epoce tyranii, która potrwa wiele pokoleń. Nie porzucę sprawy, dopóki nie będę miał pewności, że nie mamy szansy wygrać.

– W takim razie dołączę do waszej sprawy, dopóki nie okaże się z góry przegrana – odparł Aram.

– Jesteś najemnikiem. Niewiele mogę ci zaoferować w tej chwili. Jeśli nam się uda, otrzymasz baronię.

– Byłbyś świetnym baronem – zachęcił go Tark.

Uśmiechając się krzywo i z zakłopotaniem, wielki mężczyzna rozejrzał się po małym, zatęchłym pokoju.

– Możemy pomówić o zapłacie, kiedy odzyska pan tron.

– Dobrze.

Aram odchrząknął.

– Mogę też od razu panu powiedzieć, zwłaszcza że sekret już się wydał: jestem półolbrzymem.

Przestaję być przydatny każdego ranka o świcie i nie odzyskuję siły aż do zmroku.

– Półolbrzym? – zdziwił się Galloran. – Jak do tego doszło?

Zdumiony Tark wytrzeszczył oczy na Arama.

– Moja matka jest człowiekiem, ojciec olbrzymem.

– Bez magii?

– Sama natura.

– Fascynujące. Witaj, Aramie. – Galloran obrócił głowę, jakby patrzył na Ferrina. – A wracając do kwestii słynnego Ferrina, syna Baldora. Mam wierzyć, że naprawdę pragniesz dołączyć do naszej rebelii?

– Owszem – odpowiedział Ferrin.

Jego głos i twarz sprawiały wrażenie rozluźnionych, ale Jason wyczuł kryjące się pod tym nerwowe napięcie.

– Pragniesz tego przymierza, ponieważ uratowanie pod wpływem impulsu lorda Jasona rozgniewało Maldora?

– Cesarz musi też się domyślać, że dowiedziałem się o oszustwie ze Słowem – dodał Ferrin. – Maldor nieodwołalnie stał się moim wrogiem.

Galloran zmarszczył brwi.

– Wspólny wróg to niekoniecznie solidna podstawa dla przyjaźni.

– Okoliczności zmusiły mnie do podjęcia kroku, który od dawna rozważałem. Nawet kiedy mu służyłem, w głębi ducha marzyłem, żeby cesarz został obalony.

– Jednak nie wierzyłeś, że to możliwe – odparł beznamiętnie Galloran.

– Nadal mam wątpliwości, ale jestem gotowy spróbować. Wiem dużo rzeczy, które mogą okazać się użyteczne.

– Niewątpliwie. Skąd mogę wiedzieć, że nas nie zdradzisz?

– Mogę dać słowo.

– Jesteś rozsadnikiem! Twój lud złożył przysięgę wierności Maldorowi. Osobiście przysięgłeś bronić jego władzy i ją umacniać. Twoja obecność tutaj czyni cię zdrajcą swojego króla i krzywoprzysięzcą. Zszargane słowo ma niewielką wartość.

Ferrin zeszywniał.

– Jest pan znany ze swojego nieskalanego honoru i ma pan rację, że mój jest zszargany. Być może

najszczersze ślubowanie, jakie mogę zaoferować, opiera się na tym, że rozumiem, w jaki sposób działa cesarz.

– Czyżby?

– Maldor nigdy nie wybacza zdrady. Zwłaszcza sługi o mojej pozycji. Niezależnie od tego, jak bardzo mógłbym mu pomóc w przyszłości, sabotując wasze wysiłki, wiem, że nigdy nie odzyskam jego zaufania. Z radością zebrałby owoce wszelkiej zdrady, jakiej bym się wobec was dopuścił, ale niezależnie od tego, ile dobrego uczyniłbym dla niego, czekałaby mnie śmierć i wiele gorszego, gdybym tylko wpadł w jego ręce.

– Mówisz prawdę. Tylko czy naprawdę to pojmujesz?

– Maldor jest moim wiecznym wrogiem i niezależnie od tego, co uczynię, pozostanę jego wrogiem.

Galloran pochylił się ku niemu.

– A gdyby jednak Maldor mógł ci wybaczyć twoją zdradę? Albo nawet ją zaplanował? A jeśli nie jesteś zbiegiem, jak twierdzisz? Co, jeżeli to wszystko jest rozbudowanym podstępem?

Wszyscy spojrzeli na Ferrina.

– Czy cesarz zaplanował subtelniejsze i bardziej skomplikowane intrygi niż ta, którą opisujesz? Zdecydowanie. Gdybym jednak był szpiegiem, musiałbym nie znać się na swojej robocie, zwlekając z działaniem aż do tej chwili. Godzinę temu, kiedy badaliśmy Fortaim, oddaliłem się od towarzyszy na tyle, żeby z łatwością wymknąć się i doprowadzić wojsko do pańskich drzwi.

– Cesarz jest cierpliwy – odparł Galloran. – Cesarz ceni informacje. Cesarz może chcieć zbadać, jak daleko sięga nasz pączkujący spisek. Może chcieć wyrwać z korzeniami wszystkich zaangażowanych, a nie tylko złapać Jasona albo mnie. Dysponuję pewnymi źródłami i nie słyszałem nic o tym, żebyś był ścigany, Ferrinie. Ani słowa na temat twojej zdrady.

Ferrin pokręcił głową.

– Dopóki da się tego uniknąć, Maldor nie ogłosi, że wysoko postawiony rozsadnik zdradził jego sprawę. Utrzymywał poszukiwania w sekrecie. Miejcie jednak otwarte uszy, bo po zdradzieckich czynach, jakich dopuściłem się dziś rano na oczach cesarskich świadków, moja nielojalność stanie się powszechnie wiadoma. Będę niemal tak poszukiwany jak Jason.

– A co ze zdradą własnego ludu? – zastanawiał się Galloran. – rozsadnicy dobrze znają cenę porażki w wojnie. Jeśli Maldor padnie, rozsadnicy przegrają razem z nim. Możesz z tym żyć?

– Nie mogę ścierpieć myśli o osłabieniu mojego ludu – przyznał Ferrin. – Wycierpieliśmy więcej prześladowań niż należą nam część. Jednakże rozsadnicy już są skazani na klęskę. Obawy, że prawdziwi ludzie przestaną dominować, wszyscy czarnoksiężnicy, którzy stworzyli nowe rasy, uwzględnili zabezpieczenia ograniczające rozród. Jak wiecie, kiedy stworzono rozsadników, szanse na urodzenie się chłopca były pięć razy większe niż dziewczynki. Ta dysproporcja zwiększała się w miarę upływu czasu. Dzisiaj dziewczynki rodzą się rzadziej niż raz na trzydzieści przypadków. Owszem, nasza rasa żyje dłużej niż zwykli ludzie, ale nasz los już przypieczętowano. Skazał nas nasz twórca. Przestaniemy istnieć w

ciągu trzech lub czterech pokoleń.

– Dlaczego więc nie powstaniecie przeciwko uczniowi waszego stwórcy? – podsumował sceptycznie Galloran. – Nie ukarzecie go za grzechy jego mistrza?

– To nie byłby mój pierwszy wybór – odpowiedział Ferrin. – Niezależnie od tego, jak bardzo obłąkany był Zokar albo jak wielkim tyranem okazałby się Maldor, przynajmniej stali po naszej stronie. Nie polowali na nas. Nigdy otwarcie nami nie pogardzali. Nie jako ludźmi. Moja osobista historia jest inna. Jestem ścigany przez Maldora. Zapracowałem sobie na jego wrogość. W odpowiedzi zdobył sobie moją wrogość. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie okoliczności łagodzące. Jednakże pogodziłem się z moją decyzją. Przyłączam się do sprawy całym sercem. Z radością zrobię wszystko, co pan zechce, żeby udowodnić swoje intencje.

Galloran pozwolił, żeby nabrzmiała cisza się przeciągała. Wszyscy przyglądali mu się bacznie.

– Dwa warunki. Po pierwsze, przypiszesz sobie wszelkie szkody, jakie poczynimy w naszej drodze przez Lyrian. „Ferrin, syn Baldora, był tutaj”. Rozumiesz ideę.

– Moja zdrada ma stać się powszechnie wiadoma. Mam otwarcie sprzeciwić się Maldorowi, żeby nigdy nie mógł mnie z powrotem przyjąć.

Galloran skinął głową.

– Potrzebuję też, żebyś odłączył kawałeczek szyi. Fragment musi zawierać część tętnicy szyjnej. Dorsio zaopiekuje się tym kawałkiem.

Ferrin wyszczerzył zęby w ponurym uśmiechu.

– Może pan wykorzystać kawałek mojej szyi, żeby w dowolnej chwili mnie otruć. A jeśli zdecyduję się przerwać połączenie, wykrwawię się na śmierć.

– Żywię nadzieję, że jesteś szczerzy – powiedział Galloran. – W przeciwnym razie kazałbym cię stracić. Dzisiejszego wieczoru zapoczątkujemy ostatnie poważne powstanie przeciwko cesarzowi. Bez wielkiej ostrożności i wysiłku do niczego nie dojdziemy. Ucieszyłbym się z twojej pomocy, ale nie zaryzykuję zdrady. Przyjmij moje warunki, a wtedy ci zaufam.

Ferrin odłączył kawałek szyi i podał go Dorsiowi, który przyjrzał mu się i trzy razy pstryknął palcami.

– Będę rozgłaszał moje zaangażowanie w sprawę przy każdej okazji – zapewnił Ferrin.

– Przysięgam przysłużyć się swoimi zdolnościami, wiedzą, zasobami i życiem do obalenia Maldora. Służę teraz rebelii.

– Witaj – powiedział Galloran. – Przydadzą nam się twoje kompetencje. Jeśli okażesz się szczerzy, zyskasz moje wieczne wsparcie i ochronę, kiedy konflikt dobiegnie końca. Potrzebuję informacji. Jak bardzo wróg deptał wam po piętach?

– Wydaje się, że oddaliliśmy się od naszych prześladowców – powiedział Ferrin. – Większość tych, którzy nas ściągają, zjawiała się od strony północnego brzegu rzeki, a my sabotowaliśmy oba promy w Potsug.

– Doba nowina – powiedział Galloran.

– A co z czatownikiem? – spytał Jason.

– Tark wspomniał, że w grę może wchodzić torivor – powiedział ponuro Galloran. – Doszło do kontaktu?

– Tak – powiedział Ferrin. – Widzieliśmy torivora zeszłej nocy. Śledził Jasona, odkąd rozstał się z Tarkiem.

– Czatownicy nie pokazywali się już od lat – zauważył Galloran.

– Rzeczywiście, odkąd został pan pojmany – przytaknął Ferrin. – Możliwe, że stwór wrócił do Felrook. Po tym, jak nas znalazł, przygotował pułapkę, która powinna doprowadzić do naszego aresztowania. Kiedy jej uniknęliśmy, pościg prowadzono niechlujnie, więc wątpię, czy czatownik nadal brał w nim udział. Wysyłanie czatowników kosztuje Maldora wiele wysiłku.

– Nie ma obecnie w okolicy czatownika – oznajmił z przekonaniem Galloran. – W mojej rodzinie zdarzały się uzdolnienia w edomickim i inne niezwykle zdolności umysłowe. Nie jestem czarnoksiężnikiem, ale tak, jak torivorowie potrafią wyczuć nasze umysły, tak ja wyczuwam ich.

– Fascynujące – powiedział Ferrin. – Może pan usłyszeć ich myśli?

– To zależy. Potrafię rozróżnić pewne rodzaje myśli wyraźniej niż inne, ale zawsze wyczuwam ich obecność. Na razie nie ma w okolicy żadnych czatowników.

– To już jakieś pocieszenie – powiedział Aram. – Ściga nas jednak ogromna liczba bardziej konwencjonalnych wrogów.

– Tym bardziej musimy wyruszyć rankiem – powiedział Galloran. – Odpoczywajcie, póki możecie. Tark, powiedziałeś, mi, że złożyłeś przysięgę wierności lordowi Jasonowi.

– Jestem jego człowiekiem – potwierdził muzyk.

– Wobec tego zyskałem czterech niespodziewanych sprzymierzeńców o różnorodnych talentach. W tej chwili niewiele mogę wnieść do naszego przedsięwzięcia prócz mojej wiedzy i znajomości. Miejmy nadzieję, że w swoim czasie odzyskam królestwo i wesprę nas jego zasobami. Musimy najpierw ruszyć na północ, na Ziemie Zatopione w drodze do Siedmiu Dolin. Na Ziemiach Zatopionych spróbujemy uratować moją córkę i wykorzystać zaginiony zapas orantium. W Siedmiu Dolinach spróbujemy wciągnąć do naszego powstania lud Amar Kabał, najpotężniejszą siłę w walce, na razie nietkniętą przez cesarza. Bez ich udziału nasze powstanie nie będzie miało realnej szansy.

– Myśli pan, że zdoła pobudzić do działania Lud Nasiona? – spytał Ferrin.

– Przekonamy się – odparł Galloran. – Pierwszą trudnością będzie przekroczenie rzeki. Zalecam, byśmy udali się do mostu dzień drogi na wschód od Potsug. Żołnierze ścigający Jasona z północy najpewniej przejdą mostem tej nocy i wyruszą na zachód. Jeśli będziemy dyskretni, powinniśmy się z nimi wyminąć.

– Most będzie silnie strzeżony – przestrzegł Ferrin.

– Mamy zdolną drużynę – powiedział Galloran. – I zostało nam trochę orantium. Proponujesz inną

drogę?

Ferrin zastanowił się, nim odpowiedział.

– Droga przez most będzie najszybsza. A wszystkie przejścia będą strzeżone.

– Zatem most – oznajmił Galloran. – Najedzcie się do syta dziś wieczorem. Mamy o wiele więcej zapasów jedzenia niż możemy zabrać. Wyśpijcie się. Wyruszamy o świcie.

Rozdział 12

Spotkanie

Owiniętą w koce Rachel obudził chłód nocy. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby gwiazdy płonęły tak jasno. Księżyc zaszedł, niebo było czyste i żadne korony drzew nie przesłaniały jej widoku. W przerwach między jaśniejszymi gwiazdami, gdzie tłem powinna być ciemność, błyszczały mniejsze gwiazdki, słabe i rozlicznie migoczące drobinki pyłu. Rachel leżała na plecach wysoko na grani, patrząc na wspaniały nieboskłon.

Czy któraś z tych drobinek mogła być ziemskim Słońcem? Jeśli nie, to czy przynajmniej któreś z tych niezliczonych gwiazd były widoczne z Ziemi? Może przez potężny teleskop? Czy też był to zupełnie odrębny wszechświat, znajdujący się w alternatywnym wymiarze? Nie rozpoznawała żadnej konstelacji.

Spojrzała na zaklinaczkę. Nie rozпалиły tej nocy ogniska, ale gwiazdy dawały dość światła, żeby było widać, że Elaine zniknęła, a jej koce leżą pomięte i puste.

Rachel usiadła, przestraszona i zaniepokojona. Dlaczego Elaine się wymknęła? Dopiero co tego wieczoru dotarły na grani po wielu kolejnych dniach w siodle. Osiołek Elaine nie był szybki, za to okazał się niestrudzony. Każdego ranka wyruszały bladym świtem i brnęły przed siebie aż do zmierzchu.

Ciche, niewyraźne głosy dotarły do uszu Rachel – ściszone »zmowa. Nasłuchując bacznie, zdołała odróżnić, że raz mówi mężczyzna, a raz kobieta.

– Elaine! – zawołała Rachel.

– Tutaj, dziecko. Już idziemy. Drake nas znalazł.

– Elaine? – zdziwił się Drake. – Tak się nazywasz?

– W tej chwili – odpowiedziała cicho zaklinaczka.

Pojawiły się dwie oświetlone blaskiem gwiazd postaci. Elaine znowu podniosła głos.

– Moje talizmany wykryły obecność zbliżającego się intruza. Wiedziałam, że nie jest nim czatownik.

Miałam nadzieję, że to Drake.

– Szybko tu dotarliście – zauważył Drake. – Spodziewałem się, że was wyprzedzę. Musiałem przebyć znacznie dłuższą drogę, ale Mandibar jest, rzecz jasna, nadzwyczajny.

– Dotarliśmy wcześniej tego wieczoru – powiedziała Rachel.

– Cieszę się, że zastaliśmy cię przebudzoną – powiedziała Elaine. – To znaczy, że mój wewnętrzny krąg zakłóć działa.

– Nie rozumiem – powiedziała Rachel.

– Zewnętrzny krąg miał obudzić mnie – powiedziała Elaine. – Kiedy Drake przekroczył wewnętrzną granicę, obudziłaś się ty.

Do Rachel nagle dotarło, że zwykle, kiedy budziła się nocą, obracała się na drugi bok i ponownie zasypiała. Tej nocy obudziła się zaniepokojona, z czystym umysłem.

– Nie ustawiłam żadnych niebezpiecznych ani mylących uroków, bo chciałam, żeby nas znalazł – wyjaśniła Elaine.

– Mam wiadomości – powiedział Drake.

– Mów – ponagliła go Rachel.

– Jason jest na wolności.

W pierwszej chwili oniemiała. Potrzebowała kilku chwil, żeby dotarł do niej sens tych słów. A potem nagła fala radości i ulgi tak ją obezwładniła, że Rachel nagle zdała sobie sprawę, że w ogromnej mierze nie spodziewała się już więcej go zobaczyć. – Szczerze życzyła mu, żeby był bezpieczny. Marzyła o tym, żeby go uratować. Jednakże jakaś realistyczna część umysłu podpowiadała jej, że szanse na to są niewielkie.

– Gdzie jest?

– Nasi wrogowie nie są pewni – odpowiedział Drake. – Co dobrze mu wróży, ale może utrudnić nam jego odnalezienie.

– Jak się tego dowiedziałeś? – zdumiała się Rachel.

– Puściłem lalkę, żeby podryfowała Purgą i stworzyła iluzję, że jesteś w ruchu. Potem już ani razu nie widziałem czatownika, więc zakładałem, że złapał przynętę. Podróżowałem na północ na tyle szybko, że wiedziałem, że was uprzedzę, więc zahaczyłem o Trensicourt i przeprowadziłem rekonesans. Nadal mam tam paru znajomych z dawnych lat, chociaż bardzo się postarzel. Kiedy dowiedziałem się, że Jason podobno jest na wolności, sam zrobiłem małe rozeznanie. Najpierw złapałem i przesłuchałem zwykłego cesarskiego żołnierza, a potem rozsadnika.

– Zmusiłeś rozsadnika do mówienia? – zapytała z powątpiewaniem Elaine.

– Wymagało to pewnej finezji – wyjaśnił Drake. – Udawałem, że jestem łowcą nagród, który chce zgarnąć okup za schwytanie lorda Jasona. Rozsadnik mógłby nie zdradzić informacji wrogowi niezależnie od nacisków, ale okazał mniejszy opór przed ujawnieniem pewnych sekretów przedsiębiorczemu wolnemu strzelcowi, który współpracuje z siłami cesarza. Rzuciłem parę imion, żeby go przekonać.

– Czego się dowiedziałeś? – spytała Rachel.

– Musisz zrozumieć, że nasi wrogowie posługują się określonymi rozsadnikami, żeby przekazywać informacje – wyjaśnił Drake. – Rozsadnicy wymieniają się uszami i komunikują się sobą na wielkie odległości. Ich ostatnie raporty sugerują, że Jason był tutaj, na zachodzie, na południe od Telkronu, w towarzystwie niebezpiecznego najemnika i rozsadnika zdrajcy.

– Rozsadnika?! – wykrzyknęła Rachel. – Ferrina?

– Tak się nazywał – potwierdził Drake.

– Kiedy dowiedziałeś się o tym wszystkim? – spytała Elaine.

– Dziś po południu. – Drake przyjrzał się Rachel. – Rozumiem, że to zmienia twoje plany.

Rachel spojrzała przeprasząco na Elaine. To oznaczało najlepszym razie odłożenie nauki na później.

– Musimy go znaleźć.

– Znajdujemy się we właściwej części świata – zauważyła Elaine. – Masz pomysł, dokąd mógł zmierzać?

– Udali się na południe z Ithilum i przekroczyli Telkron w Potsug – powiedział Drake.

– Większość sił z regionu zmobilizowano, by wytropiły Jasona. Uruchomiono takie zasoby, że bardziej przypomina to wojnę niż obławę.

– Co oznacza, że odnalezienie go może okazać się ryzykowne dla innych uciekinierów – powiedziała Elaine. Zmarszczyła czoło w zamyśleniu. Po chwili się rozpromieniła. – Macie jakieś przedmioty, które należały do Jasona?

Drake przechylił głowę.

– Zostawił mi kilka rzeczy przed pójściem do Felrook. Mam jego sygnety, jeden lorda Caberton, drugi oznaczający jego pozycję kanclerza. Pójdę po konia.

Elaine uniosła rękę, żeby go zatrzymać.

– Rachel, przywołaj Mandibara.

– Mogę? Jak daleko się znajduje?

– Wyobraź go sobie. Wypowiedz wezwanie.

Kiedy wjeżdżały na grań, Elaine uczyła Rachel, jak podsuwać sugestie zwierzętom. To była trudna sztuka. Kiedy ma się do czynienia z energią, żąda się posłuszeństwa. Kiedy ma się do czynienia ze zwierzętami, prosi się o uległość. Jeśli spróbuje się wymusić na zwierzęciu posłuszeństwo, włączą się naturalne obrony i sugestie się nie uda, ogłuszając mówiącego, wywołując wściekłość zwierzęcia albo powodując coś jeszcze gorszego. Jeśli zasugeruje się coś zbyt delikatnie, zwierzę zwyczajnie zignoruje zalecenie. Sugestia działała najlepiej, kiedy była poparta przez tyle woli, by okazała się przekonująca, ale zostawiała ostateczną decyzję zwierzęciu.

Rachel ćwiczyła głównie na własnym koniu. Wiele razy popełniła błąd, sugerując zbyt delikatnie, ale w końcu znalazła właściwe pokłady uporu, jakie trzeba włożyć w sugestię. Teraz potrafiła ze sporą dozą pewności przekonać wierzchowca, by się zatrzymał, pojechał, zwolnił, przyspieszył, podszedł, zarżał, zatupał, stanął dęba, wierzgnął, uspokoił się i jadł. Udało jej się także z równym powodzeniem pośłać kilka podobnych sugestii osiołkowi Ela-ine. Nigdy jednak nie wołała Mandibara po edomicku i nigdy nie próbowała przemówić do zwierzęcia, którego nie widzi.

– W porządku – powiedziała.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie Mandibara – jego rozmiary, muskulaturę, połysk sierści i imię wypisane schludnym czarnymi literami na siodle. Zawołała go po imieniu i poprosił żeby przyszedł.

Tętent odpowiedział na jej wysiłek i wkrótce ujrzeli biegnącego ogiera, który zwolnił do kłusa i podszedł do Rachel szturchając ją nosem. Poczowała podniecenie wywołane szybkim sukcesem.

Drake zagwizdał cicho.

– Czego ona nie potrafi?

Podszedł do Mandibara, otworzył sakwy i zaczął w nich grzebać. Wyjął dwa pierścienie i wręczył je Elaine.

Zaklinaczka wzięła po jednym do ręki, poruszając dłońmi, jakby je ważyła, a potem jeden z nich oddała. Drugi wzięła w dwa palce.

– Ten jest silniej z nim związany.

– To ma sens – odpowiedział Drake. – Miał sygnet Caberton dłużej i był jego niekwestionowanym właścicielem.

Elaine przysunęła pierścień do ucha i zamknęła oczy, jakby nasłuchiwała sekretnej muzyki.

– Mogę z jego pomocą odnaleźć Jasona. Będę potrzebowała reszty nocy i godziny po świcie, żeby przygotować urok.

– Uznałbym, że to szybka robota – odparł Drake.

– Znajdziemy Jasona? – spytała Rachel, nie ośmielając się w to uwierzyć.

Drake zmierzwił jej włosy.

– A przynajmniej niedługo będziemy wiedzieć, gdzie go szukać.

Pierwsze promienie jutrzeńki lśniły na kropkach rosy, kiedy ośmiu jeźdźców wynurzyło się z zakamuflowanego portalu, daleko poza zniszczonymi murami zrujnowanego zamku. Delikatny wiaterek porywał puch z wysokich dmuchawców, rozrzucając nasionka po całym stoku. Szczecioczące nawoływania ptaków rozlegały się wśród koron drzew. Jeden z niewidocznych ptaków zagwizdał jak na fujarce.

Ferrin i Nedwin galopowali z dala od reszty, badając teren. Nedwin poświęcił już kilka godzin przed świtem, żeby się upewnić, że nigdzie nie ma wrogów, i zebrać potrzebne wierzchowce.

Pomniejszony Aram jechał na wielkim ogierze, który wioził go od dnia ucieczki z Ithilum. Jason jechał na tej samej kłaczce, która przywiozła go do Fortaim. Galloran jechał obok Dorsia; milczący służący prowadził królewskiego wierzchowca na luźnym sznurze. Tark jechał z tyłu obok kucharki Chandry, wychudzonej kobiety o zniszczonej od słońca skórze, na której twarzy Jason nigdy nie widział uśmiechu.

Nie wszyscy towarzysze Gallorana do nich dołączyli. Vernona odesłano z zadaniem zorganizowania sobie przewozu na Wyspę Weir i ostrzeżenia strażnika imieniem Trivett, że Słowo jest oszustwem. Jason zastanawiał się, jak Trivett się poczuje, słysząc, że sylaba, której strzeże, została wypisana na ścianie skarbcza mądrości w Trensicourt. Brin Łamigłówka otrzymał rozkaz odnalezienia w Trensicourt brata – Nicholasa – i powiedzenia mu o rozkwitającej rebelii. Kilka innych osób, których Jason nie znał zbyt dobrze, miało się rozproszyć i przycząć.

Podskakując w siodle, Jason poklepał jedną z sakw. Kryształowe kule zawierające odpryski orantium rozdano różnym jeźdźcom, a najwięcej ich wioził Nedwin i Dorsio. Jason miał trzy w sakwie, a każdą

zawinięto w materiał. Jeśli kryształowa powłoka pęknie, narażając zamknięty w nich wybuchowy minerał na kontakt z powietrzem lub wodą, orantium gwałtownie eksploduje. Jason obchodził się z nimi ostrożnie, nie potrafiąc zapomnieć Jashera, który został rozerwany na strzępy. Aram odmówił przyjęcia nawet jednej kuli, obawiając się przypadkowego wybuchu.

Jason trzymał rękę w pobliżu sakwy. Mimo niebezpieczeństw związanych z przewożeniem orantium, wiedział, jak skuteczną bronią potrafią być wybuchowe kule. Oddalając się od Fortaim, denerwował się przez pierwszą milę lub dwie. Na pustkowiu ufał doświadczeniu Ferrina i Nedwina, że utrzyma ich z dala od kłopotów. Oczywiście, jeśli nagle zjawi się nieproszony czatownik, to całkowicie zmieni postać rzeczy. Na razie jednak Galloran żadnego nie wyczuwał, a sprawiał wrażenie pewnego swoich zdolności.

Trzymali się słabo widocznych szlaków na terenach zalesionych i zdziczałych polach. Mijały godziny i nic się nie działo. Co pewien czas Ferrin i Nedwin składali raporty, opisując topografię terenu i sugerując najbezpieczniejszą drogę. Drużyna dwa razy zatrzymała się na popas. Przed wieczorem dotarli do wzgórz, gdzie z zalesionego, wyżej położonego terenu mogli obejrzeć most spinający brzegi Telkronu.

Trzy ogromne łuki podtrzymywały szeroki, kamienny most. Na obu końcach stały strażnice, każda obsadzona kilkoma żołnierzami i trójką harataczy. Jason prawie zapomniał, jak przerażająco wyglądają haratacze – zaprojektowane tak, żeby przerobić wrogów na konfetti masywne owadopodobne stwory o zbrojach jak chitynowe pancerze i ze straszliwą różnorodnością ostrzy na końcach wszystkich sześciu ramion.

– Naprawdę chcą nas złapać – powiedział Ferrin. – Szóstka harataczy do pilnowania jednego mostu? To niesłychane. Musiano uruchomić znaczące siły.

– Możemy przepłynąć rzekę? – spytał Jason. – Albo zbudować tratwę?

– Może ukraść tratwę? – zastanawiał się na głos Nedwin.

– Nurt w tym miejscu jest zwodniczo szybki i zdradziecki – powiedział Aram, który godzinę wcześniej odzyskał swój pełen wzrost. – Rzeka zwalnia dopiero w okolicy Potsug. Stąd most.

– Potrzebujemy koni i naszego sprzętu – dodał Galloran. – Gdybyśmy znaleźli odpowiednio dużą tratwę, moglibyśmy zaryzykować mimo bystrego nurtu, ale z pewnością nie mamy czasu na jej budowanie. Nie możemy marnować czasu na badanie innych przejść. O ile nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, zaatakujemy most we Wczesnych godzinach rannych. Zaskoczemy ich orantium. Może pošlemy dwójkę z naszej drużyny, żeby przekradła się na drugą stronę i utrudniała obronę żołnierzom po drugiej stronie. Do tego czasu powinniśmy odpocząć. Potem będziemy musieli ostro jechać.

– Kiedy przejdziemy przez most, skręcę nad Białe Jezioro – powiedział Nedwin. – Zabiorę Malara. Galloran skinął głową.

– Dasz sobie radę z jeziorem?

– Tak.

– Gdzie się spotkamy?

– Na południe od Trzech Szczytów – odpowiedział Nedwin.

– Niech tak będzie – zgodził się Galloran.

– Poszukam tratw – zaoferował się Ferrin.

Dorsio pstryknął i wskazał, że pójdzie z Ferrinem.

Tark zaproponował, że stanie na pierwszej warcie, i wszyscy I się rozproszyli, niektórzy, żeby się przespać, inni, żeby przeprowadzić rozpoznanie terenu. Jason poszedł po koce przy siodle i znalazł się sam na sam z Nedwinem. Rudzielec grzebał w metalowych fiolkach, zawieszonych na rzemyku na jego szyi.

– Co tam masz? – spytał Jason.

– Część substancji, które zebrałem – wyjaśnił. – Mam proszek, który utrudni tropienie nas wszelkim zwierzętom. Pomyślałem, że rozsypię tu trochę, a więcej po przejściu przez most.

– W jaki sposób nauczyłeś się tak wiele na temat ziół, węży i temu podobnych?

Policzek drgnął Nedwinowi w nerwowym tik.

– Kiedy byłem uwięziony w Felrook, miałem uszy i oczy otwarte. Po cichu uczyłem się, jak przygotowuje się wiele mieszanin, którymi zostałem potraktowany. Kiedy w końcu mnie wypuszczono, moją obsesją stało się zbieranie materiałów tam używanych. Poświęcając się temu zadaniu, poszerzyłem swoją wiedzę. – Uniósł kolejno kilka fiolek. – Ta wywołuje sen, ta wywołuje szarpiące wnętrzościami mdłości, ta otwiera umysł na sugestie, a ta zwiększa wrażliwość na ból.

– Zwiększa ból?

Nedwin trzymał fiolkę w smukłej dłoni, gładząc ją kciukiem.

– Mieszanka jadu tarantuli i soku wydestylowanego z pewnej mięsożernej rośliny. Małeńka dawka wystarcza, że nacisk sprawia ból, a prawdziwy ból zamienia się w nieopisane cierpienie.

– Doświadczyłeś tego?

Nedwin zaśmiał się gorzko. Jego poważny uśmiech zdradzał ponure wspomnienia.

– Bez końca. Badali granice mojej wytrzymałości. Pod wpływem tej substancji palec przyciśnięty do mojego ramienia odbierałem tak, jakby wwierał mi się w ciało, paląc żywym ogniem. Nie poprzestali na tym. Policzkowali mnie albo ranili, wywołując wszechogarniające cierpienie. A potem wiercili mi dziury w zębach.

Jason skrzywił się i zasłonił usta ręką, czując ból już od słuchania opowieści.

– Copernum był z nich najgorszy – mruknął Nedwin.

– Kanclerz Copernum?

Nedwin pokiwał głową, załamując ręce – piegowatą i tę w rękawicze.

– Był moim głównym oprawcą w ciągu ostatnich lat uwięzienia. Przewieziono mnie do małego lochu w jego rezydencji w Trensicourt. Chował urazę do mojej rodziny. Wygrał nasz tytuł od mojego starszego brata. Kiedy zredukowano mnie do bełkocącego wariata, w końcu mnie wypuścił. Hojnie stosował neuropieśń, substancję zwiększającą ból. Miała pewne uboczne skutki. Oprócz tego, że powiększała ból, wyostrzała mi zmysły: słuch, wzrok, węch. Pod jej wpływem podsłuchiłem wiele rozmów, które nie były

przeznaczone dla moich uszu. Z czasem wpływ na zmysły zaczął się utrzymywać. A moja zdolność odczuwania bólu zanikła.

– Naprawdę?

– Po dziś dzień. – Ze szklistymi oczami dotykał fiołki neuropieśni. – Nadal wyczuwam nacisk, ale fizyczny dyskomfort stał się odległym wspomnieniem. O ile los mnie nie zdradzi, pewnego dnia Copernum napije się z tej fiołki i pozna ból, który zadawał od niechcenia.

Nedwin potrząsnął głową, powracając do terażniejszości.

– Mam nadzieję, że ci się uda – powiedział Jason. – Wiedziałeś, że Copernum próbował mnie zabić?

– Nie dziwię się, zważywszy jak upokorzyłeś tego drania. Kiedy usłyszałem o waszym pojedynku umysłów, śmiałem się cały dzień. Nawet gdybyś nie miał innych zalet, kochałbym cię po grób za wstyd, jakiego mu narobiłeś.

– Miło było go pokonać – powiedział Jason. – Przykro mi słyszeć o twoim cierpieniu.

Nedwin wzruszył ramionami, wbijając z zakłopotaniem rok w ziemię.

– Każdy z nas przeszedł swoje. Pojadę zatrzeć nasze ślady. Wskoczył na konia i odjechał.

Po rozłożeniu koców Jason zwinął się na ziemi. Starał się nie myśleć o wszystkim, co wycierpiał Nedwin. Jak człowiek mógł znieść tyle tortur? Jason pomyślał o czasie, który sam spędził w Felrook, zamknięty w żelaznej skorupie w kształcie jego ciała. Samo wspomnienie sprawiło, że złał się potem. Jak długo by wytrzymał? Co by go potem czekało? Na szczęście, uciekł, zanim nadeszło najgorsze. Miał nadzieję, że nigdy nie doświadczy na własnej skórze działania neuropieśni. Oczywiście, jeśli kiedyś znowu zostanie złapany, może właśnie jej będzie musiał stawić czoło. Ponure myśli sprawiły, że nie zasnął od razu.

Ktoś delikatnie potrząsnął ramieniem Jasona.

– Obudź się, śpiochu – rozległ się znajomy głos.

Jason obudził się gwałtownie, zamrugał i zmrużył oczy. W świetle zachodzącego księżyca zobaczył unoszącą się nad sobą ładną twarz i ciemne włosy sięgające, nieco dalej niż to zapamiętał. Twarz pasowała do głosu. Tylko jakim cudem Rachel mogła się tu znaleźć? Odsunął się od niej raptownie, płacząc się w kocach. W pierwszym odruchu uznał, że czatownik musiał go dogonić i wtargnąć do jego snów. Oparł się na łokciach i skupił na jej oczach. Nie były czarne.

– To naprawdę ty? – zapytał zdumiony.

Uśmiechnęła się i usiadła.

– Niespodzianka.

Rzucił się do niej i złapał ją w ramiona, po części po to, żeby się upewnić, że jest prawdziwa, a po części z czystej radości. Odwzajemniła uścisk. Obejmowanie Rachel sprawiło, że jej obecność stała się bardziej namacalna.

– Nie mogę w to uwierzyć! – wykrzyknął. – Kto cię znalazł?

Rozległy się śmiechy kilku osób. Jason wypuścił Rachel z objęć, po raz pierwszy zauważając

obecność Drake'a, Gallorana, Dorsia, Arama i Tarka; wszyscy stali w luźnym kręgu wokół miejsca, w którym spał. Ta nieoczekiwana widownia sprawiła, że zawstydził się wylewnego powitania.

– To Drake i ja was znaleźliśmy – wyjaśniła Rachel.

Trzymała kawałek sznurka. Na jego końcu wisiał sygnet Caberton.

– Mój pierścień – powiedział Jason i wyciągnął rękę.

– Chwileczkę – powstrzymała go Rachel. – Nie zauważyłeś niczego niezwykłego?

Zauważył. Trzymała sznurek za koniec, a pierścień nie zwisał prosto w dół, lecz pod kątem, jakby był przyciągany przez magnes w stronę Jasona. Niezbyt mocno, ale wyraźnie.

– Co to? – spytał Jason, zerkając na Gallorana. – To jakiś pierścień naprowadzający?

– Teraz już tak – powiedziała Rachel. – Spotkaliśmy panią, która rzuca uroki i robi talizmany, a Drake miał twój pierścień, więc zaczarowała go, żeby pomógł nam cię znaleźć. Doprowadził nas tutaj.

– Rety! Czy ta pani zjawiała się z wami?

Rachel pokręciła głową.

– Jest wędrowcem. W pewnym sensie pustelnikiem. Pozwoliłaby mi wędrować ze sobą, ale nie zamierzała do nas dołączać. – Rachel wyjęła wisior wykonany z paciorka, kości i paru piórek. – Dała mi to dla ciebie. Powinien uniemożliwić czatownikowi sięgnięcie do twojego umysłu. Przygotowała kilka specjalnie dla mnie i Drake'a. Ten jest mniej dopasowany do konkretnej osoby, ale uznała, że powinien zadziałać.

– A twój działa? – spytał Jason.

– Pozbyliśmy się czatownika zaraz po tym, jak zaczęliśmy je nosić. Wcześniej śledził nas tygodniami.

– Znam tę zaklinaczkę – powiedział Galloran. – Ma prawdziwy dar.

Jason spojrzał na Rachel, próbując uwierzyć, że to naprawdę ona.

– Jak długo tu jesteś?

– Niedługo – odpowiedziała. – Mogłam pozwolić ci pospać jeszcze chwilę. Nie zaatakujemy mostu, dopóki księżyc nie zajdzie. Tyle że nie mogłam się doczekać.

– Dajmy im chwilę porozmawiać – zaproponował Galloran. – Jakiś czas się nie widzieli.

On i pozostali odsunęli się, niezbyt daleko, ale wystarczająco, żeby Jason i Rachel mogli w spokoju porozmawiać. Jason spojrzał na Rachel, ładną zaginioną dziewczynę ze zdjęć rozrzuconych po całym Internecie.

– Czyli Słowo nie zadziałało – powiedziała cicho Rachel.

– Już ci wszystko opowiedzieli?

– Trochę. Naprawdę wróciłeś do domu? I potem tutaj?

Jason spojrzał na fałdy koca, starannie strzepując z nich liście i ziemię.

– Nie mogłem tam zostać, wiedząc, że ty zostałeś tutaj, a Słowo to podstęp. Znam teraz drogę do domu; przejście jest w jaskini w pobliżu Felrook. Trudno będzie znaleźć je samemu, ale Ferrin może nas tam zaprowadzić.

– Skontaktowałeś się z moimi rodzicami? – spytała Rachel. – Dałeś im znać, że żyję?

– Twoi rodzice rozślawili cię na cały kraj – powiedział Jason. – Pojawiałaś się we wszystkich wiadomościach, w Inter necie, gdzie zechcesz. Rodzice szukają cię ze wszystkich sił. Zaproponowali ogromną nagrodę. Nie mogłem jednak się z nimi skontaktować. Zaginałem w tajemniczych okolicznościach tego samego dnia co ty. Natychmiast stałbym się podejrzany.

Rachel zagryzła usta.

– Masz rację. Wiedziałaś, że będą się martwić. Cieszę się, że mnie szukają. To znaczy, że nadal mają nadzieję. Nie ma mnie tak długo.

– Jest trochę gorzej niż myślisz – powiedział Jason. – Czas płynie w różnym tempie w obu światach. Nie różni się aż tak bardzo, ale kiedy wróciłem do domu, okazało się, że minęło parę tygodni więcej, niż się spodziewałem. A kiedy wróciłem tutaj, zauważyłem, że tu upłynęło mniej czasu niż tam.

– Zatem w domu czas płynie szybciej – podsumowała Rachel.

– Na to wygląda.

– Czyli według rodziców zniknęłam na dłużej, niż zdawałam sobie sprawę – powiedziała, masując czoło. – To chyba tylko osłodzi ponowne spotkanie, kiedy w końcu wrócę. Ferrin naprawdę cię uratował?

– Aha. Rozumiem, że o tym też ci powiedzieli. Był tu, kiedy się zjawiłaś?

– Przeprowadził się z Nedwinem i Chandrą na drugą stronę rzeki. Ukradli łódkę. Galloran ujął to tak, jakbyście go mieli na swego rodzaju smyczy.

– Ferrin dołączył do nas dobrowolnie – powiedział Jason. – Z własnej woli oddał Galloranowi kawałek szyi z tętnicą. Zdaje się, że naprawdę przeszedł na naszą stronę.

Drobna zmarszczka pojawiła się między brwiami Rachel.

– Myślisz, że to prawda?

Jason wzruszył ramionami.

– Instynkt mówi mi, że tak. Zrobił wszystko, o co Galloran prosił, i miał mnóstwo okazji, żeby mnie zdradzić.

– Zmierzamy ku Ziemiom Zatopionym?

– Aha, a potem do Siedmiu Dolin, by się przekonać, czy lud ar Kabał pomoże Galloranowi w walce z Maldorem.

Rachel pokiwała głową.

– Ty i Ferrin znacie drogę do domu?

– Aha.

– Myślałeś może, czy...? Sama nie wiem...

– Czy nie porzucić wszystkich i nie kazać Ferrinowi zaprowadzić się do jaskini?

Wzruszyła ramionami.

Jason zastanowił się nad tym pomysłem. Znalazł Rachel. Poinformował Gallorana, że Słowo to

oszustwo. Co więcej mógł osiągnąć, pozostając w Lyrianie? Nie był wojownikiem. To mógł być rozsądny moment, żeby się wycofać i pozwolić fachowcom zająć się powstaniem.

Z drugiej strony nie wyobrażał sobie powrotu domu, zostawiał już tyle niezłatwionych spraw w Lyrianie. Jak na razie okazał się użyteczny. A co, jeśli nadal mógł tu coś zmienić? Czy nie zastanawiałby się przez resztę życia, jak to by się mogło zakończyć?

– Musielibyśmy całkowicie zaufać Ferrinowi – powiedział. – Droga do domu prowadzi w głąb terytorium wroga. Bylibyśmy zdani na jego łaskę. Uwierz mi, nie chcemy, żebyśmy zostali złapani.

Rachel pokiwała głową.

– Nie mówię, że powinniśmy spróbować. Przede wszystkim cieszę się, że istnieje sposób. Później będziemy martwić się szczegółami. Wygląda na to, że najpierw musimy przejść przez most.

Wstała i podała Jasonowi rękę. Złapał ją, a Rachel pomogła mu wstać. Koce wcisnął pod pachę.

– Cieszę się, że nas znalazłaś – powiedział Jason. – Tak się martwiłem.

– Ty się martwiłeś? – powtórzyła, szturchając go w rękę. – Przez cały czas myślałam, że torturują cię w Felrook!

Jason zarechotał.

– Odkąd się rozdzieliliśmy, oglądałem głównie filmy, grałem w gry wideo i sędziowałem w Małej Lidze.

Znowu go uderzyła.

– Ej! – zaprotestował, odsuwając się. – To nie moja wina! Wróciłem tak szybko, jak mogłem.

Z rękami wspartymi na biodrach spojrzała na niego, już nieco łagodniej.

– Naprawdę wróciłeś po mnie.

Z tonu jej głosu wyczytał, że mu dziękuje.

– Od czego są przyjaciele?

Z ulgi aż chciał ją podnieść i zawirować.

Tark podszedł do nich ciężkim krokiem.

– Zaczynamy zajmować swoje pozycje.

– Jaki jest plan? – spytał Jason.

– Ty, Rachel i ja pojedziemy z Galloranem i Dorsiem. Zajmiemy się końmi. Każdy będzie prowadził jednego.

– Nawet Galloran? – spytała Rachel.

– Będzie się trzymał z tyłu w czasie szarży – wyjaśnił Tark. – ufa, że jego koń zostanie na drodze i pobiegnie za pozostałymi. Może i jest niewidomy, ale to doświadczony jeździec.

– Jedziemy drogą? – zapytał Jason.

– Drake i Aram zaatakują most z tego brzegu, najpierw korzystają orantium, a potem miecz i łuk. Nedwin, Ferrin i Chandra zrobią to samo po drugiej stronie mostu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, walka powinna się zakończyć, nim dotrzemy do mostu.

– My po prostu umożliwimy im potem szybką ucieczkę – powiedziała Rachel.

Tark skinął głową.

– Możemy wysadzić most po przejściu go? – spytał Jason. – no wiesz, żeby utrudnić pościg?

– Chandra zapytała o to samo – powiedział Tark. – Most zbudowano tak, żeby wiele zniósł. Zgadzam się z Aramem i Ferrinem, że orantium nie jest dość mocne, żeby zburzyć most, a przynajmniej nie bez odpowiednich przygotowań. Daj mi trzy dni i trochę narzędzi, a mogłoby to wyglądać inaczej.

– Skąd będziemy wiedzieli, kiedy ruszać? – spytał Jason.

– Pozostali uderzą zaraz po zachodzie księżyca – wyjaśnił Tark. – My ruszymy w stronę mostu, usłyszawszy pierwszy wybuch. W razie potrzeby pomożemy w walce, kiedy już dojedziemy.

Tark zaprowadził ich do koni. Dorsio i Galloran siedzieli już w siodłach, każdy prowadził dodatkowego wierzchowca.

– Szaleństwo z tym Aramem – powiedziała Rachel.

– Chodzi o to, że jest olbrzymem? – upewnił się Jason.

– Aż się zastanawiam, czego jeszcze nie wiemy na temat istot z tego świata.

Jason pokiwał głową.

– Po czatownikach myślę, że już dość się dowiedziałem.

– Możemy zająć swoje pozycje? – poprosił Galloran.

Jason, Tark i Rachel wsiedli na konie. Tark wyjaśnił, którego konia każde z nich poprowadzi, podając odpowiednie sznury Jasonowi i Rachel. Jason otrzymał konia Chandry. Dorsio poprowadził ich spokojnym tempem z Galloranem tuż obok. Tark zamykał tyły. Gdy dotarli do polany obok szerokiej drogi, księżyc prawie dotykał horyzontu.

Galloran poprawił się w siodle na koniu idącym obok Jasona.

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – powiedział – sześć kul z orantium wybuchnie jednocześnie, niszcząc haratacze. Każdy z atakujących rzuci jedną, a Drake dwie. Jeśli nasi ludzie dobrze zakryją oczy, oślepieni strażnicy będą znacznie osłabieni. Druga salwa orantium powinna zmieść większość pozostałych obrońców. Reszta padnie od bardziej konwencjonalnej broni.

Jason wyobraził sobie scenariusz.

– Robi wrażenie perfekcyjnie dopracowanego.

– Nie trzeba geniusza, żeby zaplanować idealny atak – odparł Galloran. – Kłopoty pojawiają się w trakcie realizacji.

Malejący księżyc schował się do połowy za horyzontem i powoli zniknął im z oczu. Dorsio wyprowadził ich na drogę. Most był widoczny niecałą milę dalej, na obu jego końcach płonęły dwa wielkie kagańce. Konie ruszyły zwartą grupą w stronę mostu.

Jason poczuł, że żołądek zaciska mu się z nerwów. Próbował wmówić sobie, że jego rola jest prosta. Ma jechać za Dorsiem do mostu. Co może pójść źle? Cóż, mogli dojechać do mostu, znaleźć Arama i Drake'a martwych, i haratacze czekające, by posiekać ich na mielone, podczas gdy strażnicy

ostrzeliwaliby ich z ukrycia. Jason zastanawiał się, czy powinien wyjąć dla siebie kulę z orantium. Uznał, że jednak nie, ponieważ będzie miał zajęte ręce, kierując własnym koniem i prowadząc drugie. Ostatnie, czego potrzebował, to upuścić kulę i wysadzić się powietrze. Czasem najlepszą obroną jest uniknięcie samounicestwienia.

Księżyc zniknął za horyzontem. Przed nimi białe rozbłyski płonęły po obu stronach mostu, a kilka sekund potem rozległ się grzmot eksplozji. Koń Jasona szarpnął się niespokojnie i zamarł, ale na szczęście nie oszalał.

Dorsio spał konia do galopu. Jason strzelił wozami i jego koń również pocwałował. Prowadził pewną ręką wierzchowca Chandry. Druga seria wybuchów zabłysła stroboskopowo na oście, tym razem były trochę mniej zgrane w czasie, a oślepiająca biel rozświetliła unoszące się chmury dymu. Huk zabrzmiał jak wybuch trzech albo czterech armat odpalonych jedna po drugiej.

Jason skupił się na tym, żeby trzymać się blisko Dorsia i panować nad końmi. Jeśli Galloran radził sobie bez wzroku, to on nie miałby już wytłumaczenia, gdyby coś zawalił.

Most zniknął im z oczu przesłonięty przez drzewa. W miarę jak objeżdżali je drogą, pojawiał się bliższy koniec mostu, gdzie nadal płonął kaganiec. Aram i Drake stali po jednej stronie drogi. Tark i Rachel zwolnili, żeby przekazać im ich konie.

Trzymając się Gallorana i Dorsia, Jason wjechał na most. Czuł zapach rozgrzanego kamienia, metalu i spalonego ciała. Tłące, się i powykręcane skorupy harataczy leżały obok kilku powalonych strażników. Jason poczuł żal na widok zabitych żołnierzy. Wiedział jednak, że wspierali złą sprawę. Gdyby mieli szansę, żaden z nich nie zawahałby się, zabijając jego albo jego przyjaciół.

Jason przejechał przez most. Kolejne zniszczone haratacze i zabici leżeli w nieładzie razem z kawałkami metalu i stosem kamienia. Nedwin, Ferrin i Chandra czekali już przy drodze za mostem. Jason zwolnił obok Chandry, która wskoczyła na konia jak sprężyna.

– Muszę przyznać Galloranowi jedno – powiedział wesoło Ferrin. – Ten facet wie, jak urządzić imprezę.

Był jedyną osobą, która jeszcze nie dosiadła konia. Podeszedł do strażnicy, zabrał sztylet poległemu strażnikowi i przybił nim do drzwi kawałek pergaminu.

– Co tam napisałeś? – spytał Jason.

– „Koniec z Maldorem, koniec z jego marionetkami, koniec z jego cesarstwem” – wyrecytował Nedwin. – „Pozdrawiam serdecznie, Ferrin, syn Baldora”.

– Sam ułożyłem – pochwalił się Ferrin. – Na tyle było mnie stać w tak krótkim czasie. Jak będę miał więcej czasu, to może nawet coś zrymuję. – Wsiadł na konia, kiedy nadjechali Tark, Rachel, Aram i Drake.

– Wioska? – spytał Galloran.

– Na razie wygląda na to, że panuje tam spokój – odpowiedział Nedwin. – Uśpiłem konie w garnizonie i sporo prywatnych wierzchowców po tej stronie rzeki. Przez pewien czas powinniśmy mieć

przewagę.

– Dobra robota, moi drodzy – powiedział Galloran, wyciągając rękę z linką od swojego konia do Dorsia. – Ruszajmy.

Jason szturchnął boki konia, jadąc między Rachel i Tarkiem. Podniecenie zdecydowanego zwycięstwa i zapowiedź mściwej go pościgu ze stron cesarskich sił sprawiły, że wszystkie zmysły miał wyostrome. Spojrzał na niezliczone gwiazdy nad głową tak liczne, że wydawało się niemożliwością wyróżnić gwiazdozbiór w tym nieładzie.

– Dołączę do was przy Trzech Szczytach! – zawołał Nedwin, skręcając z drogi w prawo.

Jason i reszta zostali na drodze przez jakieś kolejne dziesięć minut, zanim skręcili w pole. Ferrin prowadził. Aram osłaniał tyły.

Kiedy Jason galopował obok Rachel, ledwie mógł uwierzyć, że wbrew wszystkiemu znowu byli razem. Kołysząc się miarowo w rytm cwału, z chłodnym wiatrem na twarzy, zmrużył oczy wypatrując przed sobą Dorsia i Gallorana, a potem obejrzał się na Tarka i Ara–ma, mgliste zarysy w świetle gwiazd. Wątpił, czy on i Rachel mogli czuć się bezpieczniej gdziekolwiek indziej niż w Lyrianie. Jechali z przemyślnymi poszukiwaczami przygód, którzy wiedzieli, jak walczyć i sobie radzić, którzy pewnie byli w stanie uciekać tak długo, jak będzie trzeba. Pędząc przez noc, mimo trudności, Jason czuł wdzięczność i ulgę. Może i ścigał go potężny cesarz, ale przynajmniej nie był sam.

Rozdział 13

Ścigani

Pod koniec drugiego dnia od ucieczki przez most, głęboko w surowej, pagórkowatej krainie, Jason jechał konno brzegiem doliny. Dno niecki wypełniało jezioro, tafla wody przzerwana przez rozległą, zalesioną wyspę mającą z grubsza kształt podkowy.

Drake poprowadził drużynę w dół nad brzeg, a potem wjechał do jeziora. Woda, zamiast zakryć konia, ani razu nie sięgnęła dość wysoko, by dotknąć butów Drake'a.

– Płytkie jezioro? – zapytał Ferrina Jason.

– Nigdy tu nie byłem – odpowiedział Ferrin – ale Drake mówił mi, że trzy drogi prowadzą do wyspy: szeroka, wąska i zakrzywiona. Reszta jeziora jest raczej głęboka, ale trzy zatopione granie umożliwiają dostęp z brzegu każdemu, kto zna sekret i nie boi się brodzić.

Jason i Ferrin wylądowali na końcu grupy i wjeżdżali do jeziora za pozostałymi jeźdźcami. Patrząc w dół, Jason zauważył, że woda jest mętna i zielona. Nie widział niczego pod powierzchnią.

– Kiedyś na tej wyspie mieszkał czarnoksiężnik – powiedział przez ramię Galloran, najwyraźniej słysząc ich rozmowę. – Trudno znaleźć tę dolinę, jeśli nie zna się drogi.

Dziwiewięciu jeźdźców dotarło do wyspy. W pobliżu jej środka Drake wyprowadził ich na polanę otoczoną przez wysokie sosny o łuszczącej się korze. Stała tam wielka kamienna chata kilka mniejszych budynków gospodarczych w różnym stopniu zaniedbania. Chacie brakowało drzwi i większości jednej ściany, oknach nie było szyb. Zachowała się tylko część dachu. Tam gdzie brakowało dachu, rosły dwa młode drzewka.

– Po zmroku możemy rozpalić ognisko w chacie – powiełał Drake. – Wszystkim nam przyda się cała noc wypoczynku trochę ciepłego jedzenia.

– Nie grozi nam, że zostaniemy tu przyparci do muru? – zapytał Aram.

– Znam wszystkie trzy drogi prowadzące na wyspę – powiedział Drake. – Nie widzieliśmy żadnego śladu pościgu, a dolina jest oddzielona i trudna do znalezienia.

– To mi wystarczy – odparł Aram i zsiadł z konia.

Nikt inny nie miał zastrzeżeń.

Kiedy Jason rozpakowywał koce, podeszła do niego Rachel. Położyła mu rękę na ramieniu i szepnęła:

– Chcę ci coś pokazać.

Zaciekawiony poszedł za nią do jednego z walących się budynków. Zachowało się tam niewiele więcej niż dwie sąsiadujące ściany. Rachel poprowadziła Jasona do kąta, gdzie ściany się spotykały,

zasłaniając ich przed pozostałymi.

– Popatrz – powiedziała, wyjmując świecę.

Ośłoniła ją, wymamrotała krótką frazę i knot zapłonął. Zasłoniła ogień dłonią.

– Jak to zrobiłaś? – spytał Jason.

Nie rozpoznał słów, które wymówiła, a jednak instynktownie zrozumiał, że dotyczyły zgromadzenia żaru.

– To edomicki – wyjaśniła. – Mogę cię nauczyć.

– Kto cię tego nauczył?

– Drake pokazał mi, jak rozpalać ogień. Zaklinaczka nauczyła mnie paru innych rzeczy. To nie takie trudne, jak już się złapie w czym rzecz.

Jason zgasił świecę.

– Zrób to jeszcze raz.

Wymamrotała frazę i płomień wrócił.

– Po prostu wypowiadasz słowa? – upewnił się Jason.

– Po części. Słowa to prośba do ciepła, by się zgromadziło. Musisz jednak poprzeć słowa wolą i w pewnym sensie zmusić żar do posłuszeństwa.

Jason wyciągnął rękę.

– Daj mi spróbować.

Rachel zgasila płomień i podała mu świecę, a potem powoli i wyraźnie przekazała mu słowa.

– To brzmi, jakbyś je śpiewała.

– Nie musisz mówić o tym tak głośno – upomniała go Rachel. – Ale rzeczywiście, ton ma znaczenie. Zaklinaczka powiedziała, że niektórzy czarnoksiężnicy uzyskiwali efekty, wypowiadając słowa tylko w myślach. Jednak nawet wtedy trzeba je prawidłowo powtórzyć.

Powtarzali słowa kilka razy. Rachel poprawiała Jasona odrobinę przy końcówkach.

– To wydaje się o wiele trudniejsze niż wypowiedzenie Słowa.

– Bo jest – przytaknęła Rachel. – Zaklinaczka mi to wytłumaczyła. Słowo jest tak pozbawione sensu w języku edomickim, jak to tylko możliwe. To było tylko hasło, mechanizm uruchamiający przygotowane zaklęcie. Celowo było proste. Wiele edomickich słów nie da się zapisać za pomocą angielskiej fonetyki.

Powiedziała, że jedyną trudnością było zaprojektowanie Słowa tak, by samo zniknęło z pamięci.

Jason ćwiczył frazę do wezwania ognia. W końcu Rachel zaaprobowała jego wymowę. Powtórzył frazę jeszcze kilka razy.

– To już opanowałeś – powiedziała Rachel. – A teraz skup się na świecy, wypowiedz słowa i zażądaj, by zostały spełnione.

Jason zagapił się na świecę. Wyobraził sobie płomień, który się pojawia, wypowiedział słowa i skupił się na knocie, zmuszając go wolą, by zapłonął. Po przeciągającym się wysiłku woli nic się nie stało. Spojrzał na Rachel.

– Co zrobiłem nie tak?

– Nie wiem – odpowiedziała, marszcząc brwi. – Koniecznie wyobraź sobie, że żar reaguje i się zbiera. To trochę jak wypowiadanie życzenia. Życzyłeś sobie kiedyś czegoś tak bardzo, że prawie czułeś, że chcesz wymusić jego spełnienie?

– Pewnie.

– To coś podobnego, tyle że to naprawdę działa. Wypowiedz rozkaz i poprzyj to wolą. Niech żar spełni twoje życzenie.

Spróbował kilka razy, ale bez skutku.

– Dobrze wypowiadam słowa?

– Dla mnie brzmią dobrze. I przekazujesz znaczenie.

– Dziwne, że nie znam słów, a wyczuwam ich znaczenie.

– Taki jest edomicki. Jest bardzo precyzyjny. Ten język rozumie się instynktownie. Jednakże wiedza, jakie słowa wypowiedzieć, nie jest instynktowna. Trzeba się ich nauczyć.

Jason wypowiedział frazę raz jeszcze, napełniając głos emocjami, a potem kierując całą siłą woli na knot, jakby naprawdę wierzył, że samym pragnieniem rozpali ogień. Jak poprzednim razem, nie pojawiła się nawet jedna iskra czy smużka dymu.

– Zrób to raz jeszcze – powiedział.

Rachel wypowiedziała słowa i płomień ożył.

Jason rozejrzał się podejrzliwie.

– To jakaś sztuczka?

– Co ty! Jak mogłabym sprawić, że świeca sama się zapali?

– Nie wiem. Mam wrażenie, że to sztuczka. Ile czasu potrzebowałaś, żeby się tego nauczyć?

– Zapaliłam świecę przy pierwszej próbie, kiedy Drake opisał mi, jak postępować. Widziałam parę razy jak sam to robił. Za pierwszym razem potrzebowałam kilku sekund nacisku, by zrobić to jak należy. Teraz przychodzi mi to właściwie bez wysiłku.

– Drake też to potrafi?

– Tak, chociaż już jestem w tym równie dobra jak on. I potrafię kilka innych rzeczy, których on nie umie. Zaklinaczka powiedziała, że mam talent.

– Naprawdę masz dar – powiedziała Chandra, wychodząc zza ściany. – Czułam siłę w twoich słowach.

– Jak długo słuchałaś? – zapytał ostro Jason, zakłopotany tym, że tyle raz próbował bez skutku.

– Nie mam zwyczaju podsłuchiwać towarzyszy – przeprosiła. – Galloran wyczuł, że Rachel mówi po edomicku, i wysłał mnie, żebym sprawdziła. Drake powiedział mu o twoim talencie i Gallorana ogromnie to zaniekawiło.

Jason nigdy w życiu nie słyszał, żeby Chandra wypowiedziała tyle słów na raz.

– Co masz na myśli, mówiąc, że wyczuł, jak ona mówi?

– Czuł efekt jej słów – wyjaśniła Chandra. – Zmianę, jaką powodowały jej słowa, moc, jaką zbierała siłą woli. W mniejszym stopniu ja też mogłam to wyczuć.

– Też mówisz po edomicku? – spytała Rachel.

– Kilka słów – odpowiedziała Chandra. – Przede wszystkim wiem, jak przesuwając rzeczy.

– Na przykład, jak powiedzieć zwierzęciu, żeby się przesunęło? – spytała Rachel.

– Nie, nigdy nie pojęłam niuansów sugestii. Nie potrafię pracować z inteligentnymi istotami. Mam na myśli przesuwanie przedmiotów na rozkaz.

– Pokaż nam – poprosił Jason.

Chandra popatrzyła na ziemię.

– To miejsce wzmacnia edomickie rozkazy. Prawie czuje się to w ustach. Powietrze jest jak naładowane, gęste od energii. Pewnie dlatego mieszkał tu stary czarnoksiężnik. Podłączyłaś się do wielkiego źródła energii, Rachel, chociaż wykorzystałaś jedynie jego małą część.

Wyciągnęła rękę w stronę kamiennego bloku, który byłby pewnie za ciężki nawet dla Arama. Wyśpiewała krótką frazę i blok zadygotał. Powtórzyła ją i blok się zakołysał. Z twarzą skrzywioną od wysiłku spróbowała po raz trzeci i blok przewrócił się na bok.

– Super! – zawołał podekscytowany Jason.

– Zwykle bardzo trudno jest poruszyć cokolwiek większego od tego, co można samemu przesunąć – powiedziała Chandra. – Czuję, że tu mój edomicki jest silniejszy niż zwykle.

Wyciągnęła rękę przed siebie i wypowiedziała rozkaz, a kamień wielkości krążka hokejowego wskoczył do jej spracowanej dłoni.

– Wypowiedziałaś słowa bezpośrednio do kamienia – zauważyła Rachel. – Nie wzywałaś żadnej siły, by go pchnęła. Po prostu powiedziałaś mu, gdzie ma się znaleźć.

– Jesteś spostrzegawcza – przyznała Chandra. – Nazywam przedmiot czy substancję, którą zamierzam poruszyć, i mówię jej, by się przesunęła, rozkazując i wyobrażając sobie trajektorię. Nie potrafię ci powiedzieć, dlaczego to działa. Moja matka miała dryg do tego samego, tak jak jej matka. Robię to od małego.

– Mogę spróbować? – spytała Rachel.

– Śmiało – odparła Chandra, krzyżując chude, żylaste ręce. – Mam powtórzyć frazę?

– Chyba nie trzeba – podziękowała Rachel.

– To spróbuj coś pchnąć.

Widząc postawę i wyraz twarzy Chandry, Jason pomyślał, że zdaniem kucharki, Rachel będzie miała z tym kłopot.

Rachel wyciągnęła rękę w stronę tego samego bloku, który Chandra przewróciła na bok, skupiła się na nim i wypowiedziała słowa. Blok przeokołkował kilka razy po trawie, uderzając o nierówności terenu, zanim, chwając się, zatrzymał się dwadzieścia jardów dalej.

Chandra zdusiła okrzyk i wytrzeszczyła oczy, patrząc to na blok, to na Rachel.

– Żartujesz sobie ze mnie. Robiłaś to już wcześniej.

Rachel uśmiechnęła się nieśmiało, najwyraźniej zadowolona i zawstydzona zarazem.

– Ćwiczyłam inne rodzaje edomickiego – wyjaśniła. – Nigdy nie robiłam czegoś takiego. Pchnęłam z całej siły, bo blok wydał mi się bardzo ciężki.

– Nawet w tak idealnym miejscu jak to – powiedział Galloran, wychodząc zza jednej ze ścian i wyszukując sobie drogę laską – musiałaś zebrać znaczącą ilość mocy.

– Skąd pan wie? – spytała Rachel.

– Nie widziałem kamienia, ale mogę wyczuć energię, jaką wezwałaś do jego podniesienia i dostrzec siłę, która go pchnęła. I słyszałem, jak się potoczył. Od jak dawna ćwiczysz edomicki?

– Może od pięciu tygodni.

Chandra się nachmurzyła.

– Niewiarygodne.

– Spędziła w naszym świecie nie więcej niż kilka miesięcy – przypomniał kucharce Galloran. – Rachel, rozumiem, że potrafisz ze sporą wprawą wezwać ogień?

– I kierować zwierzętami. Pomagałam też zaklinaczce zaczarować lalkę przynętę, która miała zwieść czatownika.

Galloran potarł usta.

– Domyślam się, że nie natknęłaś się jeszcze na edomicką frazę, której nie mogłabyś wykorzystać?

– Na razie nie – przytaknęła Rachel. – Ale każdą frazę mogę wykorzystać tylko w ograniczonym zakresie.

Galloran się uśmiechnął.

– Mamy wśród nas prawdziwego adepta. Rachel, twój wrodzony dar to materiał, z którego wykuwa się czarnoksiężników.

– Zaklinaczka też tak uważała. Chciała, żebym została jej uczennicą.

Galloran skinął głową.

– Mogłaby nauczyć cię wielu rzeczy. Najlepiej byłoby, gdybyś została uczennicą prawdziwego czarnoksiężnika, który mógłby cię zaznajomić z subtelnościami edomickiego. Niestety, odkąd Maldor wymusił wypełnienie swojego ostatniego rozkazu, nie ostali się żadni tacy nauczyciele. Rachel, wrodzony talent do edomickiego to taka rzadkość, że chyba już wiemy, dlaczego wyrocznia chciała cię tu sprowadzić. Wystarczy, żebyś opanowała nieliczne frazy, które przetrwały jako ludowa magia, a dzięki ćwiczeniom, możesz stać się potężna.

– A jak pan myśli, czemu ja się tu pojawiłem? – spytał Jason.

Galloran się roześmiał.

– Udowodniłeś to już swoimi czynami, lordzie Jasonie. Odkryłeś, że Słowo to oszustwo. Już samo to czyni twój wkład nie ocenionym.

– Czy to znaczy, że wykonałem swoje zadanie?

Galloran zastanowił się nad tym pytaniem.

– Chcesz wiedzieć, czy możesz wrócić do domu?

– Nie – odpowiedział odruchowo Jason, zawstydzony, że wyszedł na tchórza przed takim człowiekiem jak Galloran. – To znaczy, zastanawialiśmy się nad tym.

– Ferrin zna drogę do świata Poza – wtrąciła Rachel.

Galloran skinął głową.

– Jak już powiedziałem wcześniej, nie miałbym pretensji do żadnego z was, gdybyście wrócili do domu, znalazłszy drogę powrotną. Ani nie miałbym żalu, gdybyś tam został, Jasonie, gdybyś tak zdecydował.

– Niechący usłyszałem – powiedział Ferrin, włączając się do rozmowy. – Znamy drogę do świata Poza, ale Maldor wie, że ją znamy. Kiedy myszkowałem, żeby się dowiedzieć, co Maldor podejrzewa, odkryłem, że śledztwo dotyczące twojej ucieczki doprowadziło tropicieli do jaskini. Wejście zostanie teraz zamknięte i będzie pilnie strzeżone. Pojawia się mury, zamki i niezliczone powielenia wyżej wymienionych. Maldor wie, że sekret się wydał, co oznacza, że teraz posłuży się siłą, by bronić swojej bramy do twojego świata. Jaskinia znajduje się w cieniu Felrook, gdzie cesarz ma dostęp do w zasadzie nieograniczonych sposobów, żeby jej strzec. Być może nadejdzie dzień, kiedy będzie można się tam udać, ale to będzie wymagało precyzyjnego rekonesansu i przygotowań. W przeciwnym wypadku możemy pomaszerować prosto do niewoli.

Jason poczuł, że nadzieje w nim gasną. Ferrin miał rację. Jako najbardziej poszukiwani przestępcy w Lyrianie, nie mogli pośpiesznie wyruszyć do centrum władzy Maldora i spodziewać się, że wejdą do pilnie strzeżonego miejsca. Zerknął na Rachel i zorientował się, że ona doszła do tego samego wniosku.

– Nie traćcie ducha – powiedział Galloran. – Przysięgam, że kiedy nadejdzie właściwy czas, zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby odesłać was oboje do świata Poza. Prawdę mówiąc, największą trudnością było znalezienie drogi. Teraz jedyną przeszkodą będzie opracowanie sensownej strategii.

– Jeśli nasza rebelia zwycięży – powiedziała Chandra – zyskają łatwy dostęp.

– A może nawet wcześniej – dodał Galloran. – Na razie spróbujemy przetrwać, aż dotrzemy do Siedmiu Dolin. Zajmijmy się jednym kryzysem na raz. Chandra, chcę, żebyście ty i Rachel spędzały razem każdą godzinę wolną od snu. Naucz ją wszystkiego, co wiesz o edomickim. Pomóż jej w dalszym rozwoju, upewnij się, że rozumie niebezpieczeństwo związane z nieudaniem rozkazu.

– Zajmę się tym – powiedziała Chandra.

– Jasonie, chcę, żebyś zaczął uczyć się posługiwać mieczem. Otaczają cię doskonali nauczyciele.

– Chętnie – zgodził się Jason.

– Ja go będę uczył – obiecał Ferrin.

– Wobec tego do roboty – powiedział Galloran. – Niech pozostali rozbiją obozowisko.

Następnego ranka, niedługo po tym jak dziewięciu jeźdźców opuściło dolinę, znalazł ich Nedwin.

Ferrin wysforował się, żeby przeprowadzić zwiad, i wrócił z jadącym tuż za nim chudym rudzielcem.

– Nedwinie! – powitał go Galloran. – Myślałem, że mamy się spotkać przy Trzech Szczytach.

– Przyjechałem tu od południa, mając nadzieję, że was przechwycę – odrzekł Nedwin.

– Ogromna zasadzka czeka w pobliżu Trzech Szczytów. Obejmuje wszystkie cztery południowe doliny.

– Dotarłeś do Białego Jeziora? – spytał Galloran.

– Tak. Jezioro było wyzwaniem, ale udało mi się je przebyć.

– Malar?

– Odkryłem jego martwą głowę w sadzawce zimnej wody. Utopiono go. Był bezbronny. Nie sądzę, żeby zmarł więcej niż dzień albo dwa przed moim przybyciem.

Twarz Gallorana stężała w bólu.

– Powiedz mi więcej o zasadzce. Widziano cię?

– Uniknąłem odkrycia. Ogromne zastępy okopały się i sprytnie ukryły, jakby były pewne naszego rychłego przybycia. Łucznicy, haratacze, konnica, co tylko zechcecie.

– Przybylibyśmy tam dziś późnym popołudniem – odparł tępo Galloran.

Podnosząc palec do ust, Ferrin podjechał konno do Gallorana.

– Czatownik musiał podsłuchiwać. Zrobimy pętlę od zachodu. Może trzeba będzie przemyśleć od początku całą naszą strategię. Kto wie, jakie jeszcze plany mogą nam pokrzyżować? – Uścisnął ramię Gallorana.

– Dobrze więc – orzekł zdecydowanie Galloran. – Potrzebuję chwili na przemyślenie strategii. Być może pojedziemy do Portu Pamblin i spróbujemy zabiegać o poparcie w Meridonie. Może pošlemy też posłańców w inne miejsca. Dajcie mi czas, żebym o tym pomyślał.

Ferrin zsiadł z konia, nadal z palcem na ustach i pociągnął Gallorana za rękaw. Ślepy Król zsiadł i poszedł za rozsadnikiem. Dorsio ruszył za nimi bez słowa. Weszli między drzewa poza zasięg słuchu i postali tam kilka minut.

Kiedy wrócili, Ferrin gestem wskazał, żeby dołączył do niego Jason. Rozsadnik nadal trzymał palec na ustach. Jason nie odezwał się słowem.

Kiedy oddzielili się od grupy, Ferrin przeczesał dokładnie jego włosy palcami, a potem drobiazgowo zbadał mu twarz. Odciągnął mu mocno powieki, co było dość nieprzyjemne, zerknął do ust. Na migi wskazał, żeby Jason zdjął koszulę, po czym uważnie ostrożnie zbadał jego ciało jak lekarz w czasie wizyty.

– Nie stanowisz problemu – orzekł w końcu Ferrin.

– Możemy już rozmawiać? – zapytał Jason, wkładając z powrotem koszulę.

– Zbadałem także Gallorana i Dorsia – odparł Ferrin. – Żaden z nich nie miał żadnych przeszczepów.

– Przeszczepów?

– To znaczy, że żaden rozsadnik nie przyczepił im nieproszonej części ciała. Nie wymienił oka, nie

dodał ucha. Każdy więzień Maldora może skończyć z utajonym przeszczepem, takie jest ryzyko. Jeśli za twoje oko dano by ci oko rozsadnika, kiedy byłeś nieprzytomny, oko funkcjonowałoby jak twoje własne i tak byś je odbierał. Tyle że rozsadnik też by przez nie widział.

– To nie musiał być przeszczep – powiedział Jason. – Mogłeś mieć rację co do czatownika.

– Galloran potrafi wyczuć czatowników – odpowiedział Ferrin. – Gdy już sprawdziłem, czy nie ma przeszczepów, potwierdził, że żaden się do nas nie zbliżył. Poza tym, czatownicy nie słyną z dzielenia się szczegółowymi informacjami. Albo ktoś z nas ma przeszczep, albo jest wśród nas zdrajca.

– Nedwina więziono w Felrook.

– Galloran powiedział mi, że Nedwin ma przeszczep, oko na dłoni, pod rękawiczką. Podobno nie zdejmował rękawiczki, odkąd pierwszy raz cię spotkał. Jednak zawsze może mieć coś jeszcze.

Zatem to oko ukrywał pod rękawiczką Nedwin! Przeszczepione oko.

– Tark? – spytał Jason.

– Wątpię. Więżono go tylko w Harthenham. Nikt nie spodziewał się, że odejdzie, więc przeszczep w jego wypadku byłby marnotrawstwem. Mimo to, sprawdzę wszystkich dla pewności.

– Jestem czysty?

– Tak – odpowiedział Ferrin. – Potem sprawdzę Nedwina. Na razie nic na ten temat nie mów.

– Dobrze.

Jason wrócił do grupy, a Ferrin odprowadził Nedwina. Potem wrócił sam i porozmawiał po cichu z Galloranem. Ferrin zabrał jednego po drugim pozostałych i wszyscy kolejno wracali. Pod koniec Ferrin obejrzał pobieżnie Rachel, nie odprowadzając jej na bok. Nedwin nadal nie wracał.

– Nedwin ma przeszczepione ucho – oznajmił w końcu Ferrin. – Jest niemal idealnie dobrane pod względem kształtu, wielkości i odcienia skóry. Rewelacyjna robota. Nie wykryłoby go nic poza dokładnym badaniem przeprowadzonym przez fachowca.

– To wiele wyjaśnia – powiedział Galloran. – To przez przeszczepione ucho Maldor dowiedział się, jaką informację przekazał nam od Jasona Tark. I to dlatego cesarz ruszył przeciwko Jugardowi i Malarowi wkrótce po tym, jak Nedwin po nich wyruszył. Nie wspominając już o tym, dlaczego nasi wrogowie włożyli tyle wysiłków w zasadzkę.

– Która by się udała, gdyby Nedwin jej nie odkrył – dodał Ferrin.

– Możesz zdjąć to ucho? – spytał Tark.

– Mogę. To nie powinno być zbyt trudne. Jak to zwykle bywa z uszami, przeszczep jest płytki. Głębsze struktury ucha nadal należą do Nedwina.

– W takim razie, jak rozsadnik może przez nie słyszeć? – spytał Jason.

– Zewnętrzna część ucha zbiera vibracje dźwięków – wyjaśnił Ferrin. – Dzieląc się wspólną zewnętrzną częścią, wewnętrzne ucho rozsadnika otrzymuje te same vibracje, które docierają do wewnętrznego ucha Nedwina. Kiedy je usuniemy, Nedwin powinien zachować znaczną część słuchu po tej stronie.

Rachel się skrzywiła.

Jason potarł ucho, starając się nie zastanawiać, jakie to byłoby uczucie, gdy mu je obcięto.

– Jednak poczekamy z usunięciem ucha – powiedział Galloran.

– Będziemy trzymać Nedwina z dala od wszelkich poważnych rozmów – powiedział Ferrin. – I zrobimy co w naszej mocy, żeby odegrać naradę i tworzenie nowych planów pełnych fałszywych informacji.

– Wy dwaj już zaczęliście – zauważyła Rachel.

– Słusznie – powiedział Ferrin. – Na szczęście, Galloran od razu się zorientował i poszedł za moim przykładem.

– Zatem objedziemy Trzy Szczyty od wschodu – powiedział. Aram.

– I nawet nie zbliżymy się do Portu Hamblin – potwierdził Ferrin. – Nadal będziemy przemieszczali się, zachowując ostrożność, na wypadek gdyby rozsadnik zorientował się, że już wiemy.

– Oddałeś nam wielką przysługę, Ferrinie – powiedział Galloran. – Gdyby ucho pozostało niewykryte mogłoby doprowadzić do naszej zguby. Dziękuję.

– Po prostu wykonuję swoją robotę – odpowiedział Ferrin. – Już wyjaśniłem sytuację Nedwinowi, szepcząc mu do prawdziwego ucha. Do tej pory pracował jako zwiadowca i po prostu nadal będzie to robił. To go utrzyma z dala od naszych rozmów delikatniejszej natury.

– Jedziemy w kierunku Ziem Zatopionych zgodnie z wcześniejszym planem – powiedział Galloran. – Jednak zamaskujemy nasze ruchy uporczywym potokiem mylących informacji. Powinniśmy ruszać w drogę. Zważywszy, jakie siły na nas czekają, jak na mój gust jesteśmy za blisko Trzech Szczytów.

Kilka dni później Jason stanął przed Ferrinem, trzymając miecz w spoczonej dłoni. Stali twarzą w twarz na polanie otoczonej przez wysokie drzewa. Kiedy on trenował z Ferrinem, a Rachel ćwiczyła z Chandrą, pozostali rozbijali obóz.

– Naprawdę chcesz, żebym zaatakował? – spytał Jason.

Jak dotąd, w czasie treningów Jason uczył się pracy nóg do obrony przed ciosami stępionego miecza do ćwiczeń, który Aran pożyczył Ferrinowi. Atrapy mieczy wykonano z metalu, więc bolało, kiedy Ferrin go dźgał albo uderzał.

– Czekalesz na to – powiedział Ferrin, wymachując mieczem do ćwiczeń. – Zaatakuj mnie i włóż w to wszystkie umiejętności, nie myśl o obronie. Nie posiniaczę cię. Traf mnie, jeśli zdołasz. W przeciwieństwie do poprzednich treningów, dziś Jason trzymał prawdziwy miecz. Ferrin upierał się, że jako rozsadnik może uniknąć poważnych ran od ostrej broni.

Jason przyjął postawę, której Ferrin go nauczył – na lekko giętych kolanach – gotowy ruszyć w dowolnym kierunku.

– Po prostu mam cię zaatakować?

– Z całej siły. Cały czas prosiłeś, żebym pozwolił ci zaatakować. Teraz masz okazję.

– Obetnij mi łeb, Jasonie! – krzyknął Aram.

Jason ostrożnie przesunął się do przodu.

– Ja jestem w obronie – przypomniał mu Ferrin. – To ty musisz zmusić mnie do walki.

Jason nerwowo zagryzł policzek. Wolałby, żeby Aram mu się nie przyglądał. Zaczął niepewnie, trochę obawiając się zranić nauczyciela.

– To żenujące – judził go Ferrin, odbijając jego miecz na bok. Jason włożył więcej siły w kolejne zamachy i jego miecz zaczął zderzać się z ostrzem Ferrina; szczęk broni poniósł się po polanie.

– Zaatakuj mnie, a nie mój miecz – powiedział Ferrin.

To się okazało trudne, ponieważ Jasonowi zawsze w drogę wchodził miecz rozsadnika.

– Nie przejmuj się kontratakiem – zachęcał go Ferrin. – Wykorzystaj okazję. Walcz z zapamiętaniem. Nie uderzę cię.

Jason napierał, tnąc jak szalony. Rozsadnik nie ustępował, odbijając ciosy kierowane w jego szyję, pierś, nogi. Jason wypadł z rytmu ciosów i nagle rzucił się do przodu, dźgając Ferrina w serce. Rozsadnik zwyczajnie sparował cios.

– Lepiej – pochwalił go. – A teraz pokaż mi trochę prawdziwego wigoru.

Jason zaszarżował, a jego ostrze przecięło powietrze z sykiem. Zamiast przyjąć cios na ostrze, rozsadnik po prostu zrobił unik. Jason nadal napierał. Opierając się na sprytniej pracy nóg i zmyłkach, Ferrin unikał każdego zamachu, nawet nie korzystając z miecza. Jason zaczął się męczyć.

– Doceniasz już piękno pracy nóg w obronie? – spytał Ferrin.

Jason pokiwał głową, odgarniając z oczu mokre od potu kosmyki.

– Masz dość? – spytał Ferrin. – To może być jedyny raz, kiedy pozwolę ci zaatakować mnie brawurowo.

Zapominając o wszelkiej ostrożności, ignorując właściwą pracę nóg, Jason rzucił się na rozsadnika, zbliżając się tak bardzo przed wzięciem zamachu, że nie wyobrażał sobie, by rozsadnik zdołał zrobić unik. Jednakże Ferrin uchylił się i błyskawicznie obrócił. Jason nadal go atakował; warknął, chwytając miecz jaki kij baseballowy i biorąc lekkomyślny zamach.

Wreszcie zmuszony, żeby znowu posłużyć się bronią, Ferrin odparł potężne razy.

– Masz siłę – przyznał. – Zadawaj takie ciosy, a nieprzygotowany przeciwnik może upuścić broń.

Jason nadal napierał. Omijając nadgorliwy zamach, rozsadnik poklepał Jasona po ramieniu.

– Oczywiście, zbyt mocne zamachy mogą pozostawić cię bezbronnym.

Po ostatnim energicznym ataku Jason odsunął się, dysząc.

– Mam dość.

– Wykazałeś się nieustępliwością – powiedział Ferrin.

– Nie dało się cię nawet dotknąć.

– Całkowicie skupiłem się na obronie. Mógłbym odpierać twoje ataki przez całą noc. Albo zabić cię wiele razy. Najlepsze okazje zdarzają się często, kiedy przeciwnik jest zbyt ofensywny. Chodź,

poćwiczymy pracę nóg.

Jason czuł się głupio, tańcząc samemu z mieczem, powtarzając wszystkie układy, których nauczył go Ferrin. Pewną ulgę przynosiła mu świadomość, że w Lyrianie nie było kamer wideo ani łączności internetowej.

Dobrze się bawił, atakując Ferrina. Żałował, że nie mógł go zaskoczyć i przebić się przez jego obronę, ale pocieszył się tym, że fakt, iż nie zdołał tego dokonać, oznacza, że uczy się od najlepszego. Rozsądek był naprawdę doskonałym nauczycielem: cierpliwym, bezpośrednim, konkretnym i wiele wiedzającym. Drake i Aram też sporo wnieśli, ale Ferrin okazał się najdokładniejszym, najbardziej metodycznym instruktorem i nadzorował większość nauki.

Pracując w samotności nad walką mieczem, Jason zerknął na Rachel i Chandrę, które posługiwały się edomickim, żeby odłamywać martwe gałęzie drzew. Wieczorem, przed zaśnięciem, Jason dalej próbował na osobności zapalić suche gałązki albo liście za pomocą frazy, której nauczyła go Rachel, ale nigdy niczego nawet nie zagrzał. Przez chwilę martwił się, że może Słowo zawiodło przy spotkaniu z Maldorem, ponieważ jemu brakowało zdolności, ale wtedy przypomniał sobie, że wszystkie sylaby zniknęły z jego pamięci, kiedy wypowiedział je razem, więc musiał zrobić to dostatecznie dobrze.

Spocony i zmęczony w końcu przerwał trening i dołączył do pozostałych wokół małego ogniska. Drake, Ferrin i Nedwin okazali się tak zręczni w prowadzeniu drużyny z dala od wrogów, że Jason często zapominał, że uciekają.

Aram siedział i skrupulatnie ostrzył miecz. Dorsio wyciągnął się obok Gallorana i we dwóch jedli suszone mięso i chleb. Ferrin podgrzewał nad ogniem szpikulec z nabitymi na niego warzywami. Tark strugał kawałek drewna, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na kocu. Drake opierał się o drzewo z półprzymkniętymi oczami, a jego tęczyówki przesuwwały się upiornie w tę i z powrotem. Z doświadczenia Jason wiedział, że ten podobny do transu stan to najbliższy odpowiednik snu u nasienników. Nedwin pojechał na zwiad. Rachel i Chandra nie skończyły jeszcze ćwiczyć.

Jason pogrzebał w torbie z jedzeniem i klapnął obok Tarka, przeżuwając słone mięso. Tark pokazał mu okaleczony kawałek drewna.

– To miała być kaczka. Będę musiał zadowolić się kostką.

– Albo kaczką bez głowy – podsunął Jason. – I bez nóg i skrzydeł.

Tark upuścił z niesmakiem drewienko.

– Żałuję, że nie mam swojego sousalaksu.

– Tylko ty jeden. – Ferrin zarechotał.

– Popieram Tarka – odezwał się Aram, przesuwając kamieniem po ostrzu. – Mógłby mi udzielić kolejnych lekcji.

– Lekcji? – jęknął Ferrin, zakrywając uszy.

– Byłem coraz lepszy – zaprotestował Aram. – Sam mu powiedz, Tark.

Muzyk ostrożnie dobierał słowa.

- Byłeś... jednym z nielicznych, jakich poznałem, którzy potrafili wydobyć dźwięk z instrumentu.
- Nie byłem dobry?
- Trzeba ćwiczyć, żeby być dobrym.
- Byłem głośny.
- To prawda. Cofam swoje życzenie.

– Niewielu ludzi potrafi grać na sousalaksie – powiedział Ferin. – Jak zacząłeś?

Tark wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– W młodości pracowałem w Ithilum jako nurek. Ta praca wzmocniła mi płuca.

Wydał pierś i popukał się w żebra.

– Jestem przekonany, że wrogowie z radością wyposażyliby któregoś z nas w instrument – powiedział

Galloran. – Do tej pory zbyt trudno było nas odnaleźć.

W parny ranek pod pochmurnym niebem dziesięciu jeźdźców dotarło na grząskie tereny. Zbliżyli się do Ziem Zatopionych z innego kierunku niż wcześniej Jason z Jasherem i Rachel, ale gęste mokradła wyglądały równie pośępnie.

Drake zarządził postój. Nedwin odszedł na odległość słuchu, podczas gdy Drake wyjaśniał, że konie nie będą mogły dalej im towarzyszyć.

– Zostawmy wszelki zbędny sprzęt – zasugerował Galloran. – Nie będziemy wracać tędy. Nasza droga poprowadzi nas za Ziemie Zatopione do Siedmiu Dolin.

– Może mogłabym porozmawiać z końmi – zaproponowała Rachel. – Spróbować odesłać je na drugą stronę.

Galloran zsiadł z wierzchowca.

– Wchodzimy na Ziemie Zatopione od południowego zachodu i zamierzamy wyjść na północnym zachodzie. Niestety konie nie mogą przejść zachodnią stroną. Napotkałyby góry równie nieprzebyte jak bagna. Chyba mogłyby przejść od wschodu, ale to oznaczałoby długą podróż przez niebezpieczny kraj.

– A gdyby dwoje z nas przeprowadziło tamtędy konie? – zaproponowała Chandra. – Możemy się ucieszyć, mając je po drugiej stronie.

Galloran pokręcił głową.

– Nie zaryzykuję utraty żadnego z nas. Nawet konno ta podróż najpewniej za długo by trwała. Koniec musiałby objechać trzy czwarte mokradeł w czasie, w jakim my przetniemy tylko jego część. Poza tym, Maldor ma twierdze na wschód od moczarów.

– Zachodnia Brama do Siedmiu Dolin nie leży zbyt daleko na północ od bagna – powiedział Drake. – Pieszo droga zajmie nam jedynie dwa dni.

– Skoro nie wysyłamy z nimi nikogo – zaproponowała Rachel – równie dobrze mogę spróbować przekonać konie, żeby obeszły bagna i spotkały się z nami.

– A jeśli będzie je śledził wróg? – spytała Chandra.

– Nikt nie będzie podejrzewał, że konie bez jeźdźców zmierzają do jakiegoś celu – odparł Ferrin. – Każdy, kto je znajdzie, spróbuje zatrzymać je dla siebie.

– Dobrze więc – powiedział Galloran. – Spróbuj, Rachel.

– Włóż dodatkowy wysiłek w przekonanie Mandibara – powiedział Drake. – Naprawdę nie chciałbym go utracić.

Jason podszedł do Rachel, kiedy pozostali przepakowywali rzeczy.

– Dasz radę? – spytał cicho. – Powiedzieć im, żeby przyszły?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Wiem, jak poprosić konie, żeby się ze mną spotkały. Byłabym pewniejsza siebie, gdybym lepiej potrafiła wyobrazić sobie docelowe miejsce, ale nigdy tam nie byłam. Zamierzam wyobrazić sobie, jak przejeżdżamy przez bagna łodzią, a konie biegną na wschód, a potem znajdują nas po północnozachodniej stronie. Zobaczymy, co się stanie.

Jason patrzył, jak Rachel przechodzi od konia do konia, głaszcząc je i mówiąc do każdego z osobna. Kiedy cały potrzebny sprzęt wypakowano, przekazała ogólną sugestię do wszystkich koni razem. Jason wyczuwał, że mówi im, by biegły na wschód. Ruszyły grupą i pogalopowały we właściwym kierunku.

– A co z Nedwinem? – spytał Ferrin. – Wiele charakterystycznych odgłosów z bagna może zdradzić naszą lokalizację. Nadszedł czas, żeby stracił ucho?

– Myślę, że tak – powiedział Galloran. – Czy zdołasz się tym zająć?

– Wśród zebranych substancji Nedwiri ma balsam na oparzenia i zakażenia – powiedział Ferrin. – Twierdzi, że nie czuje bólu, więc posłużę się rozgrzanym nożem. A skoro już przy tym będziemy, wyłupimy też oko na jego dłoni. Udam, że dopiero co odkryłem ucho i może dzięki temu nadal będą wierzyć w bzdury, które ostatnio usłyszeli.

Galloran pokiwał bez słowa głową.

Jasona przeszedł dreszcz, kiedy widział, jak Ferrin odchodzi, wyciągając nóż. Cieszył się, że nie musi na to patrzeć.

Ferrin i Nedwin wrócili godzinę później. Bandaż wokół dłoni zastąpił rękawiczkę. Nedwin miał też obandażowany bok głowy. Uśmiechnął się, odsłaniając ohydne zęby. Jason zdał sobie sprawę, że zniszczono mu zęby, kiedy go więziono.

– Wstrzyknąłem neuropieśń do oka i ucha przed operacją – powiedział Nedwin. – To oznaczało, że czułem ból, kiedy Ferrin ciął i przypalał, ale to nic w porównaniu z tym, co czuł rozsadnik po drugiej stronie.

– Kiedy ucho już amputowano, potraktowałem je trucizną – powiedział Ferrin. – Rozsadnik zerwał połączenie. Trudno powiedzieć, czy zrobił to na czas.

Nedwin uśmiechnął się szeroko.

– Przynajmniej dwóch szpiegów miało dziś wyjątkowo zły dzień.

Rozdział 14

Grulliony

Rachel przysiadła na głazie na obrzeżach bagna i rozglądała się, wypatrując węży. W ciągu ostatnich dwóch dni zdecydowanie zbyt wiele ich zobaczyła, kiedy brnęła z towarzyszami przez bagna. Wielkie i małe, grube i chude, jasne i ciemne, pasiaste, gładkie i wzorzyste. Jadowity wąż dwa razy zaatakował but Dorsia, ale nie udało mu się przebić skóry zębami jadowymi. Niejadowity wąż ugryzł Nedwina w nadgarstek. Drake zabił co najmniej trzy jadowite węże, które zakradły się do obozowiska, kiedy wszyscy spali.

W tej chwili wąż mógłby jej dosięgnąć, gdyby wpęłzył po stromym, nagim kamieniu. Miała już na wszelki wypadek przygotowany długi kij.

Z jej obecnego punktu obserwacyjnego roztaczał się przynębiający widok na błotnisty brzeg, gdzie wciągające moczary ustępowały czarnej wodzie bagna. Mgielka oparów tłumiła światło niedawnego świtu. Wysokie drzewa wyrastały z wody, rozłożyste gałęzie przeplatały się, tworząc ogromne parasole. Długie wstęgi mokrych liści zwieszały się z pni i konarów. W oddali ociężały nagi ślimak, dłuższy od jej ręki, pełził z chlupotem przez wyspę mierzwy, wysunawszy groteskowo oczy na szypułkach.

Gdyby Rachel pozwolono wybrać jedno miejsce w Lyrianie, którego nie musiałaby drugi raz odwiedzać, wskazałaby Ziemie Zatopione. Tylko jadowite, chore i obrzydliwe niebezpieczeństwa czały się w mroku przed nimi, w tym drapieżny śluz, ogromne insekty, cicho skradające się węże i wielkie jak słońce żaby.

Dwie łodzie czekały na brzegu. Smukła łódka wyglądała na dostatecznie dużą, żeby zmieścić sześć osób. Szeroki kajak nie pomieściłby więcej niż trzy osoby. Nie mogliby posuwać się dalej bez łodzi, ale na szczęście lud Amar Kabał rutynowo ukrywał łodzie wzdłuż brzegu bagien. Drake znalazł jedną, Nedwin drugą. Wspomagani przez Ferrina i Dorsia szukali teraz trzeciej.

Rachel żałowała, że nie mogła zostać z końmi. Żołnierze by jej nie złapali. W sytuacji zagrożenia przesiadłaby się na Mandibara. Ze swoją umiejętnością wydawania poleceń po edomicku była przekonana, że przeprowadziłaby je bezpiecznie wokół bagien. Po wielu tygodniach konnej jazdy przywiązała się do swojej kłaczy i nie mogła ścierpieć myśli, że więcej jej nie zobaczy.

Jason przywlekl się do jej głazu – ciężkie buty były niewygodne podczas chodzenia w błocie – z jedną ręką na rękojeści miecza. Zauważyła, że cały czas ćwiczył i sprawiał wrażenie coraz dumniejszego ze swojej broni. Spojrzał na nią w górę.

– Może i jesteś tam bezpieczna przed węzami, ale jak spadniesz, złamiesz sobie kark.

Głaz był stromy ze wszystkich stron. Wspięcie się na niego I wymagało pewnego wysiłku.

– Próbowałam uciec od smrodu.

Po wyssaniu żelu z pączków orchidei zapach jej ciała przybrał na sile, przemieniając ją w chodzący środek odstraszały owady. To jednak było nic w porównaniu z tym, jak straszliwie cuchnęli pozostali.

– To nie najgorszy powód – zgodził się Jason. – Nedwin płynie w naszym kierunku z następnym kajakiem. Niedługo ruszamy.

Rachel obejrzała się i zobaczyła, że Galloran i pozostali zebrali się koło łodzi. Nedwin i Dorsio płynęli w kajaku, zostawiając za sobą ślad w kształcie „V” na ciemnej wodzie.

– Myślisz, że Corinne nic nie jest? – spytała Rachel.

Jason zerknął w stronę Gallorana.

– Nie wiem. Dwóch strażników sylab już nie żyje. Żle to wygląda. Widzę, że Galloran się martwi.

– Grzyby powinny zapewnić jej pewną osłonę. Musi być trudno kogoś zabić, kiedy się nie pamięta, po co się zjawiało.

– Miejmy nadzieję.

Rachel odwróciła się i ostrożnie zeszła po najmniej stromej stronie głazu. Jason poczekał na nią, a potem razem podeszli do błotnistego brzegu.

– Jesteśmy – powiedział, kiedy Nedwin i Dorsio przybili do brzegu.

Wszyscy pozostali już się zebrali.

Galloran uniósł ręce.

– To niebezpieczna pora roku na wejście na bagna. Grzyby będą rozsypywać zarodniki, choroba będzie się szerzyć wszędzie, a owady mnożyć na potęgę. W ciągu kilku tygodni, kiedy owady rozplenią się najbardziej, bagno stanie się zupełnie niemożliwe do przejścia i pozostanie takie na ponad miesiąc.

– Zasłońcie nosy i usta szmatami, żeby filtrować powietrze – powiedział Drake, rozdając kawałki materiału. – Nigdy bez nich nie oddychajcie. O tej porze roku niesione wiatrem zarodniki szybko zainfekują niechronione płuca.

– Powinni byli o tym napisać w broszurce turystycznej – mruknął do Rachel Jason, kiedy zawiązywał materiał na ustach i nosie. – Kto by nie chciał smakowitego grzyba w płucach?

– Zabawa dla całej rodziny – odmruknęła Rachel.

Galloran wyznaczył Tarka i Chandrę do jednego kajaka, Ferrina i Drake’a do drugiego, pozostałych umieszczając w łodzi. Drake, Nedwin, Ferrin i Tark pomogli zepchnąć łodzie na wodę. Oba kajaki miały krótkie pagaje. W łodzi siedli przy wiosłach Dorsio i Nedwin. Aram trzymał rękę na rumplu. Jason i Rachel siedzieli na dziobie i wypatrywali szlamu.

Łódź ruszyła gwałtownie, wywołując fale na ciemnej wodzie. Niedługo Rachel zaczęła dostrzegać mętne pomarańczowe masy grzyba, które przywierały do pni jak gniazda os, przez co drzewa robiły wrażenie chorych. Cylindryczne stopy gąbczastych grzybów rozrastały się na rozkładających się wyspach mierzwy. Śliskie kałuże szlamu falowały na powierzchni wód albo przesączały się przez przeszkody. Jason i Rachel podawali kierunek, kiedy trzeba było pomóc łodzi ominąć mięsożerny szlam.

Z góry i z boku Rachel usłyszała zaskakujące sapnięcie. Po tym odgłosie rozległo się ostre syknięcie jakby powietrze uszło z nozdrzy wieloryba i pióropusz rdzawoczerwonego gazu wystrzelił z rozdętej kępy żółtawych grzybów wysokich jak drzewa.

– Unikajcie zarodników – ostrzegł Galloran, jakby widział unoszącą się nad nimi pyli–stą chmurę.

Nedwin i Dorsio natychmiast obrócili łódź i powiosłowali z dala od szybującej chmury. Kajaki także odpłynęły od opadających zarodników.

W miarę jak płynęli w głąb bagna, drzewa były coraz wyższe, unosząc jeszcze wyżej splątane korony. Sapnięcia i syki grzybów wypuszczających zarodniki stały się częste. Rachel dostrzegła węże sunące przez wodę.

Robiła co w jej mocy, żeby ignorować zatrząsienie pajaków, ślimaków, węży i latających owadów, kiedy rozglądała się za szlamem. Mimo tych wysiłków zauważyła smukłe ważki długie jak jej przedramię, skradające się węże o łbach wielkich jak piłka futbolowa, maziowate ślimaki tak duże, że mogłyby nosić siodła, i owłosione pajaki tak ogromne, że mogłyby polować na domowe koty.

Aram urósł o zachodzie słońca, jego członki wydłużyły się i pogrubiły. Ponieważ Rachel wiedziała, że to go krępuje, starała się nie gapić, ale trudno było nie zerkać na coś równie niezwykłego. Kiedy przestał rosnąć, łódź zdecydowanie bardziej się zanurzyła, bo zwiększyła się też jego waga. Wziął oba wiosła i łódź pomknęła do przodu szybciej niż dotąd. Kiedy kajaki zaczęły zostawać w tyle, nie mogąc utrzymać narzuconego tempa, Aram zwolnił.

– Rozglądajcie się za miejscem na nocleg – powiedział Galloran.

– A może by tak płynąć całą noc? – zaproponował Aram.

– Bagno śpi za dnia. Niebezpieczne stworzenia patrolują wody po zmierzchu. Zwiększymy szansę przetrwania, jeśli spędzimy noc w naszych łodziach wciągniętych na wyspę.

Kiedy zaczął zapadać zmierzch, wciągnęli łodzie na jedną z większych wysp, jakie widzieli w ciągu całego dnia, i ustawili je blisko siebie. W gasnącym świetle świecące ślimaki wielkości kciuka zaczęły być widoczne na drzewach.

Jason skomentował ich obecność.

– Ta część bagien świeci przez całą noc – potwierdził Nedwin. – Najpóźniej jutro wieczorem powinniśmy dotrzeć do tej partii mokradeł, którą kontrolują żaby. Niewiele tam będzie ślimaków.

Nedwin rozdał pączki orchidei. Rachel z zapalem spożyła znajdujący się w środku pozbawiony smaku żel. Straszliwy odór był o niebo lepszy niż ugryzienia i ukąszenia prehistorycznych owadów.

Zgiełk na bagnach podniósł się, kiedy Rachel zwinęła się na dnie łodzi; było jej niewygodnie, ale padała z nóg. Świerszcze cykały tak głośno, jakby wypełniały całą łódź. Z drzew dobiegały szczebioty i gwizdy, wybuchały serie terkotania. Od czasu do czasu w oddali rozlegały się długie, basowe jęki. Jednakże bez podobnego do szczekania rechotu ogromnych żab noc nie była nawet w połowie tak głośna jak w czasie poprzedniej podróży przez bagna.

Jak zawsze Drake pełnił wartę, ponieważ nigdy tak naprawdę nie zasypiał. Ślimaki stawały się coraz

jaśniejsze, w miarę jak na bagnach zapadały prawdziwe ciemności.

Kiedy światło przedświt zaczęło się sączyć przez korony drzew, Nedwin zaczął potrząsać towarzyszami, żeby ich obudzić. Zamierzali wyruszyć wcześniej, by wykorzystać siłę Arama przy wiosłach.

Rachel pomogła zepchnąć łódź na wodę. Poślizgnęła się i podparła jedną ręką, zanurzając ją głęboko w błocie. Wskoczyła na pokład łodzi, która zaczęła odpływać od wyspy i włożyła rękę do ciepławej wody, żeby spłukać chociaż część klejącego się błota. Kiedy ścierała czarne blocko z palców, odkryła, że pijawka przyssała jej się do grzbietu dłoni. Zaciśnęła zęby, powstrzymując się od wrzasku.

– Chyba złapałam pijawkę – powiedziała, starając się mówić spokojnym głosem, chociaż wzbierała w niej histeria.

– Przezroczystą? – spytał Galloran.

Rachel przyjrzała się błoniastemu stworzeniu.

– Aha, jest prawie przezroczysta.

Jason zerknął na pijawkę ponad jej ramieniem.

– Galaretowata pijawka – powiedział Galloran. – Jakiej wielkości?

– Nie większa od mojego małego palca u ręki.

– Nie próbuj jej odrywać – ostrzegł Galloran. – To spowoduje wstrzyknięcie wyjątkowo drażniącej trucizny.

– Co mam robić? – spytała Rachel, czując bolesne ssanie i patrząc, jak jej krew zaczyna napływać do przezroczystej pijawki: rozlewający się szkarłat wewnątrz gumowatego ciała.

– To ssie! – Zagryzła wargę, żeby nie krzyknąć.

– Odczepi się, kiedy się nasyci. Ciesz się, że jest taka mała.

Jason pomasował jej ramiona.

– Nic ci nie będzie – uspokajał ją.

Rachel patrzyła z niesmakiem, jak stworzenie czerwienieje i pęcznieje od wysranej krwi. Kiedy już myślała, że pijawka zaraz wybuchnie, spadła na dno łódki.

– Skończyła – powiedział Jason.

– Wyrzuć ją za burtę – powiedział Galloran. – Jak najdalej. Musimy trzymać się z dala od zapachu krwi.

Jason wziął pijawkę w dwa palce, wstał i cisnął ją tak daleko, że łódka zakołysała się od jego zamachu. Czerwona pijawka wylądowała na wysepce pokrytej niechlujnymi pajęczynami. Rachel pomasowała grzbiet dłoni, gdzie tworzył się fioletowy siniak.

Z Aramem przy wiosłach i kajakami nadążającymi za nimi, szybko się posuwali. Drzewa rosły teraz rzadziej, ich pnie były grubsze. Po jednej stronie łodzi ciągnął się otwarty obszar bez drzew.

– Widzę otwartą wodę – mruknął Aram.

– Trzymaj się od niej z dala – poradził Galloran. – Nie chcemy zadzierać z wielkimi stworami, które

zamieszkują głębokie – bagna.

– Co to za stworzenia? – spytał cicho Jason.

– Winari – wyjaśnił Galloran. – Jedne z najstarszych i największych organizmów na świecie. To one nawołują się tymi jękami, które słyszeliśmy w nocy. Wszyscy zginęlibyśmy, gdyby jeden nas złapał. Zwykle śpią w ciągu dnia, ale lepiej nie ryzykować.

Płynąc, mijali napuchnięte masy grzyba w ponurych odcieniach żółci i oranżu coraz liczniej porastające pnie drzew. Górzące kolumny grzybów wznosiły się z błotnistych wysp, wyciągając się ku liściastym koronom, kołysząc się, kiedy łodzie przepływały w pobliżu.

Przepływali przez zagajnik kolosalnych, rozłożystych drzew bez żadnych błotnistych wysepek w zasięgu wzroku, kiedy Galloran szepnął:

– Jest za cicho.

– Co? – spytał Aram.

Galloran uniósł ostrzegawczo rękę.

– Coś jest nie tak.

Rachel się rozejrzała. Zbliżał się świt i nieruchomy krajobraz sprawiał wrażenie niemal jasnego. Dienne hałasy bagna nie dorównywały nocnej kakofonii, ale miało się wrażenie, że zawsze coś porykiwało wśród drzew, brzęczały jakieś skrzydła, coś postukiwało, słabo świergotało albo pluskało w oddali. Teraz, kiedy wyjęli wiosła z wody, Rachel niczego nie słyszała.

Po jednej stronie wychwyciła cichy chłupot wody. Obracając się, zobaczyła przezroczystego węża wpławającego przez burłę łodzi.

– Wąż! – wrzasnęła.

– Pijawka! – poprawił ją Jason, wyciągając miecz.

Kiedy Rachel odsunęła się od niej, ostrze Jasona przerąbało błoniaste ciało. Część pijawki cofnęła się do wody, ale wijący się kawał długości dwóch stóp wylądował na dnie łodzi. Aram wsunął pod niego wiosło i wyrzucił galaretowaty segment za burłę.

Wyskakując z pluskiem z wody, kolejna wielka jak wąż galaretowata pijawka znieruchomiła w powietrzu, zanim rzuciła się na Jasona. Wymachując mieczem w obronie, Jason zobaczył, jak ostrze uderza pijawkę płazem, i przewrócił się do tyłu na Rachel, która go przytrzymała. Kiedy pijawka skierowała się w stronę Dorsia, noże zabłyśły w jego dłoniach, odcinając czubek pijawki i potem dwa kolejne segmenty. To, co zostało z pijawki, wycofało się, unosząc się jeszcze wyżej z wody. Dopiero wtedy Rachel zdała sobie sprawę, że pijawka była tak naprawdę macką.

– Grulliony! – krzyknął Nedwin.

Kolejna macka złapała za rufę. Łódź szarpnęła się i obróciła. Nagły ruch sprawił, że Rachel z powrotem usiadła, a Jason padł na kolana. Nedwin chlasnął mackę długim nożem, odcinając kawał długości kilku stóp. Reszta macki wycofała się za burłę. Nedwin nabił na nóż wijący się kawał i wrzucił go do wody.

Kiedy łódź obracała się powoli, Rachel wyciągnęła swój nóż. Miała wrażenie, że jest zdecydowanie za mały. Aram, stojąc pośrodku łodzi ze swoim ogromnym mieczem w ręku, pomógł Jasonowi się podnieść.

– Co za pech – powiedział Galloran, przykucając koło Arama.

Oglądając się na kajak z Ferrinem i Drakiem, Rachel zobaczyła, że rozsadnik i na-siennik stoją do siebie plecami i tną bez przerwy mieczami, odpierając atak wijących się m a-cek. Po drugiej stronie łodzi jeden z grullionów rzucił się na kajak z Tarkiem i Chandrą, burząc mętną wodę. Potężne cielsko miało, mniej więcej wielkość i kształt lwa morskiego, parę płetw, dwie pary macek i ogon w kształcie łyżki.

Kiedy kajak przechylił się niebezpiecznie, Tark zanurzył nóż o ząbkowanym ostrzu w cielsku stwora. Przykucając nisko, Chandra zręcznie dźgała miotające się macki sztyletem, a wolną ręką opierała się o środek kajaka. Jej usta poruszały się w śpiewnej recytacji i Rachel zdała sobie sprawę, że posługuje się edomickim, żeby zapobiec przewróceniu kajaka. Tark pociągnął nożem przez półprzezroczyste ciało, tworząc głęboką ranę. Macki opłotły się wokół szerokiego kajaka, ogon smagnął w górę i w dół, Chandra straciła równowagę i łódź się wywróciła.

Rachel krzyknęła. Chandra wypłynęła na chwilę i niemal natychmiast zniknęła pod wodą, jakby coś ją wciągnęło. Tark w ogóle nie wypłynął.

Macki zakotłowały się w wodzie po obu stronach łodzi. Rachel zamachnęła się nożem na oślepi, w nic nie trafiając. Coś uderzyło w łódź od dołu. Aram i Jason przewrócili się. Nedwin odciął kawał macki wiszącej w powietrzu. Dorsio przechwycił mackę sięgającą po Gallorana, rozcinając ją wzdłuż jednym nożem i przecinając drugim w poprzek.

Kiedy Aram wstał, macka smagnęła, atakując go i owijając się wokół jego muskularnej ręki z mieczem. Ciężkie ostrze upadł na dno łodzi. Aram zaparł się nogami, walcząc z macką, która zaczęła ciągnąć. Jego mięśnie się napięły, a na skórze wystąpiły żyły. Łódka sunęła błyskawicznie po wodzie. Krew zaczęła odpływać z ręki Arama przez przezroczystą mackę, czerwona mgiełka wkrótce zgęstniała w potok szkarłatu. Aram ryknął, odrywając mackę wolną ręką.

– Przepraszam – wrzasnął Nedwin, a jego długi nóż rozdarł napętniającą się krwią mackę, uwalniając makabryczny płyn.

Oddzielona od grulliona zaciśnięta wokół ręki Arama część macki zesztyniała i zadygotała, a półolbrzymowi wyrwał się mimowolnie ryk. Padł, z bólu wygiął się w łuk, a wolną ręką szarpał szkarłatnego pasożyta.

Dwie macki przeleciały przez burtę obok Rachel i łódź przechyliła się niepokojąco. Dziewczyna spojrzała nagle prosto w twarz grulliona, która składała się z okrągłej paszczy spowitej trzepoczącymi wiciami. Prawie wpadając na przyjaciółkę, Jason opuścił miecz. Wziąwszy zamach znad głowy, przeciął łeb aż po otwartą paszczę. Kleisty sok trysnął im na twarze. Grullion szarpnął się do tyłu i zniknął, a łódź przestała się przechylać.

Rachel usłyszała, jak Galloran recytuje. Klęczał z pochyloną głową i wzywał żar do wody, za każdym razem określając nowy obszar. Zapożyczywszy jego słowa, Rachel też zaczęła przyzywać żar do wody. Wyobrażała sobie z grubsza metr sześcienny płynu i wkładała w ten wysiłek całą swoją wolę i rozpacz. Poczuła, jak żar odpowiada na jej wezwanie, więc zaczęła wzywać ciepło do kolejnej połaci wody.

Za jej plecami warknął Aram. Podnosząc miecz mimo krwiście czerwonej macki nadal uczepionej ramienia, półolbrzym podniósł się na kolana i zaczął ciąć wijący się las macek. Obracał się i ciął, a długie ostrze ścinało zatrzęsienie macek przy każdym zamachu. Nedwin i Jason przykucnęli pod nim. Za pomocą własnej broni pośpiesznie wyrzucali odcięte kawałki z łodzi.

Dorsio trzymał się blisko Gallorana, odpierając macki, które umknęły ostrzu Arama.

Ferrin i Drake już nie byli atakowani. Drake także wzywał żar do wody, a Ferrin wiosłował, zbliżając się kajakiem do łodzi.

Łódź zadygotała, kiedy grullion spróbował wspiąć się na nią, młóćąc poranionymi mackami różnej długości. Kątem oka Rachel dostrzegła, że Aram rozciął stwora brutalnym poziomym cięciem. Galloran kontynuował ochrypłym głosem edomicką recytację.

Gwałtownie łapiąc powietrze, z wody wynurzył się Tark i jedną ręką złapał się burty łodzi. Kiedy się podciągał, coś zatrzęsło łodzią od spodu i burta uderzyła Tarka w usta. Jason i Nedwin pomogli mu wgramolić się do środka. Nadal ścisnął nóż.

Nigdzie nie było śladu Chandry.

Ze łzami w oczach Rachel cały czas przywoływała do wody ciepło. Rozglądała się z nadzieją, że zobaczy przyjaciółkę.

Ostatnie macki się cofnęły. Wokół zapadła złowroga cisza. Galloran i Rachel nadal recytowali i woda wokół łodzi zaczęła się gotować, promieniując ciepłem i parując. Drake i Ferrin podpłynęli, żeby uratować przewrócony kajak.

Galloran przestał recytować i zaczął gwałtownie kaszleć. Pot zrosił mu czoło. Drake i Ferrin obrócili pusty kajak.

– Dość żaru? – spytała Rachel.

Galloran pokiwał głową, nadal zmagając się z uporczywym kaszlem.

– A co z Chandrą? – zapytała Rachel, rozglądając się po otaczającej ich wodzie.

– Już po niej – powiedział Tark. – Uratowała mnie.

– Po niej?

– Wciągnęły ją w głębinę – powiedział Tark. Z ust ciekła mu rozcieńczona czerwien. – Jeden złapał mnie za nogę, ale uwolnieni się nożem. Nie zdołał przyssać się do mojej skóry. Spodnie nie chroniły. Otoczyły nas. Dziesiątki. Chandra odpychała się edomickim. Nie mam pojęcia, jak mówiła pod wodą, ale tworzyła silne prądy i wykorzystała je i w ten sposób pomogła mi się wymknąć. Nawet kiedy owinęły się wokół niej i zaczęły ją topić, pchnęła wodę w górę, żeby mnie wyrzucić z głębin. Pod powierzchnią woda była gorąca. Te pijawkowe monstra unikają ciepła.

Rachel tępo pokiwała głową; żołądek jej się ściskał, kiedy słuchała relacji. Jak Chandra mogła zginąć? Tak po prostu? Bez ostrzeżenia, bez pożegnania. Rachel nie chciała się z tym pogodzić, uczucia walczyły w niej, podczas gdy gotująca się wokół woda powoli się uspokajała.

Z drżącymi rękami Aram złapał za wiosła.

– Musimy płynąć.

Po bitwie odnosili wrażenie, że całe bagno wstrzymało oddech. Jednakże nagle w ciszę wdarł się potężny głos i ryknął ogłuszająco jak syrena mgłowa. Wszyscy się wzdrygnęli i zasłonili uszy rękami.

Potężny strumień wody wyleciał spomiędzy drzew po jednej stronie, muskając łódź i sprawiając, że zawirowała. Bezpośrednie uderzenie z pewnością by ją przewróciło. Rozległ się drugi wybuch ryku, po którym kolejny wyrzucony pod ogromnym ciśnieniem strumień wzburzył pobliskie wody, jakby trysnął z gigantycznej strażackiej sikawki. W miejscu, z którego wystrzelił strumień, pomiędzy ogromnymi drzewami Rachel zobaczyła coś, co wyglądało jak wzgórze z brązowego pomarszczonego tłuszczu wielorybiego. Jego czubek, zapewne głowa, był przesłonięty liściastymi konarami i pnączami.

– Jest ogromny – mruknął Aram.

– Winaro – szepnął Nedwin.

– Drugi kajak jest gotowy – oznajmił Ferrin.

On i Drake holowali go równolegle do łodzi.

– Tark, Nedwin, wsiadajcie do niego – wychrypiał Galloran.

Kiedy ogłuszający ryk się powtórzył, Rachel zauważyła, że łódź wibruje. Tark i Nedwin przenieśli się do drugiego kajaka i chwycili pagaje, które Drake i Ferrin odzyskali. Z wodą tryskającą za ich plecami odpłynęli od olbrzymiego brązowego stworzenia.

Kiedy Aram energicznie wiosłował, obżarty krwią kawał macki wreszcie odpadł od jego umięśnionej ręki i uderzył o dno łodzi z wilgotnym plaśnięciem. Gruba spirala czarnych siniaków pokrywała skórę Arama od nadgarstka do ramienia. Za pomocą noża Dorsio podniósł makabryczną mackę i wyrzucił za burtę.

Drzewa przestały sprawiać wrażenie tak ogromnych i nie rosły już tak rzadko. Nieco naturalnego gwaru bagna odżyło pośród koron. Rachel zauważyła pajaka wielkości pięści, który wspinał się po pniu.

Aram jęknął, zadygotał i zaczął się pocić, gdy jego ciało kurczyło się i flaczało, wracając do miniaturowej wersji. Spiralny siniak na jego ręce zmałał. Wreszcie nadszedł świt, stłumiony przez listowie nad ich głowami.

Dorsio przejął jedno wiosło, Jason drugie. Rachel siadła przy sterze. Aram przepełził na dziób. Nadal dygotał, a twarz miał czerwoną i mokrą od potu.

– Znajdujemy się blisko jednego z głębokich miejsc – szepnął Galloran. – Mieszkający tu winaro nie był nam wdzięczny za podgrzanie wody. Grulliony zwykle trzymają się w pobliżu winari, żyjąc jak pasożyty. Sprawy przybrały fatalny obrót. Chandra była wierna i zdolna. Twarda kobieta. To ogromna strata.

– Nie mogę uwierzyć, że ona... – Rachel nie potrafiła skończyć myśli.

Płynęli dalej, a Chandry już z nimi nie było. Rachel musiała stawić czoło nieodwracalnej rzeczywistości, że przyjaciółka odeszła.

– Ziemie Zatopione to zabójcze miejsce – wychrypiał Galloran. – Zbyt wiele tu egzotycznych drapieżników. Mieliśmy szczęście. Wszyscy mogliśmy zginąć.

Rachel spojrzała na Gallorana, na jego zgarbione szerokie ramiona, na twarz pod złachmanioną opaską na oczach i materiałem zasłaniającym nos i usta. Ilu jego przyjaciół zginęło w ciągu lat? Ilu bliskich krewnych? Uczucie potwornej straty musiało mu stale towarzyszyć w życiu. Czy w ogóle jeszcze go zaskakiwało?

– Nigdy pan nie wspomniał, że mówi po edomicku.

– Mam kilka ukrytych talentów – odpowiedział. – Ty posiadałaś już więcej praktycznych umiejętności niż ja. Nigdy nie nauczyłem się przesuwania przedmiotów jak Chandra. Twoja pomoc w podgrzewaniu wody była nieoceniona. Ocaliłaś nam życie.

– Aram nie wygląda za dobrze – zauważył Jason.

– Nic mi nie jest. – Drżąc i pocąc się, skurczony półolbrzym zaciskał zęby i masował szeroki siniak na rękę.

– Dostał wielką dawkę trucizny – powiedział Galloran. – Kiedy macka została odcięta, wstrzyknęła mu jad. Drobniejszy człowiek straciłby przytomność. – Galloran podniósł głos. – Nedwinie, Aram potrzebuje kory quimbi i wszystkiego, co może zmniejszyć gorączkę i zneutralizować truciznę.

Nedwin i Tark podpłynęli kajakiem do łodzi. Nedwin wskoczył na pokład, pogrzebał w sakiewkach i przykucnął obok Arama.

– Niech Dorsio poda mu leki – powiedział. – Chcę się rozejrzeć. Obawiam się, że zeszliśmy z kursu.

– Dobrze – zgodził się Galloran.

Nedwin poinstruował Dorsia, zostawił mu składniki i wrócił do kajaka. Razem z Tarkiem podpłynęli do ogromnego pnia. Nedwin wyskoczył z kajaka i wspiał się po pniu jak małpa, w miarę możliwości unikając kęp grzyba lub zrywając je, kiedy stanowiły przeszkodę. Nie zwracał uwagi na tryskające obłoczki zarodników.

Rachel patrzyła z dołu zdumiona, jak zręcznie i pewnie znajdował oparcie dla rąk tam, gdzie wydawało się, że żadnych nie ma. Niedługo dotarł na wysokość, na której pierwsze długie konary odbijały od pnia i zniknął w liściastej koronie. Rachel słyszała słaby szelest liści.

Kiedy Dorsio zajmował się Aramem, inni patrzyli w górę. Przez jakiś czas panowała cisza, a potem nagle rozległ się trzask pękających gałęzi i pojawił się Nedwin. Spadł spomiędzy listowia i pnączy, a zwiewna płachta pajęczyny załopotąła za nim niczym peleryna. W locie zmienił pozycję i uderzył w wodę wyprostowany jak włócznia, kilka jardów od łodzi.

Tark podpłynął do niego. Z ciemnej wody wynurzyła się głowa i rudzielec wskoczył do kajaka, który cały się zachybotał. Nedwin zgubił materiał zasłaniający mu twarz. Potrząsnął dziarsko głową,

pozbywając się szumowin z mokrych włosów.

– Pająki – rzucił.

– Pająki? – powtórzył Tark.

– W górze na gałęziach. Wielkie. Całe hordy. Niezła pułapka. Zostałem otoczony. Musiałem skoczyć. Nedwin podniósł bukłak, nalał czystej wody do ust, opłukał je i splunął na bok.

– To bagno smakuje gorzej niż cuchnie.

– Niemożliwe – wymamrotał Jason.

– Widziałem drzewo – powiedział Nedwin. – Olbrzyma, w którym mieszka Corinne. Oddaliliśmy się za bardzo na północ. Musimy skręcić w tę stronę. – Wskazał na skos od ich obecnego kursu. – Zboczyliśmy w kierunku Zatopionego Miasta.

– Nasz kolejny cel – powiedział Galloran.

– Powinniśmy się rozdzielić – kontynuował Nedwin. – Pozwól mnie i Drake’owi popłynąć kajakiem po Corinne. Szybciej tam dotrzemy. Potem możemy się spotkać w Zatopionym Mieście. Będziesz potrzebował chwili, żeby załatwić tam swoje sprawy.

Galloran potarł opaskę na oczach, zaciskając usta.

– Pokaż Dorsiowi kierunek do Zatopionego Miasta.

Nedwin wskazał nieco na lewo od obecnego kursu łodzi.

– Tędy.

– Zdołasz nas tam doprowadzić? – spytał Galloran.

Dorsio pstryknął palcami.

– Jeśli to jest właściwy kierunek, mogę pomóc utrzymać nas na kursie – dodał Ferrin. Galloran uderzył pięścią o dłoń.

– Wolałbym osobiście pojechać po córkę, ale im szybciej do niej dotrzemy, tym lepiej. Nie powinniśmy spędzać na bagnach więcej czasu niż to konieczne. Każda minuta to nowe zagrożenia. Znajdź ją, Nedwinie. Pilnuj jej. Przywieź ją do mnie.

– Przywieziemy ją – obiecał Nedwin.

Tark przesiadł się do kajaka Ferrina, a Drake do Nedwina.

– Przywieźcie ze sobą mnóstwo tych okrągłych grzybów – poleciła Rachel. – Tych, które blokują wspomnienia. Pomogą nam odstraszyć zwierzęta z bagna.

– Tak zrobimy – odparł Drake. – Szczęśliwej drogi.

Rozdział 15

Zatopione Miasto

– Widzę wierzchołek wieży! – krzyknął z kajaka Ferrin. – Poprawka: dwóch wież.

– Wieże strażnicze nad główną bramą Darvis Kur – powiedział Galloran. – Podprowadź nas bliżej. Zatrzymamy się, żeby naradzić się w ich cieniu.

Wystające jakieś dwadzieścia stóp nad powierzchnię wody wysłużone wieże zbudowano z kamiennych bloków wielkości lodówki. Wieńczyły je trapezoidalne blanki. W kamieniu wyrzeźbiono twarze, tuż poniżej krenelaży, ale drobniejsze detale w większości uległy erozji. Mech, szlam, grzyby i pnącza dusiły kamień, cierpliwie łącząc starodawne fortyfikacje z resztą bagien.

Rachel z niepokojem przyjrzała się okolicy. Rosły tu tylko wielkie, rzadko rozrzucone drzewa, ponure olbrzymy ociekające ohydą roślinnością, jak w miejscu, gdzie zaatakowały grulliony. Wspomnienie grullionów pomogło jej zdać sobie sprawę, że na bagnie zrobiło się znowu zbyt cicho.

– Znów wszystko ucichło – powiedziała.

– Spostrzegawcza uwaga – pogratulował jej Galloran. – Wszędzie indziej na mokradłach byłbym zaniepokojony, ale tutaj to naturalne. Niewiele stworzeń mieszka w pobliżu Zatopionego Miasta.

– Na nasze szczęście – rzucił oschle Jason. – Dzięki temu jesteśmy wyjątkami.

– Co odstrasza zwierzęta? – spytała Rachel.

– Mieszka tu najbardziej niebezpieczny drapieżnik Ziem Zatopionych – wyjaśnił Galloran.

– A już się zastanawiałem, kiedy wreszcie zacznie się coś dziać – mruknął Jason. – Jak na razie to miejsce przypominało zoo dla małych zwierzątek.

Galloran zatarł ręce.

– Niechętnie wchodzę na ten teren. Miałem nadzieję, że nigdy więcej nie przekroczę granic Darvis Kur.

Łódka i kajak zatrzymały się koło jednej z wież. Galloran wstał, zdejmując materiał z twarzy, i podniósł ochrypły głos.

– Zatopione Miasto to jedno z najniebezpieczniejszych miejsc w Lyrianie. Czai się tu jedno zagrożenie, potężna istota o znacznej inteligencji. Kiedyś, dawno temu, to stworzenie pomogło mi i zamierzam ponownie zwrócić się z prośbą o pomoc.

– Jaka pomoc uzasadnia takie ryzyko? – spytał Ferrin.

– Tu zdobyłem zapas kul z orantium. Jak większość z was sobie przypomina, góra, z której kiedyś wydobywano orantium, zaginęła na wieki, tak samo jak wiedza o sposobie wydobywania i przechowywania wybuchowego minerału. Garść kul z orantium przetrwała jako ciekawostka w skarbcach

najpotężniejszych królestw. Maldor prawdopodobnie ma pewien zapas, ale z pewnością niezbyt wielki. Jako chłopiec wiedziałem, że w skarbcu mądrości w Trensicourt znajdowały się trzy.

– Większość uważa orantium za tak cenne, że nigdy nie zdetonuje kuli – powiedział Aram. Oczy miał zamknięte, a twarz błyszczącą od potu, ale najwyraźniej słuchał razem z pozostałymi. – Za kule, które roztrzaskaliśmy na moście, można by kupić niewielkie królestwo.

– Do walki z cesarzem posłużę się wszelką bronią, jaką dysponuję – powiedział Galloran. – Kule orantium stały się rzadkością całym Lyrianie z wyjątkiem Zatopionego Miasta. Kule z pewnością mogą nam pomóc w sposób bezpośredni: powstrzymując haratacze, przerywając szarżę kawalerii, zagrażając twierdzom. Jednakże zdobycie znaczącego zapasu orantium może przynieść nam nawet większy zysk polityczny. Samo posiadanie materiałów wybuchowych będzie stanowiło dodatkowy powód dla potencjalnych sprzymierzeńców, żeby potraktować nas poważnie.

– Jak znalazł pan to miejsce? – spytał Ferrin. – Handluję informacjami. Oczywiście słyszałem o Darvis Kur, Zatopionym Mieście. Wiem o grożących tu niebezpieczeństwach. Nigdy jednak nie słyszałem plotek o tym, żeby znajdowało się tu orantium ani potężna istota, o której pan wspomniał.

– Nabrałem podejrzeń, że znajduje się tu zapas orantium w czasie swoich poszukiwań – powiedział Galloran. – Materiały w skarbcu mądrości w Trensicourt podsunęły mi pewne wskazówki, a ja poszukałem dalszych informacji w Skarbnicy Wiedzy i w innych miejscach. Widmo cesarza już wisiało nad nami, stanowiąc poważne zagrożenie. Rozpaczliwie szukałem czegokolwiek, co dałoby nam przewagę.

– Znaczące pozostałości orantium? – spytał Ferrin.

– O wiele więcej niż zabrałem – odparł Galloran. – Dano mi setkę kul. Przetrwały tu kolejne setki, jeśli nie tysiące.

– To stworzenie dało je panu? – spytała Rachel.

– Kiedyś było człowiekiem – powiedział cicho Galloran. – Czarnoksiężnikiem. Ściągnął na siebie gniew swojego mistrza i został przeklęty. Uwięziono go tutaj, a jego ciało zmieniło się, zmutowało w coś na podobieństwo winaro.

– Chyba nie ma pan na myśli Orrucka – powiedział Ferrin.

Galloran skinął głową, a na jego ustach błąkało się widmo. uśmiechu.

– Nie miałem pojęcia. Wątpię, czy ktokolwiek wiedział, że Orruck przetrwał w Darvis Kur. To był sekret, który Zokar zabrała ze sobą do grobu. Orruck nie może już mówić, ale ja od dawna byłem w stanie odróżnić myśli tych, którzy mają dostatecznie rozwinięty umysł. Chciał mnie zabić, ale wyczułem jego umysł i zwróciłem się do niego. Od wieków nie mógł się z nikim porozumiewać. Kiedy się dowiedział, że Maldor zdobył władzę, wspomógł mnie zapasem orantium, żeby zranić byłego rywala.

– Niewiarygodne – mruknął Ferrin.

– Myśli pan, że znowu panu pomoże? – spytała Rachel.

– Możliwe – odparł Galloran. – Gdybym przyszedł do niego sam i niewidomy, mógłby mnie uznać za

porażkę, która roztrwoniła jego cenny dar. Jednakże mamy dwie rzeczy przemawiające na naszą korzyść. Po pierwsze, Rachel. Przedstawię cię jako ucznia, mającego potencjał pozwalający ci rywalizować z Maldorem. Twój naturalny talent powinien go zainteresować i mu zaimponować. Po drugiej, znamy sekret jego zniszczenia.

– Słowo – stwierdził Jason.

Galloran pochylił głowę.

– Może i nie znamy słowa wymyślnego do zniszczenia Maldora, ale Maldor powiedział Jasonowi, że posłużył się prawdziwym słowem kluczem, żeby skłonić ludzi do podjęcia fałszywej misji. Miał nadzieję, że prawdziwy klucz oprze się dokładnej analizie. Posłużył się słowem stworzonym do zniszczenia Orrucka. Kiedy tylko Jason powierzył nam ten sekret, zrozumiałem, że musimy sięgnąć po zapasy orantium.

– Maldor mógł skłamać – rzucił Ferrin.

– Nie sądzę, żeby Maldor czy ktokolwiek inny podejrzewał, Orruck przeżył. Po latach nasłuchiwania nie wychwyciłem nawet sugestii takiej plotki. Mimo wszystko nie możemy wyuczyć, że Maldor z jakichś niezgłębionych powodów skłamał a temat pochodzenia Słowa. Nie możemy też ignorować możliwości, że Orruck przeszedł tak dogłębną przemianę, że Słowo już się go nie ima.

– Możliwe, że w ogóle nie będzie pan musiał użyć Słowa – powiedział Aram. – Już sama groźba może wystarczyć. Blef poparty stosownym argumentem.

– Wypowiedzenie Słowa to ostateczność – zgodził się Galloran.

– Kto będzie panu towarzyszył? – spytał Ferrin.

– Rachel, pamiętasz Słowo? – zapytał Galloran.

– Tak.

Galloran zawiązał z powrotem materiał na twarzy.

– Po tym jak Nedwin wykorzystał substancję wzmacniającą pamięć, ja też je pamiętam. Podzieliłem się nim z Nedwinem, sylaba po sylabie, kiedy byłem pod wpływem jadu.

– Naprawdę musimy pokazywać Orruckowi zdolności Rachel? – spytał Jason. – Nie możemy po prostu wykorzystać Słowa jako źródła nacisku?

– Żaden czarnoksiężnik nie zignorowałby talentu takiego rodzaju – odpowiedział Galloran. – Nie dość, że jej wrodzony dar jest rzadki i cenny, to jeszcze odzwierciedla zdolności, które Orruck najbardziej podziwiał w sobie. Jej umiejętności w edomickim zwiększą zasadność naszej sprawy w jego oczach.

Mogą zapewnić nam to, czego potrzebujemy bez sprawdzania skuteczności Słowa.

– Pójdę – powiedziała Rachel.

– To mi się nie podoba – zaprotestował Jason. – Po prostu podaj mi sylaby. Ja pójdę uderzyć go Słowem.

– To może nie podziałać – sprzeciwiła się Rachel. – Wiem, że po prostu starasz się mnie chronić, ale

to nie ma sensu. Jeśli Słowo zawiedzie, umrzesz, a my stracimy kule. To orantium może wiele zmienić dla powstania. Najbezpieczniej będzie, jeśli pójdziemy ja i Galloran.

– Zabierzemy też Dorsia – dodał Galloran. – Pozostali powinni poczekać w łódce. Dorsio ma kilka kul. Jeśli nam się nie uda, zadbam, żeby dać wam sygnał, detonując nieco orantium. Jeśli usłyszycie wybuch, wynoście się stąd.

– Oczywiście nie wątpię w wynik spotkania. – powiedział Ferrin – ale czy mógłby pan rozważyć przekazanie kawałka mojej szyi komuś, kto nie musi za chwilę stawić czoła jednej z najbardziej niebezpiecznych istot tego świata?

– Słusznie – zgodził się Galloran. – Dorsio, przekaz fragment Jasonowi.

Kiedy kawałek ciała zmienił opiekuna, Ferrin i Tark wsiedli na pokład łódki, a Galloran, Dorsio i Rachel przesiedli się do kajaka. Rachel i Dorsio powiosłowali, wyprowadzając kajak za wieże. Galloran uniósł rękę na pożegnanie.

– Jeśli nie wrócimy przed nocą, to w ogóle nie wrócimy.

Rachel zerknęła przez ramię na Jasona. Martwił się. Rozumiała, jak musiał się czuć. Ryzykował wszystko, żeby wrócić i ją chronić, a teraz ona zmierzała ku niebezpieczeństwu, zostawiając go. Spróbowała skupić się na wiosłowaniu. Tylko kil pojedynczych drzew wyrastało z wody przed nimi. Widział mnóstwo liści lilii wodnych wielkości blatu stołu, a na wielu nich wyrastały grzyby w kształcie koszy. Po raz pierwszy, odkąd znalazła się na bagnach, gałęzie nie przeplatały się nieustannie nad jej głową. Chociaż światło sączyło się przez mgiełkę, i miło było znowu znaleźć się na słońcu.

– Skąd mamy wiedzieć, dokąd płynąć? – spytała.

– W tej części miasta woda jest głęboka – powiedział Gallo. – Przepłyniecie pusty obszar i będziecie wypatrywać okrągłej wieży, wierzchołka obelisku z rytami albo głowy ogromnego posągu.

– Co tu się stało? – spytała Rachel. – Po co budować miasto a bagnach?

– Te ziemie nie zawsze były zalane – odpowiedział Galloran. – Darvis Kur było kiedyś najstarszym stale zamieszkanym miastem w Lyrianie. I zapewne najwspanialszym. Wielu czarnoksiężników miało tu domy. Wielcy czarnoksiężnicy Darvis Kur należeli do zakonu zwanego Strażnikami Naprawionego Łańcucha. Ściągnęli na siebie gniew konkurencyjnego zakonu znanego jako Dwudziestu Magów, który zaatakował Darvis Kur. Bitwa źle się zakończyła dla Strażników. Szukali pomocy u czarnoksiężnika pustelnika, zwanego Pothan Powolny. Pothan rzadko odwiedzał Darvis Kur, wolał samotność na pustkowiu w okolicy. Opisywano go jako wielkiego, łysiego i w jakiś sposób okaleczonego człowieka, powolnego w mowie i dziwnego w zachowaniu. Jednakże, kiedy Strażnicy Naprawionego Łańcucha poprosili go, by pomógł miastu, odpowiedział na ich wezwanie. Eldrina i Zokara uważa się za największych mistrzów edomickiego, ale chyba żaden czarnoksiężnik w historii nie mógł rywalizować z Pothanem Powolnym pod względem czystej mocy. Samą mocą swojego edomickiego Pothan w pojedynkę zmiażdżył Dwudziestu Magów. Nikt nie przetrwał, żeby kontynuować tradycję zakonu. Wedle opowieści pochłonęła ich ziemia. Strażnicy przerazili się, kiedy odkryli, jaką mocą włada dziwny wędrowiec.

Po jego imponującym zwycięstwie zaprosili go, żeby stał się honorowym członkiem ich zakonu, a potem spróbowali go otruć.

– To okropne! – oburzyła się Rachel. – Po tym jak ich uratował!

– To głupie – odparł Galloran. – Udało im się go zatruć, ale nie zabić. Wściekły z powodu ich zdrady Pothan zatopił cały region, obniżając teren miazdzącą siłą swojego edomickiego i wznosząc wokół wzgórz i góry. Otaczające jeziora i rzeki spłynęły na te ziemie w niesłychanej powodzi. Ten monumentalny wysiłek kosztował Pothana życie, a zaowocował Ziemiami Zatopionymi. Dziesiątki tysięcy zginęły.

– Rety, ale historia.

– Co ciekawe, czarnoksiężnik Orruck był wtedy młodym członkiem Strażników Naprawionego Łańcucha, jednym z nielicznych, którzy przetrwali. Wiele wieków później Zokar zdecydował się zamienić dom z jego młodości w koszmarne więzienie.

Rachel i Dorsio omijali kamienną iglicę wystającą z wody. Łaty brudnego złota sugerowały, że kiedyś była połączana. Szlam na kamieniarce błyszczał bardziej od szlachetnego metalu.

– Czy Orruck nadal jest osobą?

– Z wyglądu w ogóle nie przypomina człowieka. Mutacja pozbawiła go głosu, a jego umysł jest coraz bardziej zaćmiony. Z każdym kolejnym rokiem staje się coraz mniej ludzki. Kiedy ostatnim razem go widziałem, zachował dostatecznie dużo przytomności umysłu, by prowadzić telepatyczną rozmowę... i żeby pragnąć zemsty na dawnym rywalu.

– Myśli pan, że nadal jest w wystarczającym stopniu człowiekiem, by się porozumiewać? – spytała Rachel.

– Istnieje w tej formie od wieków – odparł Galloran. – Nie minęło nawet dwadzieścia lat, odkąd go spotkałem. O ile nie stało się nic strasznego, Orruck powinien być w podobnym stanie jak przy naszym ostatnim spotkaniu.

Dorsio wskazał coś po skosie.

Obracając się we wskazanym kierunku, Rachel zobaczyła blanki starożytnych murów wystające z wody jak połamane zęby. Za tymi częściowo odsłoniętymi fortyfikacjami wznosiła się okrągła wieża zarośnięta porostami, z pustymi oknami i ambrazurami, ukazującymi niekiedy mroczne wnętrza.

Rachel opisała wieżę.

– Skręćcie w lewo – polecił Galloran. – Zbliżamy się do celu.

– Dlaczego Orruck żywi urazę do Maldora? – zastanawiała się Rachel. – To Zokar tak go ukarał.

– Uczniowie Zokara marzyli, żeby pewnego dnia go zastąpić – powiedział Galloran. – Tylko jeden mógł przetrwać i tego dokonać. Orruck i Maldor znieważali się i zdradzali przy każdej okazji na przestrzeni lat. Zokar już nie żyje, ale Orruck nie zapomniał o rywalizacji z Maldorem. Nienawiść zżera go, gdy patroluje Zatopione Miasto, niezdolny do zemsty na swoich dawnych wrogach, niezdolny do posłużenia się edomicką mocą, nad którą kiedyś panował. Dopóki wierzy, że może posłużyć się nami

przeciwko Maldorowi, mamy sporą szansę uzyskać jego pomoc.

Po drugiej stronie połąci wody wznosiła się nad powierzchnią bagna marmurowa głowa. Część jednego nozdrza odpadła, głębokie pęknięcia rozchodziły się po podbródku, jedno ucho spowijały pajęczyny, ale te uszkodzenia nie potrafiły przesłonić artystycznego piękna królewskiego oblicza. W pewnej odległości od ogromnej głowy powierzchnię wody przecinała kamienna pięść skierowana tak, jakby kiedyś dzierżyła broń.

– Znaleźliśmy ogromny posąg – powiedziała Rachel.

– W którą stronę patrzy?

– Mniej więcej w naszą.

– Płynicie w kierunku przeciwnym niż ten, w który patrzy posąg, a niedługo ujrzycie cel naszej podróży.

– Rośnie tam kilka drzew.

– Dobrze. Bagno jest płytsze w okolicy kaplicy.

Zostawiając za sobą mgliste promienie popołudniowego słońca, Rachel i Dorsio skierowali łódź ku cieniom wysokich drzew nabrzmiałych od grzybiczych narośli. Ciszę zakłócały jedynie wiosła uderzające o ciemną wodę. Nie było w tej ciszy spokoju, jak pomyślała Rachel, a jedynie napięcie.

Rzeźbione filary i kamienne sklepienia coraz liczniej wystawały z wody. Pomiedzy drzewami i stworzonymi ludzką ręką przeszkodami Rachel dostrzegła wyrafinowaną kamieniarkę ogromnej budowli. Kiedy kajak się do nich zbliżył, ujrzeli więcej szczegółów. Ukoronowane sześcioma spiralnymi iglicami mury budowli były ozdobione kruszącym się maswerkiem. Rozpadające się gzymsy kordonowe podkreślały rzędy wąskich ostrołukowych okien. Łypiące oczami gargulce przywarły do budowli jak ogromne kamienne gekony. Ogólne wrażenie przywodziło na myśli częściowo zatopioną katedrę.

Ziejąca w murze dziura wpuszczała do środka wodę. Przerwa była nieregularna, jakby wyrwana przez brutalną siłę.

– Jest gigantyczna – powiedziała Rachel. – Widzę wiele dziurę w ścianie.

– Skierujcie nas do środka – polecił Galloran. – Orruck już czeka.

– Skąd pan wie, że tam będzie? – spytała Rachel, przesuając dłonią po gęsiej skórcie na rękę.

– Jak większość drapieźników na Ziemiach Zatopionych, Orruck prowadzi nocny tryb życia – szepnął Galloran. – To jego leże. Przekopał rozległy system tuneli w podłożu skalnym pod kaplicą. W ciągu dnia właśnie tam go znajdziemy.

Rachel i Dorsio powiosłowali w stronę dziury w murze, krzywego łuku z pokruszonego kamienia, dostatecznie szerokiego, żeby kilka kajaków wpłynęło tam jednocześnie. Mając się na baczności, Rachel pomogła im wpłynąć przez nieregularną dziurę.

Wnętrze kaplicy składało się z pojedynczej, rozległej komnaty. Złagodzone przez mgiełkę światło wpadało ukosem przez zachodnie okna, powtarzając wydłużoną wersję kształtów okien na powierzchni brudnej wody. Rozpadające się galerie i balkony wystawały ze ścian, a były wystarczająco duże, żeby

pomieścić setki gapiów. Wyciągając szyję, Rachel zagapiła się na łukowe sklepienie. Przyglądała się zawiłym detalom popękanych, wyblakłych fresków i zastanawiała się, jak głęboka była tu woda. Wliczając przestrzeń pod wodą, rozległe pomieszczenie musiało kiedyś mieścić tysiące ludzi, przez co milcząca pustka tego miejsca budziła jeszcze większy niepokój.

W tonącym w mroku kącie pomieszczenia, na wyspie z bezwładnego stosu kamienia, uwagę Rachel przyciągnął jakiś ruch. Odwróciła się, żeby przyjrzeć się przypadkowej kupie gruzu, i niechcący uderzyła wiosłem o burzę.

– Coś zobaczyłaś? – zgađł Galloran.

– Ruch w tamtym kącie.

– Popłynęmy tam.

Podczas gdy Rachel i Dorsio wiosłowali, Galloran wstał i zachrypłym głosem krzyknął po edomicku. Kiedy Galloran zaczął mówić, na wyspie poruszył się zwalisty kształt. Chociaż Rachel nie rozpoznawała poszczególnych słów, wyczuwała, że Galloran pokornie się wita i wyraża pokojowe zamiary.

Kiedy się zbliżyli, zauważyła, że stworzenie, do którego zwracał się Galloran, przypomina trochę ogromnego morsa, tyle że bez kłów. Korpulentna bestia wyciągała się na długiej płycie, trzymając gruby ogon w wodzie. Miała ze dwadzieścia stóp długości, jeśli pominąć fakt, że znaczna część ogona kryła się w wodzie. Zważywszy na wielkość leża, Rachel spodziewała się, że Orruck będzie większy. Mimo wszystko trudno było uwierzyć, że ta rozdęta, mięsista istota była kiedyś człowiekiem. Poruszając się znowu, stwór wydał z siebie długi, wilgotny odgłos, skrzyżowanie kichnięcia z dźwiękiem tuzina kontrabasów.

– Powróciłem, Wielki Czarnoksiężniku – powiedział Galloran, przechodząc na angielski.

Rachel nie usłyszała odpowiedzi, ale Galloran skinął głową, jakby słuchał.

– Straciłem wzrok – powiedział. – Przyprowadziłem dwoje towarzyszy, mojego osobistego strażnika, Dorsia, i Pozaświatowca imieniem Rachel, najbardziej obiecującego adepta edomickiego, jakiego widziano w Lyrianie od wielu lat.

Stwór zszedł z bloku, wspierając masywne cielsko w całości na ogonie i podpłynął do kajaka.

– Orruck pragnie z tobą porozmawiać – powiedział Galloran do Rachel. – Jeśli jakieś stworzenie może otworzyć twój umysł dla telepatii, to właśnie on. Przekonaj się, czy nie wyczujesz jego słów.

Rachel zamknęła oczy, koncentrując się. Nic nie dotknęło jej świadomości.

– Czy to przypomina słyszenie? – spytała. – Czy raczej odczucia?

– Pomyśl o tym, jak zmuszasz materię, żeby słuchała edomickich rozkazów – zasugerował Galloran. – Spróbuj posłuchać w podobny sposób.

Wysiliła się i nagle słowa wypełniły jej umysł, równie wyraźnie, jakby je słyszała.

Większość tych, którzy wykazują prawdziwy talent w edomickim, potrafi komunikować się bezpośrednio umysł do umysłu.

Wiedziała, że te słowa pochodziły od Orrucka.

Dziewczyna uruchomiła swoje umiejętności zaledwie kilka tygodni temu – odpowiedział Galloran. Przeszła daleką drogę w krótkim czasie.

A teraz zrobiłam kolejny krok – dodała w myślach Rachel.

Bardzo dobrze – odpowiedział Orruck. Po raz pierwszy rozmawiasz w milczeniu?

Tak.

I niedawno zaczęłaś mówić po edomicku?

Ćwiczę dopiero od dwóch miesięcy.

Wyczuwam słuszność twoich słów – przekazał Orruck. Chętnie zahaczyłbym demonstrację twoich zdolności. Najpierw jednak, Galloranie, czy dotrzymałeś swojej części umowy?

Rachel otworzyła oczy. Zdeformowane cielsko unosiło się nad kajakiem, nadal podpierane przez ogon. Rachel doliczyła się co najmniej ośmiorga ciemnych oczu rozmieszczonych na całym ciele wraz z kilkoma szparami do oddychania. Nie mogła zidentyfikować ust.

Niestety, nie pozbyłem się jeszcze Maldora, chociaż byłem cierniem w jego łapie – odpowiedział Galloran. Orantium, które mi powierzyłeś, zostało użyte tylko i wyłącznie w celu uczynienia szkody jego interesom. Przypominasz sobie zapewne, że kiedy ostatnim razem się spotkaliśmy, moje nadzieje wiązały się ze Słowem kluczem, które miałem nadzieję odkryć. Minęły lata od tamtego czasu i z pomocą jeszcze jednego Pozaświatowca dowiedziałem się, że Słowo było oszustwem.

Stworzenie stanęło – dęba i ryknęło. Całe brązowe ciało otworzyło się, nie rozwierając ust w górę i w dół, tylko na boki, i odsłaniając olbrzymią paszczę z rzędami ostrych jak sztylety zębów. Rachel w końcu pojęła, że to, co omyłkowo brała za ciało, jest jedynie głową. To, co wzięła za ogon, było szyją. Niewyobrażalnie basowy ryk dobywał się z rozlicznych krtani wydających głosy różnych wysokości. Wydech niósł ze sobą wilgotny smród rozkładu, a dźwięk zawibrował w przepaścistej komnacie.

Dlaczego wróciłeś? – zapytał oskarżycielskim tonem Orruck.

Podstęp zawiódł. Pozostaje nam jedynie otwarta walka. Maldor rośnie w siłę każdego dnia. Przyszedłem błagać o pomoc w ostatniej próbie pokrzyżowania mu planów. Zamierzam zjednoczyć pozostałych wolnych ludzi Lyrianu i stanąć do ostatecznej walki z jego tyranią. Ten krok to nasza ostatnia szansa, by zapobiec niekwestionowanym rządcom, jakich Lyrian jeszcze nie widział. Nie widzę, jak może nam się udać bez orantium. Potężny Orrucku, czy ofiarujesz mi dostatecznie dużo orantium, bym mógł poprowadzić wojnę przeciwko naszemu wrogowi?

Orruck wzniosł otyły łeb ku sklepieniu, rozdziawiając na boki usta i wydał z siebie kolejny ryk, jeszcze straszniejszy od poprzedniego. Telepatyczne słowa uderzyły niemal z siłą namacalnego ciosu.

Dlaczego miałbym zaufać, że ci się powiedzie? Już pierwszy dar powinien wystarczyć! Nie zamierzam popierać przegranej sprawy!

Galloran uniósł rękę.

Moja uprzednia strategia była niedoskonała. Nowy plan jest rzetelny. Poza tym mamy po naszej stronie adepta edomickiego. Jej moce będą rosły.

O ile pozwolę jej żyć! – odparł ostro Orruck. Pokaż mi swoje zdolności, Rachel. Zamień moje mury z kamienia w stal. Przybierz nową formę. Wezwij błyskawicę.

Znam tylko kilka fraz – odparła przepraszającym tonem Rachel. Potrafię wezwać ciepło. Przesuwać przedmioty. Sugerować różne zachowania zwierzętom.

Bez wątpienia Maldor drży przed tobą ze strachu – zaszydził Orruck. Broń się. Otyły łeb z pluskiem zniknął pod wodą.

– Bądź gotowa pchnąć – mruknął Galloran.

Zanim zmarszczki na wodzie dotarły do wyspy z gruzu w kącie pomieszczenia, głowa wynurzyła się i chwyciła w zęby blok wielkości nagrobka. Odrzucając w tył głowę, Orruck cisnął kamieniem w kajak. Rachel krzyknęła po edomicku i siłą woli zmusiła kamień do zmiany trajektorii. Tor lotu nie zmienił się dramatycznie, ale dostatecznie, by pocisk nie trafił w kajak i wpadł do wody kilka jardów dalej.

Orruck cisnął kolejnym blokiem. I jeszcze jednym. Rachel – zepchnęła jeden w dół, sprawiając, że trochę wcześniej wpadł do wody, a drugi pchnęła tak, by przeleciał dalej. Czwarty blok, który Orruck chwycił, był wielkości materaca i nawet czarnoksiężnik potrzebował sporego wysiłku, by nim rzucić. Rachel odepchnęła blok na bok tak jak poprzednie. Ciężki kamień o włos minął kajak, a siedzących w nim zmoczyła fontanna rozbryzgu.

Imponujące jak na nowicjusza – przyznał Orruck.

Galloran poklepał ją po ręce.

Pragnę się rozwijać – posłała myśl Rachel.

Dobrze więc – odparł Orruck. Spróbuj prostej transmutacji.

Do jej umysłu dotarły edomickie słowa. Zrozumiała, że rozkazują kamieniowi zamienić się w szkło. Orruck złapał w zęby nie większy od tacy obiadowej kamienny odłamek.

Rachel skupiła się na kamieniu, zebrała wolę i zażądała, żeby kamień się przekształcił. Blok nabrał połysku i jego barwa stała się lekko przydymiona. Orruck zarzucił głowę w bok i cisnął o ścianę blokiem, który roztrzaskał się o nią w drobny mak.

Doskonale – zachwycił się Orruck. Ciekawi cię, dlaczego nie posługuję się edomickim, skoro mogę mówić nim w myślach i nadal znam właściwe słowa.

Rachel celowo nie przekazała tego pytania, ale przyszło jej na myśl.

Pomysłowa fizjologiczna modyfikacja wywołana przez Zokara – kontynuował. Moja wola nie jest w stanie skupić się w sposób potrzebny, by wypowiadać edomickie rozkazy. Jeśli spróbuję, doświadczam potwornego bólu wraz z rozlicznymi innymi rozpraszającymi uwagę doznaniem. Zdołałem poradzić sobie z tą przeszkodą na tyle, żeby zachować własną tożsamość, ale nawet najprostsze edomickie polecenia stały się niemożliwe do przeprowadzenia. Pokaż mi czar, którym wstrząśniesz Maldorem. Znowu przekazał jej edomickie polecenie.

– Nie – sprzeciwił się Galloran na głos i w myślach. – Błyskawica wymaga zbyt dużej finezji.

Ona ma moc.

– Ale nie dość kontroli – odparł Galloran. – Nie rób tego, Rachel. Orruck, jeśli zamierzasz nas zabić, zrób to sam. Jeśli nie dojdzie do powstania, które powstrzyma Maldora, przekonasz się, jak ciepło cię wspomina, kiedy już jego wola zdominuje cały kontynent.

Orruck zbliżył się do kajaka, a jego szyja przecięła wodę niczym płetwa rekina.

Czy to groźba? Telepatyczne słowa zabrzmiały niebezpiecznie słodko.

– Tak wyglądają fakty – odpowiedział Galloran. – Nasza trójka to mizerny posiłek dla kogoś tak ogromnego, ale możemy ci dobrze służyć, raniąc wspólnego wroga.

Pomożesz mi sięgnąć poza moje granice i uderzyć w tego, który mną wzgardził? – zadrwił Orruck. *Czy orantium leży bezużytecznie tu, w moim skarbcu? Zadbasz, żeby zastało należycie wykorzystane do detronizacji mojego głównego rywala? Czy staniesz się narzędziem mojej woli i wyrzesisz zemstę, która mi się należy? Słyszałem już wcześniej twoje argumenty, oszuście. Spodziewasz się, że znowu mnie nabierzesz?*

Chrapliwy głos Gallorana nadal brzmiał spokojnie.

– Niewiele zyskasz, zabijając nas, ale możesz bardzo skorzystać, jeśli wyślesz nas w świat. Nawet jeśli zawiedziemy, zadasz niespodziewany cios wrogowi.

Widzę, że to ty jesteś moim wrogiem – odpowiedział Orruck. *Widzę, że jeśli nie zastosuję się do twoich żądań, zamierzasz mnie przymusić. Uważasz, że Słowo klucz, które zdobyłeś, zostało stworzone, by mnie zniszczyć. Wyczuwam tę nadzieję za twoimi słowami, za twoimi myślami. U ciebie i u dziewczyny. Przyszedłeś mi grozić? Wyobrażasz sobie, że błahe edomickie słowo z dni, kiedy byłem płaszczącym się uczniakiem, może zaszkodzić potworowi, jakim się stałem?*

– Myślę, że twój mistrz znał swój fach – odpowiedział Galloran. – Nadal możemy zakończyć to pokojowo. Daj nam orantium. Zakładam, że nadal je masz? Posłużymy się nim przeciwko Maldorowi.

Proszę – dodała Rachel.

Głowa zanurzyła się, znikając im z oczu.

– Dokąd on poszedł? – szepnęła Rachel.

– Po kule – mruknął Galloran. – Negocjacje są trudne. Bądź w gotowości.

Rachel wycisnęła wodę z koszuli, szukając nerwowo zajęcia dla rąk. Czy Orruck naprawdę popłynął po kule? Czy też przygotowywał się do ataku?

Głowa powróciła i zawisała nad wyspą z gruzu. Ogromne usta otworzyły się, wysypując dziesiątki brzęczących kul z orantium na wyspę. Kilka sturlało się do wody, uderzając z brzękiem o kamienie. Rachel zeszywniała, obawiając się, że kule wybuchną.

Mam więcej orantium, niż jesteście w stanie zabrać – przekazał Orruck. *To tylko nędzna próbka.*

– Domyślałem się, że strzeżesz imponującego zapasu – powiedział Galloran.

Ja tu ustalam warunki. Opuścił wyspę i zbliżył się do kajaku. *Jak śmiesz myśleć o grożeniu mi? Powinenem cię zniszczyć za samo rozważanie tej możliwości. Oto moje warunki. Ponieważ straciłem wiarę w Gallorana, Rachel, przypal moje sklepienie błyskawicą, a pozwolę ci odejść z moim orantium.*

Galloranowi i Dorsiowi też? – upewniła się Rachel.

Być może. Przypał sklepienie, a podejmiemy negocjacje. Edomicki rozkaz dla błyskawicy powtórzył się w jej umyśle.

Rachel spojrzała na Gallorana, oczekując od niego rady. Zobaczyła, że jego twarz stężała. Nagle wyciągnął miecz, rzucił się u niej i wypchnął ją z kajaka. Dorsio zanurkował w przeciwnym kierunku. Kiedy uderzyli w wodę, ogromny pazur wynurzył się spod kajaka, wyrzucając go w powietrze. Rachel próbowała odpłynąć. Galloran odepchnął ją obiema nogami i uniósł błyszczący miecz tak, że przebił pazur, kiedy ten opadł i wepchnął go pod wodę.

Wyginając szyję i rozwierając straszliwe usta Orruck rzucił się do przodu, by połknąć Rachel.

– Arimfexendrapuse – wykrztusiła, kiedy obrzydliwa woda zachlupotała jej w ustach.

Głowa Orrucka odchyliła się gwałtownie, tłuszcz zadygotał, a wielka paszcza się zatrzęsnęła. Wszystkie oczy się zamknęły i w potężnym rozbłysku oślepiającego światła Orruck zamienił się w chmurę czarnego popiołu. Przez chwilę popiół nadal miał jego kształt – przelotny powidok jego istnienia – a potem cząsteczki sadzy zaczęły się rozpraszać i opadać.

Galloran wynurzył się obok Rachel, gwałtownie łapiąc powietrze.

Dobra robota – przekazał jej telepatycznie.

Patrzyła ze zdumieniem i ulgą na szybujący popiół. Próbowała przypomnieć sobie słowa, które wypowiedziała.

Po prostu cieszę się, że się udało – odpowiedziała. *Chciał mnie pożreć. Skąd pan wiedział, że zaatakuję?*

Dorsio obrócił kajak i zaczął popychać go w stronę Rachel i Gallorana.

– Zorientowałem się w ten sam sposób, w jaki on zorientował się, że znamy słowo, które go zniszczy – wyjaśnił Galloran. Wyczułem jego intencję, nim zamachnął się na kajak. Bał się. Miał nadzieję zniszczyć nas, zanim posłużymy się Słowem. Pokazanie nam orantium i wyzwanie cię, abyś sprowadziła błyskawicę, miało po prostu odwrócić naszą uwagę. Doskonale się spisał, ukrywając swoje intencje do ostatniej chwili.

– I dzięki temu dźgnął pan też jego pazur?

– Wyczułem, że się zbliża.

– Nic panu nie jest? – spytała Rachel.

– Cios wybił mi ramię. Przynajmniej nie wypuściłem miecza.

Dorsio pomógł Galloranowi wejść do kajaka. Rachel spojrzała na miecz w jego dłoni – lśniąco ostrze wspaniale błyszczało.

– To piękny miecz – powiedziała.

– Niezrównane rzemiosło – przytaknął Galloran. – Dorsio, nastaw mi z powrotem ramię, proszę. Musimy popłynąć po pozostałych. Po tym huku mogą się bać, że już po nas. Poza tym przyda nam się pomoc w transporcie orantium. Warto przeszukać ten obszar i wyszperać wszystko, co zdołamy.

Dorsio położył jedną rękę na plecach Gallorana, a drugą na jego przedramieniu i precyzyjnym szarpnięciem nastawił ramię. Ślepy Król jęknął cicho.

– Cały stos orantium leży na wierzchu – powiedziała Rachel.

– A jeszcze więcej pod wodą – odparł Galloran. – To powinno sprawić, że pewne drzwi się dla nas otworzą.

Rozdział 16

Kule i grzyby

Robiąc co w jego mocy, żeby odliczać po jednej sekundzie, Jason zliczył do dwustu osiemdziesięciu, zanim Tark się wynurzył. Ponieważ przy poprzednim nurkowaniu doliczył do stu siedemnastu, zaczął się martwić, ale jeszcze nie panikował. Tark udowodnił, że potrafi wstrzymać oddech na bardzo długo.

– Patrz, co znalazłem – powiedział, oddychając głęboko, ale nie desperacko, jedną ręką chwytając się burty łodzi, a w drugiej trzymając kryształową kulę wielkości piłki futbolowej.

– To orantium? – spytała Rachel.

– Na to wygląda – odpowiedział Tark.

– Jest ogromna – powiedział Jason.

– Jak wielka? – spytał Galloran.

– Skała w środku jest większa od mojej pięści – ocenił Jason.

Galloran zachichotał jak podekscytowany chłopiec.

– Burzyciel. Podobno żaden się nie zachował. Z pewnością żadnego nie widziałem na własne oczy. Wykorzystywano je do wysadzania potężnych fortyfikacji. Widziałeś więcej takich?

– Przynajmniej dwadzieścia – odpowiedział Tark. – Obok zatrzęsienia zwykłych kul, wszystkie poutykane w głębokiej komnacie.

– Dwadzieścia burzycieli – zachwycił się Galloran. – To przerasta moje najbardziej optymistyczne szacunki.

– W porządku – naburmuszył się Ferrin. – Pomogę, ale jeśli złapię jakieś straszne choróbsko, to wszystkich was obkaszę.

– Dam sobie radę – zapewnił go Tark. – Woda nie jest zimna, a kule mało ważą pod wodą. Bez mała pływają. Mogę tak nurkować godzinami.

Ferrin zdjął nos i oddał go Jasonowi.

– Przez cały czas czułem się winny. To ostatnie nurkowanie za długo trwało.

– To głęboka komora – powiedział Tark – ale mogę tam dotrzeć.

– To nie w porządku, żeby ten, który może oddychać pod wodą, odpoczywał, gdy ty wykonujesz niebezpieczną robotę. Takie znalezisko jak burzyciele dopełniło miary. Upewnię się, że nawet najgłębsze wnętrza zostaną przebadane. Jasonie, nie pozwól, żeby materiał całkiem uniemożliwił mi oddychanie.

Ferrin wyskoczył z łodzi.

– Nie jestem pewien, ile jeszcze zdołamy przenieść – powiedział Jason.

Łódź i kajak już były obładowane kulami z orantium. Przewieźli wszystkie kule z wyspy gruzu, a Tark

wyłowili już kolejne dziesiątki spod wody.

– Coś mi mówi, że znajdziemy miejsce dla paru burzycieli powiedział Ferrin; jego twarz wyglądała szpetnie bez nosa. Zerknął na Tarka. – Pokaż mi, dokąd płynąć.

Rozsadnik i Tark zniknęli pod mętną powierzchnią, oświetlając sobie drogę resztkami świecących wodorostów. Jarzące si algi wkrótce zniknęły z oczu pozostałym.

Jason, Rachel, Dorsio i Galloran czekali razem na łodzi. Aram, nadal mały, spał na dziobie.

– Patrzcie! – wykrzyknęła Rachel.

Jason odwrócił się i zobaczył Drake’a i Nedwina wpływających przez dziurę w ścianie. Płynęli czymś, co nie było tak duże, jak ich łódź, ale znacząco większe od ich wcześniejszego kajaka. Młoda kobieta, która im towarzyszyła, miała długie blond włosy. Jak pozostali, zasłoniła twarz materiałem, ale jej wyraziste zielone oczy błyszczały podnieceniem.

– Ojcie! – zawołała Corinne.

Cichy szloch wstrząsnął Galloranem, zanim zdjął materiał z twarzy i krzyknął:

– Corinne?!

– Panie, twoja córka żyje! – wykrzyknął triumfalnie Nedwin.

Uśmiech sprawił, że odsłonięte fragmenty zarośniętej twarzy Gallorana pokryły się radosnymi zmarszczkami. Ślepy Król przycisnął rękę do piersi.

Drake i Nedwin szybko podpłynęli.

Corinne przeskoczyła lekko do łodzi. Miała na sobie brązowe podróżne ubranie. Miecz zwisał z jej szczupłej talii w długiej pochwie. Jason był zaskoczony, widząc, że jest niewiele niższa od niego. Ściągnęła materiał z twarzy, żeby powitać ojca pocałunkiem, a Jason zauważył pełne usta, nieskazitelną skórę i arystokratyczne rysy twarzy. Wyglądała na osiemnasto, dziewiętnastolatkę. Nagle dotarło do niego, że nigdy w życiu nie widział piękniejszej dziewczyny!

Tark i Ferrin wypłynęli, każdy trzymając dwie wielkie kule z orantium.

– Kto to? – spytał rozsadnik. – Jak długo byliśmy pod wodą?

– Znaleźli Corinne – wyjaśniła Rachel.

– Po co ta przepaska? – spytała Gallorana Corinne. – Co się stało z twoimi oczami?

– Straciłem wzrok – odpowiedział.

– Och, nie!

– To było dawno temu. Powiedz mi, co się stało z twoją cioteczną babką.

– Nie pamiętam szczegółów – powiedziała Corinne. – Napisałam do siebie w liście „z przyczyn naturalnych”. Będziesz musiał sprawdzić mój drugi zestaw wspomnień.

Wsunęła rękę do torby, którą nosiła przewieszoną przez ramię i wyjęła okrągły grzyb. Kiedy delikatnie go ścisnęła, wyleciała chmurka zarodników o barwie brązowomusztardowej. Corinne zaczerpnęła tchu.

Mimo materiału na nosie i ustach Jason zasłonił je dodatkowo dłonią. Wiedział, że zarodniki

zablokują mu wszystkie wspomnienia z wyjątkiem tych, które zebrał w czasie, kiedy oddychał grzybowym gazem.

– Dlaczego nic nie widzę? – zapytał zaniepokojony Galloran, ściągając przepaskę z pustych oczodołów. Jason wzdrygnął się na ten widok. – Co się stało z moim głosem? Gdzie jestem?

– Galloran! – wykrzyknęła Corinne, biorąc go za rękę.

– To ty, Corinne?

– Tak, jestem z dala od drzewa! Przysłałeś dwóch mężczyzn, żeby mnie uwolnili. Drake’a i Nedwina. Jesteś niewidomy od naszego ostatniego spotkania. Postarzałeś się.

– Na to wygląda. A ty wyrosłaś. Brzmisz jak kobieta. – Galloran się skrzywił. – Ile czasu upłynęło?

– Galloranie – odezwał się Jason – powinien pan zasłonić twarz. Gaz z grzybów miesza panu we wspomnieniach.

– Kto to mówi? – zapytał ostro Galloran, sięgając do rękojeści miecza.

– Jestem przyjacielem – odpowiedział Jason. – Podróżujemy razem po bagnach, żeby uratować Corinne.

– Lord Jason! – powitała go ciepło Corinne, spoglądając na niego. – Dziękuję ci za przybycie. Pozostali powiedzieli mi, że Słowo nie podziałało.

– Co? – wykrztusił Galloran. – Słowo zawiodło?

– Będziesz mniej zagubiony, kiedy zasłonisz twarz – nalegała Corinne.

Kiwając głową, naciągnął materiał na usta i się odsunął.

– Co się stało z moją przepaską na oczy? – zapytał po chwili, naciągając ją z powrotem.

– Zarodniki przyćmiły panu umysł – powiedział Drake.

– Jakie są wieści na temat Wieszczki? – spytał Galloran.

Corinne opowiedziała ściszym głosem, jak jej matka zmarła, chwytając się za pierś.

Jason pomyślał, że Corinne mówi łagodniej, kiedy do głosu dochodzi jej osobowość z drzewa. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że Galloran to jej ojciec. Wewnątrz drzewa wierzyła, że Wieszczka to jej matka, a Galloran to przyjaciel.

– Skąd się wzięła nowa łódź? – spytał Jason.

– Słudzy Maldora – odpowiedziała Corinne. – Czterech nieznajomych zjawilo się kilka dni temu. Kiedy byłem dzieckiem, Galloranie, nauczyłeś mnie rozpoznawać broje noszone przez werbowników. Trzej z moich gości byli ubrani tak, jak opisałeś. Czwarty był rozsadnikiem. Weszli do drzewa z bronią, ale zapomnieli, po co się zjawili. Mogłam się tylko domyślać, że przybyli, żeby mnie zabić. Byłam idealną gospodynią. Nakarmiłam ich. Rozebrali się i poszli spać. Otrułam ich, kiedy spali.

– Dobra robota – powiedział Galloran.

– Nie było trupów – powiedział Drake. – Wyrzuciła ich do bagna. Ulżyło mi, że uwierzyła, że zjawiliśmy się, by jej pomóc.

– Denerwowałam się – przyznała Corinne. – Mieliście jednak właściwie znaki.

– Mądra dziewczyna – pochwalił ją Galloran. – Przykro mi, że musiałaś stawić czoło tak ponurej i kłopotliwej sytuacji, ale jestem dumny, że zrobiłaś to, co było konieczne. Nadal masz miecz?

Corinne wyciągnęła wspaniałe ostrze, tak smukłe i lśniące, że sprawiało wrażenie zbyt cennego, by go używać.

– Zupełnie jak pański – powiedziała do Gallorana Rachel.

– Ożeż w ząb Dendalusa! – Ferrina dosłownie zatkało. Zerknął na Corinne, a potem na Rachel. – Wybaczcie mi moje słowa. Czy to miecz, o którym myślę?

Galloran wyjął swoją broń.

– Towarzysz mojej klingi.

– To naprawdę miecze torivorów? – wykrztusił Ferrin, a w jego wahaniu rozbrzmiewało szczere zdumienie.

– Chwileczkę – wtrącił się Jason. – Torivorów? Znaczy, zrobione przez czatowników?

– To broń pojedynkowa torivorów – potwierdził Galloran.

– Czatownik, który mnie śledził, nie miał miecza – powiedział Jason.

Ferrin prychnął.

– Gdyby twój czatownik miał miecz, nie byłoby cię tutaj.

– Dlaczego?

– Maldor wysyła czatowników w dwóch celach – wyjaśnił Ferrin. – Na zwiady albo na pojedynki. W ogóle rzadko kiedy ich wysyła, a jeszcze rzadziej do pojedynku, ponieważ każdego torivora może wysłać do pojedynku tylko raz. Po zakończonej walce torivor odchodzi wolny.

– Torivorowie zjawiają się z parą mieczy – powiedział Galloran. – Większość broni nie jest w stanie zadrasnąć czatownika, ale kiedy torivor przybywa na pojedynek, przynosi broń, która może go skrzywdzić.

– Tylko wtedy torivor pierwszy atakuje – dodał Ferrin. – W każdej innej sytuacji jedynie odpowiada na atak. Ale skoro ma pan te miecze, Galloranie, to znaczy...

– Że pokonał torivora – rzucił tonem przechwałki Nedwin.

– Co?! – wykrzyknął Jason. – Zabił pan czatownika w pojedynku?

– Wymagało to wszystkich moich umiejętności, i to kiedy miałem najwięcej siły – odpowiedział Galloran. – Maldor zamierzał mnie usunąć.

– Wiedziałem, z historii, że przy różnych okazjach wysyłano czatowników, aby pozbyć się wrogów – powiedział pełen podziwu Ferrin – ale nigdy nie słyszałem nawet słowa o tym, żeby któryś przegrał.

– Było bardzo niewielu świadków – odpowiedział Galloran.

– Kiedy to się wydarzyło? – zapytał Ferrin.

– Wiele lat temu, niedługo przed tym jak mnie złapano. To była walka mojego życia.

– Od dawna słynął pan jako najwspanialszy fechmistrz w Lyrianie – powiedział Drake.

– Jednak nigdy nie rozniosła się wieść o tym wyczynie. Powinien pan słynąć jako najwspanialszy

wojownik wszechczasów.

Galloran machnął ręką, chowając miecz do pochwy.

– Nie jestem już tym samym człowiekiem. Przechwałki o dawnych wyczynach nie pokonają nowych wrogów. Poza tym, może po prostu mi się poszczęściło.

Ferrin się roześmiał.

– Poszczęściło? W walce z czatownikiem? Proszę nie być śmiesznym! Gdyby nie te miecze, nie uwierzyłbym nawet, że pańskie zwycięstwo jest możliwe. Jednak tej broni nie da się z niczym pomylić.

– Czy ty właśnie trzymasz burzyciela? – spytał Ferrina Drake.

– Dwa, ściśle rzecz biorąc – odparł rozsadnik, pokazując dwie kule.

– To dzień rzeczy niesłychanych – odparł Drake. Rozejrzał się ukradkiem i zapytał, zniżając głos: – A co z zagrożeniem?

– Zagrożeniem? – spytała Rachel.

– Strażnikiem Zatopionego Miasta – wyjaśnił Drake. – Moi ludzie zapuszczają się niekiedy na bagna, ale nigdy tutaj. Negocjowaliście z nim?

– Zniszczyli go – odparł Jason.

Drake rozdziawił usta.

– Twoim zagrożeniem był czarnoksiężnik Orruck – wyjaśnił Galloran. – Słowo, które Jason i Rachel zdobyli, miało moc zniszczenia go.

– Zaufaliśmy wiadomości, którą zostawiliście przy wieżach strażniczych – powiedział Drake – ale nie wyobrażałem sobie, że naprawdę pokonaliście strażnika. Mojemu ludowi ten wyczyn wyda się jeszcze mniej prawdopodobny niż pokonanie torivora w pojedynku.

– Pogratuluj Rachel – odpowiedział Galloran. – To ona wypowiedziała Słowo w ostatniej chwili, ratując nam życie.

– Po tym jak Galloran ściągnął na siebie uwagę Orrucka – dodała skromnie Rachel. – Ja miałam najprostsze zadanie.

– Corinne – powiedział Galloran – odłóż grzyb.

Dziewczyna schowała miecz do pochwy, a grzyb do torby.

Zamrugła nagle i potarła czoło.

– Wróciłaś?

– Tak.

– Spędzałaś dostatecznie dużo czasu poza drzewem?

– Kilka godzin dziennie, tak jak ustaliliśmy. Rozmawiałam wtedy z Madeline. Czytałam, ćwiczyłam z mieczem. Czekałam. – W ostatnim słowie pojawiła się nutka goryczki.

– Przepraszam. Nie chciałem cię zawieść. Zostawiłem cię w najbezpieczniejszym miejscu, do jakiego czułem, że mogę cię zabrać. Mianamon byłby lepszy, ale wtedy na południu trwała wojna. Zjawiłem się po ciebie tak szybko, jak zdołałem.

– Rozumiem. – Corinne obrzuciła spojrzeniem grupę. – Dziękuję wam wszystkim, że po mnie przyszliście.

– Wiele przeszłaś – powiedział Galloran. – Lata w ukryciu były dla twojego dobra, ale mimo wszystko było to ponure więzienie.

– Najtrudniej było po śmierci babki Madeline. Samotność przeciągała się w nieskończoność. Pisałam do siebie liściki z wnętrza drzewa. Jestem gotowa rozpocząć życie. Moje jedyne wspomnienia z prawdziwego życia to mgliste obrazy z dzieciństwa. Poza tym mam tylko to, co działo się dzień po dniu na skrawku błotnistej wysepki.

– Zrobię co w mojej mocy, żeby ci to wynagrodzić – obiecał Galloran. – Niestety, na razie zabieramy cię z samotni ku niebezpieczeństwu. Tego nie da się uniknąć. Maldor ruszył przeciwko strażnikom sylab. Niektórzy już zginęli. Nie zdołałabyś wiecznie udaremniać zamachów na swoje życie.

– Co teraz? – spytał Drake.

– Załadujemy tyle orantium, ile rozsądek pozwoli nam zabrać – odpowiedział Galloran.

– Przenocujemy tutaj. Dzień się kończy, a Zatopione Miasto to ostatnie miejsce, w którym ktokolwiek będzie nas szukał. Minie trochę czasu, zanim mieszkańcy bagien zrozumieją, że Orruck odszedł. Grzyby Corinne powinny zniechęcić nieproszonych gości. A potem, z pierwszymi promieniami świtu, pośpiesznie opuścimy bagna.

Stając na błotnistym brzegu mokradeł, Jason zerknął na północ, na imponującą ścianę gór. Seria wznoszących się wyboistych płaskowyżów wspinała się od obrzeży Ziemi Zatopionych, by w końcu wypiętrzyć się ku niebu we wspaniałym skalnym wyniesieniu. Gdzieś pomiędzy tymi pionowymi ścianami i wyniosłymi graniami niewidoczne przejście prowadziło do Zachodniej Bramy Siedmiu Dolin. Na pierwszym planie samotny sokół krążył i nurkował podświetlony przez zachodzące słońce.

W górze za Jasonem pękła gałąź. Odwrócił się, zadarł głowę i ujrzał Nedwina, Ferrina i Drake’a, którzy szli po grubym konarze, wracając po tym, jak ukryli łodzie i ładunek orantium. Dzięki purchawkom powrót z Zatopionego Miasta na obrzeża bagien przebiegł względnie spokojnie. Ukrycie łodzi na bagnach było ostatnim drobiazgiem do wykonania.

Ferrin trzymał w ręku gałąź, która pękła. Upuścił ją i przegniła gałąź spadła do wody, wywołując fale na kożuchu szumowin.

Nedwin dotarł na czubek pobliskiego drzewa i spojrzał w dół. Drake i Ferrin poszli za jego przykładem.

Jason, Rachel, Corinne, Tark i mały Aram spotkali się z nimi pod drzewem.

– Wszystko w porządku? – spytał Jason.

– Żadnych komplikacji – odpowiedział Drake.

– Jeśli nie liczyć Nedwina, który posłużył się pnączami, próbując niebezpiecznych ewolucji w powietrzu – mruknął Ferrin.

– Spadłem tylko dwa razy – odparł Nedwin. – Woda wiele wybacza.

Cała grupa podeszła do Dorsia i Gallorana, którzy siedzieli po obu stronach skromnego stosu kul orantium. Większość kul była zwykłej wielkości – nie większa od piłek baseballowych – ale trzy z nich to były duże burzyciele.

– Wszyscy się zebrali? – spytał Galloran.

– Tak, Najjaśniejszy Panie – odpowiedział Nedwin.

– Kto będzie niósł te duże? – spytała Rachel.

Galloran położył rękę na jednej z większych kul.

– Dorsio je weźmie. Amar Kabał to samotniczy lud. Kiedyś byłem mile widziany na ich ziemiach, ale czasy się zmieniły. Gdyby wszystko inne zawiodło, mam nadzieję przekupić kogo trzeba, żeby nas wpuszczono. W tych niebezpiecznych czasach myślę, że nie ma cenniejszej waluty od orantium.

– Przyjmą pana i bez podarunku – odparł stanowczo Drake. – Nie wierzę, żeby mój lud kogokolwiek z żywych ludzi cenił wyżej niż pana.

– Mam nadzieję, że masz rację – odpowiedział Galloran. – Są pewni wpływowi ludzie wśród Amar Kabał, którym nie spodoba się to, co może oznaczać moja obecność w tych niepewnych czasach.

– Maldor wie, o jaką stawkę toczy się gra – sprzeciwił się – zaryzykuje wypadu, by wymusić respektowanie traktatu.

– Były czasy, kiedy nie odważyłby się na takie ryzyko – mruknął ponuro Drake.

– Podczas twojej nieobecności lud Amar Kabał jeszcze bardziej się wycofał – powiedział Galloran. – Nie chce ściągnąć na siebie gniewu Felrook. Większy nacisk kładzie na umocnienie Dolin z myślą o obronie. Twoi rodacy nie interesują się specjalnie tym, co dzieje się za ich bramami.

Drake zmarszczył czoło.

– Ja raczej nie przekonam ich do zmiany zdania.

– W takim razie znajdziesz się w dobrym towarzystwie – powiedział Galloran. – Najwspanialszy nasiennik, jakiego znam, jest wygnańcem.

– Nie potrzebuję ich aprobaty – zachnął się Drake. – Żałuję tylko, że nie mam lepszej pozycji, by wesprzeć pańską sprawę.

– Najpierw musimy tam dotrzeć – zauważył Galloran. – Nie widać koni?

– Cały czas je wzywałam – odpowiedziała Rachel. – Nie przestanę próbować.

– Znam wiele dróg do Zachodniej Bramy – powiedział Drake. – Czy pieszo, czy konno, jeśli zachowamy pewną ostrożność, powinniśmy przejść niezauważeni.

Pobrzękując metalem, do grupy podszedł Aram. Wymknął się, żeby przemienić się o zachodzie słońca i teraz nosił miecz, płaszcz i zbroję.

Galloran odwrócił się do niego, słysząc, że się zbliża.

– Jak się czujesz, Aramie?

– Jak nowo narodzony – odpowiedział, masując spiralny siniak, który trochę zbladł i zaczynał

zieleniec przy brzegach. – Nie będę nas dzisiaj spowalniał. Tyle że bez koni rankiem moje rzeczy zaczną stanowić kłopot.

– Przenieśliśmy twój miecz i kolczugę przez bagna – zauważył Tark.

– Za co jestem wam wdzięczny – powiedział Aram – ale tym razem szybkość jest kluczowa.

– Damy sobie radę – zapewnił go Tark. – Sam zataszczę miecz.

– A ja zajmę się kolczugą – obiecał Ferrin. – Nie chcę, żebyś miał jakikolwiek pretekst, by nie chronić naszej skóry.

– Doceniam to – odparł Aram. – Ruszę do bramy we własnym tempie, zanim będę musiał zostawić rzeczy.

Galloran wstał.

– Jeśli idzie o spowalnianie nas podczas podróży pieszo, to ja jestem największą kulą u nogi. Nie zwlekajmy już. Drake nas poprowadzi. Ferrin i Nedwin pomogą przy zwiadach. Obawiam się, że nie ma chwili odpoczynku dla znużonych. Pokonajmy tyle drogi, ile zdołamy przed świtem.

Rozdział 17

Zachodnia Brama

Noc była ciemna i wietrzna, kiedy Drake dał znać, żeby się zatrzymać. Trzymał palec na ustach, a jego mina wyrażała niepokój. Nasłuchując w ciszy, Rachel usłyszała w oddali tętent kopyt. Wszyscy się rozproszyli, sięgając po broń i szukając jakiejś osłony.

– Wszystko w porządku – zawołał Nedwin z niewidocznego miejsca gdzieś wysoko. – To nasze konie.

Rachel odezwała się cicho po edomicku, wzywając zwierzęta. W ciągu minuty, może dwóch, trzy konie przytruchtały do niej, skąpane w delikatnym księżycowym blasku. Rozpoznała swoją klacz, ogromnego rumaka Arama i Mandibara.

– Udało wam się! – zawołała, obejmując i głaszcząc każdego konia.

– Wiedzą, gdzie są pozostałe konie? – spytał Jason.

– Nie jestem doktorem Doolittle – odpowiedziała Rachel. – Mogę przekazać im polecenie, ale z nimi nie rozmawiam.

Zeskakując z wysokiego głazu, Nedwin dołączył do grupy.

– Nie ma śladu po pozostałych wierzchowcach.

– To imponujący wyczyn – powiedział Galloran. – Rachel udało się przekazać im niezbędne wskazówki. Nie spodziewałem się, że znajdziemy któregośkolwiek z naszych koni. Obawiam się, że przywiozły ze sobą kłopoty.

– Kłopoty? – zdziwił się Jason.

– Wyczuwam czatownika, który je tropi – wyjaśnił Galloran. – Jego obecność ledwie musnęła na chwilę moją świadomość. Zbliżył się na tyle, żeby nas zidentyfikować, i natychmiast uciekł. Już znajduje się poza zasięgiem mojego postrzegania.

– Jeśli uciekł, to znaczy, że żołnierze muszą znajdować się niedaleko – powiedział Drake.

– Zatem to wyścig – oznajmił ponuro Aram.

– Och, nie, gdybym tylko wiedziała... – zaczęła Rachel.

– To nie twoja wina – przerwał jej Galloran. – Jeśli torivorowie nas ścigali, pozostawało kwestią czasu znalezienie nas. Tylko trzy z naszych umysłów są chronione przez zaklęcia. Konie pomogą nam zwiększyć tempo. To może podziałać na naszą korzyść.

– Galloran powinien jechać – powiedział Drake. – Koń Arama może ponieść dwie osoby. Ja wykorzystam Mandibara do zwiadów.

– Jeśli będzie trzeba – powiedział Aram – możemy posłać Gallorana, Jasona, Corinne i Rachel

przodem na trzech koniach.

– Wolałbym, żebyśmy wszyscy przetrwali – odparł Galloran, wsiadając na klacz Rachel.

– Rachel, Corinne – zawołał Drake, wskakując na Mandibara – powinniście oszczędzać energię i też pojechać konno. Nie będziecie żadnym ciężarem dla konia Arama.

Rachel wspięła się na wielkiego rumaka. Jego grzbiet by wręcz niedorzecznie szeroki. Corinne usiadła za nią.

– Minęło sporo czasu – mruknęła do Rachel.

– Jeździłaś jako dziecko?

– Mam miłe wspomnienia z konnej jazdy – odpowiedziała Corinne. – Na tym wielkim rumaku znowu czuję się jak dzieciak.

– Ja też – przyznała się Rachel.

Kiedy ruszyli, ich tempo dramatycznie się zwiększyło. Aram prowadził swojego konia, a Dorsio klacz. Rachel współczuła Jasonowi i pozostałym mężczyznom, którzy biegli obok nich. Kiedy Drake badał teren na Mandibarze, Nedwin prowadził Corinnę, a Ferrin włóczył się w pobliżu.

Księżyc często znikał za chmurami, przez co trudno było obserwować zmiany w otaczającym ich terenie. Czasem szli po płaskim, w innych chwilach kluczyli między głazami i graniami, niekiedy wspinali się po dnie wąwozu albo szli krętą ścieżką po skalistym zboczu.

W miarę upływu nocy Tark zaczął kaszleć. To, co zaczęło się od odchrząkiwania, żeby oczyścić gardło, zamieniło się w głęboki kaszel. Przez większość czasu jego kaszel ustawał, gdy zatrzymywali się na odpoczynek. Jednakże, kiedy nadszedł świt i zatrzymali się nad szerokim strumieniem, Tark padł na czworaki, kaszląc i krztusząc się, dopóki nie wyrzucił z siebie ciemnozielonej kuli flegmy. Rachel odwróciła się od obrzydliwej masy, żałując, że ją zauważyła.

– Jak wygląda wnętrze jego ust? – spytał Galloran.

Jason stał najbliżej. Tark otworzył usta i wysunął język. Jason się skrzywił.

– Jego gardło wygląda jak porośnięte pleśnią. Cały tył jest pokryty fioletowawym futerkiem.

Aram zerknął Jasonowi przez ramię.

– Masz tam niezły ogródek;

Rachel zwalczyła gulę podchodzącą jej do gardła, gdy usłyszała ten opis. Odruchowo dotknęła szyi.

– Zgnilizna płuc – oznajmił Galloran. – Corinne i Rachel powinny przez pewien czas iść. Miałem nadzieję, że unikniemy zakażenia grzybami. Tark będzie potrzebował wierzchowca.

– Ależ nic mi nie jest – zaprotestował muzyk. – Niech panie jadą.

Rachel już zsuwała się z konia.

– Miło będzie rozprostować nogi – stwierdziła.

Corinne poszła za jej przykładem.

– Dostawałam już strasznych skurczy w siodle.

Tarka znowu zaczął dręczyć kaszel. Atak zakończył się głośnym napadem suchego kaszlu.

– Nic mu nie będzie? – spytał Jason.

– Amar Kabał to utalentowani uzdrowiciele w przypadku takich dolegliwości – powiedział Galloran.

– Wiele zależy od tego, jak szybko zdołamy dowieźć go na miejsce. Napijcie się, napełnijcie bukłaki i ruszamy.

Jason i Rachel podeszli do pochyłej półki, z której woda spływała przezroczystą kurtyną. Chłodna woda spryskała Rachel nadgarstki, kiedy dziewczyna przerwała gładką kaskadę, wsuwając bukłak. Konie piły z omszałej niecki poniżej.

– Wyglądasz na zmęczonego – powiedziała do Jasona.

– Żałuję, że nie potrafię biec i spać jednocześnie.

– Nie potrafisz? – zapytał Ferrin, dołączając do nich przy małej kaskadzie. – Zawsze wyobrażałem sobie, że potrafiłbyś spać nawet w beczce, która turla się po górskim stoku.

– Dzisiaj pewnie dałbym radę – zgodził się Jason.

– Jak wygląda sytuacja? – spytała Rachel. Nie widziała Ferrina od ponad godziny.

– Cicho – odparł rozsadnik. – Już od jakiegoś czasu nie słyszałem Drake’a. Musiał zapędzić się gdzieś dalej.

– O, tam idzie Nedwin – powiedział Aram.

Nedwin wspinał się po pionowym palcu skalnym, żeby rozejrzeć się po nierównej okolicy. Wdrapał się na niego bez wahania, chociaż wydawało się, że nigdzie nie ma oparcia dla rąk.

– Jak on to robi? – zdumiała się Corinne.

– Nie jestem pewien – mruknął Ferrin.

Tarkiem wstrząsnął nowy atak kaszlu. Twarz mu poczerwieniała, żyły wystąpiły na szyi i muzyk zaczął wymiotować. Rachel zatkała uszy, dopóki nie skończył.

Aram podszedł do Ferrina.

– Wiesz, którądy zmierzamy? Pomyślałem, że mógłbym pobiec przodem, dopóki mam swoje rozmiary.

Rachel zerknęła na światło narastające na pochmurnym horyzoncie. Słońce pojawi się w ciągu godziny.

Ferrin odwrócił się w stronę urwistych gór. Wznosiły się o wiele bliżej niż o zmierzchu, ale nierówny ciąg urwisk i grani nadal oddzielał drużynę od podnóży prawdziwych wzniesień.

– Widzisz tę grań z karbem?

– Tę nad pionowym urwiskiem?

– Właśnie tę. Ominiemy ją od prawej, a potem pójdziemy wąwozem.

– Rozumiem. Do zobaczenia na miejscu. – Aram ruszył niemal sprintem, podzwaniając kolczugą.

– Wszyscy powinniśmy się śpieszyć – ponaglił pozostałych Galloran.

Jason spojrzał na Nedwina schodzącego ze skały.

– Nedwin nas dogoni – powiedział Ferrin, poklepując Jasona po ramieniu. – Może poprowadzisz konia Arama?

Znowu ruszyli. Ferrin szedł na przodzie, a Dorsio i Jason prowadzili konie. Obok nich szły Corinne i Rachel.

– Ty i Jason oboje pochodzicie ze świata Poza? – spytała Corinne.

– Nie znamy się stamtąd – odpowiedziała Rachel. – Pochodzimy z różnych okolic. A poza tym owszem, jesteśmy Pozaświatowcami.

– Robicie wrażenie zżytych.

– Sporo razem przeszliśmy.

– Wyglądacie dość młodo jak na kogoś, kto współpracuje z moim ojcem.

– Nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru w tej kwestii – odparła Rachel. – Tak po prostu wyszło. Nie możemy być dużo młodszy od ciebie.

– Mam dziewiętnaście lat.

– Jak długo mieszkałaś w drzewie?

– Od czwartego roku życia.

Rachel próbowała wyobrazić sobie, jak to by było, gdyby jej jedyne prawdziwe wspomnienia ze świata pochodziły z okresu, kiedy miała cztery lata albo mniej.

– Pewnie wszystko wydaje ci się całkiem nowe.

Corinne zaśmiała się krótko, podkreślając, jak oględnie ujęła to Rachel.

– Nie przywykłam do towarzystwa. Ani niebezpieczeństwa. Ani zmian w krajobrazie. Mam żywe, odległe wspomnienia z dzieciństwa: nianię, pokój pełen wspaniałych zabawek, łóżko z kołdrami obszytymi koronką, misy przepysznych schłodzonych owoców w śmietanie. Wszystko kończy się tym, jak ojciec wykradł mnie pewnej nocy. Przywiózł mnie do drzewa na bagnie, w odwiedzinach do mojej ciotecznej babki, Madeline.

Reszta mojego życia toczyła się w okolicach szpary w drzewie. Każde wspomnienie zaczyna się od tego, że wychodzę z drzewa, i kończy się tym, że do niego wchodzę. Pamiętam niektóre i rozmów z moim ojcem z młodszych lat. Potem przestał mnie odwiedzać. Pamiętam rozmowy z moją cioteczną babką. Jedno ze wspomnień zaczyna się od tego, jak wywlekam jej martwe ciało z drzewa. Nie wiedziałam nawet, jak umarła, dopóki nie znalazłam listu, który napisałam do samej siebie. Od tego czasu moje jedyne wspomnienia dotyczą trenowania z mieczem i czytania książek.

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić – powiedziała Rachel.

– Latami marzyłam o ucieczce. – Corinne westchnęła. – Teraz, kiedy jestem wolna, ledwie mogę w to uwierzyć. Jakaś część mnie zaczęła podejrzewać, że zestarzeję się i umrę na tej błotnistej wysepce. Wszystko zmieniło się tak szybko. Ledwie wiem, co czuję. To może zabrzmieć głupio, ale chyba wyobrażałam sobie, że kiedy wreszcie opuszczę bagno, będzie to oznaczało koniec moich kłopotów. Ojciec zabierze mnie do szczęśliwszego, mającego więcej sensu życia, wiesz, ciężko zapracowana nagroda za cierpliwość. Nigdy nie spodziewałam się czegoś podobnego.

– O ile to jakieś pocieszenie, to ja również nie spodziewałam się niczego podobnego. Wędrowali

teraz przez wyboisty odcinek. Potem trasa stała się równiejsza, dzięki czemu przyśpieszyli. Rachel złapała się na tym, że poci się i zaczyna dyszeć. Jak inni wytrzymywali to całą noc? Nic dziwnego, że Jason wyglądał na tak zmęczonego.

Kiedy słońce wstało, Rachel zatrzymała się, żeby spojrzeć na cudowną jutrzenkę. Promienie przebijały się przez chmury pod dramatycznymi kątami, rzucając olśniewające jasne pasma na krajobraz.

– Zawsze jest tak pięknie? – spytała Corinne.

Rachel zdała sobie sprawę, że roślinność na bagnach przesłaniała wschody i zachody słońca.

– To jest wyjątkowo piękny świt – powiedziała – ale zwykle też jest całkiem ładnie. Brnęli pośpiesznie przed siebie. Wspięli się długim, płytkim jarem i zastali Arama, który już na nich czekał z mieczem zawiniętym w kolczugę i płaszcz. Ferrin zarządził postój, być może dlatego, że zauważył, że Corinne wyglądała, jakby miała zemdleć. Rachel jej współczuła. Niezależnie od tego, ile Corinne trenowała z mieczem i jak bardzo starała się pozostać aktywna, trudno utrzymać formę, kiedy jest się uwięzionym na maleńkiej wysepce.

Kiedy odpoczywali w cieniu skalnego występu, popijając z bukłaków i łapiąc oddech, Nedwin krzyknął z oddali, że wraca Drake.

Po paru minutach słyszeli już konia i wkrótce nadjechał Drake na Mandibarze.

– Wypatrzyłem naszych wrogów – powiedział nagłym tonem. – Przynajmniej czterdziestu jeźdźców w pełnym galopie i kolejny spory oddział jeźdźców w większym oddaleniu.

– Jak blisko są? – zapytał Galloran.

– Jesteśmy znacznie bliżej przełęczy – powiedział Drake. – Wypatrzyłem ich dopiero z wysokiego punktu obserwacyjnego wiele mil stąd. Tyle że, bezwstydnie łamiąc postanowienia traktatu, pędzą główną drogą na złamanie karku. Spróbują uprzedzić nas przed Zachodnią Bramą.

– Musimy dotrzeć tam pierwsi – powiedział Galloran.

– Albo ukryć się na pogórzu – odparł Drake. – Dobrze znam tę okolicę.

Galloran pokręcił głową.

– Jeśli odetną nas od przełęczy, dysponując czatownikiem i kolejnymi żołnierzami, których przyśle do oblawy Maldor, nie będziemy zbyt długo się ukrywać.

Drake nachmurzył się w zamyśleniu.

– Naprawdę myśli pan, że lud Amar Kabał będzie siedzieć bezczynnie, kiedy Maldor sprowadzi wielkie siły pod ich drzwi?

– Może się poskarżyć – powiedział Galloran – ale zważywszy, jak ostatnimi czasy postępował, byłbym zaszokowany bezpośrednią interwencją. Maldor uspił twój lud, który teraz stara się zachować ogromną ostrożność.

– Mandibar może zabrać dwójkę, jeśli zachowamy umiarkowane tempo – powiedział Aram. – Tak samo mój koń. Poślemy piątkę naszych przodem?

– Galloran, Tark, Rachel, Corinne i Jason – wyliczył Ferrin. – Jeśli oni dotrą bezpiecznie, nie

spodziewam się, żeby Maldor zaryzykował sprowokowanie Amar Kabał tylko po to, żeby dręczyć naszą resztę. Musiałby poświęcić zbyt wiele zasobów.

– Znajdziemy drogę? – zaniepokoiła się Rachel. – Przecież to Drake, Nedwin i Ferrin kierują nas wśród tych grani.

– Zostawcie mnie – wydyszał Tark. – Niech Drake zajmie moje miejsce. Możliwe, że i tak już po mnie.

– Co ty wygadujesz? – zdziwił się Jason. – Wydawało się, że już ci lepiej.

– Brakuje mu oddechu, żeby kaszleć – wyjaśnił Galloran. – Słyszałem, jak chrapliwie oddycha. Zgnilizna płuc szybko postępuje.

Tark zsiadł z konia.

Galloran zmarszczył brwi, kiedy usłyszał, jak stopy Tarka uderzają o ziemię.

– Nie powiedziałem, że masz zsiadać. Miałem tylko na myśli to, że twój stan jest bardzo poważny. Masz szansę przeżyć, ale jeśli nie dotrzesz wkrótce do Amar Kabał, choroba może wygrać. Wsiadaj na konia, Tark. Drake, jakie są szanse, że dotrzemy do Zachodniej Bramy przed jeźdźcami, jeśli zostaniemy razem?

– Mamy ogromną przewagę, ale oni szybko się poruszają i po dobrej drodze. Możemy uprzedzić ich o włos. Założyłem trzy pułapki z orantium wzdłuż drogi. Dlatego tyle to trwało. Kiedy kopyto uderzy w niewłaściwe miejsce, kula orantium wyśle charakterystyczny sygnał. Wybuch może także ich spowolnić, jeśli uznają, że ktoś ich atakuje.

– To jest myśl – powiedział Ferrin. – Mamy mnóstwo orantium. Dwójka naszych może zorganizować zasadzkę przy drodze i spowolnić jeźdźców, dając pozostałym więcej czasu. Jeśli znajdziemy dobre miejsce, możemy ich nawet pokonać.

Galloran ściągnął brwi.

– Jeśli zostaniemy razem, możemy uprzedzić jeźdźców i dotrzeć do wrót przełęczy?

– Do wrót przełęczy? – powtórzył Drake. – Niemal na pewno. Dzieli nas od nich jakieś trzy godziny. Jeśli się wysilimy, wrogowie nie dotrą tam przed nami. Jednak, nawet śpiesząc się, potrzeba godziny, żeby potem dotrzeć do Zachodniej Bramy. Równie dobrze mogą nas dopaść w drodze do niej.

– Znasz lepsze przewężenie, które nadawałoby się na zasadzkę, niż przełęcz? – spytał Galloran.

Drake pokręcił głową.

– Zachodnia Brama znajduje się w gardle przełęczy właśnie ze względu na to, jak ono się przewęża.

– Zatem ścigajmy się z nimi – powiedział Galloran. – Jeśli zajdzie taka potrzeba, zasadzka w gardle przełęczy pozwoli nam za pomocą orantium wywołać prawdziwy zamęt w szeregach wroga.

Drake splótł ręce na piersi, minę miał ponurą.

– Kiedy już znajdziemy się w gardle przełęczy, nie będzie innej drogi ucieczki niż przez Zachodnią Bramę. Jeśli wrogowie nas dogonią albo Amar Kabał nie wpuszcza, nie będziemy mieli gdzie się ukryć.

– Uroczyście nadano mi tytuł honorowego obywatela Siedmiu Dolin – powiedział Galloran. – Jeśli

Amar Kabał będą patrzeć, jak wróg mnie zabija u ich bram, to nie ma nadziei dla naszej sprawy.

– Corinne jest zmęczona – wtrąciła Rachel.

– Posadźmy ją na Mandibara – powiedział Drake, zsiadając z konia. – Nie mam po co zajmować się zwiadem na trasie do przełęczy.

– To nasz ostatni bieg – powiedział Galloran. – Będziemy jechać na zmianę, żeby utrzymać jak najlepsze tempo. Pędźmy nie tylko po to, żeby ocalić nasze życie. Od tego zależy przyszłość Lyrianu.

Ich tempo było dla Rachel dalekie od biegu, ale prawdziwy sprint po nierównym terenie na odcinku kilku mil po wcześniejszym niemałym wysiłku nie wchodził w grę. Mimo wszystko poruszali się zwawiej niż dotąd i wkrótce tempo wydawało się aż nadto szybkie. Rachel po pewnym czasie znowu jechała konno, a Jason na pewien czas usiadł za Tarkiem. Corinne znowu przez chwilę biegła, żeby Aram mógł usiąść za Rachel.

Słońce podniosło się wyżej. Rachel wróciła do biegu, kiedy poczuła, że odpoczęła. Zawsze miała dobrą kondycję, a tygodnie włóczęgi po pustkowiach sprawiły, że osiągnęła szczytową formę. Mimo to, czuła, że słabnie. Próbowwała czerpać siłę z Nedwina, Drake’a, Ferrina i Dorsia, którzy parli przed siebie bez choćby kropli potu na czole.

Nareszcie dostrzegli trakt. Drake poprowadził ich w dół łagodnym stokiem do szerokiej bitej drogi.

– Zakładam, że nie ma przed nami pułapek z orantium – powiedział Aram.

– Wszystkie są za nami – zapewnił go Drake. – Właściwie to dobry znak, że jeszcze żadna nie wybuchła.

– Mogli je ominąć? – spytał Jason.

– Skleciłem pułapki tak, żeby ruch na rozsądnie szerokim odcinku drogi detonował kule. Jeden jeździec mógłby je ominąć, ale czterdziestu z pewnością zdetonuje je wszystkie.

– Na równym gruncie mogę iść tak samo szybko jak każdy z was – powiedział Galloran. – Niech ktoś inny jedzie na moim koniu.

Tark zakaszał słabo – był to zduszony, piskliwy odgłos, jakby drogi oddechowe miał prawie całkowicie zablokowane. Jechał pochylony i z zamkniętymi oczami. Rachel, Corinne i Aram także byli konno.

Przed nimi pojawiła się przełęcz, głęboki wąwóz, który wcinął się w imponujące góry. Na równej drodze poruszali się jeszcze szybciej. Rachel miała nadzieję, że po tylu milach galopu, konie, które ich ścigały, wreszcie się zmęczą.

Nie dotarli jeszcze do wrót przełęczy, kiedy do ich uszu dotarł odległy huk. Mandibar zarżał cicho.

– Pierwsza pułapka – powiedział Drake. – Mamy szansę, ale niewielką. Najlepiej byłoby, gdybyśmy przyśpieszyli, ale łatwiej powiedzieć niż zrobić, bo zaraz zaczniemy wspinać się na przełęcz.

– Naprzód – ponaglił Galloran, przyśpieszając do truchtu. Dotarli do cienia wąwozu. Strome ściany wznosiły się na imponującą wysokość po obu stronach. Droga zaczęła się wznosić, wszyscy piesi oddychali coraz ciężiej.

Nagle Galloran przystanął i uniósł rękę. Grupa się zatrzyma. Wyciągnął szyję, przechylając głowę na boki.

– Wyczuwam obecność.

– Tam – powiedział Drake, wskazując palcem przed siebie.

Rachel spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła odległą sylwetkę na szczycie ściany wąwozu. Kiedy tylko wypatrzyła ostać, ta skoczyła z wysokości kilkuset stóp z szeroko rozłożonymi rękami i nogami, jakby całe serce włożyła w samobójczy kok na brzuch. W ostatniej chwili przed uderzeniem o ziemię padający czatownik zmienił pozycję i wylądował na drodze na giętych nogach. Chociaż sprawiał wrażenie, że wylądował ze straszliwą szybkością, Rachel nie usłyszała żadnego dźwięku.

Ciemna, pozbawiona rysów postać wyprostowała się, rozkładając ręce. Rachel wyczuła jak przez mgłę rozkaz skierowany do ich wierzchowców.

Konie stanęły dęba. Rachel i Corinne zsunęły się do tyłu z wielkiego rumaka Arama. Rachel miała twarde lądowanie. Z trudem łapiąc oddech, sięgnęła po wodze, kiedy koń rzucił się do ucieczki. Nie zdążyła, chociaż niewiele brakowało. Wyłożyła się jak długa na ziemi. Kilka cali dzieliło jej rękę od zmiżdżenia przez tylne kopyto ogiera.

Unosząc głowę, zobaczyła, że Aram przywarł do boku siodła Mandibara. Wyrwawszy zawiniątko ze swoimi rzeczami, drobny mężczyzna spadł na ziemię; podskakiwał i turlał się, obejmując uratowane wyposażenie. Tark wypadł z siodła z nogą w strzemieniu i został pociągnięty kilkanaście jardów po drodze, wzbijając kurz, zanim udało mu się uwolnić stopę.

Wszystkie trzy pozbawione jeźdźców konie pogalopowały w dół przełęczą.

Rachel zawołała do nich po edomicku, prosząc, żeby wróciły. Nie miała pewności, czy w ogóle ją usłyszały.

– Cokolwiek się wydarzy – przykazał chrapliwym głosem Galloran – nie podejmujcie żadnych agresywnych działań wobec czatownika.

Wyciągając miecz, podszedł prosto do ciemnej postaci blokującej im przejście, jakby ją widział.

– Sługo zła – przemówił – stań na mej drodze, a czeka cię koniec, ponieważ tym ostrzem odesłałem na tamten świat już innych twojego rodzaju.

– Nie – szepnął Jason.

Z mieczem w gotowości Galloran ruszył bez wahania. Rachel wstrzymała oddech. Kiedy czatownik znalazł się prawie w zasięgu ostrza, przykucnął i wskoczył na ścianę wąwozu, a potem kolejnym potężnym skokiem poszybował nad Galloranem, wylądował i popędził przed siebie. Jak ciemna smuga śmignął drogą, którą pobiegly konie.

Rachel zapało dech na widok nie ludzkiej szybkości czatownika. Odwróciła się i zobaczyła, że Jason przygląda się Galloranowi ze zdumieniem.

– Jak pan tego dokonał? – zapytał.

– Torivor wiedział, że mówię prawdę – odpowiedział Galloran, chowając miecz. – Nieuzbrojony

poległby.

– Ale pan jest niewidomy – powiedział Jason.

– Potrafię wyczuć umysł czatownika – odpowiedział. – Wiedziałem, gdzie stoi. On wiedział, że ja wiem. Poza tym nie miał tu już nic do roboty. Udało mu się nas spowolnić i teraz pośpieszył, żeby ponaglić naszych wrogów. Ten wyścig przybrał fatalny obrót.

– Tark jest ranny! – zawołał Ferrin, przykucając obok muzyka.

Tark nie poruszył się, odkąd wyplątał nogę ze strzemienia.

– Jest przytomny? – spytał Galloran.

– Nie.

Galloran westchnął.

– Rachel, jest jakaś szansa, że wezwiesz konie z powrotem?

– Próbuję – odpowiedziała.

– Mogę jednego przyprowadzić – zaoferował się Nedwin.

Galloran pokręcił głową.

– To by kosztowało nas zbyt wiele czasu. Kto poniesie Tarka?

– Gdzie moje rozmiary, kiedy są potrzebne? – lamentował Aram.

Ubrania miał podarte i brudne po upadku, ale poza tym wyglądał na całego i zdrowego, z wyjątkiem kilku rozcięć i zadrapań.

– Ja go poniosę – powiedział Drake i podbiegł do muzyka.

Ferrin pomógł mu ułożyć Tarka na ramieniu. Kurz wzbił się z płaszcza muzyka. Włosy Tarka były pozlepiane ziemią i krwią.

– To twoje rzeczy? – spytał Ferrin Arama.

– Zostawcie mnie z nimi. Dajcie mi dziesięć kul orantium, a kupię wam trochę czasu.

– Daj mi miecz – powiedział Ferrin.

– A ja poniosę kolczą koszulę – zaproponował Nedwin.

Z zamkniętymi oczami Rachel przyzywała konie. Wyobraziła je sobie dokładnie. Dlaczego nie mogły wrócić? Czyżby czatownik trącił jakąś pierwotną strunę, wzbudził panikę? A może zagraadzał im drogę?

W oddali usłyszała kolejny wybuch, bliżej niż poprzedni.

– Druga pułapka – rzekł Drake. – Zbyt szybko się zbliżają.

– Dlaczego nie zjadą z drogi? – spytał Jason. – No wiesz, nie pojadą równolegle? Ile potrzeba min, żeby zaczęli myśleć?

– Większość terenu poza drogą jest bardzo wyboista – wyjaśnił Drake. – Jeśli z niej zjadą, nie złapią nas.

– Jesteśmy gotowi ruszać? – spytał Galloran.

Nedwin zarzucił kolczugę na ramiona i w roztargnieniu pomasował pierś.

– Gotowy.

Ruszyli w górę przełęczą. Rachel nadal przywoływała konie. Powtarzała im, żeby się uspokoiły, i przeplatała to z prośbą o powrót. Nachylenie drogi wkrótce stało się torturą dla jej zmęczonych mięśni. Ona i jej towarzysze szli zlanii potem. Droga wiła się i zakręcała, nie pozwalając spojrzeć daleko za siebie ani przed siebie. Znużona drużyna wlekła się, nie dając rady iść szybciej niż dziarskim spacerkiem. Corinne wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć. Rachel brnęła przed siebie otępiała, wspinając się na grań tylko po to, żeby zobaczyć, że przełęcz ciągnie się dalej do przodu i w górę, i nigdzie nie widać jej końca.

Za nimi rozległ się tętent kopyt. Rachel ogarnęła nagła panika, ale zaraz poczuła ulgę, gdy pojawiła się jej klacz i Mandibar. Drake przerzucił Tarka przez siodło i kazał wsiąść na konia Corinne, żeby go przytrzymała. Galloran wsiadł na klacz. Pośpiesznie upakowano rzeczy Arama na Mandibara.

Dzięki koniom zdołali nieco przyspieszyć. Skutki wysiłku bez odpoczynku i braku snu zaczynały dopadać Rachel. Oczy ją szczypały, nogi bolały, gardło miała wysuszone. Jason szedł ze spuszczoną głową.

Kiedy trzeci wybuch zabrzmiał za nimi, Rachel się skrzywiła. Wybuch rozległ się o wiele bliżej niż poprzedni.

– To blisko miejsca, gdzie zesliśmy na drogę – powiedział Drake. – Musieli ostro galopować, żeby dojechać tam tak szyb. Konie mogą być zmęczone.

– Nie – przestrzegł ich Galloran. – Czatownik może biec za nami i je popędzać, a wtedy tylko śmierć spowolni te rumaki.

– W takim razie mogą nas dogonić, zanim dotrzemy do bramy – powiedział Drake.

– Mogę wspiąć się po ścianach wąwozu – zaproponował Nedwin. – Widzę miejsce, gdzie orantium mogłoby wywołać winę. I będę poza ich zasięgiem. Potrzebuję tylko kul.

– Daj mu też burzyciela – polecił Galloran.

Dorsio natychmiast przygotował dla Nedwina plecak z kulami i orantium, w tym jedną większą.

– Przy bramie zaczną się negocjacje, żeby nas wpuszczono – powiedział Drake. – Galloran powinien jechać przodem.

– Tark, Rachel i Corinne pojedą ze mną – zdecydował Gallo. – Resztę niech dopilnuje, żeby mieć pod ręką orantium. Nedwin już zręcznie wspinał się po ścianie wąwozu. Dorsio sprawdził, czy wszyscy mają kule z orantium.

– Siądź przede mną, żebyś mogła kierować koniem – powiedział do Rachel Galloran.

– Nie zostawiamy ich, żeby stoczyli walkę na śmierć i życie, prawda? – upewniła się Rachel, wsiadając.

– Próbuje wszystkich doprowadzić w bezpieczne miejsce – zapewnił Galloran. – Muszą być jednak przygotowani na najgorszą ewentualność.

Konie popędziły. Rachel zachęcała je po edomicku. Drake nie oszczędzał wcześniej Mandibara, a chociaż klacz nie musiała poprzednio szybko biec, pokonywała trudny teren bez przerwy całą noc i przez

część dnia. A kto wie, jak długo konie biegly, żeby okrążyć Ziemię Zatopione? Mimo to, oba zdobyły się na szybki kłus, więc Rachel szybko oddaliła się od przyjaciół.

Droga stawiała się coraz bardziej stroma, prowadząc zakosami w góry. Rachel starała się nie myśleć o Jasonie i pozostałych, którzy będą musieli przebyć tę samą drogę pieszo, ścigani przez kawalerię.

Wyjechali zza zakrętu i nareszcie ukazały im się potężne fortyfikacje u wylotu przełęczy, zamykające wąwóz niczym tama. Podniesiony most zwodzony sprawiał, że imponujące mury wydawały się jeszcze mniej gościnne.

W miarę jak się zbliżali, kolejne szczegóły ukazywały się ich oczom. Widać było żołnierzy na blankach nad bramą. Dwa bordowe sztandary ozdobione wizerunkiem złotych szczytów zwisały z masywnych granitowych murów. Dziesiątki otworów ciągnęły się po obu stronach przełęczy ponad bramą. Rachel dostrzegła w niektórych twarze i uznała, że to szczeliny pozwalające obrońcom strzelać z łuków z tuneli wydrążonych w stoku.

Zwolniła, kiedy dotarli do podnóża muru. Obok niej zatrzymała się Corinne. Ściana miała ponad pięćdziesiąt stóp wysokości, a przed nią biegł głęboki rów ze szpikulcami jeżącymi się na dnie.

– Jesteśmy dostatecznie blisko, żeby zwrócić się do strażników? – spytał Galloran.

– Może jeśli pan krzyknie – zgadywała Rachel.

Galloran zsiadł z konia i zawołał:

– Witajcie dzieci Eldrina! Czy ktoś z was może przyprowadzić kapitana?

– Jestem Halak, najwyższy kapitan Zachodniej Bramy – odpowiedziała wysoka postać na górze. – Byliśmy świadomi, że podążasz, wędrowcze. Dlaczego ściągnąłeś rozlew krwi do naszych drzwi, choć nie ukrywamy faktu, że brama ta jest zamknięta dla przybyszów z zewnątrz?

– Nie otworzycie jej dla honorowego rodaka?

– Do kogo się zwracam?

– Jam jest Galloran, dziedzic tronu Trensicourt i zaprzysiężony sprzymierzeniec ludu Amar Kabał.

Kapitan się zawahał.

– Jeśli mówisz prawdę, to co sprowadza cię do granic naszego kraju bez zapowiedzi?

– Jeśli mówię prawdę? – Galloran powtórzył z niedowierzaniem. Zerwał szmatę z oczu, odsłaniając poblížnione oczodoły. – Kiedyś często odwiedzałem te doliny. Lata nie obeszły się ze mną łaskawie i teraz noszę brodę, ale czy żaden człowiek na murach nie poznaje mojej twarzy?

– Proszę o wybaczenie – odpowiedział Halak. – Dlaczego pragniesz wejść na naszą ziemię?

– Oficjalnie uznano mnie za przyjaciela Amar Kabał. Pragnę powołać się na moje prawo i przedstawić propozycję Konklawe.

– Zatem nie pragniesz przekroczyć bramy, by uniknąć cesarskiego pościgu?

– Jeźdźcy, którzy nas ścigają, to konsekwencja mojej wizyty, a nie przyczyna. Wyruszyliśmy z Fortaim wiele dni temu, od początku mając za cel to miejsce.

– Niezależnie od twoich intencji, zważywszy na okoliczności, wpuszczenie cię zagrozi naszym

kruchym relacjom z Felrook.

Galloran założył z powrotem opaskę na oczy.

– Dziesiątki cesarskich żołnierzy najechały neutralne terytorium między waszą bramą i Ziemią Zatopionymi, żeby ścigać mnie i moich towarzyszy. Cesarz już otwarcie pogwałcił traktat. Jego jeźdźcy ścigają nas wózem. Jeśli będą mieli okazję, zabiją nas tuż pod waszą bramą.

– Jesteśmy świadomi ich ruchów – odparł ostrożnie Halak.

– Zjawiliśmy się z hołdem wielkości pięćdziesięciu kul orantium, w tym dwóch większych zwanych burzycielami. Wyobrażam sobie, że nie spodobałaby się wam myśl, że te materiały wybuchowe wpadną w ręce wroga.

– Łapówka i groźba na jednym oddechu. Co powinienem rozważyć?

– Ani jedno, ani drugie. Doskonale znam wasze prawa. Dopóki nasza przyjaźń nie zostanie odwołana, mam prawo wedle własnej woli przekraczać tę bramę. Mojego statusu może pozbawić mnie jedynie decyzja większości Konklawe w czasie przesłuchania, kiedy otrzymam też możliwość przemówienia we własnej obronie.

– Nie mogę odrzucić twoich roszczeń, jednak uprzywilejowany status nie obejmuje twoich towarzyszy.

– Mogę ręczyć za każdego z moich dziewięciu kompanów, Kiedy ostatnim razem odwiedzałem twoje królestwo, moje słowo wystarczyłoby zawiązką, żeby zapewnić im serdeczne powitanie. Rozumiem, że czasy się zmieniły. Nie zjawiłem się, żeby nadużyć moich przywilejów. Udziel nam wstępu na tydzień bym mógł przedstawić doniosłe informacje waszemu Konklawe. Poskarżcie się Felrook, że powołałem się na swoje prawa Z własnej woli odejdziemy, kiedy załatwię swoje sprawy z waszą starszyzną. Jeśli wasi przywódcy tak zdecydują, możecie wtedy oddać nas sługom cesarza. Żadna krzywda się nie stanie waszemu delikatnemu traktatowi.

– Kim są twoi towarzysze? Zliczyłem trzech.

– To jest Tark, były muzyk z Zawrotnej Dziewiątki, który wymaga natychmiastowego leczenia z powodu zgnilizny płuc i który niedawno zwrócił nasiono Jashera strażnikom Wschodniej Bramy. Wybaczcie mu, że jest nieprzytomny. Jedzie z moją córką, Corinne. Towarzyszy nam także Pozaświatowiec imieniem Rachel, obiecująca adeptka edomickiego.

– A pozostali?

– Zostały już tylko dwa z naszych koni. Reszta towarzyszy podąża za nami pieszo. Mój osobisty strażnik Dorsio, nie jest tu obecny, tak samo jak mój pomocnik, Nedwin, niegdyś z rodu Geer i Ferrin, mój główny zwiadowca. Podróżujemy także z Aramem, przemytnikiem z Ithilum, lordem Jasonem z Caberton, Pozaświatowcem, który dołączył do naszej walki z Maldorem oraz Drakiem z Amar Kabał.

– Drake, syn Hessita?! – wykrzyknął Halak. – Przyjął zaproszenie do Harthenham!

– I niedawno wywalczył sobie drogę na wolność – dodał Galloran.

– Dobrze więc – odpowiedział Halak. – Jesteś człowiekiem o wielkiej sławie, Galloranie. Wpuszczę

ciebie i twoich towarzyszy. Przedstawisz swoją sprawę Konklawe. Ostrzegam jednak: możliwe, że nie unikniecie pojmania, a jedynie je odwlekacie.

– Rozumiemy.

Halak dał znak i wzmacniany żelazem most zwodzony opadł z brzękiem, spinając brzegi okopu u podnóża murów. Galloran wspiął się na konia i usiadł za Rachel. Kiedy cała grupa przejeżdżała przez most, Rachel zerknęła w dół do rowu na gęstwinę szpikulców.

Mur był dość gruby. Miał dwie opuszczane kraty, teraz uniesione i ogromne otwarte wrota przy drugim końcu. Na wybrukowanym dziedzińcu za bramą wielu żołnierzy stało na baczność, większość odziana w skórzane zbroje. Grupa co najmniej dwudziestu siedziała w siodłach. Mężczyźni byli uzbrojeni głównie w miecze i włócznie. Kilka kobiet trzymało łuki. Wszyscy mieli część włosów zwiniętych na karku. Jasher wyjaśnił im kiedyś, że taka fryzura pomaga ukryć i chronić nasiona.

W niższej części wąwozu rozległa się seria wybuchów. Rachel obejrzała się z rozpaczą. Dudniące echo zmąciło dźwięki kanonady. Po kilku kolejnych wybuchach huk ucichł.

Halak szybko zszedł po kamiennych schodach z jedną ręką na rękojeści miecza u pasa. Ten wysoki mężczyzna o wyrazistych brwiach podszedł zdecydowanym krokiem do koni, kiedy Galloran zsiadał z wierzchowca.

– Kłopoty podążają za wami przełęczą – powiedział Halak.

Galloran odwrócił się ku niemu i odpowiedział spokojnie:

– Kapitanie Halak, czy wyślesz jeźdźców, żeby odeskortowali moich towarzyszy, którzy podróżują pieszo?

– Obserwowaliśmy ruchy tych, którzy was ścigają – odpowiedział nasiennik. – Jeśli pozwolimy sobie na wypad, może to doprowadzić do poważnej konfrontacji.

– Jeśli się zawahacie, cesarskie siły zamordują przybywających w imię przyjaźni gości na przełęczy pod waszymi drzwiami. Rozumiem, że relacje z Felrook są napięte, ale obaj wiemy, I że Maldor nie szanuje słabości. Nie napotkacie znacznego oporu. Z zasadzki, której echo właśnie słyszeliście, wyszło nie więcej niż dwudziestu wrogów.

Halak dał sygnał, a potem pomógł odprowadzić dwa wierzchowce z Rachel, Corinne i Tarkiem do miejsca znajdującego się z dala od bramy. Dwudziestu jeźdźców pogalopowało przez bramę i po zwodzonym moście.

Halak podszedł do Gallorana i powiedział coś, co było przeinaczone tylko dla jego uszu. Rachel wysiliła się, żeby ich podsłuchać.

– Bardzo bacznie obserwowaliśmy wasze ruchy na neutralnej ziemi i na przełęczy. Wzdłuż krawędzi wąwozu mam swoich wartowników. Dysponujemy sprawnym systemem sygnałowym, dzięki czemu cały czas byłem poinformowany. Wysłałbym ludzi wcześniej, gdyby interwencja była konieczna. Nasi jeźdźcy dotrą do twoich przyjaciół przed wrogiem, do wszystkich z wyjątkiem samotnego człowieka, który wspiął się po ścianie wąwozu. Największe niebezpieczeństwo, jakie obecnie mu grozi, to zdradliwe

zejście.

– Jestem ci ogromnie wdzięczny – odpowiedział Galloran. – Sprowadzenie jeźdźców, którzy już czekali w pogotowiu, wymagało precyzyjnego planowania.

– Moje niegrzeczne powitanie na murach było podyktowane haniebną polityczną koniecznością. Są wśród nas rzecznicy izolacjonizmu, których trzeba zadowolić. Przemawiając do lękliwych, zyskali dostateczne wpływy, by narobić poważnych kłopotów.

– Doceniam twoje wyjaśnienia – odpowiedział Galloran. – Uwierz mi, że pojmuję aż zbyt nagłą potrzebę ostrożnych politycznych manewrów.

– Wiele oczu obserwowało to, jak cię powitałem. Dziękuję, że zniósłeś pozbawione szacunku przyjęcie i przedstawiłeś tak przekonujące powody, bym mógł wpuścić ciebie i twoich towarzyszy. Twoja siła przekonywania pozwoliła mi dobrze wywiązać się z obowiązku.

Halak podszedł do Tarka i kciukami rozchylił mu usta.

– Wasz towarzysz jest poważnie chory.

– Choroba szybko postępuje, a stan pogorszył się z powodu trudów podróży – powiedział Galloran.

– Powierz go naszej opiece.

Halak pomógł Corinne zsiąść, a potem podał wodze Mandibara kobiecie, która odprowadziła konia. Druga kobieta przytrzymała Tarka w siodle.

– Czy mogę zaprowadzić was w wygodniejsze miejsce?

– Być może młode damy – odpowiedział Galloran. – Ja wolę poczekać, aż pozostali wrócą bezpiecznie.

– Ja też – wtrąciła Rachel.

– I ja – dodała Corinne.

– Dobrze więc – odparł Halak. – Zaraz wrócę.

Rachel nasłuchiwała uważnie. Następna seria wybuchów rozlegnie się, kiedy wrody jeźdźcy dopadną Jasona albo pozostałych. Czekanie było katorgą.

Im dłużej niczego nie słyszymy, tym bardziej prawdopodobne, że niczego nie usłyszymy – przekazał jej telepatycznie Galloran.

Czy pan właśnie czytał mi w myślach? – spytała Rachel.

Kiedy nauczyłaś się mówić bez słów, twój umysł stał się dla mnie bardziej otwarty – wyjaśnił Galloran.

Ale nie wszystkim potrafi pan czytać w myślach?

Tylko w myślach innych istot, które potrafią mówić bez słów, jak czarnoksiężnicy albo torivorowie. Na przykład, nie słyszę myśli Nedwina ani on moich, choćbym niewiedomo jak usilnie starał się je przesłać.

Rachel zastanowiła się nad tym.

Jednak czytał pan w moich, chociaż nie próbowałam do pana, mówić.

To zdolność, która odróżnia mnie od wielu. Z tych, którzy potrafią słyszeć myśli, większość wychwytuje tylko te wrażenia, które są celowo wysyłane.

Rachel zerknęła na Corinne.

Trochę wyłączyliśmy pańską córkę z rozmowy.

Ja też was słyszę – przekazała Corinne.

Tak – potwierdził Galloran – Corinne i ja prowadzimy rozmowy w myślach, odkąd opuściliśmy bagna. Gdybyś się wysiliła, mogłabyś słuchać.

Często rozmawiałam w ten sposób z Madeline – wyjaśniła Corinne. Powiedziała mi, że tego typu dar jest często dziedziczny.

Mówisz po edomicku? – spytała ją Rachel.

Z niewielką mocą – odpowiedziała Corinne. W dobry dzień przy ogromnym wysiłku potrafię zapalić mały ogień. Niewiele potrafię poza tym. Jednak mówienie bez słów przychodzi mi naturalnie.

Wrócił Halak.

– Mam wieści. Dobrego człowieka wysłałeś na zbocze. Spuścił taką lawinę, że zablokował przełęcz. Cesarscy żołnierze ponieśli wielkie straty. Konie nie zdołały wspiąć się po gruzowisku, więc ci, którzy przeżyli, próbowali przejść pieszo, ale wycofali się na widok naszych jeźdźców.

– Jak się ma człowiek, który wszedł na zbocze? – spytał Galloran.

– Czeka na niego większość naszych jeźdźców.

– Nikomu nic się nie stało? – dopytywała się Rachel.

– Wasi towarzysze już tu jadą – odpowiedział Halak.

Rozdział 18

Siedem Dolin

Żołnierze przy Zachodniej Bramie mieszkali w tunelach wyłobionych w górskich zboczach. Kapitan Halak zadbał, żeby posiłek podano w jego prywatnych kwaterach. W pokoju, do którego zaprowadził Jasona i pozostałych, stał długi, niski stół otoczony dwunastoma matami. Dwa okrągłe okna i kilka lamp oliwnych zapewniały światło.

Na wypolerowanym stole stały plecione kosze z chlebem, serem, orzechami, owocami i warzywami. W drewnianych misach podano zupy i słodkie desery, a do tego dzbanki soku, mleka i wody. Zachęciwszy gości, żeby się częstowali, Halak wyszedł.

– Niewiele tu mebli – zauważył Jason.

– Amar Kabał cenią prostotę – wyjaśnił Galloran. – Mieli wiele żywotów, by wybrać najlepszy sposób na życie.

– Słyszałem, że mają ogromne jaskinie pełne skarbów – powiedział Aram.

– Istnieje ryzyko, że ktoś nas podsłuchuje? – spytał Ferrin.

– Halak zapewnił mnie, że to prywatna kwatera – odparł Galloran. – Rozumie, że potrzebujemy miejsca, by się naradzić.

Drake otworzył drzwi do szafki i zaczął w niej myszkować.

– To tłumaczy, dlaczego tak szybko wyszedł. Nie chce też, żeby oskarżono go o to, że się z nami naradzał. Znam Halaka. To nie jest zły człowiek, ale z wielką ostrożnością dba o swoje interesy.

– Otworzył bramę – zwrócił uwagę Galloran.

– Jak powiedziałem – odparł Drake, zamykając drzwi szafki – nie jest złym człowiekiem.

– Czy ich skarb to zakazany temat? – spytał Aram.

– W przeciwieństwie do większości opowieści o ukrytym bogactwie, ta jest prawdziwa – powiedział Galloran. – Lud Amar Kabał przechowuje ogromne zapasy jedzenia i cennych przedmiotów w sekretnych jaskiniach. To roztropni ludzie. Wybrali Siedem Dolin na swoją ojczyznę ze względu na to, że jest to miejsce dogodne do obrony. A głęboko w górach na nasienników czekają awaryjne twierdze.

– Zbyt wielu członków z mojego ludu ma obsesję na punkcie ochrony swojego długiego życia – narzekał Drake. – Kiedy pojawiła się groźba pod postacią Maldora, pewni krótkowzroczni przywódcy zaczęli zerować na naszej ostrożnej naturze ze szkodą dla nas samych. Jeśli nadal będziemy unikać konfrontacji z cesarzem, być może będziemy ostatnim królestwem, które upadnie, ale z pewnością upadnie, a wtedy Maldor spali nasze nasiona.

Galloran usiadł na macie, krzyżując nogi.

– Jeżeli twoi ludzie pogodzą się z tymi faktami, może uzyskamy potrzebną nam pomoc.

– Powodzenia – powiedział Drake. – Bezowocne debaty wpłynęły na moją decyzję, żeby trzymać się z dala od Siedmiu Dolin.

Jason usiadł między Rachel i Corinne. Po wielu dniach wyczerpującej podróży obfitość świeżego jedzenia sprawiła, że omal nie napłynęły mu do oczu łzy. Złapał grubą pajdę ciemnego chleba i odgryzł kawałek. Krzepkie i zwarte pieczywo nasączono miodem.

– Ten chleb jest niesamowity – powiedział.

– Nigdzie nie znajdziesz lepszego chleba ani warzyw – powiedział Galloran.

Jason był świadomy tego, że Corinne je obok niego. Tak piękne dziewczyny umawiają się z rozgrywającymi i gwiazdami rocka. Nie powinny zamieszkiwać prawdziwego świata. Mimo głodu starał się zachować przy jedzeniu najlepsze maniery.

Aram podniósł długie guzowate warzywo. Odgryzł koniuszek i skrzywił się niezadowolony.

– Nie ma mięsa?

– Większość moich rodaków unika mięsa – powiedział Drake. – Niektórzy podają czasem rybę albo drób. Sam lubię zjeść gruby stek albo słoną szynkę, ale to plasuje mnie wśród mniejszości.

– Amar Kabał chcą mieć gibkie i mocne ciała – wyjaśnił Galloran. – Podobnie wystrzegają się substancji uzależniających, w tym mocnych napitków.

Aram pokręcił głową, mieszając zupę.

– Nie pojmuję sensu przeżywania setek żywotów bez wołowiny, sarniny i baraniny.

– Popieram – wtrącił Ferrin. – Z drugiej strony, te ogórki nie są złe.

Jason skończył chrupać orzechy.

– Słyszałem, jak rozmawialiście o konklawe.

– Amar Kabał cenią sobie doświadczenie – powiedział Galloran. – Panuje tu gerontokracja. Ich rząd, Konklawe, składa się z najstarszego żyjącego członka Amar Kabał, wraz z dwoma mężczyznami i dwiema kobietami następnymi pod względem wieku, gotowymi wziąć na siebie tę odpowiedzialność.

– Ta piątka przywódców zdecyduje, czy lud Amar Kabał nam pomoże? – upewnił się Aram.

– Oni mają ostateczne słowo – potwierdził Drake. – Otaczają ich jednak doradcy, a każdy członek Amar Kabał może wypowiedzieć się na dowolny temat. Nasi przywódcy słuchają ludzi.

– Potrzebujemy Amar Kabał – powiedział Galloran. – Ich kobiety są najlepszymi łucznikami w Lyrianie. Ich mężczyźni to najbardziej sprawdzeni wojownicy. Ich przywódcy mają wielowiekowe doświadczenie. A co najważniejsze, jeśli do nas dołączą, o wiele łatwiej będzie zwerbować inne nacje.

– Najpierw jednak muszą przestać trzymać się kurczowo swojego neutralnego statusu – powiedziała Corinne.

– Na tym polega nasz problem – zgodził się Galloran. – Bezczynny ma tendencję pozostać beczynnym. Bierność stała się normą tak dawno, że trudno będzie podburzyć nasienników do działania. Kiedy ostatni raz naradzałem się z Pallasem, najstarszym członkiem Amar Kabał, pomógł mi podjąć

decyzję, żeby spróbować zniszczyć Maldora, odnajdując Słow klucz. Nadzieja na proste rozwiązanie była zbyt kusząca, żeby się jej oprzeć. Teraz sytuacja się zmieniła. Naszą jedyną realną szansą jest skoordynowane powstanie przeciwko cesarzowi. Muszę obudzić lud Aram Kabał, by dostrzegł rzeczywistość, by zrozumiał, że utrzyma neutralny status tak długo, jak długo działa on na korzyść Maldora.

– To będzie żmudna walka – powiedział Drake. – Wielu pośród nas próbowało zaalarmować pozostałych.

– Nadal pracuję nad strategią – odrzekł Galloran. – Mam jednak wyjątkową pozycję, mogąc obiecać pomoc z zewnątrz i wnosząc do dyskusji nową perspektywę. Mogę też oznajmić, że Słowo to oszustwo, i co za tym idzie, usunąć pretekst do dalszego czekania.

Drake przełknął kawałek chleba.

– Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli pan zawiedzie, wielu spośród naszych przywódców z radością przypochlebi się Felrook, wydając pana wrogowi?

– Jestem tego świadom – powiedział Galloran.

– A wtedy pozwolimy Nedwinowi, żeby spuścił na nich deszcz orantium – dorzucił gładko Ferrin.

– Nedwin naprawdę nas dzisiaj ocalił – powiedział Jason.

Rudzielec sprawiał wrażenie zakłopotanego pochwałami. Potarł knykciami o pierś.

– Miałem szczęście. Sporo ryzykowałem, posługując się burzycielem, żeby wywołać lawinę. Wysadził większy kawał urwiska niż się spodziewałem. Rzuciłem kulę daleko, poleciała spory kawał, zanim wybuchła, a i tak ledwie się utrzymałem, kiedy góra się zatrzęsała.

Możliwe, że zmarnowałem kilka następnych kul, które rzuciłem. Chmura pyłu przesłoniła dno wąwozu.

– Dałeś tutejszym strażnikom nowe zadanie – powiedział Drake. – Minie trochę czasu, zanim uprzątną rumowisko. Jestem jednak pewien, że znajdą zastosowanie dla odłamków skalanych. Pod tym względem jesteśmy niezwykle zaradni i gospodarni.

Jason spróbował ciemnozielonego owocu z kępką jedwabiscie białych pasemek. Maleńki owoc był słodszy od czystego cukru i Jason aż zakaszał zaskoczony.

– Co to jest?

Kilka osób przy stole się roześmiało. Ferrin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Qualiny służą jako słodzik.

Jason polizał kawałek owocu, który utknął mu między zębami. Papkowaty miąższ nadal wydzielał słodycz, dopóki nie wypadł spomiędzy zębów i Jason go nie przełknął.

– Często tu pan bywał? – spytał Gallorana Aram.

– Odwiedzałem to królestwo trzy razy – padła odpowiedź. – Raz zostałem tu na kilka miesięcy. Pozostałe pobyty były krótsze.

– Czy Siedem Dolin to rozległy obszar? – spytała Rachel.

– Większy niż podejrzewają przybysze z zewnątrz – odpowiedział Drake. – Siedem głównych dolin obejmuje Dolinę Szeroką, Zakrzywioną, Długą, Środkową, Okrągłą, Głęboką i Odległą. Są jeszcze dziesiątki mniejszych odnóg od głównych dolin oraz kilka odciętych dolin wyżej w górach.

Galloran otarł usta serwetką.

– Jutro udamy się do Długiej Doliny, gdzie zbiera się Konklawe. Podróż zajmie nam większość dnia.

– I to bez mięsa w zasięgu wzroku – nachmurzył się Aram. – Co jest z tymi ludźmi? Te nasiona odebrały im rozsądek.

– Nie słyszałeś, co Ferrin mówił o pysznych ogórkach? – droczył się z nim Jason.

– Cały dzień zmuszałem nogi do ruchu myślą o solidnej pieczeni na końcu drogi – naburmuszył się półolbrzym.

– Nie mogę uwierzyć, że mówisz takie rzeczy przy ogórkach – zbeształa go Corinne, odgryzając z rozmysłem kawałek warzywa i zerkając porozumiewawczo na Jasona.

– Corinne, czy to był żart? – zapytał Ferrin, udając zdumienie. – Witaj w rozmowie!

Dziewczyna zarumieniła się onieśmielona.

– Jeśli spodziewamy się jutro kolejnej podróży, to może powinniśmy załatwić sobie konie – mówił dalej Ferrin. – A jeśli będzie świeciło słońce, to może też kozę dla Arama.

– Śmiało, nie hamuj się – judził go Aram z zaciśniętymi zębami.

– Kozą jest za duża i zbyt narowista? – spytał Ferrin. – Może uda się założyć siodło szopowi.

– To dziwne, jak te kpiny kończą się po zachodzie słońca – warknął Aram, odgryzając wielki kęs chleba.

– Jednakże potem zawsze nastaje nowy świt – odpowiedział Ferrin. – A nam wszystkim przyda się trochę rozrywki.

– To może dzisiaj wieczorem rozerwę cię na kawałki i dam pozostałym jako układankę – warknął Aram.

– I o to chodzi! – przyklasnął mu Ferrin. – Odgryzaj się! Wyczuwam, że rzadko musiałeś radzić sobie z kpina.

Aram wyglądał, jakby powstrzymywał uśmiešek zadowolenia.

– Halak zaproponował nam nocleg – powiedział Galloran. – Chyba powinniśmy udać się na zasłużony spoczynek.

– Sprawdzić, co z Tarkiem? – zapytał Jason.

– Jest w dobrych rękach – zapewnił go Galloran. – I niemal na pewno leży nieprzytomny. Odwiedzimy go rano.

Wszyscy wstali. Jason się przeciągnął. Nedwin zatoczył się, podparł, opuścił głowę, potarł pierś, a potem poleciał na stół. Wylądował, nawet nie próbując powstrzymać upadku. Zmiażdżył koszyki, a twarzą potarł drewnianą misę z pokrojonymi w kostkę owocami ze śmietaną.

– Co się stało? – spytał Galloran.

– Nedwin zemdłał – odpowiedziała mu Rachel.

Ferrin i Drake już ściągali go ze stołu na podłogę.

– Niech to! – wykrzyknął Galloran. – Sprawdźcie mu usta.

Drake już ocierał śmietaną ze zwiotczącej twarzy Nedwina i rozwierał mu szczęki.

– Zaawansowana zgnilizna płuc – powiedział, mrużąc oczy z obrzydzenia. – Gorzej niż u Tarka.

– Powinienem być wiedzieć – mruknął Galloran. – Niech ktoś pobiegnie po Halaka. Musimy zapewnić Nedwinowi natychmiastowe leczenie. Oddycha?

– Ledwie – powiedział Drake.

– Obserwujcie go – przykazał Galloran, podczas gdy Corinne i Aram wybiegli z pokoju. – Nedwin nie czuje bólu i nie zauważa wielu dolegliwości. Pewnie wiedział, że coś jest nie tak, ale nie docenił powagi sytuacji. A może po prostu był uparty.

– Jak mógł tego nie czuć? – zdziwił się Drake. – Choroba brawie go zabiła.

– Przez lata był więźniem w Felrook – powiedział Jason. – Eksperymentowali na nim z substancjami wzmacniającymi ból. Przez to jest teraz na stałe znieczulony.

Dwóch nasienników wbiegło do pokoju. Jeden szybko sprawdził usta Nedwina i skrzywił się z odrazą. Podnieśli go, jeden łapiąc pod pachy, a drugi za nogi.

– Zaniesiemy go do namiotu dla chorych, który rozstawiono dla waszego towarzysza – wyjaśnił jeden z nasienników.

Kiedy wyszli z pokoju z Nedwinem, wróciła Corinne.

– Aram nadal szuka Halaka. Strażnicy, których znaleźliśmy, sprawiali wrażenie pomocnych.

– Dobrze się spisałaś – powiedział Galloran. – Miejmy nadzieję, że zdążą z leczeniem.

Następnego ranka, po śniadaniu z gorących płatków zbożowych, Jason towarzyszył Galloranowi, który wybrał się odwiedzić Tarka i Nedwina. Mrukliwy mężczyzna w skórzanej zbroi skierował ich do bramy. Nie będąc przez nikogo popędzanym, Jason mógł lepiej przyjrzeć się ludziom. Większość była wysoka, poważna i nosiła lekkie zbroje, o ile w ogóle. Przeważały ciemne włosy i jasne oczy. Niektórzy mieli część włosów zaplecioną w warkoczyki, inni zostawiali je rozpuszczone.

Kilka osób skinęło do niego głową. Większość zajmowała się swoimi sprawami: rozładowywała zapasy z wozów, regulowała mechanizm przy ogromnej katapulcie, pełniła straż na murach albo balkonach z blankami wystających z górskiego zbocza. Nikt nie podszedł do Jasona albo Gallorana, żeby z nimi porozmawiać.

– Dlaczego nigdy nie słyszeliśmy, żeby Nedwin kaszłał? – zastanawiał się Jason.

– Wątpię, czy czuł potrzebę – odpowiedział Galloran. – Pobyt w Felrook uszkodził mu zmysły. Musiał zauważyć brak tchu, ale należy do tego rodzaju ludzi, którzy takie niedogodności znoszą w milczeniu.

W pobliżu bramy znaleźli małą kopułę namiotu z pozszywanych zwierzęcych skór. Kłapa wejściowa

odchyliła się, kiedy chuda kobieta w średnim wieku wyszła, a za nią wyleciały kłęby dymu.

– Tark jest w środku? – spytał Jason.

Zamrugła kilka razy, wyciskając łzy z zaczerwienionych oczu.

– Tak samo jak Nedwin. Obaj powinni wyzdrowieć. Nedwina nie był pewien aż do zachodu księżyca.

Tark powinien zakończyć leczenie przed dzisiejszym wieczorem, a Nedwin do jutra. Rany na głowie Tarka były powierzchowne. W obu przy przypadkach zgnilizna płuc się cofa.

– Możemy wejść do środka? – spytał Galloran.

– Jeśli chcecie. – Uśmiechnęła się, ukazując drobne ząbki. – powinniście pomyśleć, czy nie wstrzymać oddechu.

– Mogą zarażać? – zaniepokoił się Jason.

Galloran pokręcił głową.

– Leczenie jest nieprzyjemne.

Jason uniósł klapę i, pochylając głowę, wszedł za Galloranem do namiotu. Niski sufit zmuszał ich do ciągłego garbienia się. Tark i Nedwin leżeli na matach rozłożonych na drewnianych pryczach, które zajmowały większość przestrzeni. Jason i Galloran przysiedli między nimi. Gryzące opary unosiły się z glinianych naczyń. Tark oparł się na łokciu i uśmiechnął. Oczy miał straszliwie przekrwione.

– Miło, że o mnie pamiętacie – powiedział, zanim złapał go atak kaszlu.

Wypluł flegmę do wiaderka.

– Dobrze słyszeć, że znowu kaszlesz – powiedział Galloran.

– Czuję się o niebo lepiej – przyznał Tark. – Chociaż oczy strasznie mnie pieką, a w ustach jakbym miał kłęby waty. – Dotknął palcem spierzchniętych ust.

Nedwin nadal leżał na boku, oddychał szybko i płytko, oczy miał zamknięte.

– Powinieneś przed jutrzejszym wieczorem znowu stanąć na nogi – powiedział Galloran.

– Tak mi powiedzieli.

– Jedziemy dzisiaj do Długiej Doliny. Muszę przygotować kilka rzeczy. Przewodnik przywiezie was do nas, kiedy obaj odzyskacie zdrowie. Wypełniajcie wszystkie polecenia opiekunki.

– Nie uwierzyłby pan, jakie lekarstwa kazali mi pić – zwierzył się Tark ze wzdrygnięciem.

Galloran podrapał się po brodzie.

– Uwierzyłbym. Sam byłem raz leczony na zgniliznę płuc. Wyświadczyć sobie przysługę i nie pytać o składniki.

Tark się skrzywił.

– Leczenie jest bez mała gorsze od choroby.

Znowu zakaszał.

– Taką cenę trzeba zapłacić za eksmisję przenoszonych w powietrzu pasożytów. Nedwin odzyskał przytomność?

– Kilka razy – odpowiedział Tark. – Przez cały ranek budził się i odpływał.

Galloran dotknął ramienia Nedwina. Piegus usiadł, mrugając przekrwionymi oczami.

– Najjaśniejszy Pan mnie potrzebuje?

– Przyszedłem się tylko pożegnać – powiedział Galloran. – Ogromnie się cieszę, słysząc, że dochodzisz do siebie.

– Potrzeba czegoś więcej niż grzyba, żeby mnie pokonać Najjaśniejszy Panie.

– Wierzę. Wygląda na to, że jesteś w fachowych rękach. Do ponownego zobaczenia w Długiej Dolinie.

– Mam nadzieję, że czujecie się lepiej – wykrztusił Jason.

Odkąd pierwszy raz odetchnął w namiocie, starał się wstrzymać oddech. Każdy podmuch gryzących oparów sprawiał, że oczy mu płonęły, a nabłonek w ustach nieprzyjemnie mrowił!

Kiedy Tark wychrypiał odpowiedź, Jason wyszedł zgarbiony z namiotu. Łapczywie łapiąc świeże powietrze, przytrzymał klapę dla Gallorana. Już krótki pobyt w przyprawiającej o zawrót głowy atmosferze sprawił, że nogi się pod nim ugiwały. Otarł łzy z policzków.

– Wracamy do pozostałych?

Galloran skinął głową.

Pół godziny później Jason i jego towarzysze jechali na pożyczonych koniach przełęczą do Szerokiej Doliny. Rozległa okolica była podzielona na łąty uprawnej ziemi odżywianej rozległym systemem irygacyjnym. Uprawy rosły bujnie nawet na tarasach na stokach ograniczających dolinę – kolejnych poziomach działek wspieranych przez mury oporowe.

Przeciążone kolbami łodygi kukurydzy były wyższe od Jasona, nawet gdy siedział w siodle. Robotnicy pracowali pośród niezliczonych akrów pszenicy, wiążąc zbiory w złote snopki. Pachnące drzewa rosły w długich rzędach, a ich konary były obficie obładowane owocami. Na jednym polu rosły dynie wielkości volkswagenów garbusów, ogromne, żółte i powykrzywiane jak dziwaczne, rozdęte rzeźby.

Większość budowli, jakie Jason zauważył, to były przysadziste budynki z kwietnymi ogrodami na dachach. Rozpoznał też kilka pozbawionych okien magazynów. Obok wodospadu po ich stronie doliny wznosiła się potężna konstrukcja połączona z masywnym kołem wodnym.

Jason zastanawiał się, czy kiedykolwiek czuł się równie wypoczęty. Wczoraj śmierć znajdowała się raptem kilka minut za nimi. Dzisiaj jechał w spokojnym tempie przez najbezpieczniejszy rejon w Lyrianie. Mata, na której się położył, nie była miękka, ale spełniła swoje zadanie. Spał długo i mocno.

Pod ciepłym słońcem grupa przecinała żyzną dolinę w spacerowym tempie. Mijała pole zdławione splątanim, liściastym pnączem.

– Co to za uprawa? – spytał Jason.

– Opisz ją – poprosił Galloran.

– Pnącza, które wyglądają, jakby ich miejsce było w dżungli.

– To kathory, jedna z podstawowych tutejszych upraw. Owoce wyciągają nieczystości z gleby. Pnącza

gromadzą składniki odżywcze. Kiedy dojrzeją, owoce się wyrzuca, a resztę miesza się z przeoraną ziemią. Rodzaj ludzki nie wymyślił jeszcze lepszego nawozu.

Droga zaczęła wspinać się zakosami na wzniesienie u końca doliny. Kiedy wspięli się na stok, rozciągnęła się przed nimi kolejna rozległa dolina, biegnąc daleko na wschód, gdzie zakręcała. Tak jak w Szerokiej Dolinie, i tu uprawiano każdy skrawek ziemi, ale w tej znajdowało się także jezioro, w którym odbijało się niebieskie niebo. Łodzie rybackie pływały po wodzie, a z daleka wyglądały jak zabawki.

Jedno zakole drogi niżej w stosunku do Jasona i jego towarzyszy, z Zakrzywionej Doliny wyjeżdżała para jeźdźców. Spojrzeli w górę. Jednym był młody mężczyzna, osobliwie podobny do Jashera, jeśli pominąć schludnie przyciętą brodę wzdłuż linii żuchwy i ciemniejsze włosy. Drugim była urodziwa kobieta o uderzająco pięknych oczach w kolorze lodowatego błękitu.

– Galloran?! – zawołała kobieta.

– Czy to Farfalee?

– Masz dobry słuch. – Spięła konia przy ostatnim zakręcie i zsiadła już koło grupy.

Galloran zsunął się na ziemię, a szeroki uśmiech sprawił, że w policzkach pokazały mu się głębokie dołeczki.

– Nie spodziewałem się powitać cię przed Długą Doliną.

– Nie mogłam się doczekać – powiedziała Farfalee.

Podeszła do Gallorana i go objęła. Wysoka i smukła była prawie jego wzrostu. Gęste czarne włosy miała upięte z tyłu w zawiłe warkocze, nosiła ubranie w odcieniach ziemi i szal na ramionach z czegoś, co przypominało skórę łosia. Lata młodości miała już za sobą, ale jej uroda nie zaczęła jeszcze wędnać.

– Witaj, Galloranie – powiedział młody mężczyzna siedzący na srokatym koniu.

– Możliwe, że to Lodan?

– Tak, panie.

– Mówi jak mężczyzna!

– Ceremonia Pierwszej Śmierci odbędzie już za kilka tygodni – powiedziała Farfalee. – Powinieneś wziąć w niej udział.

– Jego Pierwsza Śmierć? Minęło aż tyle czasu? Kiedy ostatnim razem widziałem Lodana, nie sięgał mi do pasa.

Farfalee położyła rękę na ramieniu Gallorana.

– Upłynęło zbyt wiele lat. – Spojrzała na pozostałych z grupy. – Rozumiem, że jeden z was przywiózł nasiono mojego męża do Wschodniej Bramy.

– Chodzi ci o Tarka – wyjaśnił Drake. – On i jeszcze jeden nasz towarzysz zostali przy Zachodniej Bramie i leczą się na zgniliznę płuc.

Farfalee spojrzała chłodno na Drake'a.

– Dlaczego ci, którzy najmniej zasługują na nieszczęście, najbardziej cierpią?

Drake mrugnął do niej żartobliwie.

– Co? Nie powitasz mnie?

– Oszczędzam radość na chwilę twojego odjazdu.

Drake wzruszył ramionami.

– Być może tu zostanę.

– Dopóki nie zostaniesz wygnany. To nie powinno potrwać zbyt długo. Właściwie to czysta formalność.

– Nie denerwuj się, Failie – powiedział, odwracając się i unosząc włosy na karku. – Niedługo i tak się mnie pozbędziesz.

Farfalee zdusiła okrzyk, zakrywając rękami usta.

– Twój amar!

– Karma przemówiła – odparł Drake.

Łzy zabłyśły w jej oczach.

– Och, Drake. Nie miałam pojęcia.

– Co się z nim stało? – zapytał Lodan, marszcząc z troską czoło.

– Moje nasiono nie uformowało się prawidłowo, kiedy ostatnim razem się odrodziłem – wyjaśnił Drake. – To będzie moje ostatnie życie. Pogodziłem się z tym faktem. Nie wiem, czy jakikolwiek słabszy bodziec sprawiłby, żebym znowu zaczął cieszyć się życiem.

Farfalee z zakłopotaniem skubała szal.

– W takich okolicznościach myślę, że zdołam przekonać Konklawe, by odroczyło wszelkie...

Drake zaśmiał się.

– Myślisz, że przejmuję się decyzją Konklawe na mój temat? Będę uważał banicję za honorowe wyróżnienie. Martwiłbym się tylko tym, gdyby chcieli mnie tu zatrzymać. Wykorzystaj swoje wpływy, by przekonać tych starych ramoli, żeby pozwolili naszym ludziom przetrwać.

Farfalee westchnęła.

– Twój urok osobisty nigdy nie przestaje mnie zadziwiać.

Jason spojrzał na Lodana.

– Jasher to twój ojciec?

Drake uderzył się w czoło.

– Zapomnieliśmy wszystkich przedstawić! Lodan to syn Farfalee i Jashera. Farfalee to moja najstarsza siostra. – Drake przedstawił potem Jasona i pozostałych. – To właśnie lord Jason pomógł mi znaleźć wolę, by porzucić Harthenham.

– Sprawileś, że zmienił zdanie w jakiejś kwestii?! – wykrzyknęła Farfalee. – Z pewnością musisz być czarodziejem.

– Ja tylko stworzyłem okazję – odpowiedział Jason. – Bez Drake’a nie wywalczylibyśmy sobie drogi powrotu.

– Mój brat zawsze był przydatny w walce – przyznała Farfalee. – Pytanie brzmiało tylko, czy dożyje

jej końca. Galloranie, czy to prawda, że pragniesz uzyskać audiencję u Konklawe?

– Zjawiłem się, by przedyskutować sprawy ogromnej wagi.

– Zdawałeś sobie sprawę, że teraz ja zasiadam jako jedna ze starszych?

– Ty jesteś jednym z ramoli? – Drake’a aż zatkało.

Farfalee uniosła brew.

– Jeneva opuściła Doliny, Prizette nie chciała służyć, Lubella jest w ziemi. Umówiłam spotkanie z tobą na jutro.

– Tak szybko? – zdumiał się Galloran.

– Twoje przybycie miało spory oddźwięk – wyjaśniła Farfalee. – Już otrzymaliśmy oficjalną skargę od cesarza. Oznajmił, że jesteście poszukiwanymi przestępcami, którzy zamordowali tuzin strażników na moście. Najwyraźniej przeszkodziliśmy w aresztowaniu nikczemnych uciekinierów. W wiadomości zacytowano nawet przyznanie się do winy podpisane przez członka twojej drużyny. Ni mniej, ni więcej, jak rozsadnika.

– Wszystko to przeinaczenia – powiedział Galloran. – Maldor pierwszy przelał krew, kiedy zaatakował mój dom i zabił wielu moich ludzi.

Farfalee podniosła rękę.

– Nikt nie wierzy w te oskarżenia. Ty i cesarz jesteście w stanie wojny. Martwi mnie tylko, że cesarz zachowuje się tak, jakby miał teraz do nas uzasadniony żal.

– To absurd! – wypalił Drake. – Cesarz bezspornie pogwałcił traktat, wysyłając żołnierzy na naszą przełęcz!

Farfalee spojrzała na brata.

– Z pewnością potrafisz wyobrazić sobie jego argumentację. To były niewielkie siły, ewidentnie nie zamierzały wkroczyć do Dolin, ale chciały oddać morderców w ręce sprawiedliwości. Ludzi wyjętych spod prawa, których chronimy i których teraz ukrywamy. Niewielkie siły cesarskie obozują obecnie za przełęczami przy obu bramach. Maldor żąda natychmiastowego wydania was swoim przedstawicielom.

– Bo inaczej co? – rzucił szyderczo Drake. – Zaatakuj nas? Skąd weźmie wojsko? Większość jego sił jest zajęta oblężeniem Kadary! Nawet dysponując wszystkimi wojskami, nie ośmieliłyby się nas zaatakować, dopóki nie zastraszyły całego Lyrianu. Jest świadom naszych sił obronnych rozmieszczonych przy bramach i wzdłuż obrzeży obu wąwozów i nie wie, że nie może oblegać samowystarczalnego królestwa.

– Może jednak zacząć otwarcie palić nasze nasiona – odpowiedziała Farfalee. – Może przestać udawać, że szanuje naszą siłę, i oficjalnie wypowiedzieć wojnę.

Drake pokręcił głową.

– Ten dzień jest nieunikniony. Po co się przed nim kryć? Czemu nie rozpocząć działań wojennych, póki jego siły są podzielone i rzeczywiście mamy szansę go zranić?

– Wiesz, czym się martwimy. – Farfalee westchnęła. – Im dłużej możemy się przygotowywać, tym

większą mamy szansę przetrwać ewentualny atak. Nasi wojownicy będą znacznie bardziej odsłonięci w czasie ataku niż w czasie obrony. Jeśli cesarz chce z nami walczyć, będzie musiał pokonać nas na znanym nam polu, które przygotowywaliśmy od wieków.

Drake zaśmiał się cynicznie.

– Haczyk polega na tym, że jeśli nie zaatakujemy, nigdy nie wygramy.

– Zgadzam się całym sercem – powiedziała Farfalee. – Wiesz, że popieram cię w tej kwestii. Jednak wielu spośród nas woli odwlekać konfrontację najdłużej jak się da. Wyobrażają sobie, że nasza obrona może okazać się tak silna, że Maldor zignoruje Doliny i zadowolony się władaniem resztą kontynentu.

– Szaleństwo – mruknął Galloran.

– Zgadzam się – powiedziała Farfalee. – Ambicje Maldora nie znają granic. Nie spocznie, dopóki będzie istniało największe zagrożenie dla jego władzy.

– Dajcie mu skończyć z pozostałymi królestwami Lyrianu, dajcie mu czas, żeby zebrał siły i czas, żeby obmyślił atak, a te Doliny spłoną – powiedział z powagą w głosie Galloran.

Farfalee uniosła brew.

– Rozumiem, że to będzie temat rozmowy z Konklawe?

Galloran skinął głową.

– Po przedstawieniu pewnych nowin zamierzam przekonać ich, że lud Amar Kabał powinien zerwać traktat z Maldorem i sprzeciwić mu się otwarcie.

Farfalee położyła rękę na jego ramieniu.

– Jeśli twój wniosek upadnie, twoi przeciwnicy wśród nasienników będą chcieli przekazać cię cesarzowi.

– Wiem, jaka jest stawka. Jakie mam szanse na sukces?

Farfalee zmarszczyła brwi.

– Raczej małe. Panująca atmosfera skłania ludzi do coraz większej ostrożności. Nikt nie chce przyznać, jakie zagrożenie może stanowić cesarz za pięćdziesiąt lat. Niektórzy mówią o ucieczce.

– To niedorzeczne! – wyrwał się Drake. – Dokąd mieliby uciec? W głąb lądu na północ?

– Niektórzy sugerowali coś takiego. Inni mówili o zbadaniu krańców zachodniego oceanu.

– A czemu nie uciec po drabinie na Księżyc? – zasugerował Drake.

– Kto obecnie służy w Konklawe? – spytał Galloran.

– Pallas, Dregan, Naman, Ilestra i ja. Ostrzegam, że Naman zyskał znaczące wpływy i nic nie uciszy jego sceptycyzmu. Większość naszych obywateli obecnie stoi po jego stronie. W tych niepewnych czasach, kiedy inne królestwa Lyrianu albo się podporządkowały, albo są oblegane, nasi ludzie wolą myśleć o obronie znajomego terenu niż o poświęcaniu się na obcej ziemi w beznadziejnym ataku.

Galloran odchrząknął.

– Gdyby atak był rzeczywiście beznadziejny, takie odczucia byłyby usprawiedliwione. Spróbuję pokazać, że jest inaczej.

– Może tobie się uda tam, gdzie inni zawiedli – powiedziała z powagą Farfalee. – Już dawno należało dokonać uczciwej oceny, w jaki sposób najlepiej przeciwstawić się rosnącej potędze Felrook.

Galloran sięgnął po wodze konia.

– Jeżeli Konklawe ma mnie jutro wysłuchać, musimy jechać dalej.

Farfalee i Galloran wrócili na konie. Kiedy zjeżdżali krętą ścieżką, Lodan jechał obok Jasona. Gdy Jason wspomniał mu o przyjaźni z Jasherem, Lodan nalegał, żeby opowiedział wszystko, co pamiętał ze wspólnie spędzonego czasu. Jason opisał, jak nasiennik uratował go z zasadzki z harataczami i werbownikami. Zrelacjonował ich podróż przez Ziemie Zatopione, w tym odważną walkę Jashera z ogromnymi ropuchami. Jego opowieść sięgnęła punkt kulminacyjny w szczegółowym opisie, jak Jasher poświęcił życie, żeby umożliwić mu ucieczkę z Harthenham.

Lodan absorbował informacje, wdzięczny za każdą anegdotę na temat ojca, którego nie widział od lat.

– Zazdroszczę ci – przyznał, kiedy Jason skończył. – Marzyłem, żeby opuścić kraj z ojcem i przeżywać przygody, jakie opisałeś.

– Jego nasiono jest w ziemi?

– Tylko w ten sposób mógł z powrotem wejść do Dolin. Powinien zjawić się wśród nas w ciągu jakiegoś tygodnia. Nie mogę się doczekać! Oczywiście, po odrodzeniu znowu zostanie wygnany. Jego wyrok banicji nadal jest w mocy.

– A ty jeszcze... nie umarłeś?

– To moje pierwsze życie. Nie ma tu wielu innych w moim wieku. Eldrin zaprojektował naszą rasę tak, żeby w miarę upływu czasu była coraz mniej płodna. Mało która z naszych kobiet może mieć jeszcze dzieci.

– Farfalee wspomniała o twojej Pierwszej Śmierci – powiedział Jason. – Jak to działa?

– Kiedy umrę po raz pierwszy, fizyczny stan mojego ciała zostanie na zawsze zamknięty w moim amarze. Od tej pory zawsze będę się odradzał w tym samym wieku, w którym po raz pierwszy umarłem. Moje wspomnienia będą się kumulować, ale ciało za każdym razem będzie wyglądało tak samo. Wiąże się z tym wielka uroczystość. Przeżyłem blisko dwadzieścia lat i osiągnąłem wiek, w którym większość z mojego ludu decyduje się powitać Pierwszą Śmierć. Trenowałem, żeby nabrać siły i wytrzymałości, dzięki czemu odrodzę się w dobrym zdrowiu.

– Rety. Czyli cię zabijają?

– Tylko ciało. Odrodę się z identycznym, które będzie się starzeć, dopóki nie umrę i moje nasiono nie zostanie ponownie zasadzone. Pierwsza Śmierć to konieczność. To by kłóciło się z sensem posiadania amara, gdybym przeżył długie życie, a potem odradzał się raz za razem jako starzec na łożu śmierci.

– To logiczne – przyznał Jason. – Wiesz, że bardzo przypominasz ojca?

– Często to słyszę, zwłaszcza od matki.

Jechali dalej w milczeniu. Jason próbował nacieszyć się otaczającym go pięknem – zapachem upraw dojrzewających w żyznej ziemi, szmerem bystrego potoku, widokiem, jaki tworzyły cienie chmur

przesuwające się po polach pszenicy.

Zatrzymali się na lunch nad brzegiem jeziora. Jason usiadł na skale w pobliżu wody, przeżuwając pajdę chleba dyniowego. Corinne usiadła obok niego, skubiąc bułeczkę.

– Dobra ta bułeczka? – zagadnął ją Jason.

– Smakują mi orzechy. Nadal nie mogę uwierzyć, że tu dotarliśmy.

– Smętnie to wyglądało. – Jason wskazał jezioro kawałkiem chleba. – To z pewnością jest lepsze od wściekłych żołnierzy, którzy próbują cię zabić.

– Wolę żołnierzy od bagna – powiedziała Corinne, odgarniając włosy z oczu. – Nawet kiedy byłam wyczerpana i bałam się, że umrzemy, jakaś część mnie uparcie powtarzała, że miło jest wreszcie coś robić.

Jason uniósł brwi.

– Musiałaś cierpieć na poważny przypadek nudy.

– To może brzmieć niedorzecznie, ale naprawdę tak czułam. – Westchnęła. – Po tak długiej samotności, a potem niebezpieczeństwie, te doliny wydają się jeszcze bardziej rajske.

– Zgadza się. – Jason spojrzał na wodę, szukając czegoś błyskotliwego do powiedzenia. – Świetnie się spisałaś. Byłem pod wrażeniem tego, że nadążałaś.

– Dlaczego? – Corinne robiła wrażenie nieco urażonej.

– Ponieważ ja byłem wycieńczony, a podejrzewam, że przez długi czas nie miałaś okazji do ruchu.

– Więcej niż myślisz. Ćwiczenia, które wyznaczył mi ojciec, były naprawdę rygorystyczne i wykonywałam je codziennie.

– Z mieczem?

– Głównie. Skoki, uniki, przewroty, praca nóg. Zapłakałbyś nade mną, gdybyś wiedział, ile razy wymachiwałam mieczem w pustce. Jestem prawdziwą specjalistką w zabijaniu wymaganych złoczyńców.

– Wierzę. Pokaż mi swoje ćwiczenia.

Zarumieniła się i zerknęła przez ramię, gdzie pozostali jedli.

– Nie przy wszystkich.

– Czemu?

– A ty byś chciał na moim miejscu?

– Racja.

– Poproś mnie później, kiedy nie zrobię z siebie takiego przedstawienia.

– Ferrin ćwiczy czasem ze mną walkę na miecze. Jest naprawdę świetny. Powinnaś do nas dołączyć.

– Chętnie.

Jason przełknął ostatni kawałek chleba dyniowego, zadowolony, że zdołał nawiązać kontakt z Corinne. Znalazł płaski kamień i puścił kaczkę – kamień zrobił trzy solidne susy i kilka mniejszych. Corinne złapała kamień i spróbowała naśladować jego rzut. Kamień odbił się dwa razy i wpadł do wody.

Rachel stanęła za nimi.

– Głosuję za tym, żeby zostać w Siedmiu Dolinach. Mam wrażenie, że przywykłabym do tutejszego życia.

– Zgadzam się – powiedziała z rozmarzeniem Corinne. – Może przekonalibyśmy mojego ojca, żeby wszystkich nas uznano za honorowych obywateli Amar Kabał.

Jason zamyślił się nad możliwością pozostania w Siedmiu Dolinach. Przyglądał się jezioru, gór, ziemi uprawnej. To było najładniejsze miejsce, jakie widział w Lyrianie. Jeśli Galloran zdoła przekonać nasienników, żeby stawili odpór Maldorowi, co właściwie on sam mógł wnieść? Nie był generałem ani wojownikiem, nie był nawet potencjalnym czarnoksiężnikiem jak Rachel. Możliwe, że jego rola w powstaniu właśnie dobiegała końca. Jeśli rozmowy się powiodą, on, Rachel i Corinne naprawdę mogliby zyskać możliwość przeczekania wojny w tym raju.

– Miejmy nadzieję, że twój tata przekonująco przedstawi sprawę – powiedział Jason. – Bo w przeciwnym wypadku możemy zostać wykopani z nieba i wysłani prosto do jego przeciwnictwa.

Rozdział 19

Konklawe

Dom Farfalee i Lodana składał się z trzech okrągłych, przysadzystych budynków połączonych dwoma sklepionymi łukowo korytarzami. Barwne kwiaty zdobiły stożkowate dachy, a korytarze porastały bujnie winorośle.

Kiedy dotarli tam poprzedniej nocy, Jason przegapił większość szczegółów w ciemności. Zauważył, że budynki robią wrażenie przysadzystych po części dlatego, że w połowie znajdowały się pod ziemią. Poszedł z Lodanem, który wskazał mu matę wykonaną z czegoś podobnego do korka, wyciągnął się na niej i natychmiast zasnął.

Dzisiaj, zaraz po wschodzie słońca, Jason czekał w pobliżu kanału nawadniającego obok domu. Treliaze o nietypowych kształtach stały wokół podwórza oplecione liściastymi gałęziami; niektóre były cylindryczne, inne pudełkowate, jeszcze inne przypominały grube krzyże, a kilka zakrzywiało się, tworząc kule. Na wszystkich rosły owoce różnych kształtów i rozmiarów.

Lodan obudził go wcześniej i zapytał, czy chce potrenować. W głębi ducha Jason chciał dłużej pospać i martwił się, że Lodan z łatwością przewyższy go w walce, ale duma nie pozwoliła mu zdradzić się z żadną z tych rzeczy. I dlatego teraz tam stał.

Lodan zjawił się, ciągnąc wózek. Za nim szli Ferrin i Corinne. Czwórka zebrała się na niedawno oczyszczonym polu i Lodan wyjął cztery drewniane, idealnie wyważone miecze treningowe. Wszyscy włożyli wyściełane tuniki, grube rękawice i skórzane hełmy z drucianymi maskami na twarze. Jason czuł się zarazem podekscytowany i onieśmielony próbą walki na niby z tak wyrafinowanym sprzętem do ćwiczeń.

– Jason mówi mi, że od lat trenowałaś z mieczem – powiedział do Corinne Ferrin. – Pokaż nam coś.

Corinne posłała Jasonowi mściwe spojrzenie. Przyjęła pozycję, stając na palcach i trzymając w gotowości drewniany miecz, i zaczęła skomplikowany układ, wyskakując do przodu, cofając się, osłaniając się bronią albo atakując, śmigając na boki, czasem turlając się tylko po to, żeby znowu skoczyć na równe nogi i stanąć w dobrze wyważonej pozycji. Jason był pod wrażeniem, zwłaszcza że nosiła mnóstwo nieznanego jej sprzętu, który powinien zakłócić jej równowagę.

Zakończyła pchnięciem w wypadzie.

– To powinno dać ci ogólne wyobrażenie – powiedziała. Zawsze zmieniam kombinacje i improwizuję.

– Jestem pod wrażeniem – przyznał Ferrin. – Masz solidne podstawy. Widziałem dowody wyćwiczonej pracy nóg i pełni wdzięku równowagi. Pokazałaś płynną pracę bronią. Twoim następnym

krokiem jest wykorzystanie tych umiejętności w walce z przeciwnikiem.

– Zawsze ciekawiło mnie, jakie to będzie uczucie – powiedziała.

– Przekonajmy się – odparł Ferrin. – Walcz ze mną. Skup się na ataku.

Skinęła głową i zaatakowała żywiołowo, zmuszając Ferrina do ciągłego cofania. Powoli odsuwając się, blokował jej ciosy czasem poklepywał ją w tunikę mieczem, pokazując, gdzie się odsłania.

– Dość – powiedział. – Nigdy nie walczyłaś z przeciwnikiem?

– Tylko w wyobraźni.

– Zatem albo masz nadzwyczajną wyobraźnię, albo umiejętność walki mieczem jest dziedziczna.

Zaciekawiłaś mnie. Przygotuj się do obrony.

Ferrin zaatakował energicznie i drewniane miecze zderzyły się z głośnym klekotem. Corinne początkowo nie ustępowała, potem zaczęła się wycofywać. Po pewnym czasie Ferrin zdołał parę razy dotknąć czubkiem miecza jej piersi. Poklepał ją po udzie.

Nagle rzucił się do przodu, a Corinne obróciła się, odbijając cios i uderzając go w bok. Ferrin odsunął się, unosząc hełm.

– To była pułapka!

– Zacząłeś walczyć według stałego wzorca.

– Nie powinnaś być aż tak biegła.

Corinne zdjęła hełm, szczerząc zęby w uśmiechu. Włosy miała ulizane.

– Naprawdę?

– Nigdy nie widziałem podobnego wrodzonego talentu – odpowiedział Ferrin, kręcąc głową.

– Może i nie miałam przeciwnika – powiedziała – ale przez wiele lat miecz stanowił dla mnie jedyną rozrywkę.

Ferrin odwrócił się do Lodana.

– Co o tym myślisz?

– Myślę, że sprawiłaby mi pewien kłopot – odpowiedział.

– Popracuj z nią chwilę, a ja zmierzę się z Jasonem. Zauważyłeś, kiedy brała za duży zamach?

– Tak.

– A kiedy za bardzo się zbliżała?

– I kiedy zostawiała odsłoniętą lewą stronę.

– Dobrze oko. Popraw to, a potem zabawcie się trochę.

Corinne i Lodan się odsunęli.

Ferrin i Jason trenowali, podczas gdy słońce wznosiło się coraz wyżej. Przez pierwszą godzinę to była prosta walka. Przez drugą Ferrin pokazywał Jasonowi, do jakich nędznych sztuczek może się odwołać zdesperowany przeciwnik. Przygotował go na wroga, który może sygnąć piaskiem, rzucić nożem, kopnąć albo posłużyć się jednym z licznych szczywanich zwodów.

Zanim Jason skończył, płuca mu płonęły, a ubranie miał przepocone. Mimo to, czuł się pewniejszy,

jeśli idzie o walkę na miecze. Stroje ochronne pozwalały uzyskać o wiele bardziej autentyczne sytuacje walki i Jason zaczynał pojmować praktyczne zastosowanie licznych ćwiczeń, na których nieustannie powtarzanie Ferrin tak naciskał.

Zjawił się Lodan z wózkiem, żeby zebrać sprzęt.

– Jak ci poszło z Corinne? – zapytał Jason.

– Doskonale sobie radziła – powiedział nasiennik. – Dopóki nie zobaczyła nas matka. Nalegała, żeby Corinne zaczęła się szykować na Konklawe. Tak mówiąc między nami, myślę, matka bardziej się martwiła, że posiniaczę drewnianym mieczem zagraniczną księżniczkę.

– Każdy powinien mieć przynajmniej raz okazję spuścić manto księżniczce – odparł Jason. – Co teraz?

– Czas się umyć.

Rachel siedziała sama, opierając się plecami o ścianę ziemianki na drugim końcu podwórza koło domu Farfalee. Z trzech stron ziemianka wyglądała jak porośnięty trawą pagórek, ale od trony domu znajdowały się ciężkie, drewniane drzwi.

Mówiąc po edomicku, Rachel uniosła kamień wielkości głowy. Trzymała go przez chwilę, utrzymując niezachwianą wolę koncentrację, od czasu do czasu powtarzając frazę, żeby unieść powyżej lub nieco opuścić. To było ćwiczenie wzmacniające, którego nauczyła ją Chandra. Ten kamień był jednym z cięższych przedmiotów, jakie próbowała trzymać nieruchomo, ale czuła, że mieści się w jej możliwościach.

Była już ubrana na Konklawe w oficjalną szatę, luźną w okolicach rąk i nóg, ale dopasowaną w ramionach i talii. Pięknie haftowany strój prezentował się elegancko, ale był też bardzo wygodny. Miękkie mokasyny na stopach były najwygodniejszym obuwem, jakie kiedykolwiek nosiła.

Fraza sprawiła, że ciężki kamień zaczął szybko wirować. Kolejna go zatrzymała. Trzecia zamieniła go w szkło. Ostatnia, w połączeniu z gwałtownym szarpnięciem siłą woli, roztrzaskała zeszlony kamień, zamieniając go w grad kanciastych odłamków. Moc, jaką skupiła i wypuściła, sprawiła, że przez chwilę Rachel nie mogła złapać oddechu.

Kiedy przyjemny zawrót głowy zniknął, Rachel ogarnęło ciche zadowolenie z serii udanych rozkazów. Codziennie była coraz lepsza – zyskiwała siłę, pogłębiała koncentrację i odkrywała nowe sposoby łączenia fraz.

Służące przywoływaniu błyskawicy słowa, których nauczył ją Orruck, rozbrły w jej umyśle. Nie próbowała jeszcze tego rozkazu, ale często powtarzała słowa w duchu, badając je. Przyzywały ogromne przeciwne ładunki, między którymi przeskoczyłaby błyskawica. By rzucić ten czar, musiałyby wybrać dwa obiekty, które zostałyby naładowane. Żałowała, że nie potrafi wymyślić, jak opisać mniejsze przeciwne ładunki, żeby spróbować czaru na mniejszą skalę.

Żadna z innych znanych jej fraz nie opisywała zakresu zamierzonego efektu. Fraza od ognia, na

przykład, po prostu przywoływała żar. Nigdy nie określała, ile będzie tego żaru. Ilość przyzwanego ciepła zależała tylko od tego, co Rachel chciała uzyskać i ile włożyła w to woli. Nie potrafiła wymyślić, jak usunąć edomicki odpowiednik słowa „ogromny” z frazy przywołującej błyskawicę. A skoro już o tym mowa, nie potrafiła się zorientować, jak dodać „ogromny” do frazy przywołującej żar. W edomickim słowa łączyły się w sposób, który sprawiał, że często było jej trudno rozwikłać frazę albo wyrazić ją inaczej. Łączenie rozkazów nie było zbyt skomplikowane. Zmiana frazy okazała się bardzo trudna.

– Rachel! – zawołał Jason, wyrywając ją z zamyślenia.

– Tu jestem! – odpowiedziała, wstając i wychodząc zza ziemianki.

Jason stał obok wygiętego w łuk treliazu z fioletowymi owocami. Dobrze się prezentował w swoich szatach. Był odświeżony kąpielą, którą wziął po całym ranku ćwiczeń z mieczami z Ferrinem. Ruszyła w jego stronę.

– Co jest za tym kopcem? – spytał.

– Magazyn.

– Zwędziłaś coś dobrego? – spytał, zniżając głos.

Uderzyła go w ramię.

– Jasne, okradałam właśnie naszych gospodarzy.

– To co tam robiłaś? Wiesz, oni tu mają wychodek.

– Fuf, czubku. Ćwiczyłam edomicki.

– Pewnie. Po prostu wstydzisz się przyznać, że bawiłaś się sama w chowanego. Rachel się chowa, a nikt nie szuka.

– Przyłapałeś mnie. Tak to już jest, kiedy uczysz się w domu. Człowiek wie, jak bawić się samemu.

– Powiedzieli mi, że spotkanie zaczyna się w południe i że pojedziemy tam wozem.

– Masz na myśli konklawe?

– Myślałem, że Konklawe to grupa.

– Grupa nazywa się Konklawe, kiedy zbiera się na spotkaniu, które też nazywa się konklawe. Pytałam Farfalee.

Jason zaczął sobie kpić:

– Konklawe zebrało się na konklawe. To dopiero będzie konklawe. – Pokręcił głową. – Powinni samo spotkanie nazwać jakoś inaczej.

– Na przykład jak?

Wzruszył ramionami.

– Złot.

– Wrzuć to do skrzynki z wnioskami.

Rachel i Jason znaleźli pozostałych czekających już w wielkim otwartym wozie przy drugim końcu domu. To był wóz, na którym w ich świecie można by wozić siano. Rachel poczuła się trochę zakłopotana, kiedy zobaczyła, że pozostali są już gotowi i czekają. Musiała stracić poczucie czasu.

– Przepraszam – powiedziała i wspięła się na wóz.

– Nie trzeba przeproszać – uspokoił ją Galloran. – Czułem, że wypowiadasz potężne rozkazy. Oddanie, z jakim rozwijasz swój talent, jest godne pochwały. Czekałem do ostatniej chwili, zanim wysłałem po ciebie Jasona.

Lodan i Farfalee siedzieli z przodu. Lodan szarpnął cugłami ikonie pociągnęły wóz.

Wszyscy nosili piękne szaty. Rachel zastanawiała się, skąd wytrzaśnięto je dla wszystkich. Corinne wyglądała szczególnie olśniewająco z włosami zaplecionymi w wymyślne warkocze. Gdyby ta dziewczyna kiedykolwiek trafiła do Ameryki, czekałaby ją kariera supermodelki. Nic dziwnego, że Jason tak się nią zainteresował.

– Wszyscy wyglądają bardzo oficjalnie – powiedziała.

– Mieliśmy kłopot z odzieniem Arama – odparł Ferrin. – Na szczęście, Farfalee miała jakieś rzeczy Lodana z dzieciństwa.

– Mów dalej, nie żałuj sobie – judził Aram.

Ferrin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A może pożyczyła strój od lalki.

– Wyświadcz nam tę przysługę i wyrzuć swój ozór – odparł Aram.

– Nieźle – orzekł Ferrin. – Zasłużyłeś sobie na rozejm.

– Tylko do zachodu słońca – wymamrotał Aram.

Rachel siedziała w milczeniu, rozkoszując się chłodnym wiatrem, jasnym słońcem i przyjemną przejażdżką. Zastanawiała się z roztargnieniem, dlaczego nie widzą innych ludzi na drodze. Poza ich wozem świat wydawał się całkiem nieruchomy.

Otrzymała odpowiedź, kiedy dotarli na miejsce. Konklawe zbierało się w wielkim amfiteatrze między pięcioma wzgórzami. Owalna niecka ze schodzącymi koncentrycznymi kręgami tworzyła misę dostatecznie wielką, żeby pomieściły się tam tysiące siedzących. Nie dość, że cały amfiteatr był wypełniony nasiennikami, to jeszcze na okolicznych wzgórzach zebrały się tłumy. Nikogo nie było na drodze, bo wszyscy przyszli już na Konklawe!

– Mam nadzieję, że zarezerwowano nam miejsca – powiedział Jason, wypowiadając na głos jej myśli.

– Będziemy siedzieć z przodu – powiedział Galloran. – Jak bardzo ucieszymy się z tych miejsc, będzie zależało od tego, co orzeknie Konklawe.

Lodan pozostał na wozie, podczas gdy pozostali wysiedli. Farfalee poprowadziła ich długimi schodami na dno amfiteatru. Galloran trzymał dłoń na ramieniu Dorsia. Rachel patrzyła na tłum, mężczyzn i kobiety w szatach. Nikt spośród zebranych nie przekroczył wieku średniego. Dostrzegła tylko jedną osobę, która wyglądała na nastolatkę – dziewczynę o jasno-brązowych włosach. Nikt nie wyglądał młodziżej.

Kiedy tłum dostrzegł procesję maszerującą po schodach, zamilkł. Rachel poczuła na sobie ciężar

tysiący spojrzeń.

Na dnie ogromnej misy troje mężczyzn i jedna dziewczynka siedzieli przy masywnym kamiennym stole otoczonym przez płaski, otwarty taras. Przy stole zostało miejsce dla piątej osoby.

– Kim jest ta dziewczynka? – spytał Jason.

– To Ilestra, najstarsza żyjąca nasienniczka – powiedziała Farfalee. – Jej Pierwsza Śmierć nastąpiła w wypadku w wieku siedmiu lat. Jej ostatnie odrodzenie miało miejsce zaledwie rok temu.

Kiedy schody się skończyły, Farfalee wskazała gestem pustą ławkę umieszczoną z przodu pośrodku. Rachel podeszła tam razem towarzyszami, a Farfalee usiadła z Konklawe.

Potężnie zbudowany mężczyzna o włosach związanych w dwa długie warkocze wstał z ławki i stanął obok kamiennego stołu. Był zbudowany mocniej niż typowy nasiennik. Przemówił ostrym głosem.

– Z rozkazu Konklawe, pięciorga przemawiających jednym głosem, rozpoczyna się to nadzwyczajne konklawe. Galloran, syn Dromidusa, będzie jedynym wnioskodawcą. Naman z Konklawe został wybrany na odpierającego.

Wśród gapiów rozległ się pomruk.

Zwalisty nasiennik zerknął przez ramię. Mężczyzna siedzący pośrodku przy stole skinął głową. Mówca odwrócił się i ogłosił:

– Konklawe udziela głosu Galloranowi.

Wycofał się i usiadł.

Dorsio doprowadził Gallorana na miejsce dla mówcy, a potem odsunął się kilka kroków.

– Wybaczcie mi mój głos – powiedział Galloran, podnosząc go w miarę możliwości. – Kilka lat temu nabrałem w płuca mieszanek kwasów i nigdy już nie odzyskałem czystej barwy.

Dla Rachel mówił więcej niż dostatecznie głośno. Słuchacze siedzieli w milczeniu, a amfiteatr miał dobrą akustykę, co pomagało. Wyciągając szyję zorientowała się, że tłumy na sąsiednich wzgórzach nie miały tyle szczęścia.

– Czuję się zaszczycony, będąc ponownie wśród Amar Kabał i stojąc przed prześwietnym Konklawe – rozpoczął Galloran.

– Jesteśmy zachwyceni, widząc cię znowu – powiedział siedzący pośrodku nasiennik, przystojny mężczyzna o ciemnoszarych oczach i lekko garbatym nosie. – Różnorodne wieści krążyły na temat twoich losów. Obawialiśmy się, że poniosłeś śmierć w lochach Felrook.

– Okaleczono w tych lochach mój umysł i ciało – powiedział Galloran. – W końcu jednak mnie wypuszczono. Potrzebowałem sporo czasu i wysiłku, zanim znowu zacząłem funkcjonować.

– Co cię sprowadza przed Konklawe?

– Pragnę, żeby lud Amar Kabał rozważył swoje obecne relacje z Maldorem. Pragnę zachęcić wasz lud do poparcia powstania.

Wśród zebranych znowu rozległ się pomruk. Nasiennik siedzący przy lewym końcu stołu wstał. Był wysoki i w dobrej kondycji, miał dość szerokie ramiona i nosił czarne włosy zwinięte na czubku głowy.

Miał wysokie czoło, zapadnięte policzki i szerokie usta.

– Spodziewaliśmy się tej prośby. – Obszedł stół i stanął naprzeciwko Gallorana w odległości kilku kroków. – Tę debatę rozstrzygnięto już jakiś czas temu, chyba że możesz wniesć jakieś nowe informacje.

– Mam propozycję, której być może nie rozważaliście – odrzekł Galloran. – I owszem, Namanie, przynoszę także nową informację, która może wpłynąć na waszą obecną postawę. Pallasie, być może przypominasz sobie rozmowę ze mną kilka lat temu dotyczącą pewnego słowa.

Nasiennik siedzący pośrodku przy stole pokiwał głową.

– Szczegóły tej rozmowy być może powinny zostać przemilczane.

– Nie ma już takiej potrzeby – odpowiedział Galloran. – Krążyła plotka o edomickim Słowie kluczu, które mogło zniszczyć Maldora. Podobno zostało ono stworzone przez Zokara, żeby trzymać w szachu niebezpiecznego ucznia. Jak się okazało, zarówno ja, jak i mój przyjaciel lord Jason, Pozaświatowiec, zdołaliśmy zdobyć Słowo klucz i wypowiedzieć je przed Maldorem. Słowo nie wywołało żadnego efektu. To oszustwo.

Skonsternowany tłum zaczął komentować jego słowa.

– Spokój! – rozkazał Pallas. Słuchacze natychmiast umilkli. – Bez wątpienia niektórzy tu zgromadzeni słyszeli tę plotkę. Większość słyszy o niej pewnie po raz pierwszy. Niektórzy, w tym ja sam, żywili cichą nadzieję, że pewnego dnia Słowo zniszczy cesarza. Czy to mądrze wspominać o Słowie publicznie? – W pytaniu pobrzmiewała nagana.

– To kłamstwo o Słowie skierowało na fałszywą drogę wysiłki wielu – powiedział Galloran. – Sporo najlepszej krwi z Lyrianu przelano w czasie poszukiwania tego Słowa. Przez cały ten czas Maldor posługiwał się tą fałszywą misją, żeby odwlec tradycyjne formy oporu i marnować wysiłek najzarliwszych wrogów. Gdy tylko Jason potwierdził, że Słowo to oszustwo, Maldor zaczął zabijać tych, którzy strzegli poszczególnych sylab. Kiedy cesarz wykonał ten ruch, postanowiłem, że nadszedł czas obalić publicznie mit, żeby nie marnowano więcej wysiłków.

– To zrozumiałe – powiedział Naman. – To rzeczywiście nowina i zapłaciłeś straszliwą cenę za jej zdobycie, rozważ jednak rozumowanie stojące za naszą postawą wobec Felrook. Oceniliśmy, że atak przeciwko cesarzowi jest skazany na klęskę. Dlatego przygotowywanie się do obrony stało się jedyną możliwą do przyjęcia polityką. Jeśli Słowo jest fałszywe, to Maldor jest jeszcze trudniejszym do zniszczenia przeciwnikiem niż myśleliśmy, co tylko umacnia nas w dotychczasowej postawie.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Gallorana.

– To jeden ze sposobów interpretacji tej nowiny – przyznał Galloran. – Głównym powodem, dla którego większość królestw unikała otwartej konfrontacji z Maldorem, było to, że nie wierzyły, że da się go pokonać. Wiele poddało się bez walki. Jego podbój Lyrianu spowoływały tylko takie królestwa, jak Belaria, Hindor, Meridon i teraz Kadara, która zdecydowała bronić swoich granic. Wcześniej wymienione trzy królestwa upadły, tak samo jak upadnie Kadara przed wpływem przyszłego roku. Jak większość z was wie, pochodzę z Trensicourt. Mój ojciec był królem. Tak jak Amar Kabał, Trensicourt

wahało się, czy wypowiedzieć wojnę Felrook, ponieważ nie wierzyliśmy, że Maldora da się pokonać. Usprawiedliwialiśmy nasze wahanie częściowo nadzieją, jakiej dostarczało Słowo. Nasi doradcy uważali Słowo za rozwiązanie alternatywne wobec masowego rozlewu krwi. Gdybyśmy wiedzieli, że Słowo to oszustwo, pogodzilibyśmy się z myślą, że jedyne, co nam zostało, to zjednoczyć wolne królestwa i stanąć przeciwko cesarzowi.

Naman skrzyżował ręce.

– My z ludu Amar Kabał nie zamierzamy uklęknąć przed cesarzem. Wiemy, że Maldor pogardza nami i boi się nas bardziej niż jakiegokolwiek innego narodu w Lyrianie. Rozumiemy, że nigdy nie będzie między nami prawdziwego pokoju. I wiemy, że naszą najlepszą szansą na stawienie oporu Maldorowi jest zmuszenie go, żeby przyszedł do naszych bram. Będziemy nadal umacniać nasze obrony, wierząc, że tylko odpierając jego wojska, przetrwamy.

Galloran ściągnął brwi.

– Naprawdę wierzysz, że obrony Siedmiu Dolin wytrzymają atak cesarza, kiedy upadnie cały Lyrian?

– Myślę, że dzięki właściwemu planowaniu i czujności wytrzymamy wiele żywotów. To nasza jedyna nadzieja.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – zauważył Galloran. – Rozważ historię naszego wroga. Rozważ jego zasoby. Rozważ jego motyw. Naprawdę wierzysz, że będziecie bez końca utrzymywać cesarza poza Dolinami?

Naman zacisnął szerokie wargi.

– Nasze obrony w końcu zawiodą. – Wśród zebranych tłumów rozległ się szmer niepokoju. Naman uniósł palec. – Jeśli jednak wrogowie uciekną się do ataku na naszą ojczyznę, zapłacą za to wysoką cenę, o wiele wyższą niż gdybyśmy wzięli udział w ataku.

– Doliny w końcu upadną – podsumował Galloran. – Myślisz, że moglibyście uciec?

– Na pewien czas – odpowiedział Naman. – Mamy przygotowane pozycje do odwrotu.

– Zgadzam się, że możecie wycofać się na pewien czas. Wyobrażasz sobie, że zdołacie uciec do miejsca, gdzie Maldor nie uda się za wami?

– Nie. Możemy przedłużyć nasze istnienie o wiele żywotów, ale ostatecznie zginiemy. Niektórzy mówią o ucieczce za ocean, ale w ciągu dwudziestu lat Maldor będzie miał ogromną flotę na obu wybrzeżach.

– „Wiele żywotów” to bardzo optymistyczne ujęcie – powiedział Galloran. – Cesarz nie ustąpi, dopóki cały Lyrian nie znajdzie się w jego rękach. Jeśli nie powstanie zjednoczona opozycja, wy i drinlingowie będziecie ostatnimi wolnymi ludźmi na Lyrianie w ciągu pięciu lat. Wykorzenienie drinlingów chwilę potrwa, ale Maldorowi się uda. Potem poświęci kilka lat na zebranie sił, przygotowanie planów. Wedle najbardziej optymistycznych ocen, w ciągu dwudziestu lat Maldor zaatakuje Doliny od północy i z południa jednocześnie. Od północy odetnie jedynie odwrót, a od południa będzie atakował wasze bramy. Nie będzie walczył uczciwie, nie okaże litości. Będziecie

umierali samotnie i przyparci do muru. Niektórzy będą torturowani. Inni badani. Maldora ciekawi, jak zostaliście stworzeni, i chętnie to przestudiuje. Ostatecznie wasze nasiona spłoną.

Podniosła się taka wrzawa, że Rachel zakryła uszy. Najwyraźniej wzmianka o całkowitej śmierci nie podobała się słuchaczom. Pallas musiał włożyć sporo wysiłku w zaprowadzenie porządku.

– To okropne ewentualności do rozpatrywania – uznał Pallas, kiedy już dało się rozmawiać – ale w takich czasach żyjemy.

– Wysłuchałem twojej oceny – odparł rozsądnie Naman. – Szczerze odpowiedziałem na twoje pytania. A teraz wyświadczyć mi taką samą uprzejmość. Czy biorąc pod uwagę obecne zasoby, jakimi dysponują wolne królestwa, możliwe jest przedsięwzięcie ataku na cesarza, który ma realną szansę powodzenia?

Galloran się wyprostował.

– Nie wiem.

Tłum zareagował hałaśliwie. Pallas znowu poprosił o ciszę.

– Zaczynam się zastanawiać, po co zwołaliśmy to Konklawe – powiedział Naman, co wywołało śmiech na widowni.

– Wierzę, że istnieje nadzieja na powodzenie ataku, inaczej bym się tu nie zjawił – wyjaśnił Galloran. – Niemniej nie zamierzam prowadzić wolnych ludzi Lyrianu na szybką śmierć w beznadziejnej kampanii. Nie pragnę też roztrwonić ich życia. Nie dysponując realną strategią, wołałbym raczej, żebyście zginęli, broniąc domów. Obawiam się tylko, że jeśli nigdy nie zaatakujemy, nie mamy szansy wygrać.

– Co chcesz nam zaproponować? – spytał Pallas.

– Mamy teraz jedną jedyną szansę, by wykorzystać to, że wojska Maldora walczą na wschodzie z Kadarą. Jego wojska jednocześnie oblegają trzy największe miasta, co oznacza, że zaangażował tam ogromne siły. Jestem dziedzicem Trensicourt. Jestem gotowy odzyskać królestwo i poprowadzić powstanie. Dysponuję teraz znaczącym zapasem orantium. Nie mogę ujawnić publicznie miejsca jego ukrycia, ale na osobności przekażę, gdzie znajdują się setki kul, w tym kilkadziesiąt większych zwanych burzycielami.

To wywołało pomruk podniecenia wśród zgromadzonych.

– Wierzę, że możemy też liczyć na wsparcie drinlingów. Wycofali się z wojny tylko dlatego, że Kadara źle ich potraktowała. Spodziewam się, że wesprze nas także Meridon. Moje źródła mówią, że Maldor nie jest obecnie dość silny, żeby stłumić powstanie.

– Zakładając, że to prawda – powiedział Naman – jakim cudem zbierze się z tego dość siły, żeby walczyć z cesarzem? Dysponuje zasobami ponad dwudziestu królestw. Że już nie wspomnę o rozsadnikach, harataczach, olbrzymach i torivorach.

– Nie wyobrażam sobie, że moglibyśmy stawić czoło całej jego potędze – odpowiedział Galloran. – Będziemy musieli go przechytryć. Walczyć w walkach, które możemy wygrać. Zdobywać zwycięstwo krok po kroku.

– Taka taktyka może rzeczywiście przynieść skromny sukces w krótkim czasie – przyznał Naman. – Kiedy jednak cesarz poradzi sobie z Kadarą i zaatakuje nas wszystkimi siłami, padniemy.

– Możliwie – zgodził się Galloran – ale przyjęcie jakiegokolwiek innej strategii czyni nasz kres pewnym.

Naman pokręcił głową.

– Nie dość, że nasz upadek jest równie pewny, jeśli zgodzimy się na atak, jaki opisałeś, to jeszcze padniemy szybciej niż przyjmując dowolną inną taktykę. Nasz naród pochwała twoje motyw. Przez lata obywatele Trensicourt po cichu wypełniali rozkazy cesarskich marionetek. Z radością powitamy ich jawny opór przeciwko cesarzowi. I chętnie przyjmujemy oranium do naszych zapasów do obrony. Jednak nie potrzebujemy bohaterstwa z rodzaju tych, które przyspieszą nasz koniec.

– Nie widzisz absolutnie żadnej nadziei na powodzenie naszego ataku – powiedział Galloran. – W tym kłopot.

– Zgadza się – odpowiedział Naman.

– Czy ty albo ktoś inny pośród Amar Kabał posiadacie dar jasnowidzenia?

– Rzecz nie w prorocत्वach. Mamy wielowiekowe doświadczenie oparte na obserwacji i rozumie.

– Mam propozycję – powiedział Galloran. – W Lyrianie żyje jeszcze wyrocznia. Prawdziwy dar jasnowidzenia przetrwał w świątyni Mianamon. Może zapytamy wyrocznię, czy nasze siły połączone w ataku mają szansę na powodzenie i usłyszymy ostateczną odpowiedź na ten temat? Jeśli wyrocznia nie dostrzeże szansy na sukces, w pełni poprę waszą obronną postawę. Co więcej, sam przyjmę tę samą strategię w Trensicourt.

W amfiteatrze zapanowało milczenie. Wszyscy patrzyli na Namana.

– Nie mam szczególnych obiekcji przeciwko konsultacji u wyroczni – odpowiedział wreszcie Naman. – Zjawileś się jednak tutaj ścigany przez cesarskich żołnierzy, Galloranie. Zostałeś poinformowany, że cesarz żąda przekazania mu ciebie i twoich towarzyszy. Cyniczna osoba mogłaby uznać twoje pragnienie zwrócenia się do wyroczni jako próbę odsunięcia na później aresztowania twoich przyjaciół.

Postawa Gallorana się zmieniła, jakby szykował się do walki na pięści. Niezależnie od braku oczu, było widać, że rysy jego twarzy stwardniały.

– Przekazałbyś mnie Maldorowi, Namanie? Oddałbyś mu moją córkę?

– Możemy rozważyć przekazanie mu przebywającego w twoim towarzystwie rozsadnika – odparł oskarżycielsko Naman.

Z tłumu wyrwały się zduszone okrzyki.

– Rozsadnik Ferrin zdradził Felrook i dołączył do powstania – potwierdził Galloran. – By udowodnić swoją szczerość, oddał mi kawałek szyi, którym mogę się posłużyć, by go zabić w dowolnej chwili. Szczerze poświadczam lojalność wszystkich w mojej grupie. W przeciwnym wypadku nie przyprowadziłbym ich tutaj.

– Wybrałeś złą godzinę, by poddać próbie naszą gościnność – orzekł Naman. – Wiedziałeś, jak

zostanie odczytana twoja obecność tutaj. Wiedziałaś, że nasze relacje z Felrook nigdy nie były równie niepewne.

– Wasze relacje będą coraz bardziej napięte, w miarę jak Maldor będzie się coraz mniej was bał. Najwyraźniej przeraża go moja obecność tutaj. Dlaczego w przeciwnym razie tak by się tym zainteresował? Namanie, rozumiem, że ty kontrolujesz wojska.

– Służę jako Naczelnny Dowódca.

– Zatem jako ekspert wojskowy przedstaw nam jeden przykład, kiedy Maldor uszanował słabość. – Galloran zamilkł, ale i Naman nie odpowiedział. – Jeśli możesz, wymień chociaż jedną okazję, kiedy poddanie się jego woli wstrzymało inwazję lubi przyniosło jakąkolwiek znaczącą korzyść.

– A kiedy prowokowanie cesarza doprowadziło do dobrobytu? – odparował Naman.

– Zapytaj Drake’a albo dowolnego innego człowieka w Harthenham – warknął Galloran. – Mogę wymienić wielu, którzy zdobyli szacunek i nagrodę, przeciwstawiając się cesarzowi. O ile nie zamierzasz się poddać, to jedyna sensowna droga. Ci, którzy traktują Maldora jak uczciwego i rozsądnego przeciwnika wkrótce przekonają się, że jest zupełnie inny. Jeśli tak się boicie Felrook, że zamykacie bramy przed przyjaciółmi i śpieszycie wypełnić rozkazy cesarza, wasza sprawa już jest przegrana. Mówisz o Trensicourt, że władają nim cesarskie marionetki. A kto pociąga za twoje sznurki tu, w Dolinach? Cesarskie siły łamią traktat, ścigając nas po zamkniętym neutralnym terytorium, a ty jak reagujesz? Przepraszam? Te same siły obozują pod waszymi przełęczami i pozostają bezkarne. I to ty dowodzisz wojskiem? Cyniczny człowiek nazwałby cię tchórzem.

Naman zeszytywniał.

– Nikt nie będzie kłał mego honoru! – ryknął. – Gdybyś miał oczy, w tej chwili bym cię wyzwiał!

Galloran odpowiedział milczeniem. Napięcie sprawiło, że Rahel zaczęła wykręcać palce. Galloran wyciągnął miecz, a ostrze zabłysło w promieniach słońca.

– Jeśli nazwanie twoich czynów po imieniu kła twój honor, to być może nie moja w tym wina. Nie potrzebuję oczu, żeby zdeptać robaka. Przyjmuję twoje wyzwanie.

Naman sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi.

– Nie bądź śmieszny. Pokonanie niewidomego przeciwnika nie da mi satysfakcji.

Galloran podszedł do niego z mieczem w gotowości.

– Kiedy mówisz publicznie do króla o pojedynku, lepiej miej broń w pogotowiu.

– To szaleństwo – zaprotestował Naman, zerkając na Pallasę.

Pallas wstał.

– Czy to musi prowadzić do przemocy?

Galloran stanął bezpośrednio przed kamiennym stołem.

– Nie ja pierwszy zacząłem mówić o wyzwaniu.

– Dobrze więc – ustąpił Naman. – Zbyt gorąco nalegasz. Skoro pragniesz zginąć od mego miecza, proszę bardzo.

– Nie przewidujesz mojego zwycięstwa? – spytał Galloran.

– Nie, a jeśli ty spodziewasz się takiego wyniku, twój osąd jest jeszcze bardziej mylny, niż podejrzewałem.

– Mamy tu mnóstwo świadków – powiedział Galloran. – Dostatecznie dużo miejsca. Masz miecz?

Naman wyciągnął miecz spod szat.

– Nie tak wspaniały jak twój, ale jestem gotowy.

Szare ostrze było nieco dłuższe od klingi torivorów.

Wstał Drake.

– Pozwól, że stanę zamiast Gallorana – powiedział. – Nawet gdyby miał oczy, nie –siedziałbym i nie pozwolił, żeby człowiek o jego pozycji krzyżował miecz z kimś z naszego ludu.

Naman zmierzył Drake’a kpiącym spojrzeniem.

– Zgadzam się.

– A ja nie – sprzeciwił się Galloran. – Sam walczę w moich pojedynkach. Istnieje więcej zmysłów niż tylko wzrok.

– Błagam, Wasza Królewska Mość – prosił Drake. – Uczyń mi ten zaszczyt.

– Doceniam gest – powiedział Galloran. – Usiądź, proszę.

Drake klapnął obok Rachel.

– Naman jest doskonałym fechtmistrem – mruknął. – To nie może dobrze się skończyć.

Rachel wyczuła w umyśle słowa.

Patrz na walkę, zwłaszcza na Namana. Musisz mi posłużyć oczyma.

Galloran stanął w gotowości do walki.

– Będiesz tak dobry, Pallasie?

– Zaczynajcie – oznajmił z powagą nasiennik.

Rachel starała się nawet nie mrugnąć. W jakim stopniu mógł korzystać z jej oczu? Czy to możliwe, żeby dobrze walczył, widząc tylko siebie, a przeciwnika pod pewnym kątem? Nie wyobrażała sobie, jak mógł nie stracić orientacji.

Skup się na tym, żeby otworzyć dla mnie umysł – przekazał Galloran. Corinne będzie robiła to samo.

Rachel wysiliła wolę, starając się wysyłać do Gallorana wszystko, co widzi.

– Czy wygrasz, czy przegrasz, ten pojedynek nie rozwiąże twoich problemów –ostrzegł Naman, powoli zbliżając się do Gallorana. – Obecny spór toczy się tylko między nami.

– Jeśli padnę, ufam, że lord Jason przemówi w naszej sprawie – powiedział Galloran.

Naman wyciągnął na próbę miecz, a Galloran odbił go w bok. Naman zbliżył się, tnąc agresywnie. Miecze zderzyły się ze szczękiem brzęcącym niemal jak muzyka. Galloran obrócił się, więc stał zwrócony do Rachel plecami, ale też po skosie, więc nie zasłaniał Namana. Zablockował kolejną sekwencję zaciekłych ataków.

– Jak to robisz? – spytał Naman, wycofując się. – Naprawdę jesteś niewidomy?

W odpowiedzi Galloran odrzucił na bok przepaskę.

Ich ostrza znowu się spotkały. Miecz Gallorana zamienił się w smugę. Naman cofał się niezgrabnie, starając się odpierać atak. Rachel widziała w jego oczach strach i niedowierzanie. I nagle Galloran obciął mu rękę z bronią i bez wahania przebił pierś.

Zabrał miecz, a zdumiony Naman osunął się na kolana, jedyną rękę przyciskając do przebitej piersi. Padł na bok.

Rachel spojrzała na tłum. Większość osób patrzyła z niedowierzaniem. Niektórzy wiercili się niespokojnie. Rozbrzmiewały tylko szepty.

Dziękuję – przesłał do Rachel Galloran. *Dobra robota.*

Wyczuwała jego zmęczenie. Ręka mu lekko drżała, kiedy otarł rękawem czoło. Był blady i zdyszany. Zdawała sobie sprawę, że wysiłek związany z patrzeniem jej oczami musiał wymagać więcej energii i siły woli niż wymiana słów w myślach. Zastanawiała się, na ile jest to oczywiste dla pozostałych świadków, że ten wyczyn wiele go kosztował. Galloran robił co w jego mocy, żeby ukryć zmęczenie.

Schował miecz do pochwy.

– Dorsio, przynieś, proszę, jego nasiono i połóż na stole. – Podniósł głos: – Jak wszyscy wiecie, Naman nie odszedł naprawdę. Będzie młodszy i silniejszy za kilka miesięcy. Przykro mi z powodu tej przerwy. Będziemy potrzebować nowego odpierającego.

Drake zaśmiał się cicho, zasłaniając szeroki uśmiech dłonią. Odezwał się, nie kryjąc zdumienia:

– Nigdy nie widziałem człowieka, który by tak walczył. Jaka ekonomia ruchów! To był koniec, kiedy tylko Galloran zaatakował. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby mógł widzieć!

Czwórka nasienników przy stole naradziła się między sobą. W końcu Pallas zwrócił się do Gallorana:

– Ja będę odpierał. Chociaż nie bez pewnych obaw.

Tłum zaśmiał się niepewnie.

Dorsio odłożył nasiono Namana na stół i zwrócił przepaskę na oczy Galloranowi, który zaraz przesłonił puste oczodoły. Już robił wrażenie silniejszego niż zaraz po pojedynku. Pallas stanął na miejscu, które wcześniej zajmował Naman.

– Na czym stanęliśmy? – spytał Pallas.

– Jak mniemam, Naman zasugerował, że oddamy moją córkę cesarzowi – odparł beznamiętnie Galloran.

– Nie wyobrażam sobie, żebyśmy kogokolwiek oddali Madorowi – powiedział Pallas. – Odkładając na bok wszelkie inne powody, prawdą jest, że pozwolenie mu, by lekceważył traktaty i wydawał nam rozkazy, tylko zmniejszy jego respekt dla nas. Być może straciliśmy z oczu tę prawdę. Galloran jest zaprzysięgłym przyjacielem naszego ludu. Proponuję, żeby nasi goście trzymali naszą pełną ochronę. Chyba że są jakieś sprzeciwy?

Spojrzał najpierw na resztę Konklawe, a potem rozejrzał się po widowni. Nikt nie wyraził sprzeciwu. Rachel nieco się rozluźniła.

– Czy zgoda jest jednomyślna? – spytał Pallas Konklawe.

– Tak – rozległy się trzy głosy.

Pallas skinął głową.

– Niech tak będzie. Galloranie, pragnę powrócić do twojej propozycji konsultacji z prorokinią.

– Naman szybko odrzucił możliwość, że go pokonam w pojedynku – powiedział Galloran. – A jednak oto leży. Wyobrażam sobie, że większość obecnych wątpi także w realność pokonania groźby, która czai się w Zatopionym Mieście.

Ta sugestia wywołała pełen niedowierzania wybuch.

Galloran uniósł ręce i czekał, aż chaos komentarzy ucichnie.

– Słyszę niedowierzanie. Rachel, czy możesz wstać?

Rachel spełniła prośbę, patrząc na Gallorana i starając się nie myśleć o wznoszących się rzędach ludzi wokół.

– Ta młoda kobieta jest Pozaświatowcem i adeptem edomickiego. Zabiła zagrożenie w tym tygodniu. Przekonacie się, że Zatopione Miasto jest puste.

Ryk, który rozległ się potem, wyrażał raczej sceptycyzm niż zadowolenie.

– Wierzcie mi lub nie, ale kiedy to zbadacie, moje słowa znajdą potwierdzenie – powiedział Galloran. – Zmierzam do tego, że chociaż atak z pewnością będzie ryzykowny, bylibyśmy głupi, ignorując tę możliwość. Już wcześniej zdarzały się zwycięstwa mimo niewielkich szans. W obecnych okolicznościach obrona może odwlec nieuniknione, ale nie da zwycięstwa. Wyrocznia z Mianamon była wiarygodna przez stulecia. Dlaczego nie wysłać delegacji, żeby się dowiedzieć, czy atak może zakończyć się sukcesem? Jeśli może, zaplanujemy ofensywę. Jeżeli nie, skupimy się całkowicie na odwleczeniu tego co nieuniknione.

– W tej delegacji będzie musiał znaleźć się nasiennik – orzekł Pallas.

– Naturalnie – zgodził się Galloran. – Delegacja powinna dotrzeć na miejsce za sześć albo siedem tygodni. Możesz zacząć wysyłać orły do Mianamon po odpowiedź mniej więcej w tym czasie.

– Nie będzie łatwo dotrzeć tam delegacji – zauważył Pallas.

– Prorokini może odczytać przyszłość tylko obecnych – podkreślił Galloran.

– Rozumiem, ale jak delegacja ma tam dotrzeć? Cesarz będzie obserwował nasze przełęcz.

– Cesarz nie zakończył porachunków ze mną – powiedział Galloran. – Wy musicie omówić status waszego traktatu. Udamy się razem do Felrook z misją dyplomatyczną. To powinno powstrzymać ludzi od oskarżania mnie, że zjawilem się tutaj, żeby się ukryć. Pomoże także podtrzymać iluzję, że jesteście skłonni dobić targu z Maldorem. Poza tym, moja obecność tylko utrudniałaby delegatom podróż do Mianamon, zważywszy na drogę, jaką musi przebyć.

– A któredy prowadzi ta droga? – spytał Pallas.

– Poza przełączami są inne wyjścia z tych Dolin – powiedział Galloran. – Szczegóły powinny zostać omówione na osobności.

– Jestem skłonny przystać na tę propozycję – powiedział Pallas. – Nasza obecna strategia opiera się na stwierdzeniu, że atak będzie nieskuteczny. Zważywszy, że w grę wchodzi nasze przetrwanie, mądrze będzie zbadać to założenie.

– Potrzebujecie dodatkowego członka Konklawe, żeby głosować? – spytał Galloran.

– Nie, jeśli zgody udzieli troje lub więcej – odrzekł Pallas. Cała czwórka poparła propozycję.

Rozdział 20

Delegacja

Następnego wieczoru Jason siedział między Nedwinem i Tarkiem, wybierając za pomocą podpłomyka różne ucierane masy z drewnianych misek. Ponieważ miski były dla wszystkich, każdy odrywał kawałek zbitego pieczywa, żeby zebrać jeden kęs na raz. Za każdym razem, kiedy Jason zanurzał podpłomyk, klucie przypominało mu, że palec wskazujący ma posiniaczony i opuchnięty po wcześniejszym pojedynku z Lodanem na treningu. Tark jadł bez entuzjazmu, ale Nedwin pochłaniał jedzenie, jakby zgnilizna płuc i pobyt w namiocie dla chorych nigdy nie miały miejsca.

– Powinieneś spróbować tego fioletowego – zasugerował Tarkowi Jason. – Jest słodkie i orzechowe. Tark podniósł rękę.

– Od leczenia wszystko ma podły posmak. Nawet woda. – Cmoknął z niechęcią. – Co za pech.

– Mnie to nie przeszkadza – odparł Nedwin, wkładając do ust spory kawał podpłomyka i masy w pomarańczowym kolorze. – Podkręca nieco smak.

Tark się skrzywił.

– To bardziej przedsmak tego, jak jedzenie smakowałoby, gdyby się zepsuło.

Nedwin wzruszył ramionami.

– Nie jestem najbardziej wiarygodnym sędzią. Od Felrook nic mi nie smakowało tak jak powinno, czułem tylko różne odcienie czegoś mdłego.

– To wielka szkoda – powiedziała Corinne. – Jedzenie jest przepyszne. – Miała odrobinę fioletowej mazi w kąciku ust.

– Renetta powiedziała mi, że posmak zniknie po mniej więcej tygodniu – dodał Tark.

– Dziwi mnie, jak przyjemnie jest spróbować znowu jedzenia z ojczyzny – powiedział Drake, wskazując Corinne, żeby otarła usta. Zrobiła to, rumieniąc się. – Mimo całej różnorodności w Harthenham rzadko dostawaliśmy taką strawę jak ta.

– Założę się, że karmili was mięsem – mruknął Aram basowym głosem, bo było już po zachodzie słońca.

– Od zwykłego po egzotyczne – potwierdził Drake. – Próbowaleś kiedyś leniwca? Wonchuta? Rogatego rekina?

– Nie dręcz mnie – powiedział Aram. – W tej chwili zjadłbym nawet wiewiórkę.

– A skoro mowa o Wiecznej Uczcie... – wtrącił zapałszy w dal Nedwin – czy kiedykolwiek spotkaliście Tristana, byłego earla Geer?

– Dobrze pamiętam Tristana – powiedział Drake, wymieniając się spojrzeniem z Jasonem.

Teraz, gdy Jason się nad tym zastanowił, gdyby Nedwin przytył jakieś osiemdziesiąt funtów, wyglądałby całkiem jak ten krzepki arystokrata, który próbował uciec razem z nimi.

Nedwin pochylił głowę, bębniąc palcami jednej dłoni o skroń.

– Zatem plotki mówiły prawdę. Kiedy byłem przetrzymywany w Trensicourt, Copernum twierdził, że mój brat rzucił mu wyzwanie, starając się o stanowisko kanclerza, i przegrał.

Szukałem go, ale usłyszałem, że przyjął zaproszenie do Harthenham. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że się poddał.

– Zginął, pomagając nam w ucieczce – powiedział cicho Jason.

– Co? – zapytał zaskoczony Nedwin, mrugając.

– Uciekał razem z nami, ale mu się nie powiodło. Zginął w walce. – Jason pomyślał, że najlepiej nie dodawać, że dopadła go sfora zjadłych psów.

Nedwin uśmiechnął się i wyrwał mu się zdławiony odgłos, jakby na wpół szloch, – na wpół śmiech. Otarł oczy.

– Zginął dzielnie?

– Pomógł nas wszystkich uratować – potwierdził Drake. – Odszedł z krwią na swoim mieczu.

– Kamień spadł mi z serca – powiedział Nedwin z wilgotnymi oczami. – Tristan zawsze cenił swój honor. Nauczył mnie znaczenia tego słowa. Ulżyło mi, że odzyskał jego część przed śmiercią. Cieszę się, że o to zapytałem. Bałem się zadać to pytanie.

Jason złapał się na tym, że zaciska zęby, żeby powstrzymać łzy. Cieszył się, że wieści najwyraźniej zadowolili Nedwina, zamiast go przygnębić. Nedwin wycierpiał więcej, niż może znieść jeden człowiek.

Rachel wstała, ocierając usta serwetką.

– Chodź – powiedziała do Jasona.

– Co? – zdziwił się Jason.

– Galloran wrócił – powiedziała. – Chce z nami porozmawiać.

Otworzyły się drzwi i weszła Farfalee. Ona, Galloran i Dorsio wyszli wcześniej tego dnia, żeby naradzić się z Pallasem i innymi członkami Konklawe.

– Jasonie? – wezwała go Farfalee. – Rachel?

Jason ruszył za Farfalee i Rachel korytarzem o łukowym stropie.

– Myślę o pewnej liczbie – powiedział Jason.

– To nie działa w ten sposób. – Rachel westchnęła.

– Nie daj się prosić. To liczba między jeden i pięć.

– Dwa?

– Pi.

Rachel przewróciła oczami.

– Mogę czytać tylko w umysłach bliskich mojemu poziomowi inteligencji.

– Och, znaczy małży? Gąsienic? Pleśni?

– Raczej czarnoksiężników, torivorów i superkomputerów.

Farfalee doprowadziła ich do drzwi i weszła razem z nimi.

– Ja wcale nie popiskiwałem – wyjaśnił Jason – tylko miałem na myśli liczbę pi.

– Domyśliłam się. Obliczałam pole koła już w drugiej klasie.

– A ja nie – przyznał Jason. – Bawiłem się wtedy z kumplami.

Galloran odchrząknął.

Siedział na macie za stołem, z Dorsiem po jednej stronie i ponurym nasiennikiem po drugiej.

Nieznajomy miał ciemne, dość krótkie włosy z wyjątkiem wężła na karku. Wszyscy nosili nieco przykurzone po podróży szaty.

Jason zerknął na Rachel.

– Galloran mówi, że nie powinnaś żartować z mojego intelektu, bo może połknąć twój w całości.

– Teraz i ty słyszysz jego myśli? – odpowiedziała Rachel.

Jason wzruszył ramionami.

– Galloran mówi, żebyś nie była zazdrosna, ale posługiwaliśmy się telepatią od naszego pierwszego spotkania. Prawda, Wasza Królewska Mość?

– Jasona i mnie łączy cichsze porozumienie – odpowiedział dyplomatycznie Galloran. – Siadajcie, proszę. Mamy wiele do omówienia. To Sakar, przyjaciel Jashera i Farfalee.

Sakar skinął głową na powitanie.

Jason i Rachel usiedli na matach naprzeciwko Gallorana. Farfalee usiadła na macie z boku niskiego stołu.

– Spotkał się pan z Konklawe? – spytała Rachel.

– W rzeczy samej. Delegacja do Mianamon wyruszy rankiem pojutrze.

– Chce pan, żebyśmy udali się razem z nimi – uznał Jason.

Z jakiego innego powodu Galloran zaprosiłby akurat ich dwoje na rozmowę?

– Nie – odpowiedział Galloran. – Już dostatecznie dużo poświęciliście dla dobra Lyrianu. Wyprawa do Mianamon będzie niebezpieczna i jeśli się powiedzie, poprowadzi ku jeszcze większym niebezpieczeństwom. Ta prośba nie ma nic wspólnego z moimi chęciami. Tylko z naszymi potrzebami.

– Zatem chce pan, żebyśmy się tam udali – powiedziała Rachel.

Galloran westchnął ciężko.

– Moje nadzieje na sukces ataku opierają się w wielkim stopniu na tym, że wyrocznia z Mianamon wezwwała was ze świata Poza na pomoc naszemu światu. Musiała ujrzyć, że wasz wkład zasadniczo zmieni sytuację. Ponieważ już przyczyniliście się w stopniu, o którym nawet nie marzyłem, możliwe, że wasza rola w naszej walce się zakończyła. Jednakże, jeśli wyrocznia naprawdę ujrzy szansę na sukces, podejrzewam, że wasz wkład okaże się kluczowy dla naszego powodzenia. Jedyne sposoby, żeby wiedzieć to na pewno, to doprowadzić was przed jej oblicze.

– Powiedział pan Pallasowi, że wyrocznia może przewidzieć przyszłość jedynie obecnych –

powiedział Jason.

– Przyszłość obecnych wyrocznia bez wątpienia widzi najwyraźniej – potwierdził Galloran. – Z tego powodu powinni zjawić się tam członkowie Amar Kabał, tak samo jak drinlingowie i wszyscy inni, którzy mogą odegrać zasadniczą rolę w powstaniu.

– A co, jeśli dowiemy się, że nasza rola dobiegła końca? – zastanawiała się Rachel.

– Wtedy zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby osłonić was przed nadchodzącymi walkami.

– A pan nie będzie tam potrzebny? – spytał Jason. – Pańska rola może być najistotniejsza.

Galloran skinął głową.

– Z tego powodu po mojej misji dyplomatycznej w Felrook, spróbuję dołączyć do was w Ostatnim Zajeździe, najbardziej wysuniętej na południe placówce przed dżunglą. Gdybym nie zdołał się zjawić, Corinne będzie musiała dołączyć do delegacji i przygotować się do zastąpienia mnie w czasie mojej nieobecności. Jako ostatnia prawdziwa następczyni tronu Trensicourt powinna zdołać zmobilizować królestwo pod swoim przywództwem, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Jason widział, że Galloran nie cieszy się z myśli, że ten obowiązek miałby spaść na jego córkę.

– Po co w ogóle jedzie pan do Felrook? To zbyt niebezpieczne.

– Po części, żeby zadowolić Amar Kabał – wyjaśnił Galloran. – Mój udział w misji zmniejszy wrażenie, że potajemnie próbują ukrywać zbiegów. Skorzystam z ich nietykalności dyplomatycznej i w związku z tym nie spodziewam się, żeby Maldor otwarcie zwrócił się przeciwko mnie. Nie pragnie jeszcze wojny z Ludem Nasiona. Myślę, że to najbezpieczniejszy sposób dla niewidomego na ucieczkę z Dolin. Poza tym mam własne niedomknięte interesy z cesarzem.

– To brzmi ryzykownie – mruknął Jason.

– Wszystkim nam skończyły się bezpieczne opcje.

– Mam pytanie – odezwała się Rachel. – Skoro musimy udać się do Mianamon po przepowiednię wyroczni, to skąd przyjaciel Tarka, Simeon, dowiedział się, w jaki sposób Jason i ja możemy pomóc Lyrianowi?

– Nie jestem pewien, czy poznał aż tyle szczegółów – powiedział Galloran. – Możliwe, że po prostu dowiedział się, że wy dwoje możecie wiele zmienić i jak może was wezwać własnym wysiłkiem.

Jason zatarł niespokojnie rękę.

– A jeśli zjawimy się u niej, czy wyrocznia będzie w stanie podać więcej szczegółów?

– Teoretycznie tak – odpowiedział Galloran. – Przewidywanie przyszłości to niepewne przedsięwzięcie. Nigdy nie masz gwarancji, jak wiele albo jak mało będzie widoczne nawet dla najpotężniejszej wyroczni.

– Miło byłoby dowiedzieć się z całą pewnością, dlaczego zostaliśmy tu sprowadzeni – powiedziała Rachel.

– Cena za tę wiedzę może być wysoka – ostrzegł Galloran. – Przejdziecie niebezpieczną północną przełęczą przez urwiste góry, aż dotrzecie do tundry na północnych rubieżach. Stamtąd ruszycie na

wschód, równolegle do łańcucha górskiego. Nie będziecie w stanie skręcić na południe, dopóki nie dotrzecie do Ebery, Potępionego Królestwa...

– Nikt, kto wkroczy do Ebery, nie ma prawa jej opuścić – I weszła mu w słowo Farfalee. – Potępione Królestwo leży na wschodnim wybrzeżu Lyrianu, na północ od Kadary i żyznych wzgórz drinlingów. Niesławny czarnoksiężnik Kel Jerud zbudował tam wieżę, warownię znaną jako Czarna Iglica. Przed śmiercią ostrzegł, że jego domu strzegą koszmarni strażnicy. Był najpotężniejszym czarnoksiężnikiem swoich czasów. Wiele wieków po jego śmierci grupa poszukiwaczy skarbów zlekceważyła ostrzeżenie, znęcona obietnicą nieodgadnionych bogactw. W ten sposób wypuścili na królestwo zjadliwą zarazę, która zamieniła ich w chodzące trupy.

Galloran podjął jej opowieść:

– Tylko geografia tego królestwa w połączeniu z natychmiastowym działaniem króla Linusa, władcy Ebery z czasu wybuchu zarazy, uratowała resztę Lyrianu przed zarażeniem. Na północy Ebery znajdują się zamrożone pustkowia, na zachodzie góry, na wschodzie morze, a na południu płynie Srebrna Rzeka. Linus spalił wszystkie stocznie i promy, odcinając Eberę od reszty kontynentu. Kiedy choroba szybko rozprzestrzeniła się po różnych miastach królestwa, założył warowne osady dla tych, którzy jeszcze się nie zarazili, zabraniając wszystkim obywatelom Ebery, zdrowym czy nie, opuszczać granice kraju. Linus ostrzegł Kadarę przed plagą i odtąd Kadarczycy patrolują brzegi Srebrnej Rzeki, żeby zapobiec przekroczeniu rzeki przez zarażoną osobę.

– I my tam idziemy? – spytał Jason.

– Nie wiemy, jak obecnie wygląda sytuacja w Eberze – odezwał się Sakar. – Z pewnością populacja zmalała i jest bardziej – rozrzucona. Drinlingowie pomagają Kadarczykom patrolować Srebrną Rzekę. Nie jestem poszukiwany przez cesarza. Kiedy wy będziecie szli przez góry i tundrę, ja udam się prostszą drogą i naradzę z drinlingami. Miałem już kiedyś z nimi do czynienia.

Miejmy nadzieję, że pomogą wam przekroczyć Srebrną Rzekę i dotrzeć do „Ostatniego Zajazdu”.

– Droga będzie trudna i niepewna – powiedział Galloran – ale dlatego między innymi wąpimy, żeby Maldor albo jego słudzy ją odgadli. Nie mamy pewności, czego spodziewać się w Eberze. Mamy nadzieję, że jeśli będziecie się trzymać pustkowi, przemkniecie przez Potępione Królestwo niezauważeni. Jednakże istnieje spore ryzyko. Nikt nie zostanie zmuszony do wzięcia udziału w wyprawie; mam na myśli też was dwoje.

– Siedem Dolin to najbezpieczniejszy azyl w Lyrianie – powiedziała Farfalee. – Obydwoje będziecie mile widziani, jeśli zechcecie pozostać tu jako nasi goście do końca swoich dni... albo tak długo, jak przetrwa nasz naród.

– Kto jeszcze dołączy do delegacji do Mianamon? – spytał Jason.

– Zamierzam zaprosić wszystkich waszych towarzyszy poza Dorsiem – odpowiedział Galloran. – Będzie także sześcioro nasienników.

– W tym ja – powiedziała Farfalee. – Będę reprezentować Konklawe.

– Naprawdę? – zapytała Rachel.

– Wszyscy musimy wziąć udział – odpowiedziała Farfalee.

– Rachel – odezwał się Galloran. – Jasonie. Mieliście niewielki wybór, jeśli idzie o wasz udział w działaniach przeciwko Maldorowi. Tym razem decyzja, czy wziąć udział w wyprawie, należy tylko do was. Jak powiedziała Farfalee, Amar Kabał zapewni wam bezpieczne schronienie, jeśli tylko tego zechcecie. Zostając tu, będziecie mieli uczciwą szansę uniknąć przemocy w latach, które nadejdą. Nadal będę się starał ze wszystkich sił pomóc wam wrócić do domu tak szybko, jak tylko stanie się to możliwe. Gdyby powstanie poniosło klęskę, Siedem Dolin; pewnością będzie ostatnim krajem, który upadnie. Jeśli potrzebujecie czasu na zastanowienie, możecie odpowiedzieć jutro.

– Nie potrzebuję czekać – powiedział Jason. – Świadomie wróciłem do Lyrianu. Naszą największą szansą powrotu do domu jest pokonanie Maldora, a jeśli moja pomoc może okazać się ważna, chcę to wiedzieć. Jeśli moja pomoc nie jest potrzebna, też warto się tego dowiedzieć.

– Zgadzam się z Jasonem – poparła go Rachel. – Może pan na nas liczyć, udamy się do Mianamon. Galloran się uśmiechnął.

– Potrzeba jest ogromna, bo w przeciwnym wypadku nie rozważałbym takiego rozwiązania. Będą wam towarzyszyć najwspanialszy wojownicy Lyrianu. Droga będzie trudna, ale wierzę, że możliwa do przebycia, bo w przeciwnym wypadku nie wysyłałbym też córki.

– Jutro wieczorem udamy się na początek szlaku, żeby potem dyskretnie ruszyć w drogę z samego rana – powiedziała Farfalee.

– Chcielibyście dowiedzieć się czegoś jeszcze? – spytał Galloran.

– A co z orantium w Zatopionym Mieście? – zapytał Jason.

– Konklawe wysłało wiadomość przez orła do małej grupki nasienników, którzy przebywają w stałym punkcie obserwacyjnym wśród drzew w pobliżu północnowschodniego skraju bagien. Zabiorą zapasy orantium i wyłowią z Zatopionego Miasta jeszcze więcej.

– Wczoraj wspomniał pan o tym, jak usunęliśmy zagrożenie – przypomniała sobie Rachel. – Mówił pan także o znalezieniu wielkiego zapasu orantium. Niektórzy ze słuchających mogli zgadnąć, że orantium znajduje się w Zatopionym Mieście.

– I dlatego wysłaliśmy orła – powiedział Galloran. – Nie mamy powodu wierzyć, że szpiegzy przeniknęli do Amar Kabał, ale nie można przesadzić z ostrożnością. Pallas robi wszystko co w jego mocy, żeby szybko i dyskretnie odzyskać materiały wybuchowe.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział Jason. – Rachel powiedziała mi, że był pan w stanie posłużyć się jej oczami, żeby wygrać wczorajszy pojedynek. Gdyby została z panem, nie mógłby pan nadal korzystać z jej wzroku?

– To było desperackie posunięcie – powiedział Galloran. – Patrzenie w ten sposób na siebie i Namana wymagało nadzwyczajnego wysiłku umysłowego. Może zauważyłeś, że kiedy już zająłem właściwą pozycję i przyzwyczaiłem się do perspektywy, zdecydowałem się na szybkie zwycięstwo.

Gdyby Naman powstrzymał mój atak, wkrótce wyczerpanie doprowadziłoby do mojego końca. To było wykalkulowane ryzyko, które mogłem podjąć tylko w kontrolowanych okolicznościach. Czy mógłbym znowu patrzeć jej oczami? Z pewnością. Czy jeszcze kiedykolwiek okaże się to użyteczne? Możliwe. Czy jestem gotów zabrać Rachel do Felrook, korzystając z rzekomego immunitetu dyplomatycznego? Zważywszy na jej dar i status Pozaświatowca, w żadnym razie.

– Poszłabym, gdyby pan chciał – zapewniła go Rachel.

– Jesteś dzielna i lojalna, ale nie, naprawdę wolałbym, żebyś trzymała się z daleka od Felrook. Jeśli Maldor zrozumie twoje zdolności, będzie bardziej zainteresowany złapaniem ciebie niż kogokolwiek innego z naszej grupy. Twoja obecność mogłaby zagrozić misji.

– Wobec tego ja również mam ostatnie pytanie – powiedziała Rachel. – Co możemy zrobić w ramach przygotowań przed wyruszeniem w drogę?

– Odpocznijcie – odpowiedziała Farfalee. – Wkrótce zabraknie wam tego luksusu.

Z południowej krawędzi Wysokiej Doliny Rachel spojrzała w dół na gruby sierp Północnej Doliny i dalej, na spowitą we mgle Okrągłą Dolinę. Stroma serpentyna ścieżki prowadziła w górę z Okrągłej Doliny do tych mniejszych, wysoko położonych dolinek, ale wkrótce miała stać się nieprzejezdną dla koni.

Nasiennicy nie zamierzali naprawiać wiodących na północ szlaków. Farfalee wyjaśniła, że nieliczne szlaki wiodące przez góry są trudne do znalezienia i niełatwo się nimi idzie. Dzięki wąskim, zdradliwym meandrom wszelki atak z północy raczej ciurkałby do Siedmiu Dolin, zamiast nadejść powodzią. Co prawda, nikt nie mieszkał na północ od Dolin, ale w letnie miesiące wojska najeźdźcy mogłyby teoretycznie dotrzeć tu przez tundrę, idąc od strony oceanu.

Rachel zerknęła w bok na Drake’a, który dosiadał brązowego jak czekolada rumaka. Oddał Mandibara Galloranowi z myślą o jego podróży na południe. Ona i Drake wstali wcześniej i wymknęli się z obozowiska. Delegacja zeszła do Wysokiej Doliny w ciemnościach, a Drake uparł się, że nie powinna przegapić widoku z południowej krawędzi. Jego płaskie rysy sprawiały, że trudno było mówić o profilu, kiedy patrzył chmurnie na mglisty poranek.

– Uwielbiam te doliny – powiedział, najwyraźniej czując na sobie jej wzrok. – Tyle wspomnień. Tyle związków. Rok za rokiem. Żywot po żywocie. To dziwne uczucie jechać tędy, będąc niemile widzianym gościem. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzę rodzinną ziemię.

– Tu jest pięknie – powiedziała Rachel. – To moje ulubione miejsce w Lyrianie.

– Miałem chatę głębiej w tych górach – powiedział Drake. – Sam ją zbudowałem. Przeżyłem tam ponad dwa życia. Nie krótkie, lekkomyślne żywoty jak w Harthenham. Długie. Dobre. Miałem własną dolinę. Niezbyt dużą, ale większą niż potrzebowałem. Z tego co wiem, nikt inny nigdy jej nie znalazł. Nie prowadziła tam łatwa droga. Zimy były długie. Musiałem zebrać mnóstwo drewna i jedzenia.

– Bywałeś samotny?

– Niezbyt długo. Dwa razy zestarzałem się jam, dożyłem wieku, jakiego nie osiągnąłem nigdy więcej.

Byłem cierpliwy. Naprawdę czułem różnicę po każdym odrodzeniu. Przy trzecim żywocie wreszcie naszała mnie chęć, żeby spróbować czegoś innego, więc wyjechałem. Wielu moich ludzi wyrusza samotnie. Niektórzy nigdy nie wracają. Te góry ciągną się i ciągną, niemalże spinając oba krańce kontynentu. Mnóstwo miejsca, żeby się ukryć. Straciliśmy część naszych najlepszych mężczyzn i kobiet, którzy zdecydowali się żyć samotnie. Może to ci najmańdrzejsi.

– To chcesz właśnie zrobić? – spytała Rachel.

Pokręcił głową.

– Nie teraz. Może gdybym nie miał obowiązków. Może toż pozwoliłoby mi naprawić ducha, oczyścić go z Harthenham. Zamierzam jednak zobaczyć, jak wybucha powstanie. Dopóki ty, Jason i Galloran stoicie, będę stał przy was. – Wziął głęboki wdech, rozglądając się i pocierając kark. – Moi ludzie mną pogardzają. Moje żywoty dobiegają końca. To już nie jest moje miejsce. Nie ma tu dla mnie przyszłości. Nadal jednak boli mnie to, że muszę je opuścić. Tęsknię za tymi dolinami. Chciałbym po raz ostatni zobaczyć moją chatę.

– Nadal możesz to zrobić.

– Nie znajduje się w pobliżu naszej ścieżki.

– Mam na myśli później.

Zerknął na nią.

– Między teraźniejszością a przyszłością musi wydarzyć się wiele rzeczy. W tym coś tak mało prawdopodobnego, jak to, że nie umrę. Myślałem o tym, że już raz się pożegnałem z tymi dolinami. Wolę pożegnać się znowu, a jeśli jednak zdołam tu wrócić, niech będzie to miłą niespodzianką.

Rachel pomyślała o swoim domu. Czy zwariowała, myśląc, że tam wróci? Musiała znowu zobaczyć rodziców. Nie mogła stracić wiary, niezależnie od tego, jak posępnie oceniał ich przyszłość Drake.

– Nadzieja nie jest zła.

– To zależy od osoby – odpowiedział nasiennik. – Jeśli tobie służy, korzystaj z niej. Gotowa?

Krótką edomicką frazą Rachel skierowała klacz z powrotem do obozu. Drake posłużył się cugłami i piętami, żeby zachęcić do tego samego swojego konia. Rachel ponagliła klacz do biegu, rozkoszując się chłodnym wiatrem na twarzy.

W obozie przygotowywano się do wyjścia w góry. Wszyscy nosili szaty Amar Kabał i mieli ciężkie zimowe płaszcze podróżne. Planowali zdobywać jedzenie po drodze, ale mimo to, kilka – osób niosło plecaki z żelaznymi racjami.

Poza Farfalee dołączyło do delegacji pięcioro innych nasienników. Jednym była młoda kobieta, Delissa, która była o pół głowy niższa od Farfalee i rzadko się odzywała. Pozostała czwórka obejmowała Nollina, siostrzeńca Namana, który był bardzo podobny do wuja i służył od kilku żywotów jako jego główny doradca. Farfalee po cichu poinformowała Rachel, że Nollin zjawił się, bo dzięki temu nawet najbardziej cyniczni nasiennicy uwierzą w raport wysłany z Mianamon. Pozostali nasiennicy nazywali się Kerick, Halco i Andrus; wszyscy podobno byli znakomitymi wojownikami i myśliwymi.

Galloran już im nie towarzyszył. On, Dorsio i towarzyszący im nasiennicy pożegnali się z delegacją w Okrągłej Dolinie w drodze do Wschodniej Bramy i ostatecznie Felrook.

– Jak się udała przejażdżka? – spytał Jason, gdy Rachel zsiadła z kłaczy.

– Mieliśmy stamtąd piękny widok na Okrągłą Dolinę. Wyglądała jak misa pełna bitej śmietany.

– Pewnie lepiej, że tego nie widziałem. Schłodzone jagody w śmietanie to moje ulubione tutejsze danie. Będzie mi tego brakować.

– Wygląda na to, że jesteśmy prawie gotowi do drogi.

Jason pokiwał głową.

– Zamierzasz powiedzieć swojej kłaczy, żeby spotkała się z nami w tundrze?

– To nie byłoby wobec niej zbyt miłe – powiedziała Rachel, chociaż wiedziała, że Jason żartuje. –

Na pewno by tego spróbowała. Zasłużyła na odpoczynek w bezpiecznym miejscu.

– Szkoda, że o nas nie można powiedzieć tego samego. – Jason westchnął.

Kawałek od Rachel Drake przekładał rzeczy z konia do plecaka. Nollin podszedł do niego, trzymając w ręku wysoki kostur.

– Wróciłeś w dobrym momencie – pogratulował mu Nollin. – Ominęła cię cała robota.

– Pomyślałem, że dobrze ci zrobi zyskanie trochę wprawy v pracy – odpowiedział Drake, nawet na niego nie patrząc. – Potrzeba czegoś więcej niż umiejętności pisania, żeby przetrwać na odludziu.

Nollinowi rozszerzyły się nozdrza.

– Chyba rzeczywiście czeka mnie sporo nauki. Może pouczysz mnie, jak zapewnić sobie wikt i napitek, kłaniając się Maldorowi?

Drake się wyprostował. Miał spokojną twarz.

– Patrząc na twoją politykę, domyślam się, że już ci sporo płaci.

Nollin zerknął w bok i zauważył, że Rachel i Jason na nich jętrzą.

– Istnieje znacząca różnica między zalecaniem strategii obronnej, by chronić swój lud, a zdradą go i padnięciem na klęczki przed cesarzem.

Drake pokiwał głową.

– Masz rację. Ja się tylko zabijałem.

– Nasiennicy już od dawna słyną jako nieprzekupni – powiedział Nollin. – Jesteśmy nieodmiennie uczciwi wobec samych siebie i swoich ludzi. Żaden nasiennik w naszej historii nigdy nie przyjął otwarcie łapówki od wroga. Splamiłeś nieskalaną reputację...

– Zmęczyłem się walką z cesarzem bez poparcia rodaków – odgryzł się Drake, w końcu tracąc nad sobą panowanie. Ich gwałtowna wymiana zaczęła przyciągać uwagę pozostałych w obozie. – Ile harataczy zabiłeś? Ilu werbowników? Ilu rozsadników? Nie bez powodu zostałem zaproszony do Harthenham. Uwierz mi, nasza reputacja została zniszczona na długo przed tym, jak zasiadłem do uczty. Nie byłeś poza krajem od dziesięcioleci. Słyniemy na kontynencie jako tchórze kryjący się, w górach.

– Reszta Lyrianu cierpi, kiedy nam się dobrze wiedzie – bronił się Nollin. – Niech sobie kpią.

Niedługo nie ostaną się przy życiu żadni kpiarze.

Drake pokręcił głową.

– Słudzy cesarza kpią najgłośniejszy, najmniej obawiając się odwetu. Nie łudź się. Przy polityce, jaką uprawiacie, oni będą się śmiać ostatni.

– Roztropność to nie tchórzostwo. Gdybyśmy wypowiedzieli wojnę Felrook, już byśmy nie istnieli!

– Długie życie ma tylko wtedy sens, kiedy jest warte tego, by je przeżyć! Skoro upieramy się przy przetrwaniu, zawsze możemy spróbować zwyciężyć.

– I to mówi nasiennik, który się poddał! – Nollin się zaśmiał. – Jedyń, który sprzedał honor, żeby żyć w Harthenham.

– Kto ma mniej cnoty: mężczyzna, który walczył, aż brak poparcia zabił w nim ducha, czy mężczyzna, który nigdy nie walczył?

– Jesteś bardzo szlachetny – zakpił Nollin. – Przyznaję, że kiedy walczyłeś, nie popierałem cię. W jednym miałeś rację, gdy poszedłeś do Harthenham: nikt nie powstrzyma cesarza! Reszta Lyrianu przegrała wojnę już dawno temu. Wojna skończyła się lata temu.

– To po co tu jesteś? – warknął Drake.

– Jestem tu, żeby zadbać, by do Konklawe dotarł uczciwy raport. Jestem tu, by patrzeć, jak wyrocznia potwierdza to, co wiedzą już ci, którzy nie przeżyli ostatnich trzydziestu lat w otępieniu. Nie ma nadziei dla rebelii. Odważne słowa niczego nie zmieniają. Tak samo jak śmiałe czyny. Nic tu nie zmienia. Pozaświatowcy ani orantium, czy królowie bez tronu o rozdmuchanej reputacji. Ta podróż jest warta całego tego wysiłku tylko dlatego, że raz na zawsze wyjaśni tę kwestię.

– Nie okazuj braku szacunku lepszym od siebie – ostrzegł go Drake.

– A czemu nie? Ty to robisz bezustannie.

Drake sięgnął po miecz.

– Przestańcie! – rozkazała Farfalee. – Ta kulawa dyskusja trwa już dostatecznie długo.

Drake zostawił miecz w pochwie. Nollin posłał mu krzywy uśmiešek. Teraz ta kłótnia wciągnęła już całą delegację.

– Owszem, reprezentujemy różne punkty widzenia – mówiła dalej Farfalee – i owszem, mamy w naszych szeregach rozsadnika, półolbrzyma i nasiennika, który publicznie nas zhańbił.

– Ona mówi o tobie – mruknął do Nollina Drake, dostatecznie głośno, żeby wywołać śmiech.

– Nie, Drake, mówię o tobie – sprostowała Farfalee. – Poglądy Nollina podziela wielu naszych ludzi. Nollin nigdy nie przyjął łapówki od Maldora, żeby ukryć się przed swoimi problemami w poniżającym szaleństwie braku umiaru.

– To nie podzielało – powiedział Drake. – Mam na myśli ukrywanie się.

– Jeśli odezwiesz się raz jeszcze, zostawimy cię tutaj – zagroziła mu Farfalee.

Drake uniósł obie ręce, dając znać, że się poddaje.

Farfalee wygładziła dłońmi szaty.

– Jak już mówiłam, nasza delegacja reprezentuje różne punkty widzenia. Niektórzy z nas mają powody, żeby nie lubić lub nie ufać innym. Jednak wszystkich nas jednoczy wspólny cel: chcemy wiedzieć, co Prorokini z Mianamon może przewidzieć w kwestii wyników powstania. Nie ma sensu spekulować, co zobaczy. Myślę, że Nollin i Drake już omówili możliwości dostatecznie obszernie, żeby wystarczyło nam na całą podróż. Proponuję, żebyśmy nie rozmawiali więcej na ten temat.

– Popieram – powiedział Kerick.

– Ktoś przeciw? – zapytała Farfalee, rozglądając się po wszystkich uważnie, jakby rzucała im wyzwanie. Nikt się nie odezwał. – Dobrze więc. Czy ktokolwiek z tej grupy ma kłopot w związku z obecnością innego członka delegacji? Bądźcie szczerzy. Mówcie teraz albo więcej nie poruszajcie tego tematu.

– Aram chrapie – odezwał się Ferrin.

Kilka osób, w tym Rachel, z trudem powstrzymało śmiech.

Farfalee się zirytowała.

– Czy to wygląda na właściwą chwilę do żartów?

– Nie żartuję – odparł śmiertelnie poważnie Ferrin. – Jego chrapanie brzmi tak, jakby niedźwiedź topił się w beczce ze smołą.

Tym razem śmiech wyrwał się paru osobom, w tym Rachel. Aram rzeczywiście chrapał.

– Nie sprawia mi przyjemności podróż z rozsadnikiem – powiedziała Delissa.

Nastrój nagle znowu zrobił się poważny. Dwóch innych nasienników mruknęło z aprobatą.

– Galloran powierzył Nedwinowi kawałek mojej szyi – uspokoił ją Ferrin. – Może mnie zabić w dowolnej chwili.

– Mam tylko nadzieję, że nie będzie za późno – mruknął Nedwin.

Ferrin skrzyżował ręce.

– Tak samo jak Drake niewiele może zrobić z powszechnym przekonaniem o tchórzliwości jego ludu, tak samo ja niewiele mogę poradzić na reputację mojego, zgodnie z którą nie można nam ufać.

To oświadczenie wywołało wybuch ze strony nasienników. Drake wbijał wzrok w ziemię, a usta mu drżały, jakby powstrzymywał śmiech.

– Dość! – krzyknęła Farfalee.

– Rozsadnik dobrze mówi – wtrącił Tark. – Reputacja Amar Kabał podupadła.

– Dobrze więc – powiedział Andrus, wyciągając miecz. – Może zmierzyć się ze mną, jeśli taka jego wola.

– Nie zrozumiałeś mnie – odparł spokojnie Ferrin. – Nikt nie kwestionuje faktu, że jesteście wspaniałymi wojownikami. Właściwie to wasza waleczność sprawia, że robicie wrażenie jeszcze większych tchórzy. Nikt nie obwinia słabeuszy, kiedy uciekają przed walką.

– Mówisz, że cierpisz z powodu opinii, jaką ma twój lud – powiedział Andrus, chowając miecz. – Mamy zwiadowców, Ferrinie. Znamy cię osobiście. Jesteś równie podejrzanym typem, jak każdy

rozsadnik służący cesarzowi.

– Wobec tego wasi zwiadowcy powinni też wiedzieć, że nieodwołalnie wypadłem z łask cesarza – odpowiedział Ferrin. – Może i byłem podejrzanym typem, ale dopóki Maldor nie zwrócił się przeciwko mnie, zawsze byłem wobec niego lojalny. Teraz jestem lojalny wobec Jasona i Gallorana. Udowodniłem swoją lojalność w każdy możliwy sposób i nadal będę to robił. Najpewniej przyda wam się moja pomoc, kiedy zbliżymy się do wschodniego frontu walki. Będzie tam panował spory ruch wśród cesarskich sił, między którymi trzeba będzie nawigować.

– Nie proszę żadnego z nas, żeby w pełni zaufał rozsadnikowi – powiedziała Farfalee. – Pytam jednak, czy ktoś wśród nas nie może znieść jego towarzystwa. Jeśli tak, to mówcie teraz, żebyśmy mogli was zastąpić.

– Zastąpić nas? – oburzyła się Delissa. – Z powodu rozsadnika?

– Z powodu członka delegacji zatwierdzonego przez Konklawe – poprawiła ją Farfalee. – Gdyby nie chciał z nami współpracować, nie zabralibyśmy go, ale robi wrażenie chętnego.

– My także jesteśmy chętni – powiedział Andrus.

– Delissa? – spytała Farfalee.

– Nie sprawię kłopotów – obiecała nasienniczka.

– To nie jest proste zadanie – powiedziała Farfalee. – Niedługo przekroczymy punkt, z którego nie będzie już powrotu. Delegacja musi być zjednoczona. Czeka nas trudna droga. Nie możemy ryzykować, że pojawią się wewnętrzne konflikty.

– Mogę się teraz odezwać? – spytał Drake, podnosząc palec.

– Podejrzewam, że w końcu i tak byś to zrobił – odparła Farfalee.

– Niby dlaczego ty jesteś przywódcą?

Farfalee zacisnęła zęby.

– Możesz sobie wybrać: z racji doświadczenia, kompetencji, inteligencji, charyzmy...

– Poza tym Konklawe uzgodniło to z Galloranem – wtrącił Kerick.

– Dobrze więc – powiedział Drake, odchrząkując teatralnie. – Zatem teraz, kiedy już to sobie ustaliliśmy, proponuję: mniej gadania, więcej chodzenia.

– Popieram – rzucił zmęczonym tonem Nedwin.

Wniosek przyjęto jednogłośnie.

Rozdział 21

Wyjaca Szczierba

Dni zaczęły zlewać się ze sobą, kiedy Jason pomaszerował na północ między wznoszące się pod niebo góry. Początkowo często przystawał, żeby podziwiać zachwycające widoki na urwiste klify, lśniąco kaskady, rzeźbione granie, ukryte jeziora i skaliste szczyty. Chociaż żył wśród Gór Skalistych i odwiedził kilka parków narodowych, nigdy nie widział tak nieodmiennie monumentalnego i dramatycznego krajobrazu.

W końcu jednak pocztówkowe panoramy stały się tak powszechne, że zaczął tracić umiejętność patrzenia na nie świeżym okiem. Zamiast pławić się w ich pięknie, począł skupiać się na tym, jak stroma jest ścieżka prowadząca na następne wzniesienie, jak blisko krawędzi urwiska biegnie albo jak bardzo ścieżka musi się krzywić i wyginać, żeby pokonać względnie niewielką odległość.

Wydawało się, że góry ciągną się bez końca. Niezależnie od tego, jak wysoko się wspięli, kiedy zerkał przed siebie, za siebie czy w bok, widział kolejne skaliste stoki i kamieniste grzbiety, rząd za rzędem, gigantyczny ocean wyrzeźbiony w ciągu eonów.

Droga stawała się coraz trudniejsza, w miarę jak zagłębiali się w labirynt kanionów i szczytów. Coraz częściej szlak był tylko półką skalną z pionową przepaścią z jednej strony i pionowym wzniesieniem z drugiej. Coraz częściej przyprawiające o zawrót głowy szczeliny były spięte przez chwiejne sznurowe mosty. Co, raz częściej wycięte tunele albo naturalne jaskinie umożliwiały przejście przez teren, który bez nich byłby nie do przebycia.

Chociaż niebo przez większość czasu pozostawało czyste, w rzednym powietrzu wyczuwało się przenikliwe zimno. Coraz częściej wkładali ciężkie zimowe płaszcze. Na najwyższych szczytach i siodłach zaczęły się pojawiać ośnieżone lodowce.

Dobrze jedli. Aram zachwycał się mięsem łosi, dominującym na początku wspinaczki, a potem kozim, które pojawiło się na większych wysokościach. Jason dostrzegał najróżniejsze zwierzęta, zwłaszcza ptaki drapieżne, muflony, śnieżne kozły i nieznane mu kudłate, skaczące gryzonie.

Drake i Nedwin pomagali w prowadzeniu zwiadu, ale Ferrin nieodmiennie zostawał z grupą. Farfalee i Nollin rzadko zapuszczali się daleko do przodu ani nie zostawiali z tyłu, ale reszta nasienników spędzała sporo czasu z dala od delegacji – albo na polowaniach, albo wypatrując potencjalnych kłopotów.

Trudna droga nie dawała zbyt wielu okazji do rozmów. Słowa ograniczały się do poleceń, pozwalających uniknąć niebezpieczeństw grożących na zdradliwym szlaku. Wędrowali przez długie godziny, a potem jedli w pośpiechu i zapadali w sen. Jason cieszył się, że Amar Kabał nie potrzebują prawdziwego snu, bo nigdy nie musiał stawać na warcie.

Nie usłyszał żadnych więcej ostrych słów, odkąd Farfalee na początku szlaku wezwała wszystkich do współpracy, ale zauważył mnóstwo niemiłych spojrzeń.

Dziewiątego dnia wędrówki dotarli do wielkiego kamiennego budynku przy krawędzi głębokiej przepaści. Dzięki nieregulowanym ścianom i ostrym kątom krytego łupkiem dachu mógłby ujść za wytwór natury na górskim stoku. Trzy grube liny wyginały się w łuk nad przepaścią – najgrubsza do chodzenia i dwie służące za poręcze – połączone cienkimi sznurami.

Czwórka nasienników zawiadywała tym odległym posterunkiem – dwóch mężczyzn i dwie kobiety. W budynku znajdował się zapas jedzenia i innych dóbr, ale znalazło się tam dość miejsca, żeby pomieściła się cała delegacja, która dzięki temu mogła przenocować pod dachem i przy płonącym ogniu.

Farfalee naradziła się z dowódcą posterunku, mężczyzną o basowym głosie i imieniu Valero. Jason wychwycił przypadkiem strzępki rad związanych z pogodą i jaskiniowymi leniwcami oraz wiadomości z jeszcze odleglejszych strażnic.

Kiedy następnego ranka szykowali się do drogi, Jason znalazł Ferrina wyciągniętego samotnie w magazynie i zjadającego suszone owoce. Specjalnie go szukał, bo rozsadnik od początku tej wyprawy nie był sobą.

– Dobrze się miewasz? – spytał go wprost Jason.

– Jak nigdy w życiu – odpowiedział Ferrin, wrzucając do ust coś, co mogło być suszoną morelą.

– Ani razu nie wzięłeś udziału w zwiadzie – zauważył Jason.

Ferrin wyszczerzył zęby w bladym uśmiechu.

– Mam silne przeczucie, że moje usługi nie są mile widziane.

– Masz takie samo prawo być tutaj jak wszyscy inni – zapewnił go Jason.

– Teoretycznie tak, dzięki Galloranowi. Nie w praktyce. Nie przejmuj się mną. Czuję się jak w domu, kiedy większość osób wokół mnie wołałaby, żebym znajdował się gdzie indziej. Nawet wśród cesarskich sług nikt nie pragnie towarzystwa rozsadnika.

Jason zmarszczył brwi.

– Nie pozwól, żeby nasiennicy tak cię dołowali.

– Nie chodzi tylko o nich – powiedział Ferrin bez wyczucia jego rozżalenia. – Reszta was też mi nie ufa w takim czy innym stopniu. Nie spodziewam się, żeby Nedwin albo Tark złapali mnie za rękę, gdybym zachwiał się na krawędzi przepaści. Drake i Aram mogliby równie dobrze mnie wziąć, jak i zostawić. Corinne jest zbyt niewinna, żeby wiedzieć swoje. I oczywiście ty i Rachel macie własne stare rany do zaleczenia. Przywykłem do tego typu atmosfery. Teraz nadszedł dla mnie czas, żeby się nie wychylać. Jeśli będę robił wrażenie szczęśliwego albo pomocnego, wywołam tylko irytację i zwiększę napięcie. Niemile widziany gość nie powinien afiszować się ze swoją obecnością.

– Coraz bardziej ci ufam – powiedział Jason, współczując Ferrinowi.

– Co odbieram jako znacznie dziwniejsze niż podejrzliwość – odparł rozsadnik. – Kiedy byłeś nowy w Lyrianie, zanim dowiedziałeś się czegokolwiek o rozsadnikach, tłumaczyłem sobie, że twoja

akceptacja wynika z niewiedzy. Nigdy nie miałem prawdziwego przyjaciela, Jasonie. Wykorzystywałem innych i byłem wykorzystywany, ale człowiek z zasadami nigdy nie zaakceptowałby mnie świadomie. A kiedy Galloran wstawił się za mną przed Konklawe? Kiedy za mnie poręczył? To było zupełnie nowe doświadczenie. Omal nie wstałem i nie zaprotestowałem.

– Dlaczego? Mylił się?

Ferrin zacisnął usta.

– Chcę, żeby miał rację – odpowiedział w końcu. – Rozsadnicy są wychowywani na szpiegów Maldora. Od kołyski uczono mnie knuć. Zawsze miałem do tego dryg. Ciągłe zauważam, w jaki sposób mógłbym wykorzystać różne informacje. Jak mógłbym wykorzystać różne znajomości. Pośród rozsadników szczyciłem się tym, że jestem bardziej honorowy od reszty. Często przepuszczałem niemoralne okazje. Jednak w porównaniu i prawością, jaką zobaczyłem w tobie albo Galloranie, jestem do szpiku kości niehonorowy.

– Ludzie mogą się zmienić – powiedział Jason.

– Staram się, Jasonie, ale czy nie widzisz? Największa uczciwość, na jaką mnie stać, to przyznanie, że instynktownie pragnę być nieuczciwy!

– To już jakiś początek – odpowiedział Jason. Spojrzał poważnie na Ferrina. – Co cię kusi?

Rozsadnik wbił wzrok w podłogę.

– Jakaś część mnie zastanawia się, jak trudno byłoby nasiennikom osądzać mnie i mój lud, gdyby wyginęli. Jakaś część mnie chce wykorzystać milion niedoskonałości, jakie dostrzegłem w ich postawie i obronie. Jakaś część mnie chce pokazać tobie i Galloranowi, że jesteście głupcami, ufając mi, że nie potrzebuję waszego współczucia ani ochrony. Jakaś część mnie chce odzyskać kawałek szyi, który ma Nedwin.

Jasonowi nie podobało się, dokąd to zmierzało. Czy martwił się, że Ferrin może ich w jakiś sposób zdradzić? Pewnie. Jednakże co innego usłyszeć te słowa z jego własnych ust. Z drugiej strony, tylko próbował być szczery, prawda?

– Nie wiesz, jak zareagować – powiedział Ferrin. – Ułatwię ci to. Najbezpieczniej dla waszej rebelii w powijakach byłoby, gdybyście zrzucili mnie z najwyższego urwiska, jakie znajdziecie. Od lat prowadziłem niebezpieczną grę: handlowałem sekretami, mówiłem kłamstwa, wywierałem naciski, zdobywałem zaufanie tylko po to, żeby zdradzić. Uchodził mi na sucho ekscentryczny sposób życia wśród elity Maldora, bo ukrywałem wiele z tego, czego się dowiedziałem, i udawałem, że jestem zbyt cenny, by mnie zabić. To była niebezpieczna gra, w której nie wybacza się błędów. Kiedy uwolniłem cię z Felrook, pomyliłem się w kalkulacjach i przegrałem. Koniec gry. Mosty zostały spalone. Jednak gra to część mojej natury. Nie sądzę, żebym potrafił przestać grać dopóki nie przestanę oddychać.

– Chcesz, żebyśmy cię zabili? – zapytał bez przekonania Jason.

Ferrin zaśmiał się żałośnie.

– Nie wiem. Jakaś część mnie podejrzewa, że nigdy byście tego nie zrobili. Jakaś część mnie myśli,

że moja szczerość sprawi, że bardziej mi zaufacie. Jakaś część mnie stara się być szlachetna i cię ostrzec. Inna część ma już to wszystko w nosie. Jestem aktorem. Udawałem zbyt wiele rzeczy dla zbyt wielu ludzi. Odcięty od Maldora, zdradziwszy jedyną sprawę, o którą zawsze zabiegałem, nie bardzo wiem, kim jestem.

– Zaczniij od nowa – nalegał Jason. – Bądź w tym prawdziwy. Graj w swoje gierki dla nas.

Ferrin westchnął.

– Nigdy nie wybrałem tej sprawy. Nie tak naprawdę. Nie odszedłem od Maldora dla zasad. Popełniłem błąd i uciekłem. Czy jestem tak niestały, że teraz stanę się niezłomnie lojalny wobec jego wroga?

– Dlaczego byłeś wobec niego lojalny? – spytał Jason.

– Po części z racji tradycji. Jestem rozsadnikiem. Wszyscy rozsadnicy są lojalni wobec Maldora. Po części dla bezpieczeństwa. On wygra. Rozsadnicy wiedzą, co się dzieje ze stroną, która przegrywa. Byłem lojalny przyszłemu niekwestionowanemu cesarzowi całego Lyrianu.

– A jeśli możemy wygrać? A jeżeli wyrocznia ujrzy, że Maldor może przegrać?

– Wyrocznie widzą tysiące możliwych przyszłości – odpowiedział Ferrin. – Może miliony. Może więcej. Czy pośród niezliczonych możliwych przyszłości jest taka, w której Maldor może przegrać? Pewnie tak. Nawet jeśli ta wyrocznia przewidzi możliwe zwycięstwo powstania, założę się, że zobaczy wiele więcej przyszłości, w których zostaniemy zmiażdżeni. Poza tym, jeśli tylko wyrocznia mnie zobaczy, pewnie z miejsca rozkaże mnie zabić.

– Dlaczego? – spytał Jason.

Ferrin spojrzał mu w oczy.

– Bo kto wie, ile tych możliwych przyszłości, w których powstanie zostaje zdławione, zaczyna się od mojego aktu zdrady?

Jasonowi zabrakło słów. Ferrin mu nie pomagał.

– Prosisz, żeby cię uwięzić?

– A jak myślisz? – spytał Ferrin.

– Już ci powiedziałem. Myślę, że powinieneś zacząć od początku. Myślę, że powinieneś uznać, że twoje stare życie się skończyło. Powiedziałeś, że nigdy nie miałeś prawdziwych przyjaciół. Teraz jesteś na dobrej drodze. Jestem jednym z twoich przyjaciół. Niech ci to wystarczy.

Ferrin pstryknął kciukiem, wrzucając owoc do ust.

– Nie wiem. Myślę, że jeśli kłamię się dostatecznie długo i dostatecznie często, człowiek staje się kłamstwem. Odrzyj mnie ze wszystkich pozorów i oszustw, a nie wiem, czy cokolwiek zostanie.

– Nie naprawisz tego problemu kolejnymi kłamstwami – odparł Jason. – Nie, okłamując samego siebie. Nie, okłamując nas.

Jeśli szczerze poświęcisz się tej sprawie, będziesz miał coś, co zostanie po odarciu całej reszty: tę sprawę i tych przyjaciół.

– Nie rozumiesz – powiedział Ferrin. – Niezależnie od tego jak bardzo się staram, zawsze jest ten cyniczny zakątek mojego umysłu, gdzie wszystko jest grą. Ludzie to pionki. Informacje to waluta. Widzę siebie jako zbuntowanego rozsadnika lojalnego wobec nowej sprawy, a w głębi ducha czuję się jak głęboko ukryty szpieg, który wkłada się coraz głębiej w wasze łaski. Zdobywałem się już wcześniej na szczerość. Prawie w nią wierzyłem. Jestem ekspertem od prawie wierzenia we własne kłamstwa. Dlaczego niby teraz ma być inaczej? Jak to możliwe?

– Bo teraz wiemy, kim jesteś, i mimo to dajemy ci szansę.

Ferrin spuścił głowę. Sięgnął do rękawa szaty i wyjął kawałek ciała.

– Co to jest?

– Część tętnicy ramiennej – powiedział Ferrin. – Weź ją. Uznaj to za dodatkowe zabezpieczenie. Całe życie wbijałem nóż w plecy tym, którzy byli dość głupi, by mi zaufać. Teraz zdradzam jedyne go pana, jakiemu zawsze służyłem. Zdradzam własny lud. Mimo to, postaram się szczerze służyć powstaniu. Przez wzgląd na przyjaźń. To lepszy powód niż ten, który miałem wcześniej.

Jason wziął kawałek, kiwając głową.

Usłyszeli zbliżające się kroki. Drake zajrzał do magazynu.

– Przygotowujemy się do wyjścia. To suszone owoce?

– Mają tego całe góry – powiedział Ferrin.

– Przynieście mi garść – poprosił Drake. Popatrzył na Jasona i Ferrina. – Wszystko w porządku?

– W najlepszym – odparł Jason.

Przejsie po trzech linach nad przepaścią nie było zabawne, podrygiwały i kołysały się o wiele bardziej, niż życzyłyby sobie ego Jason, i wydawało się niemożliwością nie patrzeć w dół nie wyobrażać sobie upadku z takiej wysokości.

Drake wyjaśnił, że te prowizoryczne mosty łatwo zniszczyć, przez co szlak stałby się praktycznie niemożliwy do przejścia, nawet jeśli byłby słabo broniony. Delegacja przeszła po kilku takich mostach, w miarę jak szlak wiódł zygzakiem na północny wschód ku niewidocznej tundrze.

Dwunastego dnia wędrówki, kiedy nadal otaczały ich olbrzymie granie i skarpy, Jason zaczął zauważać wiatr zawodzący w oddali.

– Możliwe, że nadciąga gorsza pogoda – powiedział do Farfaee, kiedy zebrali się wokół ogniska pod skalnym występem.

– Niekoniecznie – odpowiedziała. – Słyszysz Wyjącą Szczerbę. Dotrzemy tam jutro.

– Tam robi się naprawdę zabawnie – powiedział Drake, zjadając kawałek suszonego mięsa.

– Co to jest Wyjąca Szczerba? – spytała Rachel.

– To anomalia – odpowiedział Drake.

– Obszar za Wyjącą Szczerbą skupia porywiste wiatry w wąskiej szczelinie – wyjaśniła Farfalee.

Drake szturchnął ognisko patykiem.

– Wiatr wieje bezustannie i jest bardzo porywisty, a jednak ukształtowanie terenu wcale się nie zmienia, a szczelina nie eroduje.

– W tej okolicy zamieszkał kiedyś skryty czarnoksiężnik – dodała Farfalee. – Zbudował sobie twierdzę w żywej skale, kształtując ją edomickim. Wielu wierzy, że obszar wokół Wyjącej Szczerby nadal jest zaczarowany.

– Przechodziłem parę razy przez szczerbę – powiedział Kerick, podchodząc do ognia. – Jest trudna, ale jeśli się pilnujesz, da się ją przejść.

Wizja silnych wiatrów i stromych urwisk sprawiła, że Jason przypomniał sobie pewien koszmar, który wiązał się z torivorem.

– Możemy zostać zdmuchnięci z krawędzi?

Kerick zarechotał.

– To najbardziej niebezpieczny odcinek szlaku. W wietrzną pogodę żadne żywe stworzenie nie przejdzie przez szczelinę. Jesteśmy tu w późniejszej porze roku, niżbym chciał, ale nadal mamy letnią pogodę. Jeśli będziecie mocno trzymać się liny i słuchać instrukcji, powinniście dać radę.

Następnego ranka wyjący wiatr stawał się coraz głośniejszy. Gwałtowne wycie nie pasowało do błękitnego nieba i strzępiastych obłoczków.

– Można by pomyśleć, że wchodzimy w huragan – odezwała się Rachel za plecami Jasona.

– To dziwne – odpowiedział. – Ledwie dało się wyczuć wiaterek tego ranka.

Idący przed nim Drake zerknął przez ramię.

– Ten sam obszar, który kieruje podmuchy przez Wyjącą Szczerbę, osłania przed nimi większość podejścia. Przekonasz się tuż za zakrętem.

Kiedy Wyjąca Szczerba ukazała się ich oczom, Jason przystanął. W pewnej odległości od niego wysokie skalne siodło łączyło dwie górujące skarpy. Stroma szczerba o kształcie litery „V” rozcinała siodło.

– Nawet tutaj jest już strasznie głośno! – powiedziała Rachel.

Jason ledwie wyłapał jej słowa.

Szlak prowadzący do szczeliny był wąską półką wykutą w stoku. Jason zaczął się przyzwyczajać do nieustannego zagrożenia upadkiem z wysokości tysiąca stóp prosto w ramiona śmierci, ale ta ścieżka była najwęższa z tych, którymi szli. Niezależnie od tego, jak ostrożnie się ustawił, nigdy nie znajdował się dalej niż sześć cali od krawędzi.

Na szczęście, wzdłuż ściany ciągnęła się umocowana lina. Jason zastanawiał się, czy gdyby nie miał czego się chwycić, zmusiłby się do przejścia. Nawet mając linę, starał się skupić na plecach Drake’a i ignorować przyprawiającą o zawrót głowy przepaść. Wiatr nieustannie wył, czasem przycichając do jęku, a niekiedy narastając do świdrującego wrzasku, tak głośniego, że Jason nie mógł uwierzyć, że nie czuje żadnego większego poruszenia powietrza.

Im bliżej znajdowali się Wyjącej Szczerby, tym była mniej widoczna dla Jasona. Szlak wspinał się z

dołu ukosem. Wreszcie wąska półka rozszerzyła się w półokrągłą platformę, dostatecznie szeroką, żeby zebrała się tam cała grupa. Farfalee wrzeszczała, żeby przekrzyczeć ogłuszającą wichurę.

– Przejdziemy przez szczelinę w dwóch pięcioosobowych grupach i jednej czteroosobowej. Kerick poprowadzi pierwszą, Halco drugą, a Andrus ostatnią. Słuchajcie uważnie ich poleceń.

Kerick i Halco wskazali klepinięciem po czterech członków delegacji. Jason wylądował w grupie Halco razem z Delissą, Nedwinem i Aramem. Zbrali się razem, odsuwając się od reszty.

– Trzy zasady – powiedział Halco. – Pierwsza, trzymajcie się liny. Lina was przeprowadzi. Zawsze trzymajcie się mocno co najmniej jedną ręką. Nigdy nie wiadomo, kiedy wiatr uderzy silniej. Druga, trzymajcie się nisko. Jeśli podmuch was porwie, minie bardzo dużo czasu, zanim uderzycie o ziemię. To się może zdarzyć znienacka. Przechodźcie przez szczyrbę, trzymając się nisko przy ziemi, prześlizgując się, nie pełznąc. Nie chcemy dawać wiatrowi niczego, co mógłby chwycić. Trzecia: ruszacie, kiedy ja ruszam, przystajecie, kiedy ja przystaję. Nie będziemy mogli się słyszeć. Jeśli ktoś zostanie oderwany od liny, nie możecie mu pomóc. Podnieście głowę, sięgnijcie po niego, unieście się choćby odrobinę, a sami do niego dołączycie. Jakies pytania?

– Możemy zrobić to po zachodzie słońca? – spytał Aram.

Halco pokręcił głową.

– Drobniejsze rozmiary pewnie bardziej ci pomogą niż większa siła. Mniejsza powierzchnia. Nikt nie pokona siłą mięśni wiatru w Wyjącej Szczerbie. Poza tym zwykle podmuchy przybierają na sile po zmierzchu. Coś jeszcze?

– Jaka kolejność? – spytał Nedwin.

– Ja prowadzę, potem Jason, ty, Aram i Delissa. Kiedy przejdziemy przez szczyrbę, lina zaprowadzi nas do rowu. Tylko trzymając się nisko w rowie, zdołamy zejść na drugą stronę. – Podniósł małe cylindry z korka. – Wszystkim nam się przydadzą do uszu.

Jason wziął parę zatyczek i zaraz je włożył. Rachel była w pierwszej grupie, prowadzonej przez Kericka. Po poprawieniu sobie plecaka i szat Kerick wyprowadził pierwszą grupę z osłoniętej półki i zniknął im z oczu. Jason i pozostali usiedli i czekali.

Nawet mimo zatyczek wiatr robił dostatecznie dużo hałasu. Jason słuchał, jak wycie opada i narasta, wyobrażając sobie, jak musi uderzać w Rachel. Siedział w takim napięciu i wyczekiwaniu, że nie potrafił powiedzieć, czy czas upływa szybko, czy wolno. Mógłby czekać na tej półce cały dzień i nie zacząć się nudzić.

Siedząca z boku Corinne położyła rękę na ramieniu Farfalee i coś do niej powiedziała.

Nasienniczka dała znać Fialco, który wstał i machnął na grupę, żeby się zbierała.

Corinne podeszła do Jasona, który wyjął zatyczkę.

– Pierwsza grupa przeszła – powiedziała. – Rachel mówi, że jest gorzej, niż możemy sobie wyobrazić.

– Pocieszające – odpowiedział Jason. – Do zobaczenia po drugiej stronie.

Włożył zatyczkę i stanął za Halko. Nasiennik sprowadził go z półki wąskim skalnym występem.

Przeszli kilkaset kolejnych jardów osłaniany przed wiatrem przez skalną ścianę obok szlaku. Ściana się kurczyła, aż w końcu zniknęła. Tuż za jej krańcem znajdowała się lina umocowana do szarego skalistego gruntu, ciągnąca się w górę do karbu.

Halco obejrzał się na grupę, unosząc palec wskazujący. Wycie wiatru działało im na nerwy. Wreszcie ucichło do głośnego jęku. Kładąc się płasko na brzuchu, Halco złapał linę i wypełził zza osłaniającej ich ściany.

Jason ruszył za nim. Mimo basowego jęku wichury Jason i tak nie był w stanie uwierzyć, jak porywisty wiatr go owiewa. Powietrze nigdy dotąd nie wydawało się równie namacalne. Gdyby spróbował wstać, żadna siła nie utrzymałaby jego dłoni na linie. Miał wrażenie, że próbuje się podciągnąć pod prąd w rozszalałej rzece.

Grunt wnosił się na pochyłość prowadzącą do szczyby – nakładające się na siebie płyty skalne z wyłobieniami, guzami i innymi nierównościami. Podciąganie się po ostrych krawędziach było nieprzyjemne, ale Jason uznał, że poszarpana powierzchnia może nieco osłabić wiatr, jeśli będzie się trzymał dostatecznie nisko. Dwadzieścia jardów za nim pochyłość kończyła się przy krawędzi wysokiej przepaści. Zimne powietrze pachniało żelazem, kamieniem i śniegiem.

Jęk podniósł się i zamienił w ryk. Zdawało się, że tnący nad głową Jasona wiatr ma namacalny ciężar i dociska go do ziemi. Jason wyobraził sobie, że gdyby podniósł palec, strumień powietrza oderwałby go od dłoni.

Przesuwał się dłoń za dłonią. Nawet poniżej najgorszych podmuchów, mając przed sobą Halco, który brał na siebie główne uderzenie nawałnicy, potrzebował całej siły i skupienia. Nie podnosząc wzroku, starał się przywierać do skały.

Wiatr huknął z ogłuszającym wrzaskiem i Jason uderzył głową w mokasyny Halco. Jason zatrzymał się, przywierając do liny. Wrzask niósł się równo, długo po tym, jak śpiewak operowy dawno by już zemdlął. Kiedy wrzask ucichł, zamieniając się w ryk, Jason dostrzegł, że Halco znowu przesuwa się do przodu.

Stopa za stopą, cal po calu Jason pokonywał odległość. Co pewien czas mijał paliki, które mocowały linę. Spodziewał się, że jutro będzie cały w sinikach, nie od uderzenia, ale bezlitosnego nacisku na różne punkty jego anatomii, zwłaszcza łokcie.

W końcu dotarli do frontu szczyby. Halco przystanął. Wiatr ryknął jak nigdy dotąd. Bez zatyczek mógłby trwale uszkodzić słuch. Mięśnie w rękach i dłoniach Jasona płonęły z wysiłku. Minęła wieczność, zanim wiatr nieco osłabł i Halco popełził pośpiesznie do przodu.

Wąska szczelina biegła prosto przez jakieś dziesięć jardów, zanim zaczynała się rozszerzać. Jasonowi ulżyło, kiedy prześlizgnął się przez najwyższy punkt siodła, drapiąc sobie twarz, bo próbował trzymać się jak najniżej. Schodząc po drugiej stronie, zerknął przed siebie, gdzie lina zniknęła w rowie. Jeszcze dwadzieścia jardów.

Usłyszał, jak wiatr przybiera na sile, zanim go poczuł. Halo zamarł, przywierając do ziemi. Wiatr narastał do wrzasku, potem świdrującego wycia silnika odrzutowego. Jason chwycił się liny ze wszystkich sił. Czuł, jak sznur drży. Niezależnie od tego, jak nisko się trzymał, miał wrażenie, że niewiele brakuje, by gwałtowne podmuchy powietrza porwały go ze sobą. Kilka razy lina szarpnęła się tak mocno, że jego ciało odrobinę oderwało się od ziemi, zanim z powrotem w nią uderzyło. Te kilka nowych siniaków będzie tym razem od uderzenia. Wiatr był niewiarygodny. To takie musi być uczucie, kiedy jedzie się na nartach wodnych za pociskiem. Jakie prędkości osiągał wiatr? Musiały to być setki mil na godzinę.

Jason zerknął na Halco, który nadal leżał płasko i spoglądał w tył. Odwracając delikatnie głowę, trzymając policzek przy ziemi, Jason też zerknął za siebie. Nedwin trzymał się liny za nim, z głową przy ziemi. Potem Aram. Delissa pełzła za nimi, mijając właśnie najwyższy punkt siodła. Jej ciało wyglądało jak flaga szarpana przez tornado. Nagle Jason zrozumiał, dlaczego lina tak się szarpała.

Na jego oczach niepowstrzymany wiatr uderzył jeszcze mocniej i Delissa wypuściła sznur. Wyglądało to tak, jakby wystrzelono ją z armaty. Zaczepiła o bok szczeliny, przez co zaczęła koziółkować w powietrzu, oddalając się błyskawicznie. Mimo niskiego punktu widzenia Jasona, bardzo długo ją widział, patrzył, jak maleje w oddali, zanim w końcu zniknęła w dole.

Przerażony pochylił głowę, przyciskając twarz do ziemi. Zamknął oczy. Przedramiona mu płonęły, kiedy jeszcze mocniej zacisnął dłonie na linie. Z pewnością wiatr zaraz osłabnie. Na razie, niestety, tylko przybrał na sile. Za chwilę. Za chwileczkę.

W końcu wiatr osłabł, stał się wrzaskiem, a potem rykiem. Zerkając przed siebie, Jason zobaczył, że Halco ruszył. Jason pośpiesznie poszedł w jego ślady, nie chcąc stracić częściowej osłony, jaką dawał mu nasiennik.

Szczelina się poszerzyła. Zerkając przed siebie, Jason zobaczył całą dolinę rozszerzającą się za szczybą, ogromny lej, jak opisywali to niektórzy.

Wiatr jeszcze bardziej osłabł. Jason przesuwiał się przed siebie, aż czyjeś ręce pomogły mu zejść do głębokiego rowu, tak idealnie kwadratowego w przekroju, że musiał zostać wydrążony za pomocą narzędzi. Wiatr nadal hałasował, ale Jason już go nie czuł. Nedwin opadł za nim, a potem Aram.

Jason osunął się pod ścianą, odrętwiały i wyczerpany. Czy naprawdę przed chwilą widział, jak kobieta wystrzeliła w powietrze niczym źdźbło trawy rzucone na strumień ze strażackiej sikawki? Uderzenie o brzeg szczeliny mogło ją zabić. Jeśli nie, to z pewnością upadek dokończy dzieła. Pocieszała go myśl, że przynajmniej miała amar. Tyle że to był kamienisty teren. Czy nasiono kiedykolwiek zostanie zasiane?

Kerick i Halco krzyczeli do siebie, próbując się usłyszeć. Kerick pośpieszył rowem i Jason widział, jak wrzeszczy do Rachel. Czas mijał. Jason ledwie wierzył, że żyje. Rachel miała rację. Mimo wszystkich ostrzeżeń było o wiele gorzej, niż sobie wyobrażał.

W końcu Farfalee opadła do rowu, a za nią Corinne i Drake. Gdzie się podział Andrus?

Jason musiał poczekać na wyjaśnienie. Spędzili następną godzinę, idąc wykopami. Po tej stronie szczyby wiatr hulał po szerszej przestrzeni. Im dalej odsuwali się od szczyby, tym mniej skupiona była nawałnica, ale nawet po godzinie podmuchy wiatru nadal przypominały huragan.

W końcu wykop doprowadził ich do jaskini. Kiedy weszli do środka, powietrze wydało się wręcz upiornie nieruchome. Gdy przeszli pewien odcinek, zaczęło się nawet robić cicho. W wysokiej komorze o pofałdowanych ścianach z nacieków i ze stalaktytami kapiącymi na stalagmity Jason wyjął zatyczki, żeby słyszeć pozostałych.

– Andrus poszedł za Delissą – wyjaśniła Farfalee. – Nie chciał ryzykować, że jej nasiono wyląduje na nagiej skale. Nikt nie podróżuje kanionem poniżej szczeliny.

– To będzie trudne zejście – powiedział Nollin.

– Wspina się najlepiej ze wszystkich – odparł Kerick.

– Andrus powiedział, że jeśli szybko znajdzie jej amar, spróbuje nas dogonić – przekazała Farfalee.

– To mało prawdopodobne – mruknął Halco. – Będzie musiał zejść tysiące stóp. A potem znaleźć nasiono. Później się wspiąć. To zajmie mu wiele dni.

– Może się zabić, próbując – dodał Kerick. – Tak czy inaczej, dołączenie do nas to pobożne życzenie.

– Andrus przeżyje – powiedział Halco. – I znajdzie jej amar. Zgadzam się jednak, że do nas nie wróci.

– To wielka strata – orzekł posępnie Nollin. – Delissa była chyba najlepszą łuczniczką w Siedmiu Dolinach. I niewielu fechmistrzów może dorównać Andrusowi.

– Niezależnie od wszelkich zabezpieczeń, przejście przez Wyjącą Szczerbę zawsze wymaga szczęścia – powiedział Halco. – Delissa nie zrobiła niczego źle. Po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu, kiedy wiatr uderzył z największą siłą. Mamy szczęście, że większość z nas nie poleciała. To było najtrudniejsze przejście, jakie przeżyłem.

– Teraz możemy tylko iść dalej – powiedziała Farfalee. – Wiedzieliśmy, że Wyjąca Szczerba będzie najgorszą próbą w górach. Prawie dotarliśmy do tundry. Reszta drogi prowadzi głównie w dół.

– Prosto do Potępnego Królestwa – mruknął Drake. – Jeszcze się może okazać, że Delissa i Andrus mieli szczęście.

Rozdział 22

Potępione Królestwo

Czy ta tundra się kiedykolwiek skończy? – posłała Rachel myśl do Corinne.

Jest piękna – odpowiedziała Corinne. *Podobają mi się lisy. I ptaki. I brak urwisk.*

Musisz skończyć z tym pozytywnym nastawieniem do wszystkiego – zbesztła ją Rachel. *Nikt się z tobą nie dogada. Wszystkich do siebie zrazisz.*

Wątpię, czy mogę cokolwiek zrobić, żeby łatwiej się było ze mną dogadać – przesłała w odpowiedzi Corinne. *Dorastałam w drzewie głęboko na śmiertelnie niebezpiecznych bagnach. Jestem księżniczką na wygnaniu. I mówię więcej umysłem niż ustami.*

Tym więcej masz powodów do narzekania – zapewniła ją Rachel.

W niektórych miejscach tereny są tu zbyt błotniste – niepewnie poskarżyła się Corinne.

Bardzo dobrze – wspierała ją Rachel. *To już jakiś początek.*

I nie mogę powiedzieć, że bym była wielbicielką odchodów karibu – dodała.

A kto może? To zrozumiałe. I masz rację co do lisów. Są przesłodka. Przynajmniej wtedy, kiedy nie podgryzają padliny.

Rachel szła teraz przy końcu grupy koło Farfalee. Corinne była bardziej z przodu, bliżej Jasona. Mimo to, doskonale się słyszały. Ich mentalne połączenie okazało się bardzo przydatne przy Wyjącej Szczercie. Eksperymentowały i odkryły, że telepatia doskonale działa na odległość setek jardów. Pół mili wymagało już sporego skupienia. Kiedy odległość sięgała mili, komunikaty stawały się zbyt słabe, żeby dało się je zrozumieć, jak blaknące wspomnienia nieuchwytnego snu.

Rachel patrzyła na Jasona, który wędrował obok Corinne. Pochylali się ku sobie i żartowali. Odkąd dotarli do tundry, Jason wyraźnie się starał, żeby trzymać się blisko Corinne. Płaski teren bardziej sprzyjał kontaktom towarzyskim niż wysokie przełęcze. Rachel uznała, że to zrozumiałe. Nie dość, że Corinne była od niego starsza i wyglądała powalająco, to jeszcze miała w sobie niewinną słodycz, która sprawiała, że łatwo było nawiązać z nią kontakt. Rachel skubnęła liść z krzaka i darła go, idąc. Czy Jason kiedykolwiek tak ewidentnie zabiegał o jej uwagę? A może tylko jej tak rzucały się w oczy jego starania? Dlaczego w ogóle zwróciła na to uwagę?

Po prawej stronie wznosiły się wiecznie obecne góry, nieprzerwany łańcuch sięgający od horyzontu po horyzont. Na wschodzie, zachodzie i północy ciągnęła się tundra, trawiasty obszar obrysowany pagórkami, głazami, kępami traw i niskimi grzbietami. Na szeroko otwartym terenie prawie każdy co pewien czas zajmował się zwiadem. Kiedy się rozglądała, niespokojny królik śmignął spod jednego postrzępionego krzaka do drugiego.

Możemy jeszcze zatęsknić za tundrą, kiedy dotrzemy do Potępionego Królestwa –przekazała Corinne.

Nikt nie zna żadnych szczegółów na temat tego miejsca – odpowiedziała Rachel.

Ferrin wiedział więcej niż Amar Kabał – przytaknęła Corinne. Przynajmniej słyszał plotki, że chorobę roznoszą robaki.

Fuj, właśnie wdepnęłam w grząskie miejsce – poskarżyła się Rachel. W tych mokasynach naprawdę wszystko się czuje.

Ciesz się, że mamy lato – odparła Corinne. Kerick powiedział, że przez większość czasu cały ten obszar jest skuty lodem i śniegiem.

Mamy podobne tereny niedaleko od miejsca, w którym mieszkałam w swoim świecie.

Mieszkasz wśród lodów?

Czasem. Washington to stan bardziej deszczowy niż śnieżny. Wielkie drzewa, mnóstwo mchów.

To potrafię sobie wyobrazić – zapewniła ją Corinne.

Założę się. A niedaleko na północ od mojego domu są renifery i tundra.

Myślisz, że możemy zostać zaatakowani przez chodzących umarłych?

Rachel starała się unikać rozmyślania na ten temat. Rozważyła pytanie.

Z pewnością powinniśmy spodziewać się kłopotów. Nie bez powodu nikt tam nie podróżuje. Farfalee powiedziała mi, że mała rzeka stanowi nieoficjalną północną granicę królestwa i że nigdy nie widziano chodzącego umarłego po tej jej stronie. Na razie nie musimy się nimi martwić.

Jak się zabija kogoś, kto już nie żyje?

Nikt nie wie dostatecznie dużo na ich temat. Zapytaj Jasona, na pewno ma jakiś pomysł.

Poczekaj chwilę.

Rachel widziała, jak Corinne mówi do Jasona, ale znajdowali się za daleko, żeby słyszała słowa.

Mówi, że trzeba go posiekać na drobne kawałki.

A co jeśli w ten sposób zarazisz się chorobą?

Jason pochylił się, żeby odpowiedzieć Corinne po cichu. Roześmiała się.

Trzeba pozwolić, żeby zrobił to Nollin.

Ferrin i Nedwin jako pierwsi wypatrzyli chodzącego trupa. Odkąd stracili Andrusa i Delisę, Ferrin częściej pomagał w zwiadzie. Kilka godzin po przejściu w bród przez rzekę Agwam Ferrin i Nedwin wrócili do delegacji i powiedzieli o samotnej kobiecie, która kuśtykała z południa. Rachel miała się stale na baczności, odkąd przekroczyli północną granicę Potępionego Królestwa. W pewnym sensie ulżyło jej, że nie musi już dłużej czekać. Na podstawie opisu uznali, że nieumarła kobieta nie stanowi raczej szczególnego zagrożenia.

– Powinniśmy ją zbadać – zaproponował Drake. – Zbliżyć się i przekonać, czy posłucha głosu rozsądku.

– A co, jeśli zaatakuję? – spytał Ferrin.

– Przekonamy się, jak trudno ją powalić – odpowiedział Drake. – Ta informacja może się okazać niezwykle istotna.

– Trup idzie prosto na nas? – spytała Farfalee.

– Wyraźnie jest w stanie wyczuć naszą obecność – potwierdził Nedwin. – Mimo uszkodzonej nogi śpieszy w kierunku dobranym idealnie tak, żeby przeciąć nam drogę.

– Nedwin ma rację – przytaknął Ferrin.

Kerick skrzyżował ręce.

– Skoro i tak prędzej czy później będziemy musieli stawić je czoło, najlepiej mieć to z głowy i doprowadzić do konfrontacji na naszych warunkach.

– Musimy zająć się tą ohydą z odległości – powiedział Halco. – Żadnej bezpośredniej walki.

– To nadal może nie wystarczyć, by nas chronić – ostrzegł Nollin. Odwrócił się do Ferrina. – Na ile jesteś pewien, że chorobę przenoszą robaki?

– Słyszałem taką pogłoskę. Nigdy nie byłem w Potępionym Królestwie, ale Maldor już dawno temu zainteresował się objętymi zarazą ziemiami. Uważa zarazę za największe potencjalne zagrożenie dla swojej dominacji w Lyrianie. Gdyby kiedykolwiek się rozniosła, mogłaby zniszczyć wszystkie królestwa na kontynencie, niezależnie od ich siły i prowadzonej polityki. Po cichu prowadzono badania. Plotka jest pewnie wiarygodna.

Nollin skrzyżował ręce.

– Odkładając na bok opinie na temat plotek, z tego co słyszę, nie mamy pewności na ten temat. Ta choroba unicestwiła potężne królestwo! Wiemy, że jest straszliwie zaraźliwa. Samo zbliżenie się do zarażonej osoby może spowodować zakażenie. Przez wzgląd na naszą misję część z nas powinna zachować zdecydowany dystans.

– Na przykład ci z nas, którzy nie mają nasion – mruknął Aram.

– Nie wiemy, czy amar będzie odporny na tę chorobę – powiedziała Farfalee.

– Amar może nie zregenerować nieumarłego ciała – powiedział Nollin – ale może zostać zniszczony przez chorobę. Najbezpieczniejszym wyjściem dla zarażonego przedstawiciela Amar Kabał będzie szybka śmierć, żeby jak najmniej narażać nasiono. – A co, jeśli zarazi się ktoś z pozostałych? – spytała Corinne.

W grupie zapadła kłopotliwa cisza. W końcu odezwała się Farfalee:

– Jeśli pojawią się objawy choroby, będziemy zmuszeni uznać, że zarażona osoba stała się marionetką w rękach zarazy.

– Skąd będziemy wiedzieć, czy jej nie złapaliśmy? – spytała Rachel. – Albo czy już nie zaczęła się rozwijać?

– Zorientujemy się po nagłej chęćce na krew i mózgi? – zasugerował Jason.

Żart nie wypalił, wywołał tylko kilka niespokojnych uśmiechów zamiast śmiechu.

– Możliwe, że twoje słowa nie odbiegają tak bardzo od faktów – powiedziała Farfalee.

– Wyobrażam sobie, że pewne symptomy będą ewidentne. Musimy zachować czujność, zwracać uwagę na to, jak się czujemy, mieć na oku pozostałych. Nollin ma rację, mówiąc, że część z nas musi ze wszystkich sił postarać się trzymać z dala od chodzącej umarłej. Ten trzon grupy musi obejmować tych, których obecność w Mianamon jest kluczowa, a mianowicie Corinne, Rachel, Jasona i Nollina.

– I ciebie, Farfalee – dodał Nollin.

– Halco i ja zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby utrzymać kluczowych członków delegacji z dala od zagrożenia – zapewnił Kerick.

– Wszelkie zagrożenie dla Jasona najpierw będzie musiało przejść przeze mnie – przysiągł Tark.

– Ja dostałem konkretne rozkazy każące mi chronić Corinn i Rachel – dodał Nedwin.

– A ja jestem tu po to, żeby zrobić wszystko co będzie trzeba – zapewnił Drake.

Farfalee zerknęła na brata, a w jej oczach błysnęły ból i troska.

– Chociaż może nie jest to najmielsza rozmowa, pozwala nam ustalić konkretną hierarchię.

– A co z naszym dzielnym rozsadnikiem? – spytał Nollin.

– On chce, żeby wszyscy przeżyli – odpowiedział taktownie Corinn. – Łącznie z jego własną osobą.

– To samo dotyczy przemytnika – wtrącił Aram.

– Chyba wszyscy rozumiemy, co musi się wydarzyć – powiedziała Farfalee. – Pięcioro z nas przysięgło dopilnować, by niezależnie od ceny pozostali przetrwali. Oczywiście, że chcę, byśmy wszyscy przeżyli przejście przez Potępione Królestwo.

Pomijając zbadanie zarażonej kobiety, naszym celem będzie unikanie wszelkich kontaktów. Zgadzam się, że musimy się przekonać o efektywności naszych pocisków przeciwko chodzącym umarłym. Miejmy nadzieję, że nieszczęsne ofiary zarazy da się zabić z odległości.

Ferrin i Nedwin zaprowadzili delegację na wierzchołek pagórka, z którego było widać zmierzającą ku nim zarażoną kobietę. Trudno było wypatrzeć szczegóły z odległości, ale było widać, że kuleje. Jej ciało było wyniszczone, ubranie obszarpane, a włosy zmierzwione i brudne.

Reszta delegacji poczekała na pagórku, podczas gdy Kerick Halco zeszli w stronę kobiety jakieś pięćdziesiąt jardów. Kerick niósł łuk, a Halco procę. Kiedy niechlujna kobieta się zbliżyła, jej pośpieszne kuśtykanie stało się bardziej gorączkowe.

– Stój! – rozkazał dźwięcznym głosem Kerick. – Nie chcemy cię skrzywdzić.

Kobieta szła przed siebie, nie reagując..

Kerick oparł strzałę o cięciwę, którą przyciągnął do policzka.

– Stój, bo będę zmuszony strzelać. Chcemy tylko porozmawiać.

Kobieta zachrypiała jęklonie w odpowiedzi. Nadstawiając uszu i posiłkując się nieco wyobraźnią, Rachel uznała, że kobieta mogła powiedzieć „potrzebuję”. Chodząca umarła wlekła się w stronę Kericka z desperacką werwą.

Kerick przeszył jej pierś strzałą. Uderzenie sprawiło, że kobieta się potknęła, lecz nadal szła w jego

kierunku, nie zwracając uwagi na ranę. Halco wystrzelił z procy kamień, powalając kobietę na ziemię. Szczercząc gniewnie zęby, kobieta z trudem wstała.

– Zatrzymaj się, proszę – domagał się Kerick, cofając się kilka kroków i znowu napinając łuk. Nie odpowiedziała.

Kerick zaczął błyskawicznie posyłać strzały w jej głowę. Po trzeciej kobieta padła na ziemię w końcu nieruchoma.

– Niezbyt to obiecujące – mruknęła Farfalee. – Przynajmniej dostateczna liczba strzał ją zatrzymała. Możliwe, że choroba przejęła nad nią kontrolę, ale wydaje się, że muszą zostać zachowane pewne funkcje mózgowie, by ciało nadal się poruszało.

– Mam spore doświadczenie w zajmowaniu się niebezpiecznymi i egzotycznymi substancjami – powiedział Nedwin. – Pozwolicie, że zbadam ciało?

– Jeśli jesteś gotowy zaryzykować i ponieść tego konsekwencje – odpowiedziała Farfalee.

Kerick i Halco odsunęli się od leżącej kobiety, a Nedwin podszedł do niej ostrożnie, jakby się spodziewał, że tylko udaje nieprzytomną. W końcu przykucnął obok niej i szturchnął ją w kilku miejscach sztyletem. Z pewnym wysiłkiem wyjął strzały. Spędził kilka minut pochylony nad bezwładną postacią, po czym wrócił do grupy.

– Robaki – powiedział. – Małe. Szare. Mnóstwo ich. Żadne krwi. Tylko skóra, ścięgna i kości. Robaki już się wzięły do roboty, naprawiają obrażenia, łatają z powrotem ciało. Wyglądaj; na zbyt ciężkie, żeby przenosiły się w powietrzu. Za pomocą noża wyjąłem jednego, a kiedy położyłem go na jej rękę, natychmiast wszedł pod skórę.

– Wygląda na to, że Ferrin dostarczył nam rzetelnych informacji – uznała Farfalee.

– Chodzący umarli są nośnikami kierowanymi przez pasożyty – powiedział Nollin. – To nie są ludzie. Nie musimy okazywać im żadnej litości.

– Jeśli mój trup zostanie ożywiony przez czerwie – powiedział Drake – proszę, okażcie mi litość. Obetnijcie mi głowę. Spalcie. Cokolwiek trzeba będzie.

– Nawet nie musiałeś o to prosić – zapewnił go Halco.

Rachel zadygotała. Jakie to musi być uczucie, kiedy robaki wgryzają się człowiekowi w ciało i przejmują nad nim kontrolę? Co czułaby, widząc, że coś takiego dzieje się z jednym z jej towarzyszy? Jasonem albo Corinne? Naprawdę mogłaby oszaleć.

Zostawiając za sobą zaatakowaną przez zarazę kobietę, delegacja pomaszerowała na południe. Minęli zarośnięte przez krzaki i małe drzewka rozpadające się wioski, w których większość budynków zawaliła się do fundamentów. Tuż po zachodzie słońca z grzbietu wzniesienia dostrzegli odległe miasto otoczone kamiennymi murami o ciemnych i milczących wieżach.

Kerick skierował grupę z dala od cichego miasta. Rachel starała się nie wyobrażać sobie spragnionych krwi zombie czających się za tymi posępными murami, ale jej się nie udało.

Po krótkiej naradzie rozbili obóz na wysoko położonym terenie i rozpalili małe ognisko. Ferrin

uparcie obstawał, że kulejącą kobietę przyciągnął do nich jakiś o wiele potężniejszy instynkt niż światło ognia, a miał nadzieję, że płomienie będzie można ‘wykorzystać do odstraszenia napastników. Kerick tłumaczył, że chociaż na wysoko położonym miejscu są bardziej widoczni, a przeciwnicy mogą ich zejść z każdej strony, to będą też mogli zawczasu dostrzec nadchodzącego wroga i uciec w dowolnym kierunku.

Rachel ułożyła się do snu blisko Corinne i Jasona.

– Myślicie, że zdołamy uciec przed tymi stworami, jeśli nawet nie będą kuśtykały? – zastanawiała się na głos.

– Pewnie się dowiemy – odparł Jason. – Miejmy nadzieję, że nie bez powodu nie nazwano ich biegającymi umarłymi.

– A jak się nazywa chodzącego umarłego, kiedy się go zabije? – spytała Corinne.

– Makabryczne pytanie – powiedział z aprobatą Jason. – Chodzący podwójnie umarły? Umarły, który już nie chodzi?

– Spoczywający umarły – podsunęła Rachel.

– Rachel wygrywa – orzekła Corinne.

– Nie podoba mi się to, że ta kobieta szła prosto na nas – powiedział Jason. – Aż się człowiek zastanawia, ilu ich tam teraz jest, idących w naszym kierunku, kuśtykających albo wlekących się przez...

– Dość tego – oznajmiła stanowczo Rachel. – I tak nie zdołam już zmrużyć oka.

– Lepiej być przygotowanym niż dać się zaskoczyć.

– Wyobrażanie sobie zombie nocą do niczego nas nie przygotowuje – sprzeciwiła się Rachel. – Jeśli mamy zostać zaatakowani, to lepiej się wyspać niż leżeć bezsenność i się zamartwiać.

Jakby w odpowiedzi na ich słowa, kształt wyłonił się z mroku przy skraju światła ogniska. Rachel wyrwał się zduszony okrzyk, ale zaraz rozpoznała Nedwina. Nie widzieli go od wielu godzin. Podszedł i przykucnął obok Jasona.

– Długo cię nie było – powiedział Jason.

– Nie podoba mi się to miejsce – szepnął Nedwin. – Znalazłem kilka śladów kopyt. Dzikie świnię. Kozy. Dzikie konie. Zwiedziłem opuszczone miasto. Były tam ślady innych chodzących umarłych. Spodziewam się kłopotów tej nocy.

Jason rzucił Rachel znaczące spojrzenie.

– Co w takim razie robimy?

– Spróbujcie się trochę przespać – poradził Nedwin.

Rachel odpłacała się znaczącym spojrzeniem Jasonowi.

– Lepiej pójść złożyć raport Farfalee – dodał Nedwin.

– Chyba nie dam rady zasnąć – powiedziała Corinne. – Nigdy w życiu tak się nie denerwowałam. Często tak bywa?

– Tym razem jest wyjątkowo źle.

– Jak w horrorze – rzuciła Rachel.

– W horrorze? – zdziwiła się Corinne.

– To takie straszne historie ze świata Poza – wyjaśniła Rachel.

– Z tytułami w stylu „Atak Zarobaczonych Zombie” – dodał Jason. – Zwykle są bardzo krwawe.

Corinne usiadła sztywno z oczami okrągłymi ze strachu.

– A jak się one zwykle kończą?

Jason i Rachel spojrzeli po sobie znacząco.

Zostali zaatakowani w najciemniejszych godzinach nocy. Kerick obudził grupę ostrzegawczym okrzykiem. Zanim Rachel zerwała się na równe nogi, słyszała już chodzących umarłych potykających się w ciemności. Zduszony jęk gdzieś w mroku sprawił, że włoski na ramionach stanęły jej dęba. Z bijącym sercem i umysłem, który marzył, żeby to był tylko sen, natychmiast zrozumiała, że napastnicy nadciągają ze wszystkich stron.

Chmury przesłoniły księżyc i odcięły większość światła gwiazd, więc Rachel mrużyła oczy, patrząc na mgliste kształty nadchodzące stokami pagórka. Farfalee i Kerick zaczęli strzelać i niektóre z kształtów się zachwiały. Nedwin pojawił się u boku Rachel.

– Jesteśmy otoczeni – syknął, trzymając sztylety w obu rękach. – Trzymaj się blisko mnie.

Jason wyciągnął miecz. Tark stał u jego boku ze sporym nożem w jednej ręce i pochodnią w drugiej.

– Jaki jest plan? – spytał Drake.

– Nadchodzą ze wszystkich stron – odpowiedział Halco.

– Ruszamy całą grupą – rzuciła krótko Farfalee. – Spróbujemy się przebić i uciec im.

– Którędy? – spytał Ferrin.

– Trudno powiedzieć – odparł Kerick, wypuszczając kolejną strzałę.

Ze wszystkich stron zarażone trupy zbliżały się do skraju ognia.

– Tędy – powiedział Nedwin, wyciągając rękę. – Trochę bardziej stromo, ale mniej wrogów.

Krzepki mężczyzna o kręconych włosach przyczłapał do światła poruszając się niezgrabnym truchtem. Trzymał ciężki kij. Jedno oko uciekło mu w głąb czaszki, więc nie było widać tęczówki. Nie miał koszuli. Powaliły go dwie strzały w głowę.

Aram chwycił ciężki miecz.

– Za mną! – ryknął. – Utoruję nam drogę.

Niosąc miecz i pochodnię, Ferrin ruszył obok półolbrzyma w kierunku wskazanym przez Nedwina. Pozostali zgromadzili się wokół Rachel, Corinne i Jasona, trzymając broń w gotowości. Odsuwali się od ogniska pośpiesznym, ostrożnym krokiem. Zaciekle wymachy miecza Arama wyrzucały wrogów powietrze.

Oglądając się, Rachel zobaczyła postaci pędzące ku nim z drugiego końca obozowiska. Skupiając się na pniakach, wymówiła rozkaz i posłała je w nieumarłych napastników w ognistym snopie iskier i żarzących się węgielków. Kłody uderzyły ze straszliwą siłą, niektóre roztrzaskały się o ciała, a

napastnicy cofnęli się przed ogniem, chowając głowy i unosząc ręce.

Posłużenie się edomickim wywołało euforyczny dreszczyk kłócący się ze strachem, który ścisnął jej serce. Nagle poczuła się czujniejsza i bardziej kompetentna. Kłody poleciały z większą siłą, niż się spodziewała, pewnie przez panikę, która wzmocniła rozkaz.

– Nie lubią ognia! – krzyknął Ferrin, dżgając najpierw pochodnią, a potem tnąc mieczem.

Aram uderzył żyłastą kobietę płazem, a siła ciosu sprawiła, że przekoziółkowała niezgrabnie. Tark zamachnął się pochodnią, żeby odpędzić kościstego nieumarłego nastolatka. Kerick posyłał kolejne strzały.

– Szybciej! – rzucił ostrzegawczo do grupy Halco. – Zbiegają się do nas!

Zerkając przez ramię, Rachel dostrzegła poruszające się spazmatycznie postaci, które śpieszyły ku nim ze wszystkich stron wzgórza, zmieniając kierunek pościgu z niepokojącą koordynacją. Stok stał się dostatecznie stromy, żeby Rachel schodziła bokiem na ugiętych kolanach. Podeszwy mokasynów ślizgały się na błocie.

– Biegiem! – rozkazała Farfalee.

Aram jeszcze szybciej zaczął oczyszczać drogę niczym ludzka kula do wyburzania, która sprawiała, że połamane trupy leciały na boki jak jęczące stosy gruzu. Rachel nie wiedziała, co by zrobili, gdyby Aram nie poprowadził szarży. Przyśpieszyła kroku razem z resztą grupy. W słabym świetle księżyca i przy migotliwym blasku trzech pochodni zbiegali zboczem. Aram odrzucał większość wrogów na bok uderzeniami miecza, Ferrin i pozostali robili co w ich mocy, żeby pozbyć się reszty. Pochyłość pomogła Rachel tak się rozpędzić, że dziewczyna wątpiła, czy zdoła się sama zatrzymać. Jeśli się przewróci, będzie to boleśnie spektakularny upadek. Inni wokół niej biegli w podobnym pośpiechu, a ich broń błyskała w świetle pochodni..

Kiedy stok stał się mniej pochyły, Rachel odzyskała nieco panowania nad tym, jak stawia kroki. Nollin potknął się na zbocz, ale Halco pomógł mu wstać dostatecznie szybko, żeby nasiennicy nie zostali zbyt daleko za pozostałymi. Na chwilę delegacja wymknęła się zombie, chociaż Rachel nadal słyszała, jak chodzące trupy brną bezmyślnie w dół z pagórka.

– Co teraz? – spytał Kerick, nie przerywając biegu.

– Paru z nas może stanąć i spróbować ich spowolnić – zaproponował Tark.

– Jest ich zbyt wiele – powiedziała Farfalee. – Trupy by was zmiotły. Wasza ofiara na nic by się nie zdała.

– Dzielimy się? – zapytał Nedwin.

– Mam wrażenie, że ten atak zaplanowano – wysapała Farfalee. – Nieudolnie, ale mimo to, widać w tym organizację. Grupa zebrała się wokół nas i ruszyła ze wszystkich stron. Jeśli się podzielimy, spodziewam się, że stosownie zmienią strategię.

– Musimy znaleźć jakieś przewężenie – zasugerował Kerick. – Pozycję, z której kilkoro z nas zdoła ich zatrzymać.

– Nie widziałem podobnego miejsca w okolicy – powiedział Nedwin – ale teraz musimy skręcić w lewo, inaczej wpakujemy się między stromizny.

Nadal biegli z Aramem z przodu i Halco na tyłach. Pochodnie dawały akurat tyle światła, żeby zdołali omijać naturalne przeszkody.

Rachel słyszała za sobą pozbawionych krwi wrogów, przedzierających się przez krzaki i potykających się na kamieniach. Kiedy delegacja uciekała całym pędem, żywe trupy zaczęły zostawać z tyłu. Rachel wątpiła, czy wytrzyma to tempo dłużej niż kilka minut. Domyślała się, że chodzący umarli mogą tak pędzić za nimi całą noc.

– Ile ich było? – spytał Nollin.

– Co najmniej czterdzieści – odpowiedziała Farfalee.

– Co najmniej sześćdziesiąt – poprawił ją Nedwin.

– Za kilka minut nas dogonią – zapewnił ich Kerick. – Widać przed nami jakieś miejsce, z którego można się bronić?

– Mały kamienny stół – powiedział Nedwin. – Może ze dwadzieścia stóp wysokości. Z jednej strony podejście jest dość strome, z pozostałych wręcz pionowe. Jeśli dobiegniemy tam pierwsi, zombie będą musiały się wspinać, żeby nas dosięgnąć.

– Żadnej drogi ucieczki? – spytał Aram.

– Wejdziemy tam tylko po to, żeby walczyć na śmierć i życie – odpowiedział Nedwin.

– Trudno się tam dostać, więc można się bronić. Nie mam lepszego pomysłu.

– Prowadź – powiedziała Farfalee.

– Zgoda – poparł ten pomysł Drake. – Jeśli dorwą nas na otwartym terenie, już po nas.

– A jeśli dwoje z nas ucieknie w innym kierunku? – zaproponował zdyszany Nollin. – Mała grupa może ujść ich uwagi.

– Zbyt ryzykowne – odparł Ferrin. – Jeśli zauważą tę dwójkę, będzie bezbronna. O kim myślałeś?

– O kluczowych delegatach – wyjaśnił Nollin. – Może o mnie i Aramie.

Rachel pokręciła głową. Najwyraźniej Nollin dostrzegł kluczową rolę, jaką odgrywał w ich ucieczce Aram.

Ferrin roześmiał mu się prosto w twarz.

– Aram, awansowałeś na kluczową osobę!

– Z reguły nocą bardziej się mnie docenia – burknął potężny mężczyzna. – Uciekam na kamienny stół, Nollinie.

– Może jednak powinniśmy trzymać się razem – wydyszał Nollin.

– Ile jeszcze? – spytał Halco.

– Z pięć minut – odparł Nedwin. – Za tym następnym wzniesieniem stok opada ku łożysku wyschniętego strumienia. Po drugiej stronie jest niewielka grań.

Teraz biegli po łagodnym wzniesieniu. Za jednomyślną i milczącą zgodą nikt już nie biegł całym

pędem. Płuca Rachel z trudem pracowały, żeby utrzymać szybki trucht. Doskonale słyszała ścigające ich zarobaczone trupy. Poza przypadkowymi jękami i warknięciami, większość hałasowała, wpadając na krzewy i potykając się o kamienie.

– Doganiają nas – zauważył Halco.

Farfalee przyśpieszyła, a Rachel wysiliła się, żeby dotrzymać jej kroku. Dostała kolki w boku, a jej mięśnie nóg boleśnie protestowały.

– Niektóre z nich są szybsze od reszty – zauważył Nedwin. – Doprowadziliśmy do tego, że się rozproszyły. Wiele jest naprawdę wolnych.

Wbiegli na wzniesienie i grunt zaczął się obniżać. Nachylenie pomagało biec, więc Rachel złapał drugi oddech.

– Uważajcie! – zawołał z przodu Aram. – Ciernie!

Rachel zobaczyła, że półolbrzym brnie przez krzewy, które sięgają mu wyżej niż do pasa, co oznaczało, że jej sięgną do amion. Jason biegł tuż przed nią, więc widziała, jak cierniste krzewy rozdierają mu ubranie. Starła się biec ścieżką, którą oczyścił, ale wiele cienkich gałęzi prostowało się gwałtownie i wracało na miejsce, gdy tylko Jason się z nich wyplątał. Jej szaty zaczepiły o kolce w dziesiątkach miejsc. Rachel zmuszała zmęczone nogi do dalszego ruchu mimo ostrych cierni rozrywających materiał i niekiedy jej skórę.

Wokół rozlegały się zduszone okrzyki bólu, poirytowane syknięcia doprawione gniewnymi warknięciami i jęknięciami, które wyrywały się Corinne. Aram starał się wyciąć irytujące rośliny mieczem, ale niewiele zdziałał. Po prostu było za wiele krzewów i zbyt wiele drobnych żylastych gałązek.

– Naprzód! – rozkazała Farfalee, kiedy ich tempo osłabło.

Rachel parła przed siebie, wykręcając się i pochylając, starając się unikać najbardziej splątanej gęstwiny. Ostre kolce zostawiły zadrapania na znacznych połaciach jej ciała. Czasem cierni wbijał się głęboko, zmuszając ją do przełknięcia okrzyku bólu. Za dnia bez wątpienia ominęliby cierniste krzewy, ale w ciemności, ścigani przez nieumarłych wrogów, nie mieli innego wyjścia, jak przeć mimo cierpienia do przodu.

Wreszcie Rachel wyrwała się spośród ostatnich wyższych krzewów. W bok od siebie dostrzegła Nedwina, który wyciągał Corinne z ciernistych objęć. Rachel zdała sobie sprawę, że ona, Nedwin, Halco i Corinne biegną teraz w sporej odległości za resztą grupy. Kilka kroków przed nią Jason i Tark przystanęli gwałtownie, oglądając się za siebie. Tuż za sobą Rachel słyszała niezważających na nic prześladowców, leżących niezdarnie przez kolczaste krzaki.

Mimo niezliczonych cierni w ubraniu, które cały czas ją kłuły, Rachel znowu przyśpieszyła.

– Uciekaj! – wrzasnęła do Jasona.

Corinne i Nedwin biegli obok niej. Halco pędził krok albo dwa za nimi. Rachel zerknęła przez ramię i zobaczyła, że pierwszy zombie wychodzi spośród cierni, a wytarte ubranie ma całkiem poszarpane. Niezależnie od tego jak bardzo była zmęczona, przerażający widok wystarczył, żeby ponaglić ją do

szybszego biegu.

Trzydzieści jardów przed nią Aram i Ferrin dotarli do wyschniętego strumienia i zeskoczyli do kamienistego koryta. Księżyc wyrzał zza chmur, ukazując kamienny ostaniec na drugim brzegu strumienia – pionowe ściany i płaski wierzchołek.

Jason, znajdujący się przed Rachel, też wskoczył do suchego koryta. Brzeg strumienia znajdował się około pięciu stóp powyżej łożyska. Kiedy Rachel dotarła do brzegu, zwolniła nieco i posłużyła się rękami, żeby zamortyzować skok. Kamienie różnej wielkości – od jabłek po melony – zawałyły dno potoku, przez co łatwo było stracić równowagę. Jednakże, kiedy zombie deptały Rachel po piętach, nie miała czasu na ostrożność.

Popędziła łożyskiem strumienia, dwa kroki za Corinne i Nedwinem, sześć za Jasonem. Halco biegł obok niej, a jego pochodnia rzucała wokół nich migotliwy blask. Słyszała, że wrogowie lądują na kamieniach za nimi.

Nagle otoczek przesunął się pod jej stopą, kiedy przeniosła na nią cały ciężar. Upadła, bezlitosne kamienie poobijały ją solidnie, ból przeszył jej nadgarstek, gdy wyciągnęła rękę, żeby się podeprzeć.

Już było po niej. To lodowate przeświadczenie uderzyło ją całą wyrazistością. Obrażenia nic nie znaczyły. Nie zdąży nawet dobrze ich poczuć. Nieumarli wrogowie znajdowali się tuż a nią. Rachel przeturlała się na plecy akurat, żeby zobaczyć, jak najbliższy zombie rzuca się z wyciągniętymi brudnymi rękami. Miał długie ręce. Ciemne oczy. Połamane paznokcie.

Odruchowo zasłoniła się ręką i wykrzyknęła edomicki rozkaz, żeby go odepchnąć. Zombie poleciał do tyłu, jakby uderzył w niego niewidzialny pociąg. Jego ciało zahaczyło o kilku innych nieumarłych napastników, zanim uderzył o niską ścianę potoku.

Ożywiona udanym rozkazem Rachel klarowniej ujrzała sytuację. Kolejni wrogowie napływali w jej kierunku. Ośmiu szło już wyschniętym łożyskiem. Tuzin następnych znajdował się między potokiem i kolczastymi krzakami. Dziesiątki przedzierały się przez ciernie.

Halco za pomocą pochodni i miecza walczył z krzepkim mężczyzną odzianym w skóry. Walka przyciągnęła uwagę kilku najbliższych zombie. Nedwin i Jason przykucnęli obok Rachel; wrócili, żeby pomóc jej wstać. Drake pędził na pomoc Halco, jego miecz rozbłysnął w świetle pochodni. Z nożem w ręce Tark stanął między Rachel i nadchodzącymi zombie.

Zombie są martwe, zdała sobie sprawę Rachel. Nieważne, że żyją w nich robaki. Jeśli skupi się na martwym ciele, może posługiwać się edomickim!

Kiedy wysuszona kobieta w średnim wieku rzuciła się na Tarkę, Rachel skupiła się na górnej połowie jej ciała i wymówiła polecenie gromadzące żar, wlewając w ten wysiłek napędzaną paniką wolę. Kobieta buchnęła płomieniami, a Rachel wypowiedziała rozkaz, żeby ją odepchnąć. Pozostali nieumarli odsunęli się chwiejnie od płonącej kobiety, mrużąc oczy z powodu blasku. Kobieta padła na ziemię, miotając się i wrzeszcząc.

Halco i Drake unieszkodliwili czterech chodzących umarłych – każdy po dwóch. Teraz drobny starszy

zombie wisiał u ręki Halco – wgryzł mu się w dłoń. Halco padł, kiedy Drake odciął filigranowego napastnika. Udany rozkaz w połączeniu ze straszliwym niebezpieczeństwem sprawił, że Rachel czuła się nadnaturalnie ożywiona. Kiedy kolejne zombie rzuciły się na Drake’a i Halco, Rachel podpaliła dwóch najbliższych od pasa w górę, a potem pchnęła ich na pozostałych nieumarłych.

Wysiłek sprawił, że kolana się pod nią ugięły. Chociaż jej serce ogarnęła radość, ciało nagle osłabło. Po godzinach ćwiczeń Rachel wiedziała, że wydała zbyt wiele ambitnych poleceń bez chwili odpoczynku. Dłużej nie utrzyma takiego tempa.

Nedwin i Jason pociągnęli ją przez łożysko, a ona objęła ich za szyje, mimo bolącego nadgarstka. Starła się im pomóc, ale nogi miała bezwładne i niemal ich nie czuła.

Kawałek od nich Drake i Halco cofali się, kiedy naparła na nich nowa fala zombie.

– Tylko głowy – mruknęła, zerkając przez ramię.

Gromadząc całą wolę, zaczęła podpalać głowy atakujących, jedną po drugiej, zaczynając od najbliższych zombie i przesuwając się ku dalszym. Mniejsze cele wymagały mniejszego wysiłku niż podpalenie całego torsu, a było to równie skuteczne – ofiary padały, miotając się, na kamieniste dno. Po podpaleniu piąte głowy Rachel zauważyła, że zawęża się jej pole widzenia, więc przerwała. Czuła metaliczny posmak w ustach. Głowa jej pękała.

Płonące ciała leżały rozrzucone między zombie i ich ofiarami. Najbliższy żywy trup zawahał się. Odłonił zęby i syknął na ogień.

– Dopadło mnie – mruknął Halco do Drake’a, który go przytrzymywał. – Widziałem, jak robaki wchodzą w nadgarstek. Weź mój amar.

Drake schował do pochwy miecz, wyciągnął sztylet jedną ręką, a drugą ujął podstawę jego czaszki, gdzie znajdowało się nasiono. Rachel odwróciła wzrok, kiedy sztylet się poruszył, ale dostrzegła, jak Drake chowa amar w sakiewce, a Halco pada na kamienisty grunt.

Nedwin i Jason wciągnęli Rachel na drugi brzeg strumienia, kiedy nieumarli otrząsnęli się i zaczęli kluczyć między płonącymi ciałami. Pierwsze zombie gorączkowo opadły Halco.

Ponieważ Halco już go nie spowalniał, Drake szybko dogonił Rachel, Tarka, Nedwina i Jasona, kiedy ci dotarli do podstawy skalnego ostańca. Pozostali już się wspinali. Nawet najłagodniejsze wejście stanowiło spore wyzwanie, bo tylko odrobinę odchylało się od pionu, chociaż oferowało mnóstwo miejsc z oparciem dla rąk.

– Dasz radę? – spytał Nedwin.

– Nie mam siły – powiedziała Rachel. Wątpiła, czy zdołałaby iść, już nie mówiąc o wspinaczce po pionowej ścianie. – zwichnęłam nadgarstek.

Aram wylądował obok Rachel, pokonując skokiem kilka ostatnich stóp zejścia. Przerzucił ją sobie przez umięśnione ramię jak piórko. Pozostali już się wspinali. Aram też zaczął.

Rachel wylądowała twarzą w stronę tłumu obszarpanych mężczyzn i kobiet, młodych i starych, wszystkich groteskowo zwawych. Aram się wspinał, ale tłuszcza dotrze do ostańca na tyle szybko, żeby

złapać go za buty, być może wspiąć się za nim i ściągnąć go na dół. Ogarnął ją gniew. Te krwiożercze bestie zaatakowały niesprovokowane. Zabiły Halco. Pragnęły zabić jej przyjaciół.

Wyciągając rękę, poruszając bezgłośnie ustami, skupiła żar na kilku trupach z przodu, ciskając w nich siłą woli, jakby rzucała się przed siebie na samym końcu szaleńczego biegu. Jak przez mgłę dostrzegła pochłaniające wroga płomienie, poczuła ciepły powiew od ognia i osunęła się w ciemność.

Rozdział 23

Strażnicy

Jason zerknął z krawędzi ogromnego kamiennego bloku; poniżej wspinał się Aram. Jason wzdrygnął się, kiedy przywódcy nadchodzących zombie buchnęli płomieniami, paru od stóp do głów, inni z jednego boku. Niektórym zapaliły się tylko głowy i ramiona. Kilka zombie wpadło na płonących towarzyszy. Ogień rozprzestrzenił się, kiedy nieumarli padli na ziemię u podnóża ostańca. Ochryple wycie wypełniło noc. Stojące najbliżej ognia zombie cofnęły się, warcząc bezsilnie.

Najwyraźniej Rachel naprawdę solidnie trenowała! Jason wiedział, że ćwiczyła edomicki, ale nie miał pojęcia, że stała się tak silna. Ocaliła ich w korycie strumienia. Dzięki niej zginęło ze dwadzieścia zombie.

Kiedy Aram dotarł na wierzchołek skały, zombie w dole znowu zaatakowały falą, omijając obrzydliwe ogniska i zaczęły się wspinać na miniaturowe stoliwo. Drake, Ferrin, Tark, Nollin i Corinne zaczęli ciskać kamieniami zebranych z wierzchołka ostańca. Jason do nich dołączył. Zaraz się zorientował, że solidnie trafienie w głowę sprawia, że ohydni wspinacze koziołkują w dół.

Aram delikatnie położył Rachel na plecach i pochylił się nad nią. Kiedy Jason zobaczył, że grad kamieni z powodzeniem zniechęca wspinające się zombie, podbiegł do niej. Oddychała płytko, twarz miała bladą.

– Jest wyczerpana – powiedział Aram.

– Panuje nad potężną mocą – przyznała Farfalee. – Jeśli oddycha, dojdzie do siebie. Aram, potrzebujemy, żebyś strzegł krawędzi.

Kerick podszedł do Farfalee.

– Widzę trójkę umarłych trzymających się na uboczu, po drugiej stronie strumienia – powiedział cicho.

– Przywódcy? – spytała.

– To jedyni wrogowie, którzy okazali powściągliwość – odpowiedział. – Podejrzewam, że kierują pozostałymi.

Jason spojrzał w kierunku wskazanym przez Kericka i zobaczył wspomniane zombie. Stały ramię w ramię na kopcu, spory kawał od strumienia, nieruchome i milczące. Jeden z nieumarłych był dosyć wysoki, pozostała dwójka raczej niska.

Farfalee położyła strzałę na cięciwie i napięła łuk. Jason zastanawiał się, czy strzała może dolecieć tak daleko. Nasienniczka odchyliła łuk nieco w górę i wypuściła strzałę. Tor pocisku prowadził po łuku w ciemność, a kończył się na głowie najwyższego zombie. Nieumarły padł, znikając im z oczu. Pozostała dwójka także się schowała.

– Co za strzał – zdumiał się Jason, ledwie wierząc własnym oczom.

– Mam trochę wprawy – odpowiedziała Farfalee.

– Wycofują się! – zawołał Aram, ciskając kamieniem większym od kuli do gry w kręgle.

Nedwin podszedł do Farfalee i brodą wskazał kierunek, w którym posłała strzałę.

– Ta trójka to byli przywódcy.

– Na to wygląda.

– Mogę załatwić pozostałą dwójkę – powiedział Nedwin.

– Proszę bardzo – zachęciła go Farfalee.

Nedwin padł na skałę i przepełził jak salamandra na drugi kraniec ostańca, odsuwając się od strony, którą wcześniej się wspięli, i zniknął za krawędzią.

– Nie patrzcie w jego kierunku – mruknęła Farfalee. – Jeśli ma mu się udać, musi przemknąć się niezauważony.

– Zombie na nowo formują szyki – powiedział Aram.

– Mogą spróbować podesłać kogoś jedną ze stromych stron – ostrzegła Farfalee. – Corinne, pilnuj tej. Nollin, zajmij się tamtą. Ja będę miała na oku trzecią.

Corinne przesunęła się, zamierzając strzec wskazanej ściany.

Pozostali zbierali kamienie, żeby pomóc odeprzeć następny atak.

– Drake – odezwał się Nollin – Ja wezmę amar Halco.

– Jak wolisz – odpowiedział Drake, wydając nasiono z sakiewki. – Dzięki temu przynajmniej znajdzie się z dala od walki.

Nollin odchrząknął.

– Niektórzy z nas muszą przetrwać dla dobra misji. Mam wrażenie, że jak na razie to głównie moi ludzie poświęcają swoje życie, ratując wasze.

– I taki jest plan – przypomniała wszystkim Farfalee. – Nollin, pilnuj, proszę, podejścia na tyłach.

Nasiennik pośpieszył na drugą stronę ostańca, żeby stanąć na straży.

W ciągu następnych kilku minut zombie przypuściły dwa kolejne ataki. Oba odparto, zanim nieumarli zdolali zdobyć jakąkolwiek przewagę. Aram rzucał ogromnymi kamieniami z mrozącą krew w żyłach celnością, dzięki czemu po jednym, dwóch trafieniach nieumarli wrogowie padali i już nie wstawali. Dwa zombie próbowały wspiąć się od tyłu, ale i ta próba się nie powiodła.

Rachel nie odzyskała przytomności przez cały ten czas. Jason w chwilach spokoju sprawdzał jej oddech i puls.

Po dwóch pierwszych atakach zapanował spokój. W końcu wrócił Nedwin, dając im ostrożnie znak, zanim wspiął się od najłatwiejszej strony.

– Wycofują się – powiedział po wejściu na górę. – Załatwiłem dwoje z trójki przywódców. Trochę trudno było ich znaleźć. Dobiłem mężczyznę ze strzałą w głowie i powaliłem niższego, starszego mężczyznę. Kobiętę zostawiłem przy życiu, kiedy przysięgła, że wycofa pozostałe siły.

– Była w stanie się porozumiewać? – spytała Farfalee.

– Z pewnym wysiłkiem, owszem. Niewiele zostało z jej umysłu. Jednak kiedy jej towarzysze padli, a ona straciła kończynę, zdobyła się na ten wysiłek.

– Wierzysz, że możemy jej zaufać? – zapytał ostro Nollin.

– Niespecjalnie – odpowiedział Nedwin. – Nie chciałem jednak dopuścić, żeby obiegli nas na tym kamieniu. Myślę, że możemy przynajmniej zaufać jej instynktowi samozachowawczemu. Ponad połowa jej sił została unieszkodliwiona. Wie, że mogę ją dopaść, kiedy zechcę. Obserwowałem, jak oddala się ze swoimi, zanim tu wróciłem. Zażądałem, żeby poszli na północ, z dala od naszej trasy, a ona zastosowała się do moich żądań.

– Nie zaraziłeś się? – spytał Nollin.

– Jestem czysty – odpowiedział Nedwin.

– Powinniśmy ruszać – ponaglił ich Ferrin. – Przywódczyni może zmienić zdanie. Albo może stracić panowanie nad sługusami. Nedwin ma rację. Nie możemy pozwolić, żeby nas tu przyszpilili.

– Zgadzam się – powiedziała Farfalee. – Powinniśmy uważniej dobierać sobie miejsca pod obozowiska. Nasi zwiadowcy powinni badać jeszcze szerszy teren. Gdybyśmy zatrzymali się na noc na tej skale, może nadal mielibyśmy ze sobą Halco.

– Ja poniosę dziewczynę – mruknął Aram, ostrożnie podnosząc Rachel.

Jason odkrył, że zejście po stromej ścianie jest trochę stresujące. Ucieczka w górę po stromiznie była łatwa, ale, schodząc, przekonał się, że nie bardzo wie, gdzie oprzeć dłonie i stopy. Zmuszony zerkać w dół w poszukiwaniu oparcia, aż za dobrze uświadomił sobie odległość dzielącą go od ziemi i długość potencjalnego upadku. Corinne robiła wrażenie, jakby schodziła bez większego kłopotu, co zmotywowało go, żeby przetrwać zejście bez narzekania.

Reszta nocy upłynęła spokojnie, chociaż Jason cały czas trzymał rękę na mieczu. W czasie ucieczki wyrębał sobie drogę przez dwa zombie. Miał wrażenie, jakby ciął wiązki martwych patyków – ciała nie były ciężkie ani ubite, więc ostrze nie było w stanie solidnie się zagłębić. Właściwie wykorzystywał miecz bardziej jako narzędzie do odtrącania zombie, kiedy robił przed nimi uniki.

Grupa wędrowała aż do świtu, kiedy to Aram się skurczył i musiał odłożyć Rachel. Nedwin, Kerick, Drake i Ferrin rozeszli się w różne strony, żeby zrobić rekonesans. Farfalee uklękła przy Rachel i podsunęła jej pod nos woreczek z pachnącymi solami. Dziewczyna otworzyła gwałtownie oczy i usiadła, łapiąc powietrze.

Farfalee położyła uspokajająco rękę na jej ramieniu.

– Wszyscy jesteście cali i zdrowi – zapewniła ją.

Rachel nieco się rozluźniła.

– To dobrze. – Zmrużyła oczy i potarła czoło. – Auć!

– Zmusiałś się do nadmiernego wysiłku – powiedziała Farfalee. – Widywałam to u dawnych czarnoksiężników.

– Spaliłam mnóstwo zombie – powiedziała z uśmiechem Rachel.

– Tak. Zadziwiłaś mnie tym, ile mocy przywołałaś. Gdybyś była w stanie zebrać więcej, pewnie zniszczyłybyś razem z nimi i siebie. Ciesz się, że zemdłałaś. Musisz nauczyć się hamować swoje umiejętności, zanim cię zniszczą. To byłaby wielka strata, gdyby taki talent się zmarnował.

– Postaram się być ostrożna – powiedziała Rachel, chociaż na jej twarzy malował się raczej upór niż skrucha. – Znałaś czarnoksiężników?

– Najstarsi z naszych ludzi pamiętają naszego ojca, Eldrina, i czarnoksiężników z jego czasów. A ja należę do najstarszych. Dasz radę wstać?

– Chyba tak. – Z pewną pomocą Rachel wstała, krzywiąc twarz. – Głowa mi pęka. I mam obolałe stawy.

– W innych okolicznościach pozwoliłabym ci odpocząć – odpowiedziała przepraszająco Farfalee. – Niestety, sytuacja wygląda tak, jak wygląda.

– A nasz największy atut nie wróci przed zachodem słońca – dodał Jason.

Farfalee pokiwała głową.

– Bez Arama, który dzięki swojej sile zdołał się przebić przez napastników, wszyscy byśmy zginęli. Miejmy nadzieję, że zdołamy ominąć przeciwników za dnia.

Było popołudnie, kiedy Drake zameldował, że zbliżają się jacyś jeźdźcy.

– Jest ich trzech – powiedział, nadal ciężko dysząc po tym, jak pędził z powrotem do grupy. – Jadą prosto na nas.

Farfalee zasugerowała, żeby wycofali się za głązy, dzięki czemu jeźdźcy stracą przewagę, jaką dają im konie. Nedwin i Ferrin wrócili ze zwiadów, zanim jeźdźcy pojawili się w zasięgu wzroku, ale Kerick został gdzieś w terenie.

Wszyscy trzej jeźdźcy nosili hełmy i zbroje. Nadjechali cwałem, zatrzymali wierzchowce i powitali grupę z odległości.

– Witajcie, goście na naszej ziemi! – zawołał najbardziej wysunięty jeździec. Pomachał białą chusteczką. – Czy możemy podjechać i naradzić się w ramach rozejmu?

– Możecie – zgodziła się Farfalee.

Konni podjechali spokojnie, zatrzymując się kilka kroków przed skupiskiem głązów.

– Kto jest waszym przywódcą? – spytał stojący na czele jeździec o twarzy zasłoniętej przyłbicą.

– Ja – odpowiedziała śmiało Farfalee, wychodząc spomiędzy głązów. – Kogo reprezentujesz?

– Ostatnie niedobitki wielkiego królestwa Ebery – odpowiedział mężczyzna, zdejmując hełm.

Wyglądał na młodzieńca około dwudziestki, miał gęste kasztanowe włosy, krzaczaste brwi i kudłate bokobrody. Był chorobliwie blady.

– Nie jesteś zarażony? – zdumiała się Farfalee.

Posłał jej ponury uśmiech.

– Nikt nie uciekł przed plagą, lecz niektórzy z nas zdołali zachować rozum. Należysz do Amar Kabał?

– Owszem – odpowiedziała Farfalee. – Wielka potrzeba przywiodła nas do twojego królestwa.

– Bez wątpienia macie swoje powody – przytaknął mężczyzna. – Zjawiliście się w samą porę. Ubyło nam zdolnych do myślenia obywateli. Jeszcze kilka lat temu mieliśmy pięć osad. Teraz zostały trzy. Musimy przeżyć bezrozumnych i głodnych.

– Stawiliśmy czoło wielu chodzącym umarłym zeszłej nocy – powiedziała Farfalee.

Jeździec pokiwał głową.

– Wielu padło. Inni są osłabieni. Nasi przywódcy rozważają, jak najlepiej wykorzystać tę okazję. Jedźcie z nami. Zapewnimy wam eskortę, zabierzemy do bezpiecznych łóżek i ciepłego jedzenia.

– Bezpečnych łóżek? – spytała Farfalee. – Nie powinniśmy obawiać się zarażenia?

– Nie chcemy was skrzywdzić – zapewnił ją jeździec. – Przyciąga nas wasza krew, ale nauczyliśmy się hamować pragnienie. Trzymamy stada w obrębie murów i zaspokajamy nasze potrzeby krwią zwierząt. Przyda nam się wasza pomoc, a wy potrzebujecie naszego wsparcia. Bezrozumni i głodni zjednoczyli się, tworząc dzikie plemiona. Największe znajduje się na południu i już zwietrzyło wasz trop.

– Ile? – spytała Farfalee.

– Kilkaset. W tym dziesiątki sprytnych wodzów.

Jason zadrżał. Jak mogli się przemknąć obok armii składającej się z kilkuset zombie?

– Niewykluczone, że możecie nam pomóc – przyznała Farfalee. – Musimy przejść przez wasz kraj i dotrzeć do Prorokini i Mianamon na południu.

Jeździec zawahał się, zanim odpowiedział.

– Macie świadomość, że każdy, kto wkroczył na teren Ebery, nie może jej opuścić?

– Nasze powody stanowią wyjątek – oznajmiła Farfalee.

Nie odrywał od niej oczu o nieruchomych powiekach.

– Nie zezwalamy na żadne wyjątki. Czy pojmujecie zjadliwość tej choroby? Potężne królestwo uległo jej w ciągu kilku dni. My, wartownicy, staliśmy na straży, odkąd powstrzymaliśmy szerzenie się plagi. Bez naszych wysiłków i bez szczęśliwego ukształtowania terenów wokół Ebery cały Lyrian podzieliłby nasz los.

– Jestem Farfalee, córka Hessita – powiedziała spokojnie Farfalee. – Jak ciebie zwą?

– Borial.

– Powiedz nam coś o chorobie, Borial.

– Czerwie goma zamieszkują ludzkie ciało – powiedział Borial. – Nie zetknęliśmy się z żadnym innym podatnym na zarazę zwierzęciem. Pod tym względem czerwie zostały idealnie zaprojektowane. Żywią się krwią, najchętniej ludzką, ale wystarczy im jakakolwiek inna świeża krew. W zetknięciu z żywym obiektem, rozmnażają się i pożerają całą wewnętrzną krew w ciągu dwóch dni. Kiedy krew się kończy, czerwie goma utrzymują funkcje ciała, nadal pożądając krwi. To pragnienie udziela się nosicielowi.

– Jak opieracie się pragnieniu? – spytała Farfalee.

– Pewnie dzięki sile woli – powiedział Borial. – Zawsze miałem mocne poczucie własnego ja i głęboko wpojone poczucie przyzwoitości, co jest powszechne wśród tych, którzy się oparli. Moja zdolność stawienia oporu może wynikać także z fizjologii, być efektem sposobu, w jaki przebiega fizyczna interakcja czerwiej goma z moją tkanką i mózgiem. Większość nie jest w stanie zdławić pragnienia, co pomagało rozprzestrzenić chorobę. Bez krwi zwierząt głód w końcu przewyciężyłby nawet najsilniejszych z nas. Kiedy zostajemy ranieni albo starzejemy się, niektórzy z nas tracą zdolność panowania nad sobą.

– Robisz wrażenie młodego – zauważyła Farfalee.

– Czerwie goma konserwują nasze ciała, więc zachowujemy wiek, w jakim zachorowaliśmy. Potrafią dokonać cudów naprawiając ciało. Jednak każde obrażenie odbija się na nas, zwłaszcza gdy dotyczy mózgu.

– Wydaje się, że niektórzy z chodzących umarłych stracili całe człowieczeństwo – wtrącił Nedwin. – Jednak przywódcy tych, którym stawiliśmy wczoraj czoło, zachowali zdolność mówienia.

– Poddanie się głodowi najwyraźniej przyspiesza utratę rozumu – wyjaśnił Borial. – Ostatecznie, zarażeni stają się bezrozumnymi. Niektórzy zachowują świadomość dłużej niż pozostali. Głodni nie potrafią się pohamować, ale zachowują ludzki spryt.

– Dlaczego nie próbowali uciec z Ebery? – spytała Farfalee.

– Niektórzy próbowali – powiedział Borial. – Nie pozwalamy im na to. Patrolujemy granice, odkąd odzyskaliśmy pewną stabilność w kraju. Król Linus pomógł chronić rozumnych pośród zarażonych i uratował Lyrian. Spalił statki, zniszczył promy i mosty, zamknął granice. Zachował rozum po zarażeniu i pológł tym z nas, którzy także nie stracili panowania nad sobą, odgrodzić się od pozostałych. Pierwsze dni były najgorsze. Niekończące się masakry po obu stronach. Płonęły całe miasta. Ogień to najlepszy sposób, żeby mieć pewność, że czerwiej goma wybito. Potrafią hibernować wiele wieków. Z czasem są w stanie odbudować zniszczone ciała tak, żeby znowu funkcjonowały. Nie sądzę, żeby Kel Jerud chciał zniszczyć świat, gdyby złodzieje włamali się do jego wieży. Tylko Eberę. Mimo że obdarzył czerwiej goma licznymi zdolnościami przystosowawczymi, a projektował je tak, żeby miały kilka słabości. Nie przepadają a światłem słonecznym, nie znoszą bardzo wysokich i niskich temperatur. Nie cierpią wody. I giną w ogniu.

– Rozumiem – powiedziała Farfalee. – Wstręt do wody trzyma je z dala od morza i rzek. Niechęć do zimna powstrzymuje od wspinaczki przez góry i przejścia przez tundrę. Niechęć do słońca dodatkowo zniechęca je do podróży. A jeśli to wszystko nawiedzie, umarli, którzy zachowali rozum, trzymają je w szachu.

– Zgadza się.– potwierdził Borial. – Nie jestem pewien, czy Kel Jerud przewidział rozumnych umarłych. Właściwie to jesteśmy najważniejsi dla takich ludzi jak wy. Śmiertelników, którzy wkraczają do Ebery i mogliby opuścić ją zarażeni. Tacy stanowią tak naprawdę największe zagrożenie. Król Linus

nadal nosi koronę, a zgodnie z jego niepodważalnym edyktem, ci, którzy wejdą do Ebery, muszą tu pozostać. Postaramy się umożliwić wam życie bez zarażenia tak długo, jak to możliwe. Nasze osiedla znajdują się za mocnymi murami, chociaż największe z plemion głodnych niedawno znalazło sposób, żeby zagrozić naszemu bezpieczeństwu.

– Dopiero niedawno się zorganizowali? – spytał Nedwin.

– Na taką skalę, owszem – odpowiedział Borial. – Zdumiewająca adaptacja. Tym, co dawało nam największą przewagę mimo niewielkiej liczebności, była zdolność do współpracy. W miarę upływu lat zaczęliśmy realizować nasze marzenie: wybicie wszystkich bezrozumnych. Hodujemy żywy inwentarz za murami, podczas gdy w okolicy łatwa zdobycz stała się rzadkością. Najbardziej chytry z głodnych trzymali się z dala od nas, kryjąc się w głębokich legowiskach. W ostatnich latach zaczęli się jednoczyć i przyciągać popleczników. Wszyscy potrafimy wyczuć krew ze znacznej odległości, a krew naszych zwierząt ich przywoływała. Zjednoczenie było jedynym sposobem, żeby nas obrabować, więc się zjednoczyli i niektóre z naszych bastionów upadły wraz z częścią naszych najbardziej niezłomnych wojowników. Pozostały tylko trzy najsilniejsze osady, a ich obsada jest mniejsza, niżbyśmy sobie życzyli.

– Dlatego chcecie, żebyśmy pomogli wam bronić waszych osiedli – podsumowała Farfalee.

– Chcemy tego i czegoś więcej – przyznał Borial. – Ludzka krew to coś, czemu nasi wrogowie nie potrafią się oprzeć. Mogą przetrwać na zwierzęcej, ale wasza to nektar. Zapach waszej krwi może ich zwabić i sprawić, że popełnią błąd. Jeśli wreszcie zdołamy wciągnąć ich w pułapkę i spalić, to cały Lyrian będzie bezpieczniejszy.

– My także wypełniamy misję dla Lyrianu – wyjaśniła Farfalee.

– W związku z jakim zagrożeniem? – spytał Borial.

– Cesarzem Maldorem. Były uczeń Zokara szykuje się, żeby zaprowadzić własne rządy nad całym Lyrianem. Nasza drużyna reprezentuje ostatnią nadzieję ras Eldrina i wszystkich tych, którzy opierają się ciemności, niesprawiedliwości i tyranii.

– Jestem skłonny zgodzić się, że wasza sprawa jest sprawiedliwa i dobra – powiedział Borial. – Jednakże nasze obowiązki wartowników Ebery przewyższają wszelkie kwestie polityczne osobiste interesy. Nikt, kto wkroczył do Ebery, nie może jej opuścić z żadnego powodu. Będziemy wiernie stać na straży tego prawa, dopóki ostatni z nas nie padnie.

– Nie jesteśmy zarażeni – powiedział Drake z pewną irytacją w głosie. – Gdybyśmy byli chorzy, proszę bardzo, powstrzymajcie nas przed odejściem. Skoro jednak jesteśmy zdrowi, dlaczego nie pomożecie nam przejść przez Eberę, byśmy nie zachorowali?

– Ta zaraza może zniszczyć całe ludzkie życie w Lyrianie – obruszył się Borial. – Jedyne pewne sposoby, by powstrzymać chorobę, to nie uznawać żadnych wyjątków.

– Wyjątki już zrobiono – sprzeciwił się Ferrin. – Maldor nie raz przysyłał szpiegów do Ebery. Zrobi to ponownie. Jeśli zdoła posłużyć się zarazą jako bronią, nie zawaha się. Trzeba go powstrzymać. Stanowi o wiele większe zagrożenie, jeśli idzie o rozprzestrzenienie się choroby niż nasza skromna

delegacja. To on jest wrogiem, którego pragniemy zdetronizować.

– Już zaatakowała nas jedna grupa zarażonych robakami szaleńców – orzekł Drake głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Chociaż zachowaliście rozum, nie widzę większej różnicy między wami i waszymi mniej cywilizowanymi rodakami. Z wyjątkiem liczebności.

– Drake – rzuciła ostrzegawczo Farfalee.

– Co? – odparł chłodno Drake. – Widzisz, dokąd to zmierza. To nie skończy się miło, więc nie ma sensu marnować cennego czasu.

– Czy on mówi w imieniu was wszystkich? – spytał Borial, taksując ich spojrzeniem.

– Potrzebujemy koni – powiedziała Farfalee. – Konno z łatwością przejedziemy przez Eberę, nie zarażając się.

– Być może. – Borial rozważył tę myśl. – Musielibyśmy zobaczyć się z panem naszego osiedla. Jeśli wyjaśnicie mu dokładnie waszą sprawę, może spełni waszą prośbę.

Nagle w dłoni Farfalee pojawiła się strzała, gotowa do lotu. Jason nie miał pojęcia, jakim cudem tak szybko napięła łuk i umieściła strzałę na cięciwie.

– Nie wejdziemy w pułapkę. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak ważna jest nasza misja. Pozwól nam iść dalej swoją drogą a my pozwolimy ci wrócić do wypełniania swoich obowiązków. Masz natychmiast zsiąść z konia albo rozumni umarli stracą kolejnego zdolnego wojownika.

Borial uśmiechnął się z wyższością.

– Farfalee, jest wielu innych takich jak ja: konno, dobrze wyposażonych i gotowych na wszystko, byle nie pozwolić tobie i twoim towarzyszom opuścić Ebery. Wiedzą, gdzie jestem. Wiedzą, kiedy powinienem wrócić. Bądź rozsądna. Nie postępu nierozważnie. Odłóż broń. Zaufaj, że inni podejmą twoją misję. Dla dobra wszystkich twoja droga musi się tu zakończyć.

– Nie chcę cię skrzywdzić – powiedziała niezachwiana w po stanowieniu Farfalee. – Potrzebujemy waszych koni i nie mogę pozwolić, żebyś ostrzegł swoich towarzyszy.

Borial nie ukrywał oburzenia.

– Poświęciłem ponad sto lat, strzegąc ciebie! – Spojrzał na Drake’a. – I ciebie. – A potem na Nedwina. – I ciebie. A jednak grozicie mi, ponieważ środki zaradcze niezbędne, żeby stracić ludzkość, są wam nie na rękę? – Zanurzył rękę w torbie i wyjął garść małych szarych kulek. – To hibernujące czerwce goma. Nie są dla mnie groźne. Wam jednak mogą narobić sporych kłopotów. Jeśli rzucę je w waszą stronę, przynajmniej połowa z was zachoruje. To może zmienić wydźwięk naszej rozmowy.

Jason przygotował się do skoku za najbliższy głaz. Pozostali jeźdźcy też wyjęli po garści robaków.

– Jest tu miejsce na jakiś kompromis? – zapytała Farfalee, celując z łuku w środek czoła Boriala.

Zanim Borial zdążył jej odpowiedzieć, jego dłoń zapłonęła. Tak samo jak dłonie pozostałych jeźdźców. A także torby, z których wyjęli czerwce goma.

– Uciekać! – krzyknął Borial z twarzą wykrzywioną z bólu.

Trzej jeźdźcy zawrócili. Farfalee na próżno posłała strzały w plecy dwóch. Nedwin wyskoczył

spomiędzy głązów i ściągnął jednego z siodła, zanim wierzchowiec zdążył się rozpędzić. Wyciągając rękę, Rachel zrzuciła Boriala z siodła pojedynczym gestem i słowem, a potem opadła na kolano, przyciskając dłoń do skroni. Krew pociekła jej z jednej dziurki nosa.

Trzeci jeździec oddalał się, znajdując się już poza zasięgiem kogokolwiek z drużyny, kiedy Kerick wyskoczył z ukrycia i zrzucił go z – siodła. Jason usłyszał, jak Rachel mruczy coś po edomicku, klęcząc.

– Przestań – powiedział Jason. – Jesteś wyczerpana. Nie doszłaś jeszcze do siebie.

Posłała mu wyzywające spojrzenie, ściągając brwi z bólu.

– Potrzebujemy koni.

Jason zauważył, że konie zwolniły i zawracają.

– W porządku, masz rację, ale teraz już damy sobie radę.

Rachel pochyliła głowę, a on uklęknął obok niej i objął ją.

– Nic ci nie jest?

Pokiwała głową, zaciskając powieki.

– Miałeś kiedyś ból głowy od lodów?

– Pewnie.

– To wyobraź sobie, że trafił ci się taki naprawdę spory, a zaraz potem wyżłopałeś lodowaty koktajl.

Jason się skrzywił.

– Przykro mi.

– Nie twoja wina. Pech. A dopiero co zaczęłam dochodzić do siebie. Przynajmniej rozkazy zadziałały. Zombie uciekły?

Jason podniósł wzrok.

– Mamy ich. I płomienie zgasły. Mamy też konie. Dobra robota.

Rozdział 24

Dziki klan

Trzy konie całkowicie zmieniły sytuację. Rachel mogła teraz jechać, zamiast kuśtykać, jeden zwiadowca mógł zbadać rozległy obszar przed grupą, a drugi skutecznie obserwować teren wokół.

Nollin najgłośniej wyrażał chęć zabicia rannych wartowników. Farfalee stwierdziła, że Borial rzeczywiście podjął się szlachetnego zadania i że należy go potraktować z największą możliwą wyrozumiałością. Nedwin zauważył, że jeźdźcy musieli znacznie się oddalić konno i że pieszo nie zdążą odnaleźć towarzyszy na czas, by rzeczywiście przysporzyć im kłopotów. Nollin argumentował, że drużyna poszukiwawcza może znaleźć Boriala dostatecznie szybko, by posłać za nimi konny pościg. Ostatecznie zostawili Boriala i jego dwóch rodaków żywych, ale boso.

Dla Rachel pierwszy dzień w siodle był potwornością. Obolały i opuchnięty nadgarstek stanowił najmniejszy kłopot. Miała wrażenie, że czaszka popękała jej na nieregularne kawałki i trzymała się teraz w całości tylko dzięki skórze głowy. Przy każdym szarpnięciu, kiedy koń stąpał, ból przeszywał jej głowę. Czuła, że Corinne próbuje nawiązać z nią telepatyczny kontakt, ale nawet prosty wysiłek woli pozwalający Rachel zrozumieć wiadomość okazał się zbyt wielki. Z bólu ledwie była w stanie myśleć, już nie mówiąc o telepatii.

Nedwin podał jej środek przeciwbólowy, jednakże mimo niedobrego smaku i nieprzyjemnego aptecznego zapachu, mikstura nie zmniejszyła dolegliwości. A co, jeśli uszkodzenia z powodu nadmiernego wysiłku były nieodwracalne? Jeśli ból nigdy nie osłabnie? Jeżeli Uszkodzenie dotyczyło raczej jej umysłu niż mózgu? Zmartwienia dręczyły ją, podczas gdy ból nękał uporczywie aż do nocy.

Następnego dnia zauważyła oznaki poprawy. Stawy miała już tylko zeszywniałe, nadgarstek mniej ją bolał; wracał apetyt, a migrena zelżała do nieprzyjemnego przeczulenia, które buchało bólem już nie tak gwałtownie jak poprzedniego dnia.

Rachel zastanawiała się, co właściwie magia robiła z jej ciałem. Czy bóle głowy były efektem ubocznym sił, które uruchamiała edomickimi rozkazami, czy też bezpośrednim skutkiem nadwyrężenia siły woli? Czy w przyszłości powinna spodziewać się podobnych objawów po przemęczeniu się, czy też przyjdzie jej stawić czoło nowemu zestawowi skutków? Miała nadzieję, że nigdy się nie dowie.

Rankiem trzeciego dnia po spotkaniu z Borialem, kiedy jeszcze leżała zwinięta tam, gdzie zasnęła, usłyszała jak Farfalee sprzecza się z Ferrinem.

– Dwa razy zbliżyliśmy się do dzikich koni – powiedział Ferrin. – Są zbyt płochliwe. Ty też byś była, gdyby każda osoba; jaką spotykasz, okazywała się zombie zamierzającym osuszyć cię z krwi. Nawet siedząc na naszych koniach, nie zbliżyliśmy się dostatecznie. Gdyby tylko mogła je wezwać.

– Widziałeś wczoraj jej twarz? – spytała Farfalee. – Zauważyłeś, że porusza się jak stara kobieta? Mówię ci, wszelki wysiłek związany z edomickim, zanim dojdzie do siebie, stanowi dla niej ogromne ryzyko.

– A armia setek chodzących umarłych stanowi ogromne ryzyko dla nas wszystkich – odpowiedział Nollin. – Mogą nas zwęszyć z odległości wielu mil, a z tego co wiemy, pewnie już się zebrali i kiedy my tu rozmawiamy, oni szykują się, żeby przeciąć nam drogę. Tylko ona może tego dokonać.

– Swoboda poruszania, jaką da nam więcej koni, może uratować nam życie – wtrącił Kerick.

– Kiedy dojdzie do siebie – odpowiedziała Farfalee. – Rachel potrzebuje więcej...

– Już dostatecznie doszłam do siebie – przerwała jej Rachel, siadając. – Znaleźliście konie?

Farfalee spiorunowała wzrokiem Ferrina, Kericka i Nollina, zanim odwróciła się do Rachel.

– Masz za sobą poważny uraz – powiedziała. – Widziałeś, co się dzieje, kiedy zmuszasz się do zbyt dużego wysiłku przed wyzdrowieniem.

– To było gorsze niż pierwszy wielki wysiłek – przyznała Rachel. – A już po nim czułam się wystarczająco źle. Teraz jednak czuję się lepiej.

– Odpoczywaj – nalegała Farfalee. – Możesz jeszcze stać się naszą najpotężniejszą bronią przeciwko Maldorowi.

– Nie stanę się niczym, jeśli wszystkich nas pożrą zombie. Poza tym, wpływ na konie to bardziej sugestia niż rozkaz. Nie wymaga tak wielkiego wysiłku.

Farfalee westchnęła. Zerknęła na Ferrina i Kericka, a potem znowu na Rachel.

– Dobrze więc. Ponieważ potrzeba jest nagląca, zdam się na twój własny osąd. – Odwróciła się do Ferrina. – Kiedy Drake i Nedwin wrócą, idź zobaczyć, co zdołasz znaleźć.

Rachel zastała Corinne i Jasona przy śniadaniu z owoców i orzechów. Jason spojrzał jej w oczy z uśmiechem.

– Lepiej wyglądasz!

– Dzięki. Czuję się jak dzień po chorobie. Nie całkiem jeszcze wróciłam do siebie, ale jest o wiele lepiej niż w najgorszych chwilach.

Rachel mrugnęła do Corinne.

Miło cię widzieć!

Na pewno możesz w ten sposób rozmawiać? – upewniła się zaniepokojona Corinne.

Znowu przychodzi mi to naturalnie – zapewniła ją Rachel.

– Wy już gadacie telepatycznie? – spytał Jason. – To była jedyna dobra rzecz w twoim bólu głowy. Dla odmiany ludzie mówili słowami.

– My nadal używamy słów – odpowiedziała Rachel.

Jason z żalem pokręcił głową.

– Zupełnie jakby wszyscy SMSowali, a ja nie mam telefonu.

Rachel jadła orzechy i owoce z Jasonem i Corinne. Ich towarzystwo odbierała jako wyjątkowo

naturalne i przyjemne, pewnie dlatego, że nie siedziała już uwięziona w prywatnej celi cierpienia.

Kiedy Drake i Nedwin wrócili, Ferrin wziął wierzchowca Nedwina, a Rachel wsiadła na swojego. Razem z Drakiem pojechali w okolicę, gdzie Nedwin ostatnim razem dostrzegł dzikie stado. Żeby każdy miał swojego wierzchowca, potrzebowali jeszcze osiem koni. Ferrin i Drake nieśli parę zaimprovizowanych kantarów.

Jechali prawie godzinę, nim zatrzymali się, by spojrzeć na stado pasące się w dolinie poniżej. Nawet z odległości dzikie konie wyglądały znacznie gorzej niż ich obecne wierzchowce.

– Zdołasz przemówić do nich z tej odległości? – zapytał Ferrin Rachel.

– Może – odpowiedziała. – Szanse są tym większe, im bliżej się znajdziemy.

– Odbiegają, jeśli za bardzo się zbliżymy – powiedział Drake. – Nauczyły się trzymać z dala od ludzi.

– W miarę jak będziemy się zbliżać, będę wysyłała uspokajające wiadomości – zapewniła ich Rachel. – Co musicie zrobić?

– Przyniosłem trochę słodkich liści stewii, które zwykle zostawiam do herbaty – powiedział Drake.

– A ja mam owoce – dorzucił Ferrin. – Jeśli każdy z nas zdoła zwabić parę koni, będziemy w połowie drogi do celu.

– Musi być ich ze trzydzieści – oceniła Rachel.

– Ma się wrażenie, że to mnóstwo, ale są szybkie i nie mają obciążenia w postaci jeźdźców – powiedział Drake. – Jak na razie nie zdołaliśmy z Ferrinem zbliżyć się na tyle, żeby mieć jakąkolwiek szansę złapania jednego. Kerick zna się na koniach, ale jemu też się nie poszczęściło.

– Jeśli zdołasz powstrzymać je przed ucieczką – powiedział Ferrin – my zajmiemy się resztą.

Nie ruszając się z miejsca, Rachel zachęciła konie, żeby sobie spokojnie jadły. Kiedy Drake i Ferrin podjeżdżali do tabunu, prowadząc ją ze sobą, posyłała uspokajające edomickie wiadomości. Powiedziała koniom, że ona, Ferrin i Drake nie chcą ich skrzywdzić. Wysyłała im wrażenie bezpieczeństwa.

Kiedy wysiliła wolę, wyczuła łagodny ból rozlewający się za oczami.

Gdy dojechali do stada, wszystkie konie spokojnie się pasły. Większość robiła wrażenie bardziej wymizеровanych niż inne wierzchowce, które Rachel widziała w Lyrianie. Jednakże mimo zaniedbanej sierści i wystających kości, ogólnie rzecz biorąc, wyglądało na to, że są zdrowe. Parę zarżało na powitanie nowo przybyłych. Większość nie zwracała na nich uwagi.

Ferrin i Drake podeszli do potencjalnych wierzchowców pieszo. Głaskali je i karmili smakołykami, zanim założyli im kantary. Rachel mówiła do koni, żeby były spokojne, i najwyraźniej jej słuchały.

– Które jeszcze konie byście chcieli? – spytała.

Po krótkiej naradzie Drake i Ferrin wskazali cztery inne wierzchowce. Każdy z nich prowadził parę koni, a Rachel wezwała pozostałą czwórkę umysłem. Ruszyło za nimi więcej niż dziesięć koni, a potem całe stado.

Zanim wrócili do obozu, Rachel mocno rozboleła głowa. Pozostali nie mogli uwierzyć w liczebność

końskiej świty i wzięli się do wiązania dodatkowych kantarów. Zanim słońce zaszło, każdy spędził trochę czasu, zapoznając się z wybranym przez siebie wierzchowcem. Chociaż konie były dzikie i pewnie nikt do tej pory na nich nie jeździł, w większości były posłuszne. Rachel położyła się spać z głową bolącą na znośnym poziomie.

Halco wszedł do obozu wkrótce po świcie. Zbliżył się z podniesionymi rękami, a za nim jechał Nedwin. Nie okazał gniewu, kiedy wycelowano w niego z łuków. Kilka koni zarżało z niepokojem, ale nie odbiegły nawet te nieuwiązane.

– Twierdzi, że nie postradał rozumu – wyjaśnił Nedwin.

– Zgadza się – potwierdził Halco. – Straciłem amar, straciłem cię i straciłem urodę, ale jakimś cudem zachowałem rozum. Ubranie miał brudne i podarte, cała jego odsłonięta skóra była blada i pokryta ściągniętymi bliznami. Brakowało mu koniuszków dwóch sąsiednich palców i miał kilka łysych placków a głowie, gdzie nie rosły już długie włosy. Ruszał się mniej wdzięcznie, oszczędzając nieco jedną nogę.

– Oczywiście jestem pełen czerwi – powiedział. – Sprawdziłem. Ponieważ jednak zachowałem poczucie własnej tożsamości, uznałem, że mogę się wam przydać. Zdecydowałem się iść za wami. Wiem, że jestem niewiele więcej niż duchem. Moje prawdziwe ja kryje się w amarze, ale uznałem, że równie dobrze mogę zrobić wszystko co w mojej mocy, żebym został zasadzony gdzieś daleko stąd.

– Możesz nas... zwęszyć? – spytał Nollin.

– Waszą krew? Tak, mogę. Chodzący umarli najwidoczniej pożywili się mną. Byłem nieprzytomny. Osuszyli mnie z krwi, a czerwie wyżarły wszystko, co mi jeszcze zostało, zanim się przebudziłem. Zbudziłem się bez krwi. Nie zostały nawet ślady na moim ubraniu. Wasz zapach ułatwił mi tropienie. Jak na razie nie czuję zmęczenia. Pomyślałem, że moglibyście zadać mi szybką i czystą śmierć, kiedy dotrzemy do rzeki.

– Panujesz nad swoim apetytem? – spytała Farfalee.

Jej bezpośrednie pytanie domagało się uczciwej odpowiedzi.

– Tak mi się wydaje – odparł bez chwili wahania Halco. – Zważywszy, co przeszedłem, to dziwne, że mój umysł wydaje mi się całkowicie niezmieniony. Myślę, że mogę nad sobą panować. Czuję, że to spokojnie mieści się w granicach mojej wytrzymałości. Nie spodziewam się stać się dla was zagrożeniem. Za to mogę się przydać.

– Czy to boli? – spytał z wahaniem Nollin.

– Nie ma bólu. Moje zmysły się zmieniły. Słońce męczy moje oczy. Słuch osłabia mi irytujące echo. O ile mój zmysł dotyku jest przytępiony, bardzo wyostrzył mi się węch. Nadal się do tego przyzwyczajam.

– Jeśli koń zgodzi się ciebie nieść, bardzo proszę, możesz do nas dołączyć – powiedziała Farfalee. – Tylko się pilnuj. Zachowaj dystans. Żadnego podchodzenia. To będzie oznaka twojej samokontroli.

– Nie zawiodę was.

Dziki konie okazały się krzepkie. Z trzema albo czterema konnymi zwiadowcami w terenie i resztą grupy także w siodłach, szybko przemierzali Eberę. Trzymając się rad zwiadowców, jechali zygżakiem, żeby trzymać się z dala od tłumów zombie, które próbowały ich otoczyć i dopaść. Konie okazały się znacznie szybsze od nawet najbardziej spragnionych zombie. Ogromna horda chodzących umarłych na południu nie miała szansy stanąć im na drodze, kiedy je wypatrzono i zarządzono objazd.

Dzięki szybkiej jeździe za dnia, nocą delegacja mogła prawie się rozluźnić. Mimo to zachowała czujność i zawsze miała konnego wartownika w ruchu, a broń pod ręką. Halco krążył w ciemności pieszo, niezmordowany i odporny na atak.

Po paru dniach Rachel przestała odczuwać uporczywe skutki wcześniejszego przemęczenia. Kierowała sugestie do koni, a kiedy chciała, bez żadnych nieprzyjemnych efektów i bez wysiłku utrzymywała kontakt telepatyczny z Corinne. Czuła się nieco silniejsza niż wcześniej. Większość stada przestała za nimi biec, ale pięć pozbawionych jeźdźców koni uporczywie się ich trzymało, nawet kiedy Rachel delikatnie zasugerowała, żeby odeszły. Ostatecznie uznała, że kilka zapasowych wierzchowców nie zaszkodzi.

Tego samego ranka, kiedy dostrzegli Srebrną Rzekę lśniąca w oddali, przygalopował Kerick i ziajany powiedział, że chmara ponad stu jeźdźców pędzi za nimi w pościgu.

– Zdążymy dotrzeć do rzeki? – spytała Farfalee.

– Może. Jadą ostro z południowego wschodu. Będziemy musieli skrócić na południowych zachód, żeby mieć szansę dotrzeć przed nimi do wody.

– Oczywiście, przekroczenie rzeki będzie stanowiło pewien problem – zauważył Aram.

Rachel zmarszczyła brwi. Srebrna Rzeka była głównym wschodnim odpływem wód spływających z gór. Farfalee ostrzegała, że ma średnio ponad pół mili szerokości.

– Zatem na południowy zachód – ponagliła Farfalee.

Po raz pierwszy naprawdę ostro pogalopowali. Do tej pory przede wszystkim oszczędzali siły. Rachel cieszyła się z wiatru na twarzy i posłała sugestie do wierzchowców, żeby biegły szybko i równo.

Kiedy galopowali przez wysoki grzbiet, Rachel zerknęła za siebie i po raz pierwszy zobaczyła pościg, cwałującą jazdę, małą z powodu odległości. Kerick miał rację. Wyglądało na to, że jest ich co najmniej setka. Setka rozumnych nieumarłych wojowników, uzbrojonych i jadących konno. Rachel zastanawiała się, ilu z nich zdoła podpalić, zanim padnie. A potem zadana sobie pytanie, czy w ogóle powinna stawiać opór. W końcu oni tylko próbowali uratować świat przed spustoszeniem spowodowanym przez niszczycielską plagę. Uciekając przed tymi myślami, chwyciła się słabej nadziei, że uda jej się z przyjaciółmi wymknąć pościgowi.

Kiedy migoczący przestwór Srebrnej Rzeki zbliżył się, pojawiła się przed nimi pędząca w ich kierunku dwójka jeźdźców. Odkąd dostrzeżono nieumarłą jazdę, z czwórki zwiadowców nie wrócił jeszcze Drake. Jednym z dwójki jeźdźców był właśnie on. Drugim okazał się Sakar, emisariusz wysłany do drinlingów, którego Rachel nie widziała od opuszczenia Siedmiu Dolin.

– Tędy – rozkazał Sakar bez słowa wyjaśnienia.

Skręcili za nim na zachód, oddalając się od pościgu i jadąc równolegle do rzeki zamiast w jej kierunku. Farfalee jechała obok Sakara, ale Rachel nie słyszała ich rozmowy.

Delegacja dotarła do serii coraz wyższych niskich grzbietów, za którymi wznosiły się już całkiem spore wzgórza. Na szczycie pierwszego grzbietu Sakar zatrzymał konia. Krzaki wokół niego poruszyły się i wyszło z nich kilkoro mężczyzn i kobiet odzianych w płaszcze, których barwa idealnie stapiała się z dzikim terenem. Rachel poczuła, jak jej koń szarpie się nerwowo, więc po cichu wypowiedziała uspokajające edomickie słowa.

– Poznajcie Ula, syna Tha – oznajmił z powagą Sakar – wodza dzikiego klanu drinlingów.

Krępy mężczyzna o szerokim nosie i masywnej szczęce skłonił się oschle. Usta miał zacięte, ale wokół uważnie patrzących oczu rozchodziły się zmarszczki od częstego uśmiechania. Jego złocistobrązowa skóra miała odcień, jakiego Rachel nie widziała jeszcze u nikogo, a tęczyówki były miedziane jak błyszczące miedziaki. Skóra i oczy pozostałych członków jego drużyny miały te same barwy.

Ul odwrócił się do Sakara i przemówił niemożliwym do rozszyfrowania potokiem gwałtownych, rwanych sylab.

– Mówi, że powinniśmy wycofać się i spróbować nie rzucać się w oczy – przetłumaczył Sakar. – Porozmawia ze strażnikami Ebery w naszym imieniu.

– Dziękujemy – powiedziała Farfalee, pochylając głowę i wdzięcznością.

Ul skinął krótko głową i machnął ręką, żeby ruszała.

Rachel i pozostali ruszyli za Sakarem na wyższy grzbiet. Uwiązawszy konie, Sakar zaprowadził grupę na miejsce, z którego zza parawanu wysokich krzewów mogli dyskretnie obserwować równinę. Rachel znalazła sobie miejsce blisko Farfalee i Sakara.

– Dzikie klan to drinlingowie? – zapytała cicho.

– Zgadza się – potwierdziła Farfalee. – Najwyraźniej drinlingowie to jedyna rasa na Lyrianie odporna na czerwie goma. W ostatnich latach odgrywali coraz większą rolę w patrolowaniu Srebrnej Rzeki.

– Dowiedziałem się o tym dopiero niedawno, kiedy wyjaśniłem, czego potrzebujemy – powiedział Sakar. – Drinlingowie dzielą się na czterdzieści klanów. Z dzikiego klanu wywodziło się wielu najwspanialszych drinlindzkich wojowników. Utrzymywał on także bliskie kontakty z Amar Kabał.

– Należy jednak pamiętać – wtrąciła Farfalee – że drinlingowie rzadko kiedy żyją dłużej niż dwa lata, dla nich więc minęło wiele pokoleń, odkąd współpracowali z Sakarem czy kimkolwiek z naszego ludu.

– Jednak pielęgnują obszerną ustną tradycję – dodał Sakar. – To konieczność, jeśli pragną zachować tożsamość grupy mimo krótkiego okresu życia.

Nieumarli jeźdźcy pojawili się na drugim końcu równiny. Nie oszczędzali koni. Patrząc z grani, Rachel nabrała przekonania, że musi być ich ponad setka.

– Co się teraz stanie? – spytała, zauważywszy, że Jason i Ferrin przysunęli się, żeby też słyszeć.

– Będą rozmawiać – powiedział Sakar. – Ul oznajmi, że jesteśmy pod jego opieką. Poprosi strażników Ebery, żeby pozostawili naszą kwestię w rękach drinlingów.

– A jeśli się nie zgodzą? – zapytała Rachel.

– Dziki klan jest gotowy i skłonny do walki – odpowiedział Sakar. – Skutki byłyby tragiczne. Potrzebujemy strażników Ebery tam, gdzie są, żeby robili to, co robią.

– Drinlingowie mogliby wygrać? – dopytywała się Rachel.

– Drinlingowie zostali stworzeni do walki – wyjaśniła Farfalee. – Jakby Eldrin jakimś sposobem skondensował energię z osiemdziesięciu lat w dwa. Drinlingowie są silnymi i niezmordowanymi wojownikami. Nie umierają łatwo, a zadane im rany bardzo szybko się goją. Są odporni na większość chorób i trucizn. Nigdy nie śpią, nawet nie wpadają w trans. Mogą jeść i trawić niemal wszystko, nawet ziemię. Podobno potrafią czerpać energię z powietrza i słońca.

– I czeka tu więcej drinlingów gotowych stanąć na placu boju, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka – dodał Sakar. – Na koniach czy bez nich strażnicy nie mają szansy.

– Dlaczego drinlingowie nam pomagają? – spytał Jason.

– Drinlingowie nie unikają obecnie wojny z miłości do Felrook – odpowiedział Sakar. – Przeciwnie, od lat stali między Maldorem i wschodnim wybrzeżem Lyrianu. Uczynili królestwo Kadary nietykalnym i otrzymywali pomoc ze strony Kadarczyków pod postacią ludzi i broni. W miarę jak konflikt się przeciągał i coraz więcej królestw padało na innych ziemiach Maldor ścigał coraz większe zastępy przeciwko drinlingom. W końcu zaczął wykruszać ich szeregi. Król Kadary wycofał wsparcie dla drinlingów, wolał bowiem umocnić własne obroły. Kadara i pozostali od wieków uważali za oczywiste, że drinlingowie nie zaprzestaną walki, lecz ci wszystkich zaskoczyli. Zamiast poświęcić siebie, żeby zapewnić Kadarze więcej czasu na przygotowania, wycofali się. Nagle przestali stawiać opór skupili się na unikaniu starć. Znają wzgórza na południe stąd jak nikt inny i ostatecznie zastępy Maldora zarzuciły próby ścigania ich na tym terenie. Dowódcy zdecydowali, że lepiej obejść drinlingów i rozpocząć wojnę z Kadarą.

– Kadara sama się o to prosiła – mruknął Ferrin.

– W takim razie, jak wygląda teraz ich sytuacja? – zapytała Rachel.

– W ciągu lat od zaprzestania walki ich szeregi znacząco się umocniły – wyjaśnił Sakar.

– Sporo pomaga fakt, że ciąża u drinlingów trwa nieco ponad tydzień i często rodzą się bliźnięta i trojaczki – dorzuciła Farfalee.

Sakar pokiwał głową.

– Śmiertelność wśród drinlindzkich kobiet w czasie porodu zawsze była bardzo wysoka. I stale rośnie. Robią jednak co w ich mocy. Powiedziałem Ułowi o powrocie Gallorana i o tym, że Amar Kabał być może stanie przeciwko Felrook. Wie, że kiedy Kadara padnie, drinlingowie będą otoczeni przez wrogów. Jeśli rebelia dojdzie do skutku, przysięgł, że jego klan przyłączy się do walki.

– A co z innymi klanami? – zapytał Ferrin.

– Pracuję z Ulem nad tym, żeby je przekonać – powiedział Sakar. – To może chwilę potrwać. Na razie przysiągł interweniować w naszej sprawie u strażników Ebery. To on ostrzegł mnie, że strażnicy nigdy nie pozwolą wam przekroczyć Srebrnej Rzeki. Przeprowadził niespotykaną liczbę swoich ludzi na drugi brzeg, żeby stworzyć wam szansę ucieczki.

Na równinie poniżej grani oddział jeźdźców podjechał do Ula i grupy drinlingów. W pewnej chwili Ul odwrócił się i dał sygnał ręką. Setki drinlingów stanęły wzdłuż grzbietu i na równinie, odrzucając kamuflujące płaszcze.

Rozmowa na równinie trwała. W końcu oddział jeźdźców odwrócił się i pogalopował z powrotem do towarzyszy. W ciągu kilku minut nieumarli strażnicy odjechali na wschód.

Ul tymczasem dołączył do Sakara i Farfalee na grani. Towarzyszyła mu trójka ludzi: dziewczyna i chłopiec, którzy nie wyglądali na starszych od Rachel i Jasona, oraz starszy mężczyzna o skórze pokrytej krzyżującymi się bliznami, szczególnie po lewej stronie twarzy i ciała. Nie miał lewej dłoni; zastępował ją ostry metalowy szpikulec z małym haczykiem z boku.

Dziewczyna przedstawiła się jako Nia, a chłopiec nazywa się Io.

– Mój ojciec życzy sobie, żebyśmy mówili w jego imieniu powiedziała dziewczyna wyraźnie, chociaż z delikatnym akcentem. – Nie ma cierpliwości do języka tak nużącego jak wasz.

– Nie chce w ten sposób was obrażać – wyjaśnił Io. – Nas język, ji, o wiele zwięźlej przekazuje informacje, chociaż brakuj mu różnorodności i niuansów waszego języka.

Rachel z miejsca polubiła Io. Robił wrażenie spokojnego i taktownego. I nie przeszkadzał fakt, że miał przystojne rysy bardziej wyglądał na chłopca z boysbandu niż gwiazdę rocka, ale niewątpliwie był słodki.

– Ojciec wynegocjował waszą wolność – powiedziała Nia. Łódź już czeka, żeby przewieźć was na południe. Ukrywam ich kilka wzdłuż rzeki. Oficjalnie pozostaniecie pod naszym czujnym nadzorem przez trzy dni. Jeśli ktokolwiek z was zaraził się plagą, zostanie spalony.

Halco odchrząknął.

– Ja się zaraziłem.

Z ust Ula popłynęła krótka sekwencja rwanych sylab.

– Ojciec powiedział, że możesz albo zginąć w ogniu, albo dołączyć do strażników –przetłumaczył Io.

Halco pochylił głowę i dotknął kciukiem szramy o postrzępionych brzegach na grzbiecie dłoni. Dwa razy próbował odpowiedzieć, zanim z jego ust dobieły się słowa.

– Chyba wolałbym dołączyć do strażników. Radzę sobie z głodem, a im chyba przyda się każda chętna para rąk.

Prośbę przetłumaczono, a Ul posłał Halco uśmiech, kiwając ze zrozumieniem głową. Za pośrednictwem Io zapewnił Halco, że jego pomoc zostanie doceniona.

– Ojciec pragnie także wam powiedzieć, że mój brat i ja jesteśmy podarunkami dla waszej sprawy –

powiedziała Nia. – Poinformowano go, że będziecie potrzebować przedstawicieli z jego ludu w Mianamon, aby uzyskać bardziej precyzyjne proroctwo. Z jego dzieci my jesteśmy najwolniejsi.

– Co znaczy, że najlepiej sobie radzimy z rozmową w waszym języku – dodał Io. – Jesteśmy też młodzi, więc nadal mamy przed sobą dużo życia.

– Oboje osiągnęliśmy piąty miesiąc życia – wyjaśniła Nia. – On jest dwa tygodnie starszy.

– Ja także idę – odezwał się pokryty bliznami mężczyzna; mówił ze znacznie mocniejszym akcentem.

– Nazywa się Raz, to nasz mentor – wyjaśnił Io. – Ratując naszą matkę, zabił haratacza, chociaż sam był nieuzbrojony.

– Czy – powiedział Ul, pokazując trzy palce.

Wskazał na Raza, krzywiąc się i zaciskając pięść, jakby sugerował, że to niezwykle twardy mężczyzna. Potem wyciągnął rękę w stronę dzieci i poruszył drugą dłoń tak, jakby to były trajkoczące usta, a przy tym przewrócił oczami.

– Ojcie! – wykrzyknęła zbulwersowana Nia.

– Czasem za dużo mówimy – przeprosił Io.

Ul splunął kilkoma sylabami.

– Musimy poczekać na łódź aż do zmroku – przetłumaczyła Nia. – Na razie powinniśmy pozostać tutaj. Ojciec pośle po smaczną strawę.

Po wielu podziękowaniach złożonych pod adresem Ula i jego klanu spotkanie dobiegło końca. Nia i Io najchętniej trzymali się Corinne, Jasona i Rachel – być może dlatego, że robili wrażenie rówieśników. Rozmowa zaczęła się powoli i uprzejmie; Rachel i Jason wyjaśnili, że są Pozaświatowcami, a Corinne, że mieszkała na bagnach.

– Macie interesującą przeszłość – powiedziała Nia. – Ja nigdy nie opuściłam tych wzgórz, chociaż pragnęłam ujrzeć świat.

– Dobrze mówisz w naszym języku – zauważył Jason. – Miałaś sporo okazji do jego szlifowania?

– Głównie z naszymi ludźmi – powiedziała Nia. – Wielu spośród nas stara się podtrzymać tradycję przy życiu w nadziei na przyszłe alianse.

– Raz poznaliśmy posłańca z Kadary. Rozmawiał z nami – powiedział Io. – Chciał, żebyśmy zaatakowali wojsko oblegające Wysoki Port. Ojciec odpowiedział mu, że damy Kadarze taką samą pomoc w godzinie próby, jakiej oni nam udzielili, kiedy zagroziło nam wyginięcie.

– Potem ojciec powiedział nam, że gdyby istniał cień szansy powodzenia, zaatakowałby – dodała Nia. – Niezależnie od naszych dawnych uraz, nikt z nas nie cieszyłby się z upadku Kadary i rosnącej potęgi cesarza.

– Nie mogę uwierzyć, że macie pięć miesięcy – powiedział Jason. – Kiedy ja miałem pięć miesięcy, byłem małym łysym bobasem, który potrafił tylko płakać i niewiele poza tym.

Io parsknął śmiechem.

– Nasze życie płynie w innym tempie. Rodzice zaczęli nas uczyć od chwili urodzenia. Nigdy nie

śpimy. Nasze umysły dojrzewają szybciej, tak samo jak ciała.

– Nie miałam jeszcze miesiąca, kiedy matka odkryła, że posiadam uzdolnienia w kierunku języka angielskiego – powiedziała Nia. – To dlatego dostałam tak ekstrawaganckie imię.

– Ze mną było tak samo – wtrącił Io. – W języku ji dwie sylaby to bardzo długie słowo.

– Wywodzi się z długo żyjącego rodu – wyjaśniła Nia. – Rozwijamy się nieco wolniej, za to żyjemy dłużej niż większość drinlingów. Niektórzy z naszych przodków dożyli blisko trzech lat.

Rachel odwróciła wzrok.

Io dotknął jej ramienia.

– Dla ciebie to pewnie strasznie krótko.

– Trochę – odpowiedziała Rachel, nie chcąc uzewnętrzniać przykrych odczuć. To niesprawiedliwe, że drinlingowie żyją tak krótko!

– Słyszałem, że niektórzy spoza naszej kultury tak to odbierają – powiedział Io. – Musisz zrozumieć, że w naszym odczuciu taka długość życia jest wystarczająca. Czy ty czujesz, że życie dostatecznie długo? Osiemdziesiąt lat?

– Aha – odpowiedziała. – Chyba tak.

Io się uśmiechnął. Miał uśmiech po ojcu.

– A jednak porównaj się z Amar Kabał. Jeśli zsumować rozliczne żywoty nasienników, okazuje się, że mogą żyć sto razy dłużej od ciebie. Albo i więcej. Dla nich twoje życie trwa przelotnie. Tobie zaś nasze życie wydaje się krótkie.

– Dla nas wy wszyscy życie zdecydowanie za długo – zażartowała Nia. – Jakie to musi być nużące!

Rachel zmusiła się do uśmiechu.

– Rozumiem, co masz na myśli. Wszystko jest względne.

Nadal uważała, że czarnoksiężnik, który wymyślił trwające dwa lata życie, musiał być potwornie gruboskórny.

– Poza tym – powiedział Io z błyskiem w oku – mamy pewną przewagę. Nigdy nie chorujemy. I nie musimy czekać na jedzenie!

Wyrwał garść zielska, włożył je do ust, przeżuł i przełknął.

– Nie gadaj! – wykrzyknął Jason. – Nie pochorujesz się od tego?

– Nasze ciała zużywają ogromne ilości energii – wyjaśniła Nia. – Potrzebujemy mnóstwa składników odżywczych.

Wrzuciła do ust garść ziemi.

Rachel się skrzywiła.

– Czy to nie smakuje okropnie?

– Nie dla nas – odparł Io. – Wam smakuje okropnie, pewnie dlatego, że wasze ciała nie mogą jej wykorzystać.

– A normalne jedzenie nie smakuje wam bardziej? – zapytał Jason.

– Zależy, co nazwiesz normalnym jedzeniem – odpowiedziała Nia, odgryzając kawałek suchej gałązki; nie kryła się z tym, że bawi ją to, jak Jason się skrzywił. Rachel słyszała, jak gałązka trzaska, kiedy Nia ją przeżuwa. – W przeciwieństwie do wielu innych ludów, my nie gotujemy naszego jedzenia.

Io skrzywił się z niesmakiem.

– To się dopiero nazywa psucie smaku.

– Czy patyk nie uszkodzi ci zębów? – spytała Corinne.

– Mamy mocne zęby – uspokoiła ją Nia.

– No dobrze, trochę wam zazdroszczę – przyznał Jason.

– Poczekaj tylko kilka miesięcy, kiedy będziesz musiał traktować nas z szacunkiem należnym starszym

– odpowiedziała Nia.

Rachel roześmiała się razem z pozostałymi, ale ta myśl nadal trochę ją zasmucała.

Rozdział 25

„Ostatni Zajazd”

Jason opierał się o burtę łodzi, patrząc na rozfalowane morze i wybrzeże, które wydało się z tej dali niebieskie. Zapach soli w powietrzu sprawiał, że chciało mu się pić, więc wypił łyk z bukłaka. Starał się nie myśleć o biednej Corinne, która kulila się na rufie, nie będąc w stanie utrzymać w żołądku nawet odrobiny jedzenia.

Po przyprawiających o zawrót głowy wysokościach, powalających podmuchach wichury i zabójczych zombie, rejs po morzu był właśnie tym, czego potrzebował, żeby odzyskać równowagę. Niemal żałował, że dziś wieczorem dotrą do celu. Chyba powinien się cieszyć przez wzgląd na Corinne.

Przez prawie tydzień łódź stanowiła jedyne bezpieczne miejsce do jakiego trafił, odkąd opuścili Siedem Dolin. Długa i wąska, z tuzinem wiosł przy każdej burcie i z dużym kwadratowym żaglem wyprzedzała najróżniejsze o wiele bardziej wyrafinowane statki obsadzone przez Kadarczyków.

Już pierwszej nocy Jason obserwował drinlingów z pełnym zdumienia podziwem. To była krępa rasa, jej przedstawiciele mieli więcej mięśni niż wzrostu, szerokie ramiona, długie torsy i mocne nogi. Miało się wrażenie, że wkładają całą siłę w każde pociągnięcie wiosłami, ale nadal znajdowali w sobie dość mocy, żeby poruszyć je ponownie, jeszcze raz i jeszcze. Nie robili przerwy na odpoczynek albo sen. Tylko na jedzenie i picie.

Stosy czarnych bulw walały się po łodzi na początku rejsu. Nia wyjaśniła, że te zwarte bulwy to ulubiony pokarm jej ludu, ponieważ są bogate w składniki odżywcze. Niejadalne dla większości żywych stworzeń, te guzowate korzenie rosły w ziemi na wzgórzach, gdzie mieszkali drinlingowie.

Pierwszego dnia na pokładzie łodzi, jeszcze przed świtem zostawili za sobą ujście Srebrnej Rzeki i wypłynęli na otwarte morze. Zaskakująca ilość czarnych bulw już została skonsumowana, a drinlingowie bez wahania popijali je morską wodą. Kiedy wiosłowali, Jason obserwował, jak ich ciała adaptują się do wysiłku, mięśnie rozrastają się na plecach i ramionach, zarówno u mężczyzn, jak i kobiet. Zamiast męczyć się z upływem czasu, wiosłarze stawali się coraz silniejsi i zręczniejsi.

Łódź nie została pomyślana do przewozu takiej liczby pasażerów, jaka obecnie się na niej znajdowała, ale członkowie delegacji korzystali z niej najlepiej, jak się dało. Najgorzej było ze spaniem, gdy kulili się w ciasnych przestrzeniach, podczas gdy wiosłarze mozolili się przez całą noc.

Nie nękały ich żadne cesarskie statki. Raz i Io poinformowali ich, że chociaż Maldor stworzył imponującą flotę na zachodnim morzu, nie wykonał żadnego ruchu, żeby zdominować także wody na wschodzie. Flota była niezbędna, żeby podbić wyspiarski naród Meridonu przy zachodnim wybrzeżu, a morze na wschodzie nie zapewniało podobnych zdobyczy, więc Maldor zdecydował się zaatakować

Kadare tylko od ładu.

Dzięki temu nic nie zagrażało kadarskiej flocie na tych wodach. Niestety, na niewiele się to zdało oblężonym miastom, z wyjątkiem stolicy, Inkali, która miała porty chronione przez potężne miejskie mury.

Odkąd drinlingowie przestali walczyć z cesarzem, Kadarczycy nie okazywali im żadnej miłości, jednak kadarskie statki, które napotkała delegacja, zaczepiały ich od niechcienia. Najwyraźniej Kadarczycy mieli poważniejsze problemy na głowie.

Teraz, po raz pierwszy od pięciu dni dziób łodzi skierował się pod kątem do linii wybrzeża. Tark podszedł do Jasona. Oparł owłosione przedramiona o krawędź burty.

– Z powrotem na łądzie – powiedział chropowatym głosem. – Koniec z rybami.

– Nie miałem pojęcia, że taki z ciebie rybak – zauważył Jason, zerkając na przyjaciela.

– Złapałeś dwa razy więcej od każdego na łodzi.

– Przez pewien czas pracowałem na morzu – odpowiedział jak gdyby nigdy nic Tark.

– A czym się nie zajmowałeś? – zapytał Jason. – Byłeś rybakiem, nurkiem, górnikiem, muzykiem. Coś przegapiłem?

– Kucharza – odparł Tark. – Żołnierza. Rzemieślnika. Hedonistę. Zdrajcę. To najważniejsze profesje.

– Nie możesz się tak zadręczać.

– Wystarczająco często sobie pobłażam – odpowiedział Tark. – Doceniam twoje słowa, lordzie Jasonie, ale sam zdecyduję, kiedy skończę pokutę za to, że odwróciłem się plecami do kilku słusznych spraw. Zbyt wielu towarzyszy gani mnie ze swoich grobów w toni.

– Jak myślisz, co zastaniemy na łądzie? – zapytał Jason.

– Mam nadzieję, że nic równie strasznego jak to, czemu stawiliśmy czoło w Potępionym Królestwie – odpowiedział Tark i splunął za burtę. – Nie chcę nigdy więcej zobaczyć niczego gorszego.

– Doskonale cię rozumiem – przytaknął mu Jason. – Dzięki, że pilnowałeś wtedy mojego tyłka.

– Podziękuj Rachel.

– Słusznie.

– Nie miałbym nic przeciwko kawałkowi chleba – zamyślił się na głos Tark. – Minęło trochę czasu, odkąd jakiś jedliśmy. Rozpieszczano nas w Dolinach.

– Czy w „Ostatnim Zajeździe” będzie dobre jedzenie?

Tark zatarł ręce.

– Nie dręcz mnie. Nigdy tam nie dotarłem, ale „Ostatni Zajazd” słynie na cały Lyrian. Nie zapracowałyby sobie na to bez dobrej strawy.

– Jak daleko jest od rzeki Durnese do zajazdu?

– Raptem dzień albo dwa dni piechotą według Raza.

– Myślisz, że Galloran już tam będzie?

– Trudno zgadnąć, ale oczywiście, mam taką nadzieję. Miał trochę czasu. Dzięki szybkości, z jaką płyniemy, zjawimy się prawie zgodnie z planem.

Pod osłoną ciemności łódź wpłynęła na szerokie, powolne wody Durnese. Jason opędył się od gryzących owadów, patrząc na mijane brzegi i cieszył się, że pokonuje odległość bez żadnego własnego wysiłku. Po obu stronach łodzi za płaskimi wodami kołyszące się świetliki migotały pośród paproci. Ciepławe powietrze było wilgotne, jakby znieruchomiło, by zagęścić się wokół niego w chmurę deszczową, chociaż gwieździste niebo w górze było niemal czyste.

W końcu łódź uderzyła o płaski brzeg ze stwardniałego błota usianego kałużami. Raz i pozostali drinlingowie pomogli delegacji zejść na ląd. Po prawie tygodniu katorżniczego wysiłku drinlindzcy wioślarze napuchli jak kulturyści.

Bez zbędnych ceremonii Raz pomógł drinlingom zepchnąć łódź z powrotem na wodę. Kilka łodzi ukrytych wzdłuż Srebrnej Rzeki to był jeden z ważniejszych atutów drinlingów i doświadczona załoga chciała przed świtem dotrzeć na bezpieczne wody otwartego morza.

– To najbliższy „Ostatniego Zajazdu” punkt na rzece – wyjaśnił Raz łamaną angielszczyzną. – Mamy wypoczęte nogi. Idziemy.

I tak Jason, Rachel, Farfalee, Nollin, Kerick, Drake, Ferrin, Tark, Nedwin, Aram, Nia, Io i Raz ruszyli znad rzeki i wkrótce dotarli do drogi. Aram niósł Corinne na rękach, ponieważ nadal za bardzo męczyły ją mdłości, żeby szła o własnych siłach. Nie krył ulgi, kiedy wyszedł na stały ląd. W łodzi cierpliwie znosił rośnięcie i malenie na oczach wszystkich.

– To odległy zakątek Lyrianu – powiedział Ferrin, zrównując krok z Jasonem. – Zapuściłem się tu tylko raz, i to z czystej ciekawości.

– Byłeś w „Ostatnim Zajeździe”? – spytał Jason.

Ferrin pokiwał głową.

– Potężna budowla. Teoretycznie Maldor okupuje tę część Lyrianu, dawne królestwa Durny i Hintopu, ale te ziemie są słabo zaludnione, a ponieważ cesarz nie zdecydował się zaatakować żadnego z osiedli w południowej dżungli, nie zwraca się szczególnej uwagi na ten południowowschodni zakątek kontynentu.

– Jak głęboko w dżungli znajduje się Świątynia Mianamon?

– Dostatecznie głęboko, żeby na razie cesarz trzymał się od niej z dala – odpowiedział Ferrin. – Nigdy nie wszedłem do dżungli. Nie sądzę, żeby na Lyrianie istniały bardziej niebezpieczne ziemie. Zapomnij o jadowitych węzach, trujących roślinach, zabójczych owadach i nieprzeniknionym listowiu. Czarnoksiężnik Certius zostawił po sobie śmiertelnie niebezpieczne rasy, których Maldor woli nie prowokować.

– Certius brał udział w wielkiej wojnie z Zokarem i Eldrinem. – Jason przypomniał sobie lekcje historii w Skarbnicy Wiedzy.

– Masz dobrą pamięć – przytaknął Ferrin. – Zokar najpierw zaatakował Certiusa, odniósł wielkie straty, ale ostatecznie zwyciężył. Certius zginął, jego rasy się rozproszyły, ale siły Zokara nigdy nie otrząsnęły się na tyle, żeby stawić czoło Eldrinowi. Nikt tak naprawdę nie wie, na ile rasy Certiusa odzyskały siły. Certius i jego dzieła nigdy nie okazały pragnienia opuszczenia dżungli. Historycy uważają,

że Zokar przegrał wojnę, ponieważ za wcześnie zaatakował Certiusa. Gdyby zamiast tego najpierw pokonał Eldrina, zdaniem strategów mógłby spokojnie odbudować siły przed atakiem na Certiusa. Maldor brał udział w tym konflikcie i pilnie przestudiował historię.

– Myślisz więc, że Maldor zostawi południową dżunglę w spokoju? – spytał Jason.

– Na podstawie tego, czego zdołałem się dowiedzieć, uważam, że południowa dżungla to ostatnia rzecz, jaka zaprzęta Maldora. Nawet Siedem Dolin plasuje się wyżej na liście priorytetów.

I dlatego nigdy tam nie byłem. Jest to mało istotny teren, a przy tym niewątpliwie niebezpieczny.

– Jednak niektórzy odwiedzają Świątynię Mianamon – zauważył Jason. – Galloran tam był.

Ferrin pokiwał głową.

– Niegdyś wielu pielgrzymów odwiedzało Mianamon, oczekując rady od wyroczni. Szeroka kamienna droga przecinała dżunglę, a mieszkańcy Mianamon z radością witali przybyszy. W tamtych czasach „Ostatni Zajazd” tętnił życiem.

Po wojnie z Zokarem przez lata nikt nie odwiedzał Mianamon. Wieść niesła, że liczba wyroczni zmalała i że zmniejszyły się ich moce. Dżungla pochłonięła drogę. Tylko nieliczni nieustraszeni badacze, tacy jak Galloran, dotarli tu od tamtych czasów. Z wrót do tajemniczej społeczności Ostatni Zajazd zamienił się w ciekawostkę odwiedzaną głównie przez miejscowych.

– Cóż, wreszcie będziesz miał okazję zobaczyć dżunglę – podsumował Jason.

Ferrin przewrócił oczami.

– Jeśli będę trzymał się ciebie, nie będzie śmiertelnie niebezpiecznego miejsca na Lyrianie, na którym nie zostawiłbym odcisku stopy.

Przed wschodem słońca Corinne była już w stanie iść samodzielnie. Raz zmuszał ich do utrzymania szybkiego tempa. Dla własnej rozrywki Jason wymyślił grę pod tytułem „Czy Nia to zje?”. Odpowiedź na to pytanie brzmiała zwykle „tak”. Ogólnie rzecz biorąc, Nia mówiła „nie” jedynie kamieniom i metalowi. Błoto, robaki, szmaty, liście, lina, garbowana skóra, martwe myszy, szyszki, włosy i cierniste łodygi okazywały się jadalne.

„Ostatni Zajazd” ukazał się ich oczom tuż po zachodzie słońca. Znajdował się na rozstaju dróg poza palisadą wokół skromnej wioski. Część rozległej budowli sięgała pięciu kondygnacji. Zbudowany z drewna i kamienia zajazd składał się z niezliczonych ścian szczytowych i wieżyczek połączonych gwałtownie opadającymi połaciami dachu, które stykały się pod niezwykle kątami. Zatrząsienie balkonów i zadaszonych tarasów dokładało kolejne warstwy do pełnego zakamarków zajazdu, a różnorodne nasady kominowe, kopuły i wiatrowskazy dodawały mu charakteru. Ogromne stajnie przylegały do jednego boku budynku, tuż obok czynnej kuźni.

– Wygląda na to, że więcej ludzi pomieściłoby się w zajęździe niż w wiosce – zdumiała się Corinne.

– Kiedyś z pewnością tak było – powiedziała Farfalee. – Teraz oberża stale świeci pustkami. „Ostatni Zajazd” od wielu pokoleń należał do tej samej rodziny. W okresie prosperity wiele zainwestowano w rozbudowę.

Weszli do ogólnej sali przez wielkie podwójne drzwi. Ogromna sala była wysoka na trzy kondygnacje, miała wielgachne krokwie, a na ścianach wisiały wspaniałe trofea – zwierzęce głowy. Ogień płonął na licznych paleniskach. Dziesiątki klientów siedziały przy długich stołach, jedząc najróżniejsze wonne potrawy, a mimo to, sala była zapełniona raptem w jednej czwartej. Długi marmurowy bar ustawiony pod jedną ścianą blokował dojście do dwóch ogromnych lusterek – Jason nigdy w życiu nie widział większych – oprawionych w wymyślne ramy. Chudy mężczyzna w kącie brzdąkał na skrzypcach ku uciechu siedzących w pobliżu klientów.

Jason się uśmiechnął. Mimo ogromnych rozmiarów sala sprawiała wrażenie przytulnej i gwarnej, a wizja ciepłego jedzenia poprawiła mu humor. Kilka zaciekawionych głów obróciło się, kiedy weszła delegacja, a tęga kobieta w białym czepku z falbanami pośpiesznie podeszła do przybyłych, wycierając ręce fartuchem.

– Witajcie, podróżni! – wykrzyknęła. – Jestem Angela, mówcie mi Angie. Zdaje mi się, że niewiele z tych twarzy widziałam tu wcześniej! Witajcie, zostawcie zmartwienia za progiem i wchodźcie zjeść i się napić! Macie konie?

– Żadnych koni – odpowiedział Nedwin. – Powiedziano nam, żebyśmy zapytali o Claytona.

Angie zrzędała miną.

– Clayton, właściciel, rzecz jasna. Przykro mi, że się z nim rozminęliście. Rzadko udaje się w podróż, ale wyjechał na kilka dni. Ogromnie mi przykro, jeśli jesteście jego przyjaciółmi.

– Ma pani pokoje? – spytała Farfalee.

– Pokoje? Mamy tyle pokoi, że nie wiemy, co z nimi robić!

– Chcielibyśmy zatrzymać się razem – powiedział Nedwin.

– To żaden kłopot – odparła wesoło Angie.

– Czy ktoś pytał o grupę z północy? – zapytała Farfalee. – Może niewidomy podróżny?

Angie skrzywiła się i oparła ręce na biodrach.

– Podróżni nadal się u nas zjawiają, ale żaden ostatnio nie był niewidomy. Z północy, powiadacie? Będę miała baczenie.

Jason przestał słuchać rozmowy, kiedy Farfalee i Nedwin zaczęli omawiać szczegóły zakwaterowania. Przywieźli mnóstwo pieniędzy z Siedmiu Dolin, więc koszty nie będą stanowiły przeszkody. Zaplanowali, że w razie potrzeby właśnie tu wyposażą się od podstaw przed wyprawą do dżungli.

– Spory ten zajazd – odezwała się Rachel, stając obok Jasona.

– Gratuluję – odparł – właśnie zdobyłaś pierwsze miejsce w konkursie na niedopowiedzenie.

– Pomyśl, jak wygląda od zewnątrz – powiedziała Rachel. – Zajmuje więcej miejsca niż kwartał miejskiej zabudowy.

Jason przysunął się do niej.

– Mam nadzieję, że wrzucają sporo chloru do basenu. Rozejrzałaś się? Niektórzy z klientów nie

wyglądają zbyt higienicznie.

Klepnęła go w plecy grzbietem ręki.

– Miło jest zobaczyć ludzi. Zwykłych ludzi, którzy dobrze się bawią.

– Wolisz to od umarłych, którzy próbują nas pożreć?

– Wyjątkowo tak.

Delegacja usiadła razem na dwóch ławkach naprzeciwko siebie przy długim stole. Ciepłe, zdrowe jedzenie całkiem ich pochłoneło. Żadna potrawa nie była szczególnie wyrafinowana, ale wszystko dobrze smakowało. Tark zasalutował Jasonowi pajdą ciemnego chleba grubo posmarowanego rozpuszczającym się masłem. Nawet Corinne zdołała zabrać się do jedzenia z entuzjazmem.

Ciężar posiłku spotęgował zmęczenie Jasona. Ledwie zdołał powlec się schodami razem z pozostałymi, kiedy nadszedł czas. Wylądował w jednym pokoju z Nedwinem i Ferri-nem. Pośpiesznie zajął jedno z trzech łóżek, padając na nie bezceremonialnie.

W pokoju panowała ciasnota, ale pomieszczenie było czyste i solidnie zbudowane, z jednym oknem wychodzącym na pochyłą połąć dachu. Proste łóżko było jak raj po wielu dniach spania na ziemi albo zwijania się w kłębek na skrzypiących deskach łodzi. Z pełnym żołądkiem i zmęczonymi mięśniami Jason z zadowoleniem zapadł w sen. Po raz pierwszy od tygodni czuł się naprawdę szczęśliwy i wreszcie było mu naprawdę wygodnie.

Patrząc na to z perspektywy czasu, powinien był się domyślić, że to pułapka.

Żołnierze wpadli do jego pokoju o świcie. Jason ledwie miał czas, żeby się obudzić, gdy rzucono go na podłogę obok Ferrina. Czuł się oszukany, bo nie miał nawet szansy zareagować, kiedy podeszwa żołnierskiego buta docisnęła mu głowę do desek podłogi, a ciężkie kolano oparło się o jego plecy. Po kilku chwilach wznające się sznury skrępowwały mu nadgarstki. Kiedy Jason chwiejnie wstał z pomocą werbownika, zauważył, że Nedwin zniknął. Na łóżku obok okna nie było pościeli. Z rozmysłem starał się nie gapić na zagadkowo puste łóżko. Kiedy żołnierze nadal wiązali Ferrina, werbownik szorstko wyprowadził Jasona na korytarz, gdzie czekali inni żołnierze.

Dwoje drzwi dalej Raz wypadł z pokoju ze szpikulcem kończącym jego rękę zagłębionym w żołnierzu. Pozostali żołnierze obstąpili pokrytego szramami wojownika. Szybkimi, śmiertcionośnymi ruchami Raz rozpruł brzuch drugiego żołnierza a potem trzeciego, zanim w końcu pokonały go rozliczne klute rany. Żołnierze z całą brutalnością upewnili się, że Raz już nigdy więcej się nie podniesie.

– Ruchy! – warknął do Jasona werbownik, ciągnąc go w stronę schodów.

Kerick leżał na boku w korytarzu; jego ciało naszpikowane strzałami, kieszonka u podstawy czaszki zionęła pustką. Jason potykał się na odrętwiałych nogach, zaszokowany widokiem pozostałych członków delegacji wyprowadzanych z pokoi z rękami związanymi na plecach. Nollin. Tark. Drobnutki Aram. Gdyby żołnierze wkroczyli przed świtem, mieliby do czynienia z zupełnie innym Aramem. Może dobrze o tym wiedzieli.

Werbownik brutalnie sprowadził Jasona po schodach do wielkiej ogólnej sali, która teraz była całkiem pusta, jeśli nie liczyć umundurowanych żołnierzy. Dziesiątków żołnierzy. Zbyt wielu żołnierzy.

Jason uklęknął między Nollinem i Drakiem. Patrzył, jak żołnierze sprowadzają na dół Corinne, potem Io i wreszcie Farfalee. Rachel weszła do sali zakneblowana. Ferrina musiano znieść, ponieważ związane go w worku, który zakrywał całe jego ciało z wyjątkiem głowy.

Jason próbował zrozumieć nieobecność Nedwina. Dlaczego zniknęła jego pościel? Czyżby wymknął się dużo wcześniej? Uciekł czy okazał się zdrajcą?

Kiedy całą delegację – bez Kericka, Nedwina i Raza – zebrano na klęczkach w dwóch rzędach w ogólnej sali, wszedł diuk Conrad. Jason przeżył szok na widok znajomej twarzy. Diuk wyglądał prawie tak samo, jak Jason zapamiętał go z Harthenham, tyle że wydatny nos źle złożono po tym, jak Jason go złamał, i możliwe, że diuk odrobinę schudł. Poza tym był mocno opalony, chodził wyprostowany, włosy nosił zaczesane do tyłu, jego książęcy mundur wyglądał nieskazitelnie, buty błyszcząły wypolerowane, medale lśniły. Na jego twarzy malowały się wystudiowane rozbawienie i pogarda – jakby ta chwila była nieunikniona i diuk cieszył się, że jego wrogowie właśnie zdali sobie z tego sprawę.

– Nie okazało się to nawet w połowie tak trudnym zadaniem, jak dano mi do zrozumienia – oznajmił w końcu, przechadzając się przed więźniami. – Zmusiliście innych do pościgu przez cały kontynent. Podczas gdy jedni zastanawiali się, gdzie jesteście, a drudzy myśleli, dokąd udacie się później, ja zatrzymałem się i zadałem sobie pytanie, dokąd ostatecznie się udacie. I przybyłem tutaj. I poczekałem. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – I proszę, jesteśmy w komplecie.

– I możesz od razu mnie uwolnić – powiedział Ferrin.

– Doprawdy? – zapytał uprzejmie Conrad. – Z tego, co mi wiadomo, jesteś poszukiwany tak samo jak pozostali.

– Tym się właśnie zajmuję – odpowiedział zmęczonym tonem Ferrin. – Przenikam szeregi wroga. Sam to wiesz. Dla mnie to koniec mojej operacji. Najlepiej byłoby, gdybym przedłużył moją pracę do chwili, kiedy wrócimy z Mianamon, ale może tak będzie lepiej. Już narobili niezłego zamieszania.

– Zatem cały czas ich szpiegowałeś – powiedział bez przekonania Conrad. – Obława na ciebie była podstępem.

– Zapytaj cesarza.

Po raz pierwszy Jason zwątpił w Ferrina. Nagle spojrzał na rozsadnika nowymi oczami. Czy Ferrin próbował oszukać Conrada? Czy też od samego początku to ich umiejętnie oszukiwał? Uwierzyć w kłamstwo po raz drugi... tylko dureń popełnia dwa razy ten sam błąd. Ta myśl rozpałała głęboko w nim gniew.

– Nie trzeba będzie długo z tym czekać – odezwał się siedzący w kącie mężczyzna, który z udawaną obojętnością dłubał pod paznokciem nożykiem.

Nosił długi płaszcz z brązowej skóry.

– Torvic! – wykrzyknął z fałszywą wylewnością Ferrin. – Nit zauważyłem cię tam. Nadal masz

bezpośredni kontakt z Felrook? Wiesz, jeśli mam być szczery, nie podzieliłem się jeszcze moim planem z Maldorem, więc może nie mieć większego sensu kłopotanie go w tej chwili.

– Już wkrótce skontaktujemy się z cesarzem – zapewnił go Conrad. – Mów dalej, zdrajco, a każde słowo będzie cię słono kosztowało.

Conrad obrzucił spojrzeniem grupę, a potem zatrzymał wzrok na Jasonie.

– Porzucamy trochę? Do dwóch wygranych? – zapytał Jason, nie mogąc oprzeć się pokusie.

W odpowiedzi na tę bezczelność Conrad zacisnął zęby i pociemniały mu oczy. Jego postawa sugerowała, że niewiele brakuje, by wybuchnął. To było zabawne zobaczyć, jak słowa wywołują reakcję.

– W tak ogromnym zajeździe musi się gdzieś znaleźć stół bilardowy – dodał.

– Nie jestem już dżentelmenem mającym tytuł i stopień – mruknął Conrad, a jego ciche słowa były przesiąknięte nienawiścią. – My, prości żołnierze, mamy inne sposoby wyrównywania rachunków.

– Pozbawiono cię stanowiska? – spytał Drake. – Chyba rzeczywiście dałeś plamę, wykonując najłatwiejsze zadanie w cesarstwie. Widzę, że cesarz pozwolił ci zachować medale.

Conrad odwrócił się powoli do Drake’a.

– Widzę nasiennika bez nasiona. Żałosne pośmiewisko, które wycierpi się dość za wszystkie poprzednie żywoty razem wzięte, zanim jego gasnąca isierka w końcu się dopali. Jestem wniebowzięty, widząc, że nasze drogi ponownie się skrzyżowały.

– Ale z pewnością nawet w połowie nie tak bardzo jak widząc lorda Jasona – upierał się przymilnie Drake. – Nie miałeś okazji podziękować mu za darowanie ci życia po tym, jak cię pokonał.

Conrad skłonił się sztywno. Żyłka pulsowała mu na czole. – Potem odwrócił się do Jasona.

– Podstępem skłoniłeś mnie do absurdałnego pojedynku, pokonałeś i oszczędziłeś mi życie. To nie była dobroć. Wszystko straciłem. Dzięki dzisiejszemu triumfowi odzyskam to, co straciłem, i zyskam jeszcze więcej. Nie spodziewałem się po tobie łaski, więc i ty nie spodziewaj się jej po mnie. Ty i twoi towarzysze zostaniecie natychmiast odesłani do Felrook.

– Darowałeś mu życie? – zapytał z niedowierzaniem Io, patrząc na Jasona.

Conrad przyjrzał się Io i Nii z szyderczym uśmieszkiem.

– Drinlingowie nie powinni ściągać na siebie uwagi. Takie robactwo należałoby natychmiast stracić. To jedyny sposób postępowania z niepodobną do ludzi hałastrą. Jednak cesarz rozkazał, żeby wziąć żywcem tyle członków delegacji, ile się da, a ja nie zamierzam umniejszać glorii mojego zwycięstwa.

– Lud Amar Kabał nie będzie tego tolerował – ostrzegł go Nollin, ale w jego słowach zabrakło przekonania.

Conrad skupił się teraz na Farfalee i Nollinie.

– To cesarz nie będzie tolerował otwartego udziału w poczynaniach skierowanych przeciwko niemu, w bezpośrednim pogwałceniu traktatu, jaki zawarł z waszym ludem. Czy wy dwoje wzięliście pod uwagę, że możecie zostać więźniami Felrook na zawsze, żywot po żywocie, budzić się po każdej śmierci ze świeżym ciałem gotowym na nowe tortury? Bo ja owszem – szydził, obrzucając ich spojrzeniem. – Czy

ktoś jeszcze chce się odezwać? Może księżniczka na wygnaniu? Malutki olbrzym? Żałosny grajek?

Rachel próbowała coś wymamrotać przez knebel.

Conrad uśmiechnął się szeroko.

– Ach tak, wiedźma ze świata Poza. Nie obawiaj się, bardzo zaintrygowałaś cesarza. Ma do ciebie wiele pytań. – Pstryknął palcami. – Jednak Pozaświatowiec Jason jako pierwszy będzie miał zaszczyt odbyć rozmowę na osobności z cesarzem. Torvic?

Siwy rozsadnik podszedł, wspierając się na lasce. Dwóch żołnierzy pociągnęło Jasona z kłeczek i wyprowadziło go z ogólnej sali przez cichą kuchnię do małego magazynu, gdzie czekały trzy drewniane krzesła. Żołnierze wyszli, zostawiając Jasona samego i Conradem i Tomkiem.

– Kontaktujesz się z nim? – spytał Conrad.

– To może chwilę potrwać – odpowiedział Torvic, zamykając oczy.

Jason spojrzał na Conrada.

– Skąd wiedziałeś, że się tu zjawimy?

– Najlepiej będzie dla ciebie, jeśli zachowasz milczenie, dopóki ktoś się do ciebie nie zwróci – mruknął Conrad.

– Daj spokój, złapałeś nas, to koniec. Skąd wiedziałeś?

Conrad zmrużył oczy.

– Nie wiedziałem. Nie miałem pewności. Prawdę mówiąc, zacząłem powątpiewać w swój instynkt, tak długo na was czekałem. Musiałem błagać, żeby pozwolono mi wziąć udział w pościgu, bym mógł odpokutować błędy. Kusilo mnie, żeby ścigać was tak jak pozostali. Ostatecznie po prostu postawiłem się na waszym miejscu. Żeby naprawdę wzniecić powstanie teraz, kiedy wojna trwa od tak dawna, potrzebowaliście nadziei, autorytetu, wskazówki, więc prędzej czy później odwiedzilibyście wyrocznie.

– Po prostu zjawiłeś się tutaj i czekałeś – powiedział Jason.

– Zajazd chełpi się tym, że ma mnóstwo miejsca – powiedział Conrad. – Zajęliśmy tylne skrzydło. Wziąłem właściciela jako zakładnika i od tej chwili rodzina Claytona zaczęła naprawdę z nami współpracować. Sprowadziłem pięćdziesięciu ludzi. Straciłem trzech. Wielu innych dysponujących znacznie większymi zasobami nie dorównało moim dokonaniom. Jednak ja jestem żołnierzem i myśliwym. Zdobyłem moją poprzednią pozycję dzięki zasługom. Odzyskam ją i awansuję jeszcze wyżej.

– Co zajmuje tyle czasu Torvicowi? – spytał Jason.

– Cesarz jest zajęty człowiekiem – odpowiedział oschle Conrad. – Torvic zapewniał mi stały kontakt z Felrook. Wiele się dowiedzieliśmy, zanim Nedwin odkrył ucho. Dzięki temu wiedziałem, żeby zaatakować o świcie i uniknąć półolbrzyma. Czekaliśmy przed waszym korytarzem całą noc, gotowi do ataku. Byliście zmęczeni. Przespaliście świt. Jeden nasiennik stał na straży w korytarzu. Nie bardzo wiem, jak wymknął nam się Nedwin. Szukamy go. I na pewno znajdziemy. On jednak stanowi mały problem w porównaniu z grubą zwierzyną, którą schwytaliśmy.

– Mam Maldora – odezwał się nagle Torvic. – Jestem jego oczami, uszami i ustami. Wypowiadam

jego słowa. Gratuluję, Conradzie.

– Dziękuję, Najjaśniejszy Panie – powiedział diuk, skłaniając głowę.

– Torvic poinformował mnie, kogo schwytaleś. Sprowadź ich do Felrook, a nie tylko odzyskasz majątek i tytuły, ale także sam wybierzesz sobie nowe zadanie.

– Jesteś zbyt hojny, Najjaśniejszy Panie – odpowiedział Conrad. – Weźmiemy dodatkowych żołnierzy z najbliższego garnizonu. Więźniowie udadzą się do Felrook pod wojskową eskortą.

– Ciesz się mnie to. – Torvic odwrócił się, żeby spojrzeć na Jasona. – Lordzie Jasonie.

– Widzisz mnie? – spytał Jason.

– Owszem.

– Jak? Nie jesteś rozsadnikiem.

– Nie jestem.

– Ale Torvic dzieli się częściami ciała z rozsadnikiem.

– Torvic wymienił się okiem i uchem z rozsadnikiem imieniem Gobrick. A ja mogę czytać w umyśle Gobricka, pożyczając sobie jego wzrok i słuch. – Torvic zwrócił się do Conrada. – Zostaw nas samych.

Diuk wyszedł z pomieszczenia.

– Okazałeś się głupcem, wracając. – powiedział ustami Torvica Maldor.

– Wracając? – zapytał Jason, jakby nie rozumiał.

– Wiem, że udało ci się wrócić do Poza – powiedział Maldor. – Wiem, że Ferrin ci pomógł. Tutaj nie ma niczego dla ciebie. Byłeś wolny.

– Zostawiłem tu kogoś.

– Rachel. Masz charakter, Jasonie. Opowiedz mi o jej zdolnościach.

Jason zmarszczył brwi.

– Niech pomyślę, potrafi palić spojrzeniem, jest nadnaturalnie szybka, ma skórę odporną na kule, opanowała postrzeganie pozazmysłowe, potrafi takim specjalnym lassem wydusić z człowieka prawdę i...

– Naprawdę uważasz, że to właściwy czas na nonszalancję? Jeśli nie dbasz o własne dobro, pomyśl o swoich towarzyszach. Wielu z nich nieszczególnie mnie interesuje.

– Przepraszam – powiedział Jason, a strach o przyjaciół sprawił, że zacisnął mu się żołądek.

– Nie zamierzam ponownie proponować ci, byś do mnie dołączył.

– Dlaczego więc rozmawiamy?

– Przede wszystkim chciałem zobaczyć twoją twarz. Byłeś nieuchwytny, chciałem się upewnić. Poza tym pomyślałem, że zaciekawilby cię fakt, że Galloran w końcu ugiął się przede mną. Teraz jest moim człowiekiem. Wraz z twoim aresztowaniem rebelia oficjalnie się skończyła.

Jason się skrzywił. Galloran ugiął się przed Maldorem? Co to właściwie miało znaczyć?

– Niestety, więcej już nie będziemy rozmawiać – ciągnął Maldor. – O wiele bardziej interesuje mnie Rachel. Gratuluję, zdołałeś przysporzyć mi więcej kłopotów, niż się spodziewałem. Niestety, twój

powrót do Lyrianu oznacza nieunikniony powrót do moich lochów. Tyle, jeśli idzie o szczytne idee. Tyle, jeśli idzie o charakter. Możesz odejść. Powiedz Conradowi, żeby przyprowadził dziewczynę.

Rozdział 26

Obce oczy

Conrad posadził Rachel naprzeciwko Torvica, a sam stanął obok niej. Rachel nie podobała się ciasnota zagraconego składziku.

– Rachel – powiedział z ojcowskim uśmiechem Maldor za pośrednictwem Torvica. – Nie mogłem się doczekać naszego spotkania. Żałuję, że nie możemy porozmawiać osobiście, ale wszystko w swoim czasie. Zaufaj mi, proszę, że widzę cię doskonale i słyszę każde słowo. Z tego co wiem od agentów, wynika, że posiadasz pewien talent w dziedzinie języka edomickiego. Wierzymy, że po usunięciu knebla zdołasz rozmawiać z nami jak cywilizowana osoba. Jeśli nadużyjesz naszego zaufania, trójka twoich towarzyszy natychmiast zginie. Rozumiesz?

Pokiwała głową. Torvic zerknął na Conrada, który wyjął knebel, a potem wymknął się ze składziku.

– Lepiej? – spytał Maldor.

– Chyba tak.

Starła się uspokoić i pomyśleć.

Kiedy Conrad wrócił z Jasonem do ogólnej sali i zabrał ją od pozostałych, Rachel zażądała od siebie odwagi. Teraz jednak, kiedy siedziała naprzeciwko rozsadnika, który wypowiadał słowa znajdującego się w oddali cesarza, nie była pewna, czego wymagała odwaga. Czy odwaga wymagała, żeby go ignorowała? Czy najodważniejszy plan oznaczał, że ma odmówić mu wszystkiego, czego od niej zażąda? Czy też odwagą było zrobienie wszystkiego, co czuła, że najlepiej uchroni jej przyjaciół? Czy odwaga mogła oznaczać udawanie, że będzie współpracować z Maldorem?

– Co teraz?

– Powiedz mi, jak trafiłaś do Lyrianu – podsunął Maldor przez swoją marionetkę.

Rachel spiorunowała go wzrokiem. Chociaż to nie był tak naprawdę Maldor, kusiło ją, by rozkazem cisnąć w jego głowę przedmiotami znajdującymi się w pomieszczeniu. Nie chciała mu niczego zdradzać. Nie zasługiwał na to, żeby poznać jej historię.

– Daj spokój – powiedział. – Rozumiem, że masz mi parę rzeczy za złe. Nie mam o to pretensji. Jednak moja serdeczność ma swoje granice. Na razie nie zrobię ci krzywdy. Pomyśl o przyjaciółach. Opowiadaj.

Chociaż wszystko się w niej gotowało, opowiedziała mu o motylu i kamiennym łuku. Wyjaśniła, jak poznała Ślepego Króla i Jasona. Wspomniała o kilku swoich przygodach.

Przez cały czas pilnowała się, żeby nie obciążyć nikogo z przyjaciół.

– Nie zjawiałaś się tutaj z własnego wyboru – podsumował w końcu Maldor. – Nigdy tak naprawdę

nie miałaś wyboru, czy chcesz stawiać mi opór, czy nie. A jednak siedzimy tu, z racji okoliczności będąc wrogami. Wyobrażam sobie, że chciałabyś znowu zobaczyć rodziców.

– Niczego bardziej nie pragnę – przyznała Rachel.

Czy źle zrobiła, zdradzając swoje uczucia? To mogło sprawić, że Maldor zacznie jej współczuć. Czy był zdolny do współczucia?

– Powiedz mi, jak odkryłaś swoje uzdolnienia w dziedzinie edomickiego – zachęcił ją Maldor.

Zawahała się. To był niebezpieczny temat. Cesarz nie chciał, żeby ktokolwiek posługiwał się edomickim. Mogła ściągnąć na innych kłopoty. Co chciał usłyszeć?

– Wiem, że masz takie uzdolnienia – powiedział Maldor. – Mów wprost. Jeśli zdołamy dojść do porozumienia, możesz oszczędzić przyjaciołom wiele cierpienia.

Rachel opowiedziała, jak po raz pierwszy nauczyła się rozpalać ogień. Zamiast wymienić Drake’a, skłamała, że nauczyła się tego od nieznajomego w lesie. Mogła powiedzieć, jak Chandra nauczyła ją przesuwac przedmioty, ponieważ Chandra nie żyła i Maldor nie mógł jej skrzywdzić. Rachel przyznała, że im więcej ćwicz, tym więcej woli może włożyć do swoich rozkazów.

– Jak się czujesz, kiedy wypełnia się twój edomicki rozkaz? – zapytał Maldor, a oczy jego marionetki przyglądały się jej bacznie.

– Dobrze – odpowiedziała. Obserwował ją w milczeniu. – Naprawdę dobrze. Czuję się bardziej żywa. Trudno to opisać.

– Nie musisz opisywać – odparł Maldor. – Doskonale wiem, co masz na myśli. – Przyjrzał się jej w milczeniu. – Wahałem się ostatnio nad swoją decyzją w związku z adeptami edomickiego. Pewnego dnia, być może w odległej przyszłości, mogę pożałować, że nie mam spadkobiercy. Czy naprawdę pragnę zobaczyć, jak cała moja wiedza ginie razem ze mną? Pokaż mi, co potrafisz. Przesuń coś w pokoju.

Rachel się zawahała, próbując obmyślić strategię działania. Czy powinna umniejszyć swoje zdolności? Mogła spróbować pokazać, że skromniutki edomicki rozkaz stanowi dla niej wyzwanie. A może korzystniej byłoby, gdyby Maldor pomyślał, że ona rzeczywiście ma potencjał? Jeśli szukał ewentualnego spadkobiercy, to właśnie ta druga możliwość mogła wchodzić w grę. Jednakże niewykluczone, że wspomniał o spadkobiercy, by wyprowadzić ją w pole.

– Posłuż się swoim talentem – zachęcił ją Maldor. – Pokaż mi. Zostałaś schwytana. Twoi przyjaciele zostali pojmani. Twoim jedynym atutem jest moje zainteresowanie twoją osobą. Jeśli masz dar mówienia po edomicku, zapewniam, że moje zainteresowanie wzrośnie.

Rozejrzała się po składziku. Drewniana baryłka z grubsza rozmiarów arbuza przyciągnęła jej wzrok. Rachel wypowiedziała zwięzły rozkaz, który sprawił, że beczułka uderzyła w sufit i zaraz spadła ciężko na podłogę, pękając, ale nie do końca.

Do pomieszczenia wpadł Conrad z mieczem w ręce. Torvic uniósł dłoń, żeby go powstrzymać.

– Poprosiłem ją o demonstrację edomickich umiejętności – wyjaśnił Maldor.

Conrad skinął głową i się wycofał.

Rozsadnik marionetka ponownie skupił się na Rachel.

– Imponujące. Beczułka nie robiła wrażenia lekkiej, a ty bez trudu sobie z nią poradziłaś. Przebyłaś długą drogę w krótkim czasie. Powiedz mi, jak duży ogień potrafisz rozpaścić?

– Co najmniej rozmiarów człowieka.

– Ciekawe. Co jeszcze potrafisz? Wiem, że spędziłaś trochę czasu z zaklinaczką.

– Mogę wpływać na zwierzęta.

– Wielu znakomitych czarnoksiężników nigdy nie opanowało tej umiejętności. Chciałbym, żebyś wykonała pewne ćwiczenie. – Podzielił się edomickim rozkazem, pozwalającym zebrać wodę z powietrza, i rozkazem, który zebrałby ją w kulę. – Potem możesz wezwać żar i zagotować wodę. Spróbuj, proszę.

Rachel poprosiła, żeby powtórzył komendy, co Maldor zrobił. Zebrawszy siłę woli, wypowiedziała pierwszy rozkaz, starając się wyobrazić sobie cząsteczki wody wokół siebie jako niewidzialną mgłę. Kiedy poczuła, że woda reaguje, wypowiedziała drugi rozkaz, wyobrażając sobie miejsce, w którym chciała, by woda się zebrała. Wkrótce kula wody mniejsza niż piłka do squasha zawisła między nią a Tomkiem. Siłą woli utrzymując kulę w miejscu, zaczęła przyzywać żar, aż woda zaczęła parować i wrzeć. Kiedy zaczęła się gotować, kula wody stała się dziwnie śliska, upadła i rozbryzgnęła się na podłodze.

Gdy woda uderzyła o podłogę, wyczerpana Rachel wypuściła powietrze z płuc. Potrzebowała całej uwagi, żeby utrzymać cząsteczki wody razem. Miała wrażenie, że odłożyła ogromny ciężar.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział Maldor. – Nigdy dotąd nie zbierałaś wody z powietrza?

Rachel pokręciła głową.

– Nigdy.

– Naprawdę dobrze się zapowiadasz. Kuszący potencjał. Oczywiście, wydobywanie tego potencjału wymagałoby stuleci wielostronnego nauczania i ciężkiej pracy, ale z czasem mogłabyś się stać czarodziejką o znaczących umiejętnościach. Chciałabyś żyć tysiąc lat i odkryć sekrety, o których śmiertelny człowiek nigdy nawet nie wiedział, nie mówiąc o zastanawianiu się nad nimi?

– To brzmi ciekawie – powiedziała po części zaintrygowana, a przede wszystkim, żeby nie urazić cesarza.

– Sekrety edomickiego przepadły dla Lyrianu – powiedział Maldor. – Jestem ostatnim strażnikiem tej wiedzy. Jedyną osobą, która się ostała i która mogłaby cię uczyć. Możliwe, że jesteś najbardziej wartościowym uczniem, na jakiego natrafię w swoim życiu. Możesz stanowić dla mnie straszliwe zagrożenie. Instynkt samozachowawczy podpowiada mi, żeby cię zmiażdżyć, póki raczkujesz. Pomagając ci się rozwinąć, mogę powtórzyć straszliwą głupotę czarnoksiężników z przeszłości. Jednakże, jakie to straszne zaprzepaścić tak dobrze zapowiadający się potencjał! Adeptci stali się taką rzadkością. Jesteś młoda i niewinna. Jeśli udałoby się nam dojść do stosownego porozumienia i zastosowalibyśmy pewne zabezpieczenia, mogłaby się z tego rozwinąć obustronnie korzystna relacja. Jak bardzo pragniesz wrócić

do domu?

– Naprawdę bardzo – szczerze odpowiedziała Rachel. – Martwię się o rodziców. Pewnie myślą, że nie żyję.

– Porzuciłabyś szansę zostania znanym w całym świecie czarnoksiężnikiem o gruntownej wiedzy i niezmiernych mocach tylko po to, żeby zobaczyć rodziców? Porzuciłabyś stulecia wypełnionego głębokim sensem życia na rzecz kilku dekad miernoty? Z własnego doświadczenia wiem, że edomicki nie działa w świecie Poza. Tu możesz być kimś nadzwyczajnym. Tam nie będziesz nawet w przybliżeniu tak wyjątkowa.

Rachel zastanawiała się nad tym pytaniem. Maldor był zły, więc uczenie się od niego mogłoby oznaczać porzucenie wszystkiego, czym była. A jeśli alternatywą była śmierć? A jeżeli mogła zawrzeć umowę i dzięki temu ocalić przyjaciół? Czy jakaś jej część chciała pod pretekstem ratowania przyjaciół zdobyć wiedzę i moc?

– Byłeś w świecie Poza? – zapytała Rachel, mając nadzieję, że zyska na czasie.

– Owszem. Między innymi tam się ukrywałem po upadku Zokara.

– Naprawdę? Jak długo tam przebywałeś?

– Lyrian i świat Poza coraz bardziej się oddalają – odpowiedział Maldor. – Tak się działo od tysiącleci. W końcu nie będzie możliwości, żeby przejść z jednego świata do drugiego. Nie sposób określić, kiedy ten dzień nadejdzie. Upływ czasu między naszymi rzeczywistościami nie zawsze jest taki sam. Rok tutaj może odpowiadać dziesięciu latom tam. Rok tam może oznaczać to tutaj. Ten stosunek nie jest stały. Możesz wrócić do domu odkryć, że wędrujesz po świecie dziesięciolecia przed swoim narodzeniem albo tysiąc lat w przyszłości. Spędziłem raz kilka dni w świecie Poza, a w tym czasie tutaj upłynęły setki lat.

– Ale Jason wrócił do domu i przybył tu z powrotem w dość podobnym czasie – zauważyła Rachel.

– Jak wspominałem, różnica w upływie czasu między naszymi rzeczywistościami nie jest stała. Podczas mojej pierwszej wycieczki do Poza upływ czasu w obu światach był identyczny.

– Mogę już nigdy więcej nie zobaczyć rodziców – zdała sobie sprawę Rachel i rozpacz przeniknęła ją aż do kości. – Nawet jeśli wrócę do domu, to już może nie być mój dom.

– Podczas gdy tu możesz stać się wiecznie młodą czarodziejką o niezmiernym mocy. Możesz zamienić Lyrian w swój prywatny raj. Możesz uczynić go rajem dla wszystkich, którzy tu żyją. Jednak, żeby tego dokonać musiałabyś zostać. Musiałabyś się uczyć.

Rachel odwróciła wzrok od siwowłosej marionetki mówiącej w imieniu Maldora. Ta nowa informacja wszystko zmieniała. Mógł kłamać? A jeśli mówił prawdę? Co, jeżeli ona wróci do domu i wyląduje w przyszłości, gdzie zanieczyszczenia zniszczyły całe życie na Ziemi? Albo w przeszłości, gdzie zostanie źle potraktowana? Co, jeśli rodzinny świat okaże się bardziej obcy od Lyrianu? Jakże to będzie uczucie wydać prosty edomicki rozkaz i nie otrzymać odpowiedzi? Tutaj zdobyła przyjaciół. Tutaj odkrywała swoje moce.

Znowu spojrzała na Torvica, myśląc o Maldorze.

– A co z moimi przyjaciółmi?

– Wszystko zależy od naszej umowy – odpowiedział cesarz. – Nigdy tak naprawdę nie negocjowałem ze słabymi albo głupimi. Ty nie jesteś ani słaba, ani głupia. Podsunąłem ci sporo pod rozwagę. Daj sobie trochę czasu. Jeśli do mnie nie dołączysz, nie będę cię torturował. Nie będę więził. Jesteś zbyt niebezpieczna. Zabiję cię. Twoich przyjaciół będę torturował, chyba że będziesz interweniować. Rozważ swój los. Zastanów się nad ich losem. Bądź mądra. To nie są gierki. Stawką jest życie i przyszłość wielu. Niedługo porozmawiamy osobiście. Powiedz, proszę, Conradowi, że chcę rozmawiać z Farfalee.

I na tym zakończyła się rozmowa.

Siwy mężczyzna wstał i otworzył drzwi składziku. Rachel usłyszała, jak przekazuje, że Maldor życzy sobie rozmawiać z Farfalee. Nie mówił już jako cesarz. Znowu był Tomkiem.

Conrad z powrotem założył jej knebel i poprowadził ją, trzymając za łokieć. Rachel była jak skołowana, kiedy wróciła do pozostałych w sali ogólnej. Jason spojrzał na nią zatroskany. Spróbowała się uśmiechnąć. Coś w tej próbie sprawiło, że jeszcze bardziej się zaniepokoił.

Wszystko w porządku? – zapytała niepewnie Corinne.

Nie całkiem – przesłała w odpowiedzi Rachel. *Myślę jednak, że będzie. Zobaczymy.*

Kiedy Jason został schwytany, Maldor zaproponował mu pracę. Rzecz jasna, wiązały się z tym pewne zobowiązania. Jason odmówił, chociaż to oznaczało uwięzienie i tortury.

Tylko czy dokonalby takiego samego wyboru, gdyby pojmanie tylko jego? A gdyby, przyjmując propozycję, mógł ocalić przyjaciół?

Rachel nie chciała umierać. Nie chciała, żeby jej przyjaciele cierpieli i umarli. Nie chciała też stać się złą. Nie chciała pracować dla potwora.

Czego mógł jej nauczyć? Jak potężna mogła się stać? A jeśli mogłaby nauczyć się dostatecznie dużo, żeby zdradzić Maldora i uwolnić przyjaciół? Gdyby poczekała na właściwy moment wreszcie go obaliła? Może tylko się łudziła?

Starła się nie wyobrażać sobie rodziców. Od przybycia do Lyrianu nadzieja na odnalezienie drogi do domu podtrzymała ją na duchu. Teraz wiedziała, że nawet jeśli znajdzie drogę powrotną, może jej ona nie doprowadzić do rodziny. Rachel może wylądować uwięziona w niewłaściwym czasie. Może pożałować, e kiedykolwiek opuściła Lyrian. Pewnie nie ma już dla niej powrotu.

Starła się być pragmatyczna. W końcu dorosłaby i opuściła gniazdo. Zajęłaby się studiami i pracą. W pewnym momencie założyłaby własną rodzinę. Może przybycie do Lyrianu było trochę jak przedwczesne opuszczenie gniazda. Z mniejszą ilością odwiedzin. A gdyby Maldor nie istniał, czy mogłaby stworzyć tu sobie życie?

Jednakże Maldor pozostawał częścią tego równania. Jak dużo czasu potrzebują na dotarcie do Felrook? Niedługo stanie wobec najtrudniejszego wyboru. Wyboru, który może zakończyć jej życie i życie jej przyjaciół. Wyboru, który może zniszczyć jej życie, a może nawet duszę. Wolałaby, żeby nic z

tego się nie wydarzyło. Chciałaby po prostu przestać myśleć.

Po pewnym czasie Farfalee wróciła i na rozmowę wyszedł Ferrin pod nadzorem Conrada. Rachel siedziała w milczeniu, patrząc, jak ponurzy żołnierze starają się ignorować więźniów, jednocześnie ich pilnując.

Słowa wtargnęły w jej myśli bez żadnego ostrzeżenia.

Potrzebuję twoich oczu. Rozejrzyj się po pokoju. Skup się na przesłaniu mi szczegółów.

Galloran?

Wydostaniemy was. Musimy to zrobić teraz. Maldor przyśle więcej strażników. Wie, że złapanie was to koniec wojny. Kto został?

Rachel starała się zachować obojętny wyraz twarzy, kiedy rozglądała się po sali. W olbrzymiej sali z łatwością zmieściło się kilkudziesięciu strażników. Tak wielu! Skupiła się na przesłaniu wszystkiego, co zobaczyła, do umysłu Gallorana.

Zabili Kericka. I Raza, jednego z trzech drinlingów, którzy do nas dołączyli. A Nedwin zniknął.

Widzę, co przesyłasz. Wszyscy jesteście związani. Nie podnoście się, zachowajcie spokój. Nie ma wyjścia, będzie paskudnie.

Poczuła niewielki przypływ nadziei.

Ilu ludzi jest z panem?

Trzech. Do zobaczenia w środku.

Galloran zniknął z jej umysłu. Trzech poza Galloranem? Jak taka mała grupa mogła poradzić sobie z pięćdziesiątką? Powinien ostrzec pozostałych. Niestety, była zakneblowana.

Corinne?

Nadchodzi – odpowiedziała Corinne. *Nie chce, żebym cokolwiek mówiła, dopóki się nie zacznie. Mówi, że atak musi być całkowitym zaskoczeniem.*

Frontowe drzwi do karczmy otworzyły się powoli. Przygarbiony stary mężczyzna w płaszczu wszedł chwiejnym krokiem badając drogę przed sobą laską. Miał brudną szmatę zawiązaną na oczach.

– Zajazd jest zamknięty – powiedział stojący najbliżej drzwi żołnierz. – Kto cię wpuścił?

– Zawsze jadam tu przed południem. – Wypowiedziana zachrypłym głosem odpowiedź zabrzmiała wojowniczo. – Dają mi rybę.

Żołnierz, który się odezwał, podszedł do zgarbionej postaci.

– Nie dzisiaj, dziadku. Cesarskie sprawy. Zmiataj.

Starzec zdarł z oczu przepaskę, wypuścił kostur i wyciągnął smukły miecz, który lśnił jak lustro. Kontynuując ruch, którym wyciągnął broń, zadał śmiertelny cios zaskoczonemu żołnierzowi.

Rachel zdusiła okrzyk zdumienia po części z powodu nagłego ataku, a po części widząc, że Galloran ma oczy: jedno brązowe, a drugie niebieskie. Trzech żołnierzy zginęło, zanim ktokolwiek zdążył wyjąć broń. Kiedy żołnierze wreszcie zareagowali, niewiele to zmieniło.

Rachel nigdy nie widziała, żeby ktoś ruszał się jak Galloran. Częściej robił uniki przed atakami, niż

je odpierał. Nie uchylał się ani nie obracał o cal więcej, niż to było niezbędne, by przeciwnik nie trafił. Po każdym spudłowanym ciosie Galloran dobijał przeciwnika szybkim ruchem i ruszał dalej. Jego subtelne finty wystarczały, żeby prowokować błędy, za które płaci się życiem. Spokojna pewność malująca się na jego twarzy była o wiele bardziej przerażająca niż wściekłe grymasy czy wykrzykiwane groźby. Kiedy trzeba było sparować uderzenie mieczem lub włócznią, wkładał w to jedynie tyle wysiłku, by udaremnić cios, a potem pośpiesznie likwidował napastnika. Każde pchnięcie, każdy krok, każda parada były wymierzone i precyzyjne.

Galloran nie marnował sił. Jakoś udawało mu się unikać większości walki i przechodzić od razu do śmiertelnych uderzeń.

Był to hipnotyzujący taniec. Rachel w życiu nie wyobrażała sobie tak zwięzłych i zabójczych ruchów, tak spokojnego skupienia pośród zgiełku. Podobnie jak wrogowie Gallora-na. Wszyscy, którzy się zbliżyli, zostali zabici z bezlitosną skutecznością. Żadna zbroja nie mogła spowolnić lśniącego ostrza. Hełmy pękały. Kolczugi były przebijane. Galloran nie zatrzymał się ani na chwilę. Każdy moment walki wyglądał jak zaplanowany przez choreografa na korzyść Gallorana. A księżę nie zjawił się sam.

Dorsio wpadł do sali z kuszami w obu rękach, zaraz po tym jak Galloran wyciągnął miecz. Zwinny ochroniarz wyjął drugą parę mniejszych kusz, kiedy zastrzelił strażników stojących koło więźniów. Gdy i z tych wystrzelił bełty, z nożami w obu rękach rzucił się do walki u boku Gallorana. Za każdym razem gdy rzucił jednym nożem, zaraz następny materiali-zował się w jego rękę, błyskawicznie wyciągnięty spod płaszcza.

Kiedy nasiennik wpadł przez pobliskie okno, Rachel w pierwszej chwili pomyślała, że to Lodan. Po chwili rozpoznała Jashera, który wyglądał o wiele młodziej, niż go zapamiętała. Nie trzymał kusz.

Miał orantium.

Cisnął pierwszą kulę przez salę do kąta, gdzie grupka żołnierzy stłoczyła się wcześniej i rozmawiała. Teraz żołnierze wyciągnęli broń, ale najwyraźniej nie bardzo wiedzieli, gdzie ją wykorzystać. Minerał rozbłysnął oślepiającą bielą, zanim ogłuszający wybuch rozległ się gromem w pokoju. Żołnierze rzucili się do ucieczki, roztrzaskane krzesła i stoły wypełniły powietrze, gorący podmuch owionął Rachel.

Druga kula wylądowała w pobliżu baru, wywołując podobny skutek. Kolejne eksplozje huknęły na piętrze i na zewnątrz, towarzyszyły im okrzyki i brzęk tłuczonego szkła.

Strażników, którzy najpierw zamarli z niedowierzania, teraz nagle zniszczenie całkiem przytłoczyło. Miecze uniosły się niepewnie, kiedy skołowani żołnierze próbowali ocenić, kto stanowi największe zagrożenie. Do pewnego stopnia ich liczba działała przeciwko nim. Większość mężczyzn najwyraźniej oczekiwała, że ktoś inni rozwiąże problem, ale nikt nie palił się do tej roboty. Ci, którzy rzucili się na Gallorana, zostali ścięci z biegłością, przy której nawet największe wysiłki zdawały się rozpaczliwie nieudolne. Ci, którzy trzymali się z tyłu albo szukali osłony, stali się celem dla orantium. Jasher najwyraźniej miał niekończący się zapas kul.

Ten sam początkowy szok, który chwilowo obezwładnił wielu strażników, sprawił, że Rachel też

zamarała. Nagle zauważyła, że jej towarzysze zbili się w gromadkę, starając się odsunąć od walki. Corinne przewróciła długi stół, żeby nieco ich osłonił. Rachel wykrztusiła kilka słów przez knebel, mówiąc bardziej umysłem niż głosem. Rozkaz przewrócił cztery stoły i pociągnął tak, że uformowały zgrubną barykadę wokół związanych więźniów.

Nedwin zeskoczył ze schodów z długim nożem w jednej ręce i kulą orantium w drugiej. Najwyraźniej to on odpowiadał za powtarzające się wybuchy na górze. Rozcięcie na czole sprawiło, że twarz miał zalaną krwią, ale jego spojrzenie pozostało czujne. Rzucił kulę orantium i popędził ku barykadzie ze stołów, zręcznie wycinając sobie drogę między dwoma werbownikami.

Podbiegł prosto do Rachel i rozciął knebel, nawet nie drasnąwszy skóry, a potem drugim szybkim ruchem uwalniając jej nadgarstki. Potem oswobodził Drake'a. Rachel niejasno zdała sobie sprawę, że Nedwin uwolnił ją jako pierwszą, bo uważał, że ona może im najbardziej pomóc.

Rozejrzała się po sali. Z konieczności Jasher bronił się teraz raczej mieczem niż orantium. Widziała już wcześniej, jak walczy, i był niewiarygodny; dzisiaj także walczył świetnie, ale w porównaniu z Galloranem robił wrażenie mało skutecznego. Trzech strażników zajęło pozycję za barem. Przygotowywali kusze do strzału. Ostra komenda Rachel sprawiła, że jedno z ogromnych luster spadło prosto na nich.

Po drugiej stronie sali, niedaleko od wejścia, wielu z pozostałych żołnierzy napierało na Gallorana i Dorsia. Galloran walczył równie umiejętnie i żywiołowo jak w chwili wejścia, ale Dorsio miał strzałę w plecach i makabryczną ranę w boku. Kiedy niemy ochroniarz stał między Galloranem i dwoma wrogami, Rachel zobaczyła, jak przebija go miecz przeciwnika.

Zalała ją wściekłość. Rachel wykrzyknęła rozkaz i pobliski stół przewrócił się na bok, wypychając dwóch napastników na ścianę. Kolejną edomicką komendą podpaliła cały stół, a potem cisnęła nim przez salę, aż uderzył w żołnierzy niczym demoniczny buldożer.

Poczuła podniecenie, kiedy trudne rozkazy podziały, ale wysiłek sprawił, że czuła się, jakby pędem przebiegła milę pod górkę. Osunęła się na kolano, ale starała się nie stracić przytomności.

Płonący stół pomógł przełamać szeregi żołnierzy. Drake dołączył już do walki, a Tark, Farfalee, Jason, Io i Aram porwali broń poległych wrogów, kiedy tylko Nedwin ich uwolnił. Żołnierze nie starali się już zwyciężyć. Próbowali uciec.

Rachel przykucnęła za przewróconym stołem, starając się odzyskać oddech i sprawić, że sala przestanie wokół niej wirować.

Miała nadzieję, że jakiś przebiegający żołnierz nie natknie się na nią, póki jest osłabiona. Poczuła zapach palącego się drewna. Nie bardzo wiedziała, ile czasu upłynęło, kiedy Nedwin pomógł jej wstać; czoło miał opatrzone jej dawnym kneblem. Zaczęła kaszleć. Wszędzie kłębił się dym. Zajazd płonął. Nedwin pośpiesznie wyprowadził ją na drogę. Większość pozostałych znajdowała się już na zewnątrz.

Drake i Ferrin wyszli z zajazdu, trzymając ostrza przy plecach Conrada i Torvica. Kilku innych żołnierzy, którzy najwyraźniej się poddali, kłębało na drodze, a pilnowali ich Tark, Jasher i Farfalee.

Rachel podsłuchiwała Drake'a, jak mówił Nedwinowi, że znalazł Ferrina w składziku, gdzie rękami przytrzymywał Conrada, a nogami Torvica. Ferrin wyjaśnił, że po cichu rozwiązał się wewnątrz worka i zaatakował rozmówców, kiedy usłyszał zamieszanie w głównej sali. Drake odebrał Conradowi nasiono Kericka.

Galloran wyszedł z zajazdu, niosąc na rękach Dorsia. Delikatnie położył nieruchome ciało na drodze. Nadal trwał poranek. Płomienie skoczyły z kilku wyższych okien oberży. Dym wyciekał w bezchmurne niebo.

Galloran stanął przed nowymi więźniami, przyglądając im się chmurnie. Rachel zdała sobie sprawę, że niedobre oczy były celową obelgą. Rażąca rozbieżność podkreślała, że odzyskał wzrok dzięki rozsądnikom.

– Poddajecie się? – zapytał.

Więźniowie przytaknęli. Wszyscy z wyjątkiem Conrada.

– Nie poddam się – odpowiedział sztywno. – W sposób haniebny powstrzymano mnie przed włączeniem się do walki.

Mam prawo stawić czoło swoim adwersarzom. Żądam satysfakcji.

– Pozwól mi się tym zająć – powiedział Drake.

– Galloran – zażądał Conrad. – Wyzywam Gallorana na pojedynek.

– Na miecze? – zapytał Galloran.

– Oczywiście.

– Teraz?

– Natychmiast – odpowiedział Conrad.

– Dobrze więc – zgodził się Galloran.

– Nie! – zaprotestowała Farfalee.

– On już nie jest diukiem – oburzył się Jason.

– I zasłynął jako mistrz w walce na miecze – ostrzegł Ferrin.

– Pozwól mnie się nim zająć – prosił Jasher.

– Zgodził się – upierał się Conrad.

– Owszem – przytaknął Galloran. – Dajcie mu broń.

– Mam jego miecz – powiedział Ferrin.

Galloran skinął głową, a Ferrin niechętnie wręczył broń diukowi.

– Jeśli cię pokonam, będę mógł odejść wolno – zastrzegł sobie Conrad.

– Zgoda – odpowiedział Galloran. – Przegrałeś pojedynek z lordem Jasonem, a on darował ci życie. Ja nie okażę ci litości.

– Wygrałem jedenaście pojedynków na śmierć i życie – powiedział Conrad. – Jedyne, który przegrałem, był farsą, walką za pomocą kul bilardowych. Słyszałem opowieści o twojej sprawności w walce białą bronią. Z doświadczenia wiem, że większość opowieści nabiera kolorów wraz z ich

opowiadaniem.

Rachel usłyszała, jak Jason mruczy do Jashera:

– Conrad nie widział go w walce.

Galloran wycofał się na drogę, a diuk podszedł do niego. Księżę wyciągnął miecz.

– Nadzwyczajne ostrze – przyznał Conrad.

– Zaczynamy? – zapytał Galloran.

– Zaczynamy. – Conrad zbliżył się z mieczem w gotowości.

Ich ostrza zetknęły się dwa razy, zanim miecz Gallorana przebił Conrada. Księżę wyciągnął klingę i otarł ją z krwi, podczas gdy diuk wyzionął ducha na drodze. Plama rozlała się na jego białym mundurze. Rachel nie mogła powstrzymać nerwowego, mimowolnego śmiechu, kiedy jej ulżyło. Usłyszała, jak dźwigary pękają w zajeździe. Iskry buchnęły z kilku okien.

I wtedy Galloran znieruchomiał. Powoli odwrócił się, by spojrzeć na drogę. Rachel sama niczego nie wyczuła, ale wyraz twarzy księcia sprawił, że przeszły ją ciarki. Powędrowała wzrokiem w kierunku, w którym patrzył. Nadchodziła postać; nadal znajdowała się daleko. Czarna sylwetka trzymająca dwa lśniące miecze w obu rękach. Żywy cień, który przeciwstawił się światłu poranka. Torivor.

– Ten wróg zjawiał się po mnie – powiedział Galloran głosem nabrzmiałym i zrezygnowanym. – Jak mniemam, śledził mnie od Felrook. Nie wiedziałem, że zabrał miecze.

Trzymajcie się z dala. Jeśli go nie zaatakujecie, będzie mógł odebrać tylko jedno życie. Jeżeli zginę, natychmiast ruszajcie do Świątyni Mianamon.

Patrzyli w milczeniu na zbliżającego się torivora. Nie śpieszył się. Miecze, które niósł, idealnie odpowiadały ostrzu Gallorana, były mistrzowsko wykonane, jasne jak chrom.

– Nie musimy krzyżować ostrzy! – zawołał chrapliwie Galloran. – Nie mam nic przeciwko twojej rasie. Odejdź w pokoju.

Czatownik nie dał po sobie poznać, że cokolwiek usłyszał. Nie zawahał się, nadal szedł równym krokiem, aż wreszcie przystanął dziesięć kroków od Gallorana. Rzucił jeden z mieczy.

Galloran złapał go za rękojęść. Teraz trzymał dwa identyczne ostrza.

– Dobrze więc – powiedział, być może odpowiadając na słowa, których inni nie mogli usłyszeć.

Rachel wyczuwała słabo, że się porozumiewają. Wysiliła umysł, żeby zrozumieć, ale niczego nie wychwyciła. Dotknęła wisiorka zrobionego przez zaklinaczkę, zdając sobie sprawę, że to on tworzy zaporę.

Galloran czekał spokojnie. Czatownik także stał. Aż nagle rzucił się z nienaturalną szybkością, a jego miecz przeciął powietrze, z sykiem kreśląc łuk. Galloran ledwie zablokował atak, a potem następny i następny.

Ostrza nie brzęczały ani nie szczękały, kiedy uderzały o siebie – dzwoniły melodyjnie, pięknie, jakby w pojedynku walczone drogimi kamertonami. Rachel niemal czuła w ciele vibracje.

Nie potrzebowała wiele czasu, by zobaczyć, że Galloran przegra. Torivor był ewidentnie szybszy i

silniejszy. Tylko dzięki bezbłędnej ekonomii ruchów Galloran był w stanie odpierać nieustannie padające ciosy. Rachel nagle zrozumiała, gdzie Galloran nauczył się tak skutecznie walczyć. Tylko w ten sposób mógł przetrwać poprzednią walkę z takim przeciwnikiem.

Wstrzymała oddech. W każdej chwili Galloran mógł popełnić minimalny błąd i stracić życie. Nawet mając dwa miecze – jednym posługiwał się głównie do obrony, drugim atakował – ledwie powstrzymywał czarownika. Żadne pchnięcie czy cięcie ze strony Gallorana nie zbliżyło się nawet do tego, żeby musnąć mroczną powierzchnię torivora. Wydawało się, że wszystko sprowadza się tylko do tego, jak długo Galloran wytrzyma.

Ostrza rozbłysły w słońcu. Żar promieniował z płonącego zajazdu. Galloran powoli się wycofywał, oddychał coraz ciężiej. W każdej chwili miecz torivora mógł przebić się przez jego obronę. Tyle że tak się nie stało.

Rachel nigdy w życiu nie wyobrażała sobie takiej wirtuozerii w walce. Zupełnie jakby oglądała koncert pianisty, grającego niemożliwy do wykonania utwór – jego palce śmigają, wygrywając niepojęty wzór nut i zamaszyste akordy. Nie, to było coś więcej. To jakby patrzeć na pianistę grającego niewykonalny utwór z dynamitem przymocowanym do palców, tak dostrojonym, by wybuchnąć przy fałszywej nucie.

Ruchy były bez mała za szybkie, żeby za nimi nadążyć, Rachel widziała tylko szaleńcze, rozmazane plamy. Zanim zdążyła się zdenerwować jakimś określonym ciosem, ten już został zablokowany, ripostę po nim już sparowano, a ostrza ponownie zadzwoniły.

Galloran już nie ustępował. Przeciwnicy powoli krążyli wokół siebie, a miecze nieustannie dzwoniły. Księżę robił wrażenie zdeterminowanego, a jego spojrzenie płonęło skupieniem. Czatownik wpadł w rytm zamaszystych wysokich ciosów, zmuszających Gallorana do osłaniania głowy, i wtedy nagle zamachnął się nogą, żeby kopnąć księcia w bok.

Ostrze śmignęło w dół i odcięło czarną nogę tuż poniżej kolana. Odcięta kończyna zniknęła w jasnym rozbłysku. Biały blask bił z kikuta, jakby torivor krwawił światłem. Walka trwała, a torivor ewidentnie słabł. Po chwili Galloran odrzucił jeden z mieczy.

Jeden miecz przeciwko jednemu, ostrza spotykały się raz za razem. Utrzymując idealną równowagę na jedynej nodze, torivor teraz równie często się bronił, jak atakował. Galloran miał czerwoną i zlaną potem twarz. Miało się wrażenie, że stoją za blisko siebie. I wtedy ostrze Gallorana przecięło tułów torivora i stwór zniknął w oślepiającym rozbłysku.

Kiedy Rachel przestała mrugać, żeby pozbyć się powidoku, zobaczyła, że księżę zatoczył się do tyłu i padł na kolana. Pochylił głowę, ręce oparł na udach. Został raniony pod koniec walki? Czyżby to przegapiła?

Nedwin pośpieszył ku niemu i pomógł mu wstać.

– Nie jestem tak młody jak kiedyś – mruknął Galloran, ocierając rękawem błyszczące czoło. – Cieszę się, że demon się zniecierpliwił i spróbował tego kopniaka.

– To było niewiarygodne – wymamrotał Ferrin do nikogo w szczególności. – Nigdy... Gdybym nie widział tego na własne oczy...

– Długo żyłem – powiedział do niego Jasher. – Nikt nie radzi sobie z mieczem tak jak Galloran.

– Chcesz mi się przeciwstawić – oznajmił beznamiętnie Torvic, chociaż nikt go nie pytał o zdanie.

Słowa nie należały do Torvica. Wszyscy spojrzeli w jego stronę. Rozsadnik siedział ze skrzyżowanymi nogami i patrzył bez emocji.

Galloran odwrócił się do niego, nadal dysząc. Nie został raniony, ale był wyczerpany.

– Zaproponowałeś mi oczy dawno temu. W końcu zjawiłem się po nie. Nie przysięgałem ci wierności.

– Po wszystkich daremnych cierpieniach, po wszystkich bezowocnych wysiłkach, mimo niezliczonych skompromitowanych popleczników, z uporem obstajesz przy swojej głupocie. Mogę widzieć poprzez te oczy, Galloranie. Jesteś mój. Będę obserwował każdy twój krok.

– Zatem będziesz patrzył, jak rozmontowuję twoje cesarstwo wałek po kawałku – odparł Galloran. – Kiedy coś zobaczysz, są to tchórzliwi przestępcy, których zatrudniasz, ginący z mojej ręki. Przyjdź po mnie, jeśli zdołasz. Będę czekać.

I po tych słowach znowu założył przepaskę na oczy.

Rozdział 27

Wyrocznia

Kiedy pokryty filtrem wąż, dłuższy od pałaka prysznic, wijąc się, przeciął jego ścieżkę, Jason uznał, że dżungla jeszcze mniej mu się podoba od Ziemi Zatopionych. W tropikalnym chaosie paproci, liści, pnączy i niebosiężnych drzew panował znacznie większy upał niż na bagnach, wszystko było równie jadowite, a wędrówka trwała o wiele dłużej.

Szli resztkami starodawnej kamiennej drogi, z której zachował się głównie bezwładny chaos przerośnięty krzakami i płożącymi się roślinami. Z reguły na połamanych kamieniach łatwiej było skrócić kostkę niż znaleźć oparcie dla stopy. Jednakże ta znikająca droga mimo wszystko oferowała przejście przez gęste fragmenty parującej dżungli, która poza tym robiła wrażenie całkowicie nieprzeniknionej. A według Gallorana starodawna arteria prowadziła prosto do Świątyni Mianamon.

Galloran nie zdjął przepaski z oczu od bitwy w „Ostatnim Zajeździe”. Wlekł się z jedną ręką na ramieniu Corinne; a w drugiej trzymał laskę, którą opukiwał drogę przed sobą. Drake próbował go przekonać, żeby zrezygnował z przepaski na czas podróży, podkreślając, że Maldor już z pewnością domyśli się, dokąd zmierzają, i że widok otaczającej roślinności niewiele radzi, o ile w ogóle cokolwiek. Mimo to, Galloran upierał się, chce, by wróg widział jak najmniej, niezależnie od tego czy widać coś ważnego.

Nedwin prowadził grupę, posługując się jasnym mieczem toivora jak maczetą i wyrabując drogę przez najgorszą roślinność, kilka razy skomentował, że ostrze w ogóle się nie tępi, niezależnie od tego ile przeszkód przetnie. Galloran drugi zdobyty miecz oddał Jasherowi.

Jason sporo rozmawiał z Jasherem, kiedy szli drogą przez dżunglę. Nasiennik odrodził się akurat na czas, żeby być świadom Pierwszej Śmierci Lodana, a potem podążył za Galloranem i dyplomatami z Siedmiu Dolin zmierzającymi do Felrook. Nasiennicy zawarli pokojowy sojusz z cesarzem, a Galloran przyjął oczy, które Maldor zaproponował mu wiele lat temu. Po przeszczepie cesarz bez przeszkód pozwolił mu odejść.

Kiedy Galloran i Dorsio opuścili Felrook, Jasher dołączył do nich i razem ruszyli na południowy wschód, aż spotkali Nedwina w dziczy w pobliżu „Ostatniego Zajązdu”. Okazało się, że Nedwin usłyszał zamieszanie w korytarzu i wymknął się przez okno razem z pościelą na chwilę przed tym, jak żołnierze weszli do pokoju. Ukradkiem przemknął się po dachach, zamierzając uciec i sprowadzić pomoc.

Jasher wyglądał młodziej, ale nie zmienił nawyków. Jason cieszył się, że znowu znajduje się w towarzystwie pierwszego nasiennika, jakiego poznał w Lyrianie, ale widział, że nie cieszy się nawet w połowie tak bardzo jak Farfalee.

Ponure chmury straszyły ich przez cały ranek. Z jednej strony drogi dobiegło ich znajome bębnienie deszczu o liście. Chwilę potem lunęło jak z cebra, w kilka sekund mocząc Jasonowi włosy.

Ulewy w dżungli zwykły szybko nadchodzić i odchodzić, ale wilgoć zawsze zostawała na dłużej. Powietrze było zbyt parne, żeby ubrania rzeczywiście schły, więc stan rzeczy Jasona zwykle, plasował się gdzieś między kompletnym przemoczeniem a wilgocią. Jason był przekonany, że zanim skończy się ich tropikalna wędrówka, będą cuchnąć pleśnią.

Zobaczył papugę o piórach jak płatki kwiatów, siedzącą na pobliskiej gałęzi z głową schowaną pod skrzydłem przed potopem. Dzięki temu, że interesował się zwierzętami, oszałamiająca różnorodność fauny w dżungli wynagradzała mu nieco upał i niebezpieczeństwa. Barwne żaby, egzotyczne ptaki, jaskrawe jaszczurki, dźwięczne owady i niezliczone węże składały się na miejscową faunę. Nedwin pokazał mu raz dusiciela dłuższego od szkolnego autobusu, pełzającego wśród wysokich konarów w serii pętli i krzywizn.

Ulubieńcami Jasona były małpy. Ich różnorodność wydawała się nieograniczona –krótkowłose czarne, długowłose złote, pasiaste, o małych okrągłych uszach, o wielkich szpiczastych uszach, z dwiema rękami, z czterema, o smukłych ogonach, o puszystych ogonach, o krótkich ogonach, o kolorowych grzbietach, z pomagającymi przy wspinaczce ostrogami przy kostkach albo nadgarstkach – a wszystko to w rozmiarach od wiewiórki do małego dziecka.

Roślinność wykazywała się podobnym urozmaicheniem. Szerokie liście jak wachlarze, wiotkie wstęgi, pierzaste paprocie zwinięte jak korkociąg wąsy, wąskie, spiczaste rośliny, kęp drobnutkich listeczków i wszelkie inne wyobrażalne listowi dekorowało krzewy i drzewa. Jason nigdy nie pomyślał, że mogą istnieć kwiaty o tak uderzających odcieniach: metalicznych odblaskowych, opalizujących. Ani nie wyobrażał sobie takiej różnorodności roślin mięsożernych: chwytających pnączy, łapiących liści, zasysających rurek, łodyg przymocowanych do podobnych do ust strąków, jadowitych mis słodkiego nektaru klejących się kobierców, które zwijały się wokół niczego niepodziwującej się ofiary.

Ulewny deszcz padał, aż starodawna droga gęsto pokryła się kałużami. Zanim ustąpił, delegacja przemokła do suchej nitki, mimo to, Jason nie marzył. Ani też nie czuł się odświeżony. Powietrze było zbyt nagrzane i parne, żeby czuć coś poza niewygodą.

Galloran poślizgnął się i wpadł po kolana do brązowej kałuży. Co prawda nie wstał bardziej mokry, ale z pewnością był bardziej ubłocony. Jego twarz pozostała opanowana, ale Jason zauważył, że jedną dłoń zacisnął w pięść i na karku nabrzmiały u żyły.

– Mógłbyś zdjąć opaskę, ojcie – powiedziała Corinne.

– Tak jest lepiej – odpowiedział chrapliwie Galloran. – Mój pożyczony wzrok ma swoją cenę. Nie mogę zacząć zbyt wiele polegać na tych oczach. Skorzystam z nich w ostateczności.

Jason poczuł ukłucie na szyi, jakby ugryzł go owad. Jak na razie tropikalne insekty nie dawały im się we znaki dzięki emulsji, którą wymyślił Nedwin. Uderzając się w miejsce ugryzienia Jason odkrył małą strzałkę, właściwie ledwie igłę z piórkami.

Ciche syknięcia rozległy się wśród otaczającego ich listowia.

– Dmuchawki! – zawołał Nedwin. – Zaatakowano nas!

Galloran zerwał opaskę z oczu i wyciągnął miecz. Nedwin i Ferrin pobiegli na jedną stronę drogi, przebijając się przed wysokie łądygi czerwonego drewna podobnego do bambusa. Drake, Jasher, Tark i Aram rzucili się w drugą stronę, tnąc listowie, jeśli zaszła taka potrzeba. Farfalee położyła strzałę na cięciwie, tak samo jak Nollin. Io, Nia, Corinne, Rachel i Jason wyciągnęli broń i ustawili się przy Galloranie na drodze.

Kiedy część grupy skoczyła w głąb dżungli, a pozostali rozglądali się, patrząc w górę i nisko, nie rozległ się więcej syk dmuchawek. Nie było też ani widać, ani słyszeć uciekających wrogów. Ci, którzy rzucili się w dżunglę, zniknęli na kilka minut, ale w końcu wszyscy prócz Nedwina wrócili na drogę.

– Poruszają się jak duchy – powiedział Ferrin. – Nedwin pobiegł za nimi.

Czas mijał, lecz grupa zachowała czujność. Atak się nie powtórzył i wreszcie Nedwin wrócił.

– Dostrzegłem jakieś zielone postaci, najwyraźniej odziane w bluszcz. Były za szybkie. Niewielu może mnie wyprowadzić w pole w trudnym terenie, ale ci ludzie mnie przerastają. Uciekali po drzewach jak małpy, a po ziemi jak żbiki. Miałem szczęście, że w ogóle dostrzegłem ich z oddali. Nie miałem szansy ich dogonić. Oberwałem trzema strzałkami, ale nie zauważam żadnego skutku.

– Jedna ukłuła mnie w rękę – powiedział Galloran.

Jason, Corinne, Tark, Io i Drake zostali lekko draśnięci. Kilka innych małych strzałek wbiło się w ubranie. Nikt nie zauważył żadnych niekorzystnych skutków.

– Po co były te strzałki? – spytał Jason.

Galloran przyjrzał się małej ukłucie na dłoni, powąchał je i popukał.

– Kiedy ostatni raz odwiedzałem Mianamon, słyszałem opowieści o drzewnych ludziach, którzy mieszkają głęboko w dżungli. Nigdy ich nie widziałem ani nie słyszałem, żeby zapuszczał się tak daleko na północ. Jednak nastały inne czasy.

– Jedna z ras Certiusa? – zapytał Ferrin.

– Najprawdopodobniej – przytaknął Galloran.

– Mogliby posłużyć się wolno działającą trucizną? – spytał Ferrin.

– Nie wyczuwam żadnego podrażnienia – powiedział skonsternowany Galloran, prostując i zaciskając dłoń. – Absolutnie żadnego. Po co ryzykować i zbliżać się na tyle, żeby wystrzelić strzałki? Musimy obserwować te rany.

Dwa dni później pierwsze kępki mchu pojawiły się wokół miejsc, gdzie strzałki przebiły skórę. Zielony gąszcz wyglądał, jakby dało się go łatwo wyrwać, ale okazywało się, że zakorzenił się głębiej w ciele, niż to się zdawało na pierwszy rzut oka. Ostry nóż był w stanie zeszkrobać część mchu, ale stało się jasne, że jest potrzebne głębokie nacięcie, by usunąć go z korzeniami. Ze wszystkich, którzy zostali zranieni, tylko u Io nie pojawiły się żadne zmiany.

Nie zdradzając żadnych oznak bólu, Nedwin wyrwał z korzeniami małą kępę mchu z okolic tuż nad nadgarstkiem. Następnego dnia mech nie dość, że odrósł, to jeszcze rozlał się szerzej. Mech, który poprzedniego dnia przycięto, także wrócił i się rozrósł. Nietknięte kępki tak samo się rozprzestrzeniły.

Mech nie sprawiał bólu. Kiedy Jason pogłaskał puszystą kępę na szyi, mech wydawał mu się tam równie naturalny, jak otaczające go włoski. Jednakże, kto wiedział, co się stanie, jeśli zielone futerko będzie się dalej rozrastało? W najlepszym wypadku Jason stanie się omszałym dziwadłem. W najgorszym mech pokona ciało, szkodząc mu albo powodując śmierć.

Dwa dni później Jason patrzył, jak Nia, idąc, zajada wielki lśniący liść. Minęło raptem kilka tygodni od ich spotkania, ale jak zapowiedziała, już wyglądała na starszą. Kiedy się poznali, wyglądała na trzynaście, czternaście lat. Teraz przypominała szesnasto, siedemnastolatkę. Urosła kilka cali, przerastając Rachel i Tarka.

Przez ostatni tydzień delegacja jadła głównie niezwykle owoce i warzywa wyszukane przed Nedwiną. Jednakże Io i Nia znajdowali jedzenie, kiedy tylko chcieli.

– Ta dżungla musi wyglądać dla ciebie jak wielka misa sałatki – powiedział Jason.

– Jestem dorastającą dziewczyną – odpowiedziała, odgryzając kolejny kęs. – Myślisz, że ciebie też przerosnę?

– Wątpię, zważywszy, że twój tata był niższy ode mnie. Nieświadomie potarł ręką bujny mech, który teraz pokrywał mu większość karku i bok szyi. To mu weszło w nawyk.

– Bardzo ci ten mech przeszkadza? – zapytała.

– Właściwie to lubię jego fakturę – przyznał, zdając sobie sprawę, że znowu go głaszcze – ale to okropne, jak się rozrasta. Naprawdę jest mi dziwnie na myśl, że pokryje mi twarz.

– Musi istnieć jakiś sposób, żeby go powstrzymać – pocieszyła go Nia.

Jason wzruszył ramionami.

– Nedwin wie o tej dżungli tyle, co nikt inny, a nie ma pojęcia, co to za mech ani jak się z niego wyleczyć. Mam tylko nadzieję, że mech nie zacznie nas kontrolować jak czerwie goma.

– Czego mógłbyś chcieć od ciebie mech? – zachichotała Nia. – Żebyś usiadł na skale przy strumieniu?

– A jeśli zamienię się w roślinę? – zapytał Jason, siląc się na spokój, chociaż ta kwestia ogromnie go martwiła.

– Zadbam, żebyś dostawał dużo słońca i wody – odpowiedziała Nia.

Jason zmusił się do uśmiechu.

– Wydaje się, że pokrywa tylko powierzchnię – zauważyła Nia, już bardziej pocieszającym tonem.

– Gdy już pokryje wszystko, może zacząć wrastać w głąb.

– Miejmy nadzieję, że otrzymamy pomoc w świątyni – odezwał się za nimi Drake. Strzałka trafiła go w bok żuchwy i w efekcie zieleń rozlała się, tworząc na połowie twarzy omszałą brodę. – Wyrocznia i jej ludzie żyją w dżungli od dawna.

Przez pewien czas szli w milczeniu.

– Szkoda, że na Io nie wyrósł żaden mech – powiedziała Nia. – Stale miałyby przekąskę pod ręką.

Jason zmusił się do śmiechu. Próbowала poprawić im nastrój. Te starania sprawiły, że pomyślał, jak szybko się przystosowywała. Nie mówiła już z akcentem i wychwyciła wiele niuansów mowy i żartów jego i Rachel. W innych okolicznościach jej komentarze bardziej by go rozbawiły, ale trudno było otrząsnąć się z myśli o pasożytniczym mchu, który powoli zajmował jego ciało. Z drugiej strony, skoro tak się starała, mógł przynajmniej wyjść jej naprzeciw.

– Zawsze może skubnąć coś z mojej nadwyżki.

Nia zmarszczyła nos.

– W tej dżungli jest naprawdę gorąco. A jeśli mech przejmie zapach twojego ciała?

– Przecież jecie zdechłe szczury – zauważył Jason.

– W którymś momencie trzeba nakreślić granicę.

Idący na przdzie grupy Nedwin podniósł rękę.

– Słyszeliście to? – spytał.

– Co? – zapytał Galloran.

– Świst – opisał dźwięk Nedwin. – Może gwizdek. Cichy. Na granicy słyszalności.

Jason niczego nie słyszał, ale zauważył, że pnącza przy jego stopach zaczęły się wić.

Cały las nagle ożył, bezwładne pnącza wystrzeliły jak bicze. Z przerażającą szybkością i precyzją pnącza zaczęły owijać się wokół nóg, rąk i torsów. Dziwny zapach wypełnił powietrze, a grunt jakby się przechylił i zafalował.

Jason próbował wyciągnąć miecz, ale było za późno. Już leżał na ziemi z rękami przyszpilonymi do boków. Z tej pozycji widział Gallorana, który porzucił opaskę na oczy i ciął pnącza mieczem torivorów. Liany strzelały ku niemu ze wszystkich stron, ale on obracał się i ciął z bezbłędną precyzją i wyczuciem chwili, powoli wycinając sobie ścieżkę z dala od drogi.

Jason miał wrażenie, że ziemia się kołysze i wiruje. Galloran zaczął zataczać się jak pijany, nie z powodu ataku pnączy, ale najwyraźniej w odpowiedzi na zapach, który obalił Jasona. W końcu liany chwyciły księcia i ściągnęły na ziemię.

Jason szarpał się z pnączami. Zaciskały się boleśnie, kiedy stawiał opór, a potem odrobinę się luzowały, kiedy się poddawał.

– Rachel? – zapytała Farfalee.

– Nie mogę – odpowiedziała dziewczyna. – Próbowалам. Edomicki nie zadziała. Rozkazy nic nie dadzą.

Jason zamknął oczy. Pierwszy raz w życiu tak bardzo kręciło mu się w głowie. Zupełnie jakby ziemia wirowała wokół wielu osi, nie tylko kręciła się, ale też podskakiwała i kołysała się we wszystkich możliwych kierunkach. To, czy zamknął, czy otworzył oczy, niczego nie zmieniało. Wrażenie przyprawiało go o mdłości, ale zanim zdążył zwymiotować, stracił przytomność.

Gdy się obudził, odkrył, że zwisa na rękach i nogach z poziomego drąga. Drąg się poruszał, prawdopodobnie niesiony między dwiema osobami. Przywiązano go za nadgarstki, łokcie, kolana i kostki. Pozycja nie była ani wygodna, ani nieznośna. Oczy mu zasłonięto.

– Halo?! – zawołał.

Tępy przedmiot, pewnie kij, uderzył go boleśnie w bok. Najwyraźniej nie powinien się odzywać.

– Tu jesteśmy – odpowiedział Drake.

Jason usłyszał kilka mięsistych łupnięć, pewnie była to kara za odpowiedź.

Wisiał przez pewien czas w milczeniu. Przynajmniej nie kręciło mu się w głowie i przynajmniej nie był martwy. Zostali złapani, pewnie przez tych samych gości, którzy strzelali do nich z dmuchawek. Jason uznał, że to lepsze niż dać się udusić i zostać pożartym przez pnącza.

Jak długo był nieprzytomny? Nie sposób orzec. Czuł blask słońca. To mógł być ten sam dzień albo inny. Powietrze było równie gorące i wilgotne jak zawsze. Ktokolwiek ich niósł, poruszał się cicho i zręcznie.

Dokąd mogli zmierzać? Dżungla i dmuchawki sprawiły, że jego myśli powędrowały ku kanibalom i preparowanym głowom. Czy on i jego przyjaciele zostaną składnikami plemiennej zupy?

Ferrin z pewnością mógł uciec z więzów. Odczepiłby ręce i nogi, potem przyczepił je ponownie i już byłby wolny. Drągi nie były z żywego drzewa, więc Rachel powinna być w stanie je rozłupać. Może czekali na właściwy moment. Przydałaby się teraz telepatia. Podejrzewał, że Galloran, Corinne i Rachel rozmawiają właśnie w umysłach. Zakładając, że przeżyli atak pnączy.

Po długim czasie Jasona odłożono na ziemię. Czuł rośliny i korzenie pod ciałem. Jakieś palce wepchnęły mu do ust pastę. Nie smakowała najgorzej, przywodziła na myśl owoce. Napił się z drewnianego kubka przyciśniętego do jego ust. Po kilku minutach drąg uniósł się w powietrze i znowu zaczął się przemieszczać.

Po kolejnej przerwie Jason poczuł, że światło słoneczne słabnie. Co się stanie po zmierzchu, kiedy Aram urośnie?

Nigdy się tego nie dowiedział. Jego drąg przechylił się pod ostrym kątem, jakby niosący go wspinali się po stromym zboczu. Potem znów na krótką chwilę odzyskał poziom. Później odłożono go na posadzkę z gładkich kamiennych kafli.

– Uwolnijcie ich – rozległ się kobiecy rozkaz. – To są wędrowcy, których oczekiwaliśmy. Wybaczcie, proszę, niegrzeczne powitanie, dobrzy podróżnicy. Wielu ludzi żyjących poza granicami dżungli źle nam życzy.

Zwinne palce oswobodziły nadgarstki i stopy Jasona. Uklęknął i ściągnął z oczu przepaskę. Odkrył, że otaczają go przyjaciele i że znajdują się pośrodku przedziwnego zgromadzenia.

Część z setek istot, które ich otaczały, wyglądała jak zwyczajni ludzie odziani we wspaniałe szaty z odrzuconymi kapturami odsłaniającymi zaciekawione twarze. Większość postaci przypominała ludzi okrytych roślinnością. Kudłaty mech porastał większość, ale wielu spowijał też bluszcz. Kilka osób było

tak mocno gęsto owiniętych ciemnymi pnączami, że zatraciły swoje kształty i wyglądały bardziej jak wysokie stopy wodorostów niż jak żywe istoty. Inną niewielką grupę pokrywało skrzycone ciemne drewno jeżące się wielkimi kolcami. Żaden z porośniętych roślinnością ludzi nie nosił ubrania – zieleni wystarczała, żeby zakryć ich nagość.

Pośród tłumu stały wysokie białe małpy o okolonych futrem twarzach i okrągłych oczach. Z powodu smukłych ciał i długich członków Jason pomyślał, że wyglądają jak gibo–ny, chociaż były dużo od nich większe. Śnieżnobiałe naczelnice spokojnie obserwowały sytuację, kilka trzymało kiję.

Wszyscy zebrali się w ogromnej sali zbudowanej z ciemnoszarego kamienia. Ściany pochylały się i łączyły w górze pod dziwaczными kątami, tworząc nieregularną piramidę. W ścianach było kilka otworów. Przez jeden z nich Jason zobaczył zachodzące słońce, którego czerwone promienie muskały korony egzotycznych drzew.

– Nie powinienem zdejmować przepaski z oczu – powiedział Galloran, odpychając ręce osoby w szacie, która próbowała odsłonić mu oczy. – Jestem Galloran, syn Dromidusa. Moje oczy należą do naszego wspólnego wroga. Czy dotarliśmy do Mianamon?

– Owszem – odpowiedziała kobieta, która rozkazała ich uwolnić. Była niska i drobna, nosiła jedwabną szatę w kolorze burzowych chmur. Diadem z fioletowych kwiatów zdobił jej czoło.

– Jestem Ulani, córka Hispy.

– Czy prorokini nadal tu przebywa? – zapytał Galloran.

– Tak – odpowiedziała Ulani. – Jej Eminencja powiedziała nam wiele tygodni temu, że mamy się was spodziewać, w przeciwnym wypadku już dawno zostalibyście zabici. Ostatnio rzadko oferujemy naszą gościnność cudzoziemcom.

– Kilko z nas zaraziło się osobliwą roślinnością – powiedział Galloran.

– Możemy odwrócić ten proces – zapewniła go Ulani. – Olejek z regenckich orchidei usunie rozprzestrzeniający się mech.

Proszę, wybaczyć te niedogodności. Takie metody mają na celu ostrzec i zniechęcić nierozważnych pielgrzymów.

– Byłem tu już kiedyś – powiedział Galloran. – Kiedy zjawiłem się tu ostatnim razem, nie widziałem pośród was drzewnego ludu.

– A teraz go pan widzi? – zapytała rozbawiona Ulani.

Galloran dotknął przepaski na oczach.

– Widziałem, jak zjawili się po nas, kiedy spowiły nas pnącza. Przynieśli nas tutaj.

– Ludzie dżungli zjednoczyli się przeciwko groźbie Maldora – powiedziała Ulani. – Wyrocznia pomaga im i oferuje nasze usługi. W zamian zapewniają nam pomoc i ochronę. Stare rany sprawiają, że relacje między różnymi plemionami drzewnego ludu są napięte, ale zgodzili się uważać świątynię za teren neutralny i razem stanąć przeciwko uczniowi ich starożytnego wroga z północy.

– To dobra nowina – powiedział Galloran. – Przybyliśmy z daleka, i wiele nas ta wędrówka

kosztowała, po wskazówkę, jak oprzeć się wrogowi, o którym wspomniałaś.

Ulani skłoniła lekko głowę.

– Wyrocznia jest świadoma waszych intencji. Tygodniami przygotowywała się do swojego najważniejszego proroctwa. Jutro otrzymacie odpowiedź. Dzisiaj pragnie się z wami spotkać, z każdym na osobności. Chodźcie za mną.

Rozmowa dała Jasonowi chwilę, żeby rozmasować mrowiące ręce. Poszedł razem z pozostałymi po szerokich stopniach, a potem korytarzem. Weszli do trapezoidalnego pokoju, gdzie przechylone ściany były zwieńczone sufitem. Liczne meble obite skórami drapieżnych kotów z dżungli czekały rozstawione w grupach na rozległej posadzce.

Ulani wyszła przez drzwi znajdujące się w niszy w głębi. Wróciła w towarzystwie starszej kobiety. Nowo przybyła nosiła białe szaty obszyte złotem. Zmarszczki pokrywały jej kościstą twarz. Widoczne ścięgna i kości na grzbiecie pokrytych plamami dłoni sprawiały, że sprawiała wrażenie kruchej. Złote wisiorki zwisały z obwisłych uszu.

Mimo wieku trzymała się prosto i chodziła bez wysiłku. Stała przed Jasonem.

– Z tobą pierwszym porozmawiam.

– Ze mną? – zdziwił się Jason.

Kobieta nie odpowiedziała. Wskazała potem na Ferrina, później na Tarka, Nedwina, Drake’a, Arama, Jashera, Nię, Farfalee, Io, Nollina i Corinne. Jako przedostatnią wskazała Rachel, a na końcu Gallorana.

Bez żadnego więcej słowa starsza kobieta wyszła z komnaty tymi samymi drzwiami, którymi weszła.

– Idź – powiedziała Ulani do Jasona, wskazując drzwi we wnęce.

– W porządku – odparł Jason.

Podszedł do wnęki i zauważył, że drzwi są uchylone. Otworzył je szerzej, wszedł do środka i zamknął je za sobą. W rzeźbionych naczyniach rozstawionych w pomieszczeniu płonęło kadzidło.

Starsza kobieta siedziała na wyściełanym krześle, które wyglądało jak wygięta wstęga. Spojrzała na Jasona z wyrazem twarzy, który nie był ani miły, ani wrogi.

– Podejdź, weź mnie za rękę – zachęciła.

– Jesteś wyrocznią? – zapytał Jason.

– Jestem. Podaj mi rękę i uspokój myśli.

Jason podszedł do kobiety i delikatnie wziął jej kościstą dłoń. Wyrocznia ujęła jego dłoń w obie swoje i zamknęła oczy. Jason nie wyczuł działania żadnych nadnaturalnych sił. Jeśli już, to po prostu poczuł się niezręcznie.

Kobieta wypuściła jego rękę i spojrzała mu w twarz.

– Usiądź.

Usiadł na niskim, okrągłym, wyściełanym stołku. Mógł to być podnózek.

– O co pragniesz mnie zapytać? – zachęciła go.

– Możesz zobaczyć moją przyszłość?

– Jeśli się postaram.

– Jak?

Uśmiechnęła się.

– Sama chciałabym to zrozumieć. Uważasz, że czas to sekwencja wydarzeń?

– Jedno zdarzenie po drugim? Chyba tak.

– A uważasz, że przestrzeń jest podobna?

– Przestrzeń? Jako sekwencja? Nie bardzo.

– A jednak, kiedy patrzysz na gwiazdy, widzisz je takie, jakimi były, a nie jakimi są.

– Aha – powiedział Jason, starając się rozgryźć to zdanie za pomocą swojej wiedzy z astronomii. – Światło podróżuje przez przestrzeń. Z im bardziej odległych rejonów przybyło, tym jest starsze. Część światła, które widzimy tej nocy, może płynąć z gwiazd, które dawno temu umarły. Po prostu światło potrzebowało dużo czasu, żeby tu dotrzeć. Czyli patrzymy w przeszłość.

Wyrocznia cmoknęła.

– W Poza macie ludzi, którzy patrzą głęboko w kosmos przez lunety i którzy gromadzą światło, dźwięki i cząsteczki, by zrozumieć swoje miejsce we wszechświecie.

– Astronomów.

– Jestem jak astronom – orzekła, jakby to w pełni wyjaśniało jej osobę.

– Masz teleskop, dzięki któremu widzisz w czasie?

– W pewnym sensie. Czas bardziej przypomina przestrzeń, niż zdajesz sobie sprawę. Widzisz czas tylko jako sekwencję zdarzeń. Początek i koniec. Przedtem i potem. Żyjemy tylko w tymczasowości, więc to naturalne. Twój obecny stan się zaczął. Twój obecny stan się skończy. Wieczni widzą czas inaczej.

To nie miało sensu.

– Jesteś wieczna?

– Próbuję dotknąć wieczności. Ty i ja poruszamy się w czasie jak płomień na linie. Popioły za nami to przeszłość, pożarte i nieosiągalne. Sznur przed nami to przyszłość. Jednak tylko chwila, którą zamieszkujemy, jedyny moment, kiedy możemy działać, to teraźniejszość, punkt, w którym płomień się pali, punkt, w którym czas dotyka wieczności.

Jason pokiwał głową.

– Jasne.

– Dla wiecznego umysłu cały sznur jest zawsze teraźniejszy, wiecznie płonie. Żaden punkt nie leży poza zasięgiem.

– Próbujesz mi zamotać w głowie?

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

– Spróbuj czegoś prostszego. Zanim podejmiesz określoną decyzję, czy starałeś się kiedyś przewidzieć jej konsekwencje?

Jason pomyślał o lochach w Felrook. Maldor zaproponował mu wolność w zamian za służbę. Jason

wiedział, że odmowa oznacza długie dni i tygodnie, i miesiące tortur. Przez chwilę widział swoją przyszłość. Domyślał się także, co oznacza służba u Maldora i jak może go zmienić.

Podobnie potrafił przewidzieć przyszłość w przypadku prostszych wyborów życiowych. Wiedział z grubsza, co przyniosłaby przejażdżka rowerowa z Mattem w przeciwieństwie do dnia wolontariatu w zoo.

– Tak. Czy to właśnie robisz? Odgadujesz konsekwencje wyborów? Starasz się je ujrzeć?

– To trochę przypomina to, co robię – wyjaśniła wyrocznia. – Tak jak ty, jestem tymczasowym bytem. Urodziłam się. Umrę. Zostałam pochwycona przez coś, co odbiera się jako strumień czasu, moje ciało stopniowo się starzeje, pory roku się zmieniają, każdy oddech trzyma mnie przy życiu. Jednak staram się spojrzeć poza teraźniejszość, w przyszłość i przeszłość. Staram się spojrzeć poza punkt, który obecnie zamieszkuję w przestrzeni i czasie, patrzę ku nieskończonym punktom, których nie zamieszkuję.

– Jak?

– Dostrajając się do innych zmysłów niż piątka najbardziej oczywistych – wyjaśniła. – Usiłując dotrzeć do wiecznego umysłu. Dostrzeżenie przyszłości jest trudniejsze niż widzenie przeszłości. Przeszłość jest pojedyncza, sprecyzowana. Przyszłość jest także pojedyncza. Coś konkretnego się wydarzy. Ponieważ jednak to, co się wydarzy, zmienia się z każdą podjętą decyzją, możliwości pojawiają się jak w kalejdoskopie, kiedy patrzy się na przyszłość z teraźniejszości. Zamiast szukać prawdy przez teleskop, spróbuj przez kalejdoskop. To dopiero wyzwanie. I dalej ośmielasz się spojrzeć, tym więcej losów wchodzi w grę tym trudniejsze staje się to zadanie.

– Czyli stawiasz hipotezy.

Wzruszyła ramionami.

– Niektóre przepowiednie bywają pewniejsze od pozostałych. Triumf Maldora przyćmił większość innych możliwych przyszłości. Czasem my, wyrocznie, próbujemy ujrzeć przyszłość, żeby na nią wpłynąć. Robimy co w naszej mocy, by popchnąć nadchodzące lata ku pomyślności i odsunąć od katastrof. Przez wiele lat szukałam sposobu, żeby uniknąć rządów Maldora. Przez wszystkie te lata przeczesywania każdej rzeczywistości otwierającej się przed moją świadomością dostrzegłam tylko jedną ścieżkę, która może doprowadzić do jego przedwczesnego upadku.

Jasona przeszedł dreszcz.

– Dlatego tu jestem.

– Dlatego tu jesteś.

Zaschło mu w ustach.

– Czy odegrałem już swoją rolę?

– Myślę, że znajdujemy się na właściwej drodze. Wiedziałam, że ty, Rachel i Galloran będziecie musieli się tu zjawić, żeby sukces stał się możliwy. Jutro będę miała pewność.

– Dlaczego ja? – spytał Jason.

– Wyobraź sobie, że stoisz na szczycie góry. Wyobraź sobie kamienie rozsypane u twoich stóp.

Wyobraź sobie, że otrzymałeś zadanie wybrania kamienia lub dwóch, a potem rzucenia nimi, by wywołały lawinę, która zniszczy dzikie obszary wokół. Przybył do mnie Simeon z Zawrotnej Dziewiątki. Rozważyłam wszelkie możliwe kamienie. Zdecydowałam się cisnąć nim w ciebie i Rachel. Oboje wpłynęliście na Gallorana. Miałam nadzieję, że wasza trójka uderzy potem w kolejne kluczowe cele w ściśle określony sposób. Wierzę, że twoje przybycie tutaj oznacza, że wybrałam dobre kamienie i oszacowałam prawidłowe trajektorie. Jednak lawina dopiero się zaczyna. Jutro będę wiedzieć więcej na temat możliwości.

– Jak nas znalazłaś? – zapytał Jason.

– Jestem świadoma Poza. Twój świat nie jest jedyną rzeczywistością poza tutejszą. Zbadałam wiele miejsc, ale tylko sprowadzenie ciebie i Rachel pozwoliło mi dostrzec sukces. Nie prawdopodobny sukces, ale możliwy.

– Czyli teraz mam poczekać do jutra?

– Spotkam się z pozostałymi. Potem dam zakopać się w glinie. Żeby przepowiadać przyszłość, muszę spożyć substancję szkodliwą dla mojego zdrowia. Tym razem mocno zatruję się oparami, płynami i minerałami i dołożę wszelkich starań, żeby dotknąć wieczności jak nigdy dotąd. Będę szukała drogi, żeby pozbyć się Maldora, i podzielę się spostrzeżeniami, które uzyskam.

– Zatrujesz się? To cię zabije?

– Nie, dopóki nie przekażę przepowiedni.

Rachel siedziała obok Gallorana pogrążona w myślach. Pozostali po rozmowie z wyrocznią zostali odprowadzeni w inne miejsce. Niektórzy spędzili z nią dużo czasu. Rachel domyślała się, że wyrocznia czytała ich przyszłość. Czy powinna zapytać o swoją? Czy powinna zapytać, czy kiedykolwiek wróci do domu?

Corinne rozmawiała z wyrocznią już od pewnego czasu. Rachel zastanawiała się, czy nie zadać jej telepatycznie pytania, ale martwiła się, że mogłaby spowodować jakiegoś rodzaju paranormalne interferencje.

Zerknęła na Gallorana. Miał przepaskę na oczach, ręce skrzyżowane na piersi, głowę pochyloną, marsową minę. Czyżby spał?

Nie śpię – przekazał w myślach. Stąd nie byłabyś w stanie poszumieć się z Corinne. Tamten pokój jest zasłonięty przed wścibskimi umysłami.

Rozmawiał pan już wcześniej z wyrocznią. Powinnam się denerwować?

Nie bój się jej. Ona chce pomóc. Jeśli martwisz się tym, jaką Przyszłość ujrzy, to nie ty jedna.

Rachel zaśmiała się cicho.

Nie mogę sobie wyobrazić pana zdenerwowanego.

To dobrze.

Znowu się roześmiała. *Chciałam pana o coś zapytać.*

Śmiało.

Zawahała się.

Jak pokonał pan torivora? Oczywiście jest pan wspaniałym wojownikiem, ale to się wydawało niemożliwością.

Wykrzywił usta w uśmiechu.

Potrafisz dochować sekretu?

Pewnie.

Nie jestem pewien, czy trzeba dochować tego sekretu, ale na wszelki wypadek wolę utrzymać to w tajemnicy.

Nigdy nikomu nie powiem. Przysięgam.

Galloran poprawił się na krześle.

Nie powiedziałbym ci, gdybym nie uważał, że kiedyś ta informacja może ci się przydać.

Rozumiem.

Wiesz, że potrafię słyszeć twój umysł, nawet myśli, których nie wysyłasz celowo.

Tak. Zrobił pan to przed chwilą.

Do pewnego stopnia mogę tak słuchać torivorów.

Zastanowiła się nad znaczeniem tego faktu. Nagle to do niej dotarło.

Wie pan, co zrobię, zanim to zrobię!

Pokiwał głową.

Kiedy walczymy, patrzę, co zamierzają. Zaczynam ripostę, zanim jeszcze ruszą do ciosu. Patrzę, jak się dostosowują, i sam się odpowiednio dostosowuję. To wymaga skupienia i biegłości w walce mieczem. Nawet gdy znam każdy ruch z wyprzedzeniem, jedna drobna omyłka oznaczałaby mój koniec. Zawsze uczyłem się walki mieczem, ale to w czasie pierwszego pojedynku z czatownikiem nauczyłem się walczyć tak, jak to robię teraz. Ujrzałem pojedynek tak, jak widzi go czatownik, i nauczyłem się walczyć tak, jak on walczy.

Rachel spojrzała na blade blizny na jego mocnych rękach.

Zauważyłam, że walczy pan, jakby znał drogę na skróty czy jaki to nazwać. Z taką łatwością pokonuje pan ludzi.

Pokonałem teraz trzech czatowników. Każda walka była łatwiejsza od poprzedniej. Co nie znaczy, że czwarta nie skończy się moją śmiercią. Jednakże wiele się nauczyłem. W czasie ostatniej walki nauczyłem się, że skuteczniej mogę natrzeć na czatownika z jednym mieczem niż dwoma.

Nie potrafi pan czytać w dowolnym umyśle – przesłała Rachel.

Nie mogę czytać w większości umysłów. Czasem wychwytuję nie przewidywalne przebłyski tego, co zamierza przeciwnik. Gdyby jednak nie był w stanie polegać na tym, co wyczytuję w umyśle czatowników, pierwszy, który przyszedł po mnie lata temu, zabiłby mnie w okamgnieniu.

Corinne wyszła z przejścia prowadzącego do wyroczni. Ula przywołał gestem służącą, żeby

odprowadziła dziewczynę.

– Chodź – powiedziała do Rachel, wskazując jej drzwi.

Do zobaczenia – przesłała Rachel. Dochowam pana tajemnicy.

Ty pierwsza ją poznałaś – odpowiedział Galloran.

Rachel weszła do pokoju, a wyrocznia poprosiła ją, żeby usiadła. Kobieta przyglądała jej się w milczeniu przez nieprzyjemnie długą chwilę. Rachel zastanawiała się, czy wyrocznia ogląda jej przyszłość.

Będziemy rozmawiać? – przesłała pytanie.

– Nie w ten sposób, moje dziecko. Muszę oszczędzać siły. Podaj mi rękę.

– Odczyta pani moją przyszłość?

– Po prostu muszę wyrażniej cię poczuć. Zebrać informacje, które wykorzystuję, kiedy próbuję poznać przyszłość.

Wyrocznia ujęła rękę Rachel w swoje dłonie. Zamknęła oczy, kiwając ledwie widocznie głową i kołysząc odrobinę całym ciałem, a potem wypuściła jej rękę. Nie otworzyła oczu. Zadrżała jej górna warga.

– Całe życie czekałam na tę, która mogłaby mnie zastąpić – powiedziała.

– Co ma pani na myśli? – spytała Rachel.

– Żadna z moich akolitek nie ma wystarczającego talentu. Ułani najmniej brakuje, ale ona nigdy nie będzie więcej niż cieniem mnie, tak jak ja jestem jedynie cieniem największych wieszczek. A ty mnie przerastasza.

– Wie pani, że ćwiczyłam edomicki?

– Nawet kiedy byłaś daleko, w Poza, wyczuwałam w tobie potencjał. Z tego powodu wyznaczyłam Erindzie zadanie ściągnięcia cię tutaj. Potencjał nie zawsze zostaje zrealizowany, Rachel, ale ty okazałaś się czymś więcej, niż się spodziewałam. Wyczuwam w tobie moc. Przebyłaś długą drogę w bardzo krótkim czasie. Otworzy się przed tobą wiele możliwości.

Rachel przygotowała się na najgorsze. Nie chciała zadawać tego pytania. Słowa wyrwały jej się z ust jako szept:

– Czy kiedykolwiek wrócę do domu?

– Nadal pragniesz wrócić do domu, moje dziecko? Rozważ wszystko, czego możesz tu dokonać. Wszystko, czym możesz się stać.

– Chcę pomóc Galloranowi. Chcę powstrzymać Maldora. Jeśli jednak nam się uda, chcę wrócić do domu.

Wyrocznia przyjrzała jej się bacznie.

– Jakaś część mnie chce cię tu zatrzymać niezależnie od twojego wyboru. Nie mam na myśli tu, w Lyrianie, ale tu, w świątyni. Z moją pomocą twoje umiejętności by wzrosły. Nauczyłabyś się, jak zdobywać wiedzę potrzebną, żeby pokierować tym światem.

– Jednak nie zatrzyma mnie tu pani?

– Galloran cię potrzebuje. A ja potrzebuję Gallorana. Jeśli on zawiedzie, Lyrian upadnie. Niezależnie od wysiłków dzieci Certiusa, świątynia zostanie opanowana. Ciemność będzie władać od tundry na północy po dżunglę na południu.

– Drzewny lud został stworzony przez Certiusa, prawda?

– Jak i ta świątynia – odpowiedziała wyrocznia. – Certius wzniósł dwie warownie w dżungli: Mianamon na północy i Paggatar na południowym zachodzie, w sercu dżungli. Ukształtował te ściany słowami, wzniósł je siłą woli. W Mianamon ustanowił mój zakon i nauczył nas, jak spotęgować nasze widzenie. Mieszkał i pracował w Paggatarze. Jednak przyszedł Zokar i zniszczył go, tak jak teraz chce przyjść Maldor i zniszczyć nas, potomków tych, którzy przetrwali poprzedni najazd.

– Możemy go powstrzymać?

– Jutro będę wiedzieć więcej. Musisz rozwijać swoje zdolności. Niektórzy tutaj mogą ci pomóc. Naucz się wszystkiego, czego zdołasz, póki przebywasz tu z nami.

– Dobrze.

– Chcesz wiedzieć, czy wrócisz do domu. Spędziłam sporo czasu, badając nasze, twoją i moją, rzeczywistości. Za pięć lat i dziewięć tygodni od jutra nasze rzeczywistości będą stosownie zsynchronizowane. Nie potrafię nic powiedzieć o innym momencie. Jeśli przetrwasz i jeśli tak zdecydujesz, to jest dzień, w którym zalecam ci powrót.

Rachel ogarnęła nagła fala ulgi. Nawet jeżeli pięć lat to długi czas oczekiwania, to o niebo lepsze niż niepewność i rozpacz. Łzy napłynęły jej do oczu. Nie spodziewała się, że otrzyma jakąś nadzieję.

– Jeśli wrócę tego dnia, będę w stanie odnaleźć rodziców?

– Powinnaś znaleźć się wtedy blisko właściwego czasu. A teraz zostaw mnie. Muszę porozmawiać z Galloranem.

– Bardzo dziękuję.

Wyrocznia posłała jej smutny uśmiech.

– Moja droga, proszę, nie dziękuj mi na razie.

Rozdział 28

Prorocstwo

Następnego ranka Jason i Rachel szli długimi schodami głęboko pod świątynią. Ulani prowadziła grupę w towarzystwie dwóch zakapturzonych akolitek niosących pochodnie. Szła cała delegacja. Nikt się nie odzywał.

U podnóża schodów zakapturzone postaci pociągnęły za skrzydła ozdobnych drzwi, które prowadziły do cienistej komnaty. Topiące się świece częściowo oświeślały różne starożytne rzeźbienia. Powietrze przesiąkło obrzydliwie słodkim zapachem.

Delegacja podeszła do okrągłego basenu na drugim końcu pokoju. Rusztowanie obok basenu umożliwiło grupie zakapturzonych postaci wyciągnięcie śliskiej szarej płyty z wonnego płynu. Kiedy pionowa płyta zawisała podwieszona, akolityki wyszły.

Pośrodku górnej połowy płyty była widoczna twarz wyroczni. Kobieta miała zamknięte oczy, a jej pomarszczone oblicze było spokojne.

Ozdobne drzwi się zamknęły. Płyta ociekała. Opary wznosiły się z wonnego basenu.

Oczy wyroczni się otworzyły. Opalizowały od mlecznej warstwy, która je pokrywała. Wyrocznia nie nawiązała kontaktu wzrokowego z nikim z obecnych. Wydawało się, że jej źrenice patrzą do wewnątrz albo może gdzieś daleko poza komnatę.

– Wszystkie ścieżki prócz jednej prowadzą do triumfu Maldora – wyrecytowała wyrocznia. Jej głos brzmiał inaczej niż poprzedniego dnia. Mówiła wyniośle i z przekonaniem. – Pojedyncza niebezpieczna droga prowadzi do jego przedwczesnego upadku, otacza ją niepowodzenie i zaśmiecają trupy.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytał Galloran.

Oczy wyroczni nie zdradzały, czy poznały księcia.

– Dwie misje. Galloran musi obudzić Trensicourt. Lud Amar Kabał musi do niego dołączyć, tak samo jak drinlingowie. Razem wolni ludzie Lyrianu muszą pomaszerować na Felrook nadchodzącej wiosny. Zastępy nie wystarczą, a jednak Felrook musi paść.

– Wiosną? – mruknął Nollin. – Lato już się kończy.

– Rachel, Io, Ferrin, Nedwin, Nollin i Tark muszą dołączyć do Gallorana.

– Zaatakować Felrook. – Ferrin zaśmiał się ponuro, kręcąc głową.

– Jason Walker musi znaleźć dom Dariana Piromanty. Mój wzrok nie odnajduje jego siedziby. Nie wiem, czego dowie się tam Jason. Ostatnie miejsce pobytu Dariana Jasnowidza można poznać w Celestynowej Bibliotece na Morzu Śródlądowym. Ten największy z wieszczów posiada kluczowe informacje. Dopilnujcie, żeby tajemnica przestała być tajemnicą.

– Celestynowa Biblioteka jest pilnie strzeżona – powiedział Ferrin. – Niedostępna.

– Darian powinien być umrzeć już wieki temu – dodała cicho Farfalee.

Wyrocznia zamrugła, jej policzki zadrżały.

– Jasher, Farfalee, Drake, Aram, Corinne i Nia muszą dołączyć do Jasona. Równoległe misje muszą się powieść. Wielu obecnych zginie. Musicie pozostać zjednoczeni. W przeciwnym wypadku dzieci Eldrina zostaną rozgromione, tak samo jak dzieci Certiusa i wiek niezgłębionej ciemności zdławi świat. Spędźcie tutaj jesień i zimę. Wyruszcicie, kiedy zima zacznie ustępować. Wyślijcie kilkoro przodem, by przygotowali drogę. Wyczucie czasu jest kluczowe. Ujrzałam i przemówiłam.

– Felrook nie da się zająć – łagodnie podsumował Nollin. – Nawet gdybyśmy zebrali dziesięć razy więcej ludzi niż możemy.

– Nie opuszczę Jasona – zaprotestował Tark. – Proszę spojrzeć raz jeszcze.

Wyrocznia gwałtownie złapała powietrze, policzki jej zadygotały. Na chwilę zniknęła mgiełka z jej oczu i kobieta popatrzyła z rozpaczą na Gallorana.

– Szukałam, ale nie mogłam dojrzeć końca. Niczego nie zobaczyłam, wszystko mignęło. Potrzebujecie kogoś o prawdziwym oku i sięgającym dalej wzroku. – Oczy uciekły jej w głąb czaszki, twarz się rozluźniła. – Sekret z przeszłości może wykupić przyszłość. Sługa zdradzi mistrza. Przyjemne ścieżki się rozpadły. Lyrian trzeba okupić ofiarą. Nasza nadzieja jest szkarłatna jak krew bohaterów; czarna jak wnętrzności ziemi; biała jak rozbłysk orantium.

Zatrzepotała powiekami. Ślina pociekła jej z kącików ust. Zakapturzone akolitki wpadły do komnaty uzbrojone w narzędzia, żeby wydobyć wyrocznię z gliny. Zmarła na długo przed tym, nim im się udało.

Podziękowania

Dwie za nami, jedna została. Wiele ludzi pomogło przy kontynuacji cyklu o Pozaświatowcach. Moja redaktorka, Liesa Abrams, wiele zrobiła, żeby poprawić tę historię. Mój agent, Simon Lipskar, zajął się stroną praktyczną i zaoferował kilka rad redakcyjnych.

Cały zespół Simon & Schuster odwalił kawał wspaniałej roboty, głosząc wieść o „Świecie bez bohaterów”, dzięki czemu cykl mógł znaleźć czytelników. Jestem dumny z tego, że z nimi współpracuję. Dziękuję Marze Anastas, Carolyn Swerdloff, Annie McKean, Paulowi Crichtonowi, Bethany Buck, Mattowi Pantoliano, Fionie Simpson i reszcie zespołu. To nie są po prostu ludzie, którzy dobrze wykonali swoją pracę – to ludzie, z którymi chętnie spędzam czas! Ludzie z Shadow Mountain też okazali wiele wsparcia temu cyklowi.

Pierwszymi czytelnikami tego tomu byli między innymi przyjaciele i rodzina, a ściślej: Mary Mull, Cherie i Bryson Mull, Tiffany Mull, Pam Mull, Chris Schoebinger, Liz Saban, Jason i Natalie Conforto i zawsze czujny doktor praw i medycyny J. Tucker Davis. Ich wskazówki, spostrzeżenia i reakcje wiele wniosły. Mój utalentowany kuzyn Mike Walton przygotował mapę i kilka świetnych rysunków dla strony internetowej. Po raz kolejny zespół graficzny stworzył rewelacyjną okładkę – szczególnie dziękuję Lisie Vega. I jeszcze podziękowania dla Jeannie Ng za to, że zwróciła baczną uwagę na wewnętrzną spójność rękopisu.

Rodzina i przyjaciele to moja tajna broń. Moja żona, Mary, jest moim pierwszym redaktorem. Jej spostrzeżenia i wsparcie to kluczowy składnik sukcesu każdej mojej książki, także tej. Moje dzieci wnoszą do mojego życia niezwykle motywującą radość. Moje rodzeństwo, rodzice i przyjaciele pomogli mi przygotować przyjęcia promocyjne w Salt Lake City i wsparli mnie na wiele innych sposobów. Mój tata, Gary, pomógł sprzedawać T-shirty; moja mama, Pam, przebrała się za wiedźmę Muriel, ciotka Kim i siostra Tiffany pozowały jako wróżki lub Ephira, brat Ty ściągnął przyjaciół do pomocy. Moi zabawni przyjaciele z dawnych lat – w tym Summer Mull, Bryson Mull, Robert Marsh, Chad i Shelly Morrisowie, Gavin i Maren McCalebowie oraz Joel Hilton (który potrafi zabójczo odegrać Jacka Sparrowa) – pomogli rozkręcić przyjęcia tak, żeby były zabawne i na luzie.

Trzeba też oddać sprawiedliwość paru osobom z samych początków. Rodzina Allen, w tym Aaron, Robert i Daryl bardzo wspierali ten pomysł, zanim jeszcze cokolwiek opublikowałem. Kjirstin Youngberg i Dean Hale także w przeszłości służyli mi radą. Mój szwagier Sean Fleming pomógł mi przezwyciężyć wątpliwości co do zakończenia pierwszego tomu. Jego wsparcie pomogło mi oprzeć się pokusie zakończenia książki w bezpieczniejszy, bardziej przewidywalny sposób. Z perspektywy czasu uważam, że dzięki temu cykl wypadł o niebo ciekawiej.

Pośród tych, którym dziękuję, nie mógłbym zapomnieć o Tobie, Czytelniku. Bez Ciebie moje książki

niczemu by nie służyły. Historia nie rozgrywa się na stronach. Ona dzieje się w Twojej głowie. Dziękuję, że ożywiłeś Pozaświatowców, uczestnicząc w tej historii razem ze mną. Dziękuję, że powiedziałeś innym o tej opowieści. Większość ludzi odkrywa książki dzięki innym czytelnikom. Jeśli do tej pory podobali Ci się Pozaświatowcy, myślę, że zachwycisz się ostatnim tomem „Chasing the Prophecy”. Mam nadzieję, że się nie mylę!

Drogi Czytelniku!

Kiedy zastanawiałem się nad bonusem do pierwszego wydania „Zarzewia buntu” w twardych okładkach, natychmiast przyszły mi na myśl rozmowy z wyrocznią. Najważniejsze postaci z cyklu miały okazję porozmawiać z nią na osobności i uznałem, że byłoby ciekawie poznać przebieg tych spotkań. Wybrałem do tego trzech bohaterów.

Sceny dodatkowe

Wieszcz rozmowy

Tark obejrzał się za siebie, zobaczył, że Galloran uspokajająco kiwa głową, więc otworzył drzwi i wszedł do komnaty wieszczki. Sięgnął, żeby zdjąć kapelusz, zanim zdał sobie sprawę, że żadnego nie nosi. Zwiędła i drobna kobieta siedziała wyciągnięta na dziwnym krześle. Spojrzała życzliwie.

– Powinienem zamknąć drzwi, Wasza Eminencjo? – zapytał Tark.

– Poproszę – odpowiedziała łagodnie.

Tark zamknął drzwi, a potem zakłopotany stanął przed kobietą. Nie bardzo wiedząc, czego wymaga etykieta, padł na kolana.

– Nie – zbesztła go, wyciągając kruchą, pokrytą plamami rękę. – Siadaj. Wstał i przysiadł na niskim, wyściełanym stołku.

– Nie jestem pewien, czy powinienem się tu znaleźć – powiedział przepraszająco.

– Bzdura – odparła wieszczka. – Podaj mi dłoń.

Tark wyciągnął rękę wnętrzem dłoni do góry. Kobieta ujęła ją w dwie ręce i ścisnęła, pochylając głowę. Potem przesunęła opuszkami po zgrubieniach i liniach jego dłoni. Odwróciła ją i przyjrzała się grzbietowi. Tark dobrze wiedział, że ma brudne paznokcie. Wypuściła jego rękę i popatrzyła na niego w milczeniu.

– Nie jestem bohaterem – wyznał jej Tark. – Na pewno już to pani wie. Mam jednak szczerą intencję. Mam nadzieję, że to też pani zobaczyła. Przypadkiem znalazłem się w tym towarzystwie. Żaden ze mnie lord, gdzieżby znowu. To nie miejsce dla mnie. – Wieszczka nadal na niego patrzyła. – I w dodatku za dużo mówię. Znaczy, w najmniej odpowiednich chwilach. Mam sobie pójść?

– Jesteś w błędzie – zbesztła go wieszczka.

– Żadna to niespodzianka – odpowiedział Tark.

Popatrzyła na niego.

– Znaczy, nie nadaję się do tej misji?

– To znaczy, że źle oceniasz swoją wartość. Źle oceniasz swoją rolę w nadchodzącym konflikcie.

Tark nie patrzył jej w oczy.

– Proszę o wybaczenie, ale nie sądzę, żebym w ogóle miał jakąś rolę do odegrania.

Uśmiech pogłębił jej zmarszczki.

– I tu jesteś w błędzie.

Tark odchrząknął zakłopotany. Nie bardzo wiedząc, co zrobić z rękami, złapał się brzegów stołka.

– Co powinienem zrobić?

– Szczegóły mi umykają – wyjaśniła. – Dostrzegłam przelotnie kilka rzeczy. Czuję, że zwycięstwo nadal jest możliwe. Trudne do osiągnięcia i mało prawdopodobne, ale nadal w zasięgu naszych rąk. Intuicja może nas zmylić, Tark, jednak pewnym instynktom nauczyłam się ufać i one uparcie twierdzą, że masz kluczową rolę do odegrania. Wątpię, czy bez ciebie zwycięstwo jest możliwe.

Tark zarechotał zakłopotany.

– Będę służył lordowi Jasonowi najlepiej, jak umiem, Wasza Eminencjo.

– Jesteś lepszym człowiekiem, niż jesteś gotów uwierzyć. Nie zabiłeś swoich przyjaciół.

Tark poprawił się na stołku.

– Chyba nie. Mimo wszystko, Wasza Eminencjo, człowiek nie ma zbyt wielu szans, żeby dowiedzieć się, z jakiej gliny jest tak naprawdę ulepiony. Powiedziałem moim przyjaciołom, że spadnę z wodospadu razem z nimi. A potem przy pierwszej okazji uciekłem z tratwy. Wiem teraz, że to lord Jason próbował nas uratować. Wtedy jednak tego nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że nie chcę spaść z tego wodospadu.

Wieszczka pokiwała głową.

– Próbowałem to odpokutować, walcząc z Maldorem. Lord Jason pomógł mi odkryć tę możliwość. A potem nadeszło zaproszenie. Wezwanie na Wieczną Ucztę. No i poddałem się. Odwróciłem się plecami do swoich ideałów. I znowu lord Jason przyszedł po mnie.

Wieszczka ponagliła gestem, żeby mówił dalej.

– Kiedy uciekliśmy z Harthenham, lord Jason został w tyle. Nie taki był plan. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Wiedziałem, że powinienem po niego wrócić, ale miałem nasiono. Amar Jashera. To była wymówka. W głębi ducha cieszyłem się z tego nasiona, Wasza Eminencjo, bo pozwoliło mi uciec. Rozumie pani?

– Owszem.

– Wykazałem się odwagą raz, może dwa – powiedział Tark, patrząc w dal. – Nie jestem skończonym tchórzem. Obawiam się jednak, że kiedy to liczy się najbardziej, nie dorastam do oczekiwań.

– To ja posłałam twoich przyjaciół na wodospad – powiedziała wyrocznia.

– Wiem – mruknął Tark. – Miała pani rację. Potrzebowaliśmy Jasona. Znaczy się nasz świat. Potrzebujemy go.

– I potrzebujemy ciebie – powiedziała wyrocznia. – Nie próbuję cię pocieszyć. Nie jestem aż tak opiekuńcza. Wszyscy walczymy z własnymi wątpliwościami. Pokaż mi człowieka, który jest gotów bez wahania pójść na śmierć, a ja pokażę ci głupca, który nie docenia własnego życia. Nie jesteś już tym samym człowiekiem, który zeskoczył z tratwy. Nie możesz pozwolić sobie na to, żeby być tym człowiekiem. Twoi towarzysze cię potrzebują. Lyrian cię potrzebuje.

– Co muszę zrobić?

– Spodziewam się, że będziesz wiedział, kiedy nadejdzie czas.

– Spróbuję wykonać moje zadanie, Wasza Eminencjo.

– Obawiam się, że musisz, bo inaczej wszystko będzie stracone.

Nedwin wszedł do komnaty wyroczni i zamknął drzwi. Stara kobieta spojrzała na niego wyczekująco. Słyszał, jak jej oddech I grzechocze w płucach. Pokój był mały, wyposażony w wyściełane meble. Wydawał się przytulny. Jedynie zapach drażnił Nedwina.

- Co mam zrobić? – spytał.
- Nie chcesz tu być.
- Chcę wypełnić mój obowiązek.
- Pokaż mi dłoń.
- To konieczne?

Wyrocznia skinęła głową.

- Muszę wyraźnie cię poczuć.
- To się pani nie spodoba.
- Dlaczego?
- Nie jestem... całkiem zdrowy.
- Widzę to już stąd. Pozwól mi przyjrzeć się uważniej. Żyję już długo, niełatwo mnie zaszokować.

Nedwin podszedł do niej i usiadł na niskim, wyściełanym cylindrze. Wyciągnął rękę. Wyrocznia ją wzięła. Wykrzywiła usta. Zmarszczki wybrzuszyły się wokół cienkich brwi, kiedy je ściągnęła. Zakołysała się delikatnie na boki, a potem wypuściła jego rękę, jakby parzyła. Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Ostrzegałem – powiedział.
- Nigdy przez długie lata życia nie wyczułam tyle cierpienia.
- Staram się o tym nie myśleć.

Wzięła głęboki, oczyszczający wdech. Przy każdym oddechu było słychać delikatne rżenie, jak przy początkach zgnilizny płuc. Odzyskała spokój.

- Dziura po oku dobrze się zagoiła.

Nedwin zerknął na ściągniętą bliznę na piegowatej dłoni.

- Mam spore doświadczenie w stosowaniu balsamów.
- Galloran będzie cię potrzebował.
- Dlatego żyję.

Pokiwała głową.

- Pragniesz umrzeć.
- A ty nie pragnęłabyś tego na moim miejscu? Odpowiedz szczerze.

W jej oczach pojawił się ból.

- Nie poddasz się, dopóki nie dowiesz się, co go czeka.

– Galloran trzyma mnie przy życiu. Czciłem go jako dziecko. Nadal czczę. Zasługuje na to. Myśl o nim sprawiała, że trwałem przy życiu... Nadal sprawia. Czuję się... lepiej, kiedy jest w pobliżu.

- Pragnę ci pomóc – zapewniła go szczerze wyrocznia. – Co chciałbyś wiedzieć?

– Czy będę... czy się nie załamie? Czasem się tym martwię.

– Podaj mi raz jeszcze rękę.

– Na pewno?

Pokiwała głową. Złapała jego palce w jedną dłoń, a nadgarstek w drugą. Pot zrosił jej pomarszczone czoło. Znowu wypuściła jego rękę, jakby parzyła.

– Nie wiem, jakim cudem nadal się trzymasz. Ale nie dałeś się złamać, nie ugiąłeś się w niczym istotnym. Zaszedłeś tak daleko, że wątpię, czy w ogóle można cię złamać.

– To chyba prawda. A co z moimi snami? Da się coś z tym I zrobić?

– Przykro mi.

Wzruszył ramionami.

– To wszystko?

– Tak myślę. Podziwiam cię, Nedwinie.

– Dowiedz się, co mogę zrobić, a zrobię to.

– Poradzi pan sobie? – zapytała Ulani, nadal trzymając drobną dłoń na jego łokciu.

– Mam pewne doświadczenie w poruszaniu się bez pomoc wzroku – zapewnił ją Galloran.

– Zostaw nas – powiedziała wyrocznia.

Delikatne palce ześlizgnęły się z jego ręki. Usłyszał, że drzwi się zamykają.

– Znowu się spotykamy – powiedział.

– Istotnie. Idź za moim głosem. Nie ma żadnych przeszkód między nami z wyjątkiem siedzenia dla ciebie.

Galloran podszedł do niej szybkim krokiem, a potem zwolnił, aż wyczuł łydkami wyściełany taboret. Sprawdziwszy ręką jego dokładne położenie, usiadł.

– Mąż bez żony, ojciec bez syna, bohater bez misji, król bez królestwa. Teraz już siedzimy po drugiej stronie tej przepowiedni. Chłopak, którego spotkałaś lata temu, nie docenił, jak dosłownie się wypełni.

– Mówię, co widzę – odpowiedziała wyrocznia. – Nie więcej i nie mniej.

– Nadal mamy szansę?

– Tak uważam.

– Czy to tylko nasze życzenie? Marzenie?

– Wierzę w to na tyle mocno, żeby oddać lata, jakie mi pozostały w zamian za głębsze spojrzenie.

Galloran zmarszczył brwi.

– To cię zabije?

– Jeśli pragnę zobaczyć na tyle dużo, żeby się do czegoś przydać, owszem. Chociaż nawet to może nie wystarczyć. Jest zbyt wiele zmiennych. Dostrzegam dezorientujące przebliski. Najmniej prawdopodobne rezultaty są najtrudniejsze do rozpoznania.

– Czy sukces jest najmniej prawdopodobnym rezultatem?

– Obawiam się, że tak. Jutro będę wiedzieć więcej. Mogę prosić cię o podanie ręki?

Wyciągnął przed siebie dłoń. Jej ręce odnalazły ją, palce delikatnie musnęły.

– Te oczy! – wykrzyknęła.

– Zło konieczne – odparł przepraszająco Galloran. Co robisz. Skupili na tobie całą uwagę. Wiedzą, że jesteś w dżungli.

– Wielu wycierpiało znacznie więcej.

– Ja też współczuję Nedwinowi.

Galloran pochylił się ku niej.

– A co z moimi towarzyszami? Jak mogę im pomóc? Na kim powinienem skupić uwagę? Kto jest najważniejszy?

– A które ogniwo łańcucha jest najistotniejsze?

– Oni wszyscy? Nawet rozsadnik?

– Zwłaszcza rozsadnik.

Galloran westchnął.

– Jeśli nie ma już nadziei, powiesz mi.

– Jeśli nie ma już nadziei, będę próbowała odwrócić wzrok, zanim trucizna mnie pożre. Jednak nie spodziewam się wyjść z tego z życiem.

Galloran wstał.

– Stanowisz naszą ostatnią szansę, Esmiro. Bez tej wizji nie będziemy mieli sprzymierzeńców, nie będziemy mieli kompasu.

– Ciekawe. Wyczuwam ich właścicieli. Zastanawiają się nad każdą wskazówką. Bardzo wiernie służą Maldorowi. Są niezwykle oddani.

– Jest w tym jakaś moja iskra?

Wypuściła jego rękę.

– Dobrze się trzymałeś. Jak się spodziewałam. Niemniej nadzwyczajnie.

– Nie pochlebiaj mi, Esmiro.

– Nigdy w życiu.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Doceniam to. Wszyscy doceniamy.

– Kiedy ty marniałeś w lochach, ja jadałam w tropikalnym raju. Znam swoje obowiązki. Mój wzrok był ostatnią nadzieją Lyrianu od wielu lat. Mój los byłby okrutniejszy, gdybym nie mogła do niczego się przydać. A teraz odejdz. Zostaw mnie, bym się mogła przygotować.

Galloran usłyszał, jak telepatycznie wzywa Ulani. Poprawił opaskę na oczach i wygładził rękami szatę.

– Ślepy, bym przejrzał na oczy. Potrafisz dobrać słowa.

O autorze

Brandon Mull

Autor cyklu o Pozaświatowcach oraz bestsellerowej według *New York Times*, *USA Today* i *Wall Street Journal* serii „Fablehaven”. Mieszka z żoną i czwórką dzieci w małej szczęśliwej dolinie w Utah, w pobliżu wejścia do kanionu. Najbardziej żałuje tego, że ma się tylko jedno życie, by oddać je za Gondor.